

M R O C Z N A
S E R I A

CYKL O MAJOR NASTII KAMIENSKIE

w
tab

*Ujawnić nowe morderstwo... tym razem
popelnione w otoczeniu znanego polityka.
Kamieńska obnaża zbrodniczy
proceder sięgający wielu lat wstecz...*

Aleksandra

Marinina

cudza maska

Aleksandra Marinina

Cudza Maska

w
ydawnic
a
two **b**

ROZDZIAŁ 1

Nastia Kamińska bez reszty pogrzyła się w pracy i skrzywiła się z niezadowoleniem, słysząc dzwonek telefonu.

- Asiu, masz włączony telewizor? - W słuchawce rozległ się głos męża.

Od tygodnia Aleksiej mieszkał u rodziców w Żukowskim. W instytucie, gdzie pracował, zaczął się okres sprawozdawczy, więc na całe dni zniknął w swoim laboratorium, a z domu rodziców do instytutu miał nie więcej niż dziesięć minut niespiesznego marszu.

- Nie, pracuję - odparła Nastia. - A co leci?

- Na RTR idzie bardzo zabawny program o tym, jak u was w milicji łamie się prawa obywateli. Zobacz, będziesz miała ubaw.

- Jaki znowu ubaw. - Kamińska westchnęła. - Pewnie po raz kolejny obrzucają nas błotem.

- Obrzucają - ze śmiechem przytaknął Aleksiej - ale wasi stawiają zażarty opór. Włącz, nie pożałujesz. Twój przyjaciel, generał Zatoczny, tam się z nimi ściera.

Nastia rzuciła się do telewizora. Tak, rzeczywiście, na ekranie pojawiła się znajoma szczupła twarz Iwana Aleksiejewicza Zatocznego, jednego z szefów pionu do walki z przestępczością zorganizowaną. Anastazja po raz pierwszy zobaczyła generała w mundurze i nie mogła nie przyznać, że w marynarce, świetnie leżącej na jego smukłej, wysportowanej sylwetce, Zatoczny prezentował się o wiele efektowniej niż w kurtce czy w dresie, w których Nastia widywała go podczas ich regularnych spacerów.

Przeciwnikiem generała w owej teledebacie był jakiś nie-pokaźny osobnik w ogromnych okularach, które co chwila ześlizgiwały mu się na

sam koniuszek długiego, cienkiego nosa.

- Nieustannie przychodzą do mnie różne osoby - perorował facet - ze skargami na to, że milicja poważnie pogwałciła ich prawa, w tym również prawo do nietykalności cielesnej.

W tej samej chwili na ekranie pojawił się napis: „Nikołaj Potaszow, obrońca praw człowieka”.

- Mówiąc bez ogródek - ciągnął Potaszow - ludzie ci skarżą się na to, że ich bito, że oszustwem próbowano wymusić od nich przyznanie się do czynów, których nie popełnili. Czy panu, Iwanie Aleksiejewiczu, znane są owe fakty, czy może to, co opowiadam, stanowi dla pana odkrycie?

- Zdaje się, że znam również inne fakty. - Zatoczny uśmiechnął się. - A czy pan, szanowny panie Potaszow, orientuje się, że funkcjonariusze milicji okazują się niekiedy złodziejami, bandytami, gwałcicielami i zabójcami? Raz już, jeśli pan pamięta, przeżyliśmy czasy, kiedy minister spraw wewnętrznych uważał, że skoro w milicji trafiają się łajdacy i kanalie, to cała instytucja jest na wskroś zła i trzeba w niej niezwłocznie wymienić kadrę. A czym się to skończyło, też pan pamięta? W naszym resorcie pojawili się aktywiści z partii i z Komsomołu. Na naszej robocie w ogóle się nie znali, ale za to, zgodnie z założeniem ówczesnej doktryny ideologicznej, wszyscy bez wyjątku byli uczciwi i przyzwoici. Co prawda bardzo szybko się okazało, że pod względem uczciwości niczym nie różnią się od całej reszty milicjantów, pracować nie umieją, więc wykrywanie przestępstw i zapobieganie im legło w gruzach. Mówię to dlatego, że funkcjonariusze milicji są w swojej masie dokładnie tacy sami jak ogół społeczeństwa. Pracownicy naszego resortu nie spadają nam z nieba, nie hoduje się ich w inkubatorach. Urodzili się i wychowali w naszym środowisku, więc dlaczego mają być lepsi niż my wszyscy?

- Ależ ten pański wywód nie wytrzymuje najmniejszej krytyki! - Obrońca praw człowieka Potaszow załamał ręce. - Po co państwu taka milicja, która niczym się nie różni od większości społeczeństwa? Cały sens istnienia waszego resortu polega na tym, że przychodzić do niego mają najlepsi, żeby walczyć z szubrawcami. Taka jest zasada tworzenia

organów ścigania w każdym państwie.

- A jak zamierza pan odróżniać dobrych milicjantów od szubrawców? - ironicznie zainteresował się generał. - Czyżby mieli to wypisane na czole?

- Należy przeprowadzać surową selekcję i nie tolerować najdrobniejszych wybryków, nie mówiąc już o przewinieniach służbowych - twardo oświadczył Potaszow. - Tylko tak będziecie mogli oczyścić swoje szeregi z łajdaków, którzy znęcają się nad obywatelami.

- Dobrze, Nikołaju Grigorjewiczu, tak właśnie zrobimy. Jutro pańskie mieszkanie ktoś okradnie, zatelefonuje pan pod „zero dwa”, lecz nikt tam nie podniesie słuchawki. Wszystkie pracownice zwolniliśmy, bo albo spóźniają się do pracy, albo nie dość uprzejmie rozmawiają z obywatelami, albo popełniają wykroczenia administracyjne, na przykład łamią zasady ruchu drogowego. Wówczas zadzwoni pan na swój komisariat, a tam panu powiedzą, że wszystkich wywiadowców wyrzucono i nie ma pan do kogo jechać. Został jeden dyżurny, bo ktoś musi przecież odbierać telefony. I myśli pan, że tak łatwo znajdziemy nowych pracowników? Mądrych, wykształconych, uprzejmych, przygotowanych do zawodu i nieprzekupnych? Mądrzy i wykształceni prawnicy już dawno rozpierzchli się po spółkach albo firmach ochroniarskich, nasza milicyjna pensja jest dla nich najzwyczajniej dziadowska.

- A zatem według pana lepsi są źli milicjanci niż żadni? -Potaszow uniósł się. - No to już, wie pan, w ogóle przechodzi wszelkie...

- Niech pan nie odwraca kota ogonem, Nikołaju Grigorjewiczu. - Zatoczył się lekko. - Tego nie powiedziałem. Próbowałem wytłumaczyć panu, że tej elity, o której pan marzy, nie ma skąd wziąć. Nie sposób ich do nas przyciągnąć, rozumie pan? A zresztą, jest jeszcze jedna niebagatelna kwestia: gdzie ich szkolić? Wywiadowców i śledczych należy kształcić, tylko gdzie? Czy ma pan choć niewielkie pojęcie, jakie się tu pojawiają problemy?

- O ile wiem, tylko w samej Moskwie działają trzy wyższe uczelnie

MSW. Czyżby to było za mało?

- Niestety - Zatoczny rozłożył ręce - to nie wystarczy. Przytoczę tylko jeden przykład: Moskiewski Instytut Prawa. Za mało pomieszczeń, limit przyjęć na pierwszy rok ciągle się zwiększa, instytut zmuszony jest wynajmować sale, gdzie się da, zajęcia odbywają się na trzy zmiany w czterech budynkach. A ile za tę harówkę dostają wykładowcy? Według ogólnie przyjętego przelicznika: około trzystu dolarów. I to razem z dodatkami za stopień oficerski, naukowy i wysługę lat. Proszę mi więc powiedzieć, szanowny Nikołaju Grigorjewiczu, kto w takich warunkach będzie uczyć przyszłych funkcjonariuszy milicji? Nawet jeśli w Moskwie będą nie trzy, lecz dziesięć wyższych uczelni, skąd weźmiemy wykładowców do tej morderczej pracy? I znowu mówię to wszystko nie po to, żeby wzbudzić współczucie, lecz po to, żeby pan zrozumiał, że w obecnych warunkach milicjantami są zwykli członkowie społeczeństwa, nie gorsi, ale i nie lepsi od innych. Żebyśmy mogli wybierać elitę, musiałyby stać do nas do pracy kolejka...

Nastia poczuła znudzenie. Wszystkie argumenty słyszała wiele razy, nie tylko zresztą słyszała, sama je często powtarzała.

- A jednak wszystkie te wasze kłopoty nie usprawiedliwiają przypadków łamania praw obywateli przez funkcjonariuszy milicji. Żadne problemy nie mogą tłumaczyć łamania prawa. Ludzie zwracają się do milicji ze swoimi nieszczęściami, liczą na pomoc oraz współczucie i co widzą?

- Chwileczkę. - Zatoczny uniósł dłoń. - O czym my tutaj rozmawiamy? O tym, że w milicji źle się traktuje poszkodowanych albo zwyczajnych przestępców? To, że niezbyt uprzejmie obchodzimy się z poszkodowanym i tracimy cierpliwość, nie przysparza nam chwały, ale nie ma tu mowy o łamaniu praw obywatelskich, więc może nie odbiegajmy od tematu naszej dyskusji...

Nastia poszła do kuchni i postawiła czajnik na gazie. Skoro już i tak oderwała się od pracy, przynajmniej coś przekąsi. Bez Loszki bieda, gotować dla siebie samej jej się nie chce, musi zadowalać się kanapkami

i kawą. Odkroiwszy dwa grube plastry pieczeni wieprzowej, Nastia obficie polała je keczupem, zawahała się przez chwilę, po czym wyłożyła na talerz kilka łyżek groszku konserwowego z puszki. Całkiem przyzwoita imitacja mięsa z warzywami.

Kiedy woda się zagotowała, Anastazja nalała sobie ogromny kubek mocnej kawy, postawiła go na tacy razem z pieczenią i groszkiem i ulokowała się w fotelu przed telewizorem.

- ... ferowane są bezprawne wyroki, za kratki trafiają niewinni ludzie. Piszą do mnie z kolonii karnych, a po wyjściu na wolność sami przychodzą i proszą, żeby się za nimi wstawić, ujawnić prawdę i zrehabilitować. Zakładam, że niewykryte przestępstwo może być skutkiem niewystarczających kwalifikacji śledczego i pracownika operacyjnego, ale kiedy przestępstwo, przepraszam, wyjaśnia się w ten właśnie sposób, to znaczy kosztem niewinnej osoby, to w grę może wchodzić jedynie zły zamiar. Nie ma dla tego usprawiedliwienia i nie będzie! - argumentował rozemocjonowany Potaszow.

- Może pan podać jakieś konkrety? - przerwał mu prowadzący. - Jeśli przedstawi nam pan dokumenty potwierdzające takie przypadki, zaprosimy ekspertów spośród najbardziej kompetentnych pracowników organów ścigania i w następnym programie poprosimy, żeby je skomentowali. Nasz czas antenowy, niestety, się kończy. Dziękuję wszystkim uczestnikom debaty i przypominam, że sponsorem programu jest...

Nastia wyłączyła telewizor i na powrót zatopiła się w rozmyślaniach nad raportem analitycznym, który przygotowywała dla swego szefa. Koniec roku - wszyscy mają okres sprawozdawczy, nie tylko pracownicy naukowci, tacy jak jej mąż Aleksiej Czistiakow. Dobrze, że jutro niedziela. Jeśli nic wyjątkowego się nie wydarzy, Nastia chyba zdąży dokończyć raport i w poniedziałek odda go pułkownikowi Gordiejewowi. Ale przed reprimendą na odprawie operacyjnej i tak jej to nie uchroni: zabójstwo modnego młodego pisarza Leonida Paraskiewicza ciąży Anastazji jak kamień, sprawa już od dwóch tygodni nie rusza z

miejsca.

Ponieważ w kubku zostało jeszcze nieco kawy, a wstawać z przytulnego fotela Nastia nie miała ochoty, postanowiła zatelefonować do Zatocznego.

- Iwanie Aleksiejewiczu, robi pan karierę w telewizji. - Nastia żartobliwie powitała generała.

- A niechże panią - zachnął się tamten. - Będzie się pani teraz natrzęsać. Wystarczy byle pretekst, a już sobie pani ostrzy na mnie swój język!

- No to niech mi pan nie daje powodów. A mówiąc serio, wyglądał pan na bardzo pewnego siebie, nie to, co pański oponent. Skąd on się wziął?

- Nie mam pojęcia. Przedstawiono nas sobie dopiero w studiu. Muszę pani powiedzieć, że nie jest taki znów wstrętny, jak się wydaje na pierwszy rzut oka. Maniery ma, oczywiście, okropne, ale to niegłupi facet. A przy okazji, dlaczego zrezygnowała pani ze spacerów po parku? Nie widzieliśmy się prawie dwa miesiące.

- Jest zimno, już grudzień.

- Tak nie można. Spacerować musi pani bez względu na wszystko, inaczej straci pani chęć do pracy. Jutro czekam na panią o ósmej, tam gdzie zwykle.

- Iwanie Aleksiejewiczu, to strasznie wcześnie, spać się jeszcze chce. Może przynajmniej o dziesiątej?

- O ósmej. - Generał roześmiał się. - Świat należy do tych, co wcześnie wstają. A zresztą, nie wolno zrywać z tradycją.

- No dobra. - Nastia westchnęła ciężko. - Będziemy ją podtrzymywać.

Sanatorium położone było dwadzieścia kilometrów od obwodnicy, droga była wygodna, więc Siergiej Nikołajewicz Bieriozin odwiedzał Irinę codziennie, a czasem nawet dwa razy w ciągu dnia.

Przechadzali się z wolna po zaśnieżonych alejach, od czasu do czasu pozdrawiając mijających ich kuracjuszy. Irina przebywała tu już trzy

tygodnie i zdążyła poznać wiele osób.

- W poniedziałek cię stąd zabiorę - oznajmił Bieriozin. - Dwa dni pobędziesz w domu, a w środę pójdziemy na bankiet. Jesteś gotowa?

- Boję się - cicho odrzekła Irina. - A co, jeśli mi się nie uda?

- Bądź dobrej myśli. Jesteś moją żoną, cały czas o tym pamiętaj i nie trać pewności siebie. Wtedy wszystko się uda.

- A jak coś mi się wyrwie niechcący? Przecież nie znam się na waszych sprawach.

- No i nie musisz się znać. Polityka nie jest dla kobiet, tego się trzymaj. Bądź miła, uprzejma, uśmiechaj się i nie wdawaj w dyskusje, a wszystko będzie w porządku. Przez kilka miesięcy leżałaś w klinice, później trzy tygodnie spędziłaś w sanatorium, naturalne więc, że nie orientujesz się w ostatnich wydarzeniach. I najważniejsze: nie krępuj się mówić, że czegoś nie pamiętasz. Przecież miałaś wypadek samochodowy i wstrząśnienie mózgu. To zupełnie normalne, że możesz mieć problemy z pamięcią. Przecież wszyscy są ludźmi i to rozumieją. Jeśli poczujesz, że coś jest nie tak, zacznij kręcić ci się w głowie, odszukaj mnie w tłumie. Nie bój się, Iroczko, wszystko będzie dobrze.

- Wiesz, wiele osób sądzi, że żona polityka powinna być jego partnerką i znać się na tym, co robi. Jeśli okażę się kompletną kretynką, nikt mnie po prostu nie zrozumie.

- A my oboje jesteśmy zdania, że żona powinna zabezpieczać mężowi tyły, udzielać mu moralnego wsparcia na każdym polu, być panią domu i po prostu ukochaną kobietą. Bo żaden mężczyzna nie jest w stanie poświęcić się swojej pracy, jeśli u jego boku nie stoi kochana i kochająca kobieta, której jest pewien. Czy to jasne?

- Jasne. - Irina uśmiechnęła się słabo. - A jak zaczną mnie pytać o twoją pierwszą żonę?

- Powiesz, że nic nie wiesz, że to w ogóle nie twoja sprawa.

- Ale przecież chodzą słuchy, że to przeze mnie się rozwiedliście. Jeśli zacznę akcentować wspieranie męża przez ukochaną żonę, rozmowa może zejść na nią. Co wtedy?

- Miło się uśmiechaj i odpowiadaj, że ten temat sprawia ci przykrość. Czy może być coś bardziej oczywistego? Iroczko, jeszcze raz powtarzam, jeśli sama nie będziesz się bała, wszystko pójdzie gładko. Chodźmy, odprowadzę cię do budynku, pewnie zmarzłaś.

- Tak, trochę. - Kobieta skuliła się z zimna. - Marznę w tym futrze, chyba nigdy się do niego nie przyzwyczaję. Mój kożuszek był cieplejszy.

- Co poradzić, przyzwyczajaj się. Żona polityka nie powinna chodzić w kożuchu, to nie wypada.

- Już mówiłeś, nie zapomniałam.

W milczeniu dotarli do jaskrawo oświetlonego wejścia i weszli do holu. Bieriozin delikatnie pocałował ją w policzek, zaczekał, aż za Iriną zamkną się drzwi windy, i wrócił na ulicę. Wbrew wszystkim uspokajającym słowom, które jej serwował, Siergiej Nikołajewicz denerwował się wcale nie mniej. Kto wie, czy nie bardziej. Dwie Iriny w jego życiu. Dwie Iriny. Jedna zamieniła mu życie w istne piekło, stała się jego przekleństwem. A kim okaże się druga? Kołem ratunkowym czy pułapką, w którą sam się pakuje?

Ciężko powłócząc nogami, Galina Iwanowna Paraskiewicz wracała do domu ze sklepu. Torby ze sprawunkami ciążyły jej niemiłosiernie i kobieta zachodziła teraz w głowę, po co tyle nakupowała. Pewnie z przyzwyczajenia. Przez dwadzieścia siedem lat w jej rodzinie uroczyście wyprawiano Nowy Rok, zawsze z choinką i prezentami, zapraszano przyjaciół i krewnych. Później, kiedy Lonieczka podrósł, w noworoczny wieczór przychodzili jego koledzy, potem również dziewczęta. No a kiedy się ożenił, zjawiali się również rodzice Swietoczki i jej koleżanki. Wszyscy w domu Paraskiewiczów lubili to święto. Szykowali się do niego cały rok, a później hucznie i wesoło obchodzili. A teraz Lonieczki już nie ma... Minęły dwa tygodnie, odkąd go pochowano. I po co ona taszczy do domu te wszystkie rzeczy? Jakie to teraz święto? Smutek, jeden niekończący się, beznadziejny smutek.

W grudniu wcześniej się ściemnia. Dopiero siódma, a wydaje się, jakby była noc. Galina Iwanowna skręciła w przejście pomiędzy

domami, latarnie się tam nie paliły, ale za to droga do domu była krótsza.

- Mamo - rozległ się cichy głos, jakby nie z tego świata.

Galina Iwanowna znieruchomiała, dłonie same rozluźniły uścisk, siatki upadły na śnieg.

- Lonieczka - wyszeptała. - Lonieczka, synku.

- Mamo... - Wydawało się, że głos gdzieś odpływał, robił się coraz cichszy. Ale do nikogo innego nie mógł należeć, jedynie do Leonida. - Mamo, teraz jesteś zadowolona? Teraz wszystko jest tak, jak chciałaś.

- Lonia!!! - wykrzyknęła Galina Iwanowna na cały głos i natychmiast oprzytomniała.

Jaki Lonia? Lonia jest na cmentarzu, w kolumbarium. Ale jego niewinna dusza do tej pory nie znalazła spokoju i dlatego Galinie Iwanownie się zdaje, że słyszy jego głos. Który to już raz go słyszy? Syn nigdy jej nie wybaczy, że od pierwszego dnia zapalała niechęcią do Świetłany. Chociaż udawała, że nie ma nic przeciwko synowej, chwilami nie potrafiła ukryć niezadowolenia. Lonieczka był wrażliwy i nastrój matki rozpoznawał na podstawie jednego westchnienia. Czasami rzucał jej w gniewie:

— Byłabyś szczęśliwa, gdyby Swietka nie zjawiła się w twoim domu. Dlaczego ty jej tak nie znosisz? Ale pamiętaj, że dopóki jest moją żoną, będzie przychodzić tu razem ze mną.

Miał oczywiście rację, trudno zaprzeczyć. Galina Iwanowna nie tylko nie lubiła Swietłany, ale po prostu nie mogła na nią patrzeć. I nie chodziło tu o Swietlanę jako taką, ale o to, że jest żoną jej syna. Że to ona jest teraz panią jego domu, że widzi go częściej i spędza z nim więcej czasu niż matka. I że syn myśli o niej więcej niż o matce. I tęskni za nią bardziej niż za matką. No cóż, wygląda na to, że ona go wychowywała, ubierała, karmiła, uczyła, leczyła, a wszystko po to, żeby potem ten silny, przystojny i wykształcony chłopak wpadł w ręce jakiejś tam... I przepadło, matka poszła w odstawkę. Galina Iwanowna za wszelką cenę starała się znaleźć w synowej widoczne i ukryte wady, żeby usprawiedliwić swoją nienawiść do niej. Nie rozumiała, że gdyby

dziewczyna była nawet aniołem w ludzkiej postaci, nic by to nie zmieniło. I tak by jej nie lubiła, i tak by nienawidziła i przygadywała. Jak to się mówi żartem: jakąkolwiek żonę byś sobie wybrał, już mi się ona nie podoba.

No a teraz, po śmierci Loni, Galinie Iwanownie zdaje się, że słyszy jego głos. Syn ją oskarża, nie może jej wybaczyć. Teraz, oczywiście, Świetłana nie jest już właściwie członkiem ich rodziny, mieszka oddzielnie, nie będzie ich odwiedzać. No i dobrze. Lepiej niech się więcej nie pokazuje na oczy.

Kobieta podniosła porozrzucone na śniegu siatki i powlokła się do domu.

Żeby nie zmarznąć na kość, Nastia włożyła na siebie trzy swetry - jeden cienki z wysokim kołnierzem, podobny do golfa, drugi grubszy, a trzeci całkiem luźny, z ciepłej dzianiny, długi do kolan. Owinąwszy szyję miękkim szalem, na wierzch wciągnęła kurtkę puchową i pomyślała, że może teraz uda jej się przetrwać tradycyjny spacer z Iwanem Aleksiejewiczem.

Zatoczny czekał na nią jak zwykle na peronie metra Izmajłowskaja. Niewysoki, szczupły, w kurtce narzuconej na dres i z gołą głową.

- Aż zimno się robi, jak się na pana patrzy - rzuciła z uśmiechem Nastia, dołączając do niego. - Też bym chciała nauczyć się nie marznąć. A gdzie Maksim?

- Na górze, biega po butikach i szuka prezentu na Nowy Rok dla swojej dziewczyny.

Syn generała kończył szkołę i zamierzał wstąpić do tego samego Moskiewskiego Instytutu Prawa, w którego tarapatach i problemach tak dobrze orientował się Zatoczny. Iwan Aleksiejewicz na serio zajął się przygotowaniem fizycznym Maksima, ponieważ normy stawiane przez instytut na egzaminach wstępnych były dość wyśrubowane.

Wyszli na ulicę i bez pośpiechu ruszyli w stronę parku. Niebawem dogonił ich zdyszany Maksim.

- Dzień dobry, ciociu Nastiu - rzucił w biegu i pognął do przodu.

- Dziwnie się czuję, gdy ktoś nazywa mnie ciocią - zauważyła Nastia.
- Jakbym była staruszką. Niech pański syn mówi do mnie raczej po imieniu, dobrze?

- Nie, nie zgadzam się. Jest pani osobą, z którą się przyjaźnię, a zatem stoi pani na równi ze mną. Między nim a panią dystans powinien być taki sam jak między nim a mną. Jasne?

- Jasne. - Nastia westchnęła. - Żeby sprostać pańskim pedagogicznym wymaganiom, muszę nie tylko znosić udrękę porannego wstawania, ale również dodać sobie z piętnaście lat. A tak przy okazji, Iwanie Aleksiejewiczu, chcę zadać panu pytanie, które pewnie powinnam była zadać o wiele wcześniej. Mieszka pan z synem sam?

Generał nie odzywał się przez chwilę, później spojrział Nasti prosto w oczy i odparł krótko:

- Owszem.

Niezręcznie było dalej się dopytywać, choć odpowiedzi na swoje pytanie Nastia w gruncie rzeczy nie otrzymała. Iwana Aleksiejewicza Zatocznego poznała niecały rok temu, w marcu, kiedy rozpracowywała zabójstwo popełnione w Centrum Obsługi Cudzoziemców. Jednym z podejrzanych okazał się podpułkownik Płatonow, który pracował w resorcie Zatocznego. Zaprzyjaźniła się z generałem jakoś nad podziw szybko, potem długo się głowiła, co jej się tak podoba w tym niewysokim, łysiejącym mężczyźnie aż do tego stopnia, że gotowa jest się w nim zakochać. Właśnie wtedy, wiosną, zaczęli się spotykać co drugą niedzielę w parku Izmajłowskim. Przechadzali się alejkami, rozmawiali o tym i owym albo po prostu milczeli, a Maksim albo krążył tam i z powrotem, przygotowując się do biegu przełajowego, albo podciągał się na drążku. Czasami Nastia dzwoniła do generała do domu, ale ani razu telefonu nie odebrała kobieta. Mało tego, przez tyle miesięcy znajomości Zatoczny nigdy nie wspomniał ani o matce Maksima, ani o swojej żonie, więc Nastia mogła tylko snuć domysły: czy Iwan Aleksiejewicz jest żonaty, a jeśli tak, to z kim - z matką swojego syna czy może z inną kobietą. Żonaty? Rozwiedziony? Wdowiec? Kawaler,

który zaadoptował cudze dziecko? Nigdy nie przyszło jej na myśl, żeby o to zapytać. Sądząc po zdawkowej odpowiedzi generała, sam nie miał ochoty poruszać tego tematu.

- Anastazjo, przydzielono panią może do sprawy Paraskiewicza? - zapytał Zatoczny.

- Natychmiast - potwierdziła. - Tylko nie rozumiem po co. Wydaje mi się, że w okręgu i bez nas świetnie by sobie poradzili. To nie żaden bankier czy gangster. Nie pachnie tam przestępczością zorganizowaną, którą tak pan lubi.

- Niech pani opowie trochę więcej - poprosił generał.

- Leonid Władimirowicz Paraskiewicz, lat dwadzieścia osiem, zabity przy wyjściu z windy w swoim własnym domu. Zastrzelony z pistoletu z tłumikiem. Zwłoki znalazła żona Paraskiewicza, Swietłana. Czekwała na niego, ale specjalnie się nie denerwowała, bo Paraskiewicz bawił u przyjaciela. Około pierwszej w nocy podeszła do okna, żeby zaciągnąć zasłony, i na dole, na ulicy, zobaczyła samochód męża. Stał akurat pod latarnią i był doskonale widoczny. Swietłana zauważyła, że samochód dziwnie połyskuje, po czym zorientowała się, że zdążył go już przyprószyć śnieg, co oznacza, że nie stoi tu od pięciu minut. Wybiegła z mieszkania i zobaczyła męża leżącego przy windzie. I to właściwie całe preludium. Z punktu widzenia kryminalistyki sytuacja jest całkiem kiepska.

- Dlaczego?

- Chodzi o to, że na krótko przed tragedią Paraskiewiczowie przeprowadzili się do nowego domu. Blok jest oczywiście luksusowy, ale na razie nie podłączono tam linii telefonicznej. To po pierwsze. Po drugie, w owym budynku, tak jak i w wielu innych, mieszkania, szyb windy i schody oddzielone są od siebie drzwiami. Co więcej, schody na wysokości każdego piętra mają wyjście na balkon. Po trzecie, dom, jak już wspomniałam, dopiero zaczęto zasiedlać, mieszkańcy się zupełnie nie znają i nie odróżniają sąsiada od kogoś obcego. No i niech pan sobie wyobrazi, że Swietłana Paraskiewicz wychodzi ze swojego mieszkania,

otwiera drzwi dzielące część mieszkalną od korytarza z windami i dostrzega leżącego na podłodze męża, który nie daje znaku życia. Co robi, jak pan myśli?

- Pewnie krzyczy - domyślił się Zatoczny. - Albo mdleje.

- Krzyczy - potwierdziła Nastia. - Na jej krzyk długo nikt nie reaguje, bo na tym piętrze, gdzie mieszkają Paraskiewiczowie, zajęte są tylko trzy mieszkania z dziesięciu, sąsiedzi nie zdążyli się jeszcze poznać i naturalnie umierają ze strachu. Na inne piętra krzyk nie dociera, darmo by sobie gardło zdzierać. W końcu na korytarz wyjrzał sąsiad, zobaczył leżącego Paraskiewicza oraz oszołomioną Swietłanę i zorientował się, że trzeba zadzwonić po milicję. W sumie okazało się, że to rozsądny i niegłupi facet, pomyślał nawet o tym, że Swietłana sama potrzebuje pomocy medycznej. Krótko mówiąc, puścił się pędem po piętrach i zaczął dzwonić do wszystkich mieszkań jak leci, zadając właścicielom dwa pytania: czy nie mają telefonu komórkowego i czy nie ma wśród nich lekarza. W domu, jak pan pamięta, nie ma linii telefonicznej. Lekarz na szczęście się znalazł, telefon w sieci komórkowej również, więc milicję, mimo że nie od razu, udało się wezwać. Zdaje pan sobie przecież sprawę, że kiedy o drugiej w nocy dzwoni się do czyjegoś mieszkania, musi minąć trochę czasu, zanim ktokolwiek zacznie przynajmniej rozmawiać przez drzwi, nie mówiąc już o tym, że je otworzy. W budynku jest dwadzieścia jeden pięter, Paraskiewiczowie mieszkają na drugim, a telefon znalazł się dopiero u mieszkańców na szesnastym. Niech pan policzy, jak długo nasz zaradny sąsiad krążył po domu.

- Domyślam się, czym się sprawa skończyła. - Iwan Aleksiejewicz uśmiechnął się. - Wokół ofiary i jego żony zebrał się mały tłum, który zdeptał podest, windę i balkon, więc kryminaliści nie mieli nic do roboty aż do przyjazdu grupy operacyjnej. A co ze strzałem?

- Strzał oddano z progu drzwi, które oddzielają schody od podestu z windami. Balkon wychodzi na tę samą stronę co okna mieszkania Paraskiewiczów. Widocznie zabójca stał sobie na balkoniku, palił papieroska i czekał na Leonida Władimirowicza. Kiedy zobaczył, jak ten

podjechał pod dom, zaczekał, aż wjedzie windą na swoje piętro, i nacisnął spust. Gładko, sprytnie, bez kłopotu. Wie pan, Iwanie Aleksiejewiczu, gdybym była merem, zabroniłabym zatwierdzania projektów architektonicznych bez parafki kryminalistyka. Chyba już ze dwadzieścia pięć lat buduje się w Moskwie te idiotyczne domy, w których windy, mieszkania i schody funkcjonują osobno, a na dole nikt nie mieszka. Można odnieść wrażenie, że projekty tych domów architekci opracowali specjalnie po to, żeby łatwo w nich było popełnić przestępstwo. Moi rodzice mieszkają właśnie w takim bloku, w ciągu sześciu miesięcy na ich klatce schodowej doszło do dwóch typowych zabójstw na tle rabunkowym. I nikt niczego nie słyszał, chociaż ofiary wrzeszczały jak opętane, co lekarze sądowi jednogłośnie stwierdzili na podstawie stanu ich strun głosowych. Krótko mówiąc, Iwanie Aleksiejewiczu, nikt nie słyszał, jak ktoś strzelał do Paraskiewicza, nikt zabójcy nie widział i jak to teraz bywa, nikt nic nie wie, a nawet nie podejrzewa. Według ekspertyzy lekarza sądowego śmierć Paraskiewicza nastąpiła między północą a wpół do pierwszej, co oznacza, że do czasu, zanim go znalazła żona, przynajmniej przez pół godziny leżał przy windzie martwy. Gdyby żona nie wyjrzała przypadkiem przez okno albo gdyby

Paraskiewicz zaparkował w innym miejscu, kto wie, kiedy by go znaleziono. Tak czy inaczej, zabójca miał kupę czasu, żeby się ulotnić z miejsca przestępstwa.

- Współczuję pani - bardzo poważnie rzekł generał. - Znaleźliście broń?

- A jakże - mruknęła Nastia. - Tylko głupiec zabrałby ze sobą broń, żeby ją potem schować w szafce kuchennej. Broń leżała przy zwłokach. Taki przyjemny pistolet z tłumikiem. I wszystkie numery spiłowane. To też stało się dobrą tradycją. Sprawdziliśmy w krajowym zbiorze łusek i pocisków, broń jest czysta, nieewidencjonowana.

- Kiepska sprawa - przyznał Zatoczny. - No dobrze, to dotyczy zabójstwa. A co wiadomo o poszkodowanym?

- Też niewiele. No, w sumie coś tam można wykopać. Leonid Paraskiewicz był bardzo popularnym pisarzem. Wie pan, co przyniosło mu sławę? Powieści dla kobiet. Wcale nie kryminały, fantastyka, gwiazdne wojny czy mordercze cyborgi, ale romanse dla kobiet. Książki sprzedawały się jak świeże bułeczki. Paraskiewicz zaczął pisać jakieś pięć czy sześć lat temu i natychmiast odniósł sukces. Już pierwszy romans, który panie i panny kupowały „na próbę”, naturalnie, podbił serca czytelniczek na dobre. Odtąd liczne wielbicielki pisarza wyczekiwały jego powieści, pytały o nie księgarzy, prosiły o odłożenie, jak tylko pojawi się coś nowego. Do chwili śmierci Paraskiewicz napisał dwadzieścia sześć historii romansowych. Wszystkie ukazały się w różnych wydawnictwach, w dość przyzwoitych nakładach. Niby to głupstwo, Iwanie Aleksiejewiczu, ale w związku z powyższym nurtuje mnie jedno pytanie: czy Paraskiewicz był bogaty? Bo jeśli był, to gdzie się podziały jego pieniądze? Jeśli zaś nie był, to dlaczego? Autorowi takiego formatu jak Leonid Władimirowicz wydawnictwa musiały płacić co najmniej dwieście dolarów za arkusz, a Paraskiewicz napisał i wydał ich ponad pięćset. Podkreślam, że dwieście dolarów to minimum. Tak naprawdę stawka powinna wynosić czterysta. Leonid Władimirowicz pisał niesłychanie szybko. I w ogóle był bardzo utalentowany. Mówię poważnie, Iwanie Aleksiejewiczu - dodała Nastia, zauważając, że po twarzy generała przemknął uśmieszek. - Nie próżnowałam przecież, przeczytałam kilka jego książek, losowo, dwie pierwsze, dwie sprzed dwóch lat i trzy ostatnie. Pisze rzeczywiście niezłe, bez egzaltacji, a przy tym jego znajomość duszy kobiecej jest doprawdy nadzwyczajna. Widocznie żona przez cały czas udzielała mu konsultacji. A zatem jeśli Paraskiewiczowi płacono dolną granicę przyzwoitej stawki, przez pięć lat powinien był zarobić ponad sto tysięcy dolarów. No i gdzie one są? Auto ma wysłużone, nabył je, jeszcze zanim zaczęto go tak chętnie wydawać. Mieszkanie trafiło mu się praktycznie za darmo, ponieważ do niedawna oboje z żoną zajmowali dwupokojowe, straszliwie zaniedbane i ze sto lat nieremontowane lokum, ale za to w obrębie Pierścienia

Sadowego¹. „Nowi Rosjanie” dosłownie wydarli mu owo mieszkanie, odpalając za nie tyle, że starczyło w zupełności na piękne trzypokojowe mieszkanie w nowym domu, co prawda piekielnie daleko, gdzie nawet metro jeszcze nie kursuje. Przeprowadzili się, jak już mówiłam, jakieś dziesięć dni przed zabójstwem, dopiero co zaczęli kupować nowe meble, bo do tego czasu przez pięć lat małżeństwa żyli skromnie, na wczasy zagraniczne nie jeździli, futer i brylantów nie kupowali. No więc ja się pytam: gdzie są pieniądze? Zrozpaczona wdowa na moje niedelikatne pytanie o pieniądze odparła, że mają do dyspozycji około dwudziestu tysięcy dolarów, za które zamierzali urządzić mieszkanie, a jeśli coś by im zostało, być może wymienić samochód na nowszy.

- No to gdzie są pieniądze? - z niespodziewanym zainteresowaniem zapytał generał. - Doprawdy zaintrygowała mnie pani, Anastazjo. Udało się pani czegoś dowiedzieć?

- Niestety, Iwanie Aleksiejewiczu. Jest tylko jedna hipoteza, w dodatku nie moja, należy do żony nieboszczyka, Świetłany Paraskiewicz. Według niej Leonid był osobą niebywale dobroduszną i inteligentną, nikomu nie potrafił odmówić, nikomu nie potrafił powiedzieć nie. Wszyscy wodzili go za nos, a on wszystkim wierzył, choć raczej nie tyle wierzył, ile krępował się okazać brak zaufania. Krótko mówiąc, Świetłana Paraskiewicz oświadczyła, że po sukcesie pierwszej powieści i po tym, jak druga zniknęła z półek w księgarniach w mgnieniu oka, u Leonida zjawił się stary szkolny kolega, który czerwieniąc się i blednąc z zakłopotania, wyznał, że prowadzi działalność wydawniczą, ale interes jakoś mu nie idzie. Może autorów ma kiepskich, a może go los prześladuje. Czy więc stary kumpel Lonia nie byłby tak miły i nie skrobął dla jego wydawnictwa ze dwie, trzy nowe rzeczy, żeby firma mogła choć trochę okrzepnąć i stanąć na nogi. Nowe książki Lonia, wydane w dużych nakładach spowodują, że wydawnictwo załata przynajmniej największe dziury. Tylko niech pan szanowny wybaczy, ale wysokiego honorarium nie będziemy mogli panu wypłacić, bo jesteśmy w dołku finansowym. No poratuj, zaklinam na Boga. No, co ci szkodzi,

choć jedną książeczkę, zgoda? Przecież piszesz tak szybko, nowa powieść to dla ciebie błahostka. Raz-dwa i za kilka tygodni będzie gotowa. I tak go przekonał. Paraskiewicz napisał dla przyjaciela kolejny bestseller, wydawnictwo nieźle na nim zarobiło, a honorarium dla autora wyniosło sześćset dolarów, innymi słowy: czterdzieści dolarów za arkusz. Potem znowu przybiegli z wydawnictwa, znowu wychwalali go pod niebiosa i bardzo prosili, żeby napisał coś jeszcze, to znaczy pomógł firmie stanąć mocno na nogach. I nawet podniesiono honorarium, zaproponowano całe osiemset dolarów za książkę. Leonid znów się zgodził. A dalej wszystko potoczyło się lawinowo. Te kanalie zorientowały się, że w Paraskiewiczu łatwo jest wzbudzić współczucie, zwłaszcza jeśli przyjdzie do niego osoba nie całkiem obca, ale znajoma przynajmniej z widzenia. I wszyscy po kolei zaczęli mu wciskać historyjki o swojej fatalnej sytuacji i o tym, że on, pisząc dla nich raptem jedną książkę, uszczęśliwi ich i wspomocze. A najlepiej, oczywiście, niejedną, tylko dwie albo trzy. Paraskiewicz dawał się nabierać. Nie mam pojęcia, czy rzeczywiście był aż tak łatwowierny, czy wiedział, że kłamia, w każdym razie nie umiał odmówić i sprzedawał swoją pracę za tak żałosne grosze, że aż wstyd mówić. Na dodatek wszyscy wydawcy, którzy przychodzili z podobnymi prośbami, stosowali jeden i ten sam chwyt. Mam wrażenie, że wszyscy byli w zмовie, dzielili się doświadczeniami, a także zyskami ze sprzedaży nakładów. Bo cała ta historia przypomina dobrze zorganizowaną kampanię.

- Co to za chwyt, o którym zaczęła pani mówić? - przypomniał Zatochny.

- A tak, chwyt. Otóż za każdym razem po tym, jak w kolejnym wydawnictwie książka Leonida Paraskiewicza ukazywała się po raz pierwszy, wydawca z kwaśną miną oświadczał, że nakład „się nie rozszedł”, że każde wydawnictwo ma wierną rzeszę czytelników, że ludzie, którzy czytają, znają i lubią Paraskiewicza, kupowali jego książki wydane przez innych wydawców, więc na produkcję wzmiankowanego wydawnictwa nie zwracają uwagi, bo nie spodziewają się natrafić w nim

na powieści Paraskiewicza. Wielka szkoda, ale nie udało się załatać dziury finansowej za pomocą jednej jedynej powieści znanego pisarza. Gdyby jednak napisał nową rzecz...

- A on, oczywiście, pisał.

- Oczywiście. W sumie dwadzieścia sześć książek, za które do kieszeni wpadło mu niewiele ponad dwadzieścia tysięcy dolarów.

- A pani szuka jego zabójcy wśród wydawców.

- Naturalnie - przytaknęła Nastia. - A gdzie indziej ja biedna miałabym go szukać?

- A może Paraskiewicz oprócz pisania powieści robił coś jeszcze?

- O ile wiem, to nie. Kończył już dziennikarstwo, kiedy napisał i opublikował swój pierwszy romans. A kiedy dostał dyplom, nie starał się już nigdzie o pracę, ani państwową, ani w sektorze prywatnym. Po prostu usiadł przy biurku i zajął się twórczością literacką. Interesów nie prowadził, w waszym resorcie nic na niego nie mają.

- A zazdrość i temu podobna obyczajówka? Nie chce pani tam poszukać?

- Chcę, ale brakuje mi rąk. Wie pan, Iwanie Aleksiejewiczu, moim zdaniem ten Paraskiewicz był głęboko nieszczęśliwy.

- Co, problemy z żoną?

- Raczej z matką. Widzi pan, jego matka należy do tego rodzaju osób, które uważają wszystkich wokół za głupszych od siebie. O, na przykład o swojej synowej wyraża się tak: nie byłam, mówi, zachwycona wyborem Loni, ale w końcu to nie ja miałam się z nią zenić, tylko on, więc zawsze traktowałam Swietoczkę życzliwie i całym sercem starałam się pokochać ją jak rodzoną córkę. Moje relacje z synową układały się wspaniale, bardzo szybko udało mi się przezwyciężyć niechęć do niej, liczyło się dla mnie tylko to, żeby syn był szczęśliwy. Z kolei sama Świetłana oraz liczni przyjaciele Paraskiewiczów, zarówno starsi, jak i młodszy, zgodnie twierdzą, że Galina Iwanowna tak zapamiętała nienawidziła synowej, że nawet nie potrafiła tego ukryć, choć może i próbowała. Była zaślepiona nienawiścią, która wyzierała z każdego jej słowa, spojrzenia i gestu.

Zewsząd. Tymczasem Galina Iwanowna święcie wierzy, że jest wielką aktorką, i nikt nie domyśla się jej prawdziwych uczuć. Despotyczna, nietolerująca innego zdania niż jej własne, o wszystkim za wszystkich decyduje, zawsze wie, kto jak powinien postąpić. Słowem: koszmar. Dzieci takich matek zwykle są bardzo nieszczęśliwe, nawet w dorosłym życiu. Od niemowlęctwa uczą się bezwzględnego posłuszeństwa, boją się postępować wbrew woli matki, a przy tym skrycie jej nienawidzą. Nienawiść z każdym dniem, z każdym rokiem rośnie, ale strach przed matką nie pozwala, by znalazła ujście w krzyku czy po prostu w ostrej uwadze albo w czynie. Wyobraża pan sobie, w jakim piekle żyją te nieszczęsne dzieci? Są już grubo po pięćdziesiątkę, a matki dalej je lekceważą, zaglądną im do garnków i udzielają porad, co wolno, a czego nie wolno jeść, krytycznie przyglądają się ich strojom, komentują styl i sposób ubierania się. Wtykają nos w problemy rodzinne dzieci, oceniają małżonków, dają wskazówki co do wychowania wnuków, rozkazują, szarogęszą się, podnoszą głos, pozwalają sobie na impertynencje i nietaktowne zagrania.

- Mówi pani, że matka Paraskiewiczza jest taką właśnie osobą?

- Wypisz wymaluj. - Nastia przytaknęła. - Nawet jeszcze gorszą. A żona jest bardzo miła, spodobała mi się. Moim zdaniem naprawdę kochała męża...

Swietłana Paraskiewicz przewróciła się na bok i zaczęła ostrożnie wysuwać się spod ciepłej puchowej kołdry. Starła się nie obudzić leżącego obok niej mężczyzny, ale on i tak otworzył oczy, szybkim gestem zamknął ją w ramionach i ułożył z powrotem, mocno do siebie przyciskając.

- Dokąd się wybierasz?

- Pójdę nastawić wodę.

- Tak bez całusa? Kto to widział, zostawić ukochanego mężczyznę samego w pokoju i wyjść bez jednego pocałunku?

Swietłana czule pocałowała go w usta, oczy i policzki.

- Ubóstwiam cię - wyszeptwała. - Jesteś nadzwyczajny. Najlepszy na

świecie.

- A twój nieboszczyk mąż?

Kobieta parsknęła dźwięcznym i wesołym śmiechem.

- Tylko on może się z tobą równać - oświadczyła, głaszcząc mężczyznę po ramionach i piersi. - Ale ty i tak jesteś lepszy. Wolny, a przez to silniejszy niż on. Niezależny. W odróżnieniu od niego możesz sobie pozwolić na to, żeby głowę nosić wysoko. Ty nie masz przecież takiej matki, jaką była moja teściowa.

- Nie mam też takiego talentu, jaki miał twój mąż. Kimże ja jestem w porównaniu z nim? Żalonym nauczycielem języka rosyjskiego i literatury, który zarabia grosze.

- To nieważne - cicho odparła Swietłana, obejmując go. - Jesteś mężczyzną, którego kocham. A talent nie jest ci wcale potrzebny^
Wystarczy, że ja go mam.

ROZDZIAŁ 2

Po mieszkaniu rozszedł się zapach mocnej, świeżo zmielonej i zaparzonej kawy. Siergiej Nikołajewicz Bieriozin słodko się przeciągnął pod kołdrą i z przyzwyczajenia sięgnął ręką na drugą stronę ogromnego małżeńskiego łóża. Sięgnął - i od razu oprzytomniał. Przez wszystkie miesiące, kiedy Irina przebywała w klinice i w sanatorium, wiedział, że nie ma jej w domu, więc nawet we śnie o tym nie zapominał. Ale wczoraj przywiózł ją tutaj i podświadomość wydała komendę: skoro żona znajduje się w mieszkaniu, powinna być w małżeńskiej sypialni.

Jej jednak nie ma. Nie ma i nie będzie. Irina śpi w małym pokoju na kanapie. Sama tak zdecydowała, chociaż Bieriozin proponował, by zajęła sypialnię.

Siergiej Nikołajewicz raźnie wyskoczył spod kołdry, zrobił kilka wymachów rękami, żeby pobudzić krążenie krwi, po czym wciągnął dzinsy i udał się do łazienki. Dziesięć minut później, ogolony i pachnący dobrą wodą toaletową, zjawił się w kuchni. Irina siedziała na krześle, nieładnie przygarbiona. Była nieuczesana, miała na sobie niechlujnie zapięty szlafrok i kapcie ze zdeptanymi piętami. Bieriozin skrzywił się niezadowolony, nie potrafiąc ukryć rozdrażnienia.

- Dzień dobry - rzekł powściągliwie.
- Witaj - apatycznie odparła Irina.
- Źle się czujesz? - uprzejmie zainteresował się Siergiej.
- Normalnie.

Irina wzruszyła ramionami i upiła łyk kawy. Bieriozin zauważył, że filiżanka nie pochodziła z serwisu stojącego w oszklonej szafce kuchennej, ale stanowiła część tej zbieraniny z obtłuczonymi uszkami i zadrapaniami, używanej do odmierzania, na przykład, cukru, mąki, wody

albo kaszy. Tamta Irina nigdy nie wypila by kawy z takiej filizanki.

- No to dlaczego tak wyglądasz?

- A co? Mój wygląd ci nie odpowiada? Jestem przecież w domu, a nie na przyjęciu w ambasadzie.

- Iro, nie powinnaś zapominać, że jesteś moją żoną. Zachowuj się odpowiednio, proszę.

- Ale przecież tutaj nikogo nie ma. - Ira szczerze się zdziwiła, a Bieriozin pojął, że ona rzeczywiście nie rozumie, o co ma do niej pretensje.

- Zrozum - zaczął łagodnie, nalewając sobie kawy do ładnej filizanki z cienkiej porcelany - że powinnaś się pilnować, nawet w domu. Staraj się ciągle zachowywać tak, jakby obserwowały cię dziesiątki oczu. Tylko w ten sposób zdobędziesz pewność siebie i staniesz się prawdziwą żoną polityka. Jeśli w domu będziesz się zachowywać inaczej niż poza nim, z pewnością popełnisz rażący błąd, i to publicznie. Pierwsze, co powinnaś zrobić, to przestać chodzić po domu rozmamłana i nie pić kawy z poobijanych filizanek, nawet kiedy jesteś sama.

Irina w milczeniu opuściła kuchnię i Bieriozin z przykrością stwierdził, że okazała się bardziej drażliwa, niż przypuszczał. Będzie z nią miał trzy światy. Kilka minut później Irina wróciła do kuchni w wąskiej i prostej spódnicy do kostek oraz w trykotowej bluzce z długimi rękawami zawiązywanej na brzuchu, która odsłaniała malutki skrawek jej olśniewającej skóry. Włosy miała ściągnięte do tyłu w węzeł, usta lekko pomalowane. Teraz, delikatna i elegancka, przypominała naciągniętą strunę, gotową odpowiedzieć melodyjnym dźwiękiem na umiejętnie dotknięcie.

Irina bez słowa wylała do zlewu resztkę kawy ze swojej wyszczerbionej filizanki, wyjęła nową z serwisu, nalała do niej kawy i zakładając nogę na nogę, usiadła naprzeciwko Bieriozina. Mężczyzna mimo woli zapatrzył się w jej wyprostowane plecy, długą szyję i dumnie uniesiony podbródek. Ależ jest podobna do tamtej, mój Boże, ależ podobna! To chyba jakieś czary.

- Tak dobrze? - zapytała bardzo poważnie i Bieriozin odetchnął z ulgą, że się nie obraziła.

- Wspaniale. Tylko powinnaś być bardziej naturalna. Opuść trochę głowę, bo wyglądasz niesłychanie wyniośle. Ustaliliśmy przecież, że zabezpieczasz mi tyły, przy czym jesteś uprzejma, troskliwa i czuła. A tak w ogóle, masz jeszcze coś tej długości, do samych kostek?

- Mam - odparła zdziwiona. - Dwie suknie wieczorowe, idealne na wyjście do restauracji.

- Nie nadają się. A coś mniej wyszukanego?

- Jeśli mniej wyszukanego, to tylko to, co mam na sobie. A dlaczego pytasz?

- To wyjątkowo trafne rozwiązanie - wyjaśnił Siergiej Nikołajewicz.

- Kobieta chodząca po domu w długiej sukni to scena rodem z dziewiętnastego wieku, kiedy funkcjonowało jeszcze pojęcie strażniczki ogniska domowego. Trzeba to zrobić w twoim stylu. Tak, tak - ożywił się - właśnie tak. Zawsze noś długie suknie, na każdą okazję: w domu, na przyjęciach, w teatrze, wszędzie. I koniecznie długie włosy, uczesane tak jak teraz. Elegancko i naturalnie. I co najważniejsze, bardzo ci z tym do twarzy. Musimy niezwłocznie zająć się twoją garderobą.

Beriozin chwycił słuchawkę telefonu i zaczął wykręcać numer.

- Halo! Tatiana Nikołajewna? Mówi Bieriozin. Wyjechał po mnie samochód? Bardzo dobrze. Tatiano Nikołajewno, moja żona pilnie potrzebuje krawcowej. Tak, tak. Nie, na jutro, na nasz bankiet. Nie, nie czuje się jeszcze najlepiej, nie chciałbym ciągnąć jej do centrum, teraz wszędzie są takie korki... Tak, niech przyjedzie do domu. Tak, oczywiście, bez wzorów tkanin się nie obędzie. Gotowe - powiedział wesoło, odwieszając słuchawkę - za dwie godziny przyjedzie do ciebie krawcowa. Tatiana wszystko zorganizuje. Zamówisz sobie u niej kilka kreacji, na wyjście i po domu. Domowe stroje są nawet ważniejsze. I przemyśl, w jakiej kreacji wystąpisz na jutrzejszym bankiecie. Uszyją ją w pierwszej kolejności. Ustal, jakie mają być pozostałe, wybierz do nich materiały. W ciągu tygodnia wszystko będzie gotowe.

- Sierioża... - nieśmiało odezwała się Irina. - Boję się. Będę musiała zostać z nią sam na sam? Bez ciebie?

- Naturalnie. Za dziesięć minut wyjeżdżam i wrócę dopiero wieczorem.

- No ale jak... Co mam jej powiedzieć? Przecież nie wiem...

- Ira, weź się wreszcie w garść - szorstko rzekł Bieriozin. - Nie możesz nieustannie się bać. Nie zamierzam prowadzić cię za rączkę do końca życia, musisz się nauczyć samodzielności. Za pierwszym razem popełniłem błąd, żeniąc się z panną z dobrego domu, ponieważ owa panna okazała się dziwką. Teraz wziąłem sobie za żonę ciebie - w tym miejscu zrobił znaczącą pauzę, z satysfakcją odnotowując, że delikatna twarz Iriny oblewa się rumieńcem - i mam wielką nadzieję, że uda ci się stać panną z dobrego domu.

Irina gwałtownie poderwała się i odwróciła do okna, nie odpowiadając na jego przytyk. Siergiej Nikołajewicz dopił kawę i prędko się ubrał. Stał już w przedpokoju, gdy zauważył, że Irina wciąż tkwi przy oknie w kuchni. Zrobiło mu się nieswojo, nie chciał wychodzić z domu z ciężkim sercem, zostawiając w mieszkaniu obrażoną kobietę.

- Idę, Iro. Życz mi szczęścia. Czeka mnie trudny dzień.

Irina odwróciła się wolno. Wyraz wstydu i oburzenia już zniknął z jej twarzy, która znowu była lekko zarumieniona i bardzo łagodna.

- Życzę ci, mój drogi, żebyś nie zapominał, w jakich okolicznościach się poznaliśmy. Niewykluczone, że to ja zyskałam na tej znajomości, choć na razie trudno powiedzieć. Ale pomysł był twój i krew jest na twoich, nie na moich rękach. Przed chwilą przypomniałeś mi, że zanim cię poznałam, byłam prostytutką. Teraz ja ci przypominam, kim jesteś.

- Iro, chyba nie warto... - zaczął Bieriozin, ale kobieta przerwała mu:

- Obiecuję, że nauczę się, jak być odpowiednią żoną polityka. Ale nigdy nie będę żoną mordercy.

Irina przecięła kuchnię, minęła Siergieja Nikołajewicza i zniknęła w malutkim pokoju, z wściekłością trzasnąwszy drzwiami.

Spośród wszystkich budynków kolonii karnej skrzydło

administracyjne wyróżniało się tylko tym, że znajdowało się „na wolności”, a nie za ogrodzeniem i drutami. Wewnątrz panował ten sam przenikający wszystko zapach przepoconych butów i niemytych ciał, ściany pomalowane były farbą olejną o ponurej barwie i w ogóle cała atmosfera nie przypominała urzędu, ale właśnie więzienie.

Natalia siedziała na korytarzu, czekając cierpliwie w kolejce takich samych jak ona osób, które przyjechały na widzenie albo przywiozły paczki: poczta działa teraz tak fatalnie, że paczka albo wcale nie dochodzi, albo zostaje okradziona po drodze. Pół biedy, jeśli nie dojdzie, wówczas można wysłać nową. Jeśli jednak dotrze na wpół opróżniona, to przyjmuje się, że skazany paczkę otrzymał i przez najbliższe pół roku druga już mu nie przysługuje. Wiele osób zaczęło przywozić paczki osobiście albo wysyła je przez okazję, tak jest pewniej.

Natalia przyjechała na widzenie po raz pierwszy od chwili, gdy Jewgienij trafił do kolonii. Tak dawno go nie widziała, że bała się nawet pomyśleć, jak się zmienił. Na podstawie opowieści znajomych oraz książek i filmów stworzyła już sobie jakiś obraz tego, czym jest życie w kolonii karnej, i spodziewała się, że zobaczy Jewgienija przygaszonego, z twarzą pokrytą przedwczesnymi zmarszczkami, ze szerniałymi zębami i trzęsącymi się rękami.

W końcu nadeszła jej kolej. Natalia obejrzała się na siedzące smutno kobiety (z jakiegoś powodu mężczyzn tu nie było, widocznie na widzenia przyjeżdżały tylko matki i żony, a ojcowie i synowie woleli inne rozrywki), niepostrzeżenie się przeżegnała i pchnęła drewniane drzwi gabinetu.

- Ja do skazanego Jewgienija Michajłowicza Dosiukowa, artykuł sto trzeci, wyrok osiem lat.

- Żona? - nie podnosząc głowy, zapytał pochmurny kapitan w zielonym mundurze oficera służby wewnętrznej. - Dokumenty proszę.

- Proszę. - Natalia pospiesznie podała swój dowód, zupełnie nowiutki, który otrzymała zaledwie dwa miesiące temu, kiedy zmieniała nazwisko.

Kapitan starannie przekartkował dowód od pierwszej do ostatniej strony, po czym uniósł głowę i wbił w nią pełen ciekawości wzrok.

- Jest tu adnotacja o zawarciu małżeństwa. Pobraliście się pół roku temu?

- Zgadza się.

- W tym czasie przeciwko Dosiukowowi toczyło się śledztwo? - uściślił kapitan.

- Tak.

- To znaczy, że pani dobrowolnie zgodziła się zostać żoną zabójcy? Ciekawe czemu? Aprobuje pani jego czyn?

- Nie, źle pan to odbiera - pospiesznie odezwała się Natalia. - Jestem przecież normalnym człowiekiem, jak mogę aprobować zabójstwo? Chciałam po prostu, żeby Jewgienij, odbywając karę, wiedział, że czekam na niego, że jest mi potrzebny, że musi sobie z tym wszystkim poradzić... On przecież nie ma nikogo, kto przyjeżdżałby do niego na widzenia, wysyłał mu paczki. Jego matka jest całkiem stara i prawie nie widzi, praktycznie nie wychodzi z domu. Ojciec umarł dawno temu. Żenią jest jedynakiem, nie ma ani braci, ani sióstr. Gdybyśmy się nie pobrali, nie mogłabym się z nim widywać. No dobrze, jest zabójcą, ale przecież powinien mieć kogoś, komu wierzy i na kogo może liczyć.

- Powiedziała pani teraz ciekawą rzecz - zauważył kapitan. - Powiedziała pani: dobrze, jest zabójcą. A więc uważa pani, że dopuścił się zbrodni?

- Nie rozumiem - powiedziała Natalia, z trudem poruszając zaschniętymi nagle ustami.

- Chodzi mi o to, że pani mąż ostatecznie nie przyznał się do zabójstwa ani podczas śledztwa, ani na rozprawie. Do tej pory nie uważa się za winnego. Właśnie dlatego zapytałem: a jak pani sądzi? Czy pani również wierzy, że jest niewinny?

- Ja... - Natalia stropiła się. - Ja nie wiem. Przysięgam, że nie wiem. Żenią nie jest taką osobą, która mogłaby kogoś zabić... Ale przecież dusza drugiego człowieka to zagadka, za nikogo nie można ręczyć, nawet

za siebie. Nie, nie mam pojęcia. Ale wiem, na czym polega mój obowiązek. Jeśli państwo uznało za konieczne wymierzyć mi za coś karę, to moim obowiązkiem jest pomóc mu przetrwać to z godnością, żeby nie stracił ludzkiego oblicza, uświadomił sobie swój błąd, zrozumiał grzech, jeśli jednak go popełnił, żeby wyraził skruchę i obiecał poprawę.

- Jest pani wierząca?

- Jak by to panu powiedzieć... - Natalia uśmiechnęła się po raz pierwszy od chwili, gdy weszła do tego gabinetu.

- Kiedy Żenię aresztowano, zaczęłam chodzić do cerkwi po prostu dlatego, że bardzo chciałam mu jakoś pomóc, a nie wiedziałam jak. Poznałam duchownego, który powiedział mi, że skoro przeżyłam u boku Żeni tyle lat i nie potrafiłam odwieść go od grzechu, to teraz moim obowiązkiem jest uczynić wszystko, żeby pomóc mu zmyć z siebie winę i zmienić się na lepsze.

Kapitan otworzył szafę ogniotrwałą, w której znajdowały się skrzynki z kartotekami. Wyciągnął jedną z nich, długo wertował karty, w końcu wybrał jedną i uważnie przestudiował.

- Przysługuje pani krótkie widzenie, trzy godziny.

- Tak mało? - Natalia z rozpaczą załamała ręce. - A mówiono mi...

- Mówiono pani o długim - oschle przerwał jej kapitan - trzydobowym. Na to na razie za wcześnie, nie nadszedł jeszcze odpowiedni moment.

- A kiedy nadejdzie?

- Za trzy miesiące, nie wcześniej, a i to uzależnione jest od tego, jak pani mąż będzie się sprawował. Jeśli naruszy regulamin, to w ramach kary może być pozbawiony paczki albo widzenia.

- A on narusza regulamin? - zapytała z lękiem.

- Na razie nie, ale kiedyś musi być ten pierwszy raz - filozoficznie zauważył kapitan.

Zdjął słuchawkę telefonu z aparatu bez tarczy.

- Oddział numer siedem, Jewgienij Michajłowicz Dosiukow, sto

trzeci, osiem lat. Na krótkie.

Wysłuchał odpowiedzi i znowu odwrócił się do Natalii, po czym znużonym głosem wyjaśnił jej, dokąd ma się teraz udać, co powiedzieć i jaki dokument okazać.

- Tam pani powiedzą, ale na wszelki wypadek zapowiadam z góry: pieniądze, kłujące i ostre przedmioty, napoje alkoholowe, papierosy z filtrem...

Natalia na chwilę przymknęła oczy i wyłączyła się. Całą dobę spędziła w wagonie bez przedziałów, gdzie hulał wiatr, nawet nocą nie gaszono światła i ciągle ktoś przeciskał się obok niej. W ogóle nie zmrużyła oka, czuła przejmujące zimno i strach. A teraz w tym obskurnym, cuchnącym, ale przyjemnie ciepłym gabinecie zmorzył ją sen. O tym, czego nie wolno przynosić ze sobą na widzenie, wiedziała i tak od czasu, kiedy przysłała do izolatki więziennej, żeby podpisać akt małżeństwa.

- Obywatelko! - Natalia usłyszała głos nad samym uchem. - Obywatelko Dosiukowa!

- Oj, przepraszam. - Kobieta uśmiechnęła się zmieszana, poprawiła czapkę, szalik i wstała. - Cała noc w pociągu. Dziękuję panu. Do widzenia.

- Do widzenia. Pani mąż jest teraz w pracy, kończy zmianę o osiemnastej zero zero, wtedy się spotkacie.

- Dziękuję panu - powtórzyła Natalia, chwytając za klamkę.

Do szóstej wieczorem miała jeszcze mnóstwo czasu i musiała coś ze sobą zrobić. Opuściła budynek administracyjny kolonii i powlokła się na peron podmiejskiego pociągu elektrycznego. Chyba wróci do miasta, a przed szóstą znowu tutaj przyjedzie. Natalia prędko przebiegła wzrokiem po wiszącym na peronie rozkładzie - pociągi jeżdżą co pół godziny, a więc na pewno będzie mogła wrócić na czas. Droga do miasta zajmie około czterdziestu minut.

W pociągu było brudno i zimno, wagonów nie ogrzewano, ale Natalia dzielnie znosiła niewygody, wiedząc, że i tak nie ma wyjścia.

Można pomyśleć, że zaproponowano jej odpoczynek w ciepłym pokoju hotelowym z miękkim i czystym łóżkiem. Gdyby nie wsiadła do pociągu, włóczyłaby się teraz po osiedlu wokół kolonii albo siedziałaby na korytarzu budynku administracyjnego, pogrążona w atmosferze smutku, cierpienia, łez i rozpacz. I jedno, i drugie niewiele ma wspólnego ze szczęściem.

Po wyjściu z dworca położonego w samym centrum dużego przemysłowego miasta Natalia Dosiukowa postanowiła przede wszystkim coś zjeść. Energicznym ruchem zarzuciła na ramię pasek dużej torby podróżnej, w której były tylko produkty spożywcze i ciepłe rzeczy dla Żeni, i rażnym krokiem ruszyła szeroką aleją, przypatrując się wystawom i reklamom, szukając wzrokiem tego, czego potrzebowała. Jej uwagę przyciągnęła niewielka knajpka w piwniczce. Natalia wiedziała, że właśnie takie małe lokale w suterrenach bardzo często okazują się najbardziej wytworne, mają wspaniałą kuchnię i pierwszorzędną obsługę.

Ledwie uchyliła drzwi, przekonała się, że jej przypuszczenia były słuszne. Natychmiast podbiegł do niej mężczyzna w średnim wieku w idealnie odprasowanych spodniach, czarnej kamizelce, spod której wystawała śnieżnobiała koszula, oraz w muszce.

- Dzień dobry - odezwał się głębokim głosem. - Witamy. Życzy pani sobie zjeść obiad czy tylko coś przekąsić?

- Zjeść obiad - zdecydowanie odparła Natalia, wielkopańskim gestem zrzucając mu na ręce ciężką torbę, jakby to było futro z niebieskiego lisa.

- Smacznie, do syta i z dobrą obsługą. To możliwe?

- Wszystko jest możliwe, jeśli życzy sobie tego piękna kobieta. - Portier, który, sądząc po muskulaturze, był również ochroniarzem, błysnął zębami. - Jestem.gewien, że będzie pani zadowolona. Proszę dać mi swoją kurtkę i czapkę. Pani pozwoli za mną.

Natalia obejrzała się w lustrze od stóp do głów. No, wygląda jeszcze całkiem, całkiem. Na podróż do kolonii karnej ubrała się oczywiście skromnie. Wiedziała, że będzie musiała spędzić noc w zimnym wagonie, później rozmawiać z kierownikiem kolonii, a jeszcze później spotkać się

z Żenią. Ubierać się w drogie szmatki byłoby głupio i niestosownie, lepiej włożyć rzeczy, które się nie gnioτά i nie brudzą. Czarne dzinsy i czarny ciepły sweter z angory - oto najbardziej odpowiedni strój na taką podróż. No bo rzeczywiście nie wybrała się przecież na bal, tylko na widzenie z bądź co bądź skazanym zabójcą. Futra też nie chciała wkładać, mimo że w pociągu, och, cudownie byłoby się nim przykryć. Ale nic z tego, futro jest drogie, piękne, do kostek. Jak mogłaby w takim futrze spotkać się z Żenią? Niepotrzebnie mu przypominać, jakie życie zostawił za drutami? Słusznie zrobiła, że włożyła długą, ciemnozieloną kurtkę z fioletowymi i bordowymi dodatkami. Te kolory były modne podczas ostatnich zimowych igrzysk dwa lata temu. Właśnie wtedy Natalia kupiła tę kurtkę, ciepłą i niemarkową, specjalnie po to, żeby pójść w niej na bazar albo pojechać na daczę.

Natalia stała przed lustrem, cała w czerni, i z satysfakcją kontemplowała piękne duże piersi, okrągłe biodra i szczupłą talię. Nigdy nie była chuda, biust i pośladki zawsze dawały się zauważyć i przyciągały wzrok mężczyzn, ale za to jej talia była nad podziw szczupła i Natalia nie ustawała w wysiłkach, żeby nie poszerzyła się o niepotrzebne centymetry. Twarz miała wyrazistą, oczy ciemne, a brwi gęste i ładnie zarysowane. No, no, całkiem nieźle, nawet więcej niż nieźle, pomyślała, poprawiając włosy.

Weszła do sali władczyim krokiem, typowym dla pięknych i pewnych siebie kobiet, i nie rozglądając się na boki, skierowała się w stronę wolnego stolika. Gości w sali było sporo, widocznie knajpka już miała wyrobioną reputację i stałą klientelę. Ledwie Natalia zdążyła usiąść przy stoliku i otworzyć leżącą przed nią kartę win, podbiegł do niej kelner.

- Dzień dobry, miło mi panią powitać w naszej restauracji. Proszę wybaczyć, ale wydaje mi się, że będzie pani wygodniej przy tamtym stoliku.

To mówiąc, kelner lekko się obrócił i wskazał ręką stolik na drugim końcu sali. Tamten stolik był przy oknie, a ten przy ścianie, niedaleko rozpalonego kominka.

- Dlaczego uważa pan, że tam będzie mi lepiej? - wyniośle zapytała Natalia.

- Stolik przy oknie z zasady uważa się za lepszy - z olśniewającym uśmiechem wyjaśnił kelner.

- Zmarzłam - gniewnie odparła Natalia - i chcę zostać tutaj, bliżej ognia. Od okna na pewno wieje. Koniec tematu, młody człowieku, proszę mi przynieść kawę i menu.

Na twarzy kelnera pojawił się wyraz takiej konsternacji, że Natalię ogarnął śmiech. Widocznie zajęła zarezerwowany przez kogoś stolik i biedak będzie sobie teraz łamał głowę, jak się wywinąć, jeśli jego klient zjawi się, zanim ona stąd wyjdzie. Ale ona nie wyjdzie stąd jeszcze długo, na dworcu musi być o piątej, a teraz jest dopiero wpół do drugiej.

- Jaką kawę pani sobie życzy? Nescafé, Pellini, Jacobs, espresso, cappuccino, po turecku?

- Espresso. I szklankę mineralnej bez gazu. Proszę także zawołać kierownika sali.

Pół minuty później stanął przed nią elegancki *maître d'hôtel* w smokingu i z menu w rękach. Zza jego pleców nieśmiało wзираł kelner z tacą, na której dymiła kawa i lśniła szklanka z wodą mineralną.

- Słucham panią - wyniośle oznajmił kierownik nadzwyczaj wysokim tenorem.

- Zdaje się, że zajęłam czyjś stolik - powiedziała Natalia, otwierając menu i zabierając się do czytania. - Proszę się nie obawiać, nie wejdzie mi to w nałóg, jestem przejazdem, dziś wieczorem nie będzie mnie już w waszym mieście. Ale nie chcę się nigdzie przesiadać, okropnie zmarzłam i wolę siedzieć blisko kominka. Jeśli zjawi się osoba, która zwykle tu siedzi, proszę pozwolić, żebym sama ją przeprosiła. Mam nadzieję, że nie będzie miała do mnie pretensji. To tyle. Teraz zamówienie. Koktajl z krewetek - ciągnęła bez przerwy, nadal nie patrząc ani na *maître d'hôtel*, ani na kelnera, w ogóle nie interesując się, czyjej słuchają, czy notują zamówienie i czyjej wyjaśnienie im wystarcza. - Szaszłyk z jesiota, frytki, marynowane buraczki, bez cebuli i ogórków. Deser Mirabella,

podwójna kawa Jacobs i jeszcze jedna szklanka mineralnej bez gazu, koniecznie z lodem. Mniej więcej pół godziny po deserze i kawie proszę podać jeszcze jedną kawę espresso. Tylko niech się pan nie pomyli.

Natalia już dawno podzieliła całą ludzkość na klasę panów, służących i dynamiczną grupę, która w ostatecznym rozrachunku dzieli się na tych, co są w bliskich stosunkach z klasą panów, oraz tych, co stają się służącymi. Żenią zawsze był typem pana, od urodzenia. Panował nad swoimi rodzicami, kobietami, partnerami w biznesie i swoimi pieniędzmi. Ona, Natalia, przez dwadzieścia trzy lata szarpała się w cuchnącej amorficznej gromadzie, dopóki nie znalazła Żeni i nie zaczęła powoli się do niego zbliżać. Cztery lata spędzili razem, nim się w końcu pobrali. Teraz ona również należy do klasy panów i nie będzie zaszczycać służących swoim spojrzeniem.

Kelner dziwnie napiętym głosem powtórzył zamówienie, zaglądając do swego notesu. Natalia wysłuchała go, po czym odesłała władcym skinieniem. Sztuczek w stylu tej z trzema filiżankami kawy różnego gatunku nauczyła się od Żeni.

- Jeśli chcesz wiedzieć, do jakiej restauracji trafiłaś, wcale nie musisz próbować wszystkich dań. Wystarczy, że złożysz jedno skomplikowane zamówienie, a od razu będziesz wiedziała, czy panuje tu dyscyplina i kto jest zatrudniony: ofermy i tępi głupcy czy osoby kompetentne. Wystarczy ustalić, jacy są kelnerzy, żeby się zorientować, jaką mają kuchnię, ponieważ sposób doboru kadry jest jeden. Albo właściwy, albo nie. I jeśli kelnerzy zostali wybrani ze znajomością rzeczy, to i kucharze w restauracji są dobrzy, bo złych pracowników w takim lokalu się nie trzyma.

Kiedy Natalia przychodziła do restauracji bez Żeni, zawsze składała takie „skomplikowane” zamówienia, nawet jeśli restaurację znała i nie było potrzeby jej sprawdzać. Natalii podobała się ta gra, lubiła poczucie przynależności do klasy panów.

Kończyła już koktajl z krewetek i sięgała po filiżankę, żeby dopić stygnącą kawę numer jeden, gdy zauważyła coś ciemnego na białym

wykrochmalonym obrusie. W pierwszej chwili nie skojarzyła, co to takiego. Sekundę później połąpała się jednak, że to nic innego jak ręka należąca do czarnoskórego mężczyzny. Podniosła oczy znad talerza i czarująco się uśmiechnęła.

- Zajęłam pański stolik? Bardzo przepraszam, ale na ulicy jest tak zimno, okropnie zmarzłam, a tutaj przy kominku... Jeśli pan chce, to się przesiądę.

Wiedziała, że mężczyzna nie będzie chciał. Nikt by nie chciał. Nie urodził się jeszcze taki mężczyzna, który potrafiłby ją przepędzić od swego stołu.

- *The table was not reserved, it was the case of habit* - odparł mężczyzna i zaraz przeszedł na rosyjski: - Może jednak pozwoli mi pani usiąść tam gdzie zwykle? Czy raczej woli pani zjeść obiad w samotności?

- Będzie mi przyjemnie, jeśli dotrzyma mi pan towarzystwa.

Natalia zauważyła, że mężczyzna mówił po rosyjsku płynnie i poprawnie, ale z silnym miękkim akcentem. Niezle знаła angielski i zrozumiała jedyne zdanie, którego nie wypowiedział po rosyjsku: „Stolik nie był zarezerwowany, po prostu do niego przywykłem”.

- Codziennie jada pan tu obiady? - zapytała.

- Tak, prawie każdego dnia - odparł czarnoskóry. - A pani jest tu po raz pierwszy?

- I mam nadzieję, że ostatni. Dzisiaj wyjeżdżam do domu, przyjechałam na jeden dzień, w interesach. A pan tu pracuje?

- Tak, jestem dziennikarzem. Nasza gazeta przysłała do Rosji dużą grupę dziennikarzy, żeby relacjonowali przebieg i wyniki wyborów. Nasz kraj bardzo się interesuje waszymi wyborami.

- Od dawna pan tu bawi?

- Prawie miesiąc.

- I nie sprzykrzyło się panu? - Natalia uśmiechnęła się. - Pewnie nie może się pan doczekać powrotu do domu?

- Oczywiście. Już niedługo wyjeżdżam, za dwa tygodnie będę w

domu.

- Żona, dzieci, tak?

- Owszem, pięcioro.

- Pięcioro! - Natalia jęknęła z zachwytu. - Bohater z pana!

- Jaki znowu bohater! - Dziennikarz roześmiał się. - Rodzi je moja żona, to jej zasługa.

- Dlaczego pan nic nie zamawia?

- Znają tu moje upodobania. Zawsze biorę to samo, więc nikt już nie pyta. Jeśli nic szczególnego nie zamawiam, wiedzą, że mają podawać to co zwykle. Mam na imię Gerald. A pani?

- Natalia. Natalie, tak będzie prościej.

Mężczyzna wyciągnął do niej rękę. Dotyk jego aksamitnej skóry poraził ją. Od prawie roku nie miała mężczyzny, od dnia, kiedy aresztowano Żenię. Ten rok dostarczył jej tyle zmartwień, trosk i kłopotów, że po prostu nie było kiedy pomyśleć o seksie. Lecz teraz Natalia nagle pomyślała. Że też tak nie w porę. W dole brzucha poczuła ciężar, pojawił się tępy ból.

- Czym się pani zajmuje, Natalie? Prowadzi pani swój biznes?

- Skądże. - Natalia roześmiała się sztucznie, mając w duchu nadzieję, że jej oczy nie zaczęły błyszczeć pożądaniem. - Nie nadaję się do tego, żeby samodzielnie prowadzić biznes. Jestem na utrzymaniu męża.

- Ma pani dzieci?

- Nie. Ale wierzę, że będę miała.

Kelner przyniósł jej kawę z deserem Mirabella, a Geraldowi ogromny befsztyk.

- Była już pani w tym mieście? - zapytał dziennikarz.

- Nie, przyjechałam po raz pierwszy.

- Ma pani tutaj przyjaciół czy interesy?

- Raczej interesy - rzuciła z uśmiechem.

- Ale jest tutaj ktoś, kto by się panią zajął? To znaczy pokazałby pani miasto, zabytki, muzea. Są tutaj bardzo ładne miejsca i wspaniałe muzea, proszę mi wierzyć. Przez miesiąc poznałem całe miasto od a do z.

- Nie, nikt się mną nie zajmuje, ale wcale mnie to nie martwi. Nie pozałatwiałam jeszcze swoich spraw. Niebawem jednak je pozamykam i późną nocą pojadę z powrotem do Moskwy. Nie mam więc czasu na rozrywki. Ochoty też nie, szczerze mówiąc. Nie jestem w nastroju.

- Jakież problemy, Natalie?

O Boże, przestraszyła się Natalia, a jednak się wygadałam, dałam się ponieść emocjom. Nie ma co się oszukiwać, ogarnął mnie kiepski nastrój nie dlatego, że mąż odsiaduje wyrok, ale dlatego, że pragnę tego czarnoskórego mężczyzny do szaleństwa, aż dostaję dreszczy i zaraz wpadnę w histerię. Do licha, ależ on mi się podoba!

- Skądże znowu, Geraldzie, żadnych problemów, jestem wyjątkowo szczęśliwą osobą. Po prostu to miasto wydaje mi się niesympatyczne, nieżyczliwe i zimne, nie podoba mi się tutaj i chcę jak najprędzej wyjechać.

Natalia umilkła i zaczęła dłużyć łyżeczką w różowej galaretkie ozdobionej niebieskimi i zielonymi kwiatkami z kremu. Kiedy znowu podniosła oczy, z twarzy dziennikarza wyczytała, że wszystko zrozumiał. Na ustach igrał mu uśmiech, miękki i zapraszający, a zarazem odrobinę ironiczny. Biała Rosjanka zapragnęła czarnego mężczyzny. Zwyczajny głód seksualny plus pociąg do egzotyki. Właściwie czemu nie? Tym bardziej że dzisiaj nocą Natalia wyjedzie. Zero problemów.

Za pięć szóstą Natalia Dosiukowa znowu stała przed budynkiem administracyjnym kolonii, w której jej mąż odbywał karę za umyślne zabójstwo. Po żelaznych objęciach Geralda bolało ją całe ciało i wydawało się jednym siniakiem. Kochali się w jego pokoju hotelowym, nie marnując czasu na słowa i obietnice. Mieli około półtorej godziny i spędzili ją w namiętym milczeniu, przerywanym jedynie ich ciężkimi oddechami i sporadycznymi jękami. O wpół do piątej Natalia wyskoczyła z łóżka, wpadła na kilka minut do łazienki, ubrała się i pomknęła na dworzec. Gerald nie zadawał jej żadnych pytań, po co i dokąd musi jechać pociągiem podmiejskim, ale już przy samych drzwiach, kiedy Natalia wychodziła z pokoju, zaproponował:

- Jeśli przed odjazdem do Moskwy zostanie ci trochę czasu, wiesz, gdzie mnie znaleźć. Chętnie cię znowu zobaczę.

Natalia tylko skinęła głową, w głębi duszy zupełnie przekonana, że na pewno przybiegnie do niego wieczorem, kiedy wróci do miasta z osiedla o dziwnej nazwie Kirkombinat. Wymyślając sobie od lubieżnych dziwek, Natalia jechała pociągiem i szacowała, kiedy może się skończyć trzygodzinne widzenie z Żenią. Na peronie zatrzymała się przy rozkładzie i sprawdziła, jak kursują pociągi do miasta po dwudziestej drugiej...

W końcu zaprowadzono ją do wąskiego i obskurnego pokoju widzeń, który wypełniony był, jak się Natalii zdawało, płaczem i cierpieniem tysięcy matek i żon. Z zamierającym sercem przysłuchiwała się krokom za drzwiami. Zamiast swego męża spodziewała się zobaczyć złamanego chorobami starca ze szerniałymi od czifiru² zębami. Żeby zająć czymś drżące ręce, zaczęła wykladać z torby rzeczy i starannie układać je na stole, ciepłe ubrania ułożyła w stosik na krześle. Wreszcie drzwi się otworzyły.

To był on, ciągle ten sam Jewgienij Dosiukow. Przez chwilę Natalia miała wrażenie, że gra w jakimś absurdalnym spektaklu, w którym Żenią na potrzeby roli musiał ogolić głowę oraz włożyć czarne robocze ubranie i czarny waciak. Ale to tylko na czas spektaklu, za chwilę wszystko zdejmie, ubierze się w swój zwykły garnitur z drogiego sklepu i zawiezie ją, Natalię, na kolację do restauracji.

Jewgienij jak dawniej dumnie trzymał głowę, jak dawniej patrzył na nią łagodnie, z lekką kpina, oczy miał wciąż jasne, a zęby białe i równe. Jedyne, co go różniło od dawnego Żeni, to głód i zwierzęcy apetyt. Ani razu przez cztery lata, które spędzili razem, Natalia nie widziała, żeby tak bez umiaru się opychał.

Cierpliwie czekała, póki mąż się nie naje.

- Jak się czujesz, kochanie? - zapytała. - Bardzo ci tu źle?

Jewgienij spojrzał na nią zdziwiony.

- A komu tu może być dobrze? Oczywiście, że jest mi źle. Ale nie

zamierzam czekać ośmiu lat, aż wymiar sprawiedliwości się opamięta. Będę walczył o swoją wolność i udowodnię, że jestem niewinny. I bardzo liczę na twoją pomoc. Pieniądze na szczęście mamy, więc wynajmij najlepszych adwokatów, niech piszą skargi, angażują dziennikarzy, zwracają się do Komisji Praw Człowieka. Nie zamierzam tu siedzieć za przestępstwo, którego nie popełniłem.

Po jej twarzy przebiegł cień, co nie umknęło uwadze Jewgienija.

- Czyżbyś mi nie wierzyła? Myślisz, że zabiłem Borisa? No powiedz to, powiedz mi, że uważasz mnie za zabójcę, a przestanę ci się narzucać ze swoimi prośbami. Jakoś sobie poradzę.

W tym momencie był tak podobny do dawnego Żeni, porywczego, surowego, osiagającego sukcesy i bezwzględnego, że Natalii zaczęło się zdawać, iż traci rozum. A może nic się nie stało? Może wszystko jej się przyśniło: i areszt, i śledztwo, i rozprawa, a nawet dzisiejszy dzień?

- Coś ty, Żenieczka, przecież ci wierzę. Gdybym sądziła, że jesteś zabójcą, nie wysłałabym za ciebie, kiedy toczyło się przeciwko tobie śledztwo. A zrobiłam to, bo wierzyłam w twoją niewinność. Chciałam, żeby wszyscy dokoła wiedzieli, że nie uważam cię za przestępcę. I że zrobię wszystko co trzeba, żeby cię uniewinniono.

Trzy godziny ciągnęły się nieznośnie długo, rozmowa nie kleiła się i Natalia musiała szukać tematów, one jednak nie wiedzieć czemu prędko się wyczerpywały...

- Jak twoje zdrowie? - zapytała troskliwie.

- W porządku, gimnastykuję się, utrzymuję formę. Nie martw się, nie zajmuję się bzdurami.

- Czifiru* nie pijesz?

**Czifir* (ros.) - działająca jak narkotyk bardzo mocna czarna herbata, którą piją więźniowie (przyp. tłum.).

- Nie jestem durniem - rzucił z uśmiechem. - Za daleko w życiu zaszedłem.

- Nie robią ci tu krzywdy? Wiesz, opowiadano mi, że w koloniach jest podział na pachanów*, muzyków, płotki, pokrzywdzonych, w sumie

cała hierarchia. A jeśli ktoś, nie daj Boże, narazi się pachanowi, w ogóle nie ma wtedy życia, może je nawet stracić. Czy to prawda, Żenią? Tak się o ciebie boję.

**Pachan* (ros.) - przywódca najwyższej kasty w łagrze (przyp. tłum.).

- Prawda, Nata, prawda, ale nie martw się o mnie. Najważniejsze w życiu są pieniądze. Ten, kto je ma, jest pachanem. Ja mam dużo pieniędzy, nie tylko w Moskwie, ale i w całej Rosji, nawet za granicą. To żaden sekret, pieniądze są legalne i nie podlegają konfiskacie. Dlatego nikt mnie nie skrzywdzi. Mamę odwiedzasz?

- Oczywiście, Żenieczka, wpadam do niej co tydzień i codziennie dzwonię. Nie martw się o nią, u niej wszystko w porządku, tylko bardzo się niepokoi o ciebie.

- Powiedz mi, czy tam, w Moskwie, wszyscy uwierzyli, że to właśnie ja zabiłem Borisa? Nie znalazła się chociaż jedna osoba, która miałaby wątpliwości?

- Nie, Żenieczka, nikt oprócz mnie nie wierzy, że tego nie zrobiłeś. Sam pomyśl, przecież wszyscy cię widzieli. Nawet Boris przed śmiercią powiedział, że to ty do niego strzelałeś. Na twoim ubraniu znaleziono ślady prochu, a na pistolecie mikrocząsteczki twoich wełnianych rękawiczek, w których zwykle pracujesz w garażu. Śledczy pokazał mi przecież wszystkie dokumenty. Jak tu nie uwierzyć? Ja też bym uwierzyła, gdybym cię tak mocno nie kochała. Zrozum, Żenią, nie wierzę w twoją winę nie dlatego, że dowody są słabe, ale jedynie dlatego, że nie chcę wierzyć. Bo dowody rzeczywiście...

- Jasne - przerwał jej mąż. - To znaczy, że ty też jesteś pewna, że to ja zabiłem Borisa. Ty również jak oni wszyscy, uważasz, że jestem zabójcą. Gotowa jesteś odwrócić się ode mnie. No cóż, droga wolna, nie będę cię zatrzymywał, urządzaj sobie życie po swojemu. Wyjaśnij mi tylko, po co w takim razie za mnie wysłaś?

- Przecież cię kocham, naprawdę tego nie rozumiesz? Nieważne, czy jesteś zabójcą i czy jesteś winien. Nawet gdybyś był winien po dziesięciokroć, nawet gdybyś zabił stu ludzi, to i tak będziesz dla mnie

najważniejszy. Chcesz usłyszeć prawdę? Tak, nie wierzę, że nie zabiłeś Borisa. Wiem, że to zrobiłeś. Ale nic mnie to nie obchodzi, rozumiesz? Jest mi to obojętne. Kocham cię i chcę być twoją żoną bez względu na to, czy jesteś zabójcą, czy nie. To, że siedzisz w więzieniu, nie znaczy, że stałeś się dla mnie kimś gorszym. I tak będę cię kochać i czekać na ciebie tak długo, jak to będzie konieczne.

Natalia objęła męża i przytuliła twarz do jego ramienia. Czarny waciak wydzieliał nieprzyjemny zapach, ale ona tego nie zauważała. Teraz najważniejsze dla niej było to, żeby Jewgienij jej uwierzył.

On jednak odsunął Natalię od siebie i cofnął się o krok.

- A więc ty też nie wierzysz - rzekł w zamyśleniu. - Wielka szkoda. Wygląda na to, że sam będę musiał walczyć o swoją wolność. Żadna z ciebie pomocnica. No cóż, będę musiał poradzić sobie bez twojego wsparcia.

Natalia nie wytrzymała napięcia i rozpłakała się.

- Żenieczka, zrobię wszystko, wynajmę najlepszych adwokatów, zapłacę im, wyciągną cię...

- Nie trzeba, nie chcę, żebyś się zajmowała moim niewinnieniem, w duchu sądząc, że jestem przestępcą. Albo mi wierzysz i pomagasz, albo działałam sam.

- Ale Żenią...

- Dosyć, Natka, czas się kończy, pora się żegnać.

Wrócił ponury konwojent i wyprowadził Jewgienija. Natalia otarła łzy, umyła twarz pod kranem, wytarła chusteczką do nosa, włożyła kurtkę i udała się na peron. Do miasta dotrze koło jedenastej wieczorem, a nawet wcześniej. Pociąg do Moskwy odjeżdża o pierwszej czterdzieści pięć w nocy. Może jeszcze zdąży...

Stojąc na zimnym wietrze i mrużąc oczy przed ostrymi drobinkami śniegu pędzonymi przez zamieć, wciąż na nowo odtwarzała w pamięci twarz męża. Niech to licho porwie, jakże przyjemna była myśl, że jest żoną Jewgienija Dosiukowa! Przez cztery lata mieszkała z nim, zasypiała i budziła się obok niego, gotowała mu obiady, prała koszule, czekała nań

wieczorami, kiedy wychodził bez niej na przyjęcia i bankiety. I przez te cztery lata marzyła, że pewnego pięknego dnia on jednak się opamięta i poprosi ją o rękę. A on ciągle tego nie robił...

I musiało wydarzyć się aż takie nieszczęście, żeby Jewgienij Dosiukow, milioner, prezes spółki akcyjnej Megaton, ożenił się z Natalią Gonczarenko.

I oto teraz okazuje się, że ona wcale go nie zna. Cztery lata przeżyli obok siebie, a Natalia nie dostrzegła w nim tej niewiarygodnej siły, którą zawsze brała za powodzenie. Była pewna, że surowy wyrok złamie Żenię, a miesiące spędzone najpierw w izolatce więziennej, a później w kolonii karnej bardzo szybko uczynią z niego moralnego kalekę i potwora, chorego, słabego i niezdolnego do sprzeciwu narkomana, któremu czifir odbierze zdrowie i rozum. Tymczasem wszystko wygląda zupełnie inaczej. Większego nieszczęścia niż to, które przytrafiło się Żeni, nie sposób sobie nawet wyobrazić, a on zamierza walczyć o swoją wolność, nie daje za wygraną. A najbardziej przerażające jest to, że żąda od niej, swojej żony, wiary we własną niewinność.

Przez cztery lata Natalia Gonczarenko kochała w Jewgieniju Dosiukowie dwie rzeczy: jego władzę i pieniądze. I jednego, i drugiego było tak wiele, że inne cechy nie rzucały się w oczy. Jewgienij był przeciętnym kochankiem, nie należał do specjalnie przystojnych, żeby nie wyrazić się dosadniej, czasami trudno z nim było wytrzymać. Prawdopodobnie miał też jakieś zalety, ale Natalia ich nie dostrzegała - jej punkt widzenia obejmował tylko władzę i bogactwo.

A teraz, trzęsąc się z zimna w brudnym pociągu i wracając myślami do krótkiego trzygodzinnego spotkania z mężem, po raz pierwszy poczuła coś w rodzaju szacunku do niego.

Do jego niezłomności, woli, odwagi. Przecież kto jak kto, ale ona bardzo dokładnie знаła odpowiedź na pytanie, czy jest winien.

W jednej chwili Natalia pojęła nagle, że do żadnego czarnoskórego dziennikarza Geralda nie pójdzie.

ROZDZIAŁ 3

W prokuraturze miejskiej zabójstwem pisarza Leonida Paraskiewicza zajmował się śledczy Konstantin Michajłowicz Olszański i ten fakt przynajmniej trochę osładzał Nastii to, że musiała podjąć się rozwiązania sprawy autora romansów. A pracować nad tą sprawą nie miała ochoty z jednego jedyne go powodu, który nazywał się Galina Iwanowna Paraskiewicz. Bywa, oczywiście, że dwie osoby poczują do siebie silną wzajemną niechęć, ale z tym nie ma problemu, bo skoro antypatia jest wzajemna, to obie strony starają się ograniczyć kontakty, sprawić, by stały się one w miarę możliwości rzadkie i krótkie. Ten przypadek był jednak zasadniczo inny. Galinie Iwanownie bardzo się spodobała major milicji Anastazja Kamieńska. Podobali jej się zresztą wszyscy, którym mogła prawić morały i tłumaczyć, co jest dobre, a co złe, i którzy pokornie to znosili. Z racji wrodzonej inteligencji i dobrego wychowania Nastia udawała, że uważnie słucha Galiny Iwanowny, a tamta przy zupełnym braku umiejętności krytycznego spojrzenia na siebie przyjmowała wszystko za dobrą monetę.

- Mój Boże, ależ to dobrze, że w naszej milicji są jeszcze ludzie, którzy rozumieją, co wypada...

„Gdyby dzisiejsi młodzi ludzie byli podobni do pani, nie mielibyśmy wielu kłopotów i problemów...”.

„Właśnie o takiej żonie jak pani marzyłam dla swego syna...”.

Nastia wbijała paznokcie w dłoń, przygryzała wargi i cierpiała katusze. Męczyła się, bo od razu pojęła, że od nikogo nie dowie się więcej o Paraskiewiczu niż od jego rodzonej matki. Takie matki jak Galina Iwanowna zatruwają życie własnym dzieciom i ich rodzinom, ale za to w razie nieszczęścia stają się rzeczywiście niezastąpione dla

śledztwa, bo przez całe życie wtrącają się w sprawy swoich dzieci, znają osobiście wszystkich ich znajomych, stale podsłuchują rozmowy telefoniczne, przy czym nie ograniczają się tylko do podsłuchiwania, ale również je komentują, ani trochę nie przejmując się swoim brakiem taktu. Wiedzą wszystko o wszystkich i we wszystkim mają niepodważalną rację. Ich opinię można, rzecz jasna, zignorować, tacy świadkowie kreślą za to bogate tło zdarzeń. Jeśli oczywiście oficerom operacyjnym oraz śledczym wystarcza cierpliwości i siły ducha na prowadzenie długich rozmów. Nastia Kamińska miała, jak to mówią, anielską cierpliwość, natomiast śledczy Olszański prędko kapitulował, co zresztą sam przyznawał. Dlatego już kilka razy prosił Nastię, żeby przyjechała do niego do prokuratury i była obecna podczas przesłuchań Galiny Iwanowny Paraskiewicz.

Konstantin Michajłowicz siedział przygarbiony przy swoim biurku i szybko coś wystukiwał na maszynie do pisania. Wokół niego wznosiły się ogromne stosy dokumentów, które porządkował raz w roku przed urlopem. Nastia zauważyła na nosie śledczego nowe okulary. Wyglądał w nich znacznie lepiej niż w swoich starych prościutkich oprawkach, które na okrągło reperował. Garnitur nadal miał jednak pognieciony, pomimo usilnych starań żony, Niny, żeby wypuszczać Olszańskiego rano z domu w przyzwoitym stanie. Przekraczając próg własnego mieszkania każdego ranka, Konstantin Michajłowicz wyglądał wspaniale, ale kiedy otwierał drzwi swojego gabinetu służbowego, po owym imponującym wyglądzie pozostawało jedynie smutne wspomnienie. Nikt nie potrafił wyjaśnić fenomenu tego zjawiska, więc po prostu się z nim pogodzono.

- Cześć, ślicznotko. - Śledczy wesoło kiwnął głową. - Zaraz przyjdzie ta jędza. Zajmiemy się hipotezą zabójstwa z zazdrości, więc szykuj się, Nastazjo, bo trzeba się będzie napracować. Biorąc pod uwagę patologiczną niechęć Galiny Iwanowny do synowej, będziemy musieli wysłuchać nie tylko prawdy, ale i mnóstwa kłamstw okraszonych komentarzami. A przy okazji, póki nie zapomniałem, Nina kazała ci przekazać jakieś tabletki, masz, trzymaj.

- Dziękuję. - Uradowana Nastia wyrwała mu z rąk dwa opakowania relanium i valium.

Wiecznie brakowało jej czasu na bieganie po aptekach, a ponieważ te lekarstwa sprzedawano tylko na receptę, musiałaby przedtem odwiedzić lekarza w poliklinice. A to już w ogóle przekraczało możliwości Nasti. Wieczny brak czasu pomnożony przez fantastyczne lenistwo i lekceważący stosunek do własnego zdrowia czyniły problem zdobycia środków uspokajających absolutnie nie do rozwiązania. A lekarstwa czasami bywały bardzo potrzebne. Niezbyt często, ale za to straszliwie. Na szczęście znalazła się wybawicielka w osobie Niny Olszańskiej, lekarza neuropatologa. Nina od tylu lat była żoną śledczego, że bardzo dobrze rozumiała problemy Nasti i chętnie szła jej na rękę.

Konstantin Michaj łowicz znowu oderwał się od maszyny do pisania i zerknął na zegarek.

- Wezwałem Paraskiewicz na dziesiątą trzydzieści. Masz piętnaście minut, żeby wypić kawę w bufecie, ale uprzedzam, że jest wyjątkowo wstrętna.

- Wstrętnej nie chcę. - Nastia uśmiechnęła się. - Lepiej posiedzę tutaj. Ma pan plan przesłuchania?

- A ty od czego jesteś? - rozsądnie zaproponował śledczy. - Przygotuj go, skoro i tak nie masz nic innego do roboty.

Nastia posłusznie wyjęła notes i zaczęła kreślić schemat rozmowy z Galiną Iwanowną Paraskiewicz. To jasne, że wszelkie świństwa o gorąco miłowanej synowej będzie opowiadała z przyjemnością, zmyślając, przesadzając i uzupełniając ogólny obraz o pikantne szczegóły. Tak samo jasne jest i to, że syn w jej opowieści będzie się jawił jako niebiański anioł. A przecież hipoteza zabójstwa z zazdrości zakłada zarówno to, że Leonida zabił kochanek Świetłany, jak i to, że mógł go zabić mąż albo kochanek kobiety, z którą modny pisarz zdradzał żonę, albo nawet sama kochanka we własnej osobie. Trzeba pociągnąć Galinę Iwanownę za język i zmusić, żeby opowiedziała o synu tak samo dokładnie jak o synowej.

U góry czystego arkusza Nastia napisała: „Jak pani myśli, Galino Iwanowno, czy zabójstwo pani syna mogło być zabójstwem z zazdrości?”. Otoczywszy zdanie prostokątną ramką, poprowadziła od niej dwie strzałki w dół. Po lewej stronie kartki, tam, gdzie kończyła się strzałka, pojawiło się zdanie: „Co też pani mówi, Lonia nigdy nikogo nie miał”. Znowu strzałka w dół i dopisek: „Przycisnąć do muru: dlaczego najpierw pomyślała o synu, a nie o synowej? Dawał powód? Były podstawy do podejrzeń? Itd.” Po prawej stronie kartki, równoległe do słów „Co też pani mówi...”, Nastia napisała: „No cóż, po Swietłanie można się było wszystkiego spodziewać”. Nakreśliwszy jeszcze jedną strzałkę w dół, Nastia dodała krótki komentarz: „Niech miesza Swietłanę z błotem, nie przeszkadza jej, im więcej świństw o niej powie, tym lepiej”. Na koniec od zdań napisanych po lewej i po prawej stronie kartki Nastia narysowała grube strzałki, prowadzące do środka dolnej części strony, i napisała: „Zapytać, skąd Paraskiewicz tak dobrze zna psychikę kobiet i tak świetnie orientuje się w subtelnościach kobiecej duszy. Wysunąć hipotezę, że Świetłana mu podpowiadała. Ponieważ **g.i.** dopiero co mieszała synową z błotem, za nic nie przyzna, że s. była współniczką, pomocnicą i konsultantką syna. Każdy, tylko nie znieawidzona synowa. Jeśli **l.p.** miał jakieś kochanki, w tym momencie ich nazwiska na pewno wypłyną”.

- Niech pan spojrzy, Konstantinie Michajłowiczu. - Nastia podała mu kartkę ze schematem. - Proszę nanieść poprawki.

Śledczy uważnie przeczytał zdania napisane bardzo drobnym, ale czytelnym charakterem pisma i mruknął:

- Ależ z ciebie wiedźma, Kamieńska.

- Za pozwoleniem. - Nastia zrobiła nadąsaną minę. - Jak powiedział wielki Czukowski, nie płaczę dla ciebie, ale dla cioci Soni. Nie jestem wiedźmą dla pana, ale dla Galiny Iwanowny. Rozumiem jej nieszczęście i z całego serca jej współczuję, ale jej synowi, który zginął i wiódł krótkie, bardzo nieszczęśliwe życie pod obcasem matki tyranki, współczuję jeszcze bardziej. W końcu on ma znacznie gorzej niż ona.

Nawiasem mówiąc, zupełnie zapomnieliśmy o ojcu Leonida Władimirowicza. Może warto z nim popracować?

- Czemu nie. - Konstantin Michajłowicz wymijająco wzruszył ramionami. - Ale wątpię, czy to coś da. Władimir Nikiticz Paraskiewicz schronił się pod skrzydłami żony i najwyraźniej mu z tym dobrze. Nawet rozmawiać będzie chciał tylko w jej obecności. Parę razy próbowałem znaleźć z nim wspólny język. A gdzie tam, mało szyi sobie nie skręcił, tak się ciągle oglądał na żonę, bał się, żeby czegoś nie palnąć ni w pięć, ni w dziewięć.

- Ta-ak? - wymamrotała zamyślona Nastia. - To ciekawe. Zajmę się nim przy okazji.

Galina Iwanowna Paraskiewicz zjawiała się u śledczego z dziesięciominutowym opóźnieniem. Kiedy zegar pokazał dziesiątą trzydzieści cztery, Olszański podniósł się z biurka i ruszył ku drzwiom.

- Doskonale, Galino Iwanowno - rzekł ze złośliwą satysfakcją - nie raczy pani się stawić na czas, to będzie pani czekać, póki nie wrócę. Zaczynaj, Nastazjo, powiedz jej, że poleciłem ci ją przesłuchać. I nastrasz, ile się da. Powiedz, że bardzo ci przykro, ale pan śledczy się pogniewał.

Galina Iwanowna wielce się uradowała, gdy ujrziała Nastię w gabinecie Olszańskiego.

- Anastazjo Pawłowno, jak to dobrze, że panią tu spotykam! - wykrzyknęła, bez ceregieli wieszając futro na wieszaku i siadając przy biurku bez zaproszenia. - Tak łatwo mi się z panią rozmawia, nie to co z Konstantinem Michajłowiczem. Wie pani, czasem mi się zdaje, że on nie darzy mnie szczególną sympatią.

Że też nic ci się nie zdaje w związku ze mną, z przekąsem pomyślała Nastia. Przecież ja cię nie cierpię jeszcze bardziej niż Kostia.

- Co też pani przyszło do głowy, Galino Iwanowno - uprzejmie powiedziała na głos. - Czemu Konstantin Michajłowicz miałby pani nie lubić? Przecież wie pani, jak skomplikowaną i wyczerpującą ma pracę. To zupełnie naturalne, że rzadko kiedy jest w różowym nastroju. Musi

pani być w stosunku do niego wyrozumiała.

- Muszę pani powiedzieć, Anastazjo Pawłowno, że mnie pani nie przekonała. Domyślam się, że pani praca jest nie mniej skomplikowana i wyczerpująca niż Konstantina Michajłowicza, a jednak pani sprawia o wiele przyjemniejsze wrażenie.

O niebo przyjemniejsze. Człowiek, który z racji swoich obowiązków służbowych musi ciągle kontaktować się z obcymi ludźmi i rozmawiać z nimi, powinien, nie, po prostu musi być miły, musi umieć słuchać rozmówcy, pragnąć go zrozumieć...

Galina Iwanowna dosiadła kolejnego konika. Nastia słuchała jej piąte przez dziesiąte, robiąc uprzejmą minę i cierpliwie czekając, aż kobieta rozkręci się na tyle, że nieoczekiwane pytanie „nie na temat” zaskoczy ją i zmusi do udzielenia nieprzygotowanej i nieprzemyślanej odpowiedzi. Wreszcie wydało jej się, że nadeszła odpowiednia chwila.

- Proszę powiedzieć, Galino Iwanowno, czy zabójstwo pani syna mogło być zabójstwem z zazdrości?

Paraskiewicz stropiła się na skutek nagłej zmiany przedmiotu rozmowy, tym bardziej że Nastia dość nietaktownie przerwała jej dosłownie w pół zdania.

- Z zazdrości? - powtórzyła. - No cóż, oczywiście... po tej... chcę powiedzieć, że po Swiecie można się było wszystkiego spodziewać. Zawsze mi się wydawało, że nie kocha Lonieczki szczerze, tylko po prostu bawi się nim. A gdy zapragnęła pobawić się w małżeństwo i w życie rodzinne, to wybrała Lonię. Ale przecież równie dobrze mogło jej przyjść do głowy, żeby pobawić się w rozpustnicę, w kobietę fatalną. Wcale nie wykluczam, że Świetłana miała kochanków.

Dobra, pomyślała Nastia, rozmowa ruszyła według schematu „po prawej”, no cóż, niech wiesz psy na Swietłanie i naiwnie przypuszcza, że o Leonidzie w ogóle nie będzie mowy. Zadziwiająca jest jednak próżność tej kobiety! Jest całkowicie pewna, że panuje nad sytuacją i że to ona kieruje rozmową. Nawet jej przez myśl nie przejdzie, że może być inaczej.

Swietłana Paraskiewicz, jeśli wierzyć słowom jej teściowej, była głupią i pozbawioną talentu dziennikarką, która studiowała na tym samym roku co Lonieczka i po tym, jak Paraskiewicz napisał swoją pierwszą książkę, postanowiła owinąć go sobie wokół palca. Poczuła, że to żyła złota. Lonia był tak niewinnym i ufnym chłopcem, nigdy nie miał nie tylko romansów, ale nawet drobnych przygód, więc Swietłana nie musiała się szczególnie wysilać, żeby go zdobyć. Miał już przecież dwadzieścia dwa lata, chyba pani wie, co to oznacza...

Po ślubie młodzi zamieszkali oddzielnie, Swietłana miała pokój w mieszkaniu komunalnym w centrum Moskwy, a kiedy jej sąsiad pijak umarł, wyprocesowała jego pokój - administracja poszła Loni na rękę, bo już wtedy był przecież znanym pisarzem, potrzebował miejsca do pracy. To jasne, że wpływu matki nie da się wyrugować, z dumą relacjonowała Galina Iwanowna, toteż przez pierwsze lata po ślubie Lonieczka jeszcze całkowicie należał do niej, był dobrym synem, posłusznym i kochającym. Ale synowa, wie pani, nie dała za wygraną, kością w gardle jej stało, że Lonieczka słucha matki bardziej niż żony, i stopniowo przejmowała nad nim kontrolę. Nawet ubierać się zaczął inaczej, zmienił uczesanie, zapuścił włosy tak, jak jej się podobało, zaczął nosić brodę i wąsy, mimo że wcześniej zawsze chodził gładko ogolony. Oczywiście Swietłana tłumaczyła to tym, że znany pisarz powinien dbać o swój wizerunek, wykreować własny image. Jego zdjęcia znajdują się przecież na okładce każdej książki, on sam zapraszany jest do telewizji, więc nie może pozwolić sobie na to, żeby wyglądać nijako. Ale jej, Galiny Iwanowny, zdaniem wszystkie te wywody o kształtowaniu wizerunku miały tylko na celu zamydlenie oczu. W rzeczywistości Swietłanie zależało na tym, żeby Lonieczka postępował tak, jak ona sobie życzy, a nie tak, jak w dzieciństwie nauczyła go matka. Wszystko robiła na złość teściowej, absolutnie wszystko! No a kiedy Galina Iwanowna zobaczyła ją w samochodzie z jakimś mężczyzną, to całą jej sympatię dla synowej jak ręką odjął. (Jakbyś ową sympatię kiedykolwiek czuła, zauważyła w duchu Nastia). Ma się rozumieć, że ani Swietłanie, ani Lonieczce Galina

Iwanowna nic nie powiedziała. Po co miała chłopca martwić?

- Za pozwoleniem, Galino Iwanowno, wyciąga pani wnioski tylko na tej podstawie, że pani synowa jechała samochodem, za którego kierownicą siedział nieznajomy mężczyzna? Czyżby pani nigdy w życiu nie jechała taksówką albo nie złapała okazji? Nigdy nie podwozili pani przyjaciele albo koledzy?

- Wiem, o czym mówię - zacisnęła usta Paraskiewicz - i potrafię odróżnić przypadkowego kierowcę od kochanka. Przepadkowego kierowcy nie głaszcze się po karku i po policzku.

No, założmy, że głaskanie wymyśliłaś w tym momencie, na oczekaniu, kiedy zorientowałaś się, że przeholowałaś z zarzutami wobec synowej. Ale samochód to pewnie prawda. Jeśli już sprawdzać tę hipotezę, to jak należy, pomyślała Nastia.

- Proszę sobie przypomnieć, kiedy to było.

- Latem. Daty oczywiście nie pamiętam. Mniej więcej pod koniec czerwca, na początku lipca.

- Niech pani opisz samochód. Marka, kolor. Może spojrzała pani na numer rejestracyjny?

- Numeru nie widziałam. I w ogóle było już ciemno. Wołga, taka ciemna.

- No to jak, Galino Iwanowno, mówi pani, że było ciemno, ani numeru samochodu, ani koloru pani nie widziała, a Swietlanę pani zobaczyła i nawet dostrzegła pani, że synowa głaszcze mężczyznę po karku i po policzku. Takie rzeczy się nie zdarzają.

- Zdarzają się, i owszem. - Paraskiewicz rozgniewała się. - Swietlanę zauważyłam na ulicy, kupowała papierosy w kiosku. Bardzo się zdziwiłam, bo przecież ani ona, ani Lonieczka nie palili. Chciałam już ją zawołać, ale ona wzięła papierosy i idzie do samochodu. Widzę przecież, że to nie Lonieczki samochód, więc się zawahałam. Nachyliłam się, żeby sprawdzić, kto siedzi za kierownicą, i zobaczyłam...

Nic nie widziałaś, ze złością stwierdziła w myślach Nastia. Zmyślasz na oczekaniu tylko po to, żeby wrobić Swietlanę. No dobrze, kupowała

papierosy, wsiadła do wołgi i co dalej? Nawiasem mówiąc, twój Lonieczka palił od dziewiątej klasy, a przez ostatnie trzy lata po półtorej paczki dziennie. Urządzałaś mu awantury i zaklinałaś na wszystkie świętości, żeby porzucił szkodliwy nałóg, więc łatwiej mu było ukrywać, że pali, niż wysłuchiwać twojego biadolenia. Bardzo możliwe, że ze Świetlaną ożenił się nie pod wpływem namiętnego uczucia, ale jedynie po to, żeby uciec z domu i wyprowadzić się od ciebie.

- Proszę powiedzieć, Galino Iwanowno, czy sądzi pani, że Świetłana to mądra osoba?

- A gdzie tam! - Kobieta lekceważąco machnęła ręką. - Skąd by się u niej wziął rozum? Jak na mój gust przez całe życie przeczytała raptem ze dwie książki.

- Pytam nie o wykształcenie, ale o umysł, inteligencję.

O umiejętność logicznego myślenia, uogólniania, analizowania, formułowania wniosków, o zdolność jasnego wypowiedzania swoich myśli.

- Przecież mówiłam pani, że była dziennikarskim beztalenciem.

Galina Iwanowna w żaden sposób nie chciała dostrzec różnicy między inteligencją i odczytaniem a kwalifikacjami zawodowymi. Skoro ignorantka w dziennikarskim fachu, to znaczy kompletna kretyнка. Ciekawe, co by powiedziała, gdyby ta pozbawiona talentu dziennikarka okazała się niesłychanie zdolnym biologiem?

- Czyli że jako człowiek nie grzeszy rozumem - uściśliła Nastia, nie bez ukrytej intencji.

- Jak amen w pacierzu - gorliwie przytaknęła matka pisarza.

- A czy pani synowi nigdy to nie przeszkadzało? Z jego twórczą i subtelną duszą artysty nie mógł przecież nie widzieć, że jego żona nie jest ani specjalnie mądra, ani wykształcona.

Do gabinetu wrócił Olszański i usiadł na swoim miejscu, nie przerywając ich rozmowy. Jednakże Galina Iwanowna od razu cała się jakoś skurczyła, jakby wyczuwając w pobliżu wroga i szykując się do odparcia ataku.

- Mój syn był nią zafascynowany jako kobietą, ponieważ żadnych innych zalet Swietłana nie ma - odparła sucho. - Przecież tłumaczyłam pani, że Lonieczka był niewinnym i przyzwoitym chłopcem, nigdy nie pozwoliłby sobie na kontakty intymne z dziewczętami, jeśli nie miałby wobec nich poważnych planów, więc kiedy Swietłana przystąpiła do dzieła, zdobyła go w mgnieniu oka. Lonia był normalnym młodym mężczyzną, musi to pani zrozumieć...

- Dobrze - wtrącił się Olszański - zostawmy ten temat. Wróćmy do pani syna, Galino Iwanowno. Proszę powiedzieć, czytała pani jego utwory?

- A jakże - dumnie odparła Paraskiewicz. - Czytałam je przed wszystkimi. Lonieczka zawsze przynosił mi swoje rękopisy, jeszcze zanim pokazał je w wydawnictwie.

- W recenzjach książek pani syna nierzadko zauważano, że Leonid Paraskiewicz jest subtelnym, głębokim znawcą psychiki i natury kobiecej. Zgadza się pani z tym twierdzeniem?

- Bezwarunkowo - twardo oświadczyła Paraskiewicz.

- W takim razie proszę nam powiedzieć, skąd wziął całą tę wiedzę, która pomogła mu zostać autorem romansów. Przecież to mężczyzna. Doświadczenie w kontaktach z kobietami, jeśli wierzyć pani słowom, miał znikome. Skąd w takim razie wszystko to wiedział? Kiedy i w jakich okolicznościach nauczył się tak dobrze rozumieć kobiety?

Galina Iwanowna wpadła w zawczasu zastawioną pułapkę. Po tym, co tu naopowiadała, nie mogła już odwoływać się do Świetłany czy do znajomych dziewcząt i kobiet ani mówić, że Lonieczka zawsze miał ich sporo, ponieważ był przystojnym młodzieńcem i cieszył się powodzeniem. Ta sztuczka już nie działała, więc Galina Iwanowna z ciężkim sercem musiała wymienić dwie kobiety, które interesowały się Leonidem i którym chyba nawet udało się zwrócić na siebie jego uwagę. W każdym razie kiedy odwiedzał matkę bez żony, nieraz do nich telefonował.

Nastia była w sumie całkiem zadowolona z wyników przesłuchania.

Już miała wyjść i zostawić Olszańskiego sam na sam z Galiną Iwanowną, gdy nagle jej uwagę przyciągnęło jedno zdanie:

- Lonieczka mi nie wybaczy, że wyjawiałam tajemnicę jego serca. Surowo mnie za to ukarze.

- Przepraszam, ale nie rozumiem.

Nastia wróciła do biurka i znowu usiadła naprzeciwko Paraskiewicz.

- Korzysta pani z usług spirytystów?

- Nie. Skąd ten pomysł?

- Z tego co pani mówiła można wysnuć wniosek, że nawiązuje pani kontakt ze zmarłym synem. Chciałam to po prostu wyjaśnić.

- Nie, nie, no co też pani przyszło do głowy. - Galina Iwanowna zamachała rękami. - Nie wierzę w życie pozagrobowe ani w inne takie rzeczy. A co się tyczy tego, że Lonieczka mi nie wybaczy, to tylko obrazowe sformułowanie. Tak mi się wyrwało.

Przed Nastią jednak nie ukryło się, że Galina Iwanowna Paraskiewicz zrobiła się blada jak ściana. I to jej się wcale nie spodobało.

Swietłana Paraskiewicz zaparkowała stare żiguli koło wydawnictwa i weszła do środka, niosąc w rękach grubą teczkę. Teraz sama będzie prowadzić wszystkie negocjacje z wydawcami. Loni zawsze brakowało charakteru, żeby posłać ich wszystkich do diabła razem z ich biadoleniem, skargami na trudności finansowe i łzawym błaganiem, by oddać za śmiechu warte honorarium kolejną powieść, za którą wydawnictwo zgarnie co najmniej osiemdziesiąt tysięcy. Dolarów, ma się rozumieć. Lonia był człowiekiem dobrym i łagodnym i żadną miarą nie potrafił się przełamać, chociaż rozumiał, że dawno już należało to uczynić. No cóż, teraz robi to za niego żona, a raczej wdowa po nim.

- Swieta? - Na jej widok prezes wydawnictwa niesłuchanie się zdziwił. - Co cię do nas sprowadza? Czyżbyśmy byli wam coś winni za ostatnią książkę? Moim zdaniem całkowicie się rozliczyliśmy, prawda?

- Owszem. - Paraskiewicz skinęła głową. - Za tamtą książkę rozliczyliście się z nami co do kopiejki. Ale jest nowa. Lonia skończył ją tamtego dnia, kiedy go zabito. Mogę ją zaproponować waszemu

wydawnictwu. Jeśli oczywiście chcesz.

- O mój Boże! - wykrzyknął podekscytowany prezes. - I ty jeszcze pytasz! Oczywiście, że chcę. Będziemy szczęśliwi, mogąc wydać jeszcze jedną powieść wielkiego Paraskiewicza. Możesz to sobie wyobrazić? Powieść, której ostatnie słowo zostało napisane trzy godziny przed tragiczną śmiercią autora. Rozejdzie się na pniu. Tysiąc dolarów cię zadowoli? Za poprzednią książkę zapłaciliśmy Leonidowi dziewięćset, ale za tę, jako że jest jednak ostatnia, damy tysiąc. Zgoda?

Świetłana wstała, zabierając z biurka teczkę z rękopisem.

- Niczego nie rozumiałeś, Pawlik - powiedziała łagodnie. - A skoro niczego nie rozumiałeś, nie mamy o czym rozmawiać. Do widzenia.

Zrobiła krok ku drzwiom, gdy nagle Paweł poderwał się z za biurka i rzucił się, przecinając jej drogę.

- Zaczekaj, Swieta, dokąd się wybierasz? Przecież znaleźliśmy się z Lonią tyle lat, możemy chyba jakoś po przyjacielsku... No to ile chcesz? Tysiąc dwieście? Tysiąc trzysta?

- Chcę dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, Pasza. I w ogóle nie zamierzam się z tobą targować. Albo bierzesz tę książkę za dwadzieścia pięć tysięcy, albo zaniosę rękopis do innego wydawnictwa. I nie próbuj mi opowiadać, jaki jesteś biedny. Przy nakładzie stu pięćdziesięciu tysięcy egzemplarzy koszt wydania jednej książki nie przekracza ośmiuset rubli, bo znaleźliście tanią drukarnię gdzieś w Klincach. Hurtowniom oddajecie je po dwa tysiące, dzięki czemu z każdej książki macie tysiąc dwieście rubli zysku. Przy nakładzie stu pięćdziesięciu tysięcy: sto osiemdziesiąt milionów. A wy, o ile wiem, nie zawracacie sobie głowy hurtowniami, wasze wydawnictwo ma własną sieć dystrybucji, zmontowaliście ją do spółki z czterema innymi wydawnictwami. I sprzedajecie każdą książkę po pięć, siedem tysięcy rubli. Ponieważ z liczeniem nie miałam w szkole problemów, nie będę się z tobą targować, Pasza. Albo dwadzieścia pięć, albo wychodzę.

- Dobrze, dobrze, nie gorączkuj się. - Paweł chwycił ją za rękę i spokojnie posadził w fotelu. - Przecież rozumiesz, kwota jest na tyle

duża, że nie mogę podjąć decyzji w ciągu dwóch minut, z nikim uprzednio się nie naradzając. Zostaw rękopis, redaktor go przejrzy. Jeśli książka uzyska naszą akceptację i ją przyjmiemy, wrócimy do kwestii honorarium. Po co się teraz spierać, skoro nie wiadomo, czy będziemy w ogóle zainteresowani jej wydaniem. A nuż powieść jest kiepsko napisana i do niczego się nie nadaje? Mamy kupować kota w worku?

Usta Świetłany wykrzywiły się w ironicznym uśmiešku, niewielkie oczka zwęziły się i zdawały się jeszcze mniejsze.

- Oj, Pasza, Pasza. - Z wyrzutem pokręciła głową. - Życie niczego cię nie nauczyło? Dosyć, mój przyjacielu, koniec rozmowy. Rękopisy Paraskiewicza nie potrzebują akceptacji i redagowania, wie o tym cały świat wydawniczy Moskwy. Rękopisy mojego męża przyjmuje się z zamkniętymi oczami, po czym od razu idą do składu, a równo po dwóch miesiącach się ukazują. Może nie wiesz, że jego książki leżą w księgarniach najwyżej dwa tygodnie, a później ze świecą ich szukać? Może nie słyszałeś, że każda jego nowa książka momentalnie znika z półek? I jeszcze jedno, Paszeńka. Może sprytni panowie, którzy pracują w twoim wydawnictwie, ukryli przed tobą, co dzieje się za sprawą lewych, nieewidencjonowanych nakładów powieści Loni? W stopce książki podaje się nakład sto pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy, a w rzeczywistości drukuje się trzysta tysięcy. Ze stu pięćdziesięciu, wykazanych w stopce, rozliczacie się w urzędzie skarbowym, a dochód za pozostałe sto pięćdziesiąt idzie do waszej kieszeni. Boże, Pasza, co robisz takie wielkie oczy! Czyżbyś o tym nie wiedział? Weź głęboki oddech, bo zaraz pęknie z złości! Razem z pozostałymi czterema wydawnictwami cynicznie eksploatowaliście Lonię przez całe pięć lat, wykorzystywaliście to, że nie potrafił wam odmówić, udawaliście jego przyjaciół, a przyjaciołom pomaga się w biedzie. Ale teraz, mój kochany, koniec waszego eldorado. Lonia był młody i niesłuchanie zdolny, myśleliście, że jeszcze przez wiele lat będziecie zarabiać na nim krocie, przecież pisanie szło mu prędko i bez wysiłku. Toteż prawo na wyłączność kupowaliście od niego tylko na sześć miesięcy, licząc od

dnia złożenia rękopisu. Na dłużej nie warto, myśleliście, skoro za sześć miesięcy napisze nowy utwór. Lepiej przecież wydać nową rzecz, niż wznawiać starą, tym bardziej że nakład załatwiliście niewąski, oficjalny plus lewy, cała płeć piękna Rosji zdążyła się zaopatrzyć. Lecz dzisiaj wasze prawa do jego książek wygasły. Zostało wam tylko prawo do ostatniej książki, która wyszła miesiąc temu, ale i ono za miesiąc wygaśnie, a wy i tak nic na tym nie ugracie, macie przecież ogromne nakłady, więc bawić się we wznawienie od razu po pierwszym wydaniu nie ma sensu. To koniec, mój ty misiu. Tym razem nie zrobicie interesu na Loni, zaręczam ci. Paraskiewicz wydał dwadzieścia sześć książek, w moich rękach jest dwudziesta siódma, najcenniejsza, bo skończona, jak słusznie zauważyłeś, równo trzy godziny przed tragiczną śmiercią. I nie myśl, kotku, że ci zostawię teczkę. Zabiorę ją ze sobą i będę czekać na waszą decyzję do wieczora. Telefonu na razie nie mam, więc dziś wieczorem sama do ciebie zadzwonię, a jeśli nie powiesz, że zapłacisz za rękopis tyle, ile zażądałam, jutro zaproponuję go Igorowi, później Nugzarowi, a w następnej kolejności Lowuszce i Annie. Jest was razem pięcioro. Pięć pajaków, które oplotły swoją siecią Moskwę, a może i całą Rosję. Któreś z was na pewno kupi rękopis i jeszcze bardziej się wzbogaci. A pozostali obejdą się smakiem.

Swietłana lekko się obróciła i opuściła gabinet prezesa wydawnictwa Pawlin bez pożegnania.

Dłuższą chwilę Paweł siedział nieruchomo, jakby wsłuchując się w siebie, potem nacisnął przycisk interkomu i wezwał do siebie dyrektora handlowego.

Ledwie Natalia Dosiukowa zdążyła otworzyć drzwi wejściowe, rozdzwonił się telefon. Nie od razu poznała Potaszowa, pewnie dlatego, że nie spodziewała się jego telefonu tak prędko, przecież dopiero dzisiaj wróciła do Moskwy.

- Widziała się pani z mężem? - zapytał surowo.

- Tak, Nikołaju Grigorjewiczu. Co prawda przyznano jedynie krótkie widzenie.

- Nic dziwnego. Trzydobowego jeszcze nie wysiedział - zażartował Potaszow. - Dowiedziała się pani czegoś nowego, istotnego dla sprawy?

- Niestety nie. Mąż powtarza tylko, że nie jest winien, że nie popełnił morderstwa i będzie walczył do końca.

- To pięknie - z niezadowoleniem odparł obrońca praw człowieka - ale do tego, żeby walczyć, potrzebne są nie słowa i emocje, tylko fakty i dowody. Pani mąż zwrócił się do mnie o pomoc w oczyszczeniu go z zarzutów, a ja zgodziłem się pod warunkiem, że on sam również podejmie jakieś działania. Zeznania świadków wyraźnie wskazują na niego, on zaś, ze swojej strony, twierdzi, że wszyscy świadkowie są przekupieni i składają fałszywe zeznania. Gotów jestem zająć się tą sprawą, ale on powinien mi przecież wyjaśnić, kto usiłuje zrobić go w morderstwo i dlaczego tak postępuje. Przecież jeśli świadkowie są przekupieni, a w dodatku jeśli sama ofiara na niego wskazała, to znaczy, że maczała w tym palce jakaś niesłychanie potężna siła, w której interesie leżało, żeby niewinny człowiek trafił za kratki. Kto zatem, oprócz pani męża, może znać jego wrogów?

- Wszystko rozumiem, Nikołaju Grigorjewiczu, ale cóż ja mogę zrobić? Żenią nic mi nie powiedział. Zapewnia tylko, że jest niewinny. Nikołaju Grigorjewiczu...

- Tak? Co chciała pani powiedzieć?

- A nuż Jewgienij popełnił jednak to zabójstwo? Wie pan, ja bardzo go kocham, ale... Sama już nie wiem. Przecież wzięłam wtedy końską dawkę środka nasennego i spałam jak zabita. Wszystkich oczywiście zapewniałam, że Żenią nocował w domu, ale mówiąc tak z ręką na sercu... Nawet gdyby strzelano mi nad uchem z armaty, i tak bym się za nic w świecie nie obudziła.

- Zasmuca mnie pani, Nataszko. Skąd te czarne myśli? Ma się rozumieć, że pani mąż jest niewinny. Po co miałyby się do mnie zwracać, gdyby popełnił zabójstwo? Gdyby rzeczywiście był przestępcą, wiedziałby, że nie ma szans na uniewinnienie, i nie zawracałby sobie głowy pisaniem do mnie.

- Nie zna pan Żeni, Nikołaju Grigorjewiczu. On rozumuje zupełnie inaczej niż pan. Zawsze jest przekonany, że może każdego oszukać. Ma silną, despotyczną i bezwzględną osobowość. Specyficzną, rozumie pan? Nie daje mi spokoju myśl, że wszystkich nas wodzi za nos.

- Dobrze, Nataszko, zostawmy to. W końcu moim obowiązkiem jest pomóc człowiekowi, który tego potrzebuje. Ma pani pieniądze, żeby wynająć kompetentnego detektywa?

- Tak, oczywiście. Żenią polecił mi wydać na jego uniewinnienie tyle, ile tylko będzie trzeba.

- Świetnie. Porozmawiam ze znajomymi w milicji i poproszę, żeby polecili dobrego specjalistę. Jak się czuje pani mąż? Dobrze wygląda?

- Doskonale. - Natalia uśmiechnęła się. - Wygląda tak, jakby właśnie wyszedł ze swego gabinetu.

- Znakomicie. To znaczy, że gotów jest walczyć. Nie poddał się. Można pozadrościć mu wytrwałości. I pani również, Nataszeńko. Niech się pani trzyma, zrobimy, co tylko w naszej mocy, żeby go stamtąd wyciągnąć.

Rozmowa z obrońcą praw człowieka wytrąciła ją z równowagi. Zresztą w ciągu ostatniego roku niewiele rzeczy ją cieszyło i potrafiło wprowadzić w dobry nastrój. Chyba jedynie czarnoskóry Gerald... Kochając się z nim, potrafiła zapomnieć, że jej mąż odsiaduje wyrok za zabójstwo. A nawet o tym, jakim grzechem obciążyla swoje sumienie.

Nie, tak nie można, musi się otrząsnąć i wszystko podsumować. Oto dokumenty, dzięki którym Natalia może rozporządzać całym majątkiem Jewgienija. On sam zaproponował jej ich podpisanie, ponieważ spodziewał się, że wydatki na adwokatów i prywatnych detektywów mogą pochłonąć spore fundusze. Żenią powiedział nawet, że jeśli trzeba będzie dać łapówkę, to Natalia ma to zrobić, byleby tylko wypuszczono go na wolność.

A zatem, co teraz należy do niej? Ogromne czteropokojowe mieszkanie w centrum, w którym niedawno przeprowadzono remont „na modłę europejską”, z drogimi i gustownie dobranymi meblami. Dom za

miastem, ceglany, dwupiętrowy, z sauną, basenem, garażem na cztery samochody, na wypadek przyjazdu gości. Dwa auta - srebrzyste volvo i ciemnobordowy saab. Konta w rosyjskich i europejskich bankach. Boże, i taki człowiek, właściciel tego wszystkiego, siedzi w więzieniu? Aż trudno sobie wyobrazić. Natalia do tej pory nie mogła uwierzyć, że to się naprawdę stało.

Rozebrała się i udała do łazienki. Zanim weszła pod gorący prysznic, zatrzymała się przed ogromnym lustrem zajmującym całą ścianę i zaczęła uważnie oglądać swoje ciało. Gdzieniedzie po żelaznych uściskach Geralda pojawiły się siniaki. Natalia przypomniała sobie jego ogromne czarne oczy, które niemal przepalały ją na wylot, i zadrżała. Nigdy nie podobałi jej się łagodni i czuli mężczyźni, podniecały ją przymus, władza, demonstracja siły i przewagi. Lubiła, kiedy nią w łóżku obracano, ściskano ją, sprawiano jej ból. Żenią tak nie potrafił, był raczej kiepskim kochankiem, za to Gerald - akurat takiego mężczyzny potrzebowała.

Odwróciła się, żeby obejrzeć w lustrze plecy i pośladki, i ucieszyła się, że pełne wdzięku wcięcie w talii nadal podkreśla piękną linię krągłych bioder. Naraz jednak ogarnął ją wstręt do samej siebie i do swojego przypadkowego partnera. Prędko weszła do wanny, zaciągnęła jaskrawą zasłonę i stanęła pod prysznicem. Żenią siedzi tam, w kolonii karnej, w zimnym baraku, który zamieszkuje sto osób. Musi jeść wstrętną, niezjadliwą lurę, wokół siebie widzi tępe, obojętne twarze, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę znajduje się wśród zabójców, bandytów, gwałcicieli i innych idiotów, którzy mają nie po kolei w głowach. Żenią, dumny i niezależny mężczyzna, który jednym ruchem palca, jednym pociągnięciem pióra bezlitośnie rozprawiał się ze wszystkimi, którzy działali na jego szkodę, i hojnie, na nic się nie oglądając i z niczym się nie licząc, pomagał tym, którzy jego pomocy potrzebowali. Teraz on jej potrzebuje, a ona, jego żona, w tym samym czasie zabawia się w pokoju hotelowym w obcym mieście z jakimś obcym facetem z dalekiego, obcego kraju...

Gorąca woda spływała po jej twarzy, mieszając się ze słonymi łzami. Po raz pierwszy w ciągu wszystkich lat bojaźliwy zachwyty, który żywiła dla Jewgienija Dosiukowa, zastąpiły przemożna litość i współczucie. Gdyby jeszcze dwa dni temu ktoś ją zapytał, czy kocha męża, musiałaby skłamać. Dzisiaj nie byłoby to już takie oczywiste.

Impreza, która tak bardzo niepokoiła Siergieja Nikołajewicza Bieriozina, wyznaczona była na środę. Kilka dni przed wyborami do Dumy Państwowej liderzy partii politycznych zostali zaproszeni razem z małżonkami na przyjęcie, które „w postaci pożegnalnego bankietu” organizowała obecna Duma przed złożeniem swoich mandatów. W rzeczywistości pod tym oficjalnym pretekstem kryło się zupełnie co innego. Liczna grupa dziennikarzy musiała z bliska obejrzeć sobie polityków i ich żony, porozmawiać z nimi „poza protokołem”, dowiedzieć się, kto co je i kto ile pije, kto jak się ubiera oraz jak się zachowuje. Jednym słowem, były to przedwyborcze oględziny dla prasy. Dzisiaj jest środa. W czwartek i piątek we wszystkich gazetach pojawią się nieprzyjemne, szydercze i zjadliwe komentarze na temat każdego obecnego na przyjęciu polityka. W sobotę z kolei obowiązuje cisza wyborcza, a w niedzielę są wybory. A zatem jeśli dzisiaj nawarzy się piwa, to już nie będzie kiedy go wypić.

Rano Bieriozin wyjechał w interesach, a Irina została w domu sama, czekając na krawcową, która miała przywieźć suknię na wieczorne przyjęcie. Wczorajsza scysja pozostawiła w jego duszy nieprzyjemny niepokój, ale kiedy wieczorem wrócił do domu, zauważył, że Irina chyba się nie gniewa ani nie dąsa, w każdym razie ani słowem nie nawiązuje do ostrej wymiany zdań, po której rozstali się rano.

Siergieja Nikołajewicza mile zdziwił rozchodzący się po mieszkaniu zapach ciasta i wanilii i jeszcze czegoś nieuchwytnego, lecz znajomego, czego nie potrafił nazwać, ale co natychmiast skojarzyło mu się z dzieciństwem.

- Sierioża! - Z kuchni rozległ się głos Iriny. - Ale dobrze trafiłeś, akurat wszystko jest już gotowe.

Bieriozin wszedł do kuchni i zobaczył nakryte czystymi kolorowymi serwetkami ogromne płaskie półmiski pełne rogalików i bułeczek.

- O mój Boże! - zdumiał się. - Czyżbyś sama to wszystko upiekła, Iroczo?

- Wiesz, postanowiłam spróbować. - Irina uśmiechnęła się promiennie. - Nigdy w życiu niczego nie piekłam, w dzieciństwie przyglądałam się tylko, jak babcia to robi. A teraz otworzyłam książkę kucharską, kupiłam produkty i zaczęłam robić wszystko zgodnie z przepisami. Wiesz, Sierioża, książki kucharskie to po prostu wspaniała rzecz. Nie należy jednak nic robić na własną rękę, przecież te książki napisali mądrzy i doświadczeni specjaliści. Trzeba robić wszystko dokładnie tak, jak tam podają, i sukces gwarantowany. Rozbieraj się, zjemy razem kolację.

Bieriozin udał się do sypialni, żeby zdjąć garnitur i wciągnąć dzinsy i sweter. Mijając pokój gościnny, zauważył, że stół nie jest nakryty do kolacji. Dziwne. Czyżby Irina zamierzała serwować posiłek w kuchni?

Kiedy się przebrał i umył ręce, znowu zajrzał do kuchni i z niezadowoleniem stwierdził, że Irina rzeczywiście układa sztucce, chleb i przyprawy na kuchennym stole.

- Tutaj będziemy jeść kolację? - zapytał powściągliwie.

Irina podniosła nań zdziwione oczy.

- No a gdzie?

- Zwykle my... Ja... - Bieriozin zmieszał się trochę. - Przecież zawsze nakrywa się do stołu w pokoju gościnnym, tak się przyjęło.

- Ale czemu? - zapytała zdziwiona Irina.

- Nie wiem - odparł z rozdrażnieniem. - Tak się przyjęło i już. Pomogę ci zanieść sztucce do pokoju.

- Dobrze. - Irina wzruszyła ramionami.

Nie odzywając się do siebie, prędko nakryli stół do kolacji. Bieriozin sam wyjął z kredensu obrus, a z oszklonej witryny w meblościance wysokie, ładne szklanki.

- A woda? - Zachmurzył się, widząc, że Irina siada już przy stole.

- Woda? - Nie zrozumiała. - Jaka woda?
- Woda mineralna albo jakiś sok. Co, nie ma?
- Jest, zaraz przyniosę. Przecież nie wiedziałam, że masz ochotę.

- Zapamiętaj - sztywno rzekł Bieriozin - że wodę albo sok trzeba stawiać na stole bez pytania, czy ktoś chce, czy nie. To jak chleb albo solniczka, zawsze musi być na stole. I włącz, proszę, telewizor.

Irina przyniosła wodę, włączyła telewizor i usiadła przy stole. Kolacja upłynęła w grobowym milczeniu. Irina nie odrywała oczu od talerza, a Bieriozin oglądał wiadomości. Kiedy przyszła kolej na herbatę z rogalikami, mężczyzna kiwnął głową z aprobatą:

- Bardzo smaczne, należą ci się brawa.

I więcej na temat jej kulinarnych wyczynów nie rzekł ani słowa.

Po kolacji Irina poszła umyć naczynia, a kiedy wróciła do pokoju, na drugim kanale leciał już kolejny program informacyjny, który Bieriozin oglądał z równie dużym zainteresowaniem. Irina posiedziała kilka minut na kanapie, przyglądając się książkom na półkach, po czym podniosła się cicho i udała się do małego pokoju. Do rana Bieriozin jej nie widział.

Rano wstała wcześniej niż on i przygotowała śniadanie. Bieriozin z satysfakcją odnotował, że dzisiaj była uczesana i ubrana w długą spódnicę, tak jak wczoraj, tyle że bez jego przypominania i uwag. Odczuwał dziwne zakłopotanie z powodu wczorajszego wieczoru i spróbował je zatrzeć podczas śniadania.

- Co postanowiłyście z krawcową? - zapytał.

- Przywiezie sukienkę koło jedenastej, żeby zostało trochę czasu na wypadek, gdyby coś należało przerobić.

- Co u niej zamówiłaś?

- Wiesz, trudno mi było od razu zdecydować, co jest mi potrzebne, dlatego na razie zamówiłam tylko sukienkę na dzisiejszy wieczór i jeden komplet po domu. W tygodniu krawcowa przyjedzie jeszcze raz i wtedy zamówię pozostałe rzeczy.

- Mam nadzieję, że kreacja, w której się dziś pojawisz, nie będzie zbyt wyzywająca? - zapytał Bieriozin i natychmiast ugryzł się w język.

Było jednak za późno. Irina w lot zrozumiała aluzję.

- Chcesz powiedzieć, że prostytutka musi koniecznie mieć wulgarny gust? - powiedziała opanowanym głosem i Bieriozin zdziwił się, że chyba w ogóle się nie rozgniewała.

- Przepraszam, Iro, naprawdę nie chciałem cię obrazić - rzekł ze skruchą. - Wybacz mi. Głupiec ze mnie.

- Nie, Sierioża, nie jesteś głupi, ale po prostu zdenerwowany i bardzo nieszczęśliwy. I nie martw się o sukienkę. Będzie droga i elegancka, lecz zarazem prosta i skromna. Chciałam tylko zapytać o biżuterię...

- Wszystko, co leży w kasetkach, jest twoje, mówiłem ci przecież.

- Nie, nic z tego się nie nadaje, już obejrzałam. Żeby uzyskać taki efekt, jak chciałeś, potrzebuję pereł. Tylko pereł. Żadne brylanty czy szmaragdy do tego nie pasują.

- Tak? - Bieriozin pytająco uniósł brwi.

Ta mała ma własne zdanie? Bardzo ciekawe.

- Dobrze, przywiozę ci perły. Wierzę, że gust cię nie zawiedzie.

O piątej po południu Bieriozin wszedł do mieszkania dręczony wewnętrznym niepokojem. Zaraz się wyjaśni, że sukienka, którą zamówiła bez niego Irina, nadaje się tylko do dewizowych klubodyskotek, i że pieniądze wydane na kolie z pereł i kolczyki okażą się wyrzucone w błoto.

Irina przywitała go w tej samej długiej spódnicy z dzianiny, którą miała na sobie rano. Jej długie jasnoblonde włosy zebrane były w niedbały węzeł z tyłu głowy, a twarz nieumalowana.

- Masz swoje perły. - Bieriozin podał jej etui. - Zrób mi kawę i zacznij się szykować. Piętnaście po szóstej przyjedzie samochód.

Jeszcze w przedpokoju Irina otworzyła etui, krytycznym spojrzeniem obrzucając biżuterię, po czym skinęła głową.

- To jest akurat to, czego potrzebuję.

Beriozin uśmiechnął się w duchu. Powiedziała, co wiedziała! Jest oczywiście jego żoną i w ogóle całkiem niezłą z niej laska, ale przecież ma taki staż w prostytutce... Patrzcie ją, potrzebuje pereł do stworzenia

wizerunku. No, no, zobaczymy.

Niespiesznie popijał kawę w kuchni, po raz setny powtarzając w myślach odpowiedzi na najróżniejsze pytania, które mogli mu dzisiaj wieczorem zadać przebiegli dziennikarze. Sondaże pokazują, że jego partia cieszy się zaufaniem u dosyć dużej części społeczeństwa i Bieriozin ma niezłe szanse na to, żeby zostać deputowanym, przecież jest w pierwszej piątce na partyjnej liście. Żeby dostać się do Dumy, jego partia musi zdobyć ponad pięć procent głosów wyborców, a wstępne prognozy pozwalają przypuszczać, że ów procent będzie znacznie wyższy.

Ale po dzisiejszym bankiecie w jednej chwili wszystko może ulec przetasowaniu, bo jeśli liderzy konkurencyjnych partii zachowają się niewłaściwie, stracą twarz w oczach elektoratu. Trzeba mieć się na baczności, bardzo się pilnować i uważać na każde słowo, starając się przy każdej okazji odnosić małe, ale jakże ważne zwycięstwa moralne nad politycznymi rywalami...

- Jestem gotowa.

Bieriozin odwrócił się i zamarł. Stała przed nim kobieta z dziewiętnastowiecznego portretu: o surowej, delikatnej twarzy, z zaplecionymi do góry włosami, w długiej perłowszarej sukni opadającej luźno ku ziemi i ciasno opinającej ramiona, biust i talię. Tak, ta mała puszczalska miała rację: żadne brylanty i szmaragdy do tej kreacji nie pasują, jedynie perły. Elegancja, surowość, prostota. Zwariować można!

Ulegając naglemu porywowi, Bieriozin podszedł do Iriny i objął ją, przyciskając jej głowę do swojej piersi i wdychając zapach perfum, bijący od włosów.

- Irocza - wyszeptał. - Irocza. Moja bogini.

Irina odsunęła się łagodnie i podniosła na Siergieja Nikołajewicza perłowszare oczy, które w tej chwili wydały mu się zimne i odpychające.

- O to ci chodziło?

- Tak, właśnie o to.

Bieriozin poczuł się niezręcznie. Miał sobie za złe, że dał się ponieść porywowi serca, śmiesznemu i niestosownemu ani teraz, ani w ogóle, i próbował ukryć zmieszanie, odzywając się niedbałym i pewnym tonem:

- Nie zapomniałaś, jak masz odpowiadać na pytania?

- Ależ skąd, pamiętam. Nie wtrącam się do spraw politycznych męża, do mnie należy troska o rodzinne ognisko i zabezpieczanie ci tyłów, a twoja pierwsza żona mnie nie interesuje. Wspaniale gotuję, umiem urządzać przyjęcia, zamierzam urodzić ci co najmniej trójkę dzieci, jeśli tylko zdrowie mi pozwoli...

- Dobrze. Przy okazji - przerwał jej Siergiej Nikołajewicz - jeśli poczujesz, że to będzie na miejscu, możesz powiedzieć, że w chwili wypadku byłaś w ciąży i że niestety na skutek leczenia nie udało ci się jej donosić. Ale masz nadzieję, że w najbliższej przyszłości zdrowie pozwoli ci na urodzenie dziecka. Tylko uważaj i nie przeholuj, to świetny sposób wzbudzania litości, ale co innego jest najważniejsze. Twój cel nie polega na tym, żeby wywołać współczucie z powodu nieszczęścia, które ci się przytrafiło, ale by wzbudzić podziw swoim niezłomnym pragnieniem wypełnienia macierzyńskiego obowiązku. Zrozumiałaś?

- Tak. Będę się starać, Sierioża. Ale i tak bardzo się boję.

Bieriozin podał jej futro i dopiero teraz zauważył, że na nogach Irina ma lekkie ciemnoszare pantofelki.

- Nie zamierzasz zmienić butów? - zapytał zdziwiony. - Na ulicy śniegu jest po kolana.

- Mam włożyć kozaki do tej sukni?

- Sądzę, że już na miejscu będziesz mogła się przebrać i doprowadzić do porządku.

- A jeśli nie? Wtedy będę wyglądać śmiesznie i głupio.

Irina stała odwrócona do niego plecami, spoglądała w lustro i drapowała wokół szyi dużą jedwabną chustę. Twarz miała skupioną i lekko poirytowaną, przez co przypominała teraz Bieriozinowi małą dziewczynkę, która złości się, że coś jej nie wychodzi. Znowu ogarnęła

go niezrozumiała fala czułości dla tej kobiety. Objął ją za ramiona i lekko do siebie przyciągnął, starając się nie zniszczyć skomplikowanej fryzury.

- Zawsze jesteś taka strachliwa i ostrożna, o wszystko z góry się martwisz? - zapytał z nutą kpiny w głosie.

- Na twoim miejscu nie zadawałabym takich pytań - lodowato odparła Irina. - Przecież świetnie znasz na nie odpowiedzi.

Zrobiło mu się gorąco, wypuścił Irinę z objęć i zaczął wkładać płaszcz. Żadnych kozuchów i skórzanych kurtek nie uznawał, uważał, że naturalne futro jest dobre wyłącznie dla kobiet, a kurtki puchowe dla młodzieży. Zimą Bieriozin nosił piekielnie drogi ciemnoszary płaszcz z jasnym szalikiem z delikatnej wełny i nawet podczas największego mrozu chodził bez nakrycia głowy. Miał wyjątkowo ładne włosy - dar natury, o który dbał - bardzo gęste, proste, przyprószone wczesną siwizną, idealnie zachowujące kształt fryzury. Nadawały Bieriozinowi poważny i wzbudzający zaufanie wygląd, a jak tylko przykrywał je czapką albo kapeluszem, od razu upodabniał się do kogoś w rodzaju sekretarza komitetu rejonowego z czasów Breżniewa.

Kiedy zeszli na dół, samochód już czekał przed wejściem, ale trzeba było zrobić co najmniej dziesięć kroków po śniegu. Bieriozin wahał się tylko chwilę, decyzja zrodziła się nagle, jak zresztą wszystkie trafne decyzje, które przychodziły Siergiejowi Nikołajewiczowi na myśl. Chwycił Irinę na ręce i zaniósł do samochodu. Kierowca już czekał przy tylnych drzwiach, zapobiegliwie otwierając je wcześniej.

- Dziękuję, kochanie - czule odezwała się Irina, wystarczająco głośno, żeby kierowca ją usłyszał.

Beriozin usiadł obok niej na tylnym siedzeniu i rzekł półgłosem:

- Niezły pomysł, prawda?

- Obraz powstaje dosłownie na oczekaniu. - Irina uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Beriozin przysunął się do niej zupełnie blisko, jego usta znalazły się tuż przy samym jej uchu.

- A przy okazji, kierowca nazywa się Wołodia. Wczesną wiosną, krótko przed tym, jak miałaś wypadek, wiozł cię na lotnisko, żeby odebrać twoją ciotkę przylatującą z Krasnojarska. Pogoda była nielotna, więc lądowanie opóźniło się o cztery godziny i przez cały ten czas siedziałaś z nim w samochodzie i zadręczałaś go swoimi kapryсами. Było ci na[^] przemian to zimno, to gorąco, to ci się chciało pić, to jeść, to zapalić papierosa.

- Nawet papierosa? - Irina uniosła brwi.

- Czasami miewałaś i takie zachcianki, choć raczej rzadko. W sumie nieźle dokuczyłaś biednemu chłopakowi.

- I więcej go nie widziałam?

- O ile wiem, to nie.

- Wołodia! - głośno zawołała Irina.

- Tak, Irino Andriejewno?

- Wciąż się pan na mnie gniewa? Niepotrzebnie, mój drogi, wiem, że od czasu do czasu bywam okropnie nieznośna, ale później żałuję i mam wyrzuty sumienia. Jeśli pana wtedy obraziłam, to proszę przyjąć moje przeprosiny.

- Ależ nie ma o czym mówić, Irino Andriejewno.

Bieriozin po omacku odszukał jej rękę i lekko ścisnął na znak aprobaty. Irina nie odpowiedziała na uścisk, ale ręki nie zabrała. I tak jechali, trzymając się za ręce. Do wejścia do budynku było ze dwadzieścia metrów i zachwyceni reporterzy zaczęli błyskać fleszami, gdy zobaczyli, jak znany partyjny lider Siergiej Bieriozin niesie na rękach swoją piękną żonę.

Przez pierwsze pół godziny wszystko przebiegało spokojnie, politycy ze swoimi żonami pod rękę przechadzali się po ogromnej sali, w której był bufet *à la fourchette*. Dziennikarze na razie nikogo nie zaczepiali, przyglądali się tylko, wybierając najbardziej interesujące i obiecujące ofiary. Nieco później, kiedy Siergieja Nikołajewicza pochłoneła rozmowa ze znanym aktorem, który znajdował się na liście partii bardzo bliskiej platformie politycznej partii Bieriozina, Irinę ostrożnie złapał za łokieć

dziennikarz znany ze swego ciętego języka i nieżyczliwości.

- Proszę, powiedzieć, Irino Andriejewno, czy trudno być żoną polityka?

- Trudno być żoną - odparła bardzo poważnie. - A czy polityka, czy artysty cyrkowego, to nie ma znaczenia.

- Bardzo ciekawe spostrzeżenie. - Dziennikarz ożywił się. - Proszę rozwinąć myśl. Dlaczego czasem trudno być żoną Bieriozina?

- Mój mąż jest niepospolitą osobą. Mimo że znam go od dosyć dawna, wciąż stanowi dla mnie nie do końca przeczytaną książkę. Bardzo chcę mu się podobać, ale nie zawsze potrafię bezbłędnie odgadnąć, co go zadowoli, a co nie. Dlatego ciągle żyję w stanie pewnego napięcia.

- Chce pani powiedzieć, że pani małżonek często i chętnie zmienia swoje gusta i pasje?

- Nic podobnego. Wprost przeciwnie, jest wyjątkowo stały zarówno w swoich sądach, jak i upodobaniach. Po prostu nie do końca go jeszcze poznałam.

- Od ilu lat jesteście małżeństwem?

- Od sześciu. W lutym będziemy świętowali siódmą rocznicę.

- I sześć lat pani nie wystarczyło, żeby poznać gusta swego męża?

- Człowiek, który da się całkowicie rozszyfrować przez siedem lat, musi być jednostką pospolitą, chyba zgodzi się pan ze mną - z uśmiechem odparowała Irina. - Ludzka osobowość, indywidualność jest tak wielowymiarowa i głęboka, że czasem by ją zgłębić, potrzeba całego życia. Im bardziej złożony jest człowiek, tym bogatsza jest jego natura i tym więcej potrzeba czasu, żeby go poznać.

- Macie państwo dzieci?

- Na razie nie, ale na pewno będziemy mieli...

Irina i dziennikarz stali dość blisko Bieriozina, który rozmawiał z aktorem i łowił uchem słowa żony. Bardzo spodobały mu się jej odpowiedzi. Najpierw palnęła kompletne głupstwo, z którego wyborcy mogliby wyciągnąć wniosek o nieprzewidywalności i niestabilności

Bieriozina. Oczywiście dzięki umiejętnej relacji dziennikarza. Jednakże Irina w porę się zreflektowała i wywinęła, w dodatku tak zgrabnie i pokazowo, że Siergiej Nikołajewicz nagrodziłby ją oklaskami, gdyby mógł. A pismak już puścił wodze fantazji, już się rozmarzył, jak napisze wielkimi literami: „Lider demokratycznej partii jest tak nieprzewidywalny i tak łatwo zmienia swoje przekonania i upodobania, że nawet jego żona nigdy nie wie, co ma mu przygotować na obiad”. Niedoczekanie!

Bieriozin przeprosił aktora, po czym dyskretnie odprowadził Irinę na bok i nachylając się do niej, rzekł cicho:

- Brawo, Iroczko, z dziennikarzem rozprawiłaś się po prostu świetnie. Radzisz sobie śpiewająco, więc nie masz się czego bać.

Siergiej Nikołajewicz podniósł jej rękę do ust i zauważył kątem oka, że akurat ich sfotografowano, po czym znowu zostawił żonę samą i oddalił się, żeby przywitać się ze znajomym biznesmenem.

Irina rozejrzała się na boki i napotkała przypadkiem wzrok tęgiej, niezgrabnej kobiety ze źle ufarbowanymi włosami i niedbałym makijażem. Kobieta natychmiast pochwyciła spojrzenie Iriny i rzuciła się ku niej.

- Irina Andriejewna Bieriozina, chyba się nie mylę? - zapytała niskim dźwięcznym kontraltem, który żadną miarą nie pasował do jej flejtuchowatej powierzchowności.

- Nie, nie myli się pani.

Irina poczuła ściskanie w dołku. Zorientowała się, że ma do czynienia z samą Olesią Mielniczenko, dziennikarką, przed którą Bieriozin szczególnie ją ostrzegał. Mielniczenko rok temu przeprowadziła wywiad z pierwszą żoną Bieriozina i niczego dobrego po rozmowie z nią Irina nie mogła się spodziewać.

- Nazywam się Mielniczenko, pracuję...

Wymieniła znany kobiecy miesięcznik, ukazujący się w ogromnym nakładzie.

- Zgodzi się pani udzielić wywiadu dla naszego czasopisma?

„Nie zgodzę! - miała ochotę zawołać Irina. - Wynoś się stąd razem ze swoim czasopismem! Nie chcę z tobą rozmawiać! Nie umiem z tobą rozmawiać!”.

- Z przyjemnością - odparła z łagodnym uśmiechem. - Cieszę się, że tak popularne pismo interesuje się osobą mojego męża.

- Nasze audytorium to kobiety - oznajmiła Mielniczenko -a z przeprowadzonego wśród nich sondażu wynika, że pani mąż trafił do grona trzech najbardziej pociągających polityków. Dlatego nasze czytelniczki chętnie przeczytają, jaką żonę ma Bieriozin. A więc...

Pierwsze kilka pytań okazało się całkiem nieszkodliwych i Irina odpowiedziała na nie z łatwością, niemal bez zastanowienia. Dalej zaczęły się schody.

- Jak pani sądzi, Irino, czy mąż panią kocha?

- Mówi, że kocha, a ja nie mam podstaw, by mu nie wierzyć - odparła ostrożnie.

- Co pani ma na myśli, mówiąc, że nie ma podstaw?

- Chodzi mi o to, że mąż ani razu mnie nie oszukał. Czemu mam więc wątpić w jego słowa?

- A jak według pani odpowiedziałaby na to pytanie pierwsza żona Siergieja Nikołajewicza?

- Żeby mieć jakieś zdanie na ten temat, musiałabym wiedzieć, jaką jest osobą. Niestety, nie znałam bliżej jego pierwszej żony, więc trudno mi sądzić.

- A chciałaby pani poznać ją bliżej?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Z pewnością byłoby to nie tylko interesujące, ale i cenne doświadczenie poznać osobę, którą kochał mój mąż i z którą spędził ramię w ramię ponad dziesięć lat. To pozwoliłoby mi lepiej zrozumieć charakter Siergieja.

- I nie czułaby się pani nieswojo w obecności kobiety, której małżeństwo pani zrujnowała?

- Nie ma pani racji - twardo odrzekła Irina, rozumiejąc, że nie ma gdzie się wycofać i że to, czego się tak bała, w końcu nastąpiło. - Co

więcej, nie ma pani racji po dwakroć. Po pierwsze, związek Siergieja i jego pierwszej żony zaczął się rozpadać na długo przedtem, nim się poznaliśmy. I fakt naszego spotkania niczego już nie zmienił. Po drugie, Siergiej, jak zresztą każdy mężczyzna, nie jest niemym zwierzęciem, które bez trudu da się wyprowadzić z zagrody na powrozie. Zupełnie nie pojmuję, skąd się wzięło to okropne określenie „zabrać komuś żonę czy męża”. Jakby to były rzeczy, koty czy osły. Jak można zabrać człowieka, jeśli on sam tego nie chce? Zapewniam panią, że po ziemi chodzą tysiące, miliony kobiet, które przez lata nie mogą rozwieść swoich żonatych partnerów. I nie rozwiodą. Ponieważ oni nie chcą zostawić swoich żon. Ale są też takie, które rozbijają małżeństwa. I za każdym razem decyzję podejmuje wyłącznie mężczyzna, kobieta nie ma nic do powiedzenia.

- A jaką rolę wyznacza pani dla kobiety? Pokornej i potulnej gąski?

W tym momencie Irina odetchnęła. Pokonała trudny zakręt, a teraz rozmowa zeszła na temat, do którego była przygotowana.

ROZDZIAŁ 4

Hipoteza zabójstwa Leonida Paraskiewicza z zazdrości wydała się Nasti Kamieńskiej dość obiecująca. Po pierwsze, wybierać mogła tylko spośród dwóch hipotez - biznes i miłość. Wątpliwe jednak, by ktoś zabił pisarza dla pieniędzy. Jedynym źródłem zarobku Paraskiewicza była twórczość literacka. Wydawcy zbijali na nim fortunę, więc byłoby rzeczą głupią i niedorzeczną zabijać kurę znoszącą złote jajka. Po drugie, ponieważ matka zabitego dowodziła z pianą na ustach, że Lonieczka był chłopcem niewinnym i w każdym calu przyzwoitym, Nastia dałaby głowę, że w rzeczywistości facet był niezłym babiarzem. Zanadto dobrze znał się na kobietach, o czym świadczyły jego książki.

A zatem należało spotkać się z żoną Paraskiewicza, Świetlaną, i z tamtymi dwoma kobietami, których nazwiska z ciężkim sercem Galina Iwanowna wyjawiała Nasti. Świetlanę Nastia zostawiła sobie na deser, postanowiła zacząć od kobiet, które w różnych momentach interesowały się Leonidem.

Pierwsza z nich, Olga Riuchina, okazała się zupełnie nieciekawa w kontekście dalszego rozpracowania - młodziutka panna, która w okresie zauroczenia modnym pisarzem miała zaledwie osiemnaście lat. Koleżanka Olgi pracowała jako korektorka w jednym z wydawnictw, które publikowało powieści Paraskiewicza, i w wielkim sekrecie zdradziła swojej zadurzonej po uszy przyjaciółeczce adres i telefon pisarza.

- Wie pani, byłam wtedy chora z miłości - śmiała się Riuchina, dorodna młoda kobieta, która niedawno urodziła ślicznego chłopca w legalnym związku małżeńskim. - Zasypiałam z jego książką pod poduszką, zachwyciałam się zdjęciami, umieszczano je przecież na każdej

okładce. Szalałam za nim. Kiedyś dziewczyny zakochiwały się w aktorach i poetach, ale teraz czasy się zmieniły i zakochują się w pisarzach. Co prawda, dawniej nie pisano powieści dla kobiet.

- Jak Leonid Władimirowicz zareagował na pani pierwszy telefon?

- O, to był prawdziwy dżentelmen. Powiedział, że jest poruszony zainteresowaniem, że jest mu bardzo miło i tak dalej. Zapytał, jakie jego książki czytałam i które najbardziej mi się spodobały. Potem przeprosił, stwierdził, że ma niewiele czasu, ale zapisał numer mojego telefonu i zapytał, kiedy może do mnie zadzwonić, żeby porozmawiać dłużej. Wprost zgłupiałam ze szczęścia.

- I co dalej?

- Zatelefonował do mnie po dwóch czy trzech dniach. Widocznie mógł rozmawiać bez przeszkód, bo nigdzie się nie spieszył i bardzo szczegółowo wypytał mnie dosłownie o każdą książkę: co mi się podobało, a co nie, w którym miejscu domyśliłam się, jak się historia skończy, czy zadowolili mnie finał, czy wolałabym inne zakończenie. Rozmawiał ze mną jak z dojrzałą osobą, słowo daję. Byłam w siódmym niebie!

- Spotykała się z nim pani osobiście czy kontaktowaliście się tylko telefonicznie?

- Oczywiście, że się spotykaliśmy.

- Jak często?

- Niechże pani da spokój! - Olga znowu parsknęła śmiechem. - Widzieliśmy się może ze cztery razy. Za pierwszym podarował mi kwiaty i pospacerował ze mną po parku jakieś dwie godziny. Za drugim razem przeszliśmy się po Lenińskich Górach, ale kwiatów już nie dostałam. No i znowu bez przerwy rozmawialiśmy o jego książkach. Trzeci i czwarty raz spędziliśmy u niego, żona akurat gdzieś wyjechała, chyba w delegację. Pół godziny seksu i trzy godziny rozmów, tak jak poprzednio. Zrozumiałam, że jemu nie chodzi o mnie, interesują go tylko jego książki. Wykorzystywał mnie jako eksperta. Byłam młoda, no i oczywiście głupia, ale nie aż tak, żeby się nie zorientować. Powiedziałam

mu wtedy coś takiego: Lonia, nie męcz się, jeśli chcesz ze mną rozmawiać o książkach, to róbmy to przez telefon. Bo ciągle starasz się znaleźć chwilę, kiedy nie ma żony, ty się denerwujesz, ja się boję - szarpiemy sobie nerwy i żadnej z tego przyjemności. Gdyby pani widziała, jak się ucieszył! Jak dziecko, któremu powiedziano, że w szkole jest kwarantanna, więc może siedzieć w domu i nie musi odrabiać lekcji.

- I jak później układały się wasze stosunki?

- W sumie nijak. Z domu nie zawsze mógł dzwonić, więc telefonował, kiedy był u matki. Och, żeby pani wiedziała, jak on jej nienawidził!

- Co pani mówi? - Nastia nadstawiła ucha.

- Mówię, że nie znosił swojej matki, Galiny Iwanowny.

- Skąd pani wie? Leonid to pani wyznał?

- Nie, gdzie tam, kto by sam coś takiego powiedział wprost. Ale to się dało zauważyć. Nie wstydził się przede mną, przecież byłam dla niego całkiem obca, no i w dodatku umówiliśmy się, że więcej nie będziemy się spotykać. Więc nie było mu głupio.

- Proszę podać przykład.

- No... - Olga zamyśliła się. - O, na przykład, kiedyś dzwoni do mnie z automatu i mówi: „Olu, jadę teraz do wydawnictwa, za jakieś dwie godziny będę wolny i skoczę do tej jędzy. Więc między szóstą a siódmą czekaj na mój telefon”. Albo inna sytuacja. Przychodzi do rodziców, dzwoni do mnie, rozmawiamy i nagle mówi: „Zaczekaj chwileczkę, proszę”. I zaczyna rozmawiać z matką. „Tak, mamuś. Nie, mamuś. No co ty, mamuś. Oczywiście, mamuś”. Potem znowu zwraca się do mnie: „Wiesz, Olu, największym sukcesem życiowym tej kwoki jest to, że od samego początku zacząłem jej pokazywać rękopisy. Korci mnie, żeby wprowadzić do książki postać, która byłaby jej odbiciem, i wygarnąć w końcu prosto z mostu, co o niej myślę. Napisałbym powieść pod pseudonimem, ona by się nigdy nie dowiedziała, że to mój utwór, przeczytałaby jak gdyby o obcej kobiecie i może przynajmniej coś by do

niej dotarło. Przecież ona tyranizuje mnie przez całe życie, a przy tym jest święcie przekonana, że robi wszystko dla mojego dobra. Myślisz, że miała teraz do mnie jakąś pilną sprawę, której nie dałoby się omówić później? A gdzie tam. Pytała o jakieś głupstwa. Dla niej ważne jest tylko to, że mi przeszkodziła, a ja, bez względu na to, z kimkolwiek bym rozmawiał, wszystkich odsunę na bok i całą swoją uwagę skieruję na nią, bo to ona jest najważniejszą osobą w moim życiu. Zaspokoila miłość własną, napiła się krwi jak wampir i wniebowzięta poszła dokuczać ojcu. Boże, Olu, gdybym mógł, tobym ją zabił”.

- Proszę powiedzieć, Olu, jak długo trwał ten wasz telefoniczny romans?

- Chyba z sześć albo siedem miesięcy.

- Z czyjej inicjatywy przestaliście się kontaktować?

- Z mojej. Spotkałam mężczyznę, za którego wyszłam za mąż i do którego się przeprowadziłam. Chyba pani rozumie, że trudno było prowadzić długie telefoniczne rozmowy. Ja i mój narzeczony wspólnie się uczyliśmy, więc wieczory również spędzaliśmy razem w domu.

- I kiedy to się stało?

- Kiedy... Igorek skończył już roczek i trzy miesiące, więc niech pani policzy. Chyba jakieś dwa i pół roku temu.

- A pani mąż nie mógł się dowiedzieć o pani znajomości z Paraskiewiczem?

- Niby od kogo? - Olga szczerze się zdziwiła. - Ja mu nie powiedziałam, Lonia go nie zna, nikt inny nie wiedział.

- Myli się pani, wiedziała jeszcze Galina Iwanowna.

- Boże, a po co by miała opowiadać o tym mojemu mężowi? Zwłaszcza że nie tak łatwo mnie znaleźć, zmieniłam nazwisko, w dodatku po ślubie dwa razy się przeprowadzaliśmy. Zresztą znam swego męża, na pewno by mnie zapytał, gdyby się czegokolwiek dowiedział. Nie potrafi milczeć, kiedy go coś gniecie, wie pani, taki ma charakter, że musi wyrzucić z siebie każdą informację. Pięciu minut nie wytrzyma. A poza tym wszystko to było dawno, kogo to interesuje...

Nastia nie mogła nie przyznać Oldze Riuchinej racji. A co się tyczy Galiny Iwanowny, to nowego nazwiska Olgi rzeczywiście nie знаła, więc raczej nie mogłaby skontaktować się z jej mężem. Zresztą po co? Żeby zaszkodzić własnemu synowi? Bzdura.

Spotkanie z drugą kobietą wymienioną przez Galinę Iwanownę dało Nasti sporo do myślenia. Ludmiła Isiczenko była bardzo dziwną osobą. Przyjęła Nastię ubrana cała na żółto. Żółte były jej wąskie, obcisłe spodnie, krótka kurtka zapinana na suwak, długa szyfonowa apaszka i nawet spinka we włosach. Kolor był intensywny, przywodził na myśl puszystożółte kurczęta, a Ludmile zupełnie nie było w nim do twarzy. Od nadmiaru żółtego koloru jej śniada twarz, pokryta wczesnymi zmarszczkami, wydawała się jeszcze bardziej śniada i stara.

Jej zachowanie było również ekscentryczne. Zaraz po tym, jak wpuściła Nastię do mieszkania, zapaliła świecę. Do pokoju weszła pierwsza, kreśląc przed sobą w powietrzu duży znak krzyża.

- Jeśli ma pani złe zamiary, krzyż mnie ochroni - wyjaśniła Isiczenko, widząc zdumienie na twarzy gościa.

Nastię ogarnęło niedobre przeczucie. Najpierw Galina Iwanowna przypadkowo się przejęzyczą, mówiąc, że Lonia jej nie wybaczy, a teraz ta Isiczenko wyraźnie zdradza pociąg do różnych mistycznych teorii i obrzędów.

Rozmowa się nie kleiła. Ludmiła Isiczenko, w odróżnieniu od Olgi Riuchinej, była ciężkim rozmówcą. Nie wymigiwała się od odpowiedzi na pytania o Paraskiewicza, ale co chwila zbaczała z tematu i przechodziła do spraw pozagrobowych.

- Proszę powiedzieć, od jak dawna znała pani Leonida? - zapytała Nastia.

- Nadal go znam - padła odpowiedź. - To się nie skończy, póki żyję.

- A jednak kiedy się poznaliście?

- Znaliśmy się w poprzednich wcieleniach, dlatego spotkanie było nam sądzone.

- Kiedy do niego doszło?

- Rok i pięć miesięcy temu.

- W jakich okolicznościach?

- Przeczytałam jego książki i zrozumiałam, że to właśnie ON.

- Co za on?

- Mężczyzna, który jest mi przeznaczony i któremu ja jestem przeznaczona. To był znak z góry.

- I nie zastanowiła pani wiadomość, że Leonid jest żonaty?

- Co za bzdury! - burknęła Isiczenko. - Żonaty! Co znaczy „żonaty” w obliczu wieczności? Po prostu nie dane mu było usłyszeć głosu, więc nie mógł wiedzieć, że musi mnie szukać i czekać na nasze spotkanie. Ja jednak wiedziałam, więc kiedy go znalazłam, powiedziałam mu o tym wprost.

- I jak zareagował?

- Trudno mu było to pojąć, przecież nie każdy posiada taki dar. Próbowałam porozmawiać z jego kobietą...

- Z jego żoną? - uściśliła Nastia.

- Z jego kobietą - pogardliwie powtórzyła Ludmiła. - Bo żonę ma tylko jedną, MNIE. A tamta była po prostu kobietą, która chwilowo zaspokajała jego ziemskie potrzeby. Dopóki ja się przy nim nie pojawiłam. Tak właśnie jej powiedziałam.

- I co ona na to? Zrozumiała panią?

- Takie rzeczy ją przerastają. Jest istotą niższego rzędu, nie potrafi pojąć wyższych prawd.

- A Leonid potrafił?

- Musiał umrzeć, żeby je pojąć.

I tak przez bite dwie godziny. Rozmowa co rusz utykała, zamieniała się w bezkształtną, lepką gadaninę, z której Nastia z ogromnym trudem wyławiała drobinki informacji. W dodatku to, co słyszała, wprawiało ją w konsternację.

Gdyby odrzucić mistyczną zasłonę i wzmianki o życiu pozagrobowym, przypominające raczej majaki psychopaty, to historia, uzupełniona o wyjaśnienia Świetłany Paraskiewicz, wyglądała

następująco. Ludmiła Isiczenko uznała, że pisarz Leonid Paraskiewicz jest tym mężczyzną, na którego czekała przez całe życie, czyli niemal czterdzieści lat. W każdym razie niewiele brakowało. Ponieważ nie miała z modnym powieściopisarzem żadnych wspólnych znajomych i nie było osoby, która mogłaby ich ze sobą poznać, Ludmiła wzięła sprawę własnego szczęścia w swoje ręce i zajęła punkt obserwacyjny w pobliżu jednego z wydawnictw publikujących jego książki. Czekać musiała długo, ale się opłaciło. Prawie miesiąc później wypatrzyła Leonida. Śledziła go aż do samego domu, po czym weszła razem z nim do windy, dowiedziała się, na którym piętrze mieszka, a nawet podpatrzyła, przed którym mieszkaniem się zatrzymał. Następnego dnia zjawiała się u niego, nic sobie nie robiąc z obecności żony (kobiety, jak się wyraziła Ludmiła), przedstawiła się jako gorąca wielbicielka i poprosiła o autograf. Przezornie zabrała ze sobą jakieś osiem książek. Paraskiewicz nie krył niezadowolenia, ale książki podpisał i grzecznie zaproponował gościowi herbatę. Ludmiła za herbatę podziękowała, czym w jednej chwili zaskarbiła sobie sympatię małżonków, i dumnie się oddaliła. Znajomość została zawarta, pozostałe rzeczy były kwestią techniczną. Przypadkowe spotkanie w metrze: czyż może być coś bardziej naturalnego? A kiedy ukaże się pańska nowa książka? Ach, tak długo trzeba jeszcze czekać, cały miesiąc, umieram z niecierpliwości. A mogę przeczytać rękopis? Będę panu niezmiernie wdzięczna. Tak, oczywiście, kiedy panu wygodnie, proszę zapisać mój telefon. Jak tylko znajdzie pan wolną chwilę, podjadę, gdzie pan powie, i zabiorę rękopis. Obiecuję, że przeczytam go w ciągu doby. Pańskie książki pochłaniam jednym tchem... Później doszło do spotkania, podczas którego Leonid Paraskiewicz przekazał Ludmile rękopis swojej nowej książki. Bardzo panu dziękuję, już biegnę do domu i biorę się do czytania... Gdzie mam zadzwonić, gdy skończę? Sam pan zadzwoni? Oczywiście, oczywiście, jutro cały dzień jestem w domu. Będę czekać.

Nazajutrz Leonid zadzwonił do niej z mieszkania rodziców i zaczął szczegółowo wypytywać, co jej się podobało w powieści, a co nie...

Jednym słowem, ta sama historia co z Riuchiną. Znajomość stopniowo zacieśniała się, Leonid parę razy odwiedzał Ludmiłę, ale żadnych seksualnych aluzji nie czynił, czym doprowadzał ją do szewskiej pasji. Isiczenko podjęła próbę zamachu na jego cnotę, ale w odpowiedzi usłyszała banalne wyjaśnienie, że on kocha swoją żonę i nie chce jej zdradzać. Ludmiła ma natomiast bogatą, interesującą i niepospolitą osobowość i tylko to go w niej interesuje, co niewątpliwie jest o wiele bardziej zaszczytne, niż być kobietą do uciech cielesnych. Ludmiły jednak owe wyjaśnienia nie usatysfakcjonowały, więc zaczęła snuć przed Paraskiewiczem swoją teorię o ich wzajemnym przeznaczeniu i znajomości w poprzednim wcieleniu. Leonid stwierdził, że dla niego jest to, delikatnie mówiąc, nieco dziwne i musi jej słowa przemyśleć. Na tym zakończyło się tamto spotkanie.

Jako że proces analizy nowej teorii znacznie się Paraskiewiczowi przedłużył, Ludmiła udała się do jego mieszkania. Sam Paraskiewicz bowiem z jakiegoś powodu przestał do niej dzwonić, a swoich numerów przezornie jej nie zostawił. W domu go nie zastała, drzwi otworzyła jej Świetłana, więc Ludmiła już od progu zaczęła żądać, żeby Świetłana, ta przypadkowa kobieta, natychmiast ustąpiła jej swoje miejsce i nie śmiała przywłaszczać sobie tego, co do niej nie należy. Świetłana z początku cierpliwie słuchała, później pokazała gościowi drzwi. Ale poradzić sobie z niezrównoważoną Isiczenko nie było rzeczą łatwą.

- Twój mąż należy do mnie! - wrzeszczała tamta. - Kocha mnie i nieraz to udowadniał. Nie możesz z nim zostać, on toleruje cię tylko z litości, bo byłeś obok niego przez tyle lat, że nie potrafi wypędzić cię na ulicę. Tak samo żałuje się starego psa, który stał się niepotrzebny, ale szkoda go wygonić. Okaż więc wielkoduszność i zejdz mu z drogi. Pozwól, żebyśmy się połączyli i żyli razem.

- Skąd ci to przyszło do głowy, że Leonid zaledwie mnie toleruje? - zapytała oszołomiona Swietłana.

- Sam mi to mówi. Za każdym razem, kiedy doprowadzam go do ekstazy.

Cierpliwość Swietłany wyczerpała się, chwyciła Ludmiłę za rękę i spróbowała wypchnąć ją z mieszkania. Ale źle na tym wyszła. Nie wiadomo skąd w rękach Ludmiły pojawił się ogromny nóż do oprawiania mięsa. Swietłana pisnęła i zemdląła przerażona. Ocknęła się dopiero w szpitalu, w klinice dla nerwowo chorych, gdzie po przebytych wstrząsie przeleżała prawie dwa miesiące. Leonid codziennie ją odwiedzał, zaklinał się, że między nim a Ludmiłą nigdy nic nie było, nawet cienia bliskości, zapewniał, że Isiczenko to zwyczajna wariatka, której nie należy traktować poważnie.

Powoli stan Swietłany się stabilizował, Leonid zabrał ją do domu, gdzie razem opracowali strategię zachowania, która przynajmniej w jakimś stopniu chroniłaby ich przed obłąkaną Isiczenko. Istota nowego planu polegała na tym, że Leonid, będąc osobą szlachetną, nie może wypędzić swojej kobiety, która jest ciężko chora. Za sprawą Ludmiły, nawiasem mówiąc. Dlatego musi minąć trochę czasu, zanim Swietłana jako tako się pozbiera. Ludmiła natomiast powinna powstrzymać się od kontaktów z Leonidem i w ten sposób odkupić swój grzech wobec niewinnej Swietłany. Paraskiewicz umiał być bardzo przekonujący. A na dodatek dość umiejętnie wykorzystał niedorzeczne idee, które owładnęły Ludmiłą, żeby wpoić jej to, co uznał za stosowne. Jednym słowem, postanowili, że dopóki trwa proces odkupienia grzechu, nie wolno im być razem, nie wolno się spotykać ani nawet rozmawiać. Równy rok, oznajmił Leonid, spotkają się w tym samym miejscu, gdzie teraz rozmawiają, o tej samej godzinie, i pójdą dalej przez życie ręką w rękę. Ludmile nie pozostało nic innego, jak tylko się zgodzić. Nie miała wyboru.

- Isiczenko zamieniła nasze życie w prawdziwe piekło - opowiadała Nasti Świetłana Paraskiewicz. - Nie mogliśmy spokojnie chodzić po ulicach, ciągle mieliśmy wrażenie, że ona gdzieś na nas czatuje. Baliśmy się nawet otwierać drzwi, jeśli ktoś przychodził niezapowiedziany. A zresztą, wie pani, moje serce ciągle toczył robak zwątpienia. A co będzie, jeśli mnie oszukali? A może Lonia zdradzał mnie z Ludmiłą? W sumie

obojgu nam było bardzo ciężko i jakoś tak... no, nieprzyjemnie. Stale wisiało to w powietrzu, przeszkadzało żyć i nie pozwalało wzajemnie sobie ufać. Wtedy właśnie pomyśleliśmy o przeprowadzce, zaczęliśmy szukać możliwości zamiany mieszkania.

- A co się wydarzyło po roku?

Świetłana w zamyśleniu spojrzała na Nastię.

- Lonia umarł. Mniej więcej w tym czasie. Ta idiotka nawet na pogrzeb się przywlokła. Ciągle się bałam, że zaraz publicznie ogłosi, że jest Loni przeznaczona, wywoła skandal i dopiero się zacznie. Ale na szczęście coś ją powstrzymało i zachowywała się cicho.

- Proszę powiedzieć, Świetłano, czy nie przyszło pani do głowy, że to ona mogła zabić pani męża?

- Nie, jeśli mam być szczerą. Jakoś o niej nie pomyślałam. Po co miałyby go zabijać, skoro chciała z nim być?

- No cóż, obiecany rok minął, więc mogła wpaść w gniew, gdy zrozumiała, że została oszukana.

- Ale przecież rok jeszcze nie minął. Upłynął dopiero tamtego dnia, kiedy Lonia zginął...

Po rozmowie ze Świetłaną Nastia musiała znowu pojechać do Isiczenko, żeby doprecyzować szczegóły.

- Czy to prawda, że Leonid obiecał pani, że za rok wszystko załatwi?

Isiczenko zrobiła się blada jak śmierć, wskutek czego zmarszczki na jej twarzy zarysowały się ostrzej.

- Skąd pani wie? Nie będę z panią rozmawiać, dopóki nie powie mi pani, skąd się pani o tym dowiedziała.

- Leonid mi wszystko powiedział - bez zmrżenia oka skłamała Nastia. W końcu po co się męczyć i wywahać otwarte drzwi.

- Leonid? Czy to znaczy, że pani też się objawił?

- Owszem - przytaknęła Nastia. - Zrozumiał, że chcę znaleźć zabójcę i pomóc jego roztrzęsionej duszy odnaleźć spokój, więc przyszedł do mnie i powiedział mi o waszej umowie.

- Zabronił mi komukolwiek o tym mówić.

- Ale to było dawno. - Nastia próbowała się wykręcić. - Przecież nie mógł wiedzieć, że zginie, inaczej odwołałby swój zakaz.

- Zabronił mi tego już po śmierci.

- A więc ukazuje się pani? - wyrwało się Nasti, zanim zdała sobie sprawę, że palnęła oczywiste głupstwo.

- Naturalnie, nie pani jednej przecież.

W głosie Isiczenko znowu zabrzmiała nuta wyniosłej pogardy.

- Ludmiło, dlaczego nie chce mi pani pomóc znaleźć zabójcy Leonida? - z wyrzutem odezwała się Nastia. - Jest pani najbliższą mu osobą, tak dużo pani o nim wie, on nawet kontaktuje się z panią po śmierci, to znaczy, że ufa pani jak nikomu innemu. Nie mógł pani nie powiedzieć, kto i dlaczego go zabił. Nigdy nie uwierzę, że pani tego nie wie.

Isiczenko dosłownie zzieleniała. Jej twarz wykrzywił grymas przerażenia i nienawiści.

- Tak - odpowiedziała hardo - wiem, kto go zabił. Ale pani tego nie zdradzę.

- Ale dlaczego?

- Dlatego.

- Niech pani nie zapomina, Ludmiło, że ja też miałam widzenie. Leonid powiedział mi, że rozmawiał z panią o tym, kto i dlaczego go zabił. Co więcej, powiedział mi, że pod żadnym pozorem nie ma pani tego ukrywać, jeśli ktoś zapyta. Czyżby nie zamierzała pani uszanować jego woli?

Isiczenko milczała, wbijając wzrok w swoje kościste kolana, ciasno opięte żółtymi spodniami.

- Czekam, Ludmiło. Co pani powiedział Leonid?

Nastia blefowała rozpaczliwie i w ciemno, ale właściwie nic nie ryzykowała. Nawet jeżeli jej domysły dotyczące psychopatycznych zwidów Isiczenko są fałszywe i Leonid Paraskiewicz niczego podobnego Ludmile nie mówił, nie nakazywał i nie zabraniał, zawsze można wytłumaczyć się tym, że przecież jej, Nasti Kamińskiej, jego duch

naprawdę się ukazał. Nie da się tego sprawdzić. A to, że Nastia usłyszała rzeczy, które nie pokrywają się ze słowami skierowanymi do Ludmiły - no cóż, to normalne, zjawy z wielu powodów mogą również nie mówić prawdy. Szczególnie niepokoiła Nastię myśl wypowiedziana przez Isiczenko poprzednim razem: „Leonid musiał umrzeć, żeby to pojąć”. Okropne zdanie, mówiąc wprost. Nawet jeśli złożyć je na karb choroby psychicznej Ludmiły, to i tak zalatywało od niego kryminałem.

W końcu Isiczenko uniosła głowę i wlepiła w Nastię ciemne oczy, w których płonął chorobliwy i dziki ogień.

- Leonid uprzedzał mnie przed śmiercią, że musi umrzeć, byśmy mogli się połączyć. Że dopiero po śmierci będzie należał wyłącznie i niepodzielnie do mnie. Dlatego tamtego dnia, kiedy upłynie rok od zawarcia naszej umowy, odejdzie z tego świata.

Masz ci los, z rozpaczą pomyślała Nastia. Zaraz zacznie mi wmawiać samobójstwo. O żadnym zamachu samobójczym nie może być mowy, broń leżała w zbyt dużej odległości od zwłok, a wystrzał padł co najmniej z dwóch metrów.

- W jaki sposób uprzedził panią o tym? - zapytała cierpliwie.

- Odwiedził panią w przeddzień śmierci?

- Nie, to byłoby złamaniem umowy. Zadzwoił do mnie i powiedział, że dopóki należy do tego świata, nie będziemy mogli być razem. Zbyt wiele ciąży na nim ziemskich powinności i obowiązków, a nasz związek jest nam pisany z góry i nie może być obarczony troskami ziemskiego istnienia. Ale po śmierci będziemy razem na wieki.

- Tak właśnie się wyraził: po śmierci?

- Owszem, tak właśnie powiedział.

- Może nie miał na myśli swojej śmierci?

- A niby czyją?

- Na przykład pani. Albo Świetłany.

- Gdyby chciał mojej śmierci, powiedziałby mi o tym. Gdyby chciał śmierci tej kobiety, toby ją zabił. Nie, pragnął wyłącznie swojej śmierci. I otrzymał ją. Mówił, że to dla niego ważne, żeby śmierć nastąpiła przed

północą tamtego dnia, kiedy mijał rok. Jeśli śmierć spóźni się choćby o minutę, nie będziemy mogli się połączyć.

- No i co? - Nastia zrobiła głupią minę. - Leonid zdążył odejść z tego świata przed północą?

Isiczenko wolno podniosła się z kanapy, na której siedziała przygarbiona, wyprostowała się, zadarła podbródek i obrzuciła Nastię promiennym spojrzeniem.

- Chyba pani widzi, że jesteśmy razem. To znaczy, że wszystko odbyło się tak, jak chciał.

- Proszę powiedzieć, Ludmiło, czy nie pomagała mu pani wcielić tego pomysłu w życie?

- Zawsze i we wszystkim pomagałam Leonidowi.

- To znaczy, że słabo mu pani pomagała - z nagłą złością oznajmiła Nastia. - Bo Leonid Paraskiewicz zmarł trzydzieści minut po północy. Nasuwa się więc wniosek, że albo mnie pani okłamuje, albo ktoś okłamuje panią. Ma pani bliskich krewnych?

- Co to ma wspólnego z Leonidem?

- Nic, dlatego pytam. No to co z tymi krewnymi?

- Kuzynki ojca, ale są już w podeszłym wieku.

- A pani rodzice?

- Umarli, dawno temu.

- Czy te kuzynki mają rodziny, dzieci?

- Tak, oczywiście. Ale nie rozumiem...

- I nie musi pani. Kim byli pani rodzice, czym się zajmowali?

- Ojciec był historykiem sztuki i kolekcjonerem, bardzo znanym.

- To znaczy, że jest pani bogatą spadkobierczynią?

- Wszystko zapisałam Leonidowi.

- A gdyby nie spotkała pani Paraskiewicza?

- Musiałam go spotkać, tak było nam pisane.

O Boże, jęknęła Nastia, daj mi siłę to znieść. Jeżeli ona jeszcze raz wyskoczy z przeznaczeniem, uduszę ją własnymi rękami.

- Pani krewni wiedzieli o spadku?

- Ma się rozumieć. Wiele razy zagadywali mnie o to, ale wyjaśniłam im, że wszystko należy do tego jedyne go mężczyzny...

Z mieszkania Isiczenko Nastia wyszła ledwie żywa, jakby właśnie skończyła rozładowywać wagon ziemniaków w hurtowni warzyw. W drodze do prokuratury miejskiej próbowała połączyć na wpół niedorzeczne wypowiedzi Ludmiły w mniej więcej spójną opowieść. Nastia przez cały czas starała się oddzielić fikcję od rzeczywistości, ale w końcu zrozumiała, że jej wysiłki są daremne. Nabrała pewności, że oprócz oczywistych bzdur i w pełni autentycznych zdarzeń ma do czynienia z jakimś sprytnym oszustwem, które uniemożliwia dokładne oddzielenie szaleństwa od rzeczywistości, cementuje je i splata w całość.

Na śledczego Olszańskie go przykro było patrzeć, związał się z bólu podczas kolejnego ataku nieżytu żołądka, który zmuszał go do siedzenia przy biurku w przygarbionej pozycji i nie pozwalał mu rozprostować ramion.

- Nie zwracaj na mnie uwagi - zaskrzypiał nieszczęśliwym głosem, kiedy Nastia zaczęła ubolewać nad jego niezdrowym wyglądem. - Połknąłem już wszystko co trzeba: i allocholom, i smectę, i phosphalugel, teraz pozostaje tylko czekać, aż zadziała.

- A kiedy zadziała? - ze współczuciem zapytała Nastia.

- Za jakieś dwadzieścia minut, jeśli będę miał szczęście.

- A jeśli nie?

- Wezmę nową dawkę. Opowiadaj, czego nowego się dowiedziałas.

- Konstantynie Michajłowiczu, podczas rozpracowywania motywu zazdrości natknęliśmy się na pewną dziwną osobę, Ludmiłę Borisownę Isiczenko. Po pierwsze, jest kompletnie obłąkana, co mocno nas ogranicza. Nie można jej wierzyć ani nie warto przesłuchiwać, w ogóle nie sposób z nią rozmawiać. Po drugie, jeśli nie jest obłąkana, to całkiem prawdopodobne, że to ona zabiła Paraskiewicza, bo zazdrość, jak wszystko wskazuje, aż w niej wrzała, przeogromna i niekontrolowana. Po trzecie, Isiczenko mogła zabić Paraskiewicza również i w tym wypadku, jeśli jest mimo wszystko obłąkana. Jak już powiedziałam,

motyw miała nader potężny. I po czwarte, Isiczenko to rzeczywiście chora kobieta, ale Paraskiewicza zabiła nie ona, tylko jej krewni, którzy połączyci się na spadek. Jak się okazało, Isiczenko to niezwykle bogata spadkobierczyni, ale jej życzeniem było złożenie wszystkiego u stóp genialnego powieściopisarza. No i taki mamy miszmasz.

- Pozostaje się tylko otruć. - Olszański skrzywił się. - Jeszcze tylko wariatów nam brakowało, coś dawno nie mieliśmy z nimi do czynienia. Słuchaj, a mocno jej szajba odbiła? Czy może tylko tak trochę?

- Konstantynie Michajłowiczu, w psychiatrii jestem dyletantką, ale nawet ja widzę, że Isiczenko jest niepoczytalna. Jednak tylko przy założeniu, że nie kłamie. Równie dobrze może się okazać genialną aktorką. Jej bajeczka ma ręce i nogi, to znaczy jest logiczna, wewnętrznie spójna i obejmuje cały szereg zewnętrznych wydarzeń, które tłumaczy. W dodatku Isiczenko ma dobre rozeznanie w otaczającym ją świecie, więc wszystko to można by złożyć na karb bujnej wyobraźni, gdyby niejedno ale: kobieta ma halucynacje. Bo widzi pan, ukazuje jej się duch nieboszczyka Paraskiewicza i prowadzi z nią długie łzawe rozmowy. Isiczenko twierdzi, że w przeddzień śmierci Paraskiewicz zadzwonił do niej i opowiadał o nieuchronności własnej śmierci, po której będzie mógł się z nią połączyć na wieki. A teraz proszę zobaczyć, jakie obrazki panu namaluję.

- Będą straszne? - zainteresował się Olszański, krzywiąc się pod wpływem kolejnego ataku bólu.

- Koszmarne. A więc tak. Scena pierwsza. Krewni, zirytowani tym, że drogocenna kolekcja obrazów i antyków przypadnie jakiemuś pisarzynie, czynią niezbędne kroki. Ponieważ Ludmiła przed nikim nie ukrywa swoich absurdalnych przekonań, co więcej, właściwie nawet się nimi szczyci, to krewni, rzecz jasna, są świetnie zorientowani. Telefonują do niej, naśladują głos Paraskiewicza i proszą o pomoc w opuszczeniu tego świata. Może to być coś w stylu: „Kochanie, muszę się z tobą połączyć, ale to możliwe tylko wtedy, jeśli tego a tego dnia umrę przed północą. Pomóż mi. Sam nie mogę odebrać sobie życia, religia zabrania

samobójstwa i traktuje je jako grzech. Weź broń, leży w tym i w tym miejscu, i czekaj na mnie na balkonie przy schodach w domu pod takim a takim adresem...”. I dalej w ten deseń. Jeżeli tekst będzie się dobrze wpisywać w obłąkaną koncepcję Isiczenko, kobieta ślepo we wszystko uwierzy. W ostateczności można zasięgnąć porady psychiatry. Ludmile tak czy inaczej nic nie grozi, ekspertyza sądowo-psychiatryczna pozwoli uznać ją za niepoczytalną i sąd wyśle ją na przymusowe leczenie. A po jakimś czasie ustanowiona zostanie opieka nad ubezwłasnowolnioną Isiczenko, i po sprawie. Wszystkie pieniądze bez przeszkód przepływają na konto krewnych.

- To pięknie, ale przecież ten, kto dzwonił do Ludmiły, musiał wiedzieć, że ona może sprawdzić jego słowa. Wyobraź sobie, że pół godziny po odebranych telefonie Isiczenko sama dzwoni do Paraskiewicza i pyta: „Kochanie, zapomniałam, gdzie ma leżeć pistolet?” I koniec, oszustwo zdemaskowane.

- Wcale nie. Paraskiewicz kilka dni przed śmiercią przeprowadził się do nowego domu na obrzeżach Moskwy, gdzie nie było telefonu. Tak więc nawet mimo najszczerzej chęci Isiczenko nie mogłaby do niego zadzwonić.

- Ale mogła do niego przyjść.

- Nie mogła, mówiłam przecież, że niedawno się przeprowadził. Nowego adresu jej nie dał, bo w ogóle starał się przed nią ukryć.

- Dobra, wygrałaś. Maluj następny obrazek.

- Następny obrazek rysuje się na tle szaleńczej miłości Isiczenko do Leonida Paraskiewicza. Gdy dociera do niej, że ukochany nie zamierza zostawić żony, bez czyjej > colwiek udziału dochodzi do wniosku, że nie ma dla drania miejsca wśród żywych. Nikt jej nie podburza i nie oszukuje, Isiczenko zdobywa broń i czatuje na niewiernego kochanka na podeście koło windy. Pytanie tylko, czy jest chora, czy zdrowa. Przecież opowiadana przez nią historyjka może być sfingowana. Ale wtedy pojawia się obrazek numer trzy, który jest tak straszliwy, że rozszyfrowanie go, Konstantynie Michajłowiczu, może się dla nas

skończyć pomieszaniem zmysłów.

- Toś mnie nastraszyła. - Olszański zamachał rękami. - Ja na przykład nie mam nic do stracenia, bo i tak już dostaję małego rozumu.

- Widzi pan, halucynacje Ludmiły Isiczenko nie pojawiły się ani wczoraj, ani dzisiaj. Osobliwe myśli ogarnęły ją dość dawno, w każdym razie rok temu odwiedziła Paraskiewiczów i przekonywała jego żonę, że Leonid jest jej przeznaczony. Jeśli przyjąć, że Ludmiła jest całkiem zdrowa, to trzeba stwierdzić, jakkolwiek byłoby to przykre, że mamy do czynienia z dokładnie wyreżyserowaną mistyfikacją, która zaczęła się niemal półtora roku temu. Komu coś takiego przyszło do głowy? W jakim celu? Kto na tym zyskał? Mam mętlik w głowie. Przecież życie Paraskiewicza to żadna niewiadoma, nie ma w nim ani tajemnic, ani ciemnych plam, ani podejrzanych znajomych, zupełnie nic. Wyjątkowo utalentowany zahukany fajtłapa, który nie potrafi powiedzieć nie i posłać wydawców do diabła, stłamszony przez despotyczną matkę i nienawidzący jej po cichu, pozwalający sobie na nieśmiałe seksualne wyskoki, ale głównie tylko po to, żeby splądrować duszę kolejnej kobiety i zdobyć nowe informacje, które z powodzeniem wykorzysta później w kolejnej powieści. Kto by przez półtora roku zastawiał sieci na takiego człowieka? Komu mógł stanąć na drodze? 4

- Niezła jesteś, Kamieńska, w zadawaniu pytań. - Śledczy pokręcił głową. - Idź do domu, wyśpij się i przemyśl dokładnie odpowiedzi. A co? Pytania zadajesz absolutnie słuszne i logiczne, no to spróbuj na nie odpowiedzieć.

- No wie pan, Konstantinie Michajłowiczu... - Nastię aż zatkało z oburzenia, lecz po chwili roześmiała się serdecznie. - W takim razie niech pan poleci Miszy Docence, żeby się spotkał z żoną Paraskiewicza.

- A niby po co?

- Niech porozmawia z nią na temat zazdrości. Bo widzi pan, jeśli Świetłana zdradzała męża, prędzej przyzna się do tego mężczyźnie niż kobiecie.

- Czyżby?

- Proszę, oto odpowiedź na pańskie „czyżby” - powiedziała Nastia, przedrzeźniając go. - Mieszania to przystojniak jakich mało, ciągle go wykorzystuję w podobnych sytuacjach. Zamężne kobiety bardzo często zwierzają mu się ze swoich małżeńskich zdrad i kryje się za tym nietrudny do rozszyfrowania podtekst: nie jestem nazbyt przywiązana do męża, więc i tobie, czarnooki kotku, może coś z tego skapnąć. Jeśli Misza zdoła się kobiecie spodobać, to ona za nic nie będzie odgrywać cnotki, chyba że rzeczywiście nią jest, sto razy to przerabialiśmy.

- Słuchaj, Nastazjo, tak mnie to wszystko skołowało, że nawet niezbyt żołądka się zląkł i uciekł. Rób, jak uważasz.

Kiedy drzwi za kobietą z milicji się zamknęły, Ludmiła Isiczenko chwyciła miotełkę z szufelką i zaczęła zapamiętałe zamiatać pokój i korytarz. Później złapała szmatę i dokładnie umyła podłogę, przesuając się od okna w pokoju do drzwi wejściowych.

- Żebyś nigdy tu nie wróciła - mamrotała - i niech twój duch odwiedzie cię od mojego domu.

Gdy skończyła sprzątanie, zdjęła żółty kostium i włożyła dokładnie taki sam, ale fioletowy, w którym wyglądała jeszcze gorzej. Fioletowy kolor całkiem ją postarzał. Leonid polecił jej, żeby nieznanym przyodziana w fiolety. Ludmiła nie śmiała mu się sprzeciwić, ubóstwiała Paraskiewicza i uważała za swojego pana i władcę. Wczoraj obiecał, że pojawi się między ósmą a dziewiątą wieczorem, ale do jego wizyty zaczynała się szykować zawczasu: przebierała się, umieszczała na stole siedem świec, które zapalała, jak tylko Leonid przychodził.

Ludmiła wyjęła z pudełka siedem nowiutkich świeczek, a z szuflady starego kredensu siedem lichtarzy, które ustawiła na stole w takiej kolejności, jakiej żądał Leonid. Potem zaczęła czekać. Usiadła w fotelu i pogrążyła się w tępym odrętwieniu. Również o godzinie ósmej wieczorem rozległ się dzwonek telefonu.

- Idę do ciebie - zaszemrał daleki głos z zaświatów. - Bądź gotowa i czekaj na mnie, idę do ciebie...

Ludmiła zerwała się z fotela i zaczęła się gorączkowo miotać po mieszkaniu. Musi wyłączyć lampy i żyrandole, bo Leonid nie znosi ostrego światła. W chwili jego przybycia powinna koniecznie rozbrzmiewać *Msza h-moll* Bacha. W dużym pokoju znajduje się wieża z czterema kolumnami, które należy ustawić tak, żeby dźwięk koncentrował się w miejscu wskazanym przez Leonida. Ludmiła prędko obróciła głośniki w odpowiednią stronę, włączyła muzykę na pełny regulator, zgasła światło i zamarła w pełnym napięcia oczekiwaniu.

Leonid ukazał się jak zawsze niespodziewanie. Ani razu nie udało jej się uchwycić momentu, kiedy zjawiał się w pokoju. Dopiero co go nie było, i nagle stoi po drugiej stronie stołu. Ludmiła rzuciła się do zapalania świec. Kiedy zapłonęła siódma, kobieta przekręciła gałkę i ściszyła muzykę.

- Dzisiaj znowu była u mnie milicja - powiedziała prędko, bojąc się, że Leonid zniknie, nim ona zdąży go zapytać o zdanie w najważniejszej sprawie.

Już się tak zdarzało, czasami rozmawiał z nią dziesięć albo piętnaście minut, niekiedy zaś wychodził zaraz po tym, jak się zjawiał.

- Po co? Czego chcieli?

Głos miał cichy i jakby nie z tego świata, więc Ludmiła musiała mocno się starać, żeby go usłyszeć. Leonid nie pozwalał wyłączać muzyki, zgadzał się tylko, żeby ją mocno ściszyć, ale muzyka kościelna i tak musiała rozbrzmiewać. Zbliżyć się do niego Ludmiła nie mogła, chociaż Leonid za każdym razem jej to proponował. Bała się. Zawsze stali po przeciwnych stronach stołu, rozdzieleni siedmioma płonącymi świecami, i Ludmiła upajała się widokiem najpiękniejszej na świecie twarzy. Gotowa była oddać wszystko za możliwość oglądania jej przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Pytali, czy nie mówiłeś mi, kto cię zabił.

- I co im odpowiedziałas?

- Nic. Nic im nie powiedziałam.

- Zgrzeszyłaś - surowo i cicho odezwał się Leonid. - Nie po to

rozstałem się z życiem, żeby iść przez wieczność obok kłamliwej grzesznicy. Powinnaś była do wszystkiego się przyznać.

- Ale jak miałam to zrobić? - wymamrotała Ludmiła, nie spuszczać oczu z ubóstwianej twarzy.

- Powinnaś była się przyznać. I jeśli nie zrobiłaś tego dzisiaj, to zrobisz jutro. Ponoś wielką winę za chorobę Świetłany i za to, że próbowałaś ją zabić. Ulitowałem się wtedy nad tobą i nikomu nic nie powiedziałem, przez co ona dostała rozstroju nerwowego. A przecież mogłem wszystkim oznajmić, że próbowałaś ją zabić, że zakradłaś się do mojego domu z ogromnym tasakiem. Ulitowałem się jednak nad tobą i zdradziłem Świetlanę, która nie jest niczemu winna. Lekarze myśleli, że miała halucynacje, że przywidziała jej się kobieta z nożem, a ja milczałem i nie powiedziałem, że to się naprawdę zdarzyło. Świetłana przeszła bardzo ciężkie leczenie. Straszliwie cierpiała. Biedna, niewinna ofiara. To my jesteśmy temu winni. Ty i ja. Wina stała się dla nas straszliwym ciężarem, i dlatego nie mogliśmy połączyć się w ziemskim życiu. Jedno z nas musiało odejść do lepszego świata. I znowu to ja się poświęciłem, zostawiłem chorą i bezradną Świetlanę samą i odszedłem do krainy zmarłych. A ty? Co ty zrobiłaś, żeby odkupić swój grzech?

- Przecież ci pomogłam - wybąkała Ludmiła. - Zrobiłam wszystko, o co prosiłeś. Czy to nie dosyć, żeby móc wiecznie przebywać obok ciebie?

- Musisz oczyścić się ze zła i grzechu. - Głos zjawy stał się jeszcze cichszy i Ludmiła cała zamieniła się w słuch. - Musisz przyznać się do wszystkiego i wyrazić skruchę. Inaczej ani ja, ani ty nie zaznamy spokoju. Twoja kara będzie surowa, ale musisz być na to przygotowana.

- Kara? O czym ty mówisz?

- Przyznasz się do tego, że pomogłaś mi odejść, i wszystko opowiesz. Potem wyślą cię do szpitala i zaczną leczyć tak boleśnie i dotkliwie, że śmierć wyda ci się wybawieniem. Ale nie dadzą ci umrzeć. To będzie właśnie ta kara, która dosięgnie cię za twój grzech. Za to, co zrobiłaś Świetłanie.

- Ale ja nie chcę! - Ludmiła niemal krzyknęła. - Nie chcę! Pragnę być z tobą!

- A więc chodź do mnie - zaszemrał głos Leonida. - Chodź do mnie, kochanie. Przyznaj się do wszystkiego, wyraż skruchę i chodź do mnie. Wtedy nic już nas nie rozdzieli. Niech muzyka popłynie głośniej, odchodzę...

Ludmiła niczym zahipnotyzowana posłusznie przekręciła gałkę, i *Msza* znowu rozbrzmiała z pełną siłą. Zaczęła gasić świece jedną po drugiej, nie spuszczać oczu z ukochanej twarzy, która, zdawało się, stopniowo rozpływała się w ciemności. Jak zawsze po spotkaniu z duchem Ludmiła wpadła w otępienie. Stała nieruchomo pośrodku pokoju przy stole i miała wrażenie, że pogrąża się we śnie. Wiedziała, że sama nie zdoła otrząsnąć się z ciężkiego odrętwienia. Apatia minie, jak tylko skończy się muzyka. Myśli płynęły ospale, ręce i nogi ciążyły ołowiem.

Dobrze, zrobi tak, jak sobie życzy Leonid. On jest jej władcą, a ona jego pokorną niewolnicą i podporządkuje się jego woli.

ROZDZIAŁ 5

Nugzar Bokuczawa, dyrektor generalny wydawnictwa Wird, czekał na przybycie Świetłany Paraskiewicz z lekkim rozdrażnieniem i sporą dozą ciekawości. Wiedział już, że Pawlin za dwadzieścia pięć tysięcy dolarów kupił od niej ostatni bestseller sławnego powieściopisarza, i miał pretensje do wdowy po pisarzu. Dlaczego zaproponowała rękopis temu opasłemu Paszce? Przecież Nugzar zawsze płacił Paraskiewiczowi wyższe honoraria niż pozostała czwórka wydawców. Za rękopis o objętości dwunastu arkuszy oni dawali osiemset, dziewięćset dolarów, a on, Nugzar - dziewięćset pięćdziesiąt, a dwa razy zaoferował nawet tysiąc. Dlaczego więc ona nie zwróciła się do niego?

Mężczyzna co rusz wyglądał przez okno i w końcu dostrzegł parkujące stare żiguli, którym wcześniej jeździł Leonid. Nugzar natychmiast nacisnął przycisk interkomu.

- Rita, prędko, kawa, koniak, cukierki. I nie zapomnij o prezencie z okazji Nowego Roku. Ona już idzie.

Bokuczawa zerwał się z fotela i podszedł do lustra, przyglądał włosy, poprawił krawat. Opasły Paszka zdał mu szczegółową relację z wizyty Świetłany, więc Nugzar wyciągnął dla siebie korzystną naukę. Nie zachowa się tak głupio.

Kiedy drzwi się otworzyły, szybko wstał i zrobił kilka kroków w stronę gościa.

- Swietłana! Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę.

Pocałował wdowę w rękę, nie zaproponował jej jednak, żeby usiadła na krześle naprzeciw jego biurka, ale powiódł ją ku miękkim fotelom w rogu gabinetu.

- Wszyscy bolejemy razem z tobą, moja droga - zaczął z przejęciem.

- Jednakże zdaję sobie sprawę, że gorycz twojej straty jest nieporównywalnie większa. Masz jakieś kłopoty? Powiedz tylko, a zrobię wszystko, żeby ci pomóc.

Twarz Świetłany była surowa i smutna, ale Nugzar Bokuczawa miał wprawne oko. Zbyt dobrze wyglądała jak na wdowę w nieutulonym żalu. Pewnie już sobie znalazła gacha. A może już dawno to zrobiła, a śmierć Leonida po prostu rozwiązała jej ręce. A co, jeśli ten jej kochanek Lońkę... tego?... Bzdura, przywołał się do porządku wydawca, przecież musiałyby nie mieć rozumu, żeby własnymi rękami pozbywać się źródła stałego dochodu. Za co będzie żyła bez powieści Loni? Ze wznowień? Ale to się szybko skończy. Dwadzieścia siedem romansów, nawet gdyby wydać każdy jeszcze dwa razy - to nie więcej niż czterdzieści tysięcy dolarów, przecież honorarium za wznowienie jest o wiele mniejsze niż za pierwszą publikację. Ile ona pociągnie za te czterdzieści tysięcy?... Sama to pewnie rozumie, nie jest dzieckiem.

- Dziękuję, Nugzarze - odezwała się Świetłana. - Mam niestety tylko jeden problem, którego jednak nikt nie pomoże mi rozwiązać. Lonia odszedł i muszę nauczyć się żyć bez niego.

Ładniutka Rita wtoczyła do gabinetu stolik z dzbankiem do kawy, filiżankami, butelką dobrego koniaku i małutkimi kieliszkami. Na dolnej półce leżała duża, elegancko zapakowana paczka. Bokuczawa nieznacznie skinął Ricie głową.

- Świetłano Igoriewno, w naszym wydawnictwie bardzo lubiliśmy i ceniliśmy pani męża. Proszę przyjąć noworoczny prezent od nas wszystkich, od całego zespołu - powiedziała dziewczyna, wręczając Świetłanie paczkę.

- Dziękuję, kochanie. - Paraskiewicz łaskawie skinęła głową. - Jestem wzruszona. Rozumiem, że to nie jest prezent dla mnie, lecz dla Loni. Ale przyjmę go przez pamięć o nim.

Rita opuściła gabinet, szczelnie przymykając za sobą drzwi. Nugzar podszedł do sejfu i wyjął niewielkie pudełeczko.

- A to tylko ode mnie.

Otworzył etui i podał jej Świetłanie. Na ciemnym aksamicie połyskiwał gruby złoty łańcuszek marki Cartier.

- No co ty! - Świetłana przecząco pokręciła głową. - Za co to? Nie zasłużyłam na taki prezent. Nie trzeba, Nugzarze, zabierz to, proszę.

- Ależ trzeba.

Bokuczawa delikatnie, ale stanowczo wsunął jej etui do ręki.

- Spędziłaś u boku Leonida wszystkie te lata, byłaś jego wierną pomocnicą i oparciem. Bez ciebie nie stałby się tym, kim się stał. Wszyscy to rozumiemy, a ja przede wszystkim.

- Dlaczego ty?

- Bo Leonid wiele razy mi o tym wspominał. Mówił, ile znaczy dla niego twoje wsparcie, twoje rady, sama twoja obecność. Bardzo cię kochał, Swieta, i cokolwiek by ludzie gadali, nikomu nie wierz. Wiem, co mówię. Lonia cię kochał i dzięki tej miłości tworzył wspaniałe książki.

Nugzar przygotował przemowę wcześniej, jeszcze wtedy, kiedy jeździł od jubilera do jubilera, żeby wybrać łańcuszek dla Świetłany. Kiedy zadzwoniła wczoraj i uprzedziła, że dzisiaj wpadnie, od razu się domyślił, że ma jakąś sprawę. Że czegoś chce. A skoro tak, to i on, Bokuczawa, musi dopilnować swego. Potrzebuje praw do wznowień wszystkich powieści Paraskiewicza.

- No cóż... - Świetłana zrobiła pauzę, po czym westchnęła. - Dziękuję, Nugzarze. Zawsze byłeś dżentelmenem. Niestety, ja nie mam dla ciebie prezentu na Nowy Rok, chyba że...

Podniosła dużą torbę, stojącą obok niej na podłodze, i wyjęła z niej teczkę. Zwykłą teczkę, jota w jotę taką, w jakiej Leonid zazwyczaj przynosił swoje rękopisy.

- To nowa powieść Loni. Skończył ją tuż przed zabójstwem.

Bokuczawa zeszytniał. To dopiero żmija! On do niej jak do człowieka, na łańcuszek się wykosztował, tańczył koło niej, może kawki, koniaczku, może w czymś pomóc, a ona... Chce go wystawić? Ma go za skończonego kretyna? Myśli, że Paszka nic mu nie powiedział? Ależ z

niej Świnia, ależ manipulantka! Dobra, już on jej pokaże.

Nugzar wziął od niej teczkę i drżącymi ze wzburzenia palcami rozwiązał tasiemki, po czym zerknął na stronę tytułową. *Nienawiść bywa różowa*. Dziwne, Paszka mówił, że rękopis, który mu sprzedała Swietłana, nosi tytuł *Aktorka dla mordercy*. Albo coś w tym stylu... Ale to, oczywiście, głupstwo, stronę tytułową można przerobić i wpisać dowolny tytuł. Najważniejszy jest tekst.

- Czy to nie ten rękopis, który sprzedałaś Pawlinowi? - zapytał ostrożnie, nie wypuszczając teczki z rąk.

- Nie - krótko odparła Swietłana, ani trochę niezaskoczona, widocznie spodziewając się takiego pytania.

- Nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli sprawdzę?

- Oczywiście, że nie, Nugzarze, sprawdzaj. Ale tu i teraz, przy mnie, bo rękopisu ci nie zostawię.

Bokuczawa usiadł przy biurku i wybrał numer telefonu wydawnictwa Pawlin.

- Pasza? To ja. Masz pod ręką nową powieść Paraskiewicza? Przefaksuj mi początek pierwszego, trzeciego i piątego rozdziału. Nie, nie konkretne strony, ale te, na których zaczynają się rozdziały. Później ci wytłumaczę. Później, Pasza, później. Zrób, proszę, o co cię proszę. Tak, właśnie teraz.

Od czasu gdy wielu pisarzy zaczęło pracować na komputerach, Nugzar Bokuczawa nauczył się wykrywać mnóstwo drobnych oszustw, które nie były możliwe, kiedy rękopisy przepisywano przez kalkę na maszynie w kilku egzemplarzach. Kopie maszynowe były identyczne, natomiast wersje wydrukowane na drukarce mogły się znacząco różnić. Wszystko zależało od ustawień strony w komputerze, od odstępów między wierszami, liczby znaków w jednym wierszu. I wówczas w jednej wersji jakiś fragment mógł, na przykład, znajdować się na stronie czterdziestej piątej, a w drugiej na trzydziestej siódmej albo pięćdziesiątej dziewiątej. Więc nie ma sensu prosić Paszki o konkretne numery stron i porównywać je z tymi samymi stronami rękopisu, który przyniosła teraz

Świetłana. Może się na nich znaleźć zupełnie inny tekst, ale to wcale nie oznacza, że mowa jest o różnych powieściach. Jeśli ta lala zamierza załatwić go jak chłopca, to nic z tego. Nie trafiła przecież na frajera.

Tymczasem Świetłana nie okazywała najmniejszych oznak zdenerwowania, spokojnie nalała sobie kawy, kapnęła do niej koniaku i zapaliła papierosa.

- Nie oszukuję cię, Nugzarze - powiedziała - ale to twoje święte prawo, więc się nie gniewam. Sprawdzaj. W końcu chodzi o wielkie pieniądze.

Bokuczawa nie zareagował, obawiając się, że powie o jedno słowo za dużo i później sam tego pożałuje. Zaterkotał faks i na biurko płynnie wysunęła się długa papierowa taśma z tekstem. Wydawca niespiesznie, z trudem opanowując zniecierpliwienie, otworzył teczkę i wyjął trzy kartki - początek pierwszego, trzeciego i piątego rozdziału. Teksty zdecydowanie się różniły, inne też były imiona postaci. Po pobieżnym przejrzaniu wszystkich stron Nugzar stwierdził, że były rzeczywiście „nie o tym samym”.

- No jak? - odezwała się Świetłana. - Przekonałeś się?

- Nie wierzę własnym oczom. - Bokuczawa rozłożył ręce. - Kiedy Leonid zdążył to napisać? Stworzenie dwóch powieści nie zabrało mu przecież dwóch dni.

- Pisanie szło Loni jak z płatka, wszyscy doskonale to wiecie. Jego dzienna norma wynosiła półtora arkusza autorskiego. Najważniejszy był pomysł, intryga i postaci. Leonid mógł tygodniami nie pracować, przechadzał się po mieszkaniu, medytował, tworzył fabułę, wymyślał bohaterów. A kiedy wszystko miał zaplanowane, siadał i ruszał pełną parą z tekstem. Napisał znacznie więcej, niż myślicie.

- Dlaczego więc tego nie publikował?

- Bo nie chciał dostawać za to tych żałosnych groszy, które mu płaciliście. Pracował na was, bo na kolanach błagaliście go, żeby pomógł postawić wasze wydawnictwa na nogi i załatać finansowe dziury. Nie odmawiał, bo uważał was za swoich przyjaciół. Z tobą, Nugzarze,

chodził do szkoły, z Anną studiował. Paszę ty przyprowadziłeś, Lonia uznał więc, że twój przyjaciel jest również jego przyjacielem, i dlatego spełnił twoją łzawą prośbę, żeby mu pomóc. Z pozostałymi było tak samo. W głębi duszy miał jednak nadzieję, że znajdzie się w końcu uczciwy wydawca, który zaproponuje mu ludzkie honorarium. I właśnie dla niego tworzył rezerwę, żeby od razu sprzedać mu kilka rękopisów.

- Duża jest ta rezerwa? - ostrożnie zapytał Nugzar, z całej siły próbując nie pokazać po sobie ogarniającego go zdenerwowania.

- Owszem. - Swietłana uśmiechnęła się. - Dla mnie wystarczy.

A dla mnie?, omal nie wyrwało się Nugzarowi, ale w porę ugryzł się w język.

A zatem o to chodzi. Swietłana ma rękopisy nowych powieści Paraskiewicza. Pośmiertne wydania! Boże kochany, jakie by można na nich zbić pieniądze! Potrzebna jest dobra, sensowna reklama, należy podgrzać ciekawość czytelników, załatwić kilka artykułów w najbardziej poczytnych gazetach i koniecznie program w telewizji. Wykorzystać okoliczności tajemniczej śmierci, zasugerować coś takiego... I to wszystko, sprawa załatwiona. Nie znajdzie się w Rosji kobieta, która nie kupi jego książki. To przecież milionowe nakłady! No a dochód... Aż strach pomyśleć.

Wygląda jednak na to, że będzie musiał drogo za te rękopisy zapłacić. Swietłana to nie Leonid, nie będzie się certować, zażąda procentu od zrealizowanego nakładu. Można, oczywiście, spróbować ją wykołować, nie dowie się, ile książek rzeczywiście wydrukowano. Dane wyjściowe będą zawierały informację o stu tysiącach egzemplarzy i niech ktoś potem sprawdza, ile ich było naprawdę. W drukarni też nie siedzą głupcy, nie powiedzą jej prawdy. A jeśli się jednak dowie? Za żadne skarby nie odda mu wszystkich rękopisów od razu, będzie je sprzedawała po jednym i jeśli go złapie na oszustwie, w jednej chwili zerwie z nim dalszy kontakt. I żadnej nowej powieści Nugzar więcej nie dostanie. Czyli że trzeba z nią postępować uczciwie. To jednak oznacza, że będzie jej musiał płacić ogromne pieniądze. A to mu się nie uśmiecha.

Wcale się nie uśmiecha.

Jest jedno wyjście, pomyślał Bokuczawa. Musiałby się tylko bardzo postarać. Omotać Swietlanę, uczynić z niej swoją kochankę, a później może i żonę. Dla takich pieniędzy warto rozwieść się z Lubą, i tak już mu się znudziła. Wtedy cały zysk pójdzie do jednego garnka, i żadnych wydatków. Tak, to jest wyjście. Kiedy źródółko wyschnie i z pośmiertnych wydań Paraskiewicza Nugzar zgarnie, ile się da, wtedy będzie mógł rzucić Swietlanę, pamiętając, by zawczasu przelać zarobione na jej nieboszczyku mężu pieniądze do takich banków i na takie konta, z których eksmałżonka za nic ich nie wyciągnie.

A może nie będzie musiał jej rzucać...

Bokuczawa spojrział na siedzącą w fotelu kobietę z nowym zainteresowaniem. Nigdy nie wydawała mu się ładna. Szczerze mówiąc, jak na jego gust, Świetłana Paraskiewicz była po prostu okropna. Niewysoka, rączki i nóżki jak patyczki, malutkie oczka, niewyraziste rysy twarzy. Nigdy nie podobały mu się takie kobiety. Ale nie mógł nie przyznać, że było w niej coś niewiarygodnie pociągającego. O takich kobietach mówi się, że mają to coś. Kiedy Pan Bóg tworzył Swietlanę, w przyływie słabości obdarował ją owymi wyjątkowymi walorami w dwójnasób.

Nie, cokolwiek by mówić, pomysł nie jest wcale taki zły.

Nugzar nacisnął przycisk interkomu i rzucił krótko: „Poproś Olega, to pilne”, później podszedł do Swietłany, usiadł w sąsiednim fotelu, rozlał do kieliszków koniak i uśmiechnął się.

- Nie pytam, ile chcesz za ten rękopis. Zapłacę tyle, ile zażądasz, i nie zamierzam się targować. Chwileczkę.

Do gabinetu wszedł barczysty brodaty chłopak z teczką w rękach.

- Pan mnie wzywał, Nugzarze Symeonowiczu?

- Przygotuj szybko umowę na wydanie książki Paraskiewicza *Nienawiść bywa różowa*, objętość dwanaście arkuszy, prawo wyłączne na dwa lata, honorarium... Swietłano Igoriewno, proszę wymienić kwotę.

- Trzydzieści pięć tysięcy dolarów - odparła Świetłana bez zmruczenia

oka.

- Trzydzieści pięć tysięcy - powtórzył za nią Bokuczawa. - Wypłata z chwilą dostarczenia rękopisu. Rękopis został dostarczony, leży u mnie na biurku. Za dwadzieścia minut wróc tu z umową i z pieniędzmi.

- Tak jest, Nugzarze Symeonowiczu.

Brodaty Oleg ulotnił się z wyrazem takiego zdumienia na twarzy, jakby przed chwilą na jego oczach oszczeniła się kotka. Nugzar doskonale wiedział, że w tym momencie w kasie nie ma takiej gotówki, taką kwotę należało wcześniej zamawiać. Zupełnie go to jednak nie martwiło. Skoro wydał dyspozycję - Oleg stanie na wysokości zadania. Zbierze pieniądze od współpracowników, wytrzęsie z sejfów wszystkie zaskórniaki i Bóg jeden wie, co jeszcze zrobi, ale za dwadzieścia minut potrzebna kwota - trzydzieści pięć tysięcy dolarów - będzie leżała na biurku. Wartość Olega polegała na tym, że dając mu polecenie, można się było nie przejmować, czy zostanie wykonane.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Bokuczawa uniósł kieliszek.

- Wypijmy. Za świetlaną pamięć Leonida, niech mu ziemia lekka będzie.

Wypili, nie trącając się kieliszkami. Nugar odstawił swój i sięgnął po dzbanek z kawą.

- Paszy sprzedałaś rękopis za dwadzieścia pięć - zauważył jakby mimochodem.

- Poprosił o prawo wyłączne na sześć miesięcy. Dwa lata kosztują drożej. Tamten rękopis, który sprzedałam Paszy, za pół roku sprzedam komuś innemu, a twojej książki przez dwa lata nie będę mogła dotknąć. Sądzę, że to uczciwe.

- Ma się rozumieć - pospiesznie przyznał Bokuczawa. - Nie wiedziałem o sześciu miesiącach.

Boże kochany, ale z tego Paszki głupiec! Chyba nie pojmuje, co zrobił? Kupić taką rzecz za ledwie na pół roku! Trzeba nie mieć rozumu...

- Mogę ci zadać jeszcze kilka pytań?

- Oczywiście - zezwoliła Swietłana.

- Dlaczego poszłaś najpierw do Paszy, a nie do mnie? Jest sympatyczniejszy? Czy chodzi o coś innego?

Świetłana uśmiechnęła się czarująco i nagle zrobiła się prawie ładna.

- Pasza był papierkiem lakmusowym. Z was wszystkich jest najbardziej chciwy i nie mogłam odmówić sobie przyjemności zobaczenia jego miny, kiedy wymieniłam kwotę. A poza tym jest najgłupszy i najbardziej krótkowzroczny. Od samego początku byłam pewna, że nie wpadnie na to, by poprosić o dłuższe niż sześciomiesięczne prawo wyłączności. Umowy zawiera przecież standardowe, na biurku leży stos formularzy, należy tylko wstawić nazwiska, tytuły, terminy i kwoty. Widocznie jego wydawnictwo od wszystkich autorów kupuje prawa tylko na sześć miesięcy i dlatego w umowie wpisano sześć miesięcy, a Pasza zapomniał poprawić. Albo w ogóle nie przyszło mu to do głowy. Miałam wielką ochotę oskubać go na dwadzieścia pięć kawałków. A za pół roku rękopis do mnie wróci. Jeśli chcesz, będzie twój.

A niech to licho porwie, przecież to po prostu bogini. Królowa! Carewna Łabędź! Podoba mu się czy nie, niebawem stanie się dla niego najpiękniejszą kobietą w Moskwie. Jeśli odda mu wszystkie nowe rękopisy - to nawet pierwszą piękną w Rosji. A gdyby udało się wyprosić od niej prawa do wznowienia wszystkich powieści, łącznie z poprzednimi, to Świetłana Paraskiewicz będzie dla Nugzara nikim innym, tylko Miss Świata. I niech ktoś spróbuje się zdziwić, że Bokuczawa, dawny koneser puszystych kształtów i rubensowskich kobiet, ni z tego, ni z owego diametralnie zmienił gust.

- Wiesz, o czym teraz pomyślałem, Świetłano? Gdybyś oddała mi wszystkie powieści z rezerwy Loni, mógłbym wypuścić serię. Grafik opracuje makietę okładki, która stanie się wyróżnikiem pośmiertnych powieści wielkiego Paraskiewicza. Wymyśliłem już nawet tytuł całej serii: „Miłość i śmierć”. Pełne wydanie romansów pisarza, który już nas, niestety, opuścił. Co ty na to?

- Nęcąca perspektywa. Główniej szybciej niż Pasza, to pewne.

Muszę się zastanowić nad twoją propozycją.

- Naturalnie, Swieto, rozumie się - przytaknął Nugzar. - Zastanów się. Ale dosyć o interesach. Porozmawiajmy teraz o tobie.

- O mnie? - Świetłana zdziwiła się. - A o czym tu mówić?

Nugzar zebrał się w sobie, jak przed skokiem. Nadeszła najważniejsza chwila. Teraz albo nigdy. Ważne tylko, żeby nie popełnić błędu.

- Nigdy nie mówiłem ci pewnych rzeczy, bo byłaś żoną mojego szkolnego kolegi. Rozumiem, że od śmierci Leonida minęło niewiele czasu, mimo to chcę ci wszystko wyznać. Swietłano, mój stosunek do ciebie był zawsze nieco inny, niż ci się zdawało. I jeśli tego nie zauważałaś, to znaczy, że udawało mi się dość skutecznie to ukrywać. Dlatego chcę, żebyś wiedziała: cokolwiek by się stało, jakiegokolwiek problemy stanęłyby ci na drodze, masz kogoś, komu nie jesteś obojętna i kto zrobi dla ciebie wszystko, nawet to, co niemożliwe. Zawsze będę dla ciebie oparciem i bezwzględnie możesz liczyć na moją życzliwość, pomocną dłoń i miłość. Mam nadzieję, że moje słowa nie sprawiły ci przykrości ani cię nie obraziły.

Swietłana spojrzała na niego zamyślona, upiła łyk kawy, po czym starannie odstawiła filiżankę na spodeczek.

- Doceniam twoją szczerość, Nugzarze, ale jeszcze zbyt wcześnie, by o tym rozmawiać. Wolałabym na razie utrzymywać stosunki biznesowe.

- Czy mogę mieć jednak nadzieję, że z czasem wrócimy do tej rozmowy?

- Nadzieję mieć możesz. - Kobieta uśmiechnęła się lekko.

- Ale ja ze swej strony niczego ci nie obiecuję.

Nie obiecujesz, mruknął w duchu Bokuczawa. Ale łańcuszek przyjęłaś. Inne prezenty też przyjmiesz. A później już nigdzie ode mnie nie uciekniesz, moja ty kurko złotonośna.

Kilka przecznic od budynku, w którym mieściło się wydawnictwo Wird, Swietłana Paraskiewicz zatrzymała samochód przy budce telefonicznej.

- To ja - oznajmiła wesoło, gdy w słuchawce rozległ się znajomy głos mężczyzny. - Wracam od Nugzara.

- Jak poszło?

- Wspaniale! Trzydzieści pięć tysięcy i dwuletnie prawo wyłączności.

- To znaczy, że połknął przynętę? Mądrała z ciebie.

- Połknął, aż miło! Chce zgarnąć wszystkie powieści i zrobić serię. Ale strasznie nie ma ochoty się dzielić, więc zaczął ciągnąć mnie do łóżka.

- Kto? Bokuczawa? Ciebie? Do łóżka?

- Uhm.

- A to Świnia!

- Daj spokój, czyżbyś był zazdrosny? Przecież wiesz, że jesteś dla mnie wszystkim.

- A jednak to niezbyt miłe. Chyba nie powiedziałaś mu, ile masz rękopisów w rezerwie?

- Przecież nie jestem dzieckiem! Chociaż on strasznie chciał się dowiedzieć. Aż go skręcało z ciekawości. Jadłeś coś?

- Czekam na ciebie z obiadem.

- Nie wygłupiaj się, kochanie, muszę jeszcze wpaść do pracy, więc przyjadę dopiero po piątej. Zjedz obiad beze mnie, proszę.

- Nie zamierzam. Bez ciebie to żadna przyjemność. Świetka, gdybyś ty wiedziała, jak cię kocham!

- Ja też cię kocham! Z każdym dniem coraz mocniej.

- Mocniej niż nieboszczyka męża?

- Przestałbyś się droczyć.

- Ale powiedz.

- Oczywiście, że mocniej. Dosyć, kochanie, jadę.

- Wracaj jak najprędzej. Tęsknię za tobą.

- Ja też tęsknię.

Świetłana odwiesiła słuchawkę, uśmiechnęła się błogo i ruszyła w stronę samochodu.

Aż do Nowego Roku Nastia Kamińska miała mieszkać sama. Mąż

ją uczciwie uprzedził, że dopóki nie zostaną przygotowane i zatwierdzone wszystkie sprawozdania dotyczące tematów opracowywanych w jego laboratorium, do Moskwy nie wróci. Nastia odkładała wyprawę na zakupy, ile się dało - dojadła stare konserwy, dogotowywała resztki kaszy gryczanej i odświeżała czerstwy chleb w piekarniku. W końcu musiała jednak wziąć się w garść i udać się do sklepu. Taszcząc torbę wypakowaną po brzegi artykułami spożywczymi niewymagającymi długiego gotowania, Nastia postanowiła pójść w stronę pobliskiego kinoteatru, koło którego od niedawna mieścił się niewielki bazar, i sprawić sobie przyjemność, nabywając owoce - ich na pewno nie będzie musiała gotować.

Przechadzając się między rzędami, wypatrzyła całkiem przyzwoite banany i przepiękne złociste winogrona.

- Można spróbować? - zapytała śniadego sprzedawcę o czarnych włosach.

Mężczyzna natychmiast wyszczerzył w uśmiechu złote zęby.

- Spróbuj, ślicznotko, winogrona palce lizać! Jak spróbujesz, to weźmiesz trzy kilo. Nie pożalujesz.

Nastia oderwała kulkę z dużej, ciężkiej kiści, przetarła ją dłonią i wsunęła do ust. Winogrona rzeczywiście okazały się wyśmienite, ale na trzy kilogramy, oczywiście, nie było jej stać. Cena wyraźnie nie przystawała do jej pensji.

- Nie żałuj, gospodarzu. - Za plecami Nasti rozległ się męski głos. - Witaminy są nam potrzebne.

Nastia gniewnie się obróciła i natrafiła wzrokiem na roześmianą twarz i znajome zielonkawę oczy.

- Wład! Co ty tutaj robisz?

- Depczę ci po piętach. A ty, gospodarzu, nie trać czasu i kładź winogrona na wagę - rzucił do sprzedawcy.

- Nie brak ci tupetu, Stasow. - Nastia uśmiechnęła się. - Sprzątasz mi owoce prosto sprzed nosa. A nuż dla mnie nie starczy?

- No to proszę. Przyjmij je ode mnie w prezencie.

- Zwariowałeś! - obruszyła się. - Są przecież drogie.

- Spokojnie, przed Nowym Rokiem można, nie marudź. Zwłaszcza że cię szukałem, bo mam pewien interes. Dawaj torbę, bo zaraz złamiesz się wpół.

Nastia z ulgą wręczyła mu torbę wyładowaną sprawunkami, kładąc na wierzchu reklamówkę z winogronami. Razem opuścili bazar i zatrzymali się koło samochodu Stasowa.

- Właśnie w tym miejscu cię zauważyłem - wyjaśnił, odpalając samochód. - Poznałem po jaskrawej kurtce.

- No jasne, bo moja gębusia nie rzuca się w oczy. Stasow, nigdy nie oberwałeś od kobiety za swoje wyszukane komplementy?

- Ależ Nastiu... - Władysław zmieszał się i nawet lekko zaczerwienił.

- Przecież wcale nie to miałem na myśli. Nie gniewaj się, proszę.

- Daj spokój. - Nastazja parsknęła dźwięcznym i zaraźliwym śmiechem. - Jestem do tego przyzwyczajona. A zresztą mam oczy i widzę się w lustrze. Marilyn Monroe nie jestem, ale nie będę się wieszać z rozpaczy. Nie cierpię z powodu kompleksów. Wład, odstawisz mnie do domu czy tylko zabierzesz na przejażdżkę?

- Jeśli mnie do siebie zaprosisz, to odstawię, przecież mówiłem, że mam do ciebie interes.

- A jaki? Chcesz skonsumować ufundowane przez siebie winogrona? A może wolisz słynne schabowe Loszki? Muszę cię rozczarować, Losza siedzi w Żukowskim, więc menu nie jest zbyt wykwintne.

- Tak w ogóle to potrzebuję rady, ale jeśli dorzucisz do niej coś do jedzenia, będę wniebowzięty. Przejedziemy tędy?

- Jeśli nie masz za grosz wstydu. Widzisz chyba zakaz wjazdu.

- Wstydu nie mam od urodzenia - groźnie warknął Stasow.

W domu Nastia wypakowała z torby zakupy, wstawiła wodę na kawę, przygotowała naprędce kanapki i pokroiła pomarańczowy keks.

- Dobra, Stasow, jestem gotowa do bezpłatnego rozdawania rad. A przy okazji, czy mówiłam, że strasznie się cieszę z twoich odwiedzin?

- Kto by tam tego od ciebie oczekiwał - mruknął Władysław. - Jak

ofuknąć, to jesteś pierwsza, a dobrego słowa człowiek się nie doczeka.

- Bądź łaskaw nie pyskować, bo zacznę pobierać opłatę według cennika. Mów, co się stało.

- Na razie nic. Sytuacja, w której się znalazłem, jest jakaś... Chyba zacznę od początku. Wczoraj zadzwonił do mnie Iwan...

- Jaki Iwan?

- No Zatoczny, a niby jaki. I poprosił, żebym pomógł jakiemuś Potaszowowi, obrońcy praw człowieka. Znasz go może?

- Widziałam w telewizji, dowcipkowali z Iwanem, usiłowali podzielić milicjantów na dobrych i złych.

- Tak? - Stasow zachmurzył się. - Nie wiesz czasem, czy dawno się przyjaźnią?

- A skąd, Iwan mówił, że poznali się dopiero w studiu, tuż przed nagraniem.

- Nie kłamał?

- Skąd mam wiedzieć? - Nastia wzruszyła ramionami. - Może i kłamał. Tylko po co?

- A co mówił o tym Potaszowie?

- Mówił, że manieri ma okropnie, ale tak poza tym to facet jest nie w ciemie bity i ogólnie w porządku. Możesz przejść do sedna?

- Mogę. Krótko mówiąc, dzisiaj przyszedł do mnie ten Potaszow i zaproponował mi umowę na przeprowadzenie prywatnego śledztwa w sprawie okoliczności skazania niejakiego Jewgienija Dosiukowa.

- Boże, to chyba Megaton?! - Nastia klasnęła w ręce.

- Zgadza się. Dosiukow został skazany na osiem lat za zabójstwo, nie przyznał się do winy. Już z kolonii karnej napisał do Potaszowa list z prośbą o pomoc w rehabilitacji. Prowadziliście tę sprawę?

- A gdzie tam, Dosiukow to taka figura, że sprawa od razu trafiła do centrali.

- I od was nikogo do niej nie włączono?

- A niby po co? Przecież tam nic nie trzeba było wyjaśniać, ofiara umarła nie od razu, przez jakiś czas była przytomna i sama powiedziała,

kto do niej strzelał.

- Pomówienie wykluczone?

- Jaki miałyby sens? Pomówić mogą świadkowie, a umierający człowiek raczej nie będzie się wyklócał i knuł intrygi. Zdarza się, oczywiście, że rodzice, ciężko ranieni przez swoje nierozgarnięte dzieci, nawet w obliczu śmierci próbują je ratować, ale wówczas po prostu milczą, a nie wskazują pierwszej z brzegu niewinnej osoby. Czyżby Dosiukow na coś liczył w tych okolicznościach?

- Wygląda na to, że tak. Albo jest skończonym kłamcą i łajdakiem, albo ktoś go zrobił. W to drugie trudno mi uwierzyć.

- Mnie również. Więc na czym polega twój problem?

- Chodzi o Iwana. Widzisz, nie rozumiem, dlaczego polecił Potaszowowi akurat mnie. Czyżby nie znał innych prywatnych detektywów?

- Ale Wład, no co ty, jak pragnę zdrowia. Przecież u niego pracowałeś, Iwan ma o tobie bardzo dobre zdanie...

- Właśnie! - Stasow pouczająco uniósł palec wskazujący. - I tego się obawiam. Jeżeli Iwan poradził mu, żeby zwrócił się do mnie, to znaczy, że sprawa nie jest mu obojętna. A dlaczego nie jest mu obojętna? Albo Potaszow jest jego kumplem, ale mówisz, że to nie wchodzi w rachubę, albo jego kumplem jest sam Dosiukow. Jeśli więc Dosiukow jest jego kumplem, to dlaczego Iwan nie wyciągnął go na etapie śledztwa? Nie wyciągnął, bo

Dosiukow jest naprawdę winny i nic nie można było wtedy zrobić. A teraz pojawiły się pewnie jakieś możliwości. Widocznie popracowano nad świadkami i namówiono ich, żeby zmienili zeznania i oświadczyli, że to milicjanci zmusili ich do powiedzenia tego i tego przeciwko Dosiukowowi. Albo coś jeszcze innego. Może kupiono jakiegoś prokuratora albo sędziego, a on zagwarantował, że zaskarży wyrok i rozpatrzy sprawę ponownie. Czemu nie? To całkiem możliwe. Pojawiają się nowe fakty, postępowanie zostanie wznowione ze względu na nowo ujawnione okoliczności i a kuku, Panie Kruku. Drugi wyrok będzie już

zupełnie inny. Ale te okoliczności należy niejako „ujawnić na nowo” i ma to być zrobione moimi rękami pod płaszczykiem prywatnego śledztwa, prowadzonego na zamówienie znanego obrońcy praw człowieka. Nie chciałbym, Nastazjo, uczestniczyć w parszywych machinacjach. Jestem szefem służby ochrony w dużej wytwórni filmowej, na razie, odpukać, wszystko układa się świetnie i wolałbym, jak się pewnie domyślasz, nie umoczyć tyłka.

- Jasne. - Nastia kiwnęła głową. - Twoje wywody są bardzo interesujące, ale nie pojmuję, czego oczekujesz ode mnie. Mam ci poradzić, czy powinieneś podpisać umowę z Potaszowem?

- Otóż to. Ale znam cię trochę i wiem, że aby to zrobić, potrzebujesz trochę więcej danych.

- Mów dalej - powiedziała Nastia napiętym głosem, bo już wyczuła, do czego Stasow zmierza.

- Chciałbym cię prosić, żebyś zdobyła dla mnie pewną informację, zanim udzielisz mi rady.

- Zakładam, że robisz aluzję do moich przyjacielskich relacji z Iwanem? Chcesz, żebym go zapytała, po co się miesza do tej sprawy?

- Nastazjo Pawłowno, ubóstwiam cię za twój przenikliwy umysł.

- Lepiej by było, gdybyś polubił mnie za mój paskudny charakter. Dlaczego nie jesz szynki? Niesmaczna?

- Smaczna, ale ser jest smaczniejszy. W zasadzie jestem serolubny, mam w sobie coś z myszy.

- Raczej ze szczura - odpowiedziała Nastia.

- Nie pyskuj starszym. Za to moje dziecko sera nie je, do szczęścia potrzebuje wędzonej kiełbaski. Za możliwość czytania książek przez całe dnie i jedzenia wędzonej kiełbasy Lila sprzeda duszę diabłu. W kogo ona się wdała? Na pewno nie we mnie, jest na to nazbyt rozgarnięta i nazbyt pulchna.

- Ile ma lat?

- Osiem. W marcu skończy dziewięć. A przy okazji, możesz mi pogratulować, ożeniłem się miesiąc temu.

- Naprawdę? Poważnie?

- Jak najpoważniej.

- Oj, Władik, gratuluje. Bardzo się cieszę. A z kim?

- Z Tanią Obrazcową z petersburskiego UWD¹. Żarty żartami, ale kiedy idzie z moją Lilą, wszyscy biorą je za matkę i córkę. Strasznie są do siebie podobne. Obie okrągłutkie, puszyste, obie mają szare oczka i jasne włosy.

- A jak to przyjęła twoja była?

- Okropnie się zdziwiła. Myślała, że będę ją kochał do grobowej deski i tęsknił za nią. Sądzę, że do tej pory nie może wyjść ze zdumienia.

- A dziewczynka? Jak jej się układa z Tatianą?

- Świetnie. Lila zakochała się w niej nawet wcześniej ode mnie. Właściwie to ona pierwsza nawiązała z nią znajomość.

- No to niech ci się wiedzie, Stasow. Naprawdę życzę ci jak najlepiej. I Tatianie również.

- Znacie się z Tatianą? Nie wspominałaś o tym.

- Osobiście się nie znamy, ale czytałam jej artykuły w biuletynie Komitetu Śledczego. Mądrą masz żonę, że aż strach.

- Ej, dosyć tego straszenia! - Stasow roześmiał się. - Wystarczy, że sam się jej boję. Ale nie zbaczaj z tematu, spryciaro jedna. Porozmawiasz z Iwanem?

Nastia sposepniała.

- Nie mam ochoty, Władik. Jakieś to wszystko... Nie wiem. Po prostu nieładne. To obrzydliwe, tak ukradkiem. Nie zmuszaj mnie.

- Wcale nie musisz ukradkiem, Nastieńko, czy ja cię o to proszę? Porozmawiaj z nim otwarcie. Przecież wiem, że twój główny atut to szczerść, wszyscy przed nią kapitulują.

- A sam nie możesz?

- Nie mogę. Po pierwsze, nie jestem tak prostolinijny jak ty. Nie mam takiego charakteru. A po drugie, nie pozwalają mi na to moje relacje z Iwanem. W końcu był moim szefem. A z tobą jakby się przyjaźni.

- Stasow, sam tylko pomyśl, jaka może być przyjaźń między

generałem z MSW a majorem z Pietrowki?

- Ale przecież chodzicie razem na niedzielne spacerunki, wszyscy to wiedzą.

- Tak? I co mówią?

- Różnie. Jedni mówią, że jesteście kochankami, drudzy, że go informujesz o sprawach MUR-U*, że donosisz, jednym słowem.

*mur (*Moskowskij Ugołownyj Rozysk*) - Moskiewski Wydział Kryminalny (przyp. tłum.).

- A trzecia grupa? Nie ma trzeciej? Brak im wyobraźni?

- Przestań, Nastiu. Mało to ludzie wygadują! Przecież wiem, że nie jesteście kochankami i nie opowiadasz mu plotek podczas tych spacerów. Macie normalne, ludzkie relacje, oparte na wzajemnym zaufaniu i sympatii. Zauważyłaś, jak się wysławiam? Mój talent stylistyczny najwyraźniej się marnuje.

- Dobra, stylisto. Przekonałeś mnie. Kiedy musisz dać odpowiedź?

- Powiedziałem Potaszowowi, że muszę się zastanowić kilka dni. Nie ma przecież żadnego pośpiechu, gość już i tak siedzi. A dzisiaj sobota...

- I sugerujesz, że jutro mam się zerwać o świcie i popędzić do parku Izmajłowskiego na spotkanie z Iwanem? Jutro muszę być na dziesiątą w pracy, więc dla twojej przyjemności mam całe rano spędzić w biegu? Ale z ciebie sadysta, Stasow!

- Nastieńko, moja złota, moja kochana! Jak chcesz, to cię jutro raniutko podwiozę do parku? A potem z parku na Pietrowkę. Proś, o co tylko chcesz.

Nastia oszacowała, ile minut snu zyska, jeśli pojedzie samochodem. Wyszło jakieś piętnaście, ale i to się liczy. Strasznie ciężko jej się wstaje, kiedy za oknem jest jeszcze całkiem ciemno. Westchnęła z rezygnacją i poszła zadzwonić do generała Zatocznego. Na spacer oczywiście nie miała najmniejszej ochoty, ale musi pomóc Stasowowi. Po to jest milicyjna solidarność, żeby się wzajemnie wspierać.

Natalia Dosiukowa jeszcze raz dokładnie przeliczyła pieniądze. Mniejsza paczka przeznaczona była dla Potaszowa za zawarcie kontraktu

z prywatnym detektywem, większa dla Wiktora Fiodorowicza. Włożyła pieniądze do kopert i usiadła przy telefonie.

- Tu Natasza, Wiktorze Fiodorowiczu.

- Miło cię słyszeć, moja droga. - W słuchawce zadudnił niski bas. - Jak podróż?

- Bez problemów.

- Jak mąż? Trzyma się?

- To złe słowo, Wiktorze Fiodorowiczu. Gotów jest walczyć o swoje uwolnienie. Jak pan myśli...

- Spokojnie, moja droga, niech pani nie wpada w panikę. Tego nie da się tak szybko załatwić. Zdaży pani ze wszystkim, jeśli nie straci pani głowy. Powinna pani być w siódmym niebie, kiedy ukochany mąż wróci na wolność. Prawda?

- Oczywiście, ale...

- No i po co te nerwy, Nataszeńko? Przecież jest pani teraz jego żoną, prawowitą żoną. Tego właśnie pani chciała, jeśli się nie mylę? Nie ma powodu do niepokoju. Najmniejszego. Niech się pani weźmie w garść i cieszy życiem. Ma pani coś dla mnie?

- Tak, tak, wszystko przygotowałam. Kiedy chciałby się pan ze mną spotkać?

- Może jutro, jeśli nie ma pani innych planów.

- O której?

- Jutro niedziela, nie będziemy się spieszyć, wyśpimy się jak należy i wtedy się zdzwonimy. Będę czekał na pani telefon koło dwunastej. Odpowiada pani?

- Tak, Wiktorze Fiodorowiczu. Do jutra.

- Dobranoc, Nataszeńko. I niech się pani niczym nie martwi. Wszystko będzie w porządku, obiecuję pani.

ROZDZIAŁ 6

W niedzielę, w dniu wyborów do Dumy Państwowej, Siergiej Nikołajewicz Bieriozin zbudził się przed świtem. Po raz pierwszy od chwili powrotu Iriny z sanatorium tydzień temu wstał wcześniej niż ona.

Bankiet w środę wypadł świetnie. Bieriozin nawet nie przypuszczał, że jego żona wzbudzi tak duże zainteresowanie dziennikarzy, i z drżeniem serca czekał na czwartkowe i piątkowe gazety. Oczywiście zapytał Irinę, ilu wywiadów udzieliła i co w nich mówiła, ale relacja Iriny to jedno, a przekaz nieobiektywnego dziennikarza - zupełnie co innego.

- A tobie samej jak się wydaje, nic ci się niepotrzebnie nie wyrwało?
- dopytywał się Siergiej Nikołajewicz w samochodzie, kiedy wracali do domu. - Nie naopowiadałaś głupstw?

- Nie wiem, Sierioża. - Irina westchnęła. - Bardzo się pilnowałam, starałam się robić wszystko jak należy, ale niczego nie jestem pewna.

W domu od razu włączyli telewizor w oczekiwaniu na nocne wydanie wiadomości.

- Ira! - zawołał Bieriozin, kiedy zaczął się reportaż z bankietu. - Chodź prędko!

Irina przybiegła z łazienki na wpół ubrana. Widocznie miała akurat włożyć szlafrok, bo stała obok Siergieja Nikołajewicza boso i w krótkiej, oszłamiająco pięknej halce, którą wkładała pod długą suknię.

- ...Najbardziej efektowną parą zdaniem dziennikarzy byli Siergiej Bieriozin i jego żona Irina...

Na ekranie pojawił się Siergiej, bez najmniejszego wysiłku wnoszący żonę na rękach po schodach, które prowadziły do wejścia.

- Irina Bieriozina w wywiadzie dla naszych korespondentów

powiedziała, że jeszcze nie do końca odzyskała siły po wypadku samochodowym, który miał miejsce kilka miesięcy temu, toteż mąż musiał ją wnieść na rękach, bo na razie ciężko jest jej pokonywać schody. Swoją rolę jako żony polityka Irina widzi w udzielaniu mężowi silnego wsparcia moralnego zarówno w razie pomyślnego rozwoju jego kariery politycznej, jak i w przypadku przegranej w wyborach.

Na ekranie Bieriozin całował dłoń Iriny, prowadził ją pod rękę przez całą salę, podawał kieliszek szampana. Co tu dużo mówić, prezentowali się razem naprawdę imponująco.

- Małżonka innego znanego działacza politycznego, Michaiła Jackina, ma odmienne zdanie na temat swojego miejsca w karierze politycznej męża.

Teraz na ekranie pojawiła się mocno umalowana ładna kobieta w wieku około trzydziestu pięciu lat, w krótkiej stylowej fryzurze. Ubrana była w drogi, modny kostium z minispódniczką, odsłaniającą naprawdę wspaniałe nogi. Obok niej stał dziennikarz telewizyjny i trzymał przed nią mikrofon.

- Stale omawiam z mężem działanie jego platformy politycznej i czasem nawet się na tym podłożu kłócimy.

- To znaczy, że nie do końca podziela pani poglądy polityczne męża?
- od razu rzucił się na nią dziennikarz.

- Nie... - Kobieta wyraźnie się stropiła, ale prędko odzyskała równowagę. - Podzielam je, ale dopiero wtedy, gdy wszystko już omówimy i osiągniemy porozumienie.

Odpowiedź była fatalna, Bieriozin od razu to dostrzegł.

- Może pani przytoczyć te kwestie polityczne, które poróżniły panią z mężem?

- Na przykład strategia kampanii przedwyborczej. Moim zdaniem reklama telewizyjna jego partii była nieodzowna i musiałam włożyć sporo wysiłku, żeby postawić na swoim. Mąż bardzo długo oponował, ale według mnie telewizja to najważniejszy środek masowej komunikacji.

Kobieta wyraźnie chciała się przypodobać dziennikarzowi i tym samym trafić do wydania wiadomości, ale Bieriozin widział, że żona Jackina wszystko popsuła. Reklama telewizyjna jego partii była bardzo niegustowna i nieudana, a teraz wyborcy będą wiedzieć, że Jackin chodzi na pasku u żony, która nie odznacza się wielką mądrością i daje mu głupie rady. Oczywiście Bieriozin rozumiał, że w rzeczywistości jest inaczej i reklama telewizyjna bez wątpienia jest potrzebna, a to, że klip reklamowy zrobili bezmyślni dyletanci nieznający się na psychologii, wcale nie było winą tej atrakcyjnej kobiety w wyzywająco krótkiej spódniczce i o zabójczo pięknych nogach. Ale w oczach milionów widzów Jackin przegrał. Wątek marnej reklamy i obraz drogo ubranej żony doradczyni staraniem niezyczliwego dziennikarza zwały się ze sobą, a na zatarcie złego wrażenia nie było już czasu.

Irina z pewnością wypadła o wiele lepiej i zachowała się znacznie rozsądniej. Pomysł na jej wizerunek okazał się trafny, a jego realizacja była również na poziomie.

- Jutro w Moskwie i w okolicach będzie pochmurno, wiatr północny, porywisty...

Bieriozin wyłączył telewizor i odwrócił się do Iriny. Dopiero teraz oboje zauważyli, że jest nieubrana.

- Wybacz - zreflektowała się, instynktownie obejmując się ramionami i przykrywając łokciami biust. - Przybiegłam z łazienki, akurat miałam wejść pod prysznic.

- Daj spokój. - Bieriozin wspaniałomyślnie machnął ręką. - Nie powinnaś się mnie wstydzić, w końcu jesteśmy małżeństwem. No i co ty na to? Jak się sobie podobasz?

- Nie wiem, Sierioża, to ty powinieneś mi powiedzieć, czy wyszło tak, jak chciałeś.

Bieriozin wstał z kanapy i podekscytowany zaczął przemierzać pokój.

- Według mnie wyszło po prostu wspaniale! Masz talent, Iroczko, wszystko robisz jak należy i wszystko ci się udaje. Zupełnie

niepotrzebnie się bałaś. I wyglądasz na ekranie przepięknie. Przyznaj, że pomysł z długą suknią okazał się bardzo trafny. Dziennikarze na pewno to docenili, przecież nie bez powodu puścili Jackiną w mini od razu po tobie, oni też zauważyli, że jesteś lepsza.

- Ale ona ma nogi ładniejsze niż ja. - Irina nagle uśmiechnęła się. -1
oczy.

Bieriozin stanął koło niej, ostrożnie rozluźnił zaciśnięte na ramionach palce i chwycił ją za rękę.

- Iro, musisz pogodzić się z tym, że nie będziesz więcej nosić krótkich spódniczek i występować w ostrym makijażu. Z tym koniec. Raz na zawsze. Masz ładne nogi, ani trochę nie gorsze niż ta doradczyni od siedmiu boleści. Pewnie jest ci przykro, że nikt teraz tego piękna nie zobaczy. Musisz się do tego przyzwyczaić. Co się tyczy twoich oczu, to kiedy je malujesz, stajesz się wulgarną, tanią dziwką, a twoja twarz powinna być delikatna i niewinna, tak jak ją stworzyła natura.

Czyżbyś zaczęła już tęsknić do swojej puszczalskiej przeszłości?

Irina gwałtownie wyrwała rękę z jego uścisku i zrobiła krok do tyłu.

- Siergiej, ustalmy to raz na zawsze. Jeśli będziesz mi ciągle przypominał, że byłam dziwką, to nigdy nie stanę się taką żoną polityka, o jakiej marzysz. Za to im więcej będziesz mi przypominał, że jestem prostytutką, tym częściej ja będę przypominać tobie, że jesteś zabójcą. Myślę, że te wspomnienia nie będą przyjemne ani dla ciebie, ani dla mnie.

- Masz rację - głucho odparł Bieriozin. - Te wspomnienia nikomu nie są potrzebne. Wybacz. Wypijmy na zgodę i uczcijmy sukces. Włóż coś na siebie, bo zmarzniesz. A ja tymczasem wszystko przygotowuję.

Irina znowu udała się do łazienki, a Bieriozin po raz kolejny zwymyślał się w duchu za brak opanowania. Boże, po co się jej czepia? Czyżby tak go to drażniło, że była prostytutką? Jakie to w końcu ma znaczenie, kim była? Znaczenie ma tylko to, kim on sam będzie.

Wyjął butelkę Dom Perignon, którą kupił niedawno w barze restauracyjnym za sto dolarów, akurat na wypadek takiej oto cichej

domowej uroczystości. Nie przyznawał się przed samym sobą, na jakiego rodzaju uroczystość ją przeznaczył, ale w głębi duszy miał nadzieję, że dostanie się do Dumy i z tej radosnej okazji wypije drogiego szampana razem z Iriną. Dobra, do niedzieli zdąży kupić jeszcze butelkę, jeśli zajdzie potrzeba. A tę musi poświęcić, żeby zażegnać konflikt, który powstał z jego, Bieriozina, winy i głupoty. Irina niczemu nie jest winna, na przyjęciu zachowywała się nienagannie i starała się ze wszystkich sił. Ciekawe, czy Diana widziała wiadomości? A Wiktor Fiodorowicz?

Obejrzawszy się ukradkiem, Bieriozin prędko chwycił słuchawkę telefonu i wybrał numer.

- Wiktor Fiodorowicz? Tu Bieriozin, dobry wieczór.

- A dobry, dobry. - W odpowiedzi zadudnił jowialny bas. - Oglądałem przed chwilą telewizję. Byliście wspaniali.

- Naprawdę się panu podobało? Myśli pan, że wszystko się nam udało?

- Bez dwóch zdań. Denerwujesz się przed wyborami?

- Oczywiście, że tak. No to jak się umawiamy? Na poniedziałek?

- Chyba tak. W poniedziałek będzie już wiadomo, czy dostałeś się do Dumy, czy nie. Jak Ira?

- Dobrze, dziękuję.

- Dotarliście się już?

- Próbujemy. Wszystkiego dobrego, Wiktorze Fiodorowiczu, zadzwonię w poniedziałek.

Beriozin odłożył słuchawkę i nagle spostrzegł, że Irina stoi tuż przy nim. Nawet nie usłyszał, jak weszła do pokoju.

- Dzwoniłeś do NIEGO? - zapytała.

- Owszem. Złożyłem mu raport z dzisiejszego bankietu. Widział nas w telewizji.

- I co powiedział?

- Pochwalił nas, powiedział, że byliśmy wspaniali.

- A co my oboje próbujemy robić?

- Nie rozumiem. - Siergiej Nikołajewicz uniósł brwi.

- Zanim się pożegnałeś, powiedziałaś: „Próbujemy”.

- Ach, to... Zapytał, czy się dotarliśmy. Siadaj, Iroczo, weź kieliszek i wypijmy.

Irina posłusznie usiadła na kanapie, biorąc ze stołu kieliszek na długiej, cienkiej nóżce. Bieriozin zajął miejsce koło niej, niemal ocierając się o nią ramieniem. Wiedział, że z Iriną musi się pogodzić, że nie wolno mu jej obrażać. Po pierwsze, nie zasłużyła na to. A po drugie, po prostu nie wolno mu tego robić. Innymi słowy, to niezwykle niebezpieczne. W razie czego ona nie ma przecież nic do stracenia. A on, Bieriozin, ma, i to dużo.

- Iroczo, chcę, żebyśmy wypili za twoje zdrowie. Jesteś zdumiewającą i wyjątkową kobietą, miałem niesłychane szczęście, że pojawiłaś się na mojej drodze w najtrudniejszej dla mnie chwili, kiedy nie widziałem już wyjścia z sytuacji. Jestem bezgranicznie wdzięczny losowi za to, że zesłał mi ciebie w prezencie. Mam mnóstwo wad, sama widzisz, czasami pozwalam sobie na niepotrzebne słowa, których później strasznie żałuję. Dlatego proszę cię, Iro, wybac mi z góry na całe pozostałe życie. Awansem, by tak rzec. Chcę, żebyś nigdy nie zapomniała, jak wysoko cię cenię, i że jeśli przez głupotę powiem ci coś przykrego, to robię to właśnie przez głupotę, a nie dlatego, że chcę sprawić ci przykrość. Pamiętaj, że nigdy, w żadnych okolicznościach nie zechcę ci zrobić przykrości. Wierzysz mi?

- Wierzę. - Irina uśmiechnęła się. - Będziesz się bał sprawić mi przykrość. Nie jesteś przecież głupi. Ale z przyjemnością wypiję za to, o czym teraz mówiłeś. W końcu niczego się już nie cofnie, drogi powrotnej nie ma, więc musimy się uczyć, jak razem żyć. Prawda?

Co za cholerna baba, z rozdrażnieniem pomyślał Bieriozin. Nie tak łatwo zjednać ją słowami. Czyżby tak bardzo się obraziła? Na to wygląda. Ja też jestem dobry, ograniczony półgłówek, wiedziałem przecież, jak się przejmowała dzisiejszym bankietem, jak się szykowała i umierała ze strachu. Trzy godziny spędziła w ogromnym napięciu, miło się uśmiechała i prowadziła kurtuazyjne rozmowy z ludźmi, których

widziała pierwszy raz na oczy i którzy byli pewni, że znają ją nie od dziś. I w takim dniu nie mogłem się powstrzymać, żeby jej nie naubliżyć. Naprawdę jestem idiotą.

- Prawda - odparł, przysuwając się do niej jeszcze bliżej. - Ale jest jeszcze inna rzecz, którą koniecznie chcę ci dzisiaj powiedzieć. Jesteś dla mnie kimś więcej niż tylko partnerem w grze. Sam nie zdawałem sobie z tego sprawy aż do dzisiejszego wieczoru. Ale kiedy dziennikarz nazwał cię moją żoną, nagle zrobiło mi się piekielnie przyjemnie. Patrzyłem na ekran telewizora i myślałem: Ta ładna, mądra kobieta to moja żona. Ta zachwycająca kobieta to moja żona. I wszyscy o tym wiedzą. Cieszyłem się. Byłem dumny. I diabli wiedzą, jakich jeszcze doznawałem uczuć. Ale to było naprawdę niespodziewane. Rozumiesz, o czym mówię? Mam czterdzieści trzy lata, Iro, prawie dwudziestoletni staż małżeński i nigdy nic podobnego mi się nie przydarzyło. Ani razu nie było mi dane doświadczyć takich uczuć jak dzisiaj, kiedy niosłem cię na rękach, a wszyscy na nas patrzyli. I niech mnie licho porwie, jeśli znalazł się choć jeden facet, który nie pozazdrościł mi w tamtej chwili.

- Tak. - Ira roześmiała się. - Sądzę, że nie było również kobiety, która nie pozazdrościłaby Irinie Bieriozinej. Chyba wiem, co masz na myśli. Oczywiście strasznie się bałam i denerwowałam, ale wiesz, kilka razy zerkałam na ciebie z daleka, kiedy z przejęciem z kimś dyskutowałeś, i myślałam: Coś podobnego, jaki interesujący facet. Boże, co też mi przychodzi do głowy, przecież to Sierioża, mój mąż. I czułam radość.

- Naprawdę?

Siergiej Nikołajewicz zajrzał jej w oczy, które nagle znalazły się tak blisko jego własnych, że nie od razu udało mu się objąć je wzrokiem.

- Naprawdę - odrzekła szeptem. - I bardzo się cieszę, że wszystko nam się udało.

Powiniennem ją pocałować, pomyślał Bieriozin jakoś beznamiętnie. Koniecznie muszę to zrobić, żeby przypieczętować sukces. No dalej, Sierioża, pocałuj ją, nie ociągaj się...

Dotknął swoim kieliszkiem kieliszka Iriny i wypił duszkiem

szampana. Pocałować jej jednak nie zdołał. Bez pośpiechu dopili butelkę, obejrzeni o północy jeszcze jedno wydanie wiadomości, gdzie również mówiono o nich jako o najbardziej uroczej parze bankietu, życzyli sobie dobrej nocy i rozeszli się do swoich pokojów.

Czwartek i piątek minęły zwyczajnie. Bieriozin wyjeżdżał rano, wracał na kolację, a Irina siedziała w domu i czekała na niego. W ciągu dnia wychodziła po gazety, uważnie je przeglądała, wyszukując reportaże i drobne wzmianki o bankiecie, a wieczorem, w czasie gdy Bieriozin jadł kolację, czytała mu na głos wybrane fragmenty artykułów. Ich sukces okazał się o wiele większy, niż się spodziewali. Dziennikarze jak zwykle zaczęli się zabawiać i przeprowadzać w swoim gronie konkursy oraz różne ankiety, których wyniki publikowały praktycznie wszystkie gazety. Bieriozin i Irina trafili do pierwszej trójki w kategoriach „najładniejsza para”, „najelegantszy polityk”, „najatrakcyjniejsza żona polityka”, „najoryginalniejsza żona polityka”, „najbardziej kochający polityk”, „najmniej pijąca para”. Irina cieszyła się jak dziecko, a Bieriozin doświadczał nieznanego wcześniej uczucia rozrzewnienia, gdy widział jej błyszczące oczy.

- Co będziemy robić w sobotę? - zapytała go. - Znowu będziesz pracował?

- Nie. - Bieriozin przeciągnął się, aż mu w stawach chrupnęło. - W sobotę będziemy odpoczywać. Czym chciałabyś się zająć? Może pojeździmy po sklepach?

- Po jakich? - zdziwiła się. - Spożywczych?

- Na przykład. W niedzielę prawie wszystko jest zamknięte, a w tygodniu nie mam jak ci pomóc, pozostaje tylko sobota. Pojedziemy na bazar, zrobimy zakupy. Poza tym musimy liczyć się z tym, że jeśli zwyciężymy w wyborach, to cały następny tydzień, albo i dwa, w domu co wieczór będą goście. Mnóstwo ludzi od razu sobie przypomni, że mnie zna, i zjawią się, żeby mi pogratulować. Tak więc jedzenia musi być sporo. Nawiasem mówiąc, alkoholu również.

- Ale po co ty masz jechać, Sierioża? Zostaw mi samochód, a

wszystko sama kupię.

- Nie rozumiesz. - Jego słowom towarzyszył cierpliwy i łagodny uśmiech. - Nie wolno ci dźwigać ciężkich rzeczy, po wypadku jeszcze nie doszłaś do siebie. To znaczy, że torby i pudełka będzie za ciebie nosił kierowca. A to już nie wypada. Nasza partia walczy z przywilejami, w rozsądnych granicach, ma się rozumieć, niemniej ja jako jeden z jej liderów nie powinienem pozwalać, żeby kierowca na oczach wszystkich taszczył moje zakupy. Pojedziemy moim samochodem i przywieziemy wszystko sami.

- Dobrze. - Irina ze zdziwieniem wzruszyła ramionami. - Lepiej się na tym znasz.

Przez pół soboty jeździli po sklepach i bazarach, upychając zakupy do pojemnego bagażnika prywatnej wołgi Bieriozina. Ludzie poznawali ich, oglądali się za nimi, a Siergiejowi Nikołajewiczowi rosło serce, wiedział bowiem, jak wspaniale wyglądają z boku: on postawny, przystojny, o młodym wyglądzie, w krótkiej, dobrze uszytej kurtce, w dżinsach podkreślających muskularne, długie nogi, bez nakrycia głowy, roześmiany albo wesoło gawędzący z żoną i bez najmniejszego wysiłku dźwigający skrzynki, pudełka, reklamówki, torby. A obok niego Irina, również w kurtce i w dżinsach (jakże inaczej, przecież nie są na przyjęciu, tylko na zakupach), długie jasne włosy schowała pod jaskrawoczerwoną czapkę z dzianiny, szyję owinęła takim samym jaskrawoczerwonym długim szalikiem. Bieriozin wiedział, że wszyscy, którzy ich dzisiaj rozpoznali, z pewnością zaczną o tym opowiadać, więc musi dołożyć wszelkich starań, żeby wyciągnąć z tego korzyść. Mijał stoiska i zatrzymywał się tylko przy tych sprzedawcach, na których twarzach dostrzegał przebłysk zainteresowania. Dzięki temu mógł być pewien, że wieczorem przyjaciele i znajomi tych sprzedawców dowiedzą się, jaki fajny facet z tego Bieriozina, jak kocha swoją żonę i troszczy się o jej zdrowie, zwłaszcza po pobycie w szpitalu, nie pozwala jej kupować tego, co lekarz zabronił, nawet jeśli sam za czymś przepada, gotów jest jednak odmówić sobie przysmaku, żeby nie prowokować Iriny. Bieriozin

sam taszczy torby z zakupami, nie zatrudnia chłopców na posyłki, a żonie nie pozwala podnosić ciężkich rzeczy. Tak, tak, sam wszystko dźwiga, no i co z tego, że ciężkie, jest zdrowy jak młody bóg, nogi ma długie, ramiona szerokie. Bieriozin jeździ własną wołgą, no co ty, jaki mercedes, zwyczajna wołga, widocznie nie kradnie, żyje uczciwie, ale nie jest też ofiarą losu, inaczej by w ogóle tramwajem jeździł, a jednak potrafił zarobić na wołgę.

Po powrocie do domu zjedli obiad, i nagle okazało się, że nie mają co robić. Do tej pory ani razu nie spędzali wolnego dnia razem w domu. Kiedy Siergiej wyjeżdżał rano do pracy, wszystko było jasne: Irina gotuje i zajmuje się sama sobą, wieczorem on je kolację i ogląda telewizję, czasami rozmawia przez telefon, a ona sprząta po kolacji, siedzi przed małym czarno-białym telewizorem w kuchni, bo woli filmy fabularne od polityki. Później rozchodzą się do swoich sypialni. A dzisiaj, w sobotę, po tym, jak wymyślili, czym wypełnić pierwszą połowę dnia, i po tym, jak pięknie ów pomysł zrealizowali, zupełnie nie wiedzieli, co mają począć z drugą połową. Rozmawiać nie mieli o czym, wszystkie prace domowe Irina wykonała w tygodniu, w telewizji słowem nie wspomniano o wyborach, więc nie było co oglądać i omawiać. Milczenie i beczynność stawały się coraz bardziej uciążliwe, a Siergiej Nikołaj ewicz, który przeżył w związku małżeńskim dwadzieścia lat, bardzo dobrze wiedział, że takie jałowe milczenie stanowi podatny grunt dla awantury.

- Irisza, może byśmy odwiedzili rodziców? - zaczął ostrożnie. - Kto wie, co nam przyniesie jutrzejszy dzień. Jeśli zwyciężymy, to zacznie się później zamieszanie, zwali się bardzo dużo spraw, będę ciągle zajęty i przez długi czas nie dam rady się do nich wybrać.

- Oczywiście, Sierioża. - Irina kiwnęła głową. - Ale czy ja muszę koniecznie jechać?

- Skąd - uspokoił ją Bieriozin - wszyscy przecież wiedzą, że nie jesteś jeszcze całkiem zdrowa, więc nikt się nie obrazi. Staruszkowie ucieszyliby się na twój widok, ale jeśli nie chcesz jechać, to zostań w

domu.

- Nie żebym nie chciała... - Irina umilkła. - Ale się boję.

- Oczywiście, oczywiście - przytaknął. - Wszystko rozumiem. Nie pogniewasz się, że w sobotę zostawię cię samą? Postaram się prędko wrócić, najdalej koło dziewiątej.

Rodzice Bieriozina mieszkali pod Moskwą i wyprawa zajęła dość czasu, żeby przetrwać resztę dnia bez ryzyka zepsucia atmosfery w domu. Siergiej Nikołajewicz wrócił, tak jak obiecał, zaraz po dziewiątej. Zamykając samochód, uniósł głowę i z przerażeniem spostrzegł, że w oknach jego mieszkania nie pali się światło. Co się mogło stać? Czyżby Irina gdzieś wyszła? Gdzie? Po co? Może do swoich starych przyjaciół?

Boże, tylko tego jeszcze brakowało! Albo przyprowadziła kogoś i...

Drętwiejąc ze strachu, Bieriozin wiedziony niedobrym przeczuciem wpadł do mieszkania. Irina siedziała w kuchni i czytała przy świetle lampy wiszącej nad stołem. Górne światło było zgaszone w całym mieszkaniu, a grube kwieciste zasłony w kuchni nie przepuszczały słabego światła lampki i dlatego z ulicy okno wydało się Bieriozinowi całkiem ciemne.

- Boże, Ira - rzucił, dysząc ciężko - myślałem, że nie ma cię w domu. Ależ się przestraszyłem.

- Niby dokąd miałabym pójść? - odezwała się Irina ze spokojnym uśmiechem. - Rozbieraj się. Wstawić wodę? Upiekłam bułeczki z serem, bardzo smaczne.

- Bułeczki? To świetnie! Wspaniale! - Bieriozin niemal krzyczał. - Zjem bułeczki, zjem też sałatkę, którą przygotowałaś na obiad, a może nawet zupę grzybową, jeśli jeszcze została.

- Zaraz wszystko podam. - Irina zamknęła książkę i wstała. - Mama cię nie nakarmiła? Czemu jesteś taki głodny? I dlaczego tak się denerwujesz? Coś się stało?

Siergiej Nikołajewicz wszedł do kuchni z przedpokoju, oparł się łokciami o framugę i zamknął oczy. Twarz miał bladą jak płótno.

- Tak się przestraszyłem, Iro, że nawet sobie nie wyobrażasz.

Pomyślałem, że wyszłaś, że wybrałaś się do swoich starych przyjaciół, a wtedy wszystko pójdzie na marne, bo możesz mieć nieprzyjemności, teraz każdy glina rozpozna twoją twarz. Albo, co gorsza, odeszłaś na zawsze, za coś się na mnie obraziłaś i odeszłaś. Ale nie to jest najważniejsze, Iro, to wszystko głupstwo. Najważniejsze, że kiedy cię zobaczyłem, kiedy zrozumiałem, że nigdzie nie poszłaś, że nadal jesteś tutaj ze mną, tak się ucieszyłem, aż mnie samego strach obleciał. Iroczo, kochanie, w żaden sposób nie ograniczam ci swobody, nie jesteś chłopką pańszczyźnianą i jeśli w pewnej chwili nie zechcesz dłużej ze mną być, masz prawo odejść. Ale proszę cię tylko o jedno, błagam cię, nie rób nic niespodziewanie, nie uderzaj z zaskoczenia, nie wbijaj mi noża w plecy. Zgoda? To, że ja postawiłem wszystko na jedną kartę, nie oznacza wcale, że zamierzam marnować ci życie. Jeśli nie będziesz już chciała być ze mną, to trudno, nie męcz się, ale powiedz mi o tym, żebym mógł załagodzić nieco sytuację, poczynić jakieś kroki. Tylko nie odchodź nagle, bez uprzedzenia, bo zacznę cię szukać przez milicję, będę myślał, że coś ci się stało, postawię wszystkich na nogi, a potem znajdą cię pijaną z młodym kochankiem i wszyscy wyjdziemy na idiotów. Jeśli będzie ci ze mną ciężko, mogę cię wysłać na przykład za granicę. Wszystkim powiem, że pojechałaś się uczyć albo pracować na kontrakcie, albo się leczyć, bo po wypadku zaczęły się problemy ze zdrowiem. Zrobię wszystko tak, jak sobie zażyczysz, nie będziesz musiała dzielić ze mną życia, ale proszę cię, Iro, bardzo cię proszę, nie rób nic nagle i niespodziewanie. Muszę mieć całkowitą pewność, że nie zawiedziesz mnie w żadnej sytuacji, że mogę ci ufać i polegać na tobie.

Irina słuchała go i jednocześnie wyjmowała z lodówki garnek z zupą, salaterkę z sałatką, maselniczkę, słoik ze śmietaną, kroїła chleb i układała go w ładny stosik w płaskim wyplatany koszyczku. Włączyła gaz, żeby podgrzać zupę, wyjęła dużą wzorzystą tacę, ustawiła na niej czyste talerze i sztucce, butelkę wody mineralnej i szklanki, chleb, masło, śmietaną, sałatkę. Kiedy Bieriozin umilkł, powiedziała cicho:

- Możesz mi zaufać, Sierioża. Mam swój rozum i nie zamierzam cię

zawieść. Obiecuję, że jeśli zechcę od ciebie odejść, to będziesz miał co najmniej pół roku, żeby załatwić to bez rozgłosu, ku obopólnemu zadowoleniu. Jeśli poczuję, że życie z tobą staje się nie do wytrzymania, zniosę jeszcze pół roku. Albo i więcej. Jestem cierpliwa, Sierioża. Gdybyś wiedział, przez co musiałam do tej pory przejść w życiu, gdybyś wiedział, jakie rzeczy musiałam ścierpieć, nie wątpiłbyś w moje słowa. Obiecuję, że nigdy niczego nie zrobię w tajemnicy przed tobą, za twoimi plecami albo na twoją szkodę. I zostawmy ten temat. Pomóż mi, proszę, nakryć do kolacji w pokoju.

Bieriozinowi prawie że łzy napłynęły do oczu. Boże kochany, jaka ona jest podobna do TAMTEJ Iriny! Ta sama twarz. Te same oczy, usta, nos. I włosy. Ręce. Wzrost. A zarazem tak bardzo się od niej różni, TAMTA była nieprzewidywalna, nieobliczalna, porywcza, wybuchowa. Mogła dać mu słowo, doskonale wiedząc, że za nic go nie dotrzyma, co więcej, składając obietnicę, już obmyślała, jak by ją szybko i sprytnie złamać. Nieustannie kłamała, bezczelnie patrząc mu w oczy i niewinnie się uśmiechając. Obiecała nie pić przed ważnymi imprezami, przed wizytami, które składali albo które im składano, po czym zjawiała się pijana do nieprzytomności. „No coś ty, kotku. - Kapryśnie wydymała umalowane usteczka. - Powąchaj, przecież nic ode mnie nie czuć, jestem całkiem trzeźwa”. Zapachu alkoholu rzeczywiście nie dawało się wyczuć i pierwsze dwa, trzy razy Bieriozin się nabrał, dopiero potem się domyślił, że jest pod wpływem narkotyków. Z nią nigdy niczego nie mógł być pewien, w każdej chwili mogła go zawieść, oszukać, wystawić, zadać cios z ukrycia, palnąć piramidalne głupstwo w obecności obcych, a później długo się zaśmiewać na widok skonsternowanej miny Bieriozina, obserwując złośliwą satysfakcję na twarzach otaczających ich osób. TAMTA Irina była piekłem, istnym piekłem, przekleństwem, karą. A TA? Czy naprawdę jest zupełnie inna? Czy to rzeczywiście zwyczajna, spokojna kobieta, niech nawet z wątpliwą przeszłością, ale z normalną głową i charakterem? Kobieta, z którą nie musi przez cały czas mieć się na baczności, w każdej chwili spodziewając się nieprzyjemności, intryg,

a nawet jawnych świństw czy podłości. Kobieta, która chętnie przebywa w domu, gotuje mu obiady, w wolnym czasie czyta albo ogląda telewizję, kobieta, która nie szuka przelotnych uciech, której nie pociągają inni mężczyźni, pijaństwo i głośne, podchmielone towarzystwo, niebezpieczne przygody miłosne i brudny, pospieszny seks uprawiany byle gdzie.

Bieriozin nagle zapragnął sprawić Irinie jakąś przyjemność. Przypomniawszy sobie, z jakim zdziwieniem przyjęła jego żądanie, żeby nakrywać do stołu w pokoju. Sama nie lubi tam przebywać, prawie cały czas spędza w kuchni, jeśli nie gotuje i nie myje naczyń, to czyta albo ogląda telewizję, ale właśnie w kuchni. Pewnie tak się przyzwyczaiła, tak jej się podoba, uznał Bieriozin.

- Zjedźmy kolację tutaj - zaproponował. - Tu jest tak przytulnie, po co taszczyć to wszystko tam i z powrotem.

Irina tak wyraźnie się ucieszyła, że Bieriozin nie powstrzymał uśmiechu, i od razu zaczęła zdejmować wszystko z tacy i ustawiać na stole. Zupa się zagotowała, więc Irina wstawiła bułeczki do piekarnika, żeby się trochę podgrzały, i zaczęła nakładać sałatkę na talerze.

- Iroczo, tak przy okazji, wspaniale gotujesz - zauważył Siergiej Nikołajewicz, kończąc zupę grzybową ze śmietaną. - Gdzie się tego nauczyłaś?

- Mam teoretyczne przygotowanie. - Irina roześmiała się. - Dopiero tutaj, u ciebie, otrzymałam możliwość sprawdzenia się w praktyce. Ale widocznie teorię przyswoiłam sobie nie najgorzej.

- Jakoś nie bardzo rozumiem. Nie zostało jeszcze trochę zupy?

- Zaraz naleję.

Irina wstała, żeby dolać mu jeszcze zupy.

- Cieszę się, że ci smakuje. Ciągłe się boję, że nie sprostim twoim oczekiwaniom.

- Bzdura. - Bieriozin machnął głową. - Moim oczekiwaniom łatwo jest sprostać, nie jestem wcale wybredny w jedzeniu. Więc co mówiłaś o tej teorii?

- Dopóki mieszkałam z mamą i z babcią, nie wpuszczały mnie, oczywiście, do kuchni. Niech się dziewczyna dobrze uczy, mówiły, na zajmowanie się domem przyjdzie jeszcze czas. Kiedy mama umarła, babcia przejęła wszystkie domowe obowiązki. Nigdy o tym nie mówiła, ale sądzę, że bardzo się bała, że ją zostawię, oprócz mnie nikogo nie miała, mama była jej jedynym dzieckiem, a mojego ojca babcia nawet na oczy nie widziała, był jakiś zupełnie przypadkowy. No więc babcia postanowiła, że stanie się dla mnie osobą niezbędną i niezastąpioną. Nie pozwalała mi nawet opłukać filiżanki, żebym, nie daj Boże, nie zniszczyła sobie manikiuru. Byłam wtedy oczywiście głupiutką gąską, miałam szesnaście lat, a w głowie tylko chłopców i rozrywki. Szkołę jakoś skończyłam i bardzo mi było na rękę, że babcia do niczego mnie nie zmusza. Jak miałam siedemnaście lat, pracowałam już u Rinata, ale musiałam jakoś wytłumaczyć babci, dlaczego nie nocuję w domu, nakłamałam więc, że dostałam się na studia i przyznano mi miejsce w akademiku. Żeby wszystko wyglądało wiarygodnie, uczelnię wybrałam sobie daleko, aż w Dołgoprudnym, bo mieszkaliśmy z babcią na samym południu Moskwy, w Jużnym Butowie, gdzie nawet miejskiej zabudowy nie było, tylko pojedyncze sfatygowane chatki, resztki wsi. Dlatego w ogóle się nie zdziwiła, że przeprowadziłam się do akademika. Z Jużnego Butowa do Dołgoprudnego musiałabym jechać ze trzy godziny, a może i dłużej. Później babcia też umarła. Na szczęście nie dowiedziała się, w jakim bagnie wylądowała jej ukochana wnuczka. Ale nie to jest oczywiście najważniejsze. Po prostu dopóki miałam jeszcze dom i możliwości, nic mi się nie chciało robić, wszystko zrzuciłam na babcię. A później, kiedy wydoroślałam, tak zapragnęłam mieć swoją rodzinę, własny dom i kuchnię, że aż trudno sobie wyobrazić. Było już jednak za późno. Rinat się z nami nie patyczkował, grafik pracy ustalał koszmarny, nie miałyśmy chwili wytchnienia. Gdy udawało mi się dotrzeć do siebie, padałam na łóżko i zasypiałam. Potem Butowo zaczęto zabudowywać, naszą chatkę zburzono, a ja dostałam mieszkanie, ale co z tego? I tak przyjeżdżałam tam tylko po to, żeby się trochę przespać i złapać oddech,

umyc się, przebrać. A potem z powrotem do Rinata. Wtedy zaczęłam czytać książki kucharskie. Kupowałam je, zbierałam, wymieniałam się nimi, szukałam unikatowych i starych. Mam ich sporo. Czytałam opis jakiegoś dania i marzyłam sobie, że stoję w swojej własnej kuchni w ładnym haftowanym fartuchu i przygotowuję je dla ukochanego męża i dzieci. Niektóre kobiety czytają tak powieści: z wzrokiem utkwionym w książce wyobrażają sobie, że są na miejscu bohaterki. A ja czytałam książki kucharskie i mdlałam z zachwytu. To głupie, prawda?

Bieriozin wyciągnął rękę przez stół i delikatnie pogładził ją po policzku.

- Jesteś cudowna i niezwykła, Iroczo. Szkoda, że nie powiedziałaś mi tego wszystkiego wcześniej. Może potrzebujesz jakiegoś fachowego sprzętu? Sam nie wiem, jakiegoś specjalnego pieca, grilla, robota czy czegoś innego. Powiedz tylko, a od razu się o to wystaram.

Przez chwilę wydało mu się, jakby Irina nachyliła się ku jego ręce i przytuliła policzek do jego dłoni. Trwało to jednak tylko chwilę.

- Dziękuję, Sierioża. Skończyłeś? Nalać ci herbaty?

Długo pili herbatę, jedli ciepłe i niezwykle smaczne bułeczki i prowadzili niespieszną i bardzo dla Bieriozina nietypową rozmowę. Strasznie się zdziwił, kiedy spostrzegł, że jest już wpół do dwunastej, a oni ciągle siedzą w kuchni przy świetle lampki, piją już trzecią filiżankę herbaty, a półmisek z bułeczkami jest prawie pusty. Siergiej Nikołajewicz zdziwił się jednak jeszcze bardziej, kiedy sobie uświadomił, że przez cały czas rozmawiali o tym, czy to dobrze, czy źle mieszkać na wsi, czym różni się mieszkanie w drewnianym domku od mieszkania w bloku, jakie są sposoby kiszenia kapusty i ogórków, czy zmieniają się relacje dzieci z rodzicami, kiedy pociechy, które wcześniej mieszkały oddzielnie, ale w tym samym mieście, wyjeżdżają do innego miasta. Czy to dobrze, kiedy w mieszkaniu jest jednocześnie pies i kot. A jeżeli dwa psy, to jakie rasy najlepiej do siebie pasują pod względem charakteru i temperamentu...

Przez ostatnie osiem lat, od czasu gdy rozstał się z Dianą, Bieriozin

nie pamiętał, żeby siedział z żoną w kuchni, pił do późna herbatę, jadł ciasto i prowadził rozmowę o niczym. Zwyczajną domową rozmowę, nie na temat biznesu i polityki, kont w bankach i intryg konkurentów, knowań Centrizbirkomu i strategii walki przedwyborczej czy spotkań z niezbędnymi ludźmi. Ale po prostu o życiu. Ogólnie o życiu. Jak się okazało, dobrze mu było tak siedzieć w kuchni w przyjemnym półmroku, kiedy ostry snop światła padał tylko na stół przed nim, a nie w szykownym, eleganckim pokoju.

Wszystko to było wczoraj, w sobotę. Siergiej Nikołajewicz nie zmrzył oka przez całą noc, jedynie koło piątej na krótko się zdrzemnął, ale o szóstej już ostatecznie się zbudził i pojął, że dłużej nie zdoła leżeć. Musi wstać i czymś się zająć, inaczej zwariuje. Dzisiaj wszystko się rozstrzygnie. O ósmej otworzą lokale wyborcze i do dziesiątej wieczorem nie będzie miał spokoju. A później pozostanie tylko czekać, aż komisje odpieczętują urny i policzą głosy. I nie da się już nic zrobić, nie da się umocnić swojej pozycji, złożyć jakiegoś ważnego oświadczenia czy przeprowadzić akcji charytatywnej. Właśnie teraz, kiedy nie mógł już niczego zmienić, do głowy zaczęły mu się cisnąć myśli, ilu rzeczy nie dopełniono podczas kampanii wyborczej, jak wielu szans nie wykorzystano i ile popełniono błędów.

Starając się nie hałasować, Bieriozin na palcach udał się do łazienki, wziął prysznic, umył głowę i zęby, ogolił się i poszedł do kuchni. Wczoraj przed snem Ira umyła naczynia i wszystko posprzątała. Na stole leżała samotnie ostatnia bułeczka, troskliwie umieszczona na spodeczku i przykryta serwetką. Bieriozin zagotował wodę, ale na mielenie kawy się nie zdecydował, bał się, że buczenie młynka zbudzi Irinę, ponieważ pokój, w którym spała, znajdował się obok kuchni. Zrobił sobie kawę rozpuszczalną i popił nią zimną bułeczkę, która zdążyła już utracić swoją puszystość. Do głowy przysła mu całkiem niespodziewana myśl, żeby sprawić Irinie radość. Tylko jak? Bieriozin rozejrzył się w poszukiwaniu czegoś, co można by naprawić i ucieszyć tym Irinę. Świetnie przecież pamiętał, że jeszcze trzy miesiące temu mikser był niesprawny, a w

rowkach karnisza utkwily dwie ułamane żabki, przez co przesuwanie zasłon w kuchni stało się problemem praktycznie nie do rozwiązania. Bieriozin pamiętał również, że w piekarniku nie działało oświetlenie, a noże były tępe. Ku jego zdziwieniu jednak mikser działał sprawnie, z zasłonami nie było żadnych problemów, żabki gładko przesuwały się w każdą stronę i nigdzie nie utykały, światło w piekarniku się paliło, a noże były ostre jak brzytwa. Przez cztery dni, które Irina spędziła tu po powrocie z sanatorium, zdążyła wszystko naprawić, chociaż Bieriozin nie miał pojęcia, jak jej się to udało.

W tej sytuacji Siergiej Nikołajewicz postanowił przejechać się do całodobowych delikatesów i kupić Irinie coś specjalnego na śniadanie. Jedzenie kupili wczoraj, ale chyba uda mu się znaleźć coś takiego, po czym od razu się zorientuje, że to tylko dla niej, mały prezent, oznaka zainteresowania i sympatii. Stojąc już w butach i wciągając kurtkę, Bieriozin nagle zadał sobie pytanie: skąd nagle u ciebie ta chęć okazania jej zainteresowania i sympatii? Co się z tobą dzieje, Bieriozin? Z jakiego powodu? Po co? Weź się w garść, nie musisz nigdzie jechać, co cię opętało? Kim ona takim jest, żeby o siódmej rano jechać do delikatesów i kupować jej ciastko na śniadanie? Chyba całkiem oszalałeś przez te przedwyborcze emocje. Nie mogąc się zdecydować, chwycił za suwak, żeby rozpiąć kurtkę i zacząć się rozbierać, ale pomyślał, że jeśli nie ruszy się z domu, to pozostanie mu jedynie męczące czekanie, aż żona się zbudzi i będzie można wypełnić czymś wlekący się czas. Włączyć na przykład telewizor albo radio albo przynajmniej porozmawiać z Iżą. Później, koło jedenastej, pojedzie do sztabu wyborczego swojej partii i tam już zostanie dobę albo dwie, aż do ogłoszenia ostatecznych wyników wyborów. Ale na razie ma przed sobą trzy-cztery godziny, które musi czymś wypełnić. Tak, przecież to nie dla Iriny jedzie po to głupie ciastko, ale dla samego siebie, żeby czymś się zająć, oderwać uwagę, zabić czas.

Stanowczym krokiem Bieriozin opuścił mieszkanie. Starając się, żeby zamek szczękął jak najciszej, ostrożnie zamknął drzwi i niebawem

znalazł się na ulicy.

Kiedy czterdzieści minut później wrócił do mieszkania, pierwszą rzeczą, jaką usłyszał, było buczenie młynka do kawy. Irina nie obawiała się, że zbudzi Bieriozina, bo sypialnia znaj-; dowala się daleko od kuchni. Nie zdejmując kurtki, Siergiej Nikołajewicz zajrzał do kuchni. Irina była już ubrana, stała w długiej spódnicy, której jeszcze nie widział, i w surowej, zapiętej pod szyję bluzce, a w rękach trzymała młynek do kawy hałasujący na pełnych obrotach.

- Dzień dobry! - Bieriozin przywitał się wesoło.

- Sierioża? - przeciągle zawołała zdumiona Irina. - Byłam pewna, że jeszcze śpisz. Nie nocowałeś w domu?

- Daruj sobie, królowno - odparł Bieriozin z żartobliwym wyrzutem. - Nocowałem w domu, ale zerwałem się o szóstej rano i pogałem po ciastka dla ciebie na śniadanie. Ponieważ wczoraj, niczym dwoje troglodytów, wsunęliśmy wszystkie twoje rewelacyjne bułeczki i na śniadanie nie zostało nic smacznego, postanowiłem zrobić ci mały, słodki prezent. Zwłaszcza że wkrótce wyjdę i zupełnie nie wiadomo, kiedy wrócę, dlatego niech na pamiątkę zostanie ci po mnie o, to.

Beriozin postawił na stole przed Iriną ogromne eleganckie kwadratowe pudełko, teatralnym gestem zdjął wieczko i zaprezentował górę różnych ciastek - kruchych, francuskich, małych i dużych, z kremem z masła i z białek, nasączonych rumem i koniakiem oraz ptysiów. Irina podniosła na Bieriozina oczy, które z jakiegoś powodu w jednej chwili zrobiły się dziwnie ciemne i błyszczące.

- To dla mnie? - zapytała drżącym głosem. - Nie żartujesz? To nie dla gości, których się spodziewasz?

- To dla ciebie, wyłącznie dla ciebie. Dzisiaj nie spodziewamy się żadnych gości i mam wielką nadzieję, że zjesz to wszystko do wieczora, żeby się nie nudzić przez ten czas, kiedy mnie nie będzie. No co ty, Iroczo? Obraziłaś się? Dlaczego płaczesz?

Irina odwróciła się do okna i prędko otarła łzy palcami. Potem znowu obróciła się ku Bieriozinowi i spróbowała się uśmiechnąć, choć usta

nadal jej drżały.

- Dziękuję ci, Sierioża. Nikt nigdy nie podarował mi ciastek. Wiesz, dostawałam różne rzeczy, i tani portwajn, i złote kolczyki, a tak zwyczajnych rzeczy, jak kwiaty i ciastka, nie. Zresztą nawet nie o to chodzi.

- A o co? - Bieriozin zaniepokoił się.

- Nikt nigdy nie wstawał o szóstej rano, żeby kupić mi prezent. Pierwszy raz ktoś zrobił dla mnie coś takiego. Dziękuję ci. - Umilkła na chwilę i niepewnie dodała: - Kochanie.

Tym razem sama podeszła do niego i oparła czoło o jego ramię. I znowu Bieriozin poczuł słaby zapach jej włosów i ogarnęła go jakaś nieznana dotąd, nieprzewyciężona czułość.

- No widzisz - odezwał się, delikatnie gładząc ją po ramionach - a o kwiatkach nawet nie pomyślałem, co za kretyn ze mnie. Ale obiecuję, że się poprawię.

Irina podniosła głowę i spojrzała nań błyszczącymi oczami.

- Bardzo na to liczę - powiedziała poważnie i nagle parsknęła śmiechem.

Śmiejąc się, usiedli razem przy stole, żeby wypić kawę. Napięcie minęło, pozostawiwszy w duszy Siergieja Nikołajewicza Bieriozina nieokreślone zdziwienie - samym sobą, Iriną, w ogóle całą sytuacją. Niech to diabli, czyżby ona mu się podobała? Bzdura. Do szaleństwa kochał TAMTĄ Irinę, zupełnie stracił dla niej głowę, i co, czy to znaczy, że do końca życia będzie kochał kobiety, które ją przypominają? Dokładnie jak u Freuda? To niemożliwe, bo to nigdy nie będzie możliwe. Tak jaku Czechowa.

ROZDZIAŁ 7

W dniu wyborów do Dumy Państwowej, w niedzielę, 17 grudnia, Nastia Kamieńska nie bez przyjemności siedziała w pracy. Jak zwykle w okresie politycznych zmagania, obfitujących w wypadki i konflikty, cała kadra moskiewskiej milicji była skoszarowana albo mówiąc prościej, przechodziła w stan pogotowia, ponieważ z koszarami w stolicy było kiepsko. Stan pogotowia polegał na tym, że trzecia część noszących naramienniki funkcjonariuszy musiała stale, w tym również i nocą, znajdować się w miejscu pracy, a pozostali non stop w domu, żeby w razie potrzeby można ich było natychmiast wezwać.

Stan pogotowia ogłoszono dwa dni temu, w piątek, i dzisiaj przyszła kolej na Nastię, żeby odsiedzieć swoje na Pietrowce. Spacer z generałem Zatocznym, rzecz jasna, się nie odbył i Nasti mocno ulżyło, że nie musi o nic wypytywać Iwana Aleksiejewicza, a zarazem czuła pewne zakłopotanie, że nie pomogła Stasowowi. Nie rozumiała, czemu Władisław tak się niepokoi. To, że skazany zwracał się do obrońcy praw człowieka, nie było niczym nadzwyczajnym, praktykowano to dosyć szeroko, zresztą z bardzo ważkich przyczyn. Po pierwsze, rzeczywiście dochodziło do przypadków niesłusznego skazania, błędów sądowych i dochodzeniowych, zaniedbań i bezpośrednich nadużyć. Po drugie, wielu skazanych liczyło na „efekt czynu”: skoro się broni, to znaczy, że jest niewinny.

Gdyby rzeczywiście był winien, czy zwracałby się wówczas do obrońcy praw człowieka? No a po trzecie, proces własnej rehabilitacji był dla skazanego przynajmniej jakąś rozrywką. Korespondencja z obrońcą praw człowieka, może nawet jego przyjazdy do kolonii karnej, jakiś ruch, rozmowy - wszystko to stanowiło pewne urozmaicenie

ciężkiego, przygnębiającego życia więźnia. Nastia знаła mnóstwo przypadków, kiedy adwokaci winnych w każdym calu zabójców i gwałcicieli, odbywających wyrok, odpracowywali swoje honoraria, próbując udowodnić ich niewinność, choć doskonale wiedzieli, że ich klient naprawdę popełnił przestępstwo. Adwokat ma zajęcie, a skazanemu jest miło. Kiedyś Nastia wydedukowała sobie prawo, które nazwała prawem „wyższości psychologicznego fenomenu”. Jeśli człowiek posiada pewną szczególną właściwość psychiki albo myślenia, bez wątpienia przejawia się ona w najróżniejszych sytuacjach. Prawda sama w sobie brzmiała zupełnie banalnie i nie mogła nikogo zadziwić, sęk w tym, że o tej prawdzie wiele osób z jakiegoś powodu zapominało i lekceważyło prawo. Kiedy człowiek popełnia przestępstwo, liczy przeważnie na to, że go nie złapią. Albo - jeśli mówić prościej - z góry uznaje, że jest mądrzejszy od funkcjonariuszy wymiaru sprawiedliwości. Bardzo mała i bardzo specyficzna grupka ludzi popełniających przestępstwa nie liczy na uniknięcie kary i jest wewnętrznie przygotowana na to, by ją ponieść. Za to ogromna większość pewna jest swego sprytu, przebiegłości, powodzenia i bezkarności. Gdy taki człowiek trafia do kolonii karnej, nie zmienia się, bo niby czemu miałyby się zmienić? Fakt, że go złapano, zdemaskowano i skazano, zupełnie, jego zdaniem, nie świadczy o tym, że się przeliczył w ocenie swojego intelektu i w ocenie zdolności funkcjonariuszy milicji i prokuratury. Problemu nie widzi w tym, że w rzeczywistości jest głupcem i łajdakiem, lecz w tym, że zdarzył się nieszczęśliwy wypadek, kazus, krótko mówiąc, miał pecha. Ale następnym razem na pewno mu się powiedzie. Karę odbywa teraz nie dlatego, że milicja coś jednak potrafi, ale dlatego, że udało jej się przypadkiem go złapać, jednakże kolejny raz milicjanci takiego farta mieć nie będą. W sumie jest to zrozumiałe, bo żeby zachować równowagę psychiczną, człowiek nie może rozczarować się sobą, musi siebie kochać i szanować, bowiem jeśli zacznie wierzyć w to, że jest o wiele głupszy, prymitywniejszy i gorszy, niż myślał, i że w ogóle do niczego się nie nadaje, będzie człowiekiem całkowicie

przegranym, bezużytecznym i nic niewartym, a stąd niedaleko już do psychicznego samounicestwienia. Psychika pilnie stoi na straży, wypracowuje mnóstwo różnych mechanizmów i wybiegów, które pozwalają człowiekowi bronić się przed tym, co mu niemiłe.

I co z tej koncepcji wynika? To oczywiście, niezachwiane przeświadczenie, że jeśli nie udało się z wyrokiem, to z rehabilitacją uda się na pewno. Bo czy los może dwa razy z rzędu podłożyć świnię? Nie może. Sędziowie to głupcy, prokuratorzy - łajdacy i idioci, gliniarze - pijacy i łapownicy, więc to niemożliwe, żeby sprytny i mądry adwokat nie wywalczył rewizji sprawy i uniewinnienia podczas nowej rozprawy. Co z tego, że jestem winien, siedzieć i tak nie chcę. Proszę, ilu chodzi po ulicach niezłapanych i niezdemaskowanych delikwentów, którzy nie znają zapachu więziennej pryczy. Dlaczego oni nie siedzą, a ja muszę? Ja też nie zamierzam.

Nastia była pewna, że sprawa Dosiukowa należy właśnie do tej kategorii. Oczywiście obrońca praw człowieka będzie niezadowolony, że wynajęty przezeń prywatny detektyw nie znajdzie tego, co niezbędne do uniewinnienia Dosiukowa. Zacznie sarkać, narzekać, wiercić dziurę w brzuchu, awanturować się i wygadywać niestworzone rzeczy. Będzie głośno powątpiewał w kompetencje i w przydatność Stasowa, zażąda, żeby detektyw zrobił to i to, a nie robił tego i tamtego, będzie parskał śliną i tupał nogami. Może będzie kusił dużymi pieniędzmi i napomykał o zafałszowaniu śledztwa. Wszystko to jednak można przeżyć. W końcu przez te dwadzieścia lat, które Stasow przepracował w milicji, doświadczył tego ze strony swoich licznych szefów i rozmaitych zainteresowanych osobników w nadmiarze i w wielce wymyślnych i różnorodnych formach, więc zdążył się przyzwyczaić. Pewnie, że dobrze by było wykręcić się od kontraktu z Potaszowem, ale przecież Iwan.. Diabli go wiedzą. Chyba rzeczywiście Nastia musi porozmawiać z Zatocznym.

Równo o dziesiątej rano szef wydziału, pułkownik Gordiejew, zebrał znajdujących się w stanie pogotowia pracowników w swoim gabinecie.

- Skoro i tak musimy siedzieć tu kamieniem, to może chociaż zajmijmy się robotą - optymistycznie oświadczył Wiktor Aleksiejewicz. - Oddalać się nie wolno, więc bądźcie tak mili i przygotujcie wszystkie dokumenty, z których powinniście się rozliczyć. Sprawozdania z delegacji, raporty z zatrzymań, plany pracy w każdej sprawie. I żeby wszystko grało. Szczególną uwagę poświęćcie aktom. Akta dochodzeniowe prowadzicie źle, jestem tego pewien. Ufam wam, moje dzieci, ale mam podejrzenia, że bezwstydnie wykorzystujecie moje zaufanie. Niech podniosą ręce ci, którzy opracowują teraz akta przynajmniej jednej operacyjno-rozpoznawczej sprawy. Tak jak należy, żeby na zewnątrz była okładka z numerem, a w środku prawidłowo zszyte dokumenty. Dobra, nie wysilajcie się na próżno, i tak wiem, że połowa z was takich akt nie ma. Działania prowadzicie, ale nie chce wam się uzupełniać papierków albo nie możecie na to wykroić czasu. A co, jak się kontrola zwali? Komu będziecie tłumaczyć, że jesteście dobrzy, ale leniwi? Tym, co siedzieli tu wczoraj, wszystko już powiedziałem, teraz wasza kolej. Krótko mówiąc, siadajcie przy biurkach i bierzcie się do pisania. Za dwie godziny, to znaczy o dwunastej trzydzieści, Kamińska i Korotkow złożą raport w sprawie Paraskiewicza.

O trzynastej trzydzieści czekam na Lesnikowa i Siełujanowa z materiałami dotyczącymi wybuchu w banku. Również o piętnastej Docenko, Siełujanow i Korotkow opowiedzą mi wzruszającą historię o tym, jak próbują złapać bydlaka, który zabija i gwałci chłopców. O dziewiętnastej wszystkie dokumenty, o których tu sobie gawędziliśmy, mają się znaleźć na moim biurku. O dwudziestej pierwszej przyniesiecie mi wszystkie akta operacyjne, które mają wyglądać jak małe dzieła sztuki. Jeszcze raz powtarzam, z budynku albo ściślej: z siedziby wydziału, nie wolno się oddalać do jutra do dziesiątej rano. Do domu spać pójdzie tylko Kamińska, zgodnie z rozkazem ministra kobiety nie muszą zostawać na noc. Jeśli ktoś gdzieś się na gwałt spieszy, niech przyjdzie do mnie, zadzwonimy po kogoś na zmianę i dopiero wtedy pojedzie. Rozkaz to rozkaz. Trzydzieści procent kadry powinno się

znajdować w wydziale. Jakież pytania?

Sam Gordiejew był blady i zmęczony. Nastia wiedziała, że od piątku wieczorem nigdzie się stąd nie ruszał, całą kadrę swego wydziału podzielił na trzy grupy, ułożył grafik dyżurów, ale sam stale siedział w swoim gabinecie. Tu również spał, z szafy wyjmował łóżko połowę, koc i poduszkę. Nastia wiedziała, że wcale nie musiał, sytuacja w mieście była zupełnie zwyczajna, bez specjalnego napięcia, i Wiktor Aleksiejewicz równie dobrze mógłby czuwać na zmianę ze swoim zastępcą Pawłem Żeriechowem. Nastia wiedziała jednak i to, że pułkownik

Gordiejew nie może pójść do domu. Nie może, i już. I nie dlatego, że ktoś go nie puszcza. On sam nie może. A nuż nie daj Boże coś się wydarzy? Nagle ktoś ukatrupi któregoś kandydata na deputowanego? Albo dojdzie do wybuchu w lokalu wyborczym, jak zapowiadano w licznych propagandowych ulotkach, rozpowszechnianych w celu przerwania wyborów. Albo coś jeszcze innego...

Do swego gabinetu Nastia wróciła razem z Jurą Korotkowem.

- O, zaraz się napiję kawki za friko - zacierając ręce, zadowolonym głosem rzekł Korotkow i zasiadł przy wolnym biurku.

- Korotkow - roześmiała się Nastia - kiedy przestaniesz być niebieskim ptakiem i staniesz się partnerem? Mam szansę dożyć tego radosnego dnia?

- Spodziewam się - bardzo poważnie odparł Jura - że to nastąpi, kiedy pan Mawrodi* wypłaci narodowi wszystko, co z takim zyskiem od niego pożyczył.

*W latach 90. Siergiej Mawrodi założył piramidę finansową MMM i oszukał miliony osób na 10 miliardów dolarów. W 2003 został skazany na 4,5 roku więzienia, a po wyjściu na wolność restaurował piramidę, która tym razem liczyła 36 milionów uczestników. W 2012 roku Mawrodi ogłosił niewypłacalność (przyp. tłum.).

- Jasne. To znaczy, że będę musiała do samej śmierci poić cię kawą. Przynies przynajmniej cukier, cwaniaku.

- Jutro - obiecał Korotkow. - Przyniosę na pewno. Bierzmy się do Paraskiewicza. Przez cały ubiegły tydzień w ogóle się nim nie zajmowałem, tyle rzeczy zważyło się naraz.

- Dobra, nie tłumacz się, przypomnij sobie, ile razy ty tak samo ratowałeś mi skórę. A my z Kostią Olszańskim zajmowaliśmy się w tym tygodniu miłością.

- Że niby co?! - Wywiadowca wybałuszył oczy. - Ty z Kostią? Jak to? Chyba zwariowałaś, Aśka!

- Dlaczego? - Nastia zdziwiła się. - Normalna hipoteza, zupełnie zwyczajna, nie gorsza od innych.

- A niech cię - z ulgą westchnął Jura. - Ty o Paraskiewiczu. A ja już pomyślałem...

- Słuchaj, twój cynizm przekracza wszelkie granice przyzwoitości. Na hasło miłość reagujesz w jeden sposób, jak pies Pawłowa. No to patrz, seksualny zboczeńcu, wrzucam ci do kubka dwie ostatnie kostki cukru i teraz kombinuj, jak przetrwamy do wieczora.

- Ale Asiu, przecież powiedziałem, że jutro przyniosę.

- Jutro o dziesiątej rano skończysz zmianę i pójdziesz do domu się przespać albo polecisz w operacyjne przestworza szukać przestępców.

- Słuchaj, nie przystawiaj mi noża do gardła - zaczął błagać Korotkow. - Jak chcesz, to zaraz się przejdę po prośbie po gabinetach i nazbieram ci pół pudełka białych trujących kostek.

- Chcę. - Nastia kiwnęła głową. - Idź i bez cukru nie wracaj.

Korotkow potulnie wziął puste pudełko i wyszedł. Wiedział, że Nastia żąda cukru nie po to, żeby mu złośliwie dokuczyć. Czasami zaczynało jej się kręcić w głowie, na co pomagało ssanie kostki cukru. Poza tym Anastazja nie znosiła, jak jakieś głupstwo przeszkadzało jej się skoncentrować, a brak cukru mógł się okazać takim właśnie drobiazgiem, ponieważ kawę piła na okrągło i jeżeli przed każdym kubkiem będzie musiała biegać po korytarzach Pietrowki 38, wyprasząc od kolegów i znajomych po dwie kostki cukru, to nic sensownego nie wymyśli. A odpowiedzialność za taką sytuację

spoczywała całkowicie na Korotkowie, ponieważ nie dalej jak w czwartek rano, schodząc z całodobowego dyżuru w mieście, zobaczył u Nasti nieotwartą torebkę cukru i przypomniał sobie, że żona poleciła mu kupić cukier, czego on, naturalnie, nie zrobił.

Po bezsennych dwudziestu czterech godzinach padał z nóg, myśl o sklepie budziła w nim wstręt, więc wyblagał od Kamieńskiej tę torebkę, ręką słowem honoru, że jutro przyniesie jej nową. No i oczywiście nie przyniósł.

Korotkow wrócił ze swojej wyprawy z niezłą zdobyczą i z dumą postawił przed Nastią niemal pełne pudełko cukru.

- Więc co z tą miłością? - zapytał, rozsiadając się wygodnie i zabierając się do wystygłej kawy.

- Dziwna sprawa. Prosiłam Miszę Docenkę, żeby porozmawiał ze Świetlaną Paraskiewicz, i Misza stawia, jak mówią Amerykanie, dziesięć do jednego, że Swietłana nie miała żadnych kochanków. Sprawia wrażenie kobiety, która bardzo kochała męża. Wiesz, nasz Miszania ma jakieś swoje sposoby. Jest pewien, że Leonid Paraskiewicz był dla Świetłany całym światem, jedynym mężczyzną i w ogóle wzorem praktycznie we wszystkim. Wyjątek stanowią relacje Leonida z jego wydawcami. Swietłana mówi, że sama zbudowała te relacje inaczej, ale Loni nie można o to obwiniać, bo łagodność i ustepliwość oraz brak umiejętności wyrażania twardego sprzeciwu były nieodłącznymi cechami jego natury, znajdującymi się jakby na rewersie medalu, na którego przedniej stronie widniały subtelność ducha, głęboki liryzm, zrozumienie psychiki kobiecej. Krótko mówiąc, gdyby mógł budować swoje relacje z wydawcami tak, jak chciała Swietłana, nie byłby wielkim Paraskiewiczem.

- To znaczy, że motyw zazdrości ze strony kochanka Swietłany odpada? - uściślił Jura.

- Na razie tak.

- A ze strony kobiet Paraskiewicza?

- Tu coś jest na rzeczy. Niejaka Ludmiła Isiczenko, osoba

egzaltowana, mająca chyba nierówno pod sufitem, twierdzi, że

Leonid Paraskiewicz był jej z góry przeznaczony i musi należeć do niej niepodzielnie. Próbowwała wpłynąć na Swietlanę, nawet wymachiwała przed nią nożem, wskutek czego Świetłana doznała załamania nerwowego i przeszła dwumiesięczne, dość ciężkie leczenie w klinice. To wszystko prawda, zasięgnęłam języka. Paraskiewicz wrócił do domu, znalazł żonę na podłodze w stanie głębokiego omdlenia, wezwał pogotowie, lekarze ją ocucili i zabrali do kliniki dla nerwowo chorych. Olszański wyciągnął z archiwum kliniki kartę Świetłany i wszystko się potwierdziło. Isiczenko prześladowała Leonida, napastowała go, a on jej powiedział, że mogą być razem dopiero za rok. Innymi słowy, że musi minąć równo rok, podczas którego nie wolno im rozmawiać przez telefon ani się spotykać, bo tylko tak, jak twierdził, będą mogli odkupić swój grzech.

- Jaki znowu grzech? - Korotkow nie zrozumiał. - Czyli grzeszył z nią, zdradzając Swietlanę?

- A skąd ja mam wiedzieć? Isiczenko mówi, że nie, zresztą Swietłana też sądzi, że raczej do tego nie doszło, ale dokładnie nie wiadomo. Grzech w tym wypadku oznaczał ich zachowanie, które doprowadziło do ciężkiej choroby Świetłany Isiczenko przyjęła warunki powieściopisarza i przez cały rok siedziała cichutko, wyczekując chwili, kiedy połączy się w ekstazie ze swoim ukochanym. No i, Juroczka, rok minął.

- Minął, to minął. A co dalej?

- Sam się domyśl. - Nastia uśmiechnęła się.

Korotkow przez chwilę milczał, później podniósł na Nastię zdezorientowany wzrok.

- Niemożliwe - rzekł niemal szeptem. - Nabierasz mnie.

- Ani trochę - zapewniła Jurę Nastia. - I sądząc z na wpół urojonych wypowiedzi Isiczenko, kobieta ma bezpośredni związek z zabójstwem Paraskiewicza. Oczywiście jest pod ciągłą obserwacją, ale ona nie zamierza się nigdzie ukrywać i nie robi nic podejrzanego. Kostia łamie sobie głowę.

- Nad czym? Przesłuchiwał ją?

- O to chodzi, że nie. Jaki jest sens ją przesłuchiwać, skoro jest chora? Jej zeznania nie mają mocy prawnej. Ale wolno nam z niej wyciągać informacje, które można wykorzystać w celach operacyjnych. Tylko pytanie, czy nie znajdzie się jakiś zaangażowany bojownik o prawa człowieka, który uzna, że wykorzystanie informacji wyklepanej przez osobę niezdrową psychicznie jest nieetyczne i niemoralne. Och, Jurka, jak ja nie lubię, kiedy trafiają nam się pomyleńcy. To jak siedzieć na beczce prochu: albo sami wytną jakiś numer, albo później adwokaci rozniosą cię na strzępy. Ale nasza Isiczenko chyba wie, kto zabił Paraskiewicza. Albo myśli, że wie.

- Asiu, a może ona nie jest zupełnie pozbawiona rozumu? - z nadzieją zapytał Korotkow. - Może da się z nią jednak jakoś dogadać?

- Juroczka, kochany, co ty pleciesz! Paraskiewicz ukazuje jej się po swojej śmierci. O jakim zdrowiu psychicznym można tu mówić?

- No tak, słusznie. - Korotkow pokiwał głową. - Jeśli się ukazuje, to wszystko jasne. Na jej słowach w żaden sposób nie można polegać.

- Za to, Jura, nasza Isiczenko ma naprawdę wspaniałych krewnych, a oprócz tego kolekcję antyków i obrazów. Odziedziczyła pokaźny spadek, w dodatku jest bezdzietna. Chwytasz?

- Chwytam! - Korotkow zerwał się uradowany. - Mogę to wykorzystać?

- Pewnie. Biegnij szybko do siebie i bierz się do roboty, żebyśmy o wpół do pierwszej mieli co pokazać Pączkowi.

Do wpół do pierwszej pozostało jeszcze pięćdziesiąt minut. Nastia miała nadzieję, że tego czasu wystarczy na przygotowanie raportu, za który nie będą się musieli czerwienić przed szefem.

Natalia Dosiukowa nie wybrała się na wybory. Nawet jej to nie przyszło do głowy. Do polityki miała absolutnie obojętny stosunek, jedyne, na czym jej zależało, to żeby do władzy znowu nie wrócili komuniści, którzy wszystkim wszystko zabiorą i po raz kolejny urzędzą urawniówkę. Natalia nie życzyła sobie zupełnie, żeby zabrano jej to, co

z takim trudem zdobyła. Nie tyle z trudem, ile popełniając grzech. Ogromny, za który nie dostaje się rozgrzeszenia.

W niedzielę spała długo i słodko, nie musiała nigdzie biec ani do nikogo dzwonić. Obudziwszy się, pokręciła się po olbrzymim mieszkaniu, w którym spędziła pięć lat - cztery z Jewgienijem i rok sama po jego aresztowaniu - i w którym знаła każdą rzecz, każdą fałdkę na zasłonach, każdą szparę w podłodze. Do tej pory nie przyzwyczaiła się do myśli, że teraz ona jest właścicielką tego mieszkania, a także dwupiętrowego domu tuż pod Moskwą. W ciągu roku, który minął od aresztowania Żeni, ani razu nie przyprowadziła tu mężczyzny. Po prostu nie miała do tego głowy. Może czas już zacząć myśleć o tym, jak żyć dalej.

Z przyjemnością zjadła obfite śniadanie składające się z hawajskiej sałatki warzywnej z pieczarkami oraz bananowego jogurtu, wypła kawę i już miała się ubierać, żeby jechać na spotkanie z Wiktorem Fiodorowiczem, kiedy zadzwonił telefon.

- Natulik? - Usłyszała figlarny męski głos i skrzywiła się z niezadowoleniem. - Co słyhać? Co porabiasz?

- Nic szczególnego - odparła powściągliwie. - A co u ciebie?

- W porządku. Całkiem o mnie zapomniałaś, kochanie? Nieładnie.

- Skąd, pamiętam o tobie, Wadim. A zwłaszcza jak nie dałeś mi pieniędzy, kiedy potrzebowałam dobrego adwokata dla Żeni.

- Daj spokój! - Wadim roześmiał się. - Nie jestem przecież szaleńcem, żeby własnymi rękami niszczyć swoje szczęście. Żeńka zawsze był moim rywalem, a ja, jeśli pamiętasz, przez całe cztery lata próbowałam mu cię odbić. I oto wreszcie nadarza się taka szansa: Żeńka zostaje aresztowany za zabójstwo! Ty jesteś wolna! Po co mam ci pomagać załatwiać dla niego adwokata? Im większy dostanie wyrok, tym dla mnie lepiej.

- Bydlak z ciebie! - wyrwało się Natalii.

- No, no, nie gorączkuj się. Przecież wiesz, że żartuję. Natulik, prawda jest taka, że nie miałem wtedy pieniędzy. W porównaniu z Żeńką

jestem przecież biedakiem, dla mnie nawet sto tysięcy rubli to dużo, a ty prosiłaś o dziesięć tysięcy dolarów. Ale to, że nadal cię kocham, to nie żart. Spotkajmy się, dobrze?

- Rozum ci odjęło, Wadik? - powiedziała Natalia już o wiele łagodniej. - Przecież wiesz, że wyszłam za Żeńkę.

- No i co z tego? Wielkie rzeczy. Sam też jestem żonaty. Przecież nie o tym mowa.

- A o czym?

- O tym, jak dobrze nam było razem. Przypomnij sobie, Natulik, przypomnij. Do tego, żeby znowu tak było, akt małżeństwa wcale nie jest potrzebny. To co, przyjechać do ciebie?

Natalia przez chwilę wyobraziła sobie, co się stanie, jeśli Wadim przyjedzie. Rzeczywiście było jej z nim piekielnie dobrze, to prawda. Był wspaniałym kochankiem, akurat w jej guście, zresztą facet z niego też przystojny, serce się raduje na jego widok. Przez całe cztery lata, które przeżyła z Żenią, chyłkiem biegła na randki z Wadimem - była zdrową młodą kobietą, która miała niemałe seksualne potrzeby, a kiepski i nudny w łóżku, a w dodatku nieurodzivny Jewgienij Dosiukow nie potrafił ofiarować jej tego, czego pragnęła i bez czego nie mogła (a może nie chciała?) się obejść. Jeśli nie liczyć dziennikarza Geralda, po aresztowaniu Dosiukowa ani razu sobie nie pofolgowała. A organizm się domagał... I teraz, słysząc w słuchawce głos kochanka, Natalia pojęła, że jej potrzeby stają się coraz silniejsze i bardzo natarczywe. Zaspokojenie głodu seksualnego w towarzystwie Wadima było bezproblemowym i pewnym rozwiązaniem. Nie musiała się zastanawiać nad tym, czy partner będzie jej odpowiadał, z góry wiedziała, że będzie. Nie musiała nic mówić, bo między nimi od dawna wszystko było jasne. W ogóle o nic nie musiała się martwić.

- Przyjeżdż - powiedziała zdecydowanie.

- Kiedy? Zaraz?

- Nie, mam jeszcze parę spraw do załatwienia. Koło piątej. Będziesz mógł?

- O czym ty mówisz, Natulik! Dla ciebie zawsze jestem wolny, nie zapominaj o tym. Kiedy mam zadzwonić, żeby potwierdzić spotkanie?

- O czwartej. Do tego czasu już wrócę.

- Załatwione. O godzinie czwartej zadzwonię i jeśli nic nieprzewidzianego się nie wydarzy, o piątej będę u ciebie.

Natalia ożywiła się i zaczęła ubierać. Wyjrząwszy na ulicę, oszacowała, jaka jest pogoda i co powinna na siebie włożyć, wyjęła z szafy ciepłe brązowe spodnie i grubą bluzkę z dzianiny, białą z szarymi rombami. Zadzwoniła do Wiktora Fiodorowicza, wsunęła do torebki grubą kopertę z pieniędzmi i udała się na spotkanie biznesowe.

Umówili się dość daleko, więc Natalia pojechała samochodem. Droga co prawda jest paskudna, wczoraj przez cały dzień padał śnieg i metrem byłoby, oczywiście, o wiele szybciej, ale z drugiej strony, mając przy sobie taką sumę, Natalia nie zaryzykowała jazdy transportem publicznym. Już dwukrotnie ukradziono jej portmonetkę z torebki, więc odczuwała niemal paniczny strach przed złodziejami.

Natalia trochę się spóźniła, ale Wiktor Fiodorowicz żadną miarą nie dał po sobie poznać niezadowolenia, w ogóle był człowiekiem spokojnym, można nawet powiedzieć, że niewzruszonym. Znali się od półtora roku i przez ten czas Natalia ani razu nie dostrzegła na jego twarzy oznak zdenerwowania, strachu czy wściekłości. Wydawało się, że życzliwy uśmiech przywarł na stałe do jego pełnych, wyraźnie zarysowanych ust.

- Dziękuję, moja droga - powiedział, chowając kopertę z pieniędzmi do kieszeni. - To wszystko czy jeszcze coś zostało?

- Chyba wszystko - niepewnie odparła Natalia. - Tutaj jest pięćdziesiąt tysięcy. Razem z tym, co było wcześniej, wychodzi siedemdziesiąt. Jeśli się pan nie rozmyślił.

- Ja? - zdziwił się Wiktor Fiodorowicz. - Ależ skąd, Nataszeńko. Zawsze dotrzymuję słowa i swoich decyzji nie zmieniam.

- To znaczy, że jesteśmy kwita?

- Zdecydowanie.

Natalia zawahała się, nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć. Pożegnać się? Czy umówić się na następne spotkanie? Ale po co by mieli się spotykać? Pieniądze oddała, całą sumę, więcej powodów do spotkań nie było. Strasznie jest jednak zostać samej... Mimo wszystko Wiktor Fiodorowicz to człowiek doświadczony, mądry, niezawodny, wszystko wychodzi mu tak, jak sobie zaplanował. Co by tu zrobić, żeby niby się pożegnać, ale nie na zawsze?

- Wiktorze Fiodorowiczu, może to nie wypada z mojej strony, ale... Ma pan pewnie dobre kontakty wśród ginekologów?

- Owszem. - Uśmiechnął się szeroko. - Ma pani kłopoty, kochana?

- Teraz nie. Skąd by się wzięły? Ale na przyszłość...

- Ma się rozumieć, Nataszeńko, zawsze może pani do mnie zadzwonić. Wszystko załatwię na najwyższym poziomie. Dobry oddział i narkozę ogólną. Dobrze panią zrozumiałem? Właśnie o to chciała pani zapytać?

- Tak, tak, dziękuję panu. - Natalia pospiesznie chwyciła koło ratunkowe. - Bo sam pan wie, jak można się wpakować. Wszędzie reklamy jakichś prywatnych klinik, ale czy można im wierzyć? Zараzą jeszcze jakimś paskudztwem, później przez całe życie trzeba się będzie leczyć. Albo źle wyczyszczą. Pojadę już. Na razie nie składam panu życzeń z okazji Nowego Roku. Zadzwonię, jeśli nie ma pan nic przeciwko.

- Będzie mi miło, kochana, niezmiernie miło. Wszystkiego dobrego.

Pomachał jej ręką, ale wstał z ławki dopiero, gdy samochód Natalii zniknął z pola widzenia.

Natalia Dosiukowa jechała do domu z uczuciem ogromnej ulgi. Wcale nie żałowała pieniędzy, które przed chwilą oddała. Suma była, oczywiście, niemała, co tu dużo mówić, wręcz ogromna, ale przecież Natalia w końcowym rozrachunku otrzymała więcej. O wiele więcej. Nawet nie ma co się zastanawiać, nie warto. No i dzięki temu Natalia poczuła się pewniej. Wiktor Fiodorowicz był dla niej niczym ściana, która odgradzała ją od popełnionego przez nią ciężkiego grzechu.

Gdyby się z nim pożegnała na zawsze - ściana by znikła, a wtedy ona zostałaby sam na sam z tym koszmarem, za który nie otrzymuje się przebaczenia.

Dzień układał się pomyślnie, a czekało ją jeszcze spotkanie z Wadimem...

Natalia wstąpiła pod drodze do dużego sklepu i zrobiła zakupy na kolację, chciała Wadima ładnie ugościć, więc do domu wróciła obładowana reklamówkami. Równy o czwartej zadzwonił Wadim, widocznie również nie mógł się doczekać spotkania. Przed jego przyjściem Natalia wzięła prysznic, umyła głowę i wysuszyła suszarką błyszczące ciemne włosy, lekko się umalowała, tak *pro forma*, bo bez makijażu twarz i tak miała wyrazistą.

Kiedy Wadim przekroczył próg jej mieszkania, serce Natalii tęsknie się ścisnęło. Był taki urodziwy! Rosły, wesoły i pogodny. Miłośnik i znawca dobrego jedzenia, a także dobrego, niespiesznego, wyrafinowanego i pomysłowego seksu. A co ona widziała przez cały rok od czasu, gdy aresztowano Żenię? Gabinety śledczych, funkcjonariuszy dochodzeniowych, prokuratorów, sąd, adwokatów. No a teraz kolonię karną. Wokół jeden, dojmujący smutek, okaleczone losy, poranione dusze. Żona, dwójka dzieci oraz rodzice Borisa Krasawczikowa, za którego zabójstwo skazano Żenię. Aż jej się czarno robiło przed oczami od tego wszystkiego.

- Natulik!

Wadim chwycił ją w objęcia i mocno pocałował. Przyjechał samochodem, ale śnieg był tak obfity, że jego kurtka i tak zdążyła przemoknąć. Dotyk zimnego, mokrego materiału był nieprzyjemny i sprawił, że Natalia się skrzywiła. To było pierwsze ostrzeżenie: dawniej takie rzeczy ją podniecały, podobała jej się udawana szorstkość kochanka. Lubiła, kiedy wchodząc z zasypanej śniegiem ulicy, chwycił ją, rozgrzaną po kąpieli i ubraną w jakiś przezroczystry fatalaszek, i przyciskał do zimnej, mokrej kurtki albo płaszcza.

Po prostu się odzwyczaiłam, uspokoiła się w myślach Natalia. W

końcu minął rok...

- Wejdz. - Uśmiechnęła się, próbując ukryć zmieszanie.

Wadim rozebrał się i od razu wparował do łazienki. Natalia zrozumiała, że w planie najpierw jest seks, a dopiero potem rozmowy przy stole. Zwykle tak właśnie robili, ale teraz z jakiegoś powodu zapragnęła, żeby było odwrotnie. Po raz pierwszy od tylu lat potrzebowała czasu, żeby przygotować się psychicznie do seksu. To było już drugie ostrzeżenie, które Natalia wyraźnie usłyszała. To nic, nie przestawała przekonywać samej siebie, to wina przerwy. Tego koszmaru, przez który musiała przejść. Zaraz wszystko się zacznie i samo ułoży. Nie chciała myśleć o tym, że zaledwie kilka dni temu w obcym mieście nie potrzebowała żadnego przygotowania, żeby popędzić do hotelu z nieznanym Amerykaninem i otrzymać pełną satysfakcję. Bała się myśleć, że przez te kilka dni w niej samej coś się zmieniło.

Później, już w łóżku, ze zdziwieniem stwierdziła, że prawie nic nie czuje. Ciągle czekała, aż nadejdzie ta słodka chwila, po której wszystko zacznie coraz prędzej wirować, aż uniesienie sięgnie szczytu. Jednakże upragniona chwila wciąż nie nadchodziła. Natalia nawet nie miała chęci udawać, apatycznie odpowiadała na pieszczoty Wadima, nie kryjąc znudzenia i rozczarowania. W końcu mężczyzna zauważył, że coś jest nie tak.

- Co z tobą? - zapytał z niezadowoleniem.

- Nic, wszystko w porządku.

- Źle się czujesz?

- Ja... Właściwie tak.

- Czemu od razu nie powiedziałaś? Nie przyjeżdżałbym. A tak ciebie irytuję i sam się męczę.

- Nie wiem, Wadik. Przepraszam, nie myślałam, że tak wyjdzie. Sądziłam, że wszystko będzie jak dawniej.

- Wszystko jest jak dawniej. Robię to, co lubisz, a ty leżysz jak kłoda. Na szczęście przez te cztery lata nauczyłem się ciebie na pamięć.

Wadim sięgnął po papierosy i odchylił się na poduszkę, sapiąc z

rozdrażnieniem.

- Przepraszam - powtórzyła Natalia. - Nie wiem, co mi jest. Tak się cieszyłam, że przyjedziesz. Naprawdę chciałam, żebyś przyjechał. Bardzo chciałam. Zawsze było mi z tobą tak dobrze.

- A może sobie kogoś przygruchałaś po tym, jak Żeńkę zapuszkowali? I twój nowy gach przyzwyczał cię do czego innego?

Natalia nagle rozgniewała się i odsunęła od Wadima.

- Jasne, niczego innego nie miałam w głowie, tylko jak znaleźć sobie nowego kochanka. Mąż w więzieniu, śledztwo, adwokaci, sąd, skargi odwoławcze, oczekiwanie na wyrok, a ja zadzieram ogon i skaczę sobie z łóżka do łóżka. Innego zajęcia nie miałam. Mierzysz własną miarą?

- Wyluzuj, czemu się tak wściekasz? Spróbujmy jeszcze raz, co?

- Nie.

Natalia wstała i wyszła do drugiego pokoju. Wróciła całkiem ubrana, w spodniach i cienkim swetrze. Wadim wciąż czekał w łóżku, kartkując leżące na stoliku u wezłowania czasopismo.

- To co, koniec, czy jak? - zapytał, widząc, że Natalia się ubrała.

- Koniec. Wstawaj.

- Ostro pogrywasz - rzekł przeciągle z uśmiechem na ustach. - Masz teraz nowe hobby? Doprowadzić faceta do wrzenia i dać mu kopniaka w tyłek? Kto cię nauczył prowadzić takie gierki, moja słodka? A może próbujesz prymitywnie zemścić się za to, że ci wtedy nie dałem pieniędzy?

- Przestań - z rezygnacją odparła Natalia, odwracając się.

Nawet widok jego nagiego, muskularnego, dużego ciała wydał jej się nieprzyjemny. Boże, co mnie opętało, pomyślała. Za co ja z nim tak? Przecież on nie jest niczemu winien.

Podeszła do Wadima i czule objęła go od tyłu.

- Wybacz, Wadik, naprawdę nie wiem, co się ze mną dzieje. Bóg mi świadkiem, byłam pewna, że między nami wszystko ułoży się jak dawniej. Tak chciałam... Wybacz mi. To pewnie przez nerwy, przecież rok miałam naprawdę ciężki.

Wadim nie odpowiedział i nawet na nią nie spojrzął, nadal się ubierając. Po jego gwałtownych ruchach Natalia domyśliła się, że jest zły. Zapragnęła jakoś odkupić winę, udobruchać Wadima, przecież nie zrobił nic złego, palnął, oczywiście, głupstwo, przykre i obraźliwe, ale w jego stanie całkiem zrozumiałe. Gdy w facecie kipi niezaspokojona żądza, nie takie rzeczy można od niego usłyszeć, niektórym w podobnej sytuacji mózg się w ogóle wyłącza.

- Chodźmy do stołu, mam w piekarniku cudowną pieczeń wieprzową, przygotowałam, jak lubisz.

- Obejdzie się - odburknął Wadim, wysoko unosząc podbródek i zawiązując krawat.

- No dalej. - Natalia nie przestawała nalegać. - Nie chcesz pieczeni, to nie. Mam wiele smacznych rzeczy. Posiedzimy, pogadamy

Wadim zapiął marynarkę i bez słowa udał się do przedpokoju. Natalia zrozumiała, że mężczyzna zaraz wyjdzie, i zupełnie niespodziewanie dla siebie poczuła ulgę. Oparta o ścianę spokojnie obserwowała, jak Wadim wkłada buty i kurtkę, owija szyję szalikiem, i ze wszystkich sił próbowała powściągnąć uśmiech.

- Jak się wyleczysz z oziębłości, zadzwoń - rzucił już w progu i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Drugą połowę długiego niedzielnego dnia Nastia Kamińska spędziła do późna w centrum informacyjnym, sporządzając w opracowanym przez siebie programie statystykę przestępczości w mieście. Pozwalano jej pracować na komputerze w drodze wyjątku, ale za to musiała wklepywać całe rozdziały analitycznych informacji, które przygotowywali pracownicy centrum. Cyfry się nie zgadzały, więc Nastia musiała zaczynać od samego początku, żeby się połapać, gdzie nagle znikają jedne przestępstwa i skąd pojawiały się drugie. Normalna sprawa, bazę zarejestrowanych przestępstw tworzono na podstawie kart wstępnej ewidencji, które wypełniano ręcznie, a później tak samo ręcznie dane z kart wbijano do komputera, tak więc prawdopodobieństwo rozmaitych błędów było dość duże. A przy tym często się zdarza, że

ofiara zgłasza przestępstwo, zakłada jej się kartę, z której dane po jakimś czasie trafiają do centrum informacyjnego GUWD* a potem okazuje się, że żadnego przestępstwa nie było, ukradziony rzekomo samochód właściciel oddał w zastaw wierzycielowi (nie bez nacisków ostatniego, rzecz jasna), napad rabunkowy nie był w rzeczywistości niczym innym, jak tylko wymuszoną spłatą nieoddanego w terminie długu, a pobicia i chuligaństwo wynikiem niezbyt subtelny pomysłu rozgniewanej małżonki albo kłótliwego sąsiada. W jednym miesiącu owe zdarzenia zostały zarejestrowane jako przestępstwa, po czym, już w miesiącu następnym, usunięto je z danych ubiegłego miesiąca, przez co suma przestępstw za każdy oddzielny miesiąc nigdy się nie zgadzała z końcowym wskaźnikiem.

* GUWD (*Gorodskoje uprawlenije wnutriennich dieł*) - Miejski Urząd Spraw Wewnętrznych (przyp. tłum.).

Jednakże Nastia dzielnie przedzierała się przez najróżniejsze niezgodności, bo nie mogła znieść, kiedy cyfry w statystyce różniły się choćby o jeden punkt.

Zdążyła zrobić sporo tabel, kiedy do sali komputerowej zajrzał jeden z programistów.

- Kamieńska, szukają cię w dyżurce, zadzwoń do nich.

Nastia z żalem oderwała się od komputera i poszła zadzwonić.

- Asiu, obywatelka Isiczenko chce się z tobą pilnie widzieć - oznajmił jej dyżurny miasta Kudin, równy facet, którego Nastia знаła od wielu lat i który ciągle stroił sobie żarty z jej zapału do pracy i nieprzezwykłej pasji rozwiązywania intelektualnych szarad.

- Kto?!

- Ludmiła Borisowna Isiczenko. Znasz taką?

- Znam. Gdzie ona jest?

- Wysłałem ją do biura przepustek, siedzi tam i czeka. Zoja zadzwoniła do ciebie, ale nie było cię na miejscu, więc wydzwaniałem pod wszystkie numery, Gordiejew mi powiedział, że masz dzisiaj dyżur.

- Wasieńka, zaraz zadzwonię, żeby jej wypisano przepustkę, a ty

bądź dobrym kolegą i poślij kogoś, żeby ją do mnie przyprowadził. Już biegnę do swojej kanciapy.

- Z daleka biegniesz? Od czego cię oderwałem?

- Pracuję u Łarisy na komputerze. Zrobisz to dla mnie?

- Dobra, niech ci będzie.

Nastia chwyciła pootwierane tabele i pomknęła jak strzała do siebie. Isiczenko się zjawiała! I to nie było kiedyś, lecz w wolny dzień. Widocznie mocno ją przycisnęło. Ciekawe, co się stało?

Dzisiaj Isiczenko występowała w zielonym. Miała na sobie zgniłozielone spodnie, wściekle zielony kapelusz i taki sam szal, a jako dopełnienie stroju - krótkie futerko z ufarbowanych na zielono norek. Nastia widziała kiedyś takie futerko w drogim sklepie, kosztowało kupę pieniędzy - z niewiarygodną liczbą zer.

Nastazja z trudem oderwała wzrok od oszłamiająco zielonej kolorystyki i spojrzała kobiecie w twarz. Isiczenko była jakby bledsza niż zazwyczaj, ale za to wydawała się o wiele spokojniejsza niż w czasie poprzednich spotkań z Nastią.

- Przemyślałam to, co mi pani powiedziała - zaczęła już od progu - i postanowiłam się przyznać.

- Proszę usiąść - łagodnie powiedziała Nastia, starając się nie pokazywać po sobie zdenerwowania. - Może pani zdjąć futerko, u nas jest dosyć ciepło.

Isiczenko usiadła na krześle twarzą zwróconą do Nastii, ale futerka nie zdjęła, tylko je rozpięła. Pod futerkiem miała trawiastozielony sweter.

- Słucham panią uważnie, Ludmiło Borisowno.

- Przyszłam, żeby się przyznać do zabójstwa.

Nastia milczała. Po prostu nie wiedziała, jak ma się zachować i co mówić, kiedy psychicznie chora osoba przyznaje się do popełnienia przestępstwa. Udawać, że jej wierzy? Czy odwrotnie, że nie? Biorąc pod uwagę incydent ze Świetłaną Paraskiewicz, nie wolno zapominać, że ta kobieta może się okazać niebezpieczna. Jak właściwie pokierować rozmową, żeby nie sprowokować agresji?

- Słyszysz mnie pani? - uparcie powtórzyła Isiczenko. - Powiedziałam, że chcę się przyznać do zabójstwa.

- Proszę się przyznawać. Słucham.

- Zabiłam Leonida.

- Jest pani tego pewna?

- Nie rozumiem. - Isiczenko zachmurzyła się. - Oczywiście, że jestem pewna. Zabiłam go przecież, doskonale to pamiętam.

Nastia prędko wyciągnęła z biurka dyktafon i włączyła go.

- Nie ma pani nic przeciwko temu, że będę nagrywać naszą rozmowę?

- Nie mam. Niech pani nagrywa, jeśli to konieczne.

- Więc proszę opowiedzieć wszystko po kolei, od samego początku.

- Jakiego znowu początku! - Ludmiła wyraźnie zaczęła się denerwować i Nastia złażała się w myślach za nietrafnie dobrany ton. - Jaki początek może mieć zabójstwo? Zastrzeliłam go, i tyle. Tak jak prosił.

- Czyli że on panią o to poprosił?

- Dwa dni przed upływem roku. Powiedział, że nie możemy być razem w tym życiu, że zbyt dużo rzeczy go tu trzyma.

I żeby być ze mną, musi umrzeć właśnie tego dnia, w którym minie rok od chwili naszego ostatniego spotkania.

- A nie wytłumaczył pani, dlaczego właśnie tego dnia, nie wcześniej i nie później?

- Po co mi były wyjaśnienia? Tak powiedział i to wystarczyło. Głos z góry skierował go na drogę miłości, drogę wyższego przeznaczenia. Kimże ja jestem, by wątpić w jego słowa i zadawać mu pytania? Jakie mam do tego prawo?

- A czy jest pani pewna, że dzwonił właśnie on, a nie ktoś inny o podobnym głosie?

- Niech pani nie robi ze mnie idiotki. - Ludmiła rozgniewała się. - Jestem całkowicie pewna, że dzwonił właśnie on. Niech pani nie zapomina, że ukazuje mi się po swojej śmierci. Gdyby to nie on dzwonił,

powiedziałyby mi teraz o tym.

- Dobrze. To znaczy, że Leonid Paraskiewicz zadzwonił do pani i poprosił, żeby go pani zabiła. W jaki sposób?

- Powiedział, że mam go zastrzelić.

- Czyżby miała pani broń?

- Nie.

- Jak więc miała go pani zastrzelić?

- Leonid powiedział, że broń będzie schowana na schodach w jego domu. Załadowana i przygotowana do wystrzału. Mam tylko poczekać, aż on wysiądzie z windy, i wystrzelić.

- Chwileczkę. - Natalia przycisnęła dłonie do skroni. - Nie tak prędko. Powiedział, że ma go pani zastrzelić. A pani co mu odpowiedziała?

- Powiedziałam, że podporządkuję się jego woli. Nie śmiałam mu się sprzeciwiać. To geniusz, jest obdarzony wyższym rozumem. Wie lepiej, jak należy postąpić.

- Podał czas i miejsce, gdzie miała dokonać pani zabójstwa?

- Tak. Powiedział, że to powinno się zdarzyć dokładnie tamtego dnia, kiedy minie nakazany z góry roczny okres naszego rozstania. Dzięki temu odkupimy wspólny grzech.

- No i gdzie?

- W jego domu. Powiedział, że pojedzie do rodziców i przyjaciół, pożegna się z nimi, ponieważ w ziemskim życiu więcej się nie zobaczą, i koło północy wróci do domu. Mam stać na balkonie przy schodach i czekać, aż podjedzie jego samochód. Jak zobaczę, że wchodzi do środka, mam się przygotować, otworzyć drzwi na korytarz i kiedy wyjdzie z windy, wystrzelić.

- I właśnie tak pani zrobiła?

- Zrobiłam tak, jak mi nakazał. Wypełniłam dokładnie wszystkie polecenia.

- Czy Leonid powiedział, ile razy ma pani wystrzelić?

- Nie. Powiedział: strzelaj, dopóki nie umrę.

- A pani ile razy wystrzeliła?

- Cztery albo pięć. Nie, cztery.

- I co było potem?

- Poszłam sobie.

- A co z bronią? Trzyma ją pani w domu?

- Nie, zostawiłam ją tam, przy windzie. Leonid powiedział, że mam ją upuścić.

Wszystkie szczegóły się zgadzały. Skąd Isiczenko mogła to wszystko wiedzieć, jeśli to nie ona zabiła Paraskiewicza? Śledczy ani razu jej nie przesłuchiwał, Nastia również niczego jej nie powiedziała. Ale Ludmiła była na pogrzebie Paraskiewicza. Może tam coś usłyszała? Potrzebne są szczegóły, jak najwięcej szczegółów, których nie mogła poznać, przysłuchując się jedynie rozmowom w tłumie żałobników. Co więcej, potrzebne są szczegóły wyjątkowe. Biorąc pod uwagę chorą psychikę kobiety i jej podatność na sugestię, można przypuszczać, że ktoś bardzo sprytnie wykorzystuje jej stan, udając ducha nieboszczyka Paraskiewicza, i zmusza ją do przyznania się do zabójstwa, którego nie popełniła. W tłumie, oczywiście, wiele się nie mogła dowiedzieć, ale całkiem możliwe, że prawdziwy morderca dobrze poinstruował Ludmiłę i dokładnie jej opowiedział, jak się wszystko w rzeczywistości odbyło. Jednakże wszystkiego przecież nie mógł przewidzieć...

- W którą stronę otwierają się drzwi z balkonu na korytarz?

Isiczenko na chwilę się zamyśliła, jakby odtwarzała w pamięci ów wieczór.

- Tam są dwoje drzwi - odparła. - Pierwsze otwierają się w stronę balkonu, drugie na korytarz.

- Z której windy wysiadł Leonid? Z dużej, ciężarowej, czy z małej, która mieści cztery osoby?

- Z dużej. A dlaczego pani pyta? Sama pani nie wie?

- Chcę się przekonać, czy nie szwankuje pani pamięć. Chyba pani rozumie, że przyznanie się do zabójstwa to bardzo poważna rzecz.

- Oczywiście, oczywiście. - Ludmiła pokiwała głową. - Niech pani

pyta.

- Jakie jeszcze samochody zaparkowały przed domem, w czasie gdy czekała pani na Paraskiewicza?

- Wszystkich raczej sobie nie przypomnę. Srebrzysty ford zaparkował tuż pod balkonem.

- Kto wysiadł z forda?

- Mężczyzna i kobieta. Kobieta była w długiej sukni, a na wierzch narzuciła krótki kożuszek.

Wszystko się zgadza, pomyślała Nastia. Byli tacy świadkowie, mieszkają na trzynastym piętrze. Tamtego wieczoru wrócili z bankietu.

- Pamięta pani jakieś inne samochody?

- Inne... Był jeszcze taki długi samochód, nie wiem, jak się nazywa. Zaparkował trochę dalej, z balkonu widziałam tylko kawałek maski.

- I kto nim przyjechał?

- Mężczyzna z psem. Pies ciągle szczekał.

- Pies był duży?

- Nie, malutki, facet niósł go na rękach.

To też prawda. Boże, czyżby to ona była zabójczynią? Ech, gdyby wykrywanie wszystkich przestępstw szło tak gładko! Sumienie nie dawałoby mordercy spokoju i po trzech tygodniach sam by się przyznał. I co mam teraz zrobić z tą zabójczynią? Przecież ona jest kompletnie obłąkana. Nie wsadzę jej do celi, bo wszystkich tam doprowadzi do szaleństwa albo sama coś wywinie.

- Ludmiło, czy zdaje sobie pani sprawę, co pani w tej chwili robi? Przyznaje się pani do popełnienia ciężkiego przestępstwa. I jeśli sąd uzna panią za winną, grozi pani surowa kara.

- Tak, rozumiem - spokojnie odrzekła Isiczenko, ale blask jej oczu Nasti się nie spodobał.

- Czy jest pani gotowa powtórzyć swoje przyznanie się do winy w obecności śledczego i podpisać protokół, w którym zanotujemy pani słowa?

- Jestem gotowa, jeśli to nie potrwa długo.

Nastia prędko wybrała numer telefonu Olszańskiego. Jego żona oznajmiła, że Konstantin Michajłowicz ma również dyżur, ale w prokuraturze Nastia go nie zastała. Dzwoniła pod kilka numerów, aż w końcu jej powiedziano, że Olszański pojechał do jakiegoś lokalu wyborczego, bo ktoś zadzwonił i poinformował, że podłożono tam bombę. Nastia zupełnie się pogubiła, nie była pewna, jak powinna postąpić.

- Ludmiło Borisowno, czy mogłaby pani napisać to wszystko, o czym przed chwilą mi pani opowiedziała?

- A śledczy?

- Nie mogę go znaleźć, wyjechał na miejsce zdarzenia. Najlepiej byłoby, oczywiście, gdybyśmy na niego poczekały, ale skoro prosiła pani, żeby jej długo nie zatrzymywać, to na wszelki wypadek proszę własnoręcznie napisać przyznanie się do winy.

- Dobrze. - Isiczenko westchnęła. - Jeśli to konieczne, napiszę.

Guzik warte takie przyznanie się, nawet własnoręcznie napisane. Jedyne dowód to zgodność szczegółów. Gdyby się przyznała od razu, można by było popracować nad śladami. Ale po trzech tygodniach i w dodatku przy takiej pogodzie o śladach nie ma co marzyć...

- Jak była pani ubrana w chwili zabójstwa?

- Miałam na sobie kurtkę. - Isiczenko ze zdziwieniem podniosła oczy.

- A dokładnie?

- Czarną skórzaną kurtkę podbitą futrem.

- Gdzie ona jest teraz?

- W domu, wisi w szafie.

- Będziemy musieli ją skonfiskować.

- Oczywiście, jeśli to niezbędne.

Już jest dobrze, odetchnęła Nastia. Na kurtce powinny zostać ślady prochu. Jeśli ich tam nie będzie, jej przyznanie się to czysta lipa. Albo majaki chorej wyobraźni, albo osłania kogoś, kto obraca nią jak bezmyślną kukiełką.

- Co to była za broń? Pistolet czy rewolwer?

- Zostawiłam go przecież koło Leonida. Czyżbyście go nie znaleźli?
- Znaleźliśmy.
- Więc dlaczego pani pyta?
- Muszę, takie są zasady.
- Pistolet.
- Jakiej marki?
- Nie znam się. Ale był z tłumikiem.
- Jest pani pewna, że pistolet? Przecież się pani nie zna.
- Leonid powiedział, że będzie schowany pistolet. A poza tym wiem przecież, że w rewolwerze jest bębenek, a w pistolecie magazynek.
- Trzymała pani pistolet gołymi rękami czy w rękawiczkach?
- W rękawiczkach.
- Gdzie one teraz są?
- W domu.
- Rękawiczki również będziemy musieli skonfiskować.
- Proszę, jeśli trzeba.

Jeszcze lepiej. Ciekawe, czemu nie wyrzuciła rękawiczek? Jeśli chodzi o kurtkę, wiadomo, droga rzecz, szkoda. Ale rękawiczki?! Po co je przechowywać w domu? Czyżby była całkowicie pozbawiona instynktu samozachowawczego? Nie czyta kryminałów i nie wie, że na rękawiczkach, tak jak na skórze rąk, zostają cząsteczki prochu? A jeszcze ślady smaru...

- Gdzie był schowany pistolet? W jakim miejscu?
- Pomiedzy drzwiami, które prowadzą z balkonu na schody. One też są podwójne, a między nimi, w głębi, jest taka wnęka. W tej wnęce leżało pudełko, a w nim pistolet.
- Jakie pudełko? Proszę je opisać.
- Niby jak mam je opisać? - Isiczenko zdziwiła się. - Na schodach światło się nie paliło, było całkiem ciemno, więc znalazłam je po omacku. Leonid powiedział, że tam będzie, no i było.
- Ale tak mniej więcej. Czy to było pudełko po butach, czy raczej po torcie? Co przypominało?

- Na pewno nie po torcie. Pudełka po tortach są zwykle kwadratowe, a to było jakby po butach, ale jakieś inne...

- Dlaczego inne?

- Podobne kształtem, ale inne w dotyku. Nie szorstkie, ale gładkie.

Niech лихо porwie tę morderczynię schizofreniczkę. Podczas oględzin rzeczywiście znaleziono pudełko i właśnie tam, gdzie powiedziała. Było to pudełko po magnetofonie, oklejone błyszczącym kolorowym papierem. Do ekspertyzy go nie wysłano, uznano, że któryś z mieszkańców po prostu je wyrzucił.

Jeśli Isiczenko ktoś instruował, musi to być bardzo mądra i przewidująca osoba, która zorientowała się, że na schodach było całkiem ciemno i Ludmiła nie mogła obejrzeć pudełka. Gdyby teraz mi powiedziała, że pudełko było po magnetofonie, natychmiast przyłapałabym ją na kłamstwie.

Nastia umilkła, a Ludmiła znowu pochyliła się nad biurkiem i dalej pisała własnoręczne przyznanie się do zabójstwa. Bardzo niedobrze, że nie ma Olszańskiego! Ciekawe, gdzie jest to pudełko? Chyba go nikt nie wyrzucił... Kto jednak mógł przypuszczać, że ma związek z przestępstwem.

Nastia przypomniała sobie, że widziała dzisiaj w bufecie eksperta Olega Zubowa, i sięgnęła po telefon. Oleg to typowy Pluszkin*, nigdy niczego nie wyrzuca, przechowuje wszystko latami, dzięki czemu nic nie ginie.

*Bohater powieści Mikołaja Gogola *Martwe dusze*, chorobliwy skąpiec (przyp. tłum.).

- Oleżek, mam do ciebie niedyskretne pytanie - zaczęła Nastia.

- Przez bufet* - natychmiast padła odpowiedź eksperta.

*O zwyczaju Olega Zubowa wyświadczenia przysług „przez bufet” mowa jest w powieści *Płotki giną pierwsze* (przyp. tłum.).

- Dobrze, jak sobie życzysz. Tylko powiedz mi, proszę, - czy nie masz może czegoś dotyczącego zabójstwa Paraskiewicza?

- Tego pisarza, tak?

- Uhm.

- Nie, Nastazjo, pisarzem się nie zajmowałem.

- A kto?

- Baba Swieta. To ona miała wtedy dyżur i pojechała na miejsce zdarzenia. Przecież ją znasz, nad tymi dowodami, które sama zbiera, trzęsie się jak kura nad jajkiem. Nikogo nie dopuszcza do zrobienia ekspertyzy, wszystko robi sama.

- Dzisiaj jej, oczywiście, nie ma? - Nastia westchnęła z rezygnacją.

- Dzisiaj ją, oczywiście, zastaniesz. Dwie jesteście takie nawiedzone na całej Pietrowce, ty i ona. Jej też w domu się nudzi, kocha swoją pracę nad życie.

Swietłana Michajłowna Kasjanowa była korpulentną damą w średnim wieku z wiecznie niezadowolonym wyrazem twarzy i o bardzo donośnym śmiechu. Żadnego siedzenia w domu z wnukami nie uznawała i już od trzech dziesięcioleci oddawała się zawzięcie i z pasją kryminalistycznej ekspertyzie. Oleg Zubow był jej uczniem i dlatego pozwalał sobie nazywać ją „babą Swietą” nawet w jej obecności, i był chyba jednym z niewielu funkcjonariuszy GUWD, który się jej nie bał. Kasjanowa miała ostry i niewyparzony język, rzucała obelgami na prawo i lewo, ale należy bezstronnie przyznać, że jeśli ktoś od niej obrywał, to tylko zasłużenie.

Nastia zaczęła dzwonić do Kasjanowej, ale jej telefon był bez przerwy zajęty. Prościej byłoby pobiec do laboratorium, ale nie mogła przecież zostawić Isiczenko samej. W końcu w słuchawce rozległ się długi sygnał.

- Słucham! - odezwał się lekko ochryply, tubalny głos.

- Swietłano Michajłowno, tu Kamieńska, dobry wieczór.

- Chyba sobie żartujesz, dziewczyno. Co w nim dobrego? Zawracanie głowy.

- Swietłano Michajłowno, dzwonię w sprawie zabójstwa Paraskiewicza.

- A co tam? Wykopalście coś nowego?

- Prawie. Pamięta pani może, czy chłopcy znaleźli na schodach jakieś pudełko?

- Owszem - potwierdziła Kasjanowa. - A co z nim?

- Właściwie to ja panią chciałam zapytać, co z tym pudełkiem. Nie wyrzuciła go pani przypadkiem, uznając, że jest niepotrzebne?

- Nie przesłuchuj mnie, dziewczyno, jak śledczy, tylko powiedz, o co ci chodzi.

- Otrzymałam informację, że w pudełku leżała broń, z której zabito Paraskiewicza. Czy można to sprawdzić?

- Na kiedy?

- Świetłano Michajłowno...

- A niech cię, Kamieńska, co ty mi tu bręczysz nad uchem? Kto prowadzi sprawę? Kostia?

- Tak, Olszański.

- To dlaczego ty do mnie dzwonicz, a nie on? Co, Kostia nie wie o tym nieszczęsnym pudełku?

- No właśnie w tym sęk. Wyjechał do zdarzenia i nie mogę się do niego dodzwonić. A sprawa jest pilna. Na wczoraj.

Nastia wypowiedziała ostatnie słowa i instynktownie zmrużyła oczy. Na taką bezczelność wobec baby Świety nikt sobie nie pozwalał. Prosić ją, żeby przeprowadziła badanie, pomijając śledczego, w dodatku w niedzielę wieczorem, i to na gwałt... Nastia pojęła, co może czuć kamikaze.

- Zuchwale sobie poczynasz, dziewczyno! - ryknęła Kasjanowa i rzuciła słuchawkę.

Sztuczka się nie udała, skonstatowała przygnębiona Nastia. Pozostaje tylko czekać na Olszańskiego. A potem się okaże, że pudełka nie dołączono do sprawy, i trzeba go będzie szukać po miejskich śmietnikach. Nie bez kozery Kasjanowa nie chciała nawet rozmawiać. Wygląda na to, że pudełka rzeczywiście nie ma. Niedobrze. No, ale zostają rękawiczki i kurtka. Przynajmniej coś.

- Proszę, napisałam.

Isiczenko wręczyła Nasti dwie kartki zapisane nierównym i niezbyt czytelnym charakterem pisma. Nastia zabrała się do czytania, z trudem rozszyfrowując niektóre słowa i starając się niczego nie pominąć. Ludmiła sięgnęła do torebki i wyjęła buteleczkę z ciemnego szkła, w jakich sprzedaje się w aptekach lekarstwa w płynie.

- Muszę zażyć lekarstwo - wyjaśniła w odpowiedzi na spojrzenie Nasti. - Mogę wziąć szklanekę?

- Proszę. - Nastia kiwnęła głową, znowu zagłębiając się w tekst.

Słyszała, jak coś zabulgotało - Isiczenko podniosła się ze swego miejsca i odszedłszy nieco na bok, nalewała płyn z buteleczki do szklanki. Teraz stała do Nasti plecami i piła, odchyliwszy głowę. Kiedy się odwróciła, wyraz jej twarzy był dziwnie nieobecny.

- No i po wszystkim - powiedziała nieco zdławionym głosem, znowu siadając na krześle przed biurkiem Nasti.

- Jeszcze chwileczkę, Ludmiło Borisowno - poprosiła Nastia, nie odrywając oczu od kartki. - Już kończę. Może poproszę panią o dopisanie czegoś, jeśli o czymś pani zapomniała.

- O niczym nie zapomniałam.

Nastia zaniepokoiła się i odłożyła kartki na bok.

- Co się stało, Ludmiło Borisowno? - zapytała z lękiem.

- Nic. - Isiczenko uśmiechnęła się z przymusem i spojrzała Nasti prosto w oczy. - Teraz już wszystko w porządku. Wszystko dobrze.

Z trudem wciągała powietrze, jej oddech stał się urwany i zdawało się, że mówienie kosztuje ją dużo wysiłku. Powieki opadły, jakby walczyła ze snem.

- Źle się pani czuje? Może zawołać lekarza?

- Niech się pani nie wysila... i tak pani... nie zdąży. Odchodzę do Leonida... Teraz zawsze będziemy razem.

Jej smagła twarz stała się ziemistoszara, później nagle zrobiła się purpurowobrązowa. Nastia chwyciła za telefon.

- Wasia! - krzyknęła z rozpaczą, słysząc głos dyżurnego miasta. - Lekarza! Prędko!

Ale tych kilku minut, których potrzebował dyżurny lekarz sądowy, żeby dobiec do gabinetu Nasti, okazało się zbyt wiele i Ludmiła Isiczenko po zażyciu trucizny nie zdołała ich przeżyć. Kiedy lekarz w towarzystwie Kudina wpadł do gabinetu, kobieta leżała na podłodze i była martwa. Ostatecznie i nieodwołalnie.

ROZDZIAŁ 8

Pomimo późnej pory ludzi w metrze było jeszcze sporo. Na stacji Baumanskaja z pociągu wysiadł jednak cały tłum pasażerów i Nastia udało się znaleźć miejsce w kąciku wagonu. Nadal ledwie kojarzyła, co się wokół niej dzieje. Po gwałtownej śmierci Ludmiły Isiczenko żadną miarą nie potrafiła wziąć się w garść. Naczelnik wydziału, Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew, rozmawiał z Nastią przez zaciśnięte zęby. Nie ukrywał, że jest bardzo zły i przygnębiony, starał się jednak nie powiększać zdenerwowania Nastii.

- Idź do domu, dziecko - oznajmił jej, choć w jego głosie nie było dotychczasowego ciepła i współczucia. - Jutro rano złożysz wyjaśnienia. Prześpij się, postaraj uspokoić. I przemyśl wszystko od samego początku, bo wyjaśnienia będziesz składać nie tylko przede mną.

Nastia z wdzięcznością kiwnęła głową i powlokła się do domu. Przed oczami bez przerwy miała purpurowobrązową twarz Isiczenko, i myśl, że będzie musiała spędzić noc w pustym mieszkaniu, wydawała się jej nie do zniesienia. Był to jeden z tych rzadkich wypadków, kiedy pragnęła, żeby ktoś na nią czekał w domu. Niekoniecznie mąż czy przyjaciel, ale przynajmniej pies albo kot. Albo choćby kanarek czy rybki w akwarium. Żywa dusza, istota, która oddycha i czuje. Nastia bała się zostać nocą sam na sam z pojawiającą się wciąż przed oczami twarzą umierającej kobiety, a także dotkliwym poczuciem własnej winy, z myślą, że nie zdążyła jej powstrzymać, uratować.

Z każdą stacją przybliżającą ją do domu ów strach się nasilał i Nastia nie wytrzymała. Wysiadła z metra dwa przystanki przed swoją Szczołkowską, wjechała na górę i skierowała się ku budkom telefonicznym.

Iwan Aleksiejewicz Zatoczny był w domu.

- Tato! - Nastia usłyszała w słuchawce wołanie jego syna

Maksima. - To ciocia Nastia. Po chwili generał podszedł do telefonu.

- Anastazja? Coś się stało?

- Tak.

- Mogę pani pomóc?

- Mam nadzieję. To okropna bezczelność z mojej strony, ale czy nie wybrałby się pan ze mną na mały spacer?

- Co, teraz?

- Tak, jestem niedaleko pana, w metrze.

- Może lepiej będzie, jak pani do nas wpadnie? Właśnie przyjechałem z pracy, zjedlibyśmy razem kolację.

- Iwanie Aleksiejewiczu... Jakoś mi niezręcznie. Lepiej pojedę do domu.

- Bzdury, Anastazjo. Proszę mi wierzyć, że z przyjemnością pospacerowałbym z panią po parku, mimo że już prawie jedenasta, ale - tu zniżył głos do szeptu - Maksim czekał na mnie z niecierpliwością, bo przygotował kolację. Bardzo się starał, chciał mi zaimponować swoją dojrzałością i samodzielnością. I jak to będzie wyglądało, jeśli zostawię wszystko nietknięte i pójdę z panią na spacer? Chłopak się obrazi. Jeśli natomiast pani się do nas przyłączy i stanie się świadkiem jego tryumfu, będzie mu miło. A zatem niech pani wyjdzie z metra i kieruje się wciąż na lewo, tylko nie za szybko. Maksim wyjdzie po panią i przyprowadzi do nas. Za pierwszym razem sama pani nie trafi, budynki są tutaj dość osobliwie ponumerowane, a w dodatku jest ciemno.

Nastia zdążyła przejść niewielki kawałek, kiedy zobaczyła biegnącego z naprzeciwka chłopaka.

- Proszę mi dać torbę - poważnie powiedział Maksim, i Nastia po raz kolejny się zdziwiła, jak bardzo chłopak się zmienił od czasu, kiedy go poznała. Przecież jeszcze zupełnie niedawno, latem, był młokosem, towarzyszył ojcu w niedzielnych porannych spacerach i wymigiwał się od ćwiczeń na drążku. A teraz obok Nasti siedł silny, barczysty chłopak,

któremu już nie łamał się głos, niezbyt wysoki - widocznie po ojcu - ale za to atletycznie zbudowany - a to już pewnie po matce, pomyślała Nastia, generał jest szczupły, kościsty, ma zwinne ruchy, a chłopak jest trochę przyciężkawy.

- Nie martw się, ciociu Nastiu - przekonywał ją po drodze Maksim - odprowadzimy cię z ojcem do domu. Jeśli, oczywiście, nie zostaniesz u nas.

- U was? - Nastia otrząsnęła się z zamyślenia. - A co, są takie plany?

- Jeśli zrobi się późno, możesz zostać. Mieszkanie mamy duże, miejsca dla wszystkich wystarczy. Ojciec tak właśnie powiedział: jeśli ciocia Nastia nie zostanie u nas na noc, odprowadzimy ją do domu. Już późno, nie możemy jej samej puścić.

Nastia uśmiechnęła się w duchu, widząc, jak Maksimowi się spieszyło, żeby zostawić za sobą dzieciństwo. Przecież dosłownie kilka minut temu słyszała, jak wołając Zatochnego do telefonu, nazywał go tatą, a teraz w rozmowie użył statecznego, dorosłego określenia „ojciec”.

- Co się dzieje? - zapytał Iwan Aleksiejewicz, witając Nastię w przedpokoju. - Możemy omówić pani problem w obecności syna?

- Jasne, to żadna tajemnica ani nic nieprzyzwoitego.

- Dobrze, w takim razie porozmawiamy przy kolacji. Proszę do środka.

Widać było, że Maksim rzeczywiście się starał, przygotowując kolację dla ojca generała, który musi pracować również w niedziele. Nawet chleb razowy pokrojony był w pieczołowite trójkąty i ułożony na talerzyku w wymyślny stosik.

- Ciociu Nastiu, a na kogo głosowałaś?

- Co? - Nastia, która zastanawiała się nad tym, jak opowiedzieć generałowi o swoim kłopotcie maksymalnie zwięźle, nie pomijając przy tym niczego ważnego, nie zrozumiała pytania.

- Pytam, na kogo dzisiaj głosowałaś w wyborach.

Ach, prawda, niech to diabli, zapomniała o wyborach! To znaczy nie żeby zupełnie zapomniała, pamiętała, że lokale wyborcze są otwarte do

dziesiątej wieczorem, i miała całkiem szczerzy zamiar wstąpić do jednego z nich i wrzucić kartę po drodze z pracy. Aby zrobić to rano, nie starczyło jej samozaparcia i siły woli: żeby odwiedzić lokal wyborczy po drodze do pracy, musiałaby wstać całe pół godziny wcześniej, ponieważ znajdował się nie po drodze do metra, ale w zupełnie w innej okolicy. Gwoli pomocy Stasowowi mogła ponieść taką ofiarę, ale wybory, jej zdaniem, nie były tego warte. Nastia nie wątpiła, że bez przeszkód zdąży wykonać swój obywatelski obowiązek, wracając do domu z pracy. Jednak po samobójstwie popełnionym u niej w gabinecie walka demokratów z komunistami zupełnie wywietrzała jej z głowy. A teraz już za późno. Lokale wyborcze już od godziny są zamknięte.

- Na nikogo - przyznała. - Nie zdążyłam. Wcześniej rano pobiegłam do pracy, a teraz dopiero wracam. Byłam pewna, że zdążę wieczorem zagłosować, ale w pracy miałam nieprzyjemności i musiałam zostać dłużej.

Co się tyczy tego, że pobiegła do pracy przed otwarciem lokali wyborczych, to oczywiście skłamała. Ale nie będzie się przecież tłumaczyć, że ciężko jej rano wstać, zwłaszcza jeśli za oknem jest ciemno, i że przez pierwsze pół godziny po zerwaniu się z łóżka z trudem powstrzymuje łzy złości i rozżalenia, że musi się ubierać i gdzieś iść, podczas gdy ona tak źle się czuje, jest jej słabo, nogi majak z ołowiu, ręce mdleją i odmawiają posłuszeństwa, w głowie się kręci. Za to w drugiej połowie dnia, po trzeciej, jej sprawność wzrasta, Nastia dobrze kojarzy i może pracować bez przerwy, do późnej nocy.

- Jak ci nie wstyd - z wyrzutem oznajmił Maksim. - Przez takich jak ty możemy wszystko stracić. Praca jest dla was ważniejsza niż nasza przyszłość. Życie już sobie poukładaliście i wszystko wam jedno, kto przejmie władzę. Jeśli komuniści, to niewiele straciecie, już mieliście z nimi do czynienia, więc będziecie umieli się przystosować. A my? Co się z nami stanie, jeśli w Dumie będą przewodzić komuniści? Nie będzie żadnych prywatnych uczelni ani możliwości nauki za granicą, żadnych wyjazdów. Nigdzie nie da się zarobić pieniędzy. Wyście już pożyli przy

reformie i udało wam się coś tam uskładać, a my? My jeszcze nie pracowaliśmy. I teraz co, mamy żyć w nędzy? No jasne, wy wszyscy jesteście tacy pragmatyczni i zajęci, na wybory idą tylko emeryci i ludzie niezamożni, którzy uwielbiają komunistów i nienawidzą demokratów, bo są pewni, że za komunistów żyłoby im się lepiej.

- Maksim! - Generał starał się mówić jak najsurowiej, ale w lodowatym tonie i tak pobrzmiwało zdumienie. - Gdzieś ty się tego nauczył? Pomijam już to, że nie masz żadnego prawa czegokolwiek zarzucać Anastazji Pawłownie. To dorosła kobieta, major milicji, sama ułożyła sobie życie, nie prosząc nikogo ani o pomoc, ani o jałmużnę, i teraz, kiedy ma trzydzieści pięć lat, wolno jej postępować tak, jak sama uważa za słuszne. Nie musi myśleć o tym, co na ten temat sądzi Maksim Zatoczny, który na razie jeszcze niczego nie osiągnął i niczym nie udowodnił, że jest coś wart, za to chce, żeby dorośli zapewnili mu wygodne i komfortowe życie. Mam nadzieję, że przeprosisz naszego gościa i ten konflikt zostanie zażegnany. Jest jednak i drugi. Wiem, co ci leży na sercu i czego się boisz. W ciągu ostatnich trzech lat przestaliście się przykładać do nauki. To znaczy oceny przynosicie dobre, nie dlatego jednak, że świetnie znacie przedmiot, ale dlatego, że nauczyciele je wam stawiają. A wy nie jesteście już dziećmi i doskonale to rozumiecie. Nie macie złudzeń co do swojej wiedzy, wiecie, ile warte są wasze czwórki i piątki, ale cieszycie się, że nie musicie się mocno wysilać. Pedagodzy nie umieją sobie z wami poradzić, bo nie macie motywacji, by zdobywać wiedzę, i nauczyciele nie wiedzą, jak was zmusić do nauki. Dobre oceny stawiają wam z rozpacz, z poczucia własnej bezradności, a wy to bezczelnie wykorzystujecie i śmiejecie się, w dodatku nie ukradkiem, ale otwarcie. Dlaczego do tego doszło? Powiem ci dlaczego. Dlatego że oprócz bezpłatnych uczelni państwowych, w których trzeba zdawać poważne egzaminy i stawać do konkursu, jest mnóstwo uczelni prywatnych, gdzie nie ma żadnych konkursów i egzaminów wstępnych. Napisz test, zapłać i ucz się, ile ci się żywnie podoba. A za dodatkową opłatą zawsze możesz otrzymać zaświadczenie, że uczysz się w uczelni

państwowej i dzięki temu nie podlegasz powołaniu do służby czynnej w trakcie nauki. Po ukończeniu uczelni prywatnej zamierzacie wybyć do pracy za granicą. Albo nawet i tam zamieszkać. Wszystko to macie wypisane na twarzach wielkimi literami i dla nikogo nie stanowi tajemnicy. Wasze płatne, pozał się Boże, uczelnie robią z was menedżerów i obiecują wysłać na staż za granicę, a wy już się palicie, żeby tam zostać. Oczywiście potwornie się boicie, że ta sielanka nagle się skończy. Egzaminów na uczelnię państwową nie zdacie, dawno przestaliście się uczyć jak należy i wasza wiedza równa jest zeru. Do wojska też nie macie ochoty iść. Zarobić pieniędzy psim swędem, nakręcając ceny w handlu, już wam się nie uda. Tak więc, mój drogi synu, nikt nie musi rozwiązywać tych problemów dla ciebie i dla całego twojego pokolenia. Będziesz startował na naszą uczelnię resortową i zdawał egzaminy na ogólnych zasadach, a ja palcem nie kiwnę, żeby ktoś się za tobą wstawił. Jak ci się nie powiedzie, pójdiesz do wojska, na naukę w uczelni prywatnej nie dam ci ani rubla. Jak zarobisz sam, wtedy proszę bardzo. Jeszcze raz powtarzam: jako twój ojciec mam obowiązek cię karmić, ubierać i zapewnić ci bezpłatny dach nad głową, dopóki nie skończysz osiemnastu lat. I na tym koniec. Więcej nikt na tym świecie, łącznie ze mną, nie jest ci nic winien. I o swoją przyszłość musisz się martwić sam, a nie Anastazja Pawłowna, której ośmieliłeś się zarzucić, że jest, patrzcie go, tak zajęta swoimi zawodowymi obowiązkami, że nie pomyślała o twoim szczęśliwym i kwitnącym, beztroskim istnieniu. Sądzę, że wyczerpaliśmy temat i możemy przystąpić do kolacji.

Maksim nadał się, ale nie odważył się odejść od stołu. Demonstrowanie humorów w tej rodzinie nie było mile widziane.

- Niech pani mówi, Anastazjo, co się stało.

Nastia postarała się jak najkrócej opowiedzieć Zatoicznemu historię z Ludmiłą Isiczenko. Iwan Aleksiejewicz słuchał, nie przerywając.

- Potrzebuje pani rady? - zapytał, kiedy Nastia umilkła.

- Szczerze mówiąc, nie.

- To dobrze, bo w tej sytuacji nie potrafiłbym tego zrobić. Co się stało, to się nie odstanie, więc żadne rady nie mają sensu.

- Strach mnie ogarnia, Iwanie Aleksiejewiczu. Boję się zostać sama. Ciągle ją widzę.

- To minie. Prędeziej, niż pani myśli. Dzisiaj może pani zostać u nas i w ogóle pomieszkać z nami dłużej, dopóki mąż nie wróci do Moskwy.

- Dziękuję, ale przyzwyczajona jestem do własnego mieszkania. Proszę powiedzieć, tylko obiektywnie: czy bardzo zawiniłam?

Zatoczny zamyślił się, po czym lekko się uśmiechnął.

- Anastazjo, człowiek o ciężko chorej psychice jest jak tygrys, który wyrwał się z klatki. Nie sposób przewidzieć jego zachowania, nie da się nim pokierować. Nawet jeśli komuś się to udaje, nawet jeśli ktoś na tyle dobrze poznał i pojął metodykę szaleństwa, które ogarnęło chorego, i umie nim manipulować, to i tak w pewnej pięknej chwili chory wymknie się spod kontroli. Można przygarnąć całkiem małego, dwutygodniowego tygryśka, wykarmić go butelką, brać do swego łóżka i nie spać po nocach, kiedy jest chory, ale nikt nigdy nie zagwarantuje, że gdy zwierzę poczuje zapach krwi, nie zagryzie swojego właściciela. Słyszysz pani, Anastazjo? Nikt nigdy. Drapieżnik to drapieżnik, a chory psychicznie to chory psychicznie.

- Powinnam była się zorientować, że Isiczenko planuje coś niedobrego.

- Nic pani nie powinna była, bo nie jest pani psychiatrą i nikt pani tego nie uczył. Nawet lekarzy nie pociąga się do odpowiedzialności, kiedy ich pacjenci popełniają samobójstwa.

Właśnie dlatego, że są chorzy i nie sposób zajrzeć im w duszę. Podobnie zresztą jak zdrowemu.

- A jednak powinnam była się zorientować - upierała się Nastia. - Była podejrzenie ustępliwa, zgadzała się na wszystkie moje prośby. Poczekać na śledczego? Proszę. Magnetofon? Proszę. Własnoręczne przyznanie się do winy? Proszę. To powinno było dać mi do myślenia.

- Nie ma pani racji - cierpliwie oponował generał. - Gdyby chodziło o

człowieka, którego zna pani dobrze od dawna i wie, jaki ma krnąbrny i nieustępliwy charakter, wtedy mógłbym przyznać, że mogła pani wyczuć, że coś się święci, jak tylko okazał niespodziewaną ustepliwość i łagodność. Ile razy rozmawiała pani z tą kobietą?

- Trzy. Dwa razy w tym tygodniu i ostatni raz dzisiaj.

- W takim razie o czym my w ogóle mówimy? Zna ją pani zaledwie od kilku dni, widziała ją pani trzy razy, to o co można mieć do pani pretensje? Niech pani przestanie się zadręczać poczuciem winy. Na pani miejscu myślałbym tylko o tym, jak się połapać w jej zeznaniach, jak stwierdzić, czy napisała prawdę, czy wykonywała czyjeś polecenie. Czy rzeczywiście to ona jest zabójcą, czy mamy do czynienia z samooskarżeniem w czyimś interesie. Jest pani przecież zawodowcem, no to niech się pani zachowuje jak zawodowiec i nie wpada w histerię.

Samooskarżenie. No oczywiście. Stasow i jego prośba. Dobrze, że sobie przypomniała.

- Iwanie Aleksiejewiczu, był u mnie wczoraj Stasow i strasznie prosił, żebym z panem porozmawiała.

- Nie ma sprawy. Pewnie o Potaszowie, tak?

- Skąd pan wie? Oczywiście, że o Potaszowie. Stasowa bardzo deprymuje cała ta sytuacja, ale krępuje się pana zapytać.

- Co takiego? - Zatoczny wybuchnął śmiechem. - Stasow się krępuje? Przecież on w życiu nikogo się nie krępował. Toż to bezczelny typ.

- Nie, naprawdę, niezręcznie było mu pana zapytać.

- A pani jest łatwiej?

- Mnie też jest niezręcznie, ale zamartwiać się i snuć domysły jest jeszcze gorzej, więc lepiej zapytać.

- No to niech pani pyta. Maksim, wstaw wodę.

- Krótko mówiąc, Stasow niepokoi się tym, że w sprawie Dosiukowa może pan mieć swój interes. Nie chce zrobić czegoś na pana szkodę, a odmówić nie może, ponieważ to pan go poprosił.

- Jasne - burknął generał. - A więc tak, Anastazjo. Nikołaja Grigorjewicza Po taszo wa widziałem raz w życiu w studiu

telewizyjnym, wspominałem już pani o tym. Sprawę Dosiukowa nadzorowałem. Przejeliśmy ją od razu z terenu, ponieważ ofiarą był dyrektor generalny firmy, którą podejrzewamy o różne nieciekawe rzeczy, a zabójca jest prezesem dużej spółki akcyjnej. Zgodzi się pani ze mną, że mieliśmy wszelkie podstawy sądzić, że jeden arcygroźny krokodyl wykończył drugiego, nie mniej groźnego, ponieważ nie umieli się czymś tam podzielić, akurat nam na uciechę. Co prawda później się wyjaśniło, że nie ma to żadnego związku z przestępczością zorganizowaną, a zabójstwo popełniono z zazdrości. Ofiara, Boris Krasawczikow, pozwolił sobie na jakieś niedwuznaczne aluzje pod adresem przyjaciółki Dosiukowa. I to wszystko. Ale Dosiukow się uparł i za nic nie chciał się przyznać. Nigdy go osobiście nie poznałem i podczas śledztwa ani razu się z nim nie zetknąłem. Facet, jak pewnie się pani domyśla, nie jest mi do niczego potrzebny. Na dniach zadzwonił do mnie Potaszow, mój telefon dali mu w studiu, i zapytał, czy nie znam sensownego prywatnego detektywa, który podjąłby się pracy nad sprawą dotyczącą bezprawnego skazania i idącej w ślad za tym rehabilitacji. Nie zapytałem, o kim właściwie mowa, niespecjalnie mnie to interesowało, ale przypomniałem sobie o Władisławie i zadzwoniłem do niego. Jest bystry i doświadczony, dwadzieścia lat odbębnił w organach ścigania i ma licencję. Czego jeszcze chcieć? Oto i cała historia. A co on pomyślał?

- Oj, Iwanie Aleksiejewiczu, czyżby pan nie wiedział, co w takiej sytuacji może pomyśleć doświadczony i rozgarnięty wywiadowca? I o tym wszystkim Stasow właśnie pomyślał.

- Ta-ak. - Zatoczny pokręcił głową. - To sobie wychowałem ucznia. Wykapany ja. A więc uważa, że Dosiukow jest winien, ale chce się wykręcić. I myśli, że ja też tego chcę. Dobra, Anastazjo, niech pani mu powie, żeby się nie stresował. Nie mam żadnego długu wobec Potaszowa, więc jeśli Władisławowi sprawa się nie podoba, może z czystym sumieniem odmówić. I jeszcze jedno. Nad sprawą pracowali moi podwładni. Jeśli się okaże, że Dosiukow jest niewinny, będę musiał zbadać, jak to się mogło stać, że moi ludzie zbierali dowody przeciwko

niewinnej osobie, w dodatku takie, że śledczy i sędzia im uwierzyli. Może się okazać, że to nie moi chłopcy zebrali dowody, tylko sam śledczy. Ale jeśli są w to zamieszani pracownicy mojego wydziału, będę musiał przedsięwziąć ostre środki. A później dokładnie takie same środki, może nawet ostrzejsze, zostaną przedsięwzięte w stosunku do mnie, ponieważ to ja odpowiadam za ich robotę. Z tego względu wolałbym, żeby Dosiukow okazał się jednak winien. Ale, jak pani rozumie, to w żaden sposób nie oznacza, że sygnalizuję Stasowowi, by nieobiektywnie prowadził swoje prywatne śledztwo. Po prostu chcę, żebyście i on, i pani, Anastazjo, jasno zrozumieli, że nie mam prywatnego interesu w uniewinnieniu Dosiukowa.

Oboje w milczeniu wypili herbatę, zjedli ciasto z pobliskiego sklepu i Nastia wstała z miejsca.

- A więc nie zostanie pani? Twardo postanowiła pani jechać do domu? - zapytał Iwan Aleksiejewicz, idąc za nią do przedpokoju.

- Pojadę. - Kiwnęła głową. - Nie lubię spać na cudzym tapczanie, nawet jeśli jest wygodniejszy od mojego.

- Odwiozę panią.

Zeszli na dół i wsiedli do jasnej wołgi Zatocznego.

- Chyba syn się na pana obraził - zauważyła Nastia. - Kiedy wyszedł po mnie, powiedział, że odprowadzicie mnie razem. A pan jedzie bez niego.

- To dlatego, że niewłaściwie się zachowuje. Powinien był panią przeprosić, ale nie zrobił tego. Gdyby przeprosił, pozwoliłbym mu uczestniczyć w naszej rozmowie i spór byłby zażegnany. I wówczas oczywiście odwieźlibyśmy panią razem. On jednak nie przeprosił, więc niech się teraz zadręczą podejrzeniami pod naszym adresem.

- Podejrzeniami? O czym pan mówi, Iwanie Aleksiejewiczu?

- Niech pani da spokój, Anastazjo, przecież wiadomo, jaką masę plotek tłumaczących naszą znajomość i przyjaźń potrafią wymyślić pani i moi koledzy z pracy, ale szesnastoletniego chłopaka stać tylko na jedną hipotezę. Na inne nie ma dość rozumu i doświadczenia. Gdyby pani

została u nas, byłby pewien, że śpimy w oddzielnych pokojach. Gdybym wziął go ze sobą, żeby panią odwiedzić, wiedziałby, że zawróciłem razem z nim przed drzwiami pani mieszkania i udałem się do domu. A tak roi mi się, że po prostu się go pozbyliśmy. Zapewniam panią, że siedzi teraz i spogląda na zegarek, szacuje, ile czasu zajmie mi droga do pani oraz powrót.

- Ale przecież nie wie, gdzie mieszkam.

- No właśnie. Dlatego bez względu na to, kiedy wrócę, i tak się nie dowie, czy wstąpiłem do pani, czy nie.

- Nie szkoda go panu? Mimo wszystko dziecko się denerwuje.

- No to niech się denerwuje. Nie wydorosłeje, jeśli nie będzie się martwił i przejmował.

- Nawet z powodu takich głupstw?

- Owszem. Nawiasem mówiąc, relacje ojca z kobietami i własna ocena tych relacji to nie takie znów głupstwa. Cierpienia i męczarnie z tego powodu sprawiają, że człowiek staje się mądrzejszy.

Samochodem droga z Izmałowa do domu Nastii zajęła niewiele czasu i Anastazję znowu ogarnęło przerażenie na myśl o pustym, ciemnym mieszkaniu. Zatoczny zauważył, że twarz jej stężała, kiedy zahamował przed wejściem.

- Może się pani jeszcze rozmyślić, Anastazjo - powiedział, uważnie jej się przyglądając. - Może jednak wrócimy do nas?

- Nie. - Nastia pokręciła głową. - Muszę sobie poradzić sama. Dziękuję panu za wszystko, Iwanie Aleksiejewiczu, za gościnność, kolację, rozmowę i ciepłe słowa. I za propozycję przenocowania u pana. Jestem bardzo wdzięczna. Ale muszę poradzić sobie sama.

Było już po dwunastej, więc Zatoczny wjechał z nią windą i odprowadził do drzwi mieszkania.

- Ostatni raz pytam - powiedział, kiedy Nastia wyjmowała klucze z torby. - Nie wróci pani ze mną?

- Nie.

- W takim razie dobranoc.

- Dobranoc, Iwanie Aleksiejewiczu.

W domu Nastia poczuła się zupełnie nieciekawie. Bała się wyłączyć światło. W tym momencie po raz pierwszy w życiu przyszło jej do głowy, że może ludzie, którym pokazują się nieboszczycy, niekoniecznie są wariatami.

Poniedziałkowy rano przyniósł śledczemu prokuratury miejskiej Olszańskiemu mnóstwo niespodzianek. O samobójstwie Ludmiły Isiczenko dowiedział się już wczoraj. Rano, ledwie zdążył wejść do gabinetu, zadzwoniła do niego ekspert Kasjanowa.

- Kostia...?! - Wrzasnęła do słuchawki ogłuszającym basem. -A ty co, psiakrew, ludziom głowę zawracasz?

Miała z dziesięć lat więcej od Olszańskiego, pamiętała go jeszcze z czasów, kiedy był młodym początkującym śledczym, nieśmiałym i niewyrobionym. Chroniła go wówczas przed nieustannymi próbami kolegów, by wciągnąć niedoświadczonego Kostika w jakąś brudną popijawę z morzem wódki, marną zakąską i podejrzanymi panienkami.

- Co ta twoja Kamieńska sobie myśli?! - krzyczała wciąż Swietłana Michajłowna. - Zmusiła mnie wczoraj, żebym niemal do nocy siedziała w pracy, a sama wybyła diabeł wie gdzie i nawet nie raczyła zadzwonić, też mi jaśnie pani.

- Chwileczkę, Swietłano Michajłowno, proszę zacząć od początku, bo nic nie rozumiem.

- To ona nic ci nie powiedziała? Nie rozmawiała z tobą wczoraj?

- Nie. Rozmawiałem z jej szefem, z Gordiejewem. Zdarzył się tam u nich wypadek, świadek w sprawie Paraskiewicza otruła się w gabinecie Kamieńskiej.

- Ożeż ty! - wyraziła współczucie Kasjanowa. - Biedna dziewczyna, oberwie jej się teraz. Krewni tego świadka na pewno zaczną dochodzić swoich praw i udowadniać, że Kamieńska czepialstwem i próbami wymuszenia przyznania się świadka do winy doprowadziła do tragedii. Wiem, bo też przez to przechodziłam. Zaczekaj, Kostik, więc o pudełku wiesz czy nie?

- Nie mam pojęcia o żadnym pudełku.

- Wobec tego streszczę ci w dwóch słowach. Podczas oględzin miejsca zabójstwa Paraskiewicza znaleziono na schodach puste pudełko po magnetofonie. Na wszelki wypadek je zabrałam, ale ponieważ ty potraktowałeś je lekceważąco i nie zleciłeś żadnych ekspertyz, ponieważ się u mnie w szafie zapakowane w celofan. No i wczoraj dzwoni do mnie twoja Kamieńska z prośbą, żeby zbadać pudełko pod kątem obecności smaru do broni i w ogóle sprawdzić, czy leżała w nim broń. Pytam ją: czy Kostia o tym wie? Dlaczego sam nie dzwoni? A ona na to, że wyjechałeś do zdarzenia i nie może cię znaleźć, a sprawa jest pilna. Jak pilna, to pilna, rzuciłam wszystko i dalej obwąchiwać i oblizywać to parszywe pudełko z każdej strony. Zrobiłam i napisałam co trzeba, lecę do telefonu, żeby do niej zadzwonić, a po Kamieńskiej ślad zaginął. Nawet nie zainteresowała się wynikiem ekspertyzy i poszła sobie do domu. Ależ byłam na nią wczoraj zła! Ale teraz, oczywiście, wiadomo, dlaczego nie zadzwoniła. Nie miała do tego głowy.

- Dziękuję, Michajłowno, dobry z ciebie człowiek. Słuchaj no, czy my tam niczego nie naruszyliśmy?

- W jakim sensie?

- Chodzi mi o to pudełko. Zostało wciągnięte do protokołu? Żeby później ktoś nie powiedział, że znaleźliśmy je nie wiadomo gdzie i dołączyliśmy do sprawy. Jakoś nie mogę sobie przypomnieć, do denata przecież to nie ja wyjeżdżałem, sprawę przejąłem dopiero dobie temu.

- Aleś ty, Kostia, wredny! - prychnęła Kasjanowa. - Przecież ja na tej robocie zęby zjadłam, w międzyczasie wychowałam dwójkę dzieci i starszego wnuka posłałam do szkoły. Zaczęłam pracować, kiedy nawet nie byłam jeszcze zamężna. A ty mi takie pytania zadajesz. Nie wstyd ci?

- Wstyd, Michajłowno. Ale ja tylko tak, na wszelki wypadek.

Gdy tylko Olszański odwiesił słuchawkę i zaczął wreszcie zdejmować płaszcz, telefon na nowo zaczął się urywać. Śledczy ze smutkiem popatrzył na papiery, namokłe od roztopionego śniegu, który nakapał z rękawa płaszcza, i znów podniósł słuchawkę.

- Konstantynie Michajłowiczu! - W słuchawce rozległ się głos, który sprawił, że Olszański aż się wzdrygnął. - Tu Galina Iwanowna Paraskiewicz. Muszę się koniecznie z panem zobaczyć. Będę u pana równo za czterdzieści pięć minut.

- Chwileczkę, Galino Iwanowno. Za czterdzieści pięć minut nie będę mógł pani przyjąć. Mam umówione przesłuchania.

- No to niech mi pan wyznaczy godzinę - zażądała. - Tylko jak najszybciej. To bardzo ważne. Dotyczy Lonieczki.

- Proszę zaczekać.

Olszański ścisnął słuchawkę kolanami, żeby całkowicie zasłonić mikrofon, i sięgnął po wewnętrzny telefon, który również miał połączenie z miastem, jeśli wykręciło się ósemkę.

- Nastazja? - odezwał się gorączkowo. - Możesz przyjechać do mnie do prokuratury? Paraskiewicz seniorka ma coś pilnego. Chcę, żebyś też posłuchała. Narada operacyjna? A niech to diabli, zapomniałem. To kiedy? Koło drugiej? Dobra, zaproszę ją na drugą. Aha, Nastazjo, zadzwoń do Swietki Kasjanowej.

Klnie na czym świat stoi. Nie, nie zabije, wie o twoich kłopotach. To wszystko, cześć.

Do drugiej Konstantin Michajłowicz miał do wykonania mnóstwo roboty - musiał przeprowadzić wyznaczone przesłuchania i konfrontacje, skończyć mowę oskarżycielską w jednej sprawie, a także napisać wnioski o przedłużenie terminu wstępnego śledztwa w skomplikowanej sprawie o potrójne morderstwo i podpisać go u prokuratora. Byłoby nieźle, gdyby zdołał jeszcze coś zjeść, ale niestety na to nie starczyło mu czasu. Olszański wrócił do swego gabinetu za pięć drugą i zobaczył Nastię, samotnie siedzącą na korytarzu wśród świadków i ofiar wezwanych przez innych śledczych, których gabinety znajdowały się po sąsiedzku.

- Długo czekasz? - zapytał, otwierając drzwi.

- Długo - odparła Kamieńska jakimś zmęczonym i obojętnym głosem.

Konstantin Michajłowicz odwrócił się i przyjrzał się jej uważniej. Pod oczami miała głębokie sińce, a jej skóra nie była biała jak zwykle, lecz szaroprzezroczysta.

- Co ci jest? Chorujesz? Złapałaś grypę?

- Martwię się - odrzekła krótko.

- Z powodu Isiczenko?

- Owszem.

- Przestraszyłaś się? Czy czujesz się winna?

- I jedno, i drugie.

- Niepotrzebnie. Przyciskałaś ją może? Albo groziłaś jej?

- Uchowaj Boże. Już w progu oznajmiła, że chce się przyznać do zabójstwa Paraskiewicza. Nie uwierzyłam jej, zaczęłam zadawać szczegółowe pytania, później poprosiłam, żeby to wszystko opisała. Była absolutnie spokojna, nie płakała, nie krzyczała, moim zdaniem nawet się nie denerwowała.

- Ktoś był przy tym? Są świadkowie?

- Nie, ale nagrałam całą rozmowę.

- I na kasecie wszystko jest właśnie tak, jak mówisz? Cicho, spokojnie, bez hysterii, łez i zastraszania?

- Może pan posłuchać.

Wyjęła z torby kasetę i podała ją Olszańskiemu.

- Nosisz ją ze sobą? - Uśmiechnął się, zabierając kasetę i wsuwając ją do szuflady biurka.

- Wiedziałam, że pan o nią zapyta. Pomyślałam więc, że lepiej przyniosę od razu i dam panu posłuchać, niż później przez trzy dni będę udowadniać, że nie jestem wielbłądem, idiotką i dręczycielką.

Jej głos podejrzenie drgnął.

- No, spokojnie, spokojnie, coś ty, doprawdy - rzekł uspokajająco śledczy. - Weź się w garść, zaraz przyjdzie ta kwoka. Przecież wiesz, że ci wierzę, zawsze wierzyłem, nawet w tamtych dawnych czasach, kiedy się jeszcze kłóciliśmy i dąsaliśmy na siebie. Jak Paraskiewicz sobie pójdzie, posłuchamy razem, co mówiła Isiczenko. Nalać ci trochę wody?

Nastia w milczeniu skinęła głową, zaciskając mocniej zęby, żeby powstrzymać łzy. Dzisiaj rano na Pietrowce zdążyła poczuć na sobie kilka krzywych spojrzeń i zrozumiała, że zaczęło się już gadanie, i to niezwykle intensywne. Zdarzenie samo w sobie nadzwyczajne, a tu trafiła się nie tylko nagła śmierć, ale też samobójstwo. O czym to świadczy? No o tym, że Kamińska doprowadziła nieszczęsną kobietę do rozpacz. Dzisiaj musiała już napisać wyjaśnienie i znieść rozmowę z generałem, nienależącą do przyjemnych. Dobrze, że Pączek Gordiejew poszedł z nią do szefostwa, w jego obecności nie było jej tak ciężko.

- Z panią, Kamińska, to j akby się siedziało na beczce prochu - powiedział generał. - Ledwie wygrzebała się pani z jednego służbowego dochodzenia, od razu zaczęło się nowe. Jeśli będzie pani dostarczać nam jednej sensacji za drugą, przeanalizujemy pani przydatność do pracy.

Całe szczęście, że Olszański nie ma wątpliwości.

Galina Iwanowna Paraskiewicz znowu się spóźniła, tym razem piętnaście minut. Minę miała naburmuszoną i wyniosłą, jakby przybyła do obozu wroga na negocjacje.

- Wczoraj zjawił się u mnie pewien dziennikarz i poprosił, żebym opowiedziała o Loni, o jego życiu i książkach. Zapytałam, co sprawiło, że zainteresował się moim synem. I wie pan, co mi odpowiedział? Okazuje się, że Lonia zostawił kilka nieopublikowanych rękopisów, a wdowa po nim sprzedaje je wydawcom za bająnskie sumy. Jeden rękopis przehandlowała za dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, a drugi za trzydzieści pięć. A jest jeszcze kilka. Przypuszczam, że sprzeda je jeszcze drożej.

Olszański milczał, cierpliwie czekając, aż Galina Iwanowna przejdzie do sedna.

- Czy pan może to sobie wyobrazić? - ciągnęła kobieta. - Swietłana zamierza zbić fortunę po tragicznej śmierci Loni. Dorabia się na jego nazwisku.

- Nie rozumiem, czemu przyszła z tym pani do mnie - spokojnie odparł śledczy. - Widzi w tym pani jakiś związek z zabójstwem syna?

- A pan nie widzi? - Paraskiewicz obruszyła się.

- Nie. Nie widzę.

- To wielka szkoda. W takim razie będę musiała otworzyć panu oczy. Lonia był łagodnym, inteligentnym chłopcem, w ogóle nie myślał o zyskach, nigdy nie kierował się korzyścią materialną. Całkowicie pochłaniały go sztuka, twórczość i jego książki. To było jego życie. A ta nienasycona samica nie chciała się pogodzić z tym, że Lonia oddaje swoje książki wydawcom za bezcen. Zawsze pragnęła mieć dużo pieniędzy, bardzo dużo, nawet pan sobie nie wyobraża, do jakiego stopnia jest interesowna i wyrachowana. Dam sobie rękę uciąć, że to ona zabiła mojego syna, żeby bez przeszkód rozporządzać jego twórczą spuścizną. Zaczekała, aż Lonia napisze kilka nowych rzeczy, możliwe nawet, że pod jakimś wymyślonym pretekstem sama go namówiła, żeby to zrobił, i pozbyła się mojego chłopca.

Galina Iwanowna rozpląkała się i sięgnęła po chusteczkę. Olszański w milczeniu nalał wody i podał jej szklanekę, nie próbując kobiety uspokajać i nie wypowiadając ani jednego współczującego słowa. Nastia widziała, że dosłownie wrze z oburzenia, ale na razie jeszcze panuje nad sobą.

- Nie powinna pani tak źle myśleć o synowej - powiedział, kiedy Paraskiewicz przestała płakać. - Nie zabiła pani syna.

- Skąd pan wie? - Kobieta załkała. - Jestem pewna, że to jej sprawka.

- Galino Iwanowno, ona tego nie zrobiła, zapewniam panią. Mam własnoręcznie podpisane przez zabójcę przyznanie się do winy, to zupełnie inna osoba.

- To znaczy, że go znaleźliście? - Łzy na twarzy Paraskiewicz momentalnie wyschły. - Kim on jest? Kim jest ten łajdak?

- Na razie nie mogę tego zdradzić. Istnieje tajemnica śledztwa, nie wolno jej rozgłaszać.

- Ale ja jestem matką! - Paraskiewicz oburzyła się. - Mam prawo wiedzieć, kto zabił mojego syna. I pan musi mi podać nazwisko zabójcy.

- Myli się pani. - Olszański hamował się ostatkiem sił. - Nie muszę

tego nikomu mówić, w tym również i pani. Proszę mi wierzyć, że szanuję pani uczucia i rozumiem tragedię, jaka panią dotknęła, muszę jednak dbać o interes śledztwa.

- W takim razie żądam, żeby pan ją postawił przed sądem! - oświadczyła Paraskiewicz.

- Kogo ma pani na myśli?

- Swietlanę, wdowę po moim synu.

- Za co? - zdumiał się Konstantin Michajłowicz. - Przecież wyjaśniłem pani, że ona nie ma nic wspólnego ze śmiercią Leonida.

- Musi mi oddać połowę spadku. Mam takie samo prawo dziedziczenia po moim synu jak ona. I jeśli Świetłana zamierza odcinać kupony od tego, co zostało stworzone rękami mojego syna, to żądam należytą mi połowę.

Ze swego miejsca Nastia zauważyła, że mimowolny grymas wykrzywił twarz śledczego, i zorientowała się, że opanowanie i cierpliwość Konstantina Michajłowicza się wyczerpały i że zaraz wybuchnie. Nastazja ściągnęła ogień na siebie:

- Nie jestem pewna, czy pani roszczenia mają podstawę prawną, tak czy owak, musi się pani zwrócić z tym do sądu, do sędziego w sprawach cywilnych, a nie do śledczego prowadzącego sprawę zabójstwa.

- Ale to sprawa zabójstwa mojego syna - zaoponowała Paraskiewicz.

- I mowa tu o spadku po moim synu. Dlatego żądam, żeby moje prawa były chronione, i zwracam się z tym przede wszystkim do was.

- Galino Iwanowno, śledczy nie zajmują się sprawami spadkowymi. Nawet nie mogą się tym zajmować, nie mają takich uprawnień.

- Upoważnia ich do tego coś znacznie ważniejszego - wyniosłe oświadczyła kobieta. - Obowiązek dbania o przestrzeganie prawa. Troska o to, by przestrzegano prawa, oraz ochrona interesów poszkodowanego. Czy to nie dość, żeby chronić interesy nieszczęśliwej matki, która straciła syna?

Olszański już się opanował i rzucił Nasti pełne wdzięczności spojrzenie, które mówiło: dziękuję, że mnie odciążyłaś i dałaś ochłonąć,

teraz mogę się włączyć.

- O interesy matki, która straciła syna, dbam jako śledczy. Robię wszystko, żeby znaleźć i pociągnąć do odpowiedzialności zabójcę Leonida. Ale pani, jak mi się zdaje, mówi teraz o interesach matki ubiegającej się o spadek po swoim synu, a to już co innego. Zarówno z punktu widzenia prawa, jak i moralności. Jeśli chce pani koniecznie procesować się z synową, to niech pani złoży w sądzie wniosek z powództwa cywilnego. Ja nie zamierzam dzielić pani oraz Świetłany Igoriewny pieniędzy, to do mnie nie należy.

- Ach tak! - Galina Iwanowna złożyła ręce na piersi i rzuciła śledczemu pogardliwe spojrzenie. - Inaczej pan będzie śpiewał, kiedy panu powiem, że to właśnie Swietłana wynajęła zabójcę, który uwolnił ją od Lonieczki! Wspomni pan moje słowa, zaręczam. Ciekawe, do czego przyznał się ten zabójca, którego rzekomo pan znalazł?

- Tłumaczyłem już pani, że w interesie śledztwa nie uważam za konieczne z kimkolwiek tego omawiać. Wszystkiego dowie się pani w sądzie.

- Coś panu powiem, Konstantinie Michajłowiczu. - W jej głosie wyraźnie zabrzmiała groźba. - Wszystko zrozumiałam. Jest pan wzmowie ze Swietłaną. Doskonale pan wie, że zabiła mojego syna, ale ponieważ dzieli się z panem bajońskimi honorariami, które otrzymuje jako wdowa po wielkim pisarzu, pan ją za to osłania. Może nawet sypia pan z nią. Tak, tak, teraz nie mam wątpliwości. Poprzednim razem, kiedy opowiadałam panu, jak ta zdzira zdradzała mojego syna, wychodził pan ze skóry, żeby mnie przekonać, że mi się tylko zdaje. Wtedy nie zwróciłam na to uwagi, ale teraz widzę, do czego to wszystko zmierza. Widzę! Bezczelnie kłamie mi pan prosto w oczy, mówiąc, że znalazł zabójcę. Nigdy go pan nie znajdzie, bo będzie pan ochraniał Swietłanę. Albo podsunie pan w sądzie jakiegoś nieszczęsnego pijaczka, będzie go pan bił, morzył głodem lub trzymał w celi, w której roi się od pluskiew i szczurów, dopóki nie napisze szczerego przyznania się do winy. Zresztą po tym wszystkim sam uwierzy, że zabił mojego syna. Znam te metody i

zdemaskuję pańskie machinacje!

Nastia zobaczyła, jak Olszański zacisnął szczęki, i wystraszyła się, że śledczy zaraz ryknie wniebogłosy albo ciśnie w głowę Galiny Iwanowny coś ciężkiego.

- Galino Iwanowno, pani zachowanie jest całkowicie niedopuszczalne - znowu wmieszała się Nastia, żeby dać śledczemu chwilę wytchnienia. - Wulgarnie obraża pani Konstantina Michajłowicza, oskarżając go, że żongluje faktami albo ukrywa je ze szkodą dla wymiaru sprawiedliwości. Obwinia go pani o to, że bierze łapówki od zabójcy i osłania go. W każdym innym przypadku Konstantin Michajłowicz z całą pewnością podałby panią do sądu za obrazę i oszczerstwo, ponieważ swoich oszczerczych oskarżeń nie przedstawiła mu pani w cztery oczy, ale w obecności osoby trzeciej, czyli mnie. W ten sposób swoje obraźliwe wymysły podała pani do publicznej wiadomości. A to, Galino Iwanowno, reguluje odpowiedni artykuł kodeksu karnego. I jeśli Konstantin Michajłowicz znosi pani wybryki i nie wyprasza pani za drzwi gabinetu, to tylko dlatego, że szanuje pani uczucia i rozumie, że niedawno straciła pani jedyne go syna, wie, że ma pani stargane nerwy i niewykluczone, że jest pani rozstrojona psychicznie. Będzie lepiej, jeśli postara się pani wziąć w garść, przeprosi śledczego i wróci do domu.

Paraskiewicz w milczeniu wstała, włożyła futro i podeszła do drzwi.

- Nie próbujcie mnie zastraszać - rzekła lodowatym tonem, stojąc w progu. - Wywlekę wasze sprawy na światło dzienne. Udowodnię, że żona mego syna jest kryminalistką. I będzie wam wstyd do końca życia.

- Uff - jęknął Olszański, kiedy zamknęły się za nią drzwi. - Ciężki przypadek. Dobrze, że miałem dość rozumu, żeby cię wezwać, bo sam bym ją chyba zabił. Jak mąż wytrzymał z nią tyle lat? Biedak. Synowi też się chyba dostawało. Nastazjo, masz może ochotę coś przekąsić?

- Nie, dziękuję.

- Dobra, daj spokój, Nina przygotowała mi kanapki i termos z herbatą, posilimy się prędko, słuchając twojej kasety.

Olszański wyjął z teczki reklamówkę z kanapkami i termos, a z sejfmu magnetofon, do którego wsunął przyniesioną przez Nastię kasetę.

Pół godziny później, zadzwoniwszy do Świetłany Michajłowny Kasjanowej, udali się do domu martwej Ludmiły Isiczenko, żeby skonfiskować i wysłać do ekspertyzy jej rękawiczki oraz czarną skórzaną kurtkę, w których rzekomo dopuściła się zabójstwa znanego pisarza Leonida Paraskiewicza.

ROZDZIAŁ 9

Zwyciężyli! Irina nie znała się na polityce, ale nawet wybiórcza wiedza i niewielkie pojęcie pozwoliły jej zrozumieć, że zwyciężyli. Partia, którą reprezentował Siergiej Bieriozin, zebrała przeszło pięć procent głosów wyborców.

W niedzielny wieczór Siergiej pojechał do centrum informacyjnego, do którego napływały wyniki głosowania z lokali wyborczych. Z góry uprzedził Irinę, że procedura zliczania głosów jest długa i najprawdopodobniej przeciągnie się do połowy poniedziałku albo i dłużej, ale on musi jechać razem z kolegami partyjnymi i rywalami, by śledzić podsumowanie.

Irina przygotowała się na długie samotne oczekiwanie. Zamoczyła pościel i koszule Siergieja, wykładziny spryskała specjalną pianą, która wchłaniała się w ciągu pół godziny i po odkurzeniu oraz usunięciu kurzu i brudu przywracała kolorom naturalną świeżość i blask. Oszacowała, że skoro Siergieja długo nie będzie, to ona może zająć się włosami, zmoczyć je tonikiem i zakręcić na grube wałki. Jeśli spędzi z wałkami na głowie co najmniej dwanaście godzin, to fryzura będzie się trzymała przez tydzień, bo tonik jest bardzo mocny. Przypomniała sobie jednak, że już od kilku miesięcy nie nosi loków. Z ulgą westchnęła, że może zostawić włosy w spokoju. Siergiejowi podoba się gładkie uczesanie, jej samej zresztą również.

Telewizora nie wyłączała do późnej nocy, przysłuchiwała się ogłaszanym liczbom i wstępnym komentarzom, wyszukiwała na sali twarz Siergieja, kiedy kamera prześlizgiwała się po obecnych. Tak, oto on, siedzi w milczeniu, zaprzątnięty jakimiś myślami, innym razem prędko notuje albo znowu dyskutuje z kimś z ożywieniem. Nie była to

dla Iriny żadna nowość, wcześniej również zdarzało jej się widzieć na ekranie mężczyzn, których znała i obsługiwała. Jednakże teraz było inaczej. Sama nie potrafiłaby powiedzieć dlaczego, ale tak czuła. Może chodziło o to, że dawniej, widząc znajomą twarz, zupełnie jej nie obchodziło, czemu mężczyzna jest w studiu, czego tam szuka i na kogo w danej chwili go kreują - na bohatera czy antybohatera dnia. A z Siergiejem było inaczej.

Spać położyła się późno, a w poniedziałek zerwała się przed świtem i od razu rzuciła się do telewizora. Informacje wciąż napływały do centrum, ale wstępne obliczenia dawały nadzieję. Chwilami z mnóstwa obecnych na sali osób kamera wychwytywała wymizerowaną, ale promieniejącą radością twarz Siergieja Bieriozina, i za każdym razem Irina czuła, jak w piersi rozlewa jej się ciepło. Wszystko się udało, nic nie było na próżno. Zwyciężyli!

Irina przełożyła zamoczoną wieczorem pościel do pralki i usiadła w kuchni z filiżanką kawy przed włączonym małym telewizorem. Trzeba będzie przygotować więcej jedzenia i ubrać się tak, jak lubi Siergiej. W każdej chwili może wpaść do domu, i to nie sam, ale z przyjaciółmi albo nawet z dziennikarzami, a ona, jego żona, musi być w pełnej gotowości bojowej na przyjęcie gości.

Po śniadaniu postawiła zacząć na ciasto - Siergiej lubi jej pierogi, kulebiaki i bułeczki - po czym zabrała się do nadzienia. Pierogi postanowiła zrobić z mięsem, kulebiak z kapustą, a bułeczki z jabłkami i z czarną porzeczką. Przypomniała sobie niedawny atak paniki Siergieja, kiedy uznał, że Irina wybrała się w odwiedziny do starych znajomych, i gorzko się uśmiechnęła. Dokąd by miała pójść? Jej miejsce w tamtym życiu jest już zajęte, została od niego na zawsze odcięta. Drogi powrotnej nie ma i nawet jeśli coś się nie uda, wrócić do tego, co było, już się nie da. W żadnym wypadku.

Pralka szumiała, w kuchni rosło ciasto, po całym mieszkaniu rozchodził się zapach smażonej kapusty oraz cebuli i Irina czuła się tak błogo i spokojnie, jak nigdy przedtem. Miała dom, męża, zajmowała się

praniem, sprzątaniem i gotowaniem. Tak o tym marzyła! Gdyby jeszcze pojawiło się dziecko - wtedy mogłaby uznać, że spełniły się wszystkie jej sny. Ale kto wie, może i dziecko jeszcze będzie. Dobrze, gdyby nie jedno, lecz dwoje. Kto wie...

Kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi, rozpromieniona Irina pomknęła do przedpokoju, pewna, że to Siergiej. W progu stała jednak nieznaną damą, ubrana drogo i szycownie. Jej twarz wydała się Irinie znajoma, ale obraz był niewyraźny. Niedobre przeczucie ścisnęło jej serce.

- Mogę wejść? - wyniośle zapytała dama.

- A o co chodzi?

Irina nie zapraszała jej do mieszkania, licząc na to, że kobieta przysłała do Siergieja i gdy dowie się, że nie ma go w domu, odwróci się i pójdzie sobie.

- Chciałabym porozmawiać. Czyżby mnie pani nie poznawała?

Nie, Irina jej nie poznawała, ale zorientowała się, że powinna poznać.

- Proszę wejść - oznajmiła oschle, wpuszczając gościa do środka.

Kobieta zdjęła długie futro z lisa polarnego i powiesiła je na wieszaku w szafie. Pod futrem miała drogą klasyczną garsonkę z angielskiego tweedu. Irina zaprowadziła ją do pokoju, zaproponowała, żeby usiadła, sama wołała jednak stać. Ogarnął ją strach i instynktownie bała się usiąść, jak ktoś, kto w każdej chwili gotów jest zerwać się z miejsca i uciec.

- Słucham panią.

Kobieta zmierzyła Irinę od stóp do głów.

- Zmieniła się pani. - Uśmiechnęła się, kończąc oględziny. - Powiedziałabym nawet, że trochę pani zbrzydła. Zresztą wcale mnie to nie dziwi, słyszałam, że miała pani wypadek, a później długo się leczyła. Mam nadzieję, że teraz wszystko w porządku i jest pani całkiem zdrowa.

- Owszem, dziękuję - oschle odparła Irina. - Przyszła pani zapytać o moje zdrowie?

- Ależ skąd, moja droga, przyszłam do pani jak do koleżanki. Mamy wspólnego męża, jeśli pani pamięta.

No oczywiście. To pierwsza żona Siergieja, uświadomiła sobie przerażona Irina. Wszystko przepadło.

- Proszę mi wybaczyć, ale muszę panią zostawić na chwilę - rzekła Irina, starając się niczym nie zdradzić paniki, która ją ogarnęła. - Rzucę tylko okiem na ciasto.

Przez twarz kobiety przemknęło zdziwienie połączone z niedowierzaniem.

- Naturalnie. - Łaskawie skinęła głową.

Irina wpadła do kuchni, dla pozorów szczerknęła pokrywką garnka i niepostrzeżenie przekradła się do sypialni. Wiedziała, gdzie Siergiej przechowuje albumy ze zdjęciami. Tak, oczywiście, oto ich zdjęcia ślubne, a oto fotografie zrobione w dziesiątą rocznicę wspólnego pożycia. To ona, Diana Lwowna. Boże, po co ona przyszła? Czego chce? Czyżby...

- No i jak ciasto? - kpiąco zapytała Diana, kiedy Irina wróciła.

- Rośnie.

Irina próbowała zapanować nad sobą i uspokoić się. W końcu osobiście nie zrobiła Dianie nic złego, w każdym razie nie ostatnio. Udzielając wywiadu złośliwej dziennikarce Olesi Mielniczenko, była w najwyższym stopniu taktowna i nie pozwoliła sobie na ani jedno lekceważące słowo pod adresem byłej żony Siergieja Bieriozina.

- Gra pani teraz gospodarną żonę? - zainteresowała się Diana. - O ile wiem, dawniej to się pani nie zdarzało. Siergiej wiecznie chodził głodny i zaniedbany, a koszule i skarpety prał sobie sam. Czy to wypadek tak na panią podziałał?

- Diano Lwowno, może przejdziemy do rzeczy? Słucham panią.

- Oszaleć można! - Gość parsknęła śmiechem. - Panią chyba ktoś podmienił, moja droga! Co za maniery i słownictwo! Prawdziwy wersal. No cóż, tym lepiej. Mam nadzieję, że z inteligentną kobietą dojdę do porozumienia szybciej niż z pijaną dziwką.

- Chce mnie pani obrazić, Diano Lwowno? Udało się pani. Odprowadzę panią do drzwi. W ten sposób nie będę z panią rozmawiać.

- Niech pani da spokój, Iro. - Diana skrzywiła się. - Jest pani ode mnie młodsza, znacznie młodsza, i musi być wyrozumiała. Poza tym chyba pani nie zaprzeczy, że jej zachowanie w przeszłości daje mi wszelkie podstawy, by mówić o pani tak, jak to uczyniłam. Wszyscy wiedzą, że dużo pani piła, raczyła się narkotykami i od czasu do czasu wskakiwała obcym facetom do łóżka. Jeśli pani zapomniała, przypomnę, jak spotkałyśmy się przypadkiem w restauracji, kiedy świętowała pani razem z Siergiejem jego czterdzieste urodziny. Była pani obrzydliwie pijana, usiłowała rzucić mi się na szyję i głośno na prawo i lewo, że jesteśmy spokrewnione przez męża. Pamięta pani?

- Dobrze, zostawmy to. Przyjmijmy, że ma pani rację. Czego teraz pani ode mnie oczekuje?

- Chcę, moja droga, zawrzeć z panią układ. Porozumienie o pomocy wzajemnej. Chcę przede wszystkim, żeby pani zapamiętała raz na zawsze, że kariera polityczna pani męża znajduje się w moich rękach. Może pani udawać cichego anioła, nie pić, nie szprycować się, nie zdradzać męża, a nawet nie palić. Może pani robić z siebie wzorcowo-pokazową żonę, udzielać wywiadów i wszelkimi innymi sposobami mydlić oczy wyborcom, ale cały czas powinna pani pamiętać, że mogę opowiedzieć mnóstwo nieprzyjemnych rzeczy na pani temat. Na przykład o tym, jak się pani zachowywała, kiedy nie byliśmy jeszcze z Sieriożą rozwiedzeni, jak dwukrotnie wyrzucałam panią z naszego małżeńskiego łóżka albo o tym, jak próbowała mnie pani pobić. Mogę opowiedzieć, jak w pierwszych latach waszego wspólnego życia Sierioża przychodził do mnie i wypłakiwał się na moim ramieniu, mówiąc, że jest pani dziwką i pijaczką, że chodzi głodny, że w mieszkaniu jest brudno i panuje bajzel, ale on nic nie może na to poradzić, bo panią kocha i nie przeżyje bez pani ani dnia. W ogóle mogę opowiedzieć wiele rzeczy. Ale mogę tego nie robić. Mogę, dajmy na to, każdemu z osobna wmawiać, że Sierioża spotkał panią tak naprawdę już po naszym rozstaniu, więc nie była to zdrada małżeńska, że zawsze zachowywała się pani godnie i niczym mnie nie obrażała. Że Sierioża kochał panią do szaleństwa i

wychwalał pod niebiosa. I tak dalej. Tylko od pani zależy, jak postąpię.

- I co konkretnie mam zrobić, żeby mnie pani nie obrzucała błotem? - zapytała Irina, starając się ukryć drżenie w głosie.

- Musi mnie pani promować, moja droga. Bo widzi pani, ja też postanowiłam zająć się polityką. Jestem kobietą wolną i energiczną. Czasu i sił mam pod dostatkiem, więc czemu by nie? Zapewniam panią, że to rozrywka nie gorsza od innych. Dzisiaj o mojej partii jeszcze mało kto wie, mimo że braliśmy udział w wyborach i niczym nie różnimy się od dużych ugrupowań. Oczywiście upragnionych pięciu procent nie zebraliśmy, ale nawet na to nie liczyliśmy, chcieliśmy się po prostu pokazać, zaznaczyć swoją obecność. Jednakże do następnych wyborów do Dumy, które odbędą się za cztery lata, będziemy już poważnie się przygotowywać. I pani musi mi w tym pomóc.

- W jaki sposób miałabym pani pomóc?

Diana wstała z fotela i przeszła się po pokoju, przeglądając książki na półkach i małe pejzaże w ramkach. Jej figura zaczęła się lekko zaokrąglać, nogi miała nieładne, ale twarz nadal interesującą, o ostrych, wyrazistych rysach i prawie pozbawioną zmarszczek.

- Niech pani sobie wyobrazi, Iro, z jaką uwagą wyborcy będą śledzili przedwyborczą walkę dwóch partii, na których czele staną byli małżonkowie. Partia Siergieja Bieriozina i partia Diany Bieriozinej. Przyznam się pani, że w swojej partii nie zajmuję pozycji lidera. Ale to na razie. Bo jeśli postąpi pani tak, jak powiem, zostanę liderką. A raczej zrobią mnie liderką. Rozumie pani?

- Nie za bardzo.

- No tak, oczywiście, nie jest pani w tym najmocniejsza - pobłażliwie rzuciła Diana. - Wyjaśnię prościej, żeby pani zrozumiała. Na prawo i lewo będzie pani rozpowiadała, że była żona Siergieja, Diana Bieriozina, również zajmuje się polityką i jest aktywnym członkiem partii... Nazwy pewnie pani od razu nie zapamięta, zostawię pani swoją wizytówkę. Kiedy zaczną panią pytać o szczegóły, ma pani wyrażać się o mnie w samych superlatywach. Zmyślać nie będzie pani musiała, osobiście nie

ma mi pani nic do zarzucenia. Ale będzie pani musiała dobierać takie słowa, które wzbudzą u dziennikarzy zainteresowanie moją osobą i sprawią, że zaczną mnie szukać i zechcą przeprowadzać wywiady. To wywoła zainteresowanie społeczne. Ale na razie tylko mną. Ja zaś będę w wywiadach opowiadać o naszej partii i w ten sposób w oczach ogółu owa partia będzie już trwale związana z moim nazwiskiem. Ludzie zaczną nazywać ją partią Diany Bieriozinej, a wtedy, chcąc nie chcąc, obecni liderzy będą musieli przyjąć mnie w swoje szeregi. Nie będą mieli wyjścia, zrozumieją, że partia zyskuje rozgłos tylko dzięki mnie i jeśli ja odejdę, wszyscy o niej zapomną. Ludzie uwielbiają właśnie między byłymi małżonkami, a fakt, że przyjmuje to postać rywalizacji politycznej dwóch partii, doda tylko pikanterii i wyrazistości. Stanę się kimś w rodzaju mistrza ceremonii ślubnej i niewykluczone, że zainteresuje się mną jakaś potężniejsza partia, która postanowi stoczyć walkę z partią Siergieja. A sprzedać się zamierzam drogo. No to jak, kochaniutka? Dogadamy się?

- Odnoszę wrażenie, Diano Lwowno, że pani mnie szantażuje - powiedziała Irina.

- Ma się rozumieć. - Diana roześmiała się. - A co w tym złego? Przecież nie wymuszam od pani pieniędzy. Proponuję transakcję. Jeśli nie przyjmie pani moich warunków, po prostu powiem o pani szczerą prawdę. Jeśli jednak zaakceptuje pani mój układ, obciążę własne sumienie i będę kłamać, mówiąc wszystkim, jaka jest pani wspaniała. Co właściwie nie pozwala pani zająć takiego samego stanowiska? Jeśli powiem na pani temat choć jedno złe słowo, od razu poinformuję pani media, że byłam u pani i prosiłam o pomoc w politycznych rozgrywkach. To nie doda mi splendoru, zapewniam panią. Tak więc zależy, jak na to spojrzeć: albo to wzajemny szantaż, albo obopólne porozumienie.

- Dobrze. - Irina westchnęła, podnosząc się i swoim zachowaniem demonstrując, że nie zamierza kontynuować rozmowy. - Przyjmijmy, że zawarłyśmy sojusz. W końcu sama jestem sobie winna, że dałam pani do ręki broń przeciwko sobie. A skoro jestem winna, to za swoje grzechy

zapłacę sama.

- Czyli że obiecuje pani zrobić tak, jak powiedziałam?

- Obiecuję. Sama pani widzi, że już nie piję i nie biorę narkotyków, więc może mi pani zaufać.

Diana zorientowała się, że dano jej do zrozumienia, iż powinna już wyjść. Ruszyła do przedpokoju w ślad za Iriną i sięgnęła po futro. W pewnej chwili kobiety znalazły się całkiem blisko siebie i była żona Siergieja Bieriozina dosłownie wlepiła oczy w twarz jego obecnej żony. Irina zeszywniała wewnątrz i zamarła jak królik na widok węża.

- Mimo wszystko bardzo się pani zmieniła, moja droga - odezwała się wreszcie Diana. - Dawniej była pani zupełnie inna. Przykro mi to powtarzać, ale mocno pani zbrzydła od czasu, kiedy widziałam panią ostatni raz. Zbyt dużo pani piła, to nie sprzyja kobiecej urodzie. Cieszę się, że w porę się pani opamiętała. - Jej usta rozciągnęły się w lodowatym uśmiechu, a potem ze zwyczajną miną opuściła mieszkanie swego byłego męża.

Irina długo jeszcze stała w przedpokoju, próbując uspokoić szaleńcze walenie serca i nie mając siły ruszyć ręką ani nogą. Zbrzydła! W końcu przemogła się i oderwała od ściany, o którą stała oparta, i znowu pomaszerowała do sypialni. Oto i one, zdjęcia zrobione po tym, jak Bieriozin ożenił się po raz drugi.

Irina znalazła kilka fotografii, na których twarze ujęto w zbliżeniu, i podeszła do lustra. Tak, Diana ma rację, twarz na zdjęciach była bardziej wyrazista niż ta, którą Irina widziała w lustrze. Ale przecież teraz Irina w ogóle się nie maluje, Siergiej mówi, że bez makijażu ma taką delikatną, ciepłą twarz... Jeśli się umaluje, stanie się dokładnie taka, jak roześmiana, szczęśliwa kobieta na zdjęciach sprzed trzech i pięciu lat. Tylko po co? Śmiała się, cieszyła życiem, czuła się szczęśliwa - i czym się to wszystko dla niej skończyło? Więc czy warto...

Podjeżdżając samochodem pod dom, Świetłana Paraskiewicz zauważyła na ławce koło wejścia znajomą postać. Teściowa siedziała wyprostowana, jakby połknęła kij, z niewidzącym wzrokiem utkwionym

gdzieś przed siebie. Świetłana zwalczyła pokusę, by zatoczyć łuk, nie dojeżdżając do drzwi, przeciąć wewnętrzne podwórze, znowu wyjechać na ulicę i zmyć się jak najdalej. Galina Iwanowna nie będzie tu przecież wiecznie tkwiła. Świetłana nie miała najmniejszej ochoty na pogawędkę.

Niespiesznie zaparkowała samochód, zdjęła wycieraczki, wyciągnęła magnetofon, zamknęła i sprawdziła wszystkie drzwi i dopiero wtedy ruszyła ku wejściu. Galina Iwanowna w milczeniu obserwowała synową, nie wykonując najmniejszego ruchu w jej stronę. Zastygła w pozie Matki Bożej Bolesnej.

- Dobry wieczór. - Świetłana przywitała się, podchodząc. - Na mnie pani czeka?

- A na kogo miałabym czekać w tej dzielnicy zapomnianej przez Boga - z ciężkim westchnieniem męczennicy odparła teściowa. - Jestem pewna, że to nie Lonieczka wybrał tę dzielnicę, lecz ty. On z pewnością pomyślałby o tym, jak trudno mi będzie tu dojechać.

Nie masz po co tu jeździć, stara prukwo, odburknęła w duchu Świetłana. I nie masz czego tu szukać. Gdybyś wiedziała, co powiedział twój ukochany syn, kiedy razem wybieraliśmy osiedle, na którym zamierzaliśmy kupić nowe mieszkanie. Wszystko jedno gdzie, powiedział, tylko żeby matka jak najrzadziej tu przyjeżdżała. Szkoda, że tego nie słyszałaś.

Nie odzywając się więcej do siebie ani słowem, kobiety wjechały windą na piętro i weszły do mieszkania. Świetłana prędko zrzuciła kozaczki i nie ściągając kurtki, poszła do kuchni wstawić wodę. Ogrzewanie w starym żiguli działało kiepsko, i porządnie zmarzła, gdy kręciła się samochodem, załatwiając swoje sprawy.

- Dlaczego wchodzisz do kuchni w kurtce?! - Świetlanę dobiegł skrzypiący głos teściowej. - To niehigieniczne, w kuchni jest jedzenie, a na kurtce wnosisz mnóstwo zarazków z ulicy.

Świetłana mocno zacisnęła powieki i gwałtownie wypuściła powietrze z płuc. Był to sprawdzony sposób na kazania Galiny Iwanowny. Milczeć, milczeć i jeszcze raz milczeć, na nic nie reagować i

jeśli się da, nie odpowiadać na żadne zaczepki. Nie dać się wciągać w dyskusje. Nie ripostować. Nie tłumaczyć się. Przez sześć lat spędzonych w roli synowej Galiny Iwanowny Świetłana nauczyła się dość zręcznie i bezboleśnie wychodzić z opresji. Opracowała cały program „bezpiecznego” zachowania w obecności teściowej. Mogła oczywiście pokazać złośliwej staruszce, gdzie jej miejsce, mogła powalczyć o swoją niezależność i prawo do tego, żeby żyć tak, jak ona sama chciała, ale za bardzo kochała Leonida, żeby go narażać na stres. Wiedziała, że mąż nie znosi własnej matki, ale cierpi z tego powodu, uważając swoją niechęć do Galiny Iwanowny za niezdrową i naganną, toteż nigdy, przenigdy nie pozwoliłby na choć jedno słowo wbrew woli matki. Sam by go nie wyrzekł i Świetłanie by na to nie pozwolił. W obecności matki był idealnym synem, troskliwym, posłusznym, czułym, święcie wierząc, że w ten sposób odpokutuje swoją winę wobec niej. Czuł się winny za to, że nie mógł jej ścierpieć. Powinien ją kochać, to jego obowiązek, a skoro mu się nie udaje, świadczy to o jego zepsuciu, głębokiej niemoralności, nieprawości i nikczemności.

- Zaraz napijemy się herbaty - wesoło oznajmiła Świetłana, rozbierając się i rozpakowując siatki z zakupami. - Kupiłam bardzo smaczny keks.

- Stale nadużywasz produktów mącznych - surowo zauważyła teściowa. - Jesteś już w tym wieku, Swietoczko, że pora zacząć myśleć o swoim wyglądzie, a nie tylko o przyjemności.

Świetłana przełknęła i to, choć równie dobrze mogłaby odpowiedzieć, że aby zachować dobry wygląd, musi przytyć co najmniej pięć kilogramów. Niewielki wzrost i smukłość, które w młodym wieku nadają wyglądowi czarującą filigranowość i wiotkość, po trzydziestce zamieniają kobietę w podstarzałego pieska. Żeby skóra nie obwisała i nie rysowały się wczesne zmarszczki, ona, Świetłana, musi stale przybierać nieco na wadze, woli bowiem zyskać oblicze wesołej grubaski, a nie starej pomarszczonej jędzy.

- Mam krakersy i twaróg, jeśli ma pani ochotę - odparła zgodnie na

uwagę Galiny Iwanowny. - To bardziej dietetyczne jedzenie.

- Niczego nie potrzebuję. Nie przyszłam tu na herbatę.

- Musi mi pani wybaczyć, ale przez cały dzień załatwiałam sprawy, nie zdążyłam zjeść obiadu, w dodatku strasznie zmarzłam, więc jednak napiję się herbaty.

Świetłana usiadła w kuchni przy stole, starając się nie zwracać uwagi na kwaśną minę teściowej, i nalała herbaty do dwóch filiżanek.

- Przecież powiedziałam, że nie będę piła - kapryśnie stwierdziła Galina Iwanowna.

Nie jestem głucha, znowu w myślach odburknęła Swietłana. Ale gdybym się odważyła nie nalać ci herbaty, dałabym pretekst do wygłoszenia tyrady o tym, że nawet dla przyzwoitości nikt ci w tym domu nie zaproponuje filiżanki herbaty. Zawsze znajdziesz powód, żeby się przyczepić.

- Słyszałam, że z powodzeniem wyprzedajesz spuściznę twórczą Lonieczki. - Teściowa przystąpiła do rzeczy.

Swietłanaomal się nie zakrzuszyła. Jak ona się dowiedziała? Minęło zaledwie kilka dni od czasu, gdy była u Paszy w Pawlinie i u Nugzara w Wirdzie. Obaj, naturalnie, nie omieszkają opublikować w „Przeglądzie Książkowym” informacji, że nabyli prawa autorskie do nowych powieści zmarłego Paraskiewicza, ale przecież gazeta wychodzi we wtorki, więc nawet jeśli zdążyli się zakrzatnąć i wcisnąć ogłoszenie do jutrzejszego numeru, to i tak gazeta ukaże się jutro. A zresztą Galina Iwanowna nigdy się nią nie interesowała, w odróżnieniu od samej Świetłany, która ją prenumerowała i uważnie śledziła, czy Paraskiewicz mieści się w pierwszej dziesiątce mistrzów nakładu i ile czasu jego romanse utrzymują się na liście bestsellerów. Jak w takim razie ta wiedźma się dowiedziała? Ale wypierać się nie ma sensu, zresztą nie ma po co.

- Nie wyprzedaję jego spuścizny, ale zawieram umowy z wydawcami na publikacje jego rękopisów, zarówno tych wydanych, jak i nowych. A co panią niepokoi?

- Niepokoją mnie te sumy, które na tym zarabiasz. O ile mi wiadomo,

tylko w ciągu ubiegłego tygodnia zgarnęłaś sześćdziesiąt tysięcy dolarów. I to teraz, kiedy ciało Loni jeszcze nie ostygło. A co będzie dalej?

- A co będzie dalej? - spokojnie powtórzyła Świetłana. - Nie rozumiem, Galino Iwanowno, do czego pani zmierza. Uważa pani, że po śmierci Loni powinnam była za darmo oddać wydawcom jego rękopisy? Czy może uważa pani, że tych rękopisów w ogóle nie powinno się wydawać? Niech mi pani wyjaśni, co konkretnie pani nie odpowiada.

- Nie odpowiada mi to, że dorabiasz się na jego nazwisku, talencie i pracy.

- I co pani proponuje? Jak mam postąpić, żeby panią zadowolić?

Świetłana czuła się lekko i swobodnie, bo nie musiała się już zmuszać do powściągliwości. Jeśli nawet tak się zachowywała, to tylko z przyzwyczajenia, a nie ze strachu, że urazi Leonida. Teraz, kiedy Galina Iwanowna pochowała syna, Świetłana może rozmawiać z nią tak, jak uważa za stosowne, nie dobierając słów i nie dając się skrzywdzić. Było to dla niej nowe uczucie. Po pogrzebie i stypie spotkała się z teściową tylko raz - na nabożeństwie żałobnym dziewiątego dnia, ale wtedy wokół nich było pełno ludzi, a zresztą atmosfera była smutna, więc Świetłanie nie przyszło do głowy, żeby zaprezentować swoje nowe oblicze, nawet jeśli coś jej się nie spodobało.

- Obie jesteśmy spadkobierczyniami w pierwszej linii - oznajmiła Galina Iwanowna. - I mamy takie same prawa do spadku.

- Ach tak, więc o to chodzi! - Świetłana uśmiechnęła się. - To znaczy, że chce pani, żebym podzieliła się tymi pieniędzmi, które dostaję za rękopisy. Dobrze panią zrozumiałam?

- Tak, żądam tego, ponieważ mam takie prawo. I bronić go będę w sądzie z pomocą adwokata, jeśli wystarczy ci bezczelności, żeby do tego doprowadzić.

- Wystarczy - zapewniła ją Świetłana, wbijając ostre białe ząbki w cytrynowożółty puszysty keks. - Może się pani ze mną procesować do sądowego dnia, ale czeka panią straszne rozczarowanie. Sprawy pani nie

wygra i nie dostanie pieniędzy. Za to poniesie pani koszty sądowe, adwokat też panią nieźle oskubie.

- Dlaczegoż to, jeśli wolno spytać, nie wygram sprawy? - zainteresowała się Galina Iwanowna, mrużąc oczy i unosząc brwi.

- Pani wolno pytać, ale ja nie muszę odpowiadać - wesoło oświadczyła Świetłana, nalewając sobie drugą filiżankę herbaty - Niech panią dręczy niezaspokojona ciekawość.

- Nie widzę tu powodu do żartów. Jeszcze raz powtarzam: obstać przy tym, że połowa honorariów za utwory Lonieczki opublikowane po jego śmierci należy do mnie, jego matki.

- Do pani? A Władimir Nikiticz? Nie uważa go pani za spadkobiercę?

- To się rozumie samo przez się - odparowała teściowa. - Władimir Nikiticz zaniemógł po śmierci Lonieczki, nie zniósł tego ciosu, więc nie będzie się z tobą sądził, ja zaś okazałam się silniejsza i mogę walczyć o moje i jego prawa. Ty, oczywiście, nie spodziewałaś się tego, pewnie przypuszczałaś, że śmierć syna tak nas przybije, że pozwolimy ci na wszystko. Nic z tego, Swietoczko, numer się nie udał! Władimir Nikiticz rzeczywiście nie chce słyszeć o żadnych pieniądzach, ale ze mną tak łatwo ci nie pójdzie. Albo natychmiast kładziesz na stół trzydzieści tysięcy dolarów i zobowiązujesz się w przyszłości oddawać mi połowę honorariów, albo się pożegnamy i zobaczymy ponownie dopiero w sądzie.

- Nie - kategorycznie odparła Świetłana.

- Dlaczego?

- Dlatego.

- Jak ty ze mną rozmawiasz?! - wybuchła Galina Iwanowna. - Do twojej wiadomości: byłam wczoraj w prokuraturze u śledczego Olszańskiego. Opowiedziałam mu o twoich sprawkach i on całkowicie się ze mną zgadza, że masz związek z zabójstwem Leonida. Albo go sama zastrzeliłaś, albo kogoś wynajęłaś, żeby bez przeszkód rozporządzać jego rękopisami. On sam nigdy nie myślał o profitach,

pieniądzach, o tym, jak zgarnąć, ile się da. Nie mogłaś tego znieść, marzyło ci się bogactwo, luksus, podróże, a Lonieczka bezinteresownie pomagał swoim przyjaciółom i oddawał im rękopisy za niewielkie honoraria. Tak właśnie go wychowałam, zawsze mu wpajałam, że pomoc okazana przyjacielowi to szlachetna rzecz, nawet jeśli odbywa się ze szkodą dla samego siebie. Myślenie o korzyściach i profitach to zachowanie niskie i niegodne inteligentnego człowieka. Ale tobie się nie podobało, jak wychowałam swojego syna, za wszelką cenę chciałaś go przerobić, a kiedy to ci się nie udało, po prostu pozbyłaś się go. I śledczy całkowicie się z tym zgadza.

- To znaczy, że pani śledczy jest idiotą - spokojnie skwitowała Swietłana. - Nie rozumiem jednak, co pani osobiście zyska na tym, że wsadzą mnie za zabójstwo Leonida. No dobrze, zamkną mnie w więzieniu i co dalej? Myśli pani, że z tego powodu spadnie na panią deszcz pieniędzy? Nawet niech pani o tym nie marzy. Nie dam pani ani trzydziestu tysięcy dolarów, ani pozostałych rękopisów. Tak więc zostanie pani, Galino Iwanowno, z tym, co pani ma. I żeby postawić wszystkie kropki nad i oraz zakończyć naszą rozmowę, powiem pani, że są pewne okoliczności, o których pani nie wie, ale które dyskredytują wszelkie pani żalosne próby odebrania mi połowy honorariów za rękopisy. Niech pani nie próbuje się ze mną procesować, w przeciwnym razie owe fakty ujrzą światło dzienne, będę zmuszona nadać im rozgłos, a wtedy znajdzie się pani w godnej pożałowania sytuacji. Stanie się pani obiektem żartów, będą panią palcami pokazywać. Tego pani chce? No to niech pani biegnie jak najprędzej do sądu, obiecuję pani taką zabawę, że do śmierci jej pani nie zapomni.

- To blef. - Galina Iwanowna skrzywiła się pogardliwie. - Kłamiesz, licząc na to, że się przestraszę i wycofam. Wszystkie te sztuczki są stare jak świat, literatura wielokrotnie je opisywała. Gdybyś była lepiej wykształcona i więcej czytała, zamiast handlować talentem Lonieczki, wiedziałabyś o tym nie gorzej ode mnie. Ostatni raz proponuję ci, żebyś dobrowolnie oddała mi połowę pieniędzy. Oprócz tego musisz napisać

zobowiązanie poświadczony u notariusza, że również w przyszłości będziesz oddawać należną część honorariów. Zauważ, że postępuję z tobą uczciwie, choć Bóg mi świadkiem, że na to nie zasłużyłaś. Przecież z Władimirem Nikiticzem jest nas dwoje, a ponieważ wszyscy jesteśmy równoprawnymi spadkobiercami, należy nam się nie połowa, ale dwie trzecie spuścizny po Loni.

- A niech panią diabli!

Świetłana wstała zza stołu i podeszła do okna, odwracając się plecami do teściowej. Przypomniawszy sobie, że dłużej nie musi udawać i dostosowywać się do skomplikowanych relacji Leonida z matką, wyjęła papierosy i zapaliła.

- O proszę! - Od razu padł złośliwy komentarz. - Oczywiście, niby czego można się spodziewać po takiej jak ty. Lonieczka jeszcze nie zdążył ostygnąć, a ty już chwytasz za papierosy. Dzisiaj palisz, jutro zaczniesz pić, a później w ogóle się stoczysz. Dziwię się, że tak długo wytrzymujesz. Minęły trzy tygodnie od śmierci Loni, a twoje mieszkanie do tej pory nie zamieniło się w burdel. Przypuszczam, że to kwestia kilku dni. Nic dziwnego, że potrzebujesz dużych pieniędzy. Będziesz kupować sobie za nie kolejnych kochanków. Zawsze byłaś beztalenciem i miernotą, nie potrafiłaś sklecić dwóch zdań, dlatego prędzej czy później wyrzucą cię z każdej redakcji, w której próbujesz się zainstalować. Potrafisz tylko popisywać się w łóżku, w tym jesteś dobra i o tym tylko myślisz.

Świetłana odwróciła się i nieprzyjemnie uśmiechnęła do teściowej.

- No cóż, Galino Iwanowno, sama pani tego chciała, więc niech pani słucha. I niech mi pani później nie mówi, że postępuję okrutnie. Chciałam ukryć przed panią prawdę, bo jest dla pani przykra, a nawet zabójczo przykra. Próbowałam panią oszczędzić. Ale moja cierpliwość się wyczerpała, bo pani zniewagi przekraczają wszelkie wyobrażalne granice.

Świetłana odsunęła taboret od kuchennego stołu i usiadła przy samym oknie, jak najdalej od teściowej. Zapaliła kolejnego papierosa i

przez pewien czas milczała, kołysząc nogą i w zamyśleniu przyglądając się twarzy starszej kobiety.

- A może nie mówić? - odezwała się półgłosem, jakby radząc się samej siebie. - Oszczędzić panią? Przecież to ponad pani siły.

- Mów! - hardo zażądała Galina Iwanowna. - Zobaczymy, co to za nieznane mi okoliczności, którymi próbujesz się zasłonić. Jestem pewna, że nie ma żadnych okoliczności, nie wiesz, co powiedzieć, więc udajesz, że się nade mną litujesz.

- A mam panią gdzieś - w gniewie rzuciła Swietłana. - Skoro pani chce, to proszę. Pani syn nigdy nie był wielkim pisarzem. Był wspaniałym, mądrym, dobrym i cudownym człowiekiem, a ja kochałam go tak, jak tylko potrafiłam. Ale był absolutnie pozbawiony talentu i jako dziennikarz, i jako pisarz. To on, a nie ja, nie potrafił sklecić dwóch zdań na papierze. Wszystkie powieści wydane pod nazwiskiem Leonida Paraskiewicza napisałam ja. Rozumie pani? To znaczy, że nie ma pani żadnych praw do honorariów, może pani o nich zapomnieć. Zdecydowaliśmy się na nazwisko Loni, a nie moje, bo tak jest lepiej dla celów reklamowych. Kobiety chętnie oddają serca idolom, tym bardziej że Lonia miał odpowiedni wygląd i na fotografiach, które zdobyły okładki naszych książek, prezentował się po prostu wspaniale. Tak więc mężczyzna autor romansów znacząco podnosił liczbę sprzedanych książek, fest pani zadowolona? Do tej pory była pani zbolełą matką, która wychowała wielkiego pisarza. Od tej chwili jest pani nikim. Podłą i chciwą teściową, próbującą odebrać owdowiałej synowej to, co należy się tylko jej. I nikomu więcej.

- Kłamiesz - wyszeptała Galina Iwanowna zbielełymi wargami. - Bezczelnie kłamiesz, korzystając z tego, że Lonieczki już nie ma i nikt nie może zdementować twojego bezwstydnego łgarstwa.

- Ależ skąd, szanowna Galino Iwanowno, nie kłamię.

- W takim razie udowodnij, że to prawda.

- Niczego nie będę udowadniać. - Świetłana przeciągnęła się i ziewnęła. - Nie jest mi to do niczego potrzebne i nie zależy mi na tym.

Jeśli chce pani udowodnić, że kłamię, proszę. Jak powiedział Majakowski, „twórcie, wymyślajcie, próbujcie”.

- Zażądam przeprowadzenia ekspertyzy filologicznej - z groźbą w głosie oznajmiła starsza Paraskiewicz. - I w okamgnieniu cię zdemaskują. Ręki mistrza nie sposób podrobić.

- Niech pani żąda. - Świetłana obojętnie wzruszyła ramionami. - Mogę panią zapewnić, że wyda pani pieniądze na specjalistę, a w rezultacie wystawi się pani na publiczne pośmiewisko. Dosyć tego, Galino Iwanowno, jeśli nie ma pani do mnie innych spraw, pożegnajmy się. Miałam ciężki dzień, jestem bardzo zmęczona i chcę się położyć.

Teściowa w milczeniu się podniosła i z godnością opuściła kuchnię. Nie odzywając się ani słowem, ubrała się, zapięła kozaki i chwyciła pozostawioną przy drzwiach torbę.

- Wywłoka - oznajmiła beznamiętnie, nie spoglądając na synową. - Jeszcze ci to przypomnę. Nigdy nie zapomnę, jak próbowałaś oszkalować mojego syna i przywłaszczyć sobie jego sławę. Zapłacisz za to.

Świetłana uśmiechnęła się w odpowiedzi i bez cienia irytacji zamknęła za teściową drzwi. Przez sześć lat nauczyła się skutecznie trzymać nerwy na wodzy i nie wpadać w złość w obecności Galiny Iwanowny.

Umyła naczynia, schowała zakupy do lodówki, odkroiła sobie jeszcze kawałek keksu i połknęła go, niczym nie popijając. Po jej twarzy błędził dziwny uśmiech. Była już prawie dziesiąta wieczorem, kiedy zadzwoniła do Wiktora Fiodorowicza.

- Musiałam powiedzieć teściowej, że to ja pisałam powieści - oznajmiła Świetłana. - Całkiem poważnie zamierzała wyprocesować ode mnie połowę honorarium. Wcale nie miałam ochoty jej tego mówić, zwlekałam do ostatniej chwili, licząc na to, że się opamięta.

- Niech pani się nie przejmuje, kochana - uspokoił ją Wiktor Fiodorowicz. - Słusznie pani zrobiła. Prędzej czy później i tak by należało to zrobić.

- Galina Iwanowna zamierza wystąpić o ekspertyzę filologiczną. Wie pan, co to takiego?

- Mniej więcej. Prawdopodobnie zostanie pani poproszona o napisanie niewielkiego utworu, opowiadania albo szkicu, na zadany temat z wykorzystaniem żądanych elementów, a później grupa specjalistów, literaturoznawców i lingwistów, będzie porównywać pani tekst z tamtymi, które opublikowano pod nazwiskiem Leonida Paraskiewicza. Eksperti mają swoje sposoby na ustalenie autorstwa.

- I na tym koniec?

- Koniec - potwierdził Wiktor Fiodorowicz. - A czego jeszcze by pani chciała?

- Wobec tego wszystko w porządku. Nie ma się czym przejmować - z ulgą westchnęła Świetłana. - Bez trudu udowodnię swoje autorstwo.

- W ogóle nie powinna się pani przejmować, kochana. Nie ma pani żadnych powodów do niepokoju. A jak się układają pani sprawy związane z zamianą?

- Pomyślnie. Za dwa-trzy tygodnie pewnie zacznę przeprowadzkę. Do tej pory czuję się nieswojo w tym domu po tym, co się tutaj zdarzyło.

- Rozumiem panią, i to bardzo dobrze.

Przez chwilę Świetłanie wydawało się, że widzi przed sobą korpulentną postać Wiktora Fiodorowicza, jego dużą, ładnie uformowaną głowę ze strzechą siwych włosów, promieniejącą życzliwym uśmiechem twarz. Jak to dobrze, że jest ktoś taki, jak poczciwy i niezawodny Wiktor Fiodorowicz, do którego zawsze można się zwrócić po radę i który nigdy nie odmówi pomocy, wsparcia i współczucia.

Przez pewien czas błędziła po pustym mieszkaniu. Trudno jej było się przyzwyczaić, że teraz musi spędzać noce sama. Czuła się obco. Nigdy nie mieszkała bez rodziny, przed zamążpójściem byli przy niej rodzice, po ślubie Lonia, a w tych sporadycznych przypadkach, kiedy musiała zostawać na noc sama, w ogóle się nie martwiła, ponieważ wiedziała, że najdalej za dwa-trzy dni przyjedzie Lonia. Ale teraz nie były to tylko dwa, trzy dni, musi czekać aż do następnego małżeństwa.

No, w każdym razie, do czasu przeprowadzki.

Swietłanie zrobiło się smutno, oglądać telewizji nie miała ochoty, więc znowu usiadła przy telefonie.

- Co u ciebie? - zapytała, kiedy na drugim końcu podniesiono słuchawkę.

- Kiepsko.

- Czemu?

- Zawsze tak się bez ciebie czuję. Wracaj, Swietik.

- Nie mogę, przecież wiesz. Muszę nocować w domu. A nuż zadzwonią rodzice albo ktoś inny i od razu zaczniesz się gadanie, że ledwie zostałam wdową, a już spędzam noce poza domem.

- Miej to gdzieś, co cię obchodzi ludzkie gadanie? Kogo się boisz?

- Przestań. Doskonale wiesz, czego się boję. Nawiasem mówiąc, była u mnie dzisiaj Galina Iwanowna.

- Po co? Czego chciała?

- Trzydziestu tysięcy dolarów, połowy tego, co dostałam za rękopisy w wydawnictwach. Uważa, że ma prawo do spadku.

- Oszalała? Jak coś takiego mogło jej przyjść do głowy?

- Ciszej, ciszej, nie krzycz, proszę. Ona uważa się za spadkobierczynię w pierwszej linii, na równi ze mną, dlatego chce połowy honorariów za wszystkie rękopisy, które ukażą się po śmierci Paraskiewicza. Groziła sądem, straszyla adwokatami.

- Nieźle! A ty co powiedziałaś?

- Musiałam powiedzieć, że to ja pisałam powieści. W moich planach nie leżało, oczywiście, tak prędkie ujawnienie tajemnicy, ale skoro przycisnęła mnie do muru... A zresztą, i tak nie miałam pieniędzy, więc nie było czym się podzielić. Dzisiaj rano odwiozłam sześćdziesiąt tysięcy Wiktorowi Fiodorowiczowi, zostało jeszcze dwadzieścia. On jednak gotów jest zaczekać, dopóki nie załatwię sprawy z trzecim rękopisem. Tak więc mimo najszczerzych chęci nie mogłam pójść Galinie Iwanownie na rękę.

- Ciekawe. Jak zareagowała?

- Omal nie dostała ataku serca z nienawiści do mnie. Jest jednak pewna, że ją okłamuję, i zamierza udowodnić to wszelkimi możliwymi sposobami.

- Jesteś na nią zła?

- Skąd, czemu miałabym być zła. To nieszczęśliwa, niemądra, niedobra i niemłoda kobieta. Trzeba jej przecież współczuć, a nie złościć się na nią.

- Swietka, masz zdumiewający charakter. Ja bym tak nie mógł.

- Czego byś nie mógł?

- Jak słucham twojej opowieści, wszystko się we mnie gotuje, ręce mnie świerzbią, chętnie bym ją udusił, żeby nie łaszczyła się na cudze i ciebie nie obrażała, a ty tak spokojnie opowiadasz, w dodatku gotowa jesteś jej współczuć.

- No co ty, kochanie, nie wolno tak mówić. Trzeba umieć wybaczać, być wyrozumiałym dla starszych. Nie możemy od nich żądać, żeby kochali nas za to, że my wszystko mamy przed sobą, a ich już nic nie czeka.

- Kocham cię, Swietka. Bardzo cię kocham. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak mocno cię kocham. Chyba nie ma na świecie lepszego od ciebie człowieka.

- I ja cię kocham. Kładź się spać, a ja jutro rano przyjadę. Jak tam twoja nowa praca? Byłeś tam dzisiaj?

- Tak, dali mi próbny tekst do redakcji. Jeśli moje kwalifikacje będą im odpowiadały, wezmą mnie za pół redaktorskiej stawki z prawem do pracy w domu. Pensja jest oczywiście śmieszna, ale...

- Oczywiście, to przecież nie na długo. Musimy przez jakiś czas się przemęczyć, a później coś wymyślimy. A nie pospieszyłeś się z tą pracą? Mimo wszystko jeśli chodzi o wynagrodzenie, propozycja z liceum była korzystniejsza. Nauczyciel języka rosyjskiego i literatury to całkiem nieźle. A najważniejsze, że to zgodne z dyplomem, co też się liczy.

- Nie, Swietik, nie chcę. To nie dla mnie.

- No dobrze, sam wiesz lepiej. Kładź się spać, kochanie. Całuję cię.

ROZDZIAŁ 10

Obrońca praw człowieka Potaszow miał zjawić się o dwunastej i im bliżej było wyznaczonej godziny, w tym gorszy nastrój wpadał Władisław Stasow. Oczywiście Anastazja spełniła jego prośbę i porozmawiała z Zatocznym. Wyglądało na to, że prywatne śledztwo w sprawie Jewgienija Dosiukowa niczym straszny nie grozi, a mimo to w głębi duszy Stasowa czaiło się nieprzyjemne uczucie. W dodatku przed południem ogarnął go taki niepokój, jakiego nigdy wcześniej nie zaznał, nie rozumiał jego przyczyny i przez to był jeszcze bardziej zły. Jednym słowem, w chwili pojawienia się Nikołaja Grigorjewicza samopoczucie Władysława było dalekie od ideału.

Potaszow wpadł do jego gabinetu na piętrze willi, którą zajmowało biuro koncernu filmowego Syriusz, i klapnął na fotel, nawet nie zdejmując płaszcza.

- Sporządziłem projekt umowy - oznajmił bez powitania, otwierając natychmiast dyplomatkę. - Zleceniodawcą jest małżonka skazanego Natalia Michajłowna Dosiukowa. Niech pan rzuci okiem, może coś panu nie odpowiada.

Stasow przejrzał tekst porozumienia i musiał przyznać, że sporządzone zostało z dużą znajomością rzeczy. Szczególnie ucieszył go punkt, w którym zleceniodawca, to znaczy n.m. Dosiukowa, domaga się, żeby przekazać materiały prywatnego śledztwa do organów wymiaru sprawiedliwości w wypadku, gdyby natrafiono na jakiegokolwiek znamiona przestępstwa w działaniach osób objętych śledztwem. Madame, jak się zdaje, święcie wierzyła, że to źli milicjanci i podli sędziowie wydali skazujący wyrok na jej niewinnego mężulka, i ani przez chwilę nie wątpiła, że jak tylko prywatny detektyw zacznie rozgrzebywać wszystko

na nowo, z pewnością odkryje mnóstwo nadużyć i naruszeń prawa, które spowodowały pociągnięcie niewinnej, ma się rozumieć, osoby do odpowiedzialności karnej. A to, jak wiadomo, odpowiedni paragraf. No i skandal, bez niego się nie obejdzie.

W umowie był także punkt na temat odpowiedzialności materialnej, który Stasowa zaskoczył. Wynikało z niego, że jeśli na skutek działań wykonawcy, to znaczy w.N. Stasowa, zleceniodawca dozna straty materialnej, Stasow nie ponosi za to odpowiedzialności i nie musi rekompensować straty.

- Jak mam to rozumieć? - zapytał, wskazując palcem stosowny fragment porozumienia.

- Widzi pan, Natalia Michajłowna to przyzwoita osoba. Zdaje sobie sprawę, że jej mąż zajmował się biznesem, więc całkiem prawdopodobne jest, że był komuś coś winien. Jednakże po jego uwięzieniu wierzyciele nie widzą sposobu wyegzekwowania od niej zwrotu długu ze względu na to, że ona znajduje się w trudnym położeniu, zamartwia się i cierpi. Poza tym niech pan nie zapomina, że Natalia Michajłowna zawarła związek małżeński z Dosiukowem, kiedy przeciwko niemu toczyło się śledztwo, bardzo wiele osób z jego otoczenia po prostu o tym nie wie. Dla nich Natalia jest nikim innym, tylko kochanką, która nie orientuje się w sprawach Dosiukowa i nie może rozporządzać jego pieniędzmi. Jeśli dowiedzą się, że po pierwsze, stała się jego żoną, a po drugie, że za duże pieniądze wynajęła prywatnego detektywa i próbuje zrehabilitować męża, uznają, że jej sytuacja nie jest taka znów rozpacзлиwa i ciężka, po czym mogą się do niej zwrócić z roszczeniami materialnymi. Ten punkt został tutaj wpisany specjalnie po to, żeby ona nie mogła pana oskarżyć, że to się stało przez pana.

- Bzdury! - prychnął Stasow. - To w żadnym razie nie może się stać przeze mnie. Przecież to nie ja jestem ich dłużnikiem, ale Dosiukow.

- Ona to rozumie - Obrońca praw człowieka uśmiechnął się pobłaźliwie. - To ja nalegałem, żeby dopisać ten punkt. Spotykałem się już z sytuacjami, kiedy w rezultacie działania prywatnego detektywa u

zleceniodawcy nagle pojawiali się wierzyciele i zleceniodawcy próbowali zrzucić winę na wykonawcę. Z punktu widzenia prawa jest to z pewnością głupie, ale kosztuje sporo nerwów, może mi pan wierzyć. Oni nie zawahają się nawet pójść do sądu.

- Ale przecież przed chwilą powiedział pan, że Natalia Michajłowna w pełni rozumie sytuację i nie będzie się ze mną sądziła. Po co wobec tego dołączył pan ten punkt?

- Natalia Michajłowna nie będzie, ale inni? Pan, Władisławie Nikołajewiczu, nie jest przewidujący. A nuż Natalii Michajłownie coś się przytrafi? Wówczas jej prawni spadkobiercy staną się pańskimi zleceniodawcami i będą mieli prawo żądać od pana wykonania warunków umowy dotyczącej przeprowadzenia śledztwa. Za nich nie mogę już ręczyć. Natalia Michajłowna ma brata, awanturnika i skandalistę, i jeśli on, wbrew oczekiwaniom, odziedziczy pieniądze i majątek Dosiukowej, to wątpię, czy będzie miał ochotę płacić długi skazanego krewniaka. Niech pan nie zapomina, że Dosiukow znajduje się w kolonii karnej, pożytek z niego żaden, a wierzyciele, żeby wydusić pieniądze od krewnych, bardzo często uciekają się do metod siłowych. A jak ten czy ów się uprze, że nie odda pieniędzy, wierzyciele trochę go poturbują albo uszkodzą dobytek, a pan okaże się winien. Zapewniam pana, Władisławie Nikołajewiczu, że takie rzeczy już się zdarzały, i to nie raz.

- Przekonał mnie pan. - Stasow rozłożył ręce. - Trudno się z panem spierać.

- Ze mną nie warto się spierać - pouczająco rzekł Potasow. - Mnie trzeba słuchać.

Stasow ledwie się powstrzymał, żeby się nie odgryźć. Rzeczywiście nieprzyjemny typ z tego faceta, Zatokny dobrze go ocenił. Madame Dosiukowa najwidoczniej nie lepiej.

- Dlaczego umowa nie zawiera terminów? - zapytał oschle.

- Dlatego że Natalii Michajłownie zależy na tym, żeby jej mąż został oczyszczony z zarzutów, i dla osiągnięcia tego celu gotowa jest czekać

tyle, ile trzeba.

- Ale ja nie zamierzam pracować dla niej bezterminowo! - wybuchnął Stasow. - Czy będzie mi płacić co tydzień, dopóki nie zakończę śledztwa? Pan wybaczy, ale nie chce mi się w to wierzyć. Ani ona, ani pan nie znacie mnie na tyle dobrze, żeby nie powątpiewać w moją rzetelność i w to, że nie zacznę umyślnie przeciągać śledztwa, żeby wyłudzić jak najwięcej pieniędzy. Nalegam, żeby ta sprawa została szczególnie uregulowana w umowie.

Potaszow spojrział nań ze współczuciem i z opartym na doświadczeniu smutkiem, jak na niedorozwinięte dziecko.

- Skoro pan nalega - westchnął i sięgnął po umowę - zapiszemy, że zakres kwestii, których wyjaśnienia oczekuje od pana zleceniodawca, jest w umowie dokładnie sprecyzowany i sprawozdanie z podjętych w tym obszarze działań ma pan obowiązek przedstawić za miesiąc. Jeśli w trakcie pańskiego śledztwa pojawią się nowe okoliczności, których zleceniodawca nie przewidział, będzie to już przedmiotem nowej umowy zawierającej nowe terminy, nowy zakres pracy i nowe honorarium. Czy to panu odpowiada?

- Odpowiada - ze złością odparł Stasow. - Jeśli w ogóle będę miał ochotę zawrzeć nową umowę.

Potaszow z wyrzutem pokręcił głową.

- Władisławie Nikołajewiczu, czyżby był pan skłonny rzucić sprawę w pół drogi? Czyż nie porusza pana los niewinnie skazanej osoby, która odsiaduje wyrok nie wiadomo za co? Nie mogę uwierzyć, że tak pan zobojętniał, pracując w milicji.

- Nikołaju Grigorjewiczu, to dla pana Dosiukow jest osobą niewinnie skazaną, bo wierzy pan jemu i żonie. A dla mnie facet jest nikim. Na razie nie dotarły do mnie żadne informacje oprócz tych zawartych w kopii wyroku, którą pan mi przekazał, i nie mam żadnych podstaw, by wierzyć w jego niewinność. Niech pan nie żąda ode mnie przesadnego zaufania.

Pożegnawszy się z obrońcą praw człowieka, Stasow zajął się

bieżącymi sprawami. Niebawem szykowała się coroczna impreza - wręczenie nagród filmowych za najlepsze produkcje roku. Przedstawiciele Syriusza będą również na niej obecni, i do niego należało zapewnienie im środków bezpieczeństwa. Jedna z aktorek nominowanych do nagrody i zaproszonych na ceremonię jakiś czas temu zaczęła się uskarżać na pewnego anonimowego prześladowcę ją wielbiciela. Poza tym do Stasowa dotarła informacja, że są ludzie, którzy już otrzymali zlecenie na przygotowanie pirackich kopii filmów Syriusza wyróżnionych nagrodami. A jemu przez cztery miesiące wciąż nie udało się opracować niezawodnego systemu ochrony pojemników z taśmami.

Do wieczora załatwił mnóstwo spraw niecierpiących zwłoki, po czym pojechał na spotkanie z klientką.

Dosiukowa okazała się zupełnie inna, niż ją sobie Stasow wyobrażał. Spodziewał się, że będzie podobna do obrońcy praw człowieka Potaszowa - arogancka, pewna siebie, żądająca natychmiastowych rezultatów, przy czym nie byle jakich, lecz takich, jakich to ona sobie życzy. Myślał, że będzie szlochać albo, co gorsza, podnosić głos, oskarżając całą milicję do spółki z prokuraturą i sądem o nieetyczne działania oraz niski profesjonalizm. Zwieńczeniem jej wypowiedzi, jak prognozował Stasow, miała być konkluzja w stylu: „Sam pan w tamtym czasie pracował w milicji. Tacy jak pan i pańscy koledzy wtrętili mojego męża do więzienia. Pana obowiązkiem jest teraz przywrócić sprawiedliwość i rozprawić się z niepraworządnością. Musi pan odkupić swoją winę”.

Jednakże nic podobnego się nie zdarzyło. Dosiukowa przyjaźnie się uśmiechała, zaprosiła Stasowa do dużego, przytulnie urządzonego pokoju, przyniosła popielniczkę, zaproponowała mu kawę i herbatę. Stasow postanowił zacząć od tego, co najistotniejsze.

- Natalio Michajłowno, może od razu wyjaśnijmy sytuację. Czy jest pani absolutnie pewna, że mąż jest niewinny, czy ma pani jednak jakieś wątpliwości?

Kobieta spochmurniała, palce rąk bezwiednie wbiła w kolana,

obciągnięte dopasowanymi spodniami.

- Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie - odrzekła półgłosem. - Wie pan, Krasawczikowa zabito w nocy. Wieczorem wzięłam środek nasenny, dość dużą dawkę. Kiedy zasypiałam, Żenią był obok mnie, kiedy się obudziłam, również. Ale sam pan widzi, jak zaprojektowane jest nasze mieszkanie. Drzwi wejściowe znajdują się bardzo daleko od sypialni i nawet kiedy nie śpię, nie słyszę, jak się otwierają. A co dopiero po zażyciu tabletek... Władisławie Nikołajewiczu, nie chcę pana okłamywać, to bez sensu. Śledczemu powiedziałam, że Żenią przez całą noc był w domu. A właściwie, że nie słyszałam, by wychodził i wracał. Bo rzeczywiście tego nie słyszałam. Ale musi pan wiedzieć, że mogłam po prostu tego nie usłyszeć, nawet jeśli tak było.

- To znaczy, że jednak nie jest pani do końca pewna? - uściślił Stasow.

Natalia przecząco pokręciła głową i Stasow zauważył, że jej oczy napełniły się łzami.

- Po co w takim razie wszczęła pani prywatne śledztwo?

- Tego domaga się mąż. Zamierza do upadłego walczyć o swoje uwolnienie. Nikołaj Grigorjewicz jest również bardzo zdecydowany, on także wspiera Żenię. Wie pan - Natalia raptem się uśmiechnęła - wydaje mi się, że Nikołaj Grigorjewicz bardzo nie lubi milicji i gotów jest podjąć się każdej sprawy, która pozwoli mu przyłapać jej funkcjonariuszy na czymś brzydkim. Moim zdaniem obroną praw człowieka zajmuje się tylko dlatego, że sprawia mu przyjemność widok powalonych na kolana milicjantów. Niech pan mnie dobrze zrozumie, Władisławie Nikołajewiczu, bardzo chciałabym, żeby Żenią nie siedział w więzieniu, lecz był ze mną tutaj, na wolności. Ale...

Zająknęła się, a Stasow poczuł się niezręcznie. Jakoś dziwnie się zachowuje ta klientka.

- Co takiego, Natalio Michajłowno? - pospieszył jej z pomocą. - Czy coś panią trapi?

- Owszem. - Kobieta głęboko westchnęła. - Kocham swego męża i

chcę mu wierzyć. Ale zbyt dobrze go znam.

- A konkretnie?

- Chcę, żeby wyszedł na wolność. Ale nie mam wcale pewności, że nie zabił Borisa. Żenią jest moim mężem i zrobię wszystko, czego zażąda, żeby uzyskać rehabilitację. To mój obowiązek, rozumie pan? Muszę być jego partnerką i powiernicą, muszę okazać mu wsparcie, zarówno moralne, jak i wszelkie inne. Przecież właśnie dlatego poślubiłam go, kiedy przeciwko niemu toczyło się śledztwo. Musiałam mieć przez nikogo niekwestionowane prawo, by mu pomagać i wspierać go, jeździć do niego na widzenia, pisać listy i działać w jego imieniu. Pewnie pan nie wie, że przedtem mieszkaliśmy razem cztery lata bez ślubu. Jakoś nie było nam to potrzebne. Ale jeśli zapyta mnie pan, czy jestem pewna na sto procent, że jest niewinny, to odpowiem panu, że nie. Nie, Władisławie Nikołajewiczu, nie jestem tego pewna. I zdaję sobie sprawę, że rezultaty pańskiego prywatnego śledztwa mogą potwierdzić winę mojego męża. Mimo to mam nadzieję, że będzie na odwrót, że pomoże pan oczyścić go z zarzutów. Niczego jednak nie jestem pewna, ponieważ nie mogę jasno stwierdzić, czy wychodził tamtej nocy z domu, czy nie. To tyle, odkryłam przed panem wszystkie swoje karty.

Stasow spojrzał na nią zaskoczony. Takiego obrotu sprawy zupełnie się nie spodziewał. Nie wierzy w niewinność męża, ale i tak próbuje ją udowodnić? Czyżby jej oddanie było tak wielkie? Dobra, gdyby chodziło o bezgraniczne zaufanie, jeszcze by to zrozumiał. Skoro ukochany małżonek twierdzi, że nie zabił Borisa Krasawczikowa, to właśnie tak było, a reszta to intrygi podstępnych wrogów, dlatego trzeba za wszelką cenę wyciągnąć niewinnego biedaka z kryminału. Ale przecież ona wyraźnie mu nie wierzy. Ma wątpliwości. Po co w takim razie to wszystko? Czyżby tylko dlatego, że nie ma dość odwagi, by się sprzeciwić mężowi? On chce zrobić z siebie ofiarę, a ona nie ośmieli się pisać, robi wszystko, co on rozkaże. Więc po co wyszła za mąż? Przecież nikt jej nie zmuszał, tym bardziej w takiej sytuacji. Wygląda na to, że kocha męża do szaleństwa, mimo że mu nie wierzy, mimo że wie,

iż to łajdak i zabójca. Kocha go jednak i nic nie może na to poradzić. I nie chce. Po prostu kocha - i koniec.

Stasow opuszczał mieszkanie Natalii Dosiukowej pełen współczucia i szczerzej sympatii dla tej młodej kobiety, zdolnej do tak silnej i bezinteresownej miłości oraz do lojalności nawet ze szkodą dla siebie.

Dowody w sprawie Jewgienija Dosiukowa były całkiem niezłe. Tak w każdym razie ocenił je Stasow po uważnym przeczytaniu kopii wyroku. Zabójstwo Borisa Krasawczikowa popełniono nocą z i na 2 grudnia 1994 roku, kiedy ofiara razem ze swoją przyjaciółką opuszczała klub nocny. Jakiś mężczyzna wyskoczył z samochodu, strzelił do Krasawczikowa, wsiadł z powrotem za kierownicę i czmychnął. Zbiegli się gapie, a ciężko ranny Boris kilkakrotnie powtórzył nazwisko zabójcy - Dosiukow. Aż do przyjazdu milicji i lekarzy był przytomny i powtórzył nazwisko, na co jest mnóstwo świadków. Jego przyjaciółka nic na ten temat nie umiała powiedzieć, jako że nie miała zielonego pojęcia, kto to taki ten Dosiukow, ale ubranie mężczyzny i jego samochód opisała dość szczegółowo. Milicjanci od razu zasięgnęli informacji, kim jest Dosiukow i gdzie mieszka, pojechali pod wskazany adres, w obecności specjalistów obejrzelni samochód i doszli do wniosku, że ktoś niedawno nim jeździł. I to nie wieczorem po pracy, ale dosłownie jakieś dwie godziny wcześniej. Na włamanie nocą do mieszkania jednak się nie zdecydowali, żeby się nie narażać. Zatelefonowali, usłyszeli, że Dosiukow podniósł słuchawkę, obstawili schody, a o siódmej rano zadzwonili do drzwi i uprzejmie poprosili pana Dosiukowa, żeby im towarzyszył. Opisana przez przyjaciółkę ofiary kurtka (albo taka sama, bardzo podobna) spokojnie wisiała na wieszaku w przedpokoju. Kurtkę zarekwirovano i stwierdzono, że znajdują się na niej cząsteczki prochu. Dosiukow nie potrafił jednak jasno wyjaśnić, jak się tam znalazły, i w ogóle definitywnie odrzucał swój udział w zabójstwie Borisa Krasawczikowa. Wówczas znaleziono świadków, którzy widzieli Dosiukowa, jak wychodził z domu koło drugiej w nocy i jak wrócił po trzeciej. Świadek, który widział, jak Dosiukow wraca, rozpoznał go bez

wahania i nawet potrafił wymienić elementy ubioru, na podstawie których rozpoznał go spośród siedmiu innych mężczyzn zaproszonych do uczestnictwa w identyfikacji. Natomiast świadek, który widział, jak Dosiukow wychodził z domu o drugiej w nocy, okazał się sąsiadem i dobrze znał Dosiukowa z widzenia, toteż w ogóle nie mógł się pomylić. Ów sąsiad spacerował z psem, który nagle zachorował, struł się czymś i przez całą noc trzeba go było wyprowadzać, dlatego mężczyzna nigdzie się nie spieszył i doskonale widział, jak Jewgienij wyszedł z domu i wsiadł do swego samochodu. Mało tego, rzucił nawet do Dosiukowa: „Żenią, a co ty się po nocy włóczysz?”. Na co ten rzucił w biegu coś niezrozumiałego, w stylu: „Interesy, kolego, interesy”, zwracając się przy tym do sąsiada z psem po imieniu, a nawet dodając: „Twój Lord też nie może zasnąć?”. A zatem o żadnej nieumyślnej pomyłce nie mogło być mowy. Jeśli sąsiad popełnił błąd i wziął jakiegoś zupełnie nieznanego mężczyznę za Dosiukowa, to skąd ów mężczyzna znał imię sąsiada i jego psa oraz dlaczego odjechał samochodem należącym do Dosiukowa. No a o tym, że przyjaciółka Krasawczikowa, która wychodziła z nim z restauracji, również rozpoznała Jewgienija Dosiukowa, nie ma nawet co wspominać.

Sam zaś Dosiukow wszystkiemu zaprzeczał, zaklinał się, że całą noc spał u boku żony, nie wychodził na ulicę i nigdzie nie jeździł samochodem, więc Krasawczikowa, ma się rozumieć, nie zabił. Co prawda zapału nie starczyło mu na długo, po kilku godzinach rzucił pogardliwie: „Nie będę z wami rozmawiał, łachudry, skoro nie rozumiecie po ludzku. Jeśli mi nie wierzycie - udowadniajcie, jak chcecie”. Po czym pograżył się w dumnym milczeniu, całkowicie odmawiając składania zeznań. Jak każdy poważny biznesmen mający wszelkie podstawy, żeby się niepokoić o swoje bezpieczeństwo, posiadał pozwolenie na broń, którą znaleziono w jego mieszkaniu. Ekspertyza potwierdziła, że właśnie z tego pistoletu zastrzelono Borisa Krasawczikowa. Odciski palców na broni należały do Dosiukowa, niektóre były zamazane, wytarte, inne zaś zupełnie wyraźne, jak zwykle

bywa, kiedy rzecz jest od dawna w użyciu i bierze się ją do ręki dziesiątki razy. Żadnych innych odcisków na pistolecie nie było. I to właściwie wszystko. Jak z takimi dowodami można było się zapierać i liczyć na cokolwiek, Stasow zupełnie nie rozumiał.

Postanowił zacząć od adwokata, który bronił Dosiukowa. Całkiem możliwe, że Jewgienij zdradził mu jakieś okoliczności dowodzące jego niewinności, lecz sąd nie wziął ich pod uwagę i dlatego nie znalazły odbicia w tekście wyroku. Jednakże spotkanie z adwokatem go rozczarowało. Po pierwsze, prawnik niezbyt dobrze pamiętał okoliczności, a co dopiero mówić o szczegółach, ponieważ prowadził ciągle po kilka spraw jednocześnie i w głowie miał kompletny mętlik, a po drugie, archiwum nie założył.

- Gdybym przechowywał notatki na temat wszystkich spraw, nie miałbym gdzie mieszkać - rzekł pogardliwie. - W domu i tak książki spadają mi na głowę, brakuje miejsca, a pan chce, żebym składał i przechowywał stare dokumenty. Sprawa została zakończona, klient skazany, skargę kasacyjną odrzucono, wyrok nabrał mocy prawnej i to wszystko, moja rola w procesie dobiegła końca.

- Ale może coś pan pamięta? - z nadzieją zapytał Stasow. - Jakiś szczegół, który wydał się panu ważny, ale na który sąd nie zwrócił uwagi.

- Nie. - Adwokat wzruszył ramionami. - Główny nacisk kładłem na to, że żona oskarżonego nie słyszała, żeby wychodził i wracał tamtej nocy.

- A powiedziała panu, że wzięła środek nasenny i nie mogła niczego słyszeć, nawet jeśli on wychodził?

- Powiedziała, a jakże. - Adwokat uśmiechnął się. - Ale po co sądowi zawracać tym głowę?

- To znaczy, że pan sam był przekonany o winie swojego klienta? - uściślił Stasow.

- Ma się rozumieć. Chociaż mnie też się nie przyznał. Ale nie jestem przecież ślepy, widziałem materiały dochodzeniowe. Wszystko tam

widać jak na dłoni, nie sposób się wywinąć.

- Czyli że pan jako adwokat nie dopatrywał się żadnych uchybień w śledztwie?

- Najmniejszych - potwierdził prawnik. - Zresztą śledczy był z Prokuratury Generalnej, a funkcjonariusze operacyjni nawet nie z Pietrowki, ale z MSW. Pracowali bardzo sumiennie, nie można im niczego zarzucić.

- Więc jaki był, według pana, cel obrony, skoro nie mógł pan niczego przeciwstawić oskarżeniu?

- A motyw? - Adwokat uśmiechnął się podstępnie. - Jak pan myśli, dlaczego sprawę przejęły MSW i prokuratura Rosji? Sądono, że oskarżony i ofiara poróżnili się o pieniądze, mieli dość poważne kontakty biznesowe. A skoro chodziło o pieniądze, to znaczy, że zabójstwo popełniono z pobudek materialnych. Artykuł sto dwa, aż do najwyższego wymiaru kary.

Swoje zadanie widziałem w tym, żeby udowodnić, że zabójstwo popełniono z zazdrości, to znaczy z pobudek osobistych. To przecież zupełnie inny artykuł i inny wyrok.

- I co, sam Dosiukow powiedział panu o zazdrości? - nieufnie zainteresował się Stasow.

- A skąd! - Adwokat roześmiał się. - Dosiukow wszystkiemu zaprzeczał, przecież mówiłem, że nawet mnie się nie przyznał. Jego żona mi o tym powiedziała, no i znalazły się jeszcze osoby, którzy potwierdziły, że ofiara dość śmiało okazywała kochance Dosiukowa względy, a nawet niemal domagała się jej w ordynarnej formie.

Tak, fakt ordynarnych umizgów znalazł się w wyroku, Stasow to pamiętał. No cóż, z rozmowy z adwokatem nic nie wyszło, trzeba pomówić ze świadkami. Może rzeczywiście wywierano na nich nacisk, żeby zrobić z Dosiukowa groźnego mafiosa i urządzić pokazowy proces w sprawie dotyczącej przestępczości zorganizowanej? Chociaż to oczywiście kompletna bzdura. Który groźny mafioso popędzi w środku nocy, żeby osobiście zabić rywala? Żaden. Od takiej roboty ma płotki,

zawsze może też wynajść kilerą, teraz to nie problem. Ale z zazdrości, pod wpływem opowieści Natalii, kierowany nagłym impulsem, Dosiukow mógł zrobić to sam. Rozzłościł się, chwycił gnata i popędził, by się rozprawić z zuchwalcem. Nie... coś tu nie pasuje. Po pierwsze, Natalia Michajłowna mocno spała po zażyciu tabletek, kiedy Dosiukow wychodził z domu. Mogła oczywiście powiedzieć Dosiukowowi o natrętnych zaczepkach jego przyjaciela i partnera biznesowego, zanim się położyła, a zazdrosny Dosiukow od razu postanowił się zemścić, ale cierpliwie odczekał parę godzin, dopóki Natalia nie zapadnie w mocny sen. Czy to możliwe? Owszem. Musiał przy tym doskonale się orientować, gdzie w tym momencie znajduje się

Krasawczikow. To znaczy, że kiedy Natalia poszła spać, musiał wydzwaniać, by się dowiedzieć, gdzie jest Boris. Jeśli wyszedł z domu koło drugiej, a wrócił po trzeciej, to przez półtorej godziny raczej nie mógł objechać kilku miejsc w poszukiwaniu Krasawczikowa. Wystarczyłoby mu za to czasu, żeby dotrzeć do restauracji, poczekać na ofiarę, wystrzelić parę razy z pistoletu i prędko wrócić do domu. Zarówno dom Dosiukowa, jak i restauracja Łada, gdzie doszło do zabójstwa, znajdują się w centrum miasta. Ciekawe, czy uda się znaleźć tamte osoby, do których Dosiukow dzwonił wtedy między północą a drugą w nocy?

W tej sytuacji Stasow znowu udał się do Natalii.

- Jeśli założymy, że pani mąż zabił jednak Borisa Krasawczikowa, to jak się dowiedział, gdzie można go było wtedy znaleźć? - zapytał Dosiukową.

- Widzi pan... - Kobieta znowu się zająknęła i Stasow domyślił się, że będzie teraz musiała zdradzić mu jakiś nieprzyjemny szczegół, którego na skutek wrodzonej uczciwości nie chce zataić, ale który wyraźnie nie podziela na korzyść świętej sprawy uwolnienia jej małżonka z kajdan praworządneho państwa. - Tamtego wieczoru byłam bardzo zdenerwowana, zachowanie Borisa po prostu wyprowadziło mnie z równowagi i po raz pierwszy poskarżyłam się Żeni. Boris od dawna mnie

zaczepiał, ale nigdy przedtem nie mówiłam o tym Żeni. A wtedy... Nie wytrzymałam, krótko mówiąc. Boris traktował mnie jak tanią dziwkę. Uważał, że Żenią mnie kupił, więc jeśli on zapłaci więcej, stanę się jego własnością. Płakałam, a Żenią szalał z wściekłości. Później poradził mi, żebym się uspokoiła, wzięła tabletki, zasnęła i o wszystkim zapomniała. Powiedział, że zadba o to, żeby Boris nie sprawiał mi więcej przykrości. Powiedział jeszcze: „ależ bydlak z tego Borki, przyzwyczaił się codziennie kupować sobie nową dziwkę i myśli, że inni też tak żyją”. Doprowadził cię, powiada, do hysterii, serce się kraje patrzeć, jak płaczesz, a sam pewnie urzęduje teraz w Ładzie z nową panienką. Widzi pan, Władisławie Nikołajewiczu, Żenią najwyraźniej skądś wiedział, że Boris zamierzał tamten wieczór spędzić w Ładzie.

- Nie zaniepokoiły pani słowa Jewgienija, że Boris nie sprawi pani więcej przykrości?

- Szczerze mówiąc... - Natalia słabo się uśmiechnęła, jakoś nieśmiało i wstydliwie - ucieszyłam się w tamtej chwili. Sądziłam, głupia, że Żenią robi aluzję do tego, że w końcu się ze mną ożeni. Wtedy Boris nie będzie już mógł traktować mnie jak przejściowej panienki, żyjącej na koszt bogatych facetów.

- Natalio Michajłowno, czy zna pani sąsiada, który ma psa Lorda?

- Oczywiście. Ma pan na myśli tego, który widział Żenię?

- Zgadza się.

- To Igor Tichonienko. Mieszka piętro niżej.

- A tego drugiego, który widział, jak Jewgienij wraca do domu?

- Nie, tego nie znam. Ale pamiętam nazwisko: Prigarin.

- A skąd on się wziął? Też mieszka gdzieś w pobliżu?

- Nie, znalazł się tam przypadkiem. O zabójstwie Krasawczikowa i areszcie Żeni media zaczęły trąbić po dwóch dniach, pisali o tym w gazetach, w telewizji też pokazywano, jak wiozą Żenię w kajdankach. Prigarin go rozpoznał i sam zgłosił się na milicję.

- Czy to możliwe, że w środku nocy mógł tak dobrze przypatrzeć się twarzy pani męża, że po dwóch dniach rozpoznał go na ekranie

telewizora? - Stasow zwątpił. - Aż się wierzyć nie chce.

- Wie pan, zastanawiałam się nad tym wtedy, rok temu. Mnie też wydało się to dziwne. A później, niestety, wszystko się wyjaśniło. Widział pan, jaki mamy na dole ogromny hol? Jest oświetlony przez całą dobę. Prigarin zobaczył Żenię przez okno, akurat w tym czasie przechodził koło naszego domu. Żenią zatrzymał się, żeby wyjąć klucze, i z jakiegoś powodu podszedł do skrzynki pocztowej. Ja też początkowo miałam nadzieję...

- Czy adwokat nie miał wątpliwości co do rozpoznania? Widzi pani, Natalio Michajłowno, jeśli ten Prigarin zobaczył pani męża w telewizji, to jest to już powód do rozmowy. Kogo właściwie rozpoznawał? Mężczyznę, którego rzekomo zobaczył w holu, czy mężczyznę, którego zobaczył w telewizji?

- Tak, adwokat próbował na tym zagrać. Ale to nic nie dało.

- Dlaczego?

- Bo kiedy Żenię aresztowano, wyszedł z domu w płaszczu i w czapce, a Prigarin opisał inne ubranie, akurat to, które zabrano później do ekspertyzy i które opisali inni świadkowie. Gdyby widział Żenię tylko w telewizji, raczej nie mógłby tego zrobić, prawda?

- No tak. - Stasow zmuszony był przyznać jej rację.

Czyli że sprawa wygląda kiepsko. Nic się tu raczej nie wykombinuje. Chyba żeby spróbować udowodnić nierzetelność świadków. Ktoś mógł im podsunąć spreparowane zeznania, ale wówczas musiał namówić ich także, żeby skłamali zarówno podczas śledztwa, jak i w sądzie. I nie chodzi tylko o te dwie osoby, które zauważyły Dosiukowa koło domu, ale również o te, które widziały go koło restauracji i słyszały, jak Krasawczikow wymienia nazwisko zabójcy. A są wśród nich i funkcjonariusze milicji, i lekarze. Czy to nie za wiele? Pewnie, że nie ma rzeczy niemożliwych, kupić można każdego, jednakże w ich zeznaniach znajdowały się rozbieżności. A w tej sprawie chyba ich nie ma. A zresztą, do tak potężnej machinacji potrzeba ogromnych sił i ogromnych pieniędzy, innymi słowy, jeśli Dosiukow jest niewinny, to jego

uwięzienie musi być na rękę całej organizacji. I jeśli nawet taka organizacja istnieje i ma jakieś porachunki z Dosiukowem, to wydział do spraw przestępczości zorganizowanej nic o tym nie wie? Marna koncepcja. I zupełnie nieprawdopodobna.

Ze Swietłaną Paraskiewicz śledczy Olszański rozmawiał sam, bez Nasti. Świetłana wydała mu się spokojną i zrównoważoną kobietą, więc do rozmowy z nią nie potrzebował pomocników.

Powody do spotkania były dwa - samobójstwo Ludmiły Isiczenko i niedawna wizyta Galiny Iwanowny.

- Swietłano Igoriewno, znalazłem się w wielce kłopotliwej sytuacji. Zjawiła się osoba, która przyznała się do zabójstwa pani męża...

- Kto to? - niecierpliwie przerwała mu Swietłana.

- Kobieta. Ta sama Isiczenko, która żądała, żeby odstąpiła jej pani Leonida.

- To niemożliwe - powoli odparła zdumiona Swietłana. - Przecież to wariatka.

- Ale dlaczego niemożliwe? Myśli pani, że wariaci nie popełniają przestępstw? Popełniają, popełniają, w dodatku takie, które normalnym ludziom do głowy nawet nie przyjdą.

- Nie rozumiem jednak... - Swietłana rozłożyła ręce. - Przecież chciała, żeby Leonid odszedł do niej, rzucił mnie. Po co by miała go zabijać, jeśli chciała z nim być? Nie, nie wierzę.

- Właśnie o tym chciałem z panią pomówić. Widzi pani, Isiczenko twierdzi, że Leonid sam ją poprosił, żeby to zrobiła.

- Co zrobiła? - Swietłana nie zrozumiała.

- Zastrzeliła go.

- Jak to? Dlaczego?

- No właśnie chcę, żeby mi pani pomogła ustalić, czy to się mogło zdarzyć.

- Ależ to zupełnie niemożliwe! - nerwowo zawołała Swietłana. - Owszem, to wariatka, ale Leonid był przecież normalny! Co za bzdury pan plecie?

- Niech się pani uspokoi, Swietłano Igoriewno, nie twierdzę, że tak było, chcę tylko dojść z tym do ładu. Nie dopuszcza pani myśli, że mąż chciał opuścić ten świat?

- Nie.

- A jednak... Proszę sobie przypomnieć, czy w ostatnim czasie przed śmiercią nie był przybity, czy nie mówił, że wszystko mu zbrzydło, znudziło się, że jest zmęczony i nie wie, co i jak ma dalej robić?

Swietłana milczała z nisko opuszczoną głową, uważnie przyglądając się okrągłym śladom po szklankach, które na dobre odcisnęły się na dostawianym stoliku dla interesantów. Olszański cierpliwie czekał, wiedział bowiem z doświadczenia, jak niełatwo jest się przyznać, że bliska osoba popełniła albo chciała popełnić samobójstwo. Czym innym jest zabójstwo, kiedy winien jest ktoś obcy, a zupełnie czym innym samobójstwo, o które nie ma kogo oskarżyć, jedynie samego siebie, że nie dostrzegło się w porę wewnętrznego dramatu osoby, która żyła obok, nie zwróciło się uwagi na jej depresję, nie przywiązało wagi do jakichś słów. Sam jesteś winny, bo byłeś głuchy i ślepy, niewrażliwy i okrutny, popełniłeś podłość, oszukałeś, zdradziłeś. Albo sam doprowadziłeś bliską osobę do samobójstwa, albo nie potrafiłeś zapobiec nieszczęściu. W każdym wypadku nikt inny nie jest winien. Tylko ty.

- Chyba muszę powiedzieć panu całą prawdę - wreszcie odezwała się Świetłana, podnosząc oczy na śledczego. - Zwłaszcza że niedawno była u mnie teściowa i jej już powiedziałam. Więc i tak pan się dowie. Chodzi o to, że...

Znowu się zająknęła i umilkła. Olszański jej nie ponaglał.

- Krótko mówiąc, wszystkie te romanse napisałam sama. To nie Leonid jest ich autorem, ale ja. Na samym początku postanowiliśmy jednak, że on będzie je firmował. Tak wydawało nam się lepiej ze względów reklamowych. Powieści dla kobiet, napisanych przez kobiety jest bez liku. A mężczyzn, którzy umieliby tworzyć kobiecą prozę, można policzyć na palcach jednej ręki. U nas w Rosji nie ma żadnego. Rozumie pan, co mam na myśli?

- Tak, tak, Swietłano Igoriewno, rozumiem - prędko odrzekł Olszański, z trudem skrywając zdumienie. - Proszę mówić dalej.

- A więc tak. Najpierw wszystko to strasznie nas bawiło. Pękaliśmy ze śmiechu, przypominając sobie, jak Lonia udzielał wywiadów, jak wydawcy z nim rozmawiają, jak dziewczyny w wydawnictwach patrzają nań z uwielbieniem. Telewizja, radio i temu podobne rzeczy. Było zabawnie. Ale ostatnio Lonię zaczęło to drażnić. Mówił, że czuje się jak złodziej, który ukradł cudzą sławę. Że ma dosyć udawania genialnego literata, podczas gdy doskonale wie, że w rzeczywistości pióro ma koślawe i nie potrafi pisać. Bardzo mu to ciążyło.

- A w ostatnim czasie szczególnie?

- Tak. W ostatnim czasie szczególnie. Namawiał mnie, żeby skończyć z oszustwem i mistyfikacją, przyznać się i podpisywać książki nazwiskiem prawdziwego autora.

- A pani?

- Nie zgadzałam się. Niech pan zrozumie, Konstantinie Michajłowiczu, takie dobrowolne ujawnienie się nikomu nie wyjdzie na zdrowie. Kobiety, które czytają i kochają powieści Paraskiewicza, poczują się oszukane. One kochają Leonida, a nie mnie. Potrzebują idola. Jak można tak po prostu im go zabrać? Młode dziewczyny marzą o nim, śpią z jego książkami pod poduszką. I nagle się okazuje, że tego wszystkiego nie napisał młody przystojniak, którego zdjęcia widzą na okładce i w którym potajemnie się podkochują, ale kobieta, w dodatku jego żona. Moich powieści nikt nie będzie ani wydawał, ani kupował. To będzie zupełnie co innego.

- Rozumiem panią - łagodnie powiedział Olszański. - Ale wróćmy do pani męża. Bardzo cierpiał z tego powodu?

- Bardzo. Było coraz gorzej. Zaczął się sobie wydawać podły, nieutalentowany, mówił, że ograbił mnie ze sławy i żyje właściwie za moje pieniądze. Przejmował się jeszcze jedną rzeczą: że nie może korzystnie sprzedawać moich rękopisów. Przecież wszystkie negocjacje wydawcy prowadzili z nim, a nie ze mną, to on był autorem, mnie

traktowali jak powietrze. Ja, oczywiście, za nic bym się nie zgodziła na takie pieniądze, które płacili, we mnie nie potrafiliby wzbudzić litości, ale Lonia... Nie potrafił im odmówić, taki miał charakter. Nie umiał również zażądać wyższego honorarium. A ja nie mogłam brać udziału w negocjacjach z wydawcami, bo inaczej zniszczylibyśmy wizerunek. Co to za pisarz, który chodzi po wydawnictwach, trzymając się spódnicy żony? To niepoważne. Spieraliśmy się z tego powodu, Lonia zaklinał się, że to ostatni raz, że więcej za nic nie da się nabrać na płaczliwe skargi i prośby, ale kiedy oddawałam mu nowy rękopis, szedł do wydawnictwa i sytuacja się powtarzała. A ostatnio coraz częściej zaczął napomykać, że nie tylko żyje na mój koszt, ale też w dodatku mnie okrada, ponieważ przez swój słaby charakter pozbawia mnie dużych honorariów. Gdybym tylko wiedziała, że z tego powodu zechce odebrać sobie życie, zgodziłabym się oczywiście do wszystkiego przyznać. Byłam jednak pewna, że to chwilowe, że wkrótce minie. Czyżby on naprawdę?...

- Nie wiem, Swietłano Igoriewno - westchnął śledczy. - Ale bardzo chciałbym zrozumieć. Niestety, wyjaśnić tego już się teraz nie da.

- Niech pan porozmawia jeszcze raz z tą kobietą, z Ludmiłą. Może to wszystko wymyśliła? Może to majaki jej chorej wyobraźni?

- To niemożliwe.

- Dlaczego?

- Ponieważ ona nie żyje.

- Jak to... nie żyje? - wymamrotała Świetłana zbielełymi wargami. - Czemu?

- Otruła się. Targnęła się na swoje życie. Napisała szczere przyznanie się do winy i zażyła truciznę. Smutne to wszystko, Swietłano Igoriewno.

- Czyli z tego wniosek, że miał pan słuszność? Leonid postanowił odejść z tego świata, ale nie wystarczyło mu odwagi, więc poprosił ją, żeby go zastrzeliła? Nie, nie wierzę w to.

- Ale chyba nie ma niczego innego, w co moglibyśmy uwierzyć. Isiczenko szczegółowo opisała to, co zaszło. Mogła to zrobić jedynie osoba, która sama popełniła przestępstwo. Powiedziała, jak była ubrana

w chwili zabójstwa. Na tym ubraniu znaleziono cząsteczki prochu, co znaczy, że osoba mająca na sobie ten ubiór strzelała z broni palnej. Opisała samochody, które parkowały pod waszym domem, podczas gdy ona czekała na Leonida. Opisała nawet pudełko, w którym pani mąż zostawił dla niej pistolet. A przy okazji, nie wie pani, skąd Leonid miał pistolet?

- Nie wiem. - Świetłana z przygnębieniem pokręciła głową. - Ale i tak w to nie wierzę.

- Może ma pani rację - zgodził się z nią Olszański. - Może pani mąż rzeczywiście nie prosił o to Ludmiły. Zabiła go sama, z własnej inicjatywy. Może prośba pani męża po prostu jej się przywidziała, uroiła. Nie ulega wątpliwości, że nie była zdrowa psychicznie. Tak czy inaczej, Leonida Paraskiewicza zabiła właśnie ona. Oboje będziemy musieli zaakceptować ten fakt.

- Boże, jakie to potworne... - wyszeptała Świetłana. - Jakie straszne.

ROZDZIAŁ 11

Przez cały tydzień po wyborach Siergiej Nikołajewicz Bieriozin rzadko bywał w domu. Wychodził wcześniej rano i wracał wieczorem, zwykle nie sam. Tłumaczył Irinie, że za miesiąc stara Duma złoży swoje pełnomocnictwa i nowo wybrani deputowani przystąpią do podziału miejsc, foteli i stanowisk. Należało zawczasu się do tego przygotować, połączyć w bloki, przeanalizować kandydatury, przemyśleć strategię walki parlamentarnej przy wyborze przewodniczącego i szefów komitetów. Jednocześnie Bieriozin jako deputowany nie mógł dłużej zajmować się biznesem, musiał zrezygnować z uczestnictwa w spółkach handlowych, odebrać swoje udziały i z honorem wycofać się z interesu. Jednym słowem, czekało go sporo pracy i Siergiej Nikołajewicz pogрузił się w niej po uszy. Poza tym nie zapominał również o popularności, toteż prawie codziennie w ich domu bywali goście - albo koledzy partyjni, albo przedstawiciele prasy, albo po prostu starzy przyjaciele i znajomi Bieriozina. Oczywiście Siergiej Nikołajewicz zawsze dzwonił do domu i uprzedzał, że wraca i nie będzie sam, ale i tak Irina znajdowała się w stanie ciągłego napięcia, bo rozumiała, że nawet jeśli Sierioża uprzedzi ją godzinę przed przyjazdem, ona nie zdąży zorganizować mu takiego przyjęcia, jakiego sobie życzy, więc wszystko musi być gotowe wcześniej, żeby przez pozostałą godzinę zdążyła nakryć elegancko stół i podgrzać dania.

- Iro - klarował jej rozemocjonowany Bieriozin - twoje zdolności kulinarne podsunęły mi myśl o rosyjskim stylu. To znakomity pomysł. Nie zamierzam odgrywać rusofila i wielkomocarstwowego szowinisty, ale polityk, który niespecjalnie zwrócony jest w stronę Zachodu, czerpie natomiast siłę z czegoś tradycyjnie rosyjskiego, musi wzbudzać

sympatię. Gdybym był gruby i lśnił od potu, przypominałbym kupca, który ugrzązł w rusofilstwie tylko dlatego, że tłuste policzki zasłaniają mu widok i nie pozwalają szeroko otworzyć oczu. A ja mam wygląd w pełni europejski, jeżdżę dobrymi, drogimi samochodami i noszę dobrą, drogą odzież, mam młodą, piękną żonę, więc lekki zwrot ku rosyjskiemu stylowi życia doda mojemu wizerunkowi niepowtarzalności i czegoś wyjątkowego. Jak sądzisz?

Irina nic szczególnego nie sądziła, bo nie orientowała się w polityce i nie wykazywała nią zainteresowania. Jednakże pamiętała, że zawarła z Siergiejem umowę, korzystną dla obu stron, zgodnie z którą on zdobywał przyzwoitą żonę, a ona uwalniała się z żelaznych łap Rinata - profesjonalnego sutenera, eksploatującego swoje dziewczyny jak niewolnice na plantacjach bawełny. Bieriozin swoją część umowy wykonał, z pomocą Wiktora Fiodorowicza sprawił, że Rinat nie zagrażał już Irinie. Ona więc też powinna wywiązać się ze swojego zadania - grać rolę takiej żony, jaką chce mieć Siergiej Bieriozin. Dlatego w domu codziennie był barszcz z kołdunami, pierogi, kulebiaki, mięso mlecznego prosiaka, chłodnik. Wszystko to jednak, ma się rozumieć, nie oznaczało rezygnacji z europejskich napojów i przystawek. Irina prowadziła dom z przyjemnością, studiowała książki kucharskie, stale wyszukiwała nowe przepisy, śmiało eksperymentowała, za każdym razem z niejakim zdziwieniem przekonując się, że znowu wszystko jej się wspaniale udało, i choć w opisie dań były miejsca, których nie rozumiała, czysto intuicyjnie zrobiła wszystko jak trzeba. Lubiła zapach, który wydzielał rozgrzany rozpalonym żelazkiem materiał, kiedy prasowała pościel albo koszule Bieriozina. Lubiła każdy poranek, kiedy po wyjściu Siergieja sprzątała mieszkanie, ścierała kurze, czyściła wykładziny i miękkie meble. Pewnego dnia weszła do sypialni, aby jak zwykle posprzątać, po czym przysiadła zamyślona na skraju niepościelonego łóżka, a później się położyła, wtulając twarz w poduszkę, na której sypiał Bieriozin. Poduszka ledwie wyczuwalnie pachniała jego skórą i włosami, delikatnie i przyjemnie. Dokładnie tak samo pachniał on sam, kiedy wracał

wieczorem, przyprowadzając gości, i gdy przy wszystkich całował Irinę w policzek i w kącik ust. Pomimo śmiertelnego grzechu, który ich połączył, coraz bardziej podobał jej się ten pociągający mężczyzna - spokojny, rzeczowy i opanowany. Nawet nie przyszło jej do głowy, żeby się nań obrażać za niektóre uwagi i niekiedy obraźliwe aluzje, bo rozumiała, że wspólny grzech dzielą po równo, a ona była ponadto dziwką, podczas gdy Siergiej prowadził życie godne i przyzwoite pod każdym względem.

Irina leżała na jego poduszce z zamkniętymi oczami i myślała, że może kiedyś naprawdę zostanie jego żoną, będą mieli dzieci i staną się prawdziwą rodziną. Od czasu kiedy trafiła do Rinata, miała tylko jedno marzenie: dom, mąż, dzieci. Dom, którym musi się zajmować, ma. Ma również mężczyznę, o którego musi dbać. To połowa sukcesu. Pozostawało jeszcze sprawić, żeby z mężczyzną łączyły ją nie tylko dom i pieczętka w dowodzie, ale coś więcej, i urodzić dziecko. Przynajmniej jedno.

Irina przypomniała sobie, jaką Sierioża miał zaniepokojoną twarz, kiedy opowiedziała mu o wizycie Diany Lwowny.

- Nic nie zauważyła? - dopytywał się Bieriozin.

- Skąd mam wiedzieć? - Irina wzruszyła ramionami. - Wydaje mi się, że nie. Oświadczyła co prawda, że bardzo zbrzydłam, ale myślę, że chciała mnie dotknąć i zranić do żywego. Powiedz, Sierioża, naprawdę odwiedzałeś ją zaraz po drugim ślubie i skarżyłeś się na swoje życie?

- To też ci powiedziała? - Sierioża zachmurzył się. - Diana zawsze była złośliwa. Zawsze lubiła zdradzić publicznie cudze tajemnice i cieszyła się, widząc skrępowanie i zmieszanie drugiej osoby.

- Więc ją odwiedzałeś?

- Odwiedzałem. I co z tego?

- Nic, po prostu byłoby lepiej, gdybyś sobie przypomniał, co jej wtedy mówiłeś. To by mnie ustrzegło przed wieloma nieprzyjemnymi niespodziankami. Podejrzewam, że będę musiała jeszcze nie raz spotkać się z Dianą Lwowną.

Bieriozin, unikając spojrzenia Iriny, sumiennie przypomniał sobie wszystko, co siedem lat temu opowiadał swojej pierwszej żonie, skarżąc się na drugą. Prawda w jego opowieści mieszała się z pewną dozą przesady i ewidentnej fikcji, więc Siergiej Nikołajewicz czuł się niezręcznie, mężnie kontynuował jednak swoją historię, bo rozumiał, że Irina ma w tym wypadku stuprocentową rację: musi to wiedzieć, jeśli chce się wywiązać ze wszystkich warunków ich umowy.

W końcu tortury szczerości się skończyły i Bieriozin odetchnął.

- Bardzo się przestraszyłaś, kiedy ona przyszła? - zapytał Irinę.

- Bardzo. Zupełnie nie wiedziałam, jak mam się zachować. Wydawało mi się, że wszystko, cokolwiek robię, jest nie tak.

Próbuję być uprzejma, spotykam się z kpiną, że niby wydostałam się z rynsztoka, z dziwki stałam się księżniczką. Próbuję okazać surowość, ona żąda pobłażliwości, przypomina, że jestem znacznie młodsza. Zachowuję się skromnie, staram się nie drażnić jej swoją młodością, a ona natychmiast mówi, że źle wyglądam i w ogóle zbrzydłam. Wiesz, bawiła się ze mną jak kot z myszą. Powie świństwo i patrzy, obserwuje ukradkiem, zastanawia się, co z tego wyjdzie.

- Ze mną też tak postępowała - przyznał Bieriozin. - Przez całe dwanaście lat, które spędziłem z Dianą, czułem się jak myszka doświadczalna.

- Odniosłam wrażenie, że ona jest starsza od ciebie - zauważyła Irina.

- Tak, o sześć lat. A właśnie, jak wygląda? Dwa lata temu, kiedy widziałem ją ostatni raz, była w znakomitej formie. Teraz dobiega już pięćdziesiątki.

- Teraz też się świetnie trzyma. Zadbana, włosy prawie bez siwizny, oczy błyszczące, elegancki kostium. Wiesz, wydaje mi się, że nie żywi do ciebie nienawiści. Mnie też nie zazdrości. To dobrze czy źle?

- Boże kochany, Iroczko, oczywiście, że to dobrze. Mieć wroga w osobie Diany Lwowny... to lepiej już od razu się powiesić, żeby się nie męczyć. Mądrała z ciebie, że nie weszłaś z nią w konflikt i potrafiłaś się dogadać. Do diabła z nią, niech się zajmuje swoimi babskimi

głupstwami, tylko niech gęby nie otwiera. Chyba rozumiesz, że ma co opowiadać o Siergieju Bieriozinie i jego drugiej żonie. Jako polityczny przeciwnik nie stanowi dla mnie zagrożenia.

- Dlaczego?

- Bo nasi wyborcy mają umiarkowane poczucie humoru. Nie posuwają się za daleko.

- Nie rozumiem. - Irina zachmurzyła się. - Co ma do tego poczucie humoru?

- Przecież oglądasz telewizję, pewnie widziałaś wystąpienie Zadornowa, kiedy mówił: „Dlaczego wybrano Żyrinowskiego? Bo ludzie sobie zażartowali”. Żeby partia kierowana przez kobietę zebrała w następnych wyborach ponad pięć procent głosów, wyborcy muszą znów mieć ochotę do żartów, jeszcze większą niż w tym roku. Sądzę jednak, że za cztery lata nie będzie im do śmiechu, kiedy zobaczą, do czego doprowadziło ich specyficzne poczucie humoru. Możesz więc śmiało robić Dianie reklamę, tak jak prosiła. Niech się cieszy, byleby tylko nie robiła świństw.

Przez cały ten niespokojny tydzień Irina nie kładła się spać, dopóki Sierioży nie było w domu. Bieriozin prosił ją o to szczególnie i nie mogła mu odmówić, mimo że wracał bardzo późno - o dwunastej, a nierzadko i o pierwszej w nocy. Zdarzało się, że przyjeżdżał koło szóstej po południu z dwoma, trzema nieznanymi osobnikami. Irina grała rolę gościnnej gospodyni, częstowała ich obiadem, a potem Siergiej Nikołajewicz znowu zniknął do późnego wieczora. Czasami potrafił przyjechać z kimś o pierwszej w nocy. Wówczas Irina szykowała lekką kolację i cierpliwie czekała, kiedy gość sobie pójdzie.

- Jeśli pani domu poszła się położyć - mówił Bieriozin - gość może poczuć się niezręcznie i pomyśleć, że to on ją zmęczył, a teraz przeszkadza jej spać. Dlatego proszę cię, nie kładź się przede mną. W końcu wcale nie musisz co rano zrywać się o wpół do siódmej, żeby przygotować mi śniadanie. Zupełnie dobrze mogę sobie poradzić sam, a ty śpij, ile chcesz. Ale zależy mi, żebym mógł wieczorem spokojnie

zaprosić do siebie, kogo zechcę, mając pewność, że drzwi otworzy mi uśmiechnięta żona, a w mieszkaniu będzie pachniało ciastem. To dla mnie ważne, rozumiesz?

Irina poszła wówczas spać do swego pokoju, z ulgą myśląc, że jutro będzie się wylegiwać w łóżku do południa. Jednak mimo że się położyli prawie o drugiej w nocy, już o wpół do siódmej wstała i udała się do łazienki, żeby się umyć i uczesać. Tuż przed siódmą z kuchni rozległy się upajające dźwięki buczonego młynka do kawy, gwizdzącego czajnika i skwierczącej patelni. Dźwięki, które dla normalnego mężczyzny symbolizują domowe zacisze, kobiecą troskę i normalną rodzinę.

- A jednak wstałaś - z wyrzutem powiedział Siergiej Nikołajewicz, siadając do śniadania. - Przecież mówiłem ci wczoraj, że możesz pospać rano dłużej.

Sam nie zauważył, jak jego twarz rozpląnęła się w błogim uśmiechu, kiedy zobaczył Irinę w długiej bladobłękitnej sukni, przewiązanej kokieteryjnym, haftowanym fartuszkim. A niech to diabli, było mu miło, że ona jednak wstała, żeby przygotować mu śniadanie i pożegnać się z nim przed wyjściem do pracy. Sprawiała mu przyjemność swoim widokiem.

- Nie rozumiesz, Sierioża - odparła z uśmiechem. - To dla mnie przyjemność wstać wcześniej, żeby przygotować dla męża śniadanie. Łapię się na tym, że budzę się, włączam światło i patrzę na zegarek. Widzę, że już szósta, i myślę z radością: jak to dobrze, jeszcze tylko pół godziny. Przecież budzę się bez budzika.

- Jak to? - Bieriozin zdumiał się. - Zimą, w takich ciemnościach? Bez budzika? Nigdy w to nie uwierzę.

- Zajrzyj do mojego pokoju, to się przekonasz - zaproponowała Irina. - Mam budzik, ale zostawiłam go w walizce. Ani razu go nie wyjęłam od czasu, jak przywiozłeś mnie z sanatorium.

Tamtego ranka, kiedy szykował się do pracy, Bieriozin doznał nagle niespodziewanego i niewytłumaczalnego, ale bardzo wyraźnego uczucia radości, że wieczorem w domu będzie na niego czekać ta miła kobieta o

delikatnej twarzy. Miał już na sobie płaszcz i trzymał rękawiczki, ale nagle podszedł do Iriny i objął ją.

- Bardzo się cieszę, że jesteś moją żoną - powiedział cicho. - Chyba po raz pierwszy zacząłem rozumieć, co to w ogóle znaczy mieć żonę. Przez pierwsze dwanaście lat zamiast żony miałem surową i wymagającą nauczycielkę, która udzielała mi lekcji życia i dobrych manier. A później przez siedem lat mieszkało obok mnie rozpuszczone, kapryśne dziecko, które w każdej chwili mogło wywinąć numer, więc ciągle musiałem go pilnować i regularnie świeciłem oczami za jego wybryki. Dopiero teraz zaczynam rozumieć, kim jest żona.

Irina zamarła, czując jego ciepłe ręce na swoich plecach. Czyżby miał ją pocałować? Nieśmiało uniosła głowę, gotowa włożyć w ten pocałunek całą popartą doświadczeniem zmysłowość i nagromadzoną przez długie lata czułość. Siergiej spoglądał na nią ciepłymi, łagodnymi oczami, ale Irina nie zobaczyła w nich tego znajomego lekkiego „obłędu”, który zwykle poprzedza pocałunek, jeśli oczywiście nie jest on tylko technicznym elementem seksu.

Miała rację. Objęcie nie stało się silniejsze i krzepiące, a pocałunek nie nastąpił. Już przy samych drzwiach Bieriozin kiwnął jej na pożegnanie i znowu wyjechał na cały dzień.

To było w piątek, a w sobotę rano zadzwonił Wiktor Fiodorowicz.

- Co słyhać, kochana? - zainteresował się, mówiąc swoim miękkim, słodkim głosem, od którego robiło się spokojnie i ciepło na duszy.

- Dziękuję, chyba wszystko dobrze.

- Co to znaczy: chyba? Ma pani wątpliwości?

- Nie, nie, skąd, wszystko w porządku. Po prostu... - Irina zająknęła się.

Bardzo chciała porozmawiać z kimś o swoich relacjach z Siergiejem. Tą osobą mógł być tylko Wiktor Fiodorowicz, niemłody mężczyzna, który żadną miarą nie pasował do roli serdecznej przyjaciółki Iriny. Nikt na świecie nie jest w stanie pojąć, co dzieje się w jej duszy, z wyjątkiem Siergieja i Wiktora Fiodorowicza.

- Więc jak, kochana? - dopytywał się uparcie i w jego głosie wyraźnie pobrzmiwał narastający niepokój. - Co panią trapi? Nie powinna pani niczego przede mną ukrywać. Razem z pani mężem musimy trzymać rękę na pulsie, żeby w razie niepomyślnego rozwoju wydarzeń natychmiast podjąć środki zaradcze.

- Niech się pan nie denerwuje, Wiktorze Fiodorowiczu, nic się nie stało. Nic.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Przysięgam.

- Więc dlaczego się pani zająknęła? Dlaczego nie dokończyła pani tego, co chciała pani powiedzieć?

- Bo to śmieszne i niedorzeczne. Ale żeby się pan niepotrzebnie nie niepokoił, powiem panu: wydaje mi się, że zakochuję się w Siergieju. Z każdym dniem coraz bardziej mi się podoba.

- Tak? To ciekawe. To niezmiernie ciekawe. - Głos Wiktora Fiodorowicza ponownie stał się miękki i słodki. - A Siergiej Nikołajewicz jak się do pani odnosi?

- Trudno powiedzieć... Czasami mam wrażenie, że widzi we mnie tylko pomoc domową, która przy ludziach obiecała grać rolę żony. A chwilami wydaje mi się, że mu się podobam.

Niekiedy wydaje mi się nawet, że pragnie się do mnie zbliżyć, ale w ostatniej chwili coś go powstrzymuje.

- Hm... Bardzo ciekawe. No, kochaniutka, zgodzi się pani ze mną, że wszystko idzie ku dobremu. Przyjemny dodatek do pomyślnie przeprowadzonej operacji. No właśnie, a co do operacji. Czy Siergiej Nikołajewicz uporządkował swoje finanse?

- Chyba jeszcze nie. Przesiaduje w banku od rana do wieczora, sprawdza całą dokumentację, przekazuje sprawy, jednym słowem, ma tam urwanie głowy. Musi sprawdzić każdy papier, żeby później nikt mu nie zarzucił, że nierzetelnie prowadził interesy, to mogłoby przecież zaszkodzić jego politycznej karierze.

- Tak, tak, ma się rozumieć. Ale chciałbym wiedzieć nieco

dokładniej, kiedy otrzyma pieniądze i będzie mógł się ze mną rozliczyć. Bo mnie już terminy cisną.

- Przekażę mu pańskie słowa - obiecała Irina. - Kiepsko się orientuję w jego sprawach...

- Jak na dobrą żonę przystało - dobrodusznie przerwał jej Wiktor Fiodorowicz. - Kochana, to, że dzwonię, wcale nie znaczy, że go naciskam i ponaglam. Niech wszystko toczy się swoim torem, bez niepotrzebnego pośpiechu i zamieszania. Chciałbym tylko znać jakieś konkrety, żeby ustalić terminy. Dlatego niech pani poprosi małżonka, żeby do mnie zadzwonił dziś wieczorem.

Cały dzień Irina była podekscytowana, ale przyczyny swego nastroju nie potrafiłaby wyjaśnić. Nagle przypomniała sobie, jak w minioną niedzielę Siergiej pojechał o szóstej rano szukać dla niej ciastek w prezencie. Irina również zapragnęła mu zrobić niespodziankę, ale nie przychodziło jej do głowy, co mogłoby ucieszyć Bieriozina. Słabo знаła jego upodobania i nie wiedziała, jakie ma potrzeby. Czym mogłaby go miło zaskoczyć? Co sprawiłoby mu nieoczekiwaną przyjemność? Irina zaczęła sobie dokładnie przypominać, co wie o Siergieju, odtwarzać w myślach każde jego słowo, każdy gest i aluzję. Nie wpadła jednak na żaden pomysł. Wtedy zajrzała do sypialni, uważnie się wszystkiemu przyjrzała i przypomniała sobie, że Sierioża skarżył się na wiszącą u wezłowania lampę. Pasują do niej żarówki Mignon, które dają mało światła, więc ciężko mu się czyta. Drugiej zaś lampy nie chce kupować, bo ta bardzo mu się podoba. Długo ją wybierał i kupił właśnie to, czego pragnął. Przeoczył tylko sprawę żarówek. Postanowione, pomyślała Irina, objedzie całe miasto, ale znajdzie to co trzeba.

Świetłana Paraskiewicz lubiła słabo zaludnione miejsca. Przez dwadzieścia osiem lat wiele razy musiała się przeprowadzać, więc doskonale wiedziała, że nie lubi dawno zasiedlonych i zagospodarowanych dzielnic. Bardzo boleśnie przeżywała pierwszy, dość długi okres, kiedy czuła się jak nieproszony gość, obca, niepożądana osoba pośród ludzi, którzy mieszkają tu od dawna, znają

wszystkich wokół, sprzedawców w sklepach, trasy komunikacji miejskiej oraz godziny otwarcia warsztatu szewskiego. Ale najbardziej dręczyła Świetlanę myśl, że w mieszkaniu ktoś mieszkał przed nią, cierpiał albo był szczęśliwy, kochał albo nienawidził, zdradzał i pocieszał, i miała dosłownie obsesję, że duch poprzednich lokatorów, który wchłonął w siebie przeżyte emocje na tych metrach kwadratowych, unosi się teraz nad nią samą, wpływając na jej myśli i czyny.

Za to na nowe osiedla Świetłana zawsze przeprowadzała się chętnie. Tam wszyscy są tacy sami i doświadczą się przyjemnego uczucia, że życie zaczyna się właściwie od czystej kartki - w nowym mieszkaniu, gdzie nikt wcześniej nie mieszkał, z nowymi sąsiadami, z którymi można w końcu zbudować właściwe relacje i którzy nie wiedzą tego, co chciałoby się przed nimi ukryć.

Dlatego nowe mieszkanie, do którego przeprowadzili się z Leonidem nieco ponad miesiąc temu, bardzo jej się podobało i ze smutkiem myślała, że znowu będzie musiała zmienić miejsce zamieszkania. Zostać tu jednak nie mogła.

Dzisiaj znowu pojechała obejrzeć mieszkanie, do którego miała się niebawem przeprowadzić: należało wymierzyć kuchnię, żeby kupić odpowiednie meble. Osiedle również było nowe, tak samo odległe i słabo zagospodarowane, bez centrali telefonicznej i komisariatu milicji, nawet bez świateł ulicznych, ale Świetłanie odpowiadało. Przecież zamierzała zamieszkać tu z mężczyzną, którego kochała, i wcale nie potrzebuje, żeby codziennie dzwonił i przyjeżdżał do niej znajomi albo krewni. Jest wdową i perspektywa tego, że będzie wciąż na sobie czuła potępiające spojrzenia i wysłuchiwała moralizatorskich sentencji, w ogóle jej się nie uśmiechała.

Świetłana wyszła z bloku i niespiesznie ruszyła w stronę miejsca, gdzie zostawiła samochód. Światło w środku nie było włączone, ale Świetłana wiedziała, że on nie śpi i obserwuje ją, choć zwykle zasypiał błyskawicznie, wystarczyło, że zatrzymał auto i nieco się odprężył. Otworzyła przednie drzwi, ale nie wsiadła do środka.

- Przejdźmy się - zaproponowała. - Zaczerpnijmy powietrza, pospacerujemy. Przez ostatnie trzy tygodnie ani razu razem nie spacerowaliśmy.

Wsparta o ramię idącego obok mężczyzny, Świetłana Paraskiewicz nie pierwszy raz w ostatnim czasie pomyślała, jakie ma szczęście, że jest ktoś, kogo tak mocno, gorąco i bezgranicznie kocha. I wobec tej miłości zupełnie bledła niepokojąca myśl, czy on kocha ją. To było absolutnie nieważne, nie miało żadnego znaczenia. Liczyło się tylko to, że ów mężczyzna był dla niej najważniejszy na świecie.

- Nie daję mi spokoju to, co usłyszałam od śledczego - powiedziała, przytulając policzek do rękawa jego kozucha. - Mimo wszystko to okropne.

- Nie widzę w tym nic okropnego.

- Ale przecież Ludmiła nie żyje!

- I co z tego? Była obłąkana i odebrała sobie życie. To była jej własna decyzja. Powtarzam, że nie widzę w tym nic okropnego.

- Jak możesz tak mówić? - odparła Świetłana z wyrzutem. - Owszem, była obłąkana, ale żyła. Żyła, rozumiesz? I powinna była żyć aż do chwili, póki nie umarłaby śmiercią naturalną.

- Dla wariata naturalna śmierć to taka, którą zadaje sobie sam. Przestań się nad nią litować, nie jest tego warta.

- Co ty mówisz! - oburzyła się Świetłana. - Każdy człowiek zasługuje na to, by okazać mu litość. Tak nie można.

- Jest morderczynią. Czyżbyś o tym zapomniała? Zabiła ukochanego mężczyznę tylko dlatego, że nie chciała, żeby należał do innej kobiety, to znaczy do ciebie.

- Nie zabiła go z własnej inicjatywy, ale dlatego, że on ją o to poprosił. Nie udawaj, że o tym zapomniałeś.

- Wszystko jedno, Świeta. Nie popadaj w sentymentalizm. Przypomnij sobie, co ci zrobiła, przypomnij sobie, jak leżałaś w tym cholernym szpitalu i jak ci sześć razy dziennie robiono te piekielne zastrzyki, przez co twoje pośladki i biodra zamieniły się w jeden siniak,

tak że nie mogłaś ani siedzieć, ani leżeć. Zbyt prędko jej wszystko wybaczyłaś. Czyżbyś nie pamiętała, że do tej pory budzisz się z krzykiem, kiedy ci się śni, że rzuca się na ciebie kobieta z ogromnym nożem. Ludmiła dostała to, na co zasłużyła, i nie waz się jej żałować.

- Ale przecież ona była chora! - niemal z rozpaczą wykrzyknęła Świetłana. - Jak możesz oskarżać ją o to wszystko! Owszem, zrobiła to, rzuciła się na mnie z nożem, strzelała, ale przecież ona nie była sobą, nie panowała nad swoimi czynami, nie zdawała sobie z nich sprawy. Czy można mścić się na osobie chorej psychicznie? Czy można cieszyć się z samobójstwa?

- Można, Swietoczka. Można. A w tym wypadku trzeba.

Świetłana wyszarpnęła rękę spod ramienia mężczyzny i lekko się odsunęła.

- Masz papierosy? Zostawiłam swoje w samochodzie.

Mężczyzna w milczeniu wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zapalniczkę. Wiatr dmuchał jej prosto w twarz, więc Świetłana musiała się odwrócić, żeby zapalić. Kilka razy głęboko się zaciągnęła, po czym ruszyła wolno z powrotem w kierunku samochodu.

Było jej nieprzyjemnie, że okazał takie okrucieństwo. A jeszcze bardziej nieprzyjemnie było jej dlatego, że nawet nie podejrzewała, iż potrafi okazać się taki okrutny i bezduszny.

Podeszła do samochodu, usiadła na miejscu kierowcy.

- Odwiozę cię do domu - oznajmiła powściągliwie.

- Nie wstąpisz do mnie? Przecież chciałaś.

- Źle obliczyłam czas. Myślałam, że z mieszkaniem poradzimy sobie wcześniej. A teraz jest już późno, muszę wracać - wymijająco odparła Świetłana.

- W takim razie pojedę z tobą.

- Nie. Nie pojedziesz ze mną. Odwiozę cię do domu.

- Swietka, dłużej tak nie mogę. Umieram, kiedy nie ma cię przy mnie. Chcę być z tobą przez cały czas, dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Musimy poczekać. Jeszcze za wcześnie. Przejadę tędy i będziemy na miejscu.

Świetłana spróbowała uśmiechnąć się jak najcieplej i najczulej, licząc na to, że tym wymuszonym uśmiechem odegna nagłą niechęć do mężczyzny, którego kochała, a który przed chwilą okazał tak niewiarygodny cynizm.

- Galina Iwanowna dzwoniła wczoraj - powiedziała Świetłana, żeby tylko coś powiedzieć. - Chyba całkiem z nią źle. Na poważnie zamierza się ze mną sądzić.

- Ma nierówno pod sufitem - pogardliwie prychnął mężczyzna. - Przecież jej powiedziałaś, że to ty napisałaś książki. A ona co, nie uwierzyła?

- Oczywiście, że nie. Kto by uwierzył? Wiara w cokolwiek opiera się przede wszystkim na zbieżności tego, co chce się usłyszeć, z tym, co się słyszy. Gdyby na przykład mojej mamie powiedziano, że genialnym pisarzem nie jest wcale jej zięć, lecz córka, natychmiast by uwierzyła, bo każda matka, świadomie albo podświadomie, zawsze chce, żeby jej dziecko było wybitne, utalentowane, znane. Dlatego gdy się powie matce, że jej dziecko jest szalenie zdolne, chętnie w to uwierzy. Jeśli zaś powiedzieć matce znanego pisarza, że jej syn jest miernotą i nie potrafi skleić dwóch zdań, a wszystkie jego genialne książki napisała nienawidzona synowa, to trzeba być wielkim optymistą, żeby się spodziewać, że od razu uwierzy.

- I co ta kretyńka zamierza zrobić?

- Wnieście pozew o podział spadku, a ja jej w odpowiedzi pozew o ustalenie autorstwa utworów podpisanych nazwiskiem Leonida Paraskiewicza. Ona będzie udowadniać swoje prawo do spadku po synu, a ja, że sporne sumy pieniężne nie wchodzą w masę spadkową i że należą wyłącznie do mnie jako do autora.

- Tępa baba. Kto by mógł przypuszczać, że tak mocno cię nienawidzi!

- Przestań.- Świetłana skrzywiła się. - Tak, Galina Iwanowna nie

zachowuje się zbyt mądrze i nie jest wzorem cnót, ale to starsza kobieta i trzeba być wobec niej wyrozumiałym, przynajmniej z racji jej wieku. A zresztą, przypomnę ci, bo chyba zapomniałeś, mój drogi, że trzy tygodnie temu pochowała jedyne go syna. Kiedy człowiek umiera po ciężkiej chorobie, jego bliscy mają przynajmniej trochę czasu, żeby się przygotować moralnie do straty. Lecz kiedy młody człowiek ginie z ręki zabójcy, po takim szoku trudno dojść do siebie i musi to potrwać, za rok albo dwa jej samej będzie wstyd, że tak się teraz zachowuje.

- Wstyd? - Mężczyzna roześmiał się. - Swietka, uwielbiam cię za tę twoją nieustającą wiarę w dobro. Gdyby ci pokazać szaleńca, który ma na rękach krew setek niemowląt, też o nim powiesz, że pewnie w dzieciństwie poskapiono mu miłości i troski, że matka bardziej kochała jego młodszego braciszka niż jego i stąd wzięła się jego nienawiść do małych chłopców. Twoja ukochana teściowa nigdy nie będzie się wstydzić tego, co robi dzisiaj, niepotrzebnie na to liczysz. Ale pewnie mocno by się zdziwiła, gdyby się dowiedziała, że próbujesz ją jakoś usprawiedliwić. Jest przecież przekonana, że nie potrzebuje żadnych usprawiedliwień.

Swietłana przez chwilę się nie odzywała, po czym rzekła cicho:

- Skąd w tobie tyle złości? Wcześniej nie byłeś taki bezlitosny.

- Zmieniłem się? - zapytał wyniosłe, a Swietłana z bólem odnotowała, że właśnie tego wyniosłego, zimnego tonu nigdy wcześniej u niego nie zauważała.

- Owszem. Zmieniłeś się. Bardzo się zmieniłeś. Nawet nie podejrzewałam, że możesz być taki.

- Czyli jaki?

- Zimny. Bezlitosny. Cyniczny.

- Bzdury, Swietik. Wydaje ci się. Jesteś po prostu nadmiernie sentymentalna i litościwa, a ja należycie przezorny i obiektywny. Moja rozważa wydaje ci się okrucieństwem i obojętnością, bo ty sama jesteś zbyt emocjonalna. Jeszcze raz powtarzam, że obłąkana Ludmiła zasłużyła na swoją śmierć, ponieważ ośmieliła się podnieść rękę na

ciebie, na kobietę, którą kocham nad życie.

Świetłana nie odpowiedziała i pozostała drogę pokonali w milczeniu. Kiedy wysadziła mężczyznę koło jego domu, nie zaczekała jak zwykle, aż wejdzie do środka, ale od razu ruszyła i prędko dodała gazu. Było jej ciężko na duszy i dręczył ją niepokój. Po raz pierwszy od wielu miesięcy nagle zwątpiła, czy postępuje słusznie. W tym momencie przypomniała sobie słowa Wiktora Fiodorowicza: chirurg, który zrobił operację, nie ma już prawa powątpiewać, czy należało ją zrobić, musi bowiem myśleć o tym, jak doglądać chorego. No cóż, operację przeprowadzono, wyciętego i wyrzuconego organu z powrotem się nie wszczepi, a teraz trzeba zacząć długi i skomplikowany etap rekonwalescencji. Tenże Wiktor Fiodorowicz mówił, że operacja to żadna sztuka, ale postawić chorego na nogi po zabiegu to już zadanie bardziej skomplikowane, wymaga cierpliwości, uwagi i kompetencji. Świetłana nie powiązała wówczas jego słów z tamtą sytuacją, w której sama się znalazła, ponieważ jej własna operacja wymagała tak długiego i starannego przygotowania, że nikt nie mógłby o niej powiedzieć, że to „żadna sztuka”. Okazało się jednak, że okres pooperacyjny jest jeszcze bardziej skomplikowany i trudny i że wymaga nawet więcej sił psychicznych niż sama operacja. Świetłana była silną kobietą i wiedziała, że zniesie wszelkie trudności tego niełatwego okresu, ale teraz po raz pierwszy zwątpiła, czy gra jest warta świeczki.

Pracując dla Natalii Dosiukowej, Stasow postanowił jednak ponownie spotkać się ze wszystkimi świadkami, których zeznania pozwoliły oskarżyć Jewgienija Dosiukowa o zabójstwo Borisa Krasawczikowa. Łącznie zebrało się jedenaście osób. Stasow nie wykluczał, że w rzeczywistości mogło być ich nawet więcej, po prostu tylko jedenaście osób wezwano do sądu. Na razie w rękach miał jedynie kopię wyroku, niewykluczone, że potem będzie musiał przestudiować akta karne.

A zatem: przyjaciółka Krasawczikowa, która wychodziła razem z nim z restauracji Łada, portier ochroniarz, dwaj klienci restauracji, którzy

wypadli na ulicę, słysząc rozpaczliwy kobiecy krzyk - to razem czworo. Trzej funkcjonariusze milicji oraz dwaj lekarze pogotowia - łącznie pięcioro. I jeszcze dwaj - Igor Tichonienko, właściciel cierpiącego na biegunkę doga o imieniu Lord, i niejaki Prigarin, który rzucił się do wypełniania swojego obywatelskiego obowiązku, widząc aresztowanego zabójcę w telewizji. Razem jedenaście osób.

Najłatwiej było dopaść milicjantów, ponieważ musieli pracować w tym samym miejscu, skoro przyjechali razem na wezwanie. Przypuszczenia Stasowa się potwierdziły, ale tylko częściowo. Wszyscy trzech milicjanci, którzy zjawili się na wezwanie do restauracji Łada i zostali przesłuchani na rozprawie sądowej jako świadkowie, rzeczywiście rok temu pracowali w UWD Okręgu Centralnego Moskwy, ale dziś w okręgu został tylko jeden. Drugi przeniósł się do Okręgu Południowo-Zachodniego, ponieważ tam obiecano mu pomoc z mieszkaniem. Może to i prawda, pomyślał Stasow, w części południowej budownictwo rozwija się, a w Okręgu Centralnym guzik się dostanie, jeden metr kwadratowy mieszkania kosztuje tam dziesięć razy więcej niż na obrzeżach. Trzeci milicjant w ogóle się zwolnił z organów ścigania i odnosił sukcesy jako radca prawny w jakiejś firmie.

Na to, żeby znaleźć wszystkich trzech, Stasow potrzebował dwóch dni, a ściśle biorąc, dwóch wieczorów, ponieważ w ciągu dnia musiał zarabiać na życie w Syriuszu. Wszyscy zgodnie stwierdzili, że w chwili ich przyjazdu na miejscu zdarzenia znajdowali się leżący na chodniku Krasawczikow, koło niego kobieta i trzech mężczyzn, z których jeden był portierem w restauracji Łada, a dwaj pozostali jej klientami. Ranny był w ciężkim stanie, ale przytomny. Na pytanie: „Czy wie pan, kto do pana strzelał?”, odpowiedział cicho i z wysiłkiem, ale zupełnie wyraźnie: „Dosiukow... Żenią... Jewgienij... Dosiukow”.

Kobieta i mężczyźni natychmiast poświadczyli, że to samo zdążył już powiedzieć im przed przyjazdem milicji.

Po milicjantach Stasow wziął się za lekarzy, ponieważ oni też musieli pracować w jednym ambulatorium. Tak właśnie się okazało. Może

płynność kadr pracowników medycznych była mniejsza niż w milicji, a może Stasowowi po prostu się poszczęściło, ale obaj - lekarz i felczer - nadal pracowali razem. Jednak żadnych oznak tego, że ktoś im zapłacił za fałszywe zeznania, Stasow się nie dopatrzył. Wściekli na cały świat, bez grosza przy duszy, lecz zarazem beztroscy i lubiący sobie łyknąć jedną albo dwie szklaneczki czegoś mocniejszego, bez wahania potwierdzili to, co znalazło się w wyroku. Tak, przyjechali do restauracji Łada, zabrali stamtąd mężczyznę z raną postrzałową, który umarł w drodze do Instytutu Sklifosowskiego, ale do samego końca był przytomny i odpowiadał na pytania milicjanta, który pojechał razem z nimi.

- Pamiętacie, jakie pytania zadawał funkcjonariusz?

- Właściwie ciągle te same. Kto do pana strzelał? Dlaczego do pana strzelał?

- A co Krasawczikow odpowiadał?

- Podawał nazwisko. I ciągle się dziwił. Za co, mówił, on mnie?

- A może potraficie dosłownie przytoczyć jego słowa? - poprosił Stasow.

- Owszem - dobrodusznie zgodziła się lekarka, gruba niemłoda kobieta z obwisłymi policzkami i zadziwiająco silnymi dłońmi. - Więc mówił mniej więcej tak: „Żeńka, Dosiukow, Żeńka. Boże, za co? Za co? Żeńka, za co?”. Tak właśnie mamrotał przez całą drogę, dopóki nie umarł. Nie dowieźliśmy go.

- Więc może bredził? - wysunął przypuszczenie Stasow. - Nie odniosła pani takiego wrażenia?

- Nie. - Do rozmowy włączyła się szczuplutka felczerka z wyraźnymi oznakami wczesnego przekwitania na twarzy - Milicjant zadawał mu też inne pytania, pytał o adres, jak on, to znaczy poszkodowany, się nazywa, jaki jest dzień tygodnia, miesiąca, z kim był w restauracji. A on na wszystkie pytania odpowiadał poprawnie. Widocznie milicjant też znał się na rzeczy i sprawdzał, czy ranny nie majaczy.

W tej sytuacji próba znalezienia czegoś niezwykłego podczas

rozmowy z portierem, dwoma przygodnymi klientami restauracji i znajomą Krasawczikowa mijają się z celem. Pomimo to Stasow z racji swojej wrodzonej rzetelności odszukał ich, na co stracił trzy kolejne wieczory. I nic nowego nie usłyszał.

Pozostawały dwie osoby: sąsiad z niższego piętra Igor Tichonienko i przypadkowy przechodzień Prigarin. Później Stasow będzie musiał wkraść się w łaski Nasti albo nawet i samego generała Zatocznego, żeby zdobyć w archiwum sądu akta sprawy karnej Jewgienija Dosiukowa. Sprawdzić, kogo jeszcze przesłuchiowano, jakie fakty i opinie z tego czy innego powodu nie weszły do wniosku oskarżającego. Szczególną uwagę należy zwrócić na wnioski ekspertów, zobaczyć, jakie pytania postawili im śledczy i co właściwie stwierdzono podczas ekspertyzy. Ale to wszystko później, kiedy Stasow wystara się o akta z archiwum, na razie musi porozmawiać z Igorem Tichonienką. W końcu przytłaczająca większość świadków jedynie przekazywała informacje: usłyszeli słowa Krasawczikowa i powtórzyli milicji. Natomiast sam Krasawczikow i Igor Tichonienko niczyich słów nie powtarzali, na własne oczy widzieli znajomego mężczyznę. Niestety Borisa Krasawczikowa już się o nic nie zapyta.

Tichonienko okazał się strasznie podejrzliwym facetem, który nikogo nie wpuszczał do mieszkania bez długich wstępnych negocjacji. Nie mógł pojąć, w jakim celu Stasow złożył mu wizytę, bo rozprawa dawno już się odbyła, Dosiukow odsiadywał wyrok, więc wszelkie dodatkowe rozmowy na ten temat uważał za zwykłą stratę czasu. W końcu Władisław stracił cierpliwość, wszedł piętro wyżej i poprosił Natalię, żeby towarzyszyła mu do mieszkania Tichonienki.

%

- Igor - odezwała się głośno - to ja, Natasza spod dwieście siedemnastki.

Dopiero wtedy nieufny Tichonienko raczył otworzyć drzwi, ale ogromny dog mysiego koloru stał obok swego pana i wielce nieprzyjaźnie spoglądał na Stasowa. Natalię widocznie znał.

- Igor, odpowiedz, proszę, na pytania Władysława Nikołajewicza - poprosiła sąsiada Natalia.

- Jakie znowu pytania? - burknął niezadowolony Tichonienko, który okazał się niewysokim i dość wątlm facetem w wieku trzydziestu dwóch, trzydziestu trzech lat. - Po co znów to samo wałkować?

- Wynajęłam prywatnego detektywa - zaczęła wyjaśniać Natalia - i chcę udowodnić, że Żenią nie popełnił żadnego morderstwa. Jestem pewna, że zaszło nieporozumienie, jakaś tragiczna pomyłka, a w rezultacie niewinny człowiek znalazł się za kratkami. Igorze, proszę, porozmawiaj z Władysławem Nikołajewiczem. Tobie ta rozmowa też się przyda.

- Niby czemu? - Tichonienko uniósł krzaczaste brwi. -A mnie to na jaką cholere potrzebne?

- Bo kiedy Żenią wyjdzie na wolność, bardzo się zdziwi, gdy się dowie, że nie chciałeś rozmawiać z osobą, która robi wszystko, żeby go zrehabilitować i udowodnić jego niewinność.

Wypowiedź była zupełnie przejrzysta i bezwstydna, jak droga damska bielizna. Że niby Żenią załatwi cię na cacy, gdy się dowie, że wynajętego na jego polecenie prywatnego detektywa posłałeś w diabły. A jeśli pogadasz z facetem z własnej woli, to pamiętaj, że Jewgienij odwdzięczy ci się za pomoc okazaną mu w ciężkich chwilach. Kto wie, może Żenią naprawdę nie jest winien, więc go uniewinnia i wyjdzie na wolność już niebawem, a wtedy dowie się, że ty, Tichonienko, tego, kto miał za zadanie walczyć o jego uwolnienie, powitałeś z psem u boku i nie wpuściłeś za próg.

W efekcie Stasow stracił sporo czasu na strachliwego Tichonienkę, lecz pożytku z rozmowy było niewiele. Stasow nie miał żadnych wątpliwości, że Igor, wyprowadzając w środku nocy psa za pilną potrzebą, rzeczywiście widział swojego sąsiada Jewgienija Dosiukowa. Pomylić się nie mógł z wielu powodów. Po pierwsze, na przesłuchaniach właściwie opisał ubranie, w którym widział tamtej nocy Dosiukowa. Po drugie, Dosiukow z nim rozmawiał, zwrócił się doń po imieniu i

wiedział, jak się wabi pies. A po trzecie, najważniejsze, Igor Tichonienko i Jewgienij Dosiukow mieszkali w tym samym domu już piętnaście lat i od piętnastu lat się znali. Tichonienko doskonale znał również rodziców Jewgienija. Szmalowny synek kupił im nowe mieszkanie, mniejsze niż to, w którym sam został, ale też bardzo przyzwoite. Dlatego właśnie Tichonienko nie mógł się pomylić, a zatem wszystkie pytania o ubranie i rozmowę były w ogóle zbędne.

Takie rozumowanie było słuszne w wypadku, gdyby nie wątpić w rzetelność Tichonienki i sprawdzać jedynie wiarygodność jego słów, to znaczy możliwość pomyłki i błędu. Jak się jednak wyjaśniło, pomyłka czy błąd nie mogły się zdarzyć. Co innego kłamstwo. Tichonienko nie widział o drugiej w nocy wychodzącego z domu Jewgienija Dosiukowa i nie rozmawiał z nim. Przecież nikt rozmowy nie potwierdza, nie ma żadnych świadków. Dosiukow w ogóle wszystkiemu zaprzecza, łącznie z tym, że wychodził tamtej nocy z domu. Czyli że tak naprawdę nie ma nic, co by potwierdziło czy zweryfikowało zeznania Igora. Jedyny punkt zaczepienia to ubranie. Dosiukow lubił modne, eleganckie ubrania i kupował je w ilościach przewyższających normalne potrzeby. Kiedy człowiek ma jeden płaszcz, to można w ciągu całego sezonu śmiało opisywać jego wygląd, bez obawy, że popełni się błąd. Natomiast kiedy ktoś ma tyle kurtek, płaszczy i kozuchów, ile wisi w szafie Jewgienija Dosiukowa, to przypadkowe trafienie staje się raczej wątpliwe. Tichonienko opisał właśnie tamtą kurtkę - krótką, z jasnobrązowej skóry, wykończoną białym futerkiem, z szerokimi ramionami i dopasowaną talią - którą opisali również inni świadkowie, tę samą, na której eksperci wykryli cząsteczki prochu. Godzinę wyjścia Dosiukowa z domu Tichonienko również podał właściwą.

- Pies zaczął skomleć i ściągać ze mnie kołdrę, więc wiedziałem, że znowu go przypiliło, włączyłem światło, no nie, za piętnaście druga. Nie miałem wyjścia, przecież nie będę męczył zwierzaka, wstałem na wpół senny, wciągnąłem spodnie, adidas, kurtkę i powlokłem się z nim na dół. Trzy minuty później, może pięć, zjawia się Żenią. Musiała być za

pięć druga, a najdalej druga.

Droga samochodem od domu Dosiukowa do restauracji Łada nocnymi, pustymi ulicami mogła zająć nie więcej niż dwadzieścia minut, uwzględniając gołoledź, która, jeśli wziąć pod uwagę, że był grudzień, w zupełności mogła się zdarzyć. Telefon pod „zero dwa” i wezwanie do restauracji Łada zarejestrowano o drugiej pięćdziesiąt dwie w nocy. Życie dowodzi, że od chwili strzału do momentu wezwania milicji mija od pięciu do piętnastu minut - w zależności od liczby znajdujących się w pobliżu osób. Jest pewna optymalna liczba obecnych, przy której dzwoni się praktycznie od razu. Jeśli jest mało osób - nie więcej niż trzy - to natychmiast rzucają się razem do ranego i próbują się dowiedzieć, co się stało i czy można mu pomóc, i dopiero po dość długim czasie którejś z nich przychodzi do głowy genialna myśl, żeby zadzwonić na milicję. Do takiej sytuacji dochodzi zwłaszcza wtedy, gdy wśród nielicznych obecnych obywateli są bliscy poszkodowanego, którzy na widok tragedii sami zaczynają mdleć albo krzyczeć wniebogłosey i w rezultacie cała uwaga skupia się na nich. Jeśli natomiast ludzi jest zbyt dużo, większość uważa, że już na pewno wezwano milicję, a jeśli ktoś próbuje ustalić, czy to zrobiono, to nic sensownego nie usłyszy, więc zamiast machnąć ręką i samemu zadzwonić, zaczyna pytać wszystkich, czy wezwano stróżów porządku.

W momencie zabójstwa Borisa Krasawczikowa zgromadziło się niewiele osób, ale za to był wśród nich średnio wyszkolony ochroniarz, który miał całkiem przyzwoicie wyrobiony nawyk wzywania milicji, toteż można sądzić, że feralny wystrzał rozległ się pomiędzy drugą czterdzieści pięć a drugą pięćdziesiąt. Jeśli założyć, że Dosiukow o drugiej ruszył sprzed domu i mniej więcej o drugiej dwadzieścia zaparkował koło restauracji, to można przyjąć, że musiał czekać całe pół godziny, zanim zjawił się Krasawczikow. To normalne, tym bardziej że Dosiukow dobrze znał poszkodowanego i jego przyzwyczajenia, a zwłaszcza kiedy mniej więcej opuszcza nocne lokale. Prawdopodobnie Krasawczikow miał w zwyczaju wychodzić z restauracji pomiędzy wpół

do trzeciej a trzecią i właśnie tym, nawiasem mówiąc, można wyjaśnić fakt, że pałający gniewem i miotany zazdrością Jewgienij nie od razu pobiegł się rozprawić ze swym nieprzyjacielem, lecz cierpliwie czekał do drugiej w nocy. Jeśli więc założyć, że Igor Tichonienko z jakichś niejasnych jak dotąd przyczyn mówi nieprawdę i tamtej nocy nie widział na ulicy Jewgienija Dosiukowa, to jak mógł tak dokładnie utrafić w godzinę? Gdyby podał godzinę trochę późniejszą, na przykład drugą trzydzieści zamiast drugiej, zrodziłaby się wątpliwość, jak zabójcy Dosiukowowi udało się tak dokładnie dopasować godzinę swego przyjazdu do restauracji z chwilą, kiedy wychodził stamtąd Krasawczikow. A gdyby Tichonienko powiedział, że było to o drugiej czterdzieści pięć, całe oskarżenie rozsypałoby się jak domek z kart. Bo przez trzy minuty Dosiukow nie mógłby dojechać do Łady. Pod żadnym pozorem.

Tymczasem nie, Igor Tichonienko uparcie podawał jedną i tę samą godzinę - od za pięć druga do drugiej - i żadne wybiegi doświadczonego Stasowa nie zmusiły go do zmiany zeznań. Tichonienko nie kłamał.

ROZDZIAŁ 12

W ciągu dnia w restauracji było tłoczno, ale nie hałaśliwie. W godzinach obiadowych ściągało tu coraz więcej biznesmenów i rozmowy przy stolikach miały charakter przeważnie służbowy.

Do rozmowy ze Swietłaną Nugzar Bokuczawa wybrał stolik na uboczu, gdzie było cicho, przytulnie i intymnie. Jeśli wszystko pójdzie tak, jak zaplanował, pora przypuścić atak na młodą wdowę i zrobić pierwszy krok w kierunku zagarnięcia jej w swoje ręce razem z niewydanymi rękopisami utalentowanego męża i prawami autorskimi do wszystkich romansów. Nugzar był pewien, że wszystko słusznie przewidział, ale dręczył go pewien szczegół: spotkanie zaproponowała Świetłana, a to oznacza, że coś się stało. Och, żeby tylko wszystko wypaliło!

Swietłaną zauważył od razu, jak tylko weszła do sali. Malutka, szczuplutka, nieładna, ale niewiarygodnie elegancka, przyciągała spojrzenia mężczyzn i dosłownie emitowała fale zmysłowej zagadkowości. Nugzar musiał przyznać, że Świetłana Paraskiewicz zalicza się akurat do tego typu kobiet, które mogą sobie być brzydkie do woli, bo na ich wygląd zewnętrzny i tak się nie zwraca uwagi. Na takie kobiety mężczyźni w ogóle nie patrzą i nie analizują ich, ale wyczuwają je i chłoną, odbierają zmysłami, zachwycają się nimi, chorują na ich punkcie, w dodatku nierzadko długo i nieuleczalnie.

Świetłana kiwnęła głową Nugzarowi, ale ręki mu nie podała, mimo że mężczyzna już miał przypaść ustami do jej paluszków w geście nacechowanego szacunkiem zachwyty.

- Dzień dobry.

Świetłana usiadła, nie czekając, aż wielki, nieco otyły Bokuczawa

podniesie się z za stolika i przysunie jej krzesło. Menu już leżało na stole i Swietłana od razu wbiła oczy w listę dań, prędko przewracając strony. Wyboru dokonała bez zastanowienia, ale Bokuczawa zauważyła, że wybrała najdroższe dania. Ciekawe, co to miało znaczyć? Prowokuje go, żeby później wyśmiać? A może chce go sprawdzić? Lub po prostu zgrywa arystokratkę, która jest przyzwyczajona, że otrzymuje wszystko co najlepsze, a tym samym najdroższe?

- Nugzar, zamawiałeś u kogoś artykuł o Leonidzie? - zapytała, kiedy kelner oddalił się z przyjętym zamówieniem.

- Owszem. - Kiwnął głową w odpowiedzi. - Chyba rozumiesz, że aby dobrze sprzedać pośmiertne utwory, trzeba najpierw przeprowadzić kampanię reklamową. Wszystkie czytelniczki wiedzą, że Leonida już nie ma, w związku z czym nie będą pytać o jego książki ani szukać ich w kioskach czy sklepach. A jeśli zauważą, że do sprzedaży trafiła nowa powieść, pomyślą, że to coś starego, wydanego wcześniej pod innym tytułem. Dlatego muszę je przygotować do tego, że nowe książki to naprawdę nowe powieści, których wcześniej nie czytały. Temu ma służyć artykuł. Może nawet niejeden. Był u ciebie dziennikarz?

- Nie, u mnie go nie było, od razu udał się do teściowej, do matki Loni, i na tym polegał jego błąd. Wszystko zepsuł.

- Co zepsuł? - Bokuczawa zachmurzył się. - Doszło do jakiejś awantury? Nic mi nie wspominał.

- Nie, do awantury doszło nie tam, ale między mną a teściową. Twój przemądrzały dziennikarz wygadał jej, że Lonia zostawił po sobie niewydane rękopisy, które ja sprzedaję wydawcom za bardzo duże pieniądze. Domyślasz się, co było dalej?

- Nie - przyznał Nugzar. - A co?

- Teściowa przybiegła do mnie z pianą na ustach i zaczęła dowodzić swoich praw do części honorariów. Powstrzymywałam się, jak długo mogłam, chciałam zakończyć sprawę polubownie, ona jednak nie ustępowała, więc musiałam powiedzieć jej prawdę. Nie było innego wyjścia. Zaraz zrozumiesz, co mam na myśli. Widzisz, Nugzarze,

wszystkie powieści, które wydaliście pod nazwiskiem Leonida, tak naprawdę napisałam ja. Jesteś doświadczonym wydawcą, więc nie muszę ci wyjaśniać, dlaczego zdecydowaliśmy się na taki krok. Myślę, że i tak wiesz.

Bokuczawa zamarł, nie będąc w stanie się poruszyć, i tępo spoglądał na siedzącą naprzeciwko kobietę. Boże kochany, co ona mówi? Powieści napisała ona, a nie Lońka? W sumie nie tak trudno w to uwierzyć, wszyscy się przecież dziwili, że młody mężczyzna okazał się takim subtelnym znawcą kobiecej psychiki. Jeśli Swietłana nie kłamie, to radykalnie zmienia postać rzeczy. Wówczas ta kobieta jest żyłą złota, kurą znoszącą złote jajka. Przy właściwym podejściu można z tego źródła czerpać wodę, to znaczy pieniądze, jeszcze przez wiele lat. A niech to licho porwie!

- Uznałam za konieczne natychmiast się z tobą spotkać - ciągnęła Swietłana, jakby nie zauważając, w jakie osłupienie wpadł jej rozmówca - bo moja teściowa nie zostawi pewnie tej tajemnicy tylko dla siebie. Zamierza pójść z tym do sądu i udowodnić, że kłamię. Przez to w sprawę będą wtajemniczeni adwokat, sędzia, protokolant na rozprawie sądowej i Bóg wie kto jeszcze. A ponieważ zapłaciłeś mi za rękopis tyle, ile poprosiłam, masz prawo oczekiwać, że nie zadam ci ciosu w plecy. Lepiej będzie, jeśli o prawdziwym autorstwie książek dowiesz się bezpośrednio ode mnie, a nie z kroniki towarzyskiej, w dodatku w zniekształconej formie.

Bokuczawa ostrożnie odetchnął, wyciągnął rękę i przykrył swoją dłonią szczupłe palce kobiety, nerwowo obracającej połączone zapalniczkę.

- Zawsze wiedziałem, Swietłano, że za fasadą twojej zimnej powściągliwości kryje się coś fantastycznego - zaczął serdecznie. - Czuję, że jest w tobie jakaś nieprawdopodobna głębia, ale nigdy nie potrafiłem do końca ustalić, co mnie tak w tobie pociąga. Teraz wszystko stało się jasne, wszystko się poukładało. Nawet mnie to specjalnie nie dziwi, przez cały czas spodziewałem się czegoś podobnego.

- To znaczy, że się nie gniewasz? - Świetłana uśmiechnęła się. - Ta sytuacja nie burzy twoich planów finansowych?

- Oczywiście, że burzy. - Bokuczawa roześmiał się. - Ale na miejscu zburzonych planów można zbudować nowe. Teraz zadaniem numer jeden jest opracowanie zręcznej i oryginalnej kampanii reklamowej, która sprawi, że wielbiciele Leonida się nie zawiodą, nie poczują się oszukane i gładko przestawią się na nowego autora. Zastanowię się, jak to zrobić. Możesz nie zaprzętać sobie tym głowy, jeśli oczywiście sama nie masz żadnych pomysłów. Jeśli natomiast je masz, to bardzo chętnie posłucham.

- Nie. - Świetłana pokręciła głową. - Nie mam żadnego pomysłu, nie znam się w ogóle na reklamie i na marketingu. Ale chcę, Nugzarze, żebyś wiedział jedno: za to, co się stało, winę ponosisz ty. Wysłałeś dziennikarza do matki Loni bez konsultacji ze mną, powiedziałeś mu, jakich honorariów żądam za nowe książki, i oto rezultat. Gdyby Galina Iwanowna nie dowiedziała się, że za dwa rękopisy zapłacono mi sześćdziesiąt tysięcy dolarów, nie wszczęłaby alarmu i moja tajemnica jeszcze przez jakiś czas pozostałaby tajemnicą. Oczywiście wkrótce podzieliłabym się nią z tobą, ponieważ archiwum Loni nie jest studnią bez dna, prędzej czy później by się wyczerpało. Miałbyś jednak czas, żeby przebudować strategię marketingową, i pojawienie się nowego nazwiska dokonałoby się bezboleśnie. Przypomnij sobie, co było z Nieznanskim i Topolem. Najpierw ukazały się u nas książki napisane przez samego Nieznanskiego, dopiero potem wydano te, które napisali wspólnie. Kiedy autorzy się pokłócili i znowu zaczęli pisać oddzielnie, znakomite utwory, które stworzyli razem, zrobiły swoje, zbudowały pisarzom renomę i czytelnicy nadal je z przyjemnością kupują, mimo że osobno piszą o wiele gorzej. W moim przypadku też mógłbyś wymyślić coś podobnego, zamówić kilka artykułów w popularnych pismach. Można by napisać, że swoje powieści Leonid pisał razem ze mną, wymyślić poruszającą historyjkę tłumaczącą, dlaczego ukrywałam swoje autorstwo i swoją twarz, jakąś ckliwą opowieść, żeby czytelniczki

wzruszyły się do łez. Potem chętnie kupowałyby książki podpisane moim nazwiskiem. Mało tego, gdyby się przekonały, że nowe książki niczym nie różnią się od poprzednich, że nie stały się gorsze przez to, że zabrakło jednego z autorów, stopniowo ogarnęłaby je satysfakcja, że kobieta okazała się jednak bardziej utalentowana od mężczyzny. Ale, powtarzam, wszystko to byłoby możliwe, gdybyś postąpił mądrze. A ty, Nugzarze, postąpiłeś głupio. I wpadłeś we własne sidła. Jeśli Galina Iwanowna rzeczywiście poda mnie do sądu, będę musiała tracić czas, nerwy, siły, a także, nawiasem mówiąc, pieniądze na adwokata. I wszystko to zawdzięczam tobie. Kłamiesz, Nugzarze, mówiąc, że widziałeś i czułeś we mnie pewną intelektualną głębię. Niczego nie widziałeś i nie czułeś. Miałeś mnie za bezrozumną babę, którą z godną pozazdroszczenia łatwością można sobie okręcić wokół palca kilkoma wesołymi pochlebstwami. W przeciwnym razie nigdy byś nie zamówił i nie przygotował artykułu reklamowego o Leonidzie za moimi plecami. W pierwszej kolejności powinienś był porozmawiać ze mną i razem byśmy zdecydowali, co powinno znaleźć się w tym artykule, żeby nie zamknąć sobie drogi odwrotu i w przyszłości wprowadzić moje autorstwo. I pewnie tak właśnie byś zrobił, gdybyś się liczył z moim zdaniem i wierzył, że mam chociaż trochę rozumu. A ty, jak znaczna część mężczyzn, uważasz kobietę za istotę niższego rzędu, mimo że wychowałeś się w cywilizowanej Moskwie.

Świetłana mówiła bez pośpiechu, bardzo spokojnie, w jej głosie Nugzar nie słyszał ani zdenerwowania, ani oburzenia, ani gniewu. Wydawca pojął, że starannie przygotowała się do rozmowy i wygłasza teraz zdania, które już wypowiadała w myślach, całkiem możliwe, że nie jeden raz.

- Wybacz, Swietłano - prędko włączył się Bokuczawa, wykorzystując moment, kiedy kobieta zapalała papierosa. - Przyznaję, że postąpiłem nierozważnie. Ale nawet mi do głowy nie przyszło, że zrobię ci tym krzywdę, że będziesz miała przez to tyle kłopotów i nieprzyjemności. Gotów jestem naprawić swoją winę, powiedz tylko, co mam zrobić.

Chcesz, to wezmę na siebie wszystkie koszty sądowe, jeśli twoja teściowa wytoczy ci sprawę?

- Dobrze.

Świetłana wypuściła dym i wbiła nieruchomy wzrok w ciemne, podobne do oliwek oczy Nugzara.

- Co jeszcze mogę zrobić, żeby zatuszować swoją gafę?

- Musisz mi obiecać, że na temat Paraskiewicza i jego żony nie pojawi się w druku ani jedno niezgodnione ze mną zdanie. Że u żadnego dziennikarza nie zamówisz reklamowej publikacji, nie informując mnie o tym. Mało tego, ponieważ twoje słowo mi nie wystarczy, chcę, żebyśmy zawarli pisemną umowę. I jeśli ty, Nugzarze Bokuczawa, ośmielisz się ją złamać, podam cię do sądu.

- Za co? Mamy wolność słowa - spróbował żartem odpowiedzieć wydawca, któremu zrobiło się jednak nieswojo. Zrozumiał, że zupełnie nie zna tej nieobliczalnej kobiety, nie potrafi jej wyczuć, a to oznacza, że nie jest w stanie przewidzieć, co zrobi. Tak, niełatwo będzie sobie z nią poradzić. - Każdy dziennikarz ma prawo pisać na każdy temat i nie wolno go zmuszać, żeby coś zrobił akurat w twoim interesie.

- Ależ ja nie zamierzam robić zamachu na wolność dziennikarzy - Świetłana lekko się uśmiechnęła. - Pozwę nie ich, ale ciebie, Nugzarze. Za niedotrzymanie warunków umowy. Ich może też oskarżę, na przykład o naruszenie dobrego imienia albo o oszczerstwo czy o obrazę. A w prywatnej rozmowie wytłumaczę im, że powinieneś był ich poinstruować, więc winą za swoje nieprzyjemności obarczą wyłącznie ciebie. Zapamiętaj, kochany, że w życiu moim i Leonida jest mnóstwo rzeczy, o których nie należy pisać na podstawie relacji przygodnych osób bez ryzyka wpakowania się w kłopoty. Pisać o nas można tylko na podstawie moich słów. Zrozumiałeś, Nugzarze? Tylko moich. Dzięki temu ty i twoi przyjaciele dziennikarze unikniecie problemów. Jeśli natomiast oni spróbują wylać na nas kubeł pomyj, a ty ich nie powstrzymasz, no cóż, pretensje będziesz mógł mieć tylko do siebie.

- Ale przecież może się tak zdarzyć, że jakiś dziennikarz, o którego

istnieniu nie mam pojęcia, sam zechce napisać o Paraskiewiczu. On naskrobie, co mu tylko przyjdzie do głowy, a ja będę za to odpowiadał?! - Bokuczawa oburzył się.

- Daj spokój! - Nagle Świetłana roześmiała się. - Jakbym nie wiedziała, jak się to wszystko odbywa. Który niezależny dziennikarz zainteresuje się autorem powieści dla kobiet? To nie deputowany do Dumy, minister, prezydent czy poważny bankier, z tego można zrobić materiał, po którym wszyscy zaczną o tobie mówić. Jeśli się uda, staniesz się sławny jak Poegli. Ale Paraskiewicz? Co to, to nie. O pisarzach pisze się tylko dlatego, że wydawcy za to płacą, inwestując pieniądze w reklamę. Dlatego bez twojej wiedzy artykuły się nie pojawią, tak więc nie rób teraz miny niewiniątka.

- Zaczekaj, Swietłano. - Bokuczawa się nie poddawał. - Książki Paraskiewicza wydaję nie tylko ja. Nowa powieść wyjdzie za miesiąc u Pawła, on przecież też może zacząć kampanię reklamową. Wiem, że i Anieczka jeszcze przez kilka miesięcy ma ważne prawo do ponownego wydania dwóch książek, ona też może powziąć jakieś kroki, żeby podgrzać zainteresowanie czytelnika. Co z nimi?

- Niczego nie zrozumiałeś, Nugzarze - z niezadowoleniem skrzywiła się Świetłana. - Za wszystko trzeba płacić, za prawo przeczytania pośmiertnych utworów wielkiego Paraskiewicza również. Wysokość honorarium nie ma tu nic do rzeczy, zarówno Anna, jak i Pasza, a także wszyscy pozostali zapłacą mi tyle, ile dostałam od ciebie. Ale ty potrzebujesz także innych rękopisów. I za to, że przyniosę je tobie, a nie im, musisz zapłacić. Wszyscy stanowicie jedną mafię, mimo że działacie pod egidami różnych wydawnictw, i nie myśl, że to wielka tajemnica. Musisz ponieść odpowiedzialność za wszystkich.

Porozmawiaj z nimi, nastraszyć kogo trzeba, przekonaj, kup. Rób, co chcesz, ale zapamiętaj: jedno słowo w druku przeciwko mnie i koniec naszych układów. Nasze relacje przejdą natychmiast na grunt sądownictwa cywilnego. Dziękuję, Nugzarze, obiad był bardzo smaczny.

Świetłana wstała i poszła przez całą salę w kierunku wyjścia,

odprowadzana zachwyconymi spojrzeniami mężczyzn. Nugzar Bokuczawa spoglądał w ślad za nią, apatycznie przeżuając wyschnięty rostbef, i myślał, że tę sukę trzeba trzymać krótko, żeby się nie stawiała. Charakter ma oczywiście trudny, to nie ulega wątpliwości, nawet wstrętny, ale sprawa jest tego warta. Musi za wszelką cenę się z nią ożenić, wtedy ona będzie do samej śmierci tworzyć swoje powieści, a on będzie je wydawał. Stanie się ekskluzywnym wydawcą jej książek. A to bardzo duże pieniądze. Ogromne.

Gabinet śledczego Olszańskiego był niewielki, więc kiedy wparowali tam barczysty Jura Korotkow wraz z Nastią, od razu zrobiło się ciasno. Konstantin Michajłowicz wyglądał na spokojnego, ale co rusz w jego rzeczowym tonie przebijały napięcie i rozdrażnienie.

- W takiej formie nie możemy wysłać sprawy do sądu - mówił. - Szczere przyznanie się do winy to żaden argument, kiedy nie można człowieka przesłuchać. Zwłaszcza jeśli sprawia wrażenie osoby niezdrowej psychicznie. To po pierwsze. Po drugie, przyczyna zabójstwa, jak ją przedstawia Isiczenko, również wygląda wielce nieprawdopodobnie. Nie sposób tak po prostu w to uwierzyć. Dlatego należy przeprowadzić pośmiertne sądowo-psychiatryczne ekspertyzy zarówno Isiczenko, jak i Paraskiewicza. To, co zrobiła ta kobieta, wskazuje oczywiście na chorobę. Jednakże to, o co rzekomo poprosił ją

Paraskiewicz, dowodzi, że nie był psychicznie zdrowy. Każde słowo w zeznaniach Isiczenko należy dokładnie sprawdzić. I po trzecie. Chodzi o modnego pisarza. Nie mamy pewności, że jego zabójstwo i przebieg śledztwa nie zainteresują szerokich rzesz społeczeństwa. I nie daj Boże, jeśli się okaże, że dziennikarze wiedzą więcej od nas. Dwie okoliczności budzą największe zainteresowanie: zdrowie psychiczne samego Paraskiewicza i prawdopodobieństwo zorganizowania przezeń własnego zabójstwa, czyli w gruncie rzeczy samobójstwa, a także prawdziwe autorstwo jego powieści. Te dwie kwestie są świetną pożywką dla prasy brukowej, żeby rozdmuchać skandal, najbardziej kuszące dla tych, co pragną niestworzonych bredni, i dlatego w owych kwestiach musimy

orientować się lepiej od jakiegokolwiek dziennikarza.

- Boże kochany, Konstantinie Michajłowiczu! - Nastia klasnęła w dłonie. - Od kiedy zaczął pan bać się dziennikarzy i przejmować się nimi?! Ma ich pan przecież za nic.

- Owszem - potwierdził Olszański. - Mam jednak szefów, w dodatku ich liczba wyraźnie przekracza moją wytrzymałość. I oni akurat bardzo poważnie traktują prasę, zwłaszcza jeśli dziennikarze piszą, że w śledztwie coś przeoczono lub czegoś nie zauważono. Dlatego podejmuję decyzję o przeprowadzeniu ekspertyzy filologicznej, a wy, moi drodzy, nie traćcie ani chwili i biegnijcie szukać wszystkich kart zdrowia Isiczenko i Paraskiewicza, od urodzenia aż do śmierci. Znajdźcie mi ludzi z otoczenia Isiczenko, którzy zauważali dziwactwa w jej zachowaniu. Znajdźcie tych, z którymi w ciągu ostatnich dwóch, trzech tygodni przed śmiercią kontaktował się Paraskiewicz, i dowiedzcie się od nich, czy nie był dziwnie przygnębiony, czy nie wspominał o zamiarze przerwania bezmyślnego istnienia i tak dalej. Sami wiecie, czego szukać, nie jesteście dziećmi. Zaczniemy zbierać materiał do pośmiertnej ekspertyzy ich zdrowia psychicznego. Jak znajdziecie kartę, w te pędy do mnie po decyzję o zajęciu dokumentów. Wiem, że Anastazja to poważna dziewczyna i wszystkiego się boi, ale ty, Korotkow szukasz tylko okazji, żeby wywlec dowód winy bez odpowiednich formalności, a ja później łamię sobie głowę, jak go podłączyć do sprawy, żeby adwokat nie pogroził mi palcem.

Korotkow chrząknął i spojrział ukradkiem na Nastię. Oboje rozumieli, o czym mówi śledczy i do czego pije. Nie dalej jak trzy miesiące temu Nastia popełniła zupełnie idiotyczny błąd, znajdując w biurku podejrzanego dziennik ofiary. Do biurka dostała się, kiedy nikt tego nie widział, to znaczy z naruszeniem wszelkich zasad, procedur oraz instrukcji służbowych, a później musiała nieźle się nagimnastykować, żeby się z tego wyplątać. Ale Konstantin Michajłowicz Olszański nie chciał Nasti zwracać uwagi, toteż postanowił przypomnieć o konieczności zachowania zasad proceduralnych, wybierając sobie za cel

Korotkowa.

Nastia Kamieńska i Korotkow opuścili budynek prokuratury generalnej i od razu ruszyli do najbliższego baru. Jura był stale głodny, Nastia nie miała ochoty na jedzenie, marzyła za to o gorącej i mocnej kawie. Ogólny wygląd baru, zarówno z zewnątrz, jak i w środku, nie wzbudził w niej szczególnego zaufania, ponieważ mocno przypominał zakład gastronomiczny z okresu komuny, kiedy jasnobeżowa, mdląco słodka kawa, nalewana z ogromnych kadzi, smakowała jak pomyje. Nastia rozejrzała się i zobaczyła całkiem młodego chłopca, który mył szklanki w zlewie. Rzuciła okiem na cennik i spostrzegłszy, że za „czarną kawę” trzeba zapłacić tysiąc czterysta rubli, podeszła do chłopca i wręczyła mu pięciotysięczny banknot.

- Młody człowieku - powiedziała bardzo poważnie - niech pan na mnie popatrzy. Jestem wyczerpana i zmęczona ciężką pracą. Proszę mi zrobi filiżankę ludzkiej kawy. Tylko jedną filiżankę, za to porządną. Dobrze?

Chłopaczek błysnął w odpowiedzi śnieżnobiałym uśmiechem, prędkim ruchem wytarł ręce i wsunął banknot do kieszeni.

- W najlepszym gatunku - rzucił przez ramię, kierując wzrok gdzieś w stronę ciemnego wnętrza jadłodajni.

Korotkow nie był tak kapryśny, wziął tak zwanego podwójnego hamburgera, bielasz*, bułkę z powidłami i dwie szklanki napoju, który okazał się mocno rozcieńczonym wodą koncentratem. Nastia stała obok niego, starając się nie patrzeć na hamburgery, na których widok zaczynała ją mdlić.

**Bielasze* (ros.) - rodzaj pierogów z mięsem smażonych na oleju (przyp. tłum.).

- A ty co, nic nie będziesz jadła? - zdziwił się Korotkow. - Nie jesteś głodna?

- Nie. Lepiej zaczekam, dzisiaj wreszcie przyjedzie Loszka, przygotuje normalną kolację.

- Szczęściara. - Mężczyzna westchnął z zawiścią. - Niektórym to się

powodzi w małżeństwie.

- Wybierać trzeba bez pośpiechu, oto cały sekret. Loszkę znam od dwudziestu lat, a pobraliśmy się dopiero w tym roku. A ty ile lat znałeś swoją Lalkę, zanim się z nią ożeniłeś?

- Cztery miesiące.

- No to chodź teraz głodny, skoro jesteś w gorącej wodzie kąpany.

- No i chodzę - ponuro przytaknął Korotkow. - Cholera, co za paskudztwo tu napakowali? Nie da się tego jeść.

- To nie jedz. Weź coś innego - poradziła Nastia, starając się nie wybuchnąć śmiechem.

- Nie ma mowy, zapłacone, to się będę dławił.

Do ich stolika podszedł chłopak ze zmywaka, niosąc ładną białą filiżankę na spodeczku. Ta kawa nawet wyglądała przyzwoicie. Nastia podniosła filiżankę do ust i przekonała się, że smakuje też nie najgorzej. Od razu sięgnęła do portmonetki i wyjęła jeszcze jeden banknot. Chłopak w milczeniu wziął pieniądze i zaraz zniknął, o nic nie pytając.

- Szastasz pieniędzmi, milionerko? - mruknął Jura. - Widzę, że dobrze być żoną profesora.

- Miej sumienie, zazdrośniku - oburzyła się Nastia. - Dziesięć tysięcy to moja dzienna stawka żywieniowa. Dasz radę się wyżywić za mniejszą sumę w naszym bufecie? Nie będę nic więcej jadła aż do kolacji, niech ją licho porwie, ale za to teraz wypiję dwie filiżanki kawy, po której nie będzie mnie mdliło i która może nawet będzie mi smakować. Lepiej zabierzmy się do podziału roboty. Co wybierasz?

- Asiu, a może spróbujmy się nie dzielić - zaproponował Korotkow.

- Ale jak? Sam chcesz wszystko zrobić? Czy w ten sposób dajesz mi do zrozumienia, że to ja mam wszystko wziąć na siebie?

- Spróbujmy popracować razem. Trudno dokonać podziału, bo ja mam samochód, a ty nie. Koniec końców jestem jednak mężczyzną. A wszystkie zadania, które nam przydzielił Kostia, związane są z bieganiną po mieście. Razem będzie nam się weselej jeździło.

- Kłamiesz jak z nut! - Nastia westchnęła, wypijając duszkiem

pierwszą filiżankę kawy. - Mów, jaką masz sprawę.

- Ciągle tę samą. Świr, który poluje na chłopców. Nic nam nie wychodzi, obijamy się jak ślepe kocięta, żadnego śladu nie możemy wymacać.

- Dobra, opowiesz mi wszystko i wspólnie się zastanowimy - zgodziła się Nastia. - Jak bielasz?

- W porządku, da się zjeść. Chcesz spróbować?

- Za nic. - Nastia odsunęła się, a na jej twarzy pojawił się wyraz tak szczerzego przestachu, że Korotkow nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

Piętnaście minut później, kiedy Jura Korotkow spałaszował bielasz i popił bułkę z powidłami dwoma szklankami białoróżowej lury, a Nastia skończyła drugą filiżankę kawy, wsiedli do samochodu i pojechali zbierać materiały do sądowo-psychiatrycznej ekspertyzy zabójcy oraz jego ofiary.

Okazało się, że Władimira Pietrowicza Prigarina nie tak łatwo zastać w domu. Dwa lata temu przeszedł na emeryturę i prowadził dość swobodny tryb życia - albo spędzał całe tygodnie na dacy, albo wyjeżdżał na polowania czy na ryby, albo odwiedzał po różnych miastach starych przyjaciół. Żona Prigarina, miła starsza kobieta, przyjęła Stasowa życzliwie, niczemu w ogóle się nie dziwiąc.

- A Władimira Pietrowicza nie ma - oznajmiła. - Wyjechał do Riazania odwiedzić siostrę. Pan w jakiej sprawie?

Stasow postanowił wykorzystać chwilę i otrzymać odpowiedzi na pytania, które go żywo interesowały. Pokrótce wyjaśnił kobiecie powód swojej wizyty.

- Niestety, ja panu tu w niczym nie pomogę. - Kobieta ze smutkiem rozłożyła ręce. - Musi pan poczekać, aż mąż wróci.

- A pani przypadkiem nie wie, dlaczego Władimir Pietrowicz znalazł się o trzeciej w nocy w tamtej dzielnicy? - zapytał Stasow. - Co on tam właściwie robił?

Kobieta wyraźnie się zmieszała i nawet lekko zaczerwieniła.

- Niezbyt chętnie o tym mówię, ale ponieważ śledczy też o to pytał,

więc... Zresztą i tak wszystko znalazło się w protokole, więc nie ma sensu niczego ukrywać. Pokłóciliśmy się. Pewnie pan wie, jak to bywa. Awantura wybucha wieczorem, tuż przed snem, i myśl, że trzeba się teraz położyć do jednego łóżka, staje się nie do zniesienia. Władimir Pietrowicz chwycił płaszcz, trzasnął drzwiami. Przenocuję u przyjaciół, mówi. A potem, kiedy wyszedł na ulicę, zorientował się, że zrobiło się już późno, że wszyscy przyjaciele dawno śpią, poza tym niezręcznie tak bez uprzedzenia zwać się komuś do domu. Wracać też nie miał ochoty, obraził się na mnie, a ja na niego. Jak dzieci, słowo daję. No i włóczył się przez całą noc po ulicach, nie wiedział, co ze sobą zrobić. Dopiero o siódmej rano wrócił do domu.

Stasow był ciekaw, z jakiego powodu starsi ludzie, którzy przeżyli razem wiele lat, mogą się aż tak ostro pokłócić, żeby mężczyzna musiał w nocy wychodzić z domu. Jednakże krępował się zapytać. Gdyby był śledczym, wtedy co innego, wtedy byłby osobą urzędową i miałby prawo pytać, o co by tylko chciał. Prywatny detektyw to jednak osoba nieumocowana prawnie, jeśli ktoś z nim rozmawia, to wyłącznie dlatego, że wyświadcza mu dużą darmową przysługę.

Władimir Pietrowicz Prigarin wrócił z Riazania trzy dni później. Wtedy Stasow znowu ich odwiedził. Wystarczyło, że rzucił okiem na Prigarina, a od razu się domyślił, z jakiego powodu doszło do tamtej awantury, wskutek której biedak mroźną grudniową noc spędził na ulicy. Władimir Pietrowicz wyglądał nieprzyzwoicie młodo, prawie jak syn własnej żony. To jasne, że bez kobiety w tej kłótni się nie obyło.

- Jak się panu udaje zachować tak młody wygląd? - Stasow nie wytrzymał. - Proszę zdradzić swoją tajemnicę.

- Sport, dieta, dużo czasu spędzam na powietrzu. - Prigarin uśmiechnął się. - Nigdy nie piłem i nie paliłem, od dwudziestu pięciu lat nie jadam cukierków i tłustego mięsa, a niedawno w ogóle przeszedłem na wegetarianizm. I pozytywne emocje. Nie wyobraża pan sobie, jak ważne są pozytywne emocje. A ja pod tym względem miałem więcej szczęścia niż przedstawiciele wielu innych zawodów. Przecież całe życie

przepracowałem w tej samej klinice położniczej, trzydzieści lat przyjmowałem porody. Oczywiście, mamy bywają różne, to nie ulega wątpliwości, ale ogólnie promieniują radością i szczęściem, a ja w tych promieniach grzałem się przez trzydzieści lat. Pewnie pan nie wierzy w biopole i bioenergetykę?

- No, w zasadzie... - Stasow stropił się. - Słabo się w tym orientuję.

- No właśnie, a kobieta w ciąży, położnica i młoda mama to istoty wyjątkowe, mają taką biochemię i bioenergetykę, aż trudno uwierzyć. Najświeższy przykład: lekarze odkryli, że hormony kobiet w ciąży wytwarzają substancję niszczącą wirus hiv. Mówili o tym niedawno w telewizji.

- Chce pan powiedzieć, że wszyscy ludzie pracujący w szpitalach położniczych wyglądają tak jak pan, o dwadzieścia lat młodziej? - Stasow, którego rozmowa z Prigarinem zaczynała szczerze bawić, zwątpił.

- Niekoniecznie - bardzo poważnie odparł tamten. - Niektórzy zachowują młody wygląd, inni mają wiek wypisany na twarzy, ale wyróżniają się godnym pozadzroszczenia zdrowiem, inni wiodą nadzwyczaj szczęśliwe życie rodzinne albo w ogóle osobiste, ponieważ w pracy otrzymują ładunek dobra i radości, który przekazują później swoim bliskim w miejsce zwykłego zmęczenia i rozdrażnienia. Ludzie reagują różnie, ale bioenergetyka związana z narodzinami dzieci oddziałuje na każdego. Rzadko kto pozostaje obojętny, tylko zupełnie nieliczne jednostki.

- To bardzo ciekawe, Władimirze Pietrowiczu, ale chciałbym porozmawiać z panem o tym, co wydarzyło się rok temu.

- Czy sprawa nie została zamknięta? - Prigarin zdziwił się. - Przecież odbyła się rozprawa w sądzie.

- Tak, skazany Jewgienij Dosiukow odsiaduje wyrok w kolonii karnej, ale jego żona wynajęła prywatnego detektywa, to znaczy mnie, próbując udowodnić, że zaszła pomyłka sądowa

I Dosiukow nie popełnił przestępstwa. Dlatego ponownie spotykam

się ze wszystkimi świadkami.

- Po co? Co chce pan udowodnić?

- Raczej nie udowodnić, ale po prostu sprawdzić. Chcę się przekonać, że dochodzenie zostało przeprowadzone profesjonalnie i rzetelnie, chcę zobaczyć, czy rzeczywiście nie popełniono jakiegoś błędu. Proszę więc pana, Władimirze Pietrowiczu, żeby pan sobie przypomniał jak najwięcej szczegółów i opowiedział mi na nowo, co pan widział w nocy z 1 na 2 grudnia ubiegłego roku na ulicy Wiesnina.

- A więc szedłem ulicą Wiesnina od strony Starego Arbatu - zaczął Prigarin. - Minął mnie jadący od strony Starego Arbatu samochód i zatrzymał się jakieś sto metrów przede mną. Z auta wysiadł mężczyzna w kurtce, z daleka nie widziałem, jaki miała kolor i fason, ale po sylwetce domyśliłem się, że jest krótka, z szerokimi ramionami. Mężczyzna zdjął wycieraczki i lusterka, po czym zamknął samochód, a ja w tym czasie zdążyłem podejść na tyle blisko, by zauważyć, że kurtka jest takiego pośredniego koloru, ni to jasna, ni czarna, obszyta białym futerkiem. Mężczyzna zapalił papierosa i wszedł do budynku. Chyba stał tam i palił, bo kiedy podszedłem i zajrzałem przez okno do oświetlonego holu, akurat zaciągnął się po raz ostatni i wyrzucił niedopałek. Zauważyłem, że wycieraczki i lusterka leżały na parapecie, i chyba jeszcze radio samochodowe. Jest tam taki szeroki, niski parapet, a mężczyzna stał przy samym oknie i jedną ręką grzebał w kieszeni, widocznie szukał kluczy. Zatrzymałem się i zerknąłem na zegarek, było trochę po czwartej, sześć albo siedem po. Pomyślałem jeszcze, że to praktyczny hol, jasny, ciepły, bez portierni, a parapet jest szeroki, wygodnie się na nim siedzi. Zwolniłem kroku i zacząłem obserwować mężczyznę, czekałem, aż wsiądzie do windy i odjedzie, żeby wejść do środka, ogrzać się i odpocząć. Nagle poczułem się jednak niezręcznie, do czego to podobne, myślę, szanowany obywatel, lekarz z trzydziestopięcioletnim stażem, a będzie siedział na parapecie jak jakiś pijany włóczęga. Za trzy godziny otworzą metro, tam sobie posiedzę, pomyślałem. A na razie: spacerkiem. Kiedy wyskoczyłem z domu w

ferworze kłótni, nie było jeszcze dwunastej, więc popędziłem na łeb na szyję do metra i pojechałem w stronę Kuźminek, gdzie mieszka mój stary przyjaciel. Ale kiedy wyszedłem na ulicę i oprzytomniałem, byłem już wszędzie spóźniony. Musiałem pieszo wlec się w stronę domu. Ale lubię chodzić, nogi mam silne, wysportowane. - Prigarin uśmiechnął się. - I to właściwie wszystko.

- Rozumiem. A czy jest pan zupełnie pewien, że mężczyzna, który wysiadł z samochodu, oraz mężczyzna, którego potem zobaczył pan w oświetlonym holu, to jedna i ta sama osoba?

- Jakżeby mogło być inaczej? - Władimir Pietrowicz zdziwił się. - Po pierwsze, taka sama kurtka i brak nakrycia głowy, a także wycieraczki oraz lusterko. I papieros w ustach. Ale wie pan, Władisławie Nikołajewiczu, śledczy zadawał mi już to pytanie i adwokat w sądzie do tego się przyczepił. Więc nie jest pan pierwszy.

- I do jakich doszli wniosków?

- Powiedzieli, że kwestia identyczności obu tych mężczyzn nie powinna być podnoszona. Liczy się tylko to, że zapamiętałem i potrafiłem rozpoznać mężczyznę, którego widziałem w holu.

- Dobrze, porozmawiajmy o tym bardziej szczegółowo. Dlaczego zgłosił pan to na milicję dopiero dwa dni później?

- Bo w audycji *Pietrowka 38* zobaczyłem, jak prowadzą go w kajdankach, i usłyszałem, że został aresztowany jako podejrzany o zabójstwo popełnione nocą z 1 na 2 grudnia. Przypomniałem sobie, że widziałem go tamtej nocy. Szczerze mówiąc, poszedłem na milicję nie po to, żeby zostać świadkiem oskarżenia, ale wręcz odwrotnie. Mimo że widziałem go bardzo krótko, nie wydał mi się przestępcą albo jakimś bandytą, więc pomyślałem, że może moje zeznania pomogą mu się wykaraskać. A nuż w chwili zabójstwa był akurat tam, gdzie go widziałem, i teraz nie może tego udowodnić, bo myśli, że nie ma żadnych świadków. W sumie chciałem pomóc, a wyszło odwrotnie. Okazało się, że widziałem go akurat wtedy, kiedy wrócił do domu po popełnieniu zabójstwa.

- I kiedy zobaczył go pan w telewizji, od razu pan go rozpoznał?

- Mam nadzwyczajną pamięć wzrokową. Mogę zapomnieć nazwisko albo nawet imię, nie pamiętam żadnego telefonu, ale twarze zapamiętuję na długie lata. Gdyby postawił pan teraz przede mną dziesięć tysięcy kobiet, bezbłędnie wybiorę te, których porody przyjmowałem. Żadnej nie przeoczę, może pan być pewien.

- Czy mężczyzna był ubrany tak samo jak wtedy w nocy?

- Nie, podczas aresztowania miał na sobie ciemnoszary płaszcz i futrzaną czapkę.

- I nawet w innym ubraniu go pan rozpoznał?

- Przecież mówiłem, że patrzyłem nie na ubranie, ale na twarz.

- Wróćmy jeszcze raz do tamtej nocy. Podchodzi pan do dużego okna i widzi jasno oświetlony hol. Może pan narysować schemat holu?

- Proszę. - Prigarin wzruszył ramionami, po czym wziął czystą kartkę papieru, długopis i zaczął kreślić plan. - O, tutaj jest wejście do budynku, z lewej okno, po prawej i po lewej stronie na ścianach wiszą skrzynki pocztowe, takie niebieskie, blaszane. Dalej, o tutaj, z lewej strony, są drzwi i wejście na schody, a na wprost stopnie prowadzące do wind.

- Niech pan pokaże, gdzie stał mężczyzna - poprosił Stasow.

- O, tutaj. - Prigarin zaznaczył miejsce krzyżykiem.

Wszystko się zgadza, pomyślał Stasow. Dosiukow mieszkał pod numerem dwieście siedemnaście, więc jego skrzynka pocztowa znajdowała się akurat na ścianie z lewej strony, obok parapetu. Odłożył na parapet wycieraczki, lusterko i radio, dopalał papierosa i równocześnie szukał kluczy w kieszeni. Wszystko to wygląda na prawdę, a nie na czcze wymysły.

- Czy mógłby mi pan pokazać, w jaki sposób stał mężczyzna, kiedy palił i szukał kluczy?

Władimir Pietrowicz posłusznie wstał zza biurka, wsunął jedną rękę do kieszeni spodni, drugą uniósł ku twarzy, łącząc opuszki kciuka i palca wskazującego.

- Tak się zaciągnął po raz ostatni, później pstryknięciem posłał

niedopałek do kąta, splunął i poszedł do windy.

- Dokładnie pan to pamięta? - zapytał poruszony Stasow. - Pstryknięciem odrzucił niedopałek i splunął?

- Zgadza się.

- No cóż, dziękuję panu, Władimirze Pietrowiczu. Niech pan mi wybaczy, jeśli będę musiał jeszcze raz pana niepokoić.

- Ależ skąd, żaden problem - dobrodusznie odrzekł Prigarin. - Niech pan wstąpi, zapraszam.

Ciekawe, gdzie szanowany młody biznesmen Jewgienij Dosiukow zdążył przyswoić sobie więziennie gesty, zastanawiał się Stasow, wracając do domu po rozmowie z Prigarinem. Czyżby siedział kiedyś w więzieniu? Skąd, to raczej niemożliwe. Natalia mówiła, że Dosiukow jest w łagrze o zaostrowym rygorze, czyli tam, gdzie kary odbywają osoby skazane po raz pierwszy za ciężkie przestępstwa. Gdyby to była druga odsiadka, facet kwalifikowałby się na ścisły rygor. Poza tym w wyroku nie ma ani słowa na temat kryminalnej przeszłości, a przecież jeśli Dosiukow był karany, powinni to odnotować. Trzeba poprosić kogoś o akta z archiwum, sam Stasow ich nie dostanie.

Skąd w takim razie ten czysto więzienny gest? Może nie odsiadywał wyroku, ale trafiał do celi jako zatrzymany, podejrzany, a może nawet jako oskarżony. W aktach karnych powinny być materiały kontroli.

W kieszeni Stasowa zapiszczał telefon. Dzwoniła była żona Margarita, głos miała poirytowany, jak zawsze, kiedy czuła się winna.

- Niech szlag trafi tę przeklętą robotę - od razu zaczęła narzekać. - Znowu muszę pilnie wyjechać.

- Dokąd tym razem? - leniwie zainteresował się Stasow, uważnie się rozglądając na boki i zjeżdżając na drugi pas, gdzie było mniej samochodów.

- Do Monachium. Na festiwal filmów dokumentalnych. Władik, lecę jutro w dzień. Zabierzesz Lilę?

- Kiedy?

- Natychmiast.

- Oczywiście. Już jadę.

Stasow nawet nie próbował ukryć radości, że przynajmniej przez tydzień będzie mieszkał razem z ubóstwianą córką. W głębi duszy pielęgnował niezszechalne marzenie, że Margarita wstąpi w nowy związek małżeński, zajdzie w ciążę i odda Lilę jemu, Stasowowi, na zawsze. Tymczasem dziewczynka pomieszkiwała kolejno u rodziców - w zależności od stopnia ich zapracowania.

W pobliżu domu, w którym mieszkała ekszona, Stasow zaczął się gorączkowo zastanawiać, czy ma czym nakarmić Lilę. Biorąc pod uwagę jej szczególne upodobania, wyglądało na to, że po drodze będzie musiał zajechać do delikatesów i kupić wędzoną kiełbasę, keczup i chleb razowy. Nieźle byłoby również zaopatrzyć się w ananasowy kompot. Lileczka za nim przepada.

Córka już czekała przed wejściem. Była nazbyt wyrośnięta i całkiem duża jak na swoje bez mała dziewięć lat, lecz zarazem taka malutka i bezbronna, że Stasowowi ścisnęło się serce. Na ławce obok niej stała duża torba.

- Dlaczego tu stoisz? - zapytał surowo, chwytając dziewczynkę w objęcia i biorąc na ręce. - Gdzie mama?

- Mama jest w domu, bo muszą się przygotować do podróży - odparła Lila, obejmując Stasowa za szyję.

- Kto musi?

- Mama i Boris Josifowicz. Lecą razem.

No jasne, że razem, pomyślał Stasow. Oj, Margarita! Dziecko wystawiłaś za drzwi, żeby czekało, aż ojciec przyjedzie, a sama wskoczyłaś z Borią Rudinem do łóżka. Tak ci się pali, że nie możesz zaczekać.

Stasow posadził Lilę na tylnym siedzeniu i pojechał do domu. Serce mu się radowało i śpiewało, jak zawsze, kiedy Ritka oddawała mu córkę. I tylko mała, delikatna, ale dokuczliwa jak bzyczenie komara myśl nie dawała mu spokoju. Kiedy i gdzie przyzwoity w każdym calu Jewgienij Dosiukow nauczył się palić papierosy bez filtra, trzymając je dwoma

palcami i automatycznie spluwając po każdym sztachnięciu, ponieważ okruchy tytoniu ciągle trafiają na język. No więc gdzie? I kiedy?

ROZDZIAŁ 13

Pułkownik Gordiejew bardzo nie lubił, kiedy jego podwładnych wzywali wyżsi rangą szefowie. Był zdania, że sprawować kontrolę nad pracownikami operacyjnymi swojego wydziału powinien on sam i nikt inny. No i karać ich, rzecz jasna, ma również prawo tylko on. I w tej materii zupełnie go nie interesowała treść wszelkich służbowych instrukcji i zakres upoważnień kierownictwa GUWD. Dlatego kiedy naczelnik sekcji kryminalnej zaczął szukać Kamieńskiej, Wiktor Aleksiejewicz, nie wahając się ani sekundy, sam udał się do gabinetu generała.

Generał Runienko wcale się nie zdziwił na widok Gordiejewa.

- Gdzie twoja pannica? - zapytał gniewnie. - Schowała się pod sejf ze strachu?

- Kamieńska pracuje - wymijająco odparł Gordiejew. - Rano wezwał ją do siebie Olszański z prokuratury miejskiej. Jeszcze nie wróciła.

- Macie wynik sekcji Isiczenko?

- Tak jest, panie generale. Zatrucie kwalidilem.

- A prościej?

- Kwalidil należy do spożywczych substancji cholinolitycznych - Gordiejew bez mrugnięcia okiem przystąpił do wyjaśnień, złośliwie śmiejąc się w duchu. - Wywołuje paraliż mięśni międzybrowowych i przepony. W efekcie człowiek przestaje samodzielnie oddychać i dochodzi do asfiksji. Podczas sekcji lekarz sądowy stwierdził obrzęk i pełnokrwistość płuc, rozrzedzoną krew w komorze serca i inne oznaki świadczące o zatruciu kuraropodobną substancją.

- Niech je wszystkie diabli porwą - rzucił generał gdzieś w przestrzeń, tak że nie wiadomo było, kogo właściwie ma ukarać siłą

nieczysta. - I co, ta Isiczenko naprawdę była psychicznie chora? Czy osłaniasz swoją ulubienicę?

- Dochodzenie wykaże. Ale to, że Isiczenko była kobietą niezwykłą, nie ulega wątpliwości. Niech pan porozmawia z Kudinem z dyspozytorni, siedziała u niego ze dwadzieścia minut, podczas gdy on szukał Kamieńskiej. Zostały mu bardzo wyraziste wspomnienia.

- Dobra, Wiktorze Aleksiejewiczu, nikt nie zamierza zrobić z Kamieńskiej miazgi, nie wysilaj się. Sam byłem pracownikiem operacyjnym, więc wszystko rozumiem. Za pół godziny jestem umówiony z krewnymi Isiczenko. Wysłucham ich, ale później chyba skieruję do ciebie.

- Dobrze, panie generale. Przyjmę ich. Rozumiem, że Kamieńska nie jest panu więcej potrzebna? Czy przysłać ją, kiedy się zjawi?

- Spryciarz z ciebie, Wiktorze Aleksiejewiczu. - Runienko pokręcił głową. - Co się tak o nią boisz? Myślisz, że ją skrzywdzę? Ugryzę? Trzymasz dziewczę w cieplarnianych warunkach, chronisz przed gniewem szefa. Może to i słuszne, dopóki sam kierujesz wydziałem i decydujesz, kogo i jak wychowywać. Ale co się stanie, kiedy odejdiesz? Nowy szef nie będzie jej oszczędzał. Przemyśl moje słowa. Może pora ją przeszkolić i przyzwyczaić do stresów, he? Pracownica z niej do rzeczy, nawet bardzo, nie przeczę, a ja nie jestem skory do pochwał, sam wiesz. Ale jeśli nikt nie będzie jej upominał, to nie daj

Boże, zacznij zadzierać nosa, a wtedy będzie guzik warta przy całej swojej roztropności.

- Kamieńska, panie generale, sama się wychowuje, nie potrzebuje do tego pomocników - oschle odrzekł Gordiejew. - I upomina się zawsze sama, nie czekając, aż zrobi to kto inny. Mogę odejść?

- Idź, obrońco - rzucił z uśmiechem generał.

Pułkownikowi Gordiejewowi popsuł się humor, ale wiedział, że to nie potrwa długo. Wytężony rytm pracy po prostu nie pozwoli mu denerwować się i oburzać z powodu porad pedagogicznych generała. Tak się też stało. Dlatego kiedy mniej więcej po godzinie zjawili się krewni

Ludmiły Isiczenko, Wiktor Aleksiejewicz znowu był rzeński, dobroduszny i skupiony.

Krewnymi dziwnej kobiety, która odebrała sobie życie w gabinecie Anastazji Kamieńskiej, byli małżonkowie Niełasowie, na pierwszy rzut oka całkiem inteligentna para. Wiktor Aleksiejewicz wiedział jednak, że to tylko pozory, ponieważ inteligentny człowiek nie miał czego szukać w tak niezwykłego powodu w jego gabinecie. No bo rzeczywiście, po co przyszli? Gordiejew domyślał się po co i ów powód nie miał nic wspólnego z inteligencją.

- Słucham państwa - rzekł pułkownik nie przez przypadek serdecznie.

- Nie, to my pana słuchamy - rzucił się do ataku Niełasow, rosły mężczyzna koło czterdziestki z zaznaczającym się drugim podbródkiem, który próbował ukryć pod brodą. Brodę miał jeszcze krótką, widocznie całkiem niedawno zaczął ją zapuszczać. - Przyszliśmy posłuchać pańskich wyjaśnień.

- W związku z czym mianowicie? - niewinnie zainteresował się Gordiejew.

- W związku z nieetycznym zachowaniem pańskiej pracownicy. Wywierała presję na nieszczęsną Ludmiłę, zmuszała ją do przyznania się do przestępstwa, którego ona nie popełniła. Rezultat, jak panu wiadomo, jest nader smutny. Ludoczka nie wytrzymała presji, napisała przyznanie się do winy pod dyktando pańskiej pracownicy i odebrała sobie życie. Nie miała siły, żeby się przeciwstawić waszemu naciskowi, ale nie chciała żyć z piętnem zabójczyni.

- Przypuśćmy, że tak było. - Gordiejew kiwnął głową. - Życzycie sobie państwo przeprosin?

- Przeprosin? - pisnęła Niełasowa. - Myśli pan, że się wykpicie nic nieznaczącymi słowami? Żądamy satysfakcji.

- Jakiego typu?

- Chodzi nam o rekompensatę za straty moralne. W postaci grzywny za bezprawne zachowanie pańskiej pracownicy, które pociągnęło za sobą samobójstwo świadka.

- Jasne. - Pułkownik znowu skinął głową. - I na jaką sumę wyceniacie swoje straty moralne?

Małżonkowie wymienili się spojrzeniami. Następnie kobieta ledwie zauważalnie dała znak mężowi, żeby zabrał głos.

- Bardzo się cieszę, że od razu zrozumiał pan nasze stanowisko - zaczął tamten. - Zdajemy sobie sprawę, że jesteście bardzo zaważeni pracą i nie macie czasu chodzić po sądach, toteż proponujemy porozumienie, jak to się mówi, polubowne.

- Chcę wiedzieć, o jakiej sumie mowa - uparcie powtórzył Wiktor Aleksiejewicz.

- Jeśli sprawa trafi do sądu, pięćset milionów. Ale jeśli się dogadamy, to suma będzie, ma się rozumieć, mniejsza. My przecież też cenimy swój czas i siły.

- O ile mniejsza?

- Dwieście. Dwieście milionów. Musi pan przyznać, że to nader ludzka propozycja, jeśli wziąć pod uwagę, że pańskiej pracownicy może grozić odpowiedzialność karna za sprowokowanie samobójstwa.

Gordiejew poczuł rozbawienie, ale zdusił uśmiech cisnący się na usta. Niełasowie wydali mu się komiczni. I niespecjalnie mądrzy. Chociaż, ogólnie rzecz biorąc, brak rozumu nie stanowi powodu do śmiechu, co, oczywiście, dobrze rozumiał.

- Mogę wiedzieć, z kim się państwo konsultowaliście? - zapytał.

- Jakie to ma znaczenie? - Niełasow butnie uniósł brwi.

- Nie zrozumiał mnie pan - cierpliwie wyjaśnił pułkownik. - W danym wypadku nie interesuje mnie nazwisko konkretnego prawnika, który wam doradza. Interesuje mnie jego doświadczenie, kwalifikacje oraz przebieg kariery zawodowej.

- To bardzo doświadczony prawnik, całkowicie mu ufamy.

- Czy orzekał jako sędzia w sprawach cywilnych?

Małżonkowie stropili się.

- Nie wiem - odezwał się w końcu Niełasow. - Nie pytaliśmy o to.

- A o co w ogóle go pytaliście oprócz wysokości honorarium?

- Jak pan śmie! - oburzyła się Niełasowa. - Próbuje pan oczernić adwokata w naszych oczach, bo nie chce pan odpowiadać za samowolę i bezprawie, na które pozwalacie sobie w tych ścianach. Myśli pan, że jak zwykle uda wam się wykręcić? Nic z tego, panie pułkowniku! To nie te czasy.

- Ująłbym to inaczej - pokojowo zaproponował Gordiejew. - Jeszcze nie te czasy.

- Co pan ma na myśli? Że do tej pory funkcjonuje odpowiedzialność zbiorowa, przez co sąd nie przychylił się do skargi wniesionej przeciwko funkcjonariuszom milicji? Chce pan powiedzieć, że czasy prawdziwej demokracji jeszcze nie nadeszły?

- Bynajmniej. Chcę powiedzieć, że nie urodziło się jeszcze pokolenie profesjonalnych i rzetelnych prawników, i tyle. Państwa adwokat zamierza wyciągnąć od was pieniądze za swoje niefachowe porady. Właśnie dlatego zapytałem, jakie ma doświadczenie i staż pracy. Wy, oczywiście, mi nie wierzycie i macie takie prawo. Nie będziemy dłużej dyskutować na temat waszego prawnika. Wróćmy do waszej krewnej. Proszę powiedzieć, czy nie mieliście państwo wrażenia, że jest osobą niezdrową psychicznie?

- No proszę - wyzywająco rzekła Niełasowa - wiedziałam, że tak będzie. Adwokat nas uprzedzał, że postaracie się zrobić z Ludoczki wariatkę i wytłumaczyć to, co się zdarzyło, jej chorobą. Nie uda wam się. Ludmiła była absolutnie normalna. Miała, rzecz jasna, naturę delikatną i emocjonalną, ale psychicznie była zupełnie zdrowa. I to, co sobie zrobiła, jest wynikiem bezpardonowego nacisku, gróźb i zastraszania ze strony pańskiej pracownicy Kamieńskiej.

- Skąd państwo to wiedzą? Isiczenko mówiła wam o tym, skarżyła się?

- Owszem.

- Kiedy?

- Krótko przed śmiercią.

- Kiedy dokładnie? Przypominacie sobie dzień i okoliczności?

- O nie - znowu wtrącił się brodaty Niełasow, przejmując inicjatywę od żony. - Nasz adwokat uprzedzał nas, że spróbujecie to wyciągnąć, a później tak przeinaczycie fakty, żeby nasze zarzuty zostały oddalone. Jeśli nie dogadamy się polubownie, to odpowiedzi na swoje pytania usłyszycie dopiero w sądzie.

- A zatem twierdzi pan, że Ludmiła Isiczenko była psychicznie zdrowa. No dobrze. Wobec tego następne pytanie. Jaki stopień pokrewieństwa łączy ją z wami?

- Jesteśmy dalekimi kuzynami - odparła Niełasowa.

- Czy Ludmiła ma innych krewnych?

- Owszem. Mojego brata i jego rodzinę. Rodzice Ludoczki umarli dawno, a ona była ich jedyną córką. Nigdy nie wyszła za mąż, nie miała dzieci. Jej ojciec jest kuzynem mojej matki, a ja i brat stanowimy jedyną rodzinę Ludmiły.

- Utrzymywaliście z nią bliskie kontakty?

- Jakie to ma znaczenie? Próbuje pan zboczyć z tematu. Ludmiła była nieszczęśliwą, samotną kobietą. To, że niezbyt często się spotykaliśmy, nie oznacza, że nie boli nas serce z jej powodu i że pozwolimy wam uniknąć odpowiedzialności za zrujnowanie jej życia.

- Czyli że pani i brat uważacie się za spadkobierców Isiczenko?

- Nie rozumiem, co to ma do rzeczy...

- A ja rozumiem - znowu odezwał się oburzony Niełasow. - Robi pan aluzję do tego, że odziedziczymy bezcenną kolekcję, którą zbierał ojciec Ludoczki. Insynuuje pan, że skoro otrzymaliśmy tak ogromny spadek, powinniśmy się wstydzić, podając organy milicji do sądu.

- Nie. - Gordiejew wreszcie pozwolił sobie na uśmiech. - Chodzi mi zupełnie o co innego. Czy wiadomo państwu, że Ludmiła zostawiła testament?

- Jaki znowu testament? - Niełasow stropił się.

- Zwyczajny, potwierdzony notarialnie i sporządzony zgodnie z prawem. Wiedzieli państwo o nim czy nie?

- Pierwszy raz słyszę.

- Szkoda. Jeszcze was z nim nie zapoznano, ale ponieważ wasza krewna jest osobą objętą śledztwem, to nam go, naturalnie, odczytano. Muszę państwa rozczarować, cały swój kapitał w postaci kolekcji obrazów i antyków Isiczenko zapisała pisarzowi Leonidowi Paraskiewiczowi.

Wiadomość wywarła na Niełasowych piorunujące wrażenie. Przez pewien czas w gabinecie Wiktora Aleksiejewicza panowała cisza.

- Idiotka! - w końcu syknęła Niełasowa. - Schizofreniczka.

Jednakże jej mąż oprzytomniał i po raz kolejny zreflektował się szybciej niż jego wrażliwa małżonka.

- Chwileczkę. - Mężczyzna uniósł palec i surowo spojrzał na Gordiejewa. - Paraskiewicz umarł przed Ludmiłą. To znaczy, że w żadnym razie nie może po niej dziedziczyć. Testament jest nieważny.

- No oczywiście. - Jego żona odetchnęła z ulgą. - Oczywiście. Niepotrzebnie próbował pan nas wystraszyć, panie pułkowniku. Nie udało się panu.

- Znowu będę musiał państwa rozczarować. Testament zawiera zapis, że spadkobiercą Ludmiły Isiczenko nie jest zmarły Leonid Władimirowicz, ale autor powieści wydawanych pod nazwiskiem Leonida Paraskiewicza.

- Nie widzę różnicy. - Niełasow wzruszył ramionami. - Niech pan nie próbuje zbić nas z tropu i robić nam wody z mózgu.

- Różnica jest, i to ogromna. Chodzi o to, że autorem tych powieści nie jest Leonid Władimirowicz, którego pochowano prawie miesiąc temu, ale jego żona. A ona ma się dobrze.

- To kłamstwo! Niemożliwe! Gdyby to ona pisała książki, to po co Ludmiła miałaby sporządzać testament na korzyść Leonida?

- Ale ja przecież państwu powiedziałem, że w rzeczywistości testament został sporządzony nie na jego korzyść, ale na korzyść prawdziwego autora.

- To i tak kłamstwo! Czyżby pan nie rozumiał, że ta kobieta pana oszukuje, żeby otrzymać spadek po Ludmile?

- Bardzo możliwe - Gordiejew westchnął. - Właśnie dlatego specjaliści w zakresie filologii przeprowadzą ekspertyzę, żeby ustalić rzeczywiste autorstwo. Jeśli się okaże, że Świetłana Paraskiewicz mówi nieprawdę, spadek będzie należał do państwa i do pani brata. Ale jeśli eksperci potwierdzą, że pod osobą Leonida Paraskiewicza ukrywała się rzeczywiście ona, to nie dostaniecie nic. Ani kopiejki. Tak został sporządzony testament.

W tym momencie Niełasowa nie wytrzymała:

- Ależ jak można te brednie traktować poważnie?! Przecież to wariatka, kompletnie zblizowała na punkcie tego swojego pisarza! Słyszała różne głosy, widziała zjawy! Była niepoczytalna!

- Tak - z satysfakcją mruknął Gordiejew. - A więc niepoczytalna? Głosy, zjawy? Niech pani dobrze się zastanowi. Nie dalej jak jakieś piętnaście minut temu twierdziła pani, że Ludmiła była zupełnie normalna.

I znowu zapadło milczenie. Jeśli małżonkowie Niełasowie mieli jakieś pojęcie o grze w szachy, to powinni byli się domyślić, że Gordiejew zastosował widełki.

- Zaskarżymy ten testament. Udowodnimy, że Ludmiła była niezdolna do podjęcia czynności prawnych w chwili, gdy wymyśliła te bzdury - oznajmił Niełasow.

- Proszę. - Pułkownik rozłożył ręce. - Macie takie prawo. Ale w tym wypadku będziecie musieli zrezygnować z próby oskarżenia Kamieńskiej o doprowadzenie waszej krewnej do samobójstwa. Jeśli Ludmiła Isiczenko była psychicznie chora, to nikt nie mógł przewidzieć jej zachowania ani na nie wpływać. Chorzy ludzie są zdolni do niezwykłych i nieobliczalnych czynów i nikt nie jest winien, że je popełniają. A zatem wybierajcie. Mógłbym powiedzieć wam od razu, że z waszej skargi na Kamieńską nic nie wyjdzie, ponieważ wasz adwokat to żaloszny nieuk, który nie zna prawa. Ale wy wolicie wierzyć jemu niż mnie. A więc oszacujcie, co wam się bardziej opłaca: spadek czy mityczne pięćset milionów, które zamierzaliście od nas wyprocesować z

pomocą waszego ignoranta. Jeśli Isiczenko była zdrowa, spotkamy się w sądzie. Jeśli chora, walczcie o anulowanie testamentu. I tutaj wasze szanse rosną. Mamy mnóstwo zeznań świadków, mówiących o tym, że wasza krewna była ciężko chora.

- Musimy się zastanowić - wybąkał Niełasow. - To wszystko tak nagle na nas spadło...

- Zastanówcie się - przyzwolił Wiktor Aleksiejewicz. -1 jeśli dojdziecie do wniosku, że Ludmiła była chora, udajcie się do prokuratury miejskiej, do śledczego Olszańskiego. Jeszcze was nie wzywał?

- Wzywał. Na dzisiaj, na trzecią.

- No cóż, macie czas, żeby to przemyśleć. Chcecie coś jeszcze dodać?

Małżonkowie wstali bez słowa i opuścili gabinet pułkownika Gordiejewa.

Natalia Dosiukowa drżącymi palcami otworzyła kopertę, którą przyniósł jej nieznajomy mężczyzna o nieprzyjemnym wyglądzie. Powiedział, że wypuszczono go z kolonii karnej, gdzie Jewgienij odsiaduje karę, i że przywiózł od niego list. Natalia rzadko dostawała listy i nigdy nie przynosiły jej złych wiadomości. Ale i tak strasznie się denerwowała.

„Nataszko! Teraz, kiedy minęły dwa tygodnie od Twoich odwiedzin, zacząłem rozumieć, że byłem wobec Ciebie arogancki. Wybacz mi, Moja Droga. Pewnie powinienem był zachować się inaczej, spędzić te trzy godziny tak, żeby można je było później przyjemnie wspominać. A ja pamiętam tylko twoje łzy i smutne oczy. Jeszcze raz cię przepraszam.

Bardzo liczę na to, że zrobisz wszystko w sprawie mojego uwolnienia. Jeszcze raz powtarzam: nie żałuj na nic pieniędzy, wolność nie ma ceny. Jeśli trzeba, sprzedaj dom za miastem i jeden samochód, masz wszelkie pełnomocnictwa. Jestem pewien, że razem z Nikołajem Grigorjewiczem zdołacie zrobić wszystko jak należy, musicie się tylko postarać.

Trzymaj się, Moja Droga. Wiem, że jest Ci ciężko, ale się trzymaj.

Kiedy znowu będziemy razem, odwdzięczę Ci się za wszystko, co musiałaś wycierpieć”.

Łzy ciekły Natalii po policzkach, spływając po szyi i łaskocząc ją, ale Natalia tego nie zauważała. Boże kochany, on myśli o niej, przejmuję się, współczuje. I ani słowa skargi! Można pomyśleć, że ona jest w gorszej i trudniejszej sytuacji niż on. Co za ogromna siła ducha, pomyślała Natalia z podziwem. A Żenią zamierza jeszcze odwdzięczyć się jej za wszystko, co dla niego robi. Gdyby wiedział, co naprawdę zrobiła! Nie da się tego wybaczyć. To niemożliwe. Ale skąd mogła wiedzieć, jaki on jest? Czy mogła przypuszczać, że jest tak silny, niezłomny i dumny?

Kłamiesz, przerwała sama sobie, doskonale o wszystkim wiedziałaś. Właśnie dlatego nie mogłaś tak długo wyjść za niego za męża. Nie potrafiłaś sobie z nim poradzić, bo jest silny, niezależny i wcale cię nie potrzebował. Ale kiedy był tutaj, obok, te cechy ci przeszkadzały, nienawidziłaś go za nie. A teraz je podziwiasz? Co z tobą, Natalio?

Kocham go, pomyślała z przerażeniem. Kocham go. Boże, co ja teraz zrobię?

O drugiej Stasow wyjechał z biura, musiał odebrać Lilę ze szkoły i odwieźć do domu. W zasadzie Lila była dzieckiem samodzielnym i długą drogę z Sokolnik, gdzie znajdowało się mieszkanie Margarity i szkoła, do Czeriomuszek, gdzie mieszkał Stasow, bez problemu pokonywała nie raz sama. Jednakże Stasow bardzo chciał ją odebrać. Ojcowskie serce biło niespokojnie na myśl, jakie niebezpieczeństwa mogą czyhać na dziewięcioletnią dziewczynkę w dużym mieście. Zresztą ważne, że Lila będzie zadowolona, wiedział o tym.

- Dostałam szmatę, tato - spokojnie oznajmiła, gdy wsiadła do samochodu. - Z wychowania fizycznego.

- Szmatę? To znaczy dwójkę?

- Uhm.

- A za co?

- Zapomniałam stroju.

- No wiesz, Lilu? - z wyrzutem rzekł Stasow. - Nie możesz być taka zapominalska.

- Mama pakowała mnie w pośpiechu - wyjaśniła dziewczynka rzeczowo. - No i zapomnieli go włożyć.

- Do mamy przyjazdu będzie jeszcze wf?

- Będzie, w piątek. A później jeszcze w poniedziałek. I w środę.

- Niech to licho porwie! O czym wy z mamą myślałyście, kiedy pakowałyście torbę! Będziemy musieli jechać do sklepu, żeby kupić nowy strój.

- Tato, a może napiszesz mi usprawiedliwienie, co? - nieśmiało poprosiła Lila. - Po co wydawać pieniądze, mama przecież wróci za tydzień.

Stasow roześmiał się w duchu. Jasne, to typowe dla Liii, która nie znosi lekcji wychowania fizycznego, bo jest zbyt tęga i żadne ćwiczenie gimnastyczne jej się nie udaje. Ale z niej spryciara!

- Zobaczymy - odparł krótko. - Jeśli się będziesz dobrze sprawować.

Jednakże w głębi duszy dobrze już wiedział, że napisze usprawiedliwienie.

W domu Stasow prędko odgrzał obiad, który gotował w przeddzień do późnego wieczora.

- Lilu - zaczął surowo - muszę wracać do pracy, przyjdę późno. Jeśli będziesz głodna, zjedz sałatkę i kanapkę, sałatka jest w salaterce, kiełbasa w lodówce. Jeśli zadzwoni ciocia Tania, powiedz, że kupiłem jej bilet na 3 stycznia. Nie zapomnisz o tym?

- A kiedy ona przyjedzie?

- Obiecała trzydziestego rano. Pojedziemy ją odebrać.

- A ciocia Ira? Też przyjedzie?

- Nie, kotku, ciocia Ira zostanie w Petersburgu.

- Dlaczego? Nie chce przywitać z nami Nowego Roku?

- Kotku, ciocia Ira jest dorosła i ma swoje życie. Przecież wiesz, że przez cały czas zajęta jest pomaganiem Tani, gotuje jej, sprząta mieszkanie. Ona też musi trochę odpocząć, pomieszkać sama.

- Jasne - po głębokim zastanowieniu rzekło dziecko. - Pewnie wujek Jura Mazajew przyjedzie do niej na Nowy Rok. Tak, tato? Zgadłam?

- Możliwe - wymijająco odparł Stasow, zdziwiony przenikliwością córki.

Rzeczywiście takie mieli plany. Tatiana przyjeżdża świętować do niego, a jej krewna Irocza, która mieszka razem z nią, przywita Nowy Rok w towarzystwie swojego ukochanego z Nowosybirsk.

- Tato, czy oni się pobiorą?

- Lilu, to zupełnie nie powinno cię interesować - surowo rzekł Stasow. - Zupełnie. To dorośli ludzie i sami zdecydują. Skąd w tobie to nieodparte pragnienie, żeby wszystkich wokół swatać? Moim zdaniem wystarczy, że my z cicią Tanią się pobraliśmy.

- Nie - zaprzeczyła Lila, przekonana o słuszności swojej logiki. - Nie wystarczy. Jeszcze mama musi wyjść za mąż za Borisa Josifowicza, a ciocia Ira za wujka Jurę. Wtedy wszystko będzie w porządku.

- A co? Teraz nie jest w porządku? Lilu, mów natychmiast, co ci nie pasuje. Z czego jesteś niezadowolona?

- Oj, tato! - Córka spojrzała na ojca jak na ograniczonego tępaka. - Jak możesz tego nie rozumieć? Ludzie powinni mieć rodziny. Muszą brać ślub, wtedy wszystko jest w porządku i dopiero wtedy są szczęśliwi.

- Lila! - z przerażeniem jęknął Stasow. - Skąd ci to przyszło do głowy? Gdzie się tego dowiedziałaś?

- Przecież we wszystkich książkach o tym piszą - odparła zdziwiona. - Wszystkie powieści kończą się ślubem i to uważa się za szczęśliwe zakończenie.

- Nie wszystkie - autorytatywnie oświadczył Stasow, z irytacją zauważając, że dał się wciągnąć w dyskusję, zamiast raz na zawsze wyjaśnić córce, że wtykanie nosa w życie osobiste dorosłych jest rzeczą niegrzeczną. - Jest mnóstwo wspaniałych książek, które też się dobrze kończą, ale nie ma w nich nic na temat ślubu. Po prostu jeszcze ich nie czytałaś.

- Tak? A jakie? Masz je?

Do diabła, co za kretyn ze mnie, zwymyślał się w duchu Stasow. Dałem się pociągnąć za język. Bez ślubu dobrze się kończą tylko kryminały, a i to nie wszystkie, oraz powieści przygodowe. Książek przygodowych Lila w ogóle nie czyta, nie interesują jej. A na kryminały jest jeszcze za wcześnie. Tyle się tam krwi leje, że później nie będzie mogła spać ze strachu. Albo co gorsza obrazowo opisuje się gwałty...

Nie mógł się jednak wycofać. Pytanie zostało zadane i musiał na nie odpowiedzieć.

- Jest na przykład książka o Robinsonie Crusoe. I inna wspaniała książka o podróżach Guliwera. Lepiej byś je obie przeczytała zamiast tych ciągnących się w nieskończoność powieści Barbary Cartland.

- O podróżach nie lubię - z przekorą oświadczyło szarookie dziecko - a o Robinsonie Crusoe już czytałam. Książki o miłości są ciekawsze.

- Dobra, kotku, teraz wyjeżdżam, a ty siadaj do lekcji. Nie leń się.

Stasow wrócił do pracy, gdzie znowu pochłonęły go codzienne sprawy. O ósmej wieczorem udał się do Natalii Dosiukowej. Chciał wyjaśnić do końca kwestię dziwnego nawyku jej skazanego męża, polegającego na trzymaniu papierosa koniuszkami dwóch palców.

Natalia wyglądała na zdenerwowaną i przybitą, ale bardzo się starała tego nie okazywać.

- Filmy wideo? - zapytała ze zdziwieniem. - Oczywiście, że mamy. Kiedy jeździliśmy z Żenią na urlop, zawsze brał kamerę. A co pan chce zobaczyć na tych filmach?

- Sam nie wiem - wyznał Stasow. - Ale przyjąłem od pani zlecenie, więc muszę szukać najbardziej nieprawdopodobnych sposobów, żeby ją wykonać. Zwyczajnymi sposobami jakoś mi za bardzo nie wychodzi.

- Co pan ma na myśli?

- Nie potrafię odkryć żadnych śladów przekupienia świadków albo udowodnić ich nierzetelności. Muszę fantazjować, wymyślać. Rozumie pani?

- Niespecjalnie, ale to pan się na tym zna. Chce pan teraz obejrzeć filmy?

- Jeśli się pani zgodzi. Mógłbym w zasadzie obejrzeć je w domu, ale pewnie będę miał dużo pytań o osoby, które pojawią się w kadrze. Może uda mi się coś wysondować.

- Dobrze. - Natalia westchnęła, lecz Stasow zauważył, że jego propozycja nie wzbudziła w niej entuzjazmu.

Usiedli przed telewizorem i zaczęli przeglądać kasety.

- To my w Hiszpanii - komentowała Natalia. - To na plaży, a to basen w naszym hotelu. Tu wieczorami piliśmy kawę na nabrzeżu...

Stasow docenił gust Jewgienija Dosiukowa - hotel należał do drogich, zbudowany został z głową i z troską o gości. Z ciekawością przyglądał się Dosiukowowi, zwracając uwagę na surową twarz bez uśmiechu, gwałtowne ruchy, zimne spojrzenie. Tutaj siedzi w kawiarni, ma na sobie szorty i zwyczajną białą koszulkę, która podkreśla brązową opaleniznę. Pije coś z wysokiej szklanki, w ręce ma papierosa, którego zaciska pomiędzy wskazującym i środkowym palcem. Jeszcze jeden obrazek, na którym Dosiukow pali, i znowu wcale nie trzyma papierosa tak, jak opisywał to świadek Prigarin. Dziwne. Wygląda na to, że w towarzystwie ma inne nawyki, niż kiedy jest sam. No cóż, bywa i tak.

- Natalio Michajłowno, jakie papierosy zwykle palił pani mąż?

- Camele. Żadnych innych nie uznawał.

- Jak długo się znacie?

- Do chwili aresztowania cztery lata. Teraz już pięć.

- I przez cały ten czas palił tylko camele?

- Tak. A o co właściwie chodzi?

- Nigdy pani nie wspominał, że palił kiedyś papierosy bez filtra?

- Nie. - Dosiukowa pokręciła głową. - Nic takiego nie mówił. Ale może tak było, nie wiem.

- Jeszcze jedno pytanie, Natalio Michajłowno. Może wydać się pani dziwne, a nawet obcesowe, ale proszę się nie obrażać i odpowiedzieć.

- Oczywiście, proszę pytać.

- Czy aresztowanie pani męża w związku z zabójstwem Borisa Krasawczikowa było jego pierwszym zetknięciem się z milicją? Może

wcześniej też zdarzało mu się, że bywał zatrzymywany i trafiał do aresztu? Na przykład w młodości, kiedy był jeszcze niepełnoletni?

- Nie... - Natalia z zakłopotaniem spojrzała na Stasowa. - To znaczy... nie wiem... Żenią nic nie mówił. A dlaczego pan o to pyta?

- Na wszelki wypadek, a nuż się przyda. Skoro prowadzę śledztwo w interesie pani męża, muszę wiedzieć o nim jak najwięcej.

W tej chwili Stasow nie potrafiłby wyjaśnić, dlaczego nie powiedział Natalii o zeznaniach Władimira Pietrowicza Prigarina. Nie powiedział, i koniec.

Teraz na ekranie telewizora pojawił się Big Ben i budynek angielskiego parlamentu. Dosiukow i Natalia spacerowali po Londynie. Obok nich Stasow zauważył jeszcze jedną parę, najpewniej rosyjskiego pochodzenia.

- To wasi znajomi? - zapytał.

- To Boris - cicho odparła Natalia. - Boris Krasawczikow i jego dziewczyna. Pojechaliśmy wtedy razem, akurat na majówkę.

- Pani mąż przyjaźnił się z Borisem?

- Nie żeby się przyjaźnił... Byli po prostu dobrymi znajomymi.

Później oglądali filmy zrobione w Paryżu, Amsterdamie, Brukseli, Miami. Nic nie rzuciło się Stasowowi w oczy. Ale na wszystkich kadrach Jewgienij Dosiukow trzymał papierosa jednakowo - między wskazującym i środkowym palcem.

Nastia razem z Korotkowem kręcili się po Moskwie w poszukiwaniu kart zdrowia Ludmiły Isiczenko i Leonida Paraskiewicza, ustalając przy okazji grono ich znajomych. W pierwszej kolejności odwiedzili przyjaciół Paraskiewicza, u których pisarz zjawił się dzień przed śmiercią. Było to małżeństwo - znajomi Paraskiewicza jeszcze z czasów uniwersyteckich.

- Chciałbym, żebyście sobie państwo przypomnieli jak najdokładniej tamten wieczór - poprosił Korotkow.

- Ale nas już przesłuchiowano, i to niejednym razem. - Małżonkowie zdziwili się. - Wszystko powiedzieliśmy.

Mówili prawdę. Olszański rzeczywiście przesłuchiwał ich kilkakrotnie, próbując ustalić, czy Paraskiewicz nie wspominał, że ktoś go prześladowa, grozi mu albo może szantażuje. Tamte przesłuchania miały na uwadze całkiem konkretny cel - zdobyć informację, która pozwoli rzucić światło na przyczynę zabójstwa i osobowość przestępcy. Teraz jednak zadanie było zupełnie inne, ale dla dobra eksperymentu nie należało mówić jakiegokolwiek, żeby przesłuchiwanym niczego nie sugerować.

- Mimo wszystko będziemy musieli porozmawiać jeszcze raz. Zaczniemy od samego początku. Leonid przyjechał niespodziewanie czy umawiał się z państwem wcześniej?

- Zadzwoił, że wpadnie jakiś dzień albo dwa przed spotkaniem.

- Czy wizyta miała konkretny powód, czy po prostu przyjechał, żeby się zobaczyć z przyjaciółmi?

- Nie, żadnego szczególnego powodu nie miał. Zadzwoił i powiedział, że to po prostu skandal, tak rzadko się widzimy, o starą przyjaźń trzeba dbać i tego typu rzeczy.

- A znacie państwo jego żonę?

- Tak, oczywiście, przecież studiowaliśmy na jednym roku.

- Leonid wyjaśnił wam, dlaczego przyjechał bez niej?

- Nie. Wprawdzie zapytaliśmy, gdzie jest Swieta, ale on jakoś się wymigał od odpowiedzi, więc pomyśleliśmy, że pewnie się pokłócili i dlatego przyszedł sam.

- W jakim był nastroju?

- Wie pan, w jakimś dziwnym. Jakby czymś podekscytowany, wzburzony, a zarazem na wszystko obojętny. Jakby coś go niepokoiło i trapiło, i to tak mocno, że do niczego innego nie miał głowy.

- Możecie państwo podać przykład?

- Przykład? Chyba tak... Zaczęliśmy rozmawiać o jego ostatniej książce, zawsze bardzo go interesowała opinia innych. Lonia należał do tych nielicznych osób, które chętnie przyjmują krytykę. Zawsze drobiazgowo wypytywał, co się nie podobało w jego książkach, jakby się uczył na własnych błędach. Mówił, że uwagi to nie krytyka, ale życzenia

czytelników, a kaprys klienta to dla sprzedawcy najwyższe prawo. Jaki jest sens produkować towar, który nie podoba się klientowi? No więc tamtego wieczoru zaczęliśmy rozmowę o nowej książce, a on w ogóle nie reaguje, nie słyszy. Zaniknął się w sobie i jak gdyby się wyłączył. Szczerze mówiąc, pomyśleliśmy, że pokłócił się ze Swietą i się tym przejmuję. Ale nie wypytywaliśmy go.

- Proszę powiedzieć, czy Leonid miał jakieś rzeczy, które od państwa pożyczył? Może pieniądze?

- Nie, pieniędzy nigdy od nas nie pożyczał. Aha, akurat tamtego dnia odwiózł nam myszkę.

- Myszkę?

- No tak, myszkę do komputera. Widzi pan, kiedy kupili ze Swietą komputer, Lonia gdzieś zapodział swoją myszkę, a on bez komputera jak bez ręki. Oddałem mu swoją, bo pracuję tylko w Leksikonie* i myszka nie jest mi potrzebna. Później myszka Loni się znalazła i ciągle mnie zapewniał przez telefon, że na pewno zwróci mi moją, ale podczas spotkań obaj o tym zapominaliśmy, zwłaszcza że ja jej w ogóle nie potrzebuję. Odwiózł ją tamtego wieczoru.

*Leksikon - rosyjski edytor tekstu, popularny pod koniec lat 80. i na początku 90. (przyp. tłum.).

- Czy pamiętacie, co mówił, wychodząc?

- Nic szczególnego. Wyszedł jak zwykle. Ubrał się i pożegnał.

- Jakich słów użył? Co konkretnie powiedział na pożegnanie?

- To, co zwykle. Pocałował nas, objął. „Trzymajcie się, moi drodzy, powiedział. Niech wam się wiedzie. Bardzo was kocham”.

- Zawsze tak mówił przy pożegnaniu?

- W zasadzie tak... Chyba oprócz tego, że nas kocha. Wcześniej tak nie mówił.

W drodze do przychodni rejonowej, gdzie mieszkali rodzice Paraskiewicza, Nastia i Korotkow dokonali wstępnego podsumowania. Leonid przyjechał do swoich bliskich przyjaciół bez wyraźnego powodu, odwiózł rzecz, którą dawno powinien był oddać. Regulował długi przed

śmiercią? Przyjechał sam, bez żony, choć się nie pokłócili, sądząc z jej zeznań. Wiedział, że na progu własnego mieszkania czeka go śmierć, i nie chciał, żeby Swietłana to zobaczyła? Rozstał się z przyjaciółmi, wypowiadając niezwykle ciepłe słowa. Żegnał się na zawsze? Możliwe, wszystko było bardzo możliwe.

Dzień wcześniej odwiedzili przychodnię w dzielnicy, gdzie Paraskiewicz wraz ze Świetlaną mieszkali kilka lat po ślubie, ale nie znaleźli tam jego karty zdrowia.

- Czyżby przez sześć lat ani razu nie zachorował? - dziwił się Korotkow.

- Może chorował, ale nie potrzebował zwolnienia. Przecież pracował w domu, nie chodził do pracy. Dlatego nie odwiedzał przychodni. Ale tam, gdzie mieszkał przed ślubem, powinien mieć kartę. Był wtedy studentem, bez zwolnienia lekarskiego by sobie nie poradził.

Nastia miała rację. W przychodni obsługującej dzielnicę, w której mieszkali rodzice Leonida, jego karta się znalazła. W archiwum przychodni dziecięcej w tej samej dzielnicy odszukano im również pierwszą kartę Paraskiewicza, ponieważ do czternastego roku życia leczył się właśnie tam. Pojechali więc do prokuratury, wzięli od Olszańskiego decyzję o zajęciu dokumentów i zabrali obie karty. Okazało się jednak, że w karcie z przychodni dziecięcej znajdują się informacje o stanie zdrowia Leonida dopiero po ukończeniu przez niego piątego roku życia.

- No teraz już mnie nie przekonasz, że nie chorował - stanowczo oznajmił Korotkow. - Jako doświadczony ojciec powiem ci, że nie ma takich dzieci, które do piątego roku życia ani razu nie chorują.

- Może mieszkali wcześniej w innym miejscu. - Nastia westchnęła. - Dopiero teraz wprowadzono porządek, pacjenci sami przechowują swoje karty. A pamiętasz, jak było wcześniej? Nie wolno było nawet dotknąć karty, z rejestracji pielęgniarki roznosiły je do gabinetów lekarzy. Kiedy ktoś się przeprowadzał, karty też nie zwracano, robiono krótki wypis, jeśli to było potrzebne, albo w ogóle nic nie dawano. A ty idź i

udowadniaj w nowej przychodni, że jesteś przewlekle chory albo że masz alergię na jakieś lekarstwo. Będziemy musieli zapytać Galinę Iwanownę, gdzie mieszkali w tamtym czasie. Tylko sam z nią porozmawiaj, ja na jej widok dostaję dreszczy.

Dowiedzieć się, gdzie Leonid Paraskiewicz spędził wczesne dzieciństwo, udało im się dopiero wieczorem, kiedy Galina Iwanowna wróciła z pracy. Okazało się, że Lonia urodził się w Czechowie pod Moskwą, gdzie w tamtym okresie mieszkała rodzina Paraskiewiczów. Perspektywa, żeby się wlec do Czechowa, niezbyt się Nasti uśmiechała, zwłaszcza że nazajutrz Korotkow był mocno zajęty i nie mógł jej zawieźć.

Zadzwonili z automatu do Olszańskiego, licząc na to, że śledczy uwolni Nastię od przykrego obowiązku. Ale sztuczka się nie udała.

- Bez karty się nie obejdzie - kategorycznie oznajmił Konstantin Michajłowicz. - Mało tego, potrzebna jest również karta z kliniki położniczej z informacją, jak przebiegał poród i czy ciąża nie była patologiczna. Skoro przeprowadzamy pośmiertną ekspertyzę psychologiczną, ważne jest wszystko, nawet najdrobniejszy szczegół, żeby zrozumieć, jakie Paraskiewicz mógł mieć odchylenia. Czy to jasne, Nastiu?

- Jasne.

- W takim razie biegiem do mnie, wydam postanowienie, a jutro z samego rana pojedziesz do Czechowa. Przy okazji poszukaj tam byłych sąsiadów, którzy mogą pamiętać babcię i dziadka Leonida. Popytaj, czy nie mieli jakichś kłopotów zdrowotnych. Nie chcę pytać Galiny Iwanowny, bo i tak nie powie prawdy.

Nasti i Korotkowowi nie pozostało więc nic innego, jak znowu wsiąść do samochodu i pojechać do prokuratury miejskiej.

Twierdzenie, że lenistwo jest motorem postępu, Nastia Kamińska uważała za prawdę absolutną. Osobniki zdolniejsze i bardziej utalentowane z niechęci do ciężkiej pracy fizycznej wymyślały różne narzędzia i mechanizmy. Mniej zdolni, do których Nastia zaliczała

również siebie, z lenistwa stawali się pomysłowi. Tłuc się pociągiem podmiejskim do Czechowa nie miała najmniejszej ochoty, ale zamiast się poddać i sumiennie wykonać polecenie śledczego, zaczęła kombinować, jak wzbudzić ciekawość Stasowa i tym samym skłonić go, by podwiózł ją samochodem. I, o dziwo, wykombinowała.

- Wład, muszę jechać do archiwum sądu przejrzeć pewne akta. Pomyślałam, że mogą cię zainteresować akta Dosiukowa. Chcesz, to przeczytam, co potrzebujesz?

Niczego niepodejrzewający Stasow od razu przystał na tę propozycję i zaczął wyliczać pytania, na które chciał otrzymać odpowiedzi z materiałów akt.

- Najważniejsi są świadkowie, którzy z tych czy innych powodów nie zostali wezwani do sądu albo byli wezwani, ale się tam nie zjawili. Krótko mówiąc, osoby, których nazwisk nie ma w wyroku - wyliczał starannie. - Później wyniki wszelkich kontroli samego Dosiukowa, informacje, dokąd wysyłano zapytania i jakie otrzymano odpowiedzi...

Nastia wszystko zapisała, a pod koniec zaczęła zarzucać wędkę:

- Zamierzam wpaść do archiwum jutro po południu, ale boję się, że będę musiała to przełożyć.

- Dlaczego?

- Muszę rano jechać do Czechowa, co zajmie sporo czasu...

Przynęta chwyciła i pięć minut później Nastia była umówiona ze Stasowem, że o dziewiątej rano po nią zajędzie.

- Słuchaj, czy ktoś ci mówił, że jesteś istotą pozbawioną sumienia? - zapytał ją mąż.

- Jesteś pierwszy, możesz być dumny jak paw. - Nastia uśmiechnęła się.

- Wszystkie te twoje sztuczki są grubymi nićmi szyte.

- Dla ciebie tak, bo przez lata poznałeś mnie na wylot. Ale dla Stasowa są w sam raz.

- Asieńko, przecież to nieprzyzwoite. Dlaczego nie powiedziałaś mi, jaki masz problem? Odwiózłbym cię.

Nastia podeszła do męża siedzącego na kanapie przed telewizorem, objęła go i przytuliła się policzkiem do jego rudych potarganych włosów.

- Bo nie chcę, żebyś mnie odwoził. Znasz jedno z przykazań w naszej pracy? Nie wciągać w nią bliskich.

- A co, to jakiś niebezpieczny wyjazd? - Aleksiej zaniepokoił się.

- Skąd znowu, słoneczko, najzwyczajniejszy. Trzeba znaleźć przychodnię i klinikę położniczą, a potem skonfiskować tam karty zdrowia. Strzelaniny i pościgu nie przewidujemy.

- Więc czemu nie chcesz, żebym z tobą pojechał?

- Bo nie chcę, żeby widziano cię ze mną w pracy. Sto razy ci mówiłam, że nasi bliscy to nasz najszabszy punkt. Co innego, kiedy idziemy razem do teatru, a co innego, kiedy wykonuję zadania w twojej obecności. Zainteresowane osoby mogą pomyśleć, że orientujesz się w moich służbowych sprawach, i spróbują coś od ciebie wyciągnąć. Albo zaczną cię straszyć. Lub wymyślą jakieś inne świństwo. Nie, Loszeńka, nie chcę, żeby mnie z tego powodu głowa bolała. Spokojnie pojedę ze Stasowem, o niego się nie martwię, jest dziesięć razy silniejszy i bardziej doświadczony ode mnie.

- Ale mogłabyś wziąć po prostu samochód, jeśli nie chcesz, żebym cię zawiózł. - Aleksiej nie poddawał się. - Po co masz fatygować Stasowa?

- Loszyk, przecież wiesz, że nie cierpię prowadzić. Boję się samochodu. A zresztą może się zepsuć. Co wtedy zrobię?

- A samochód Stasowa oczywiście się nie psuje. Jest zaczarowany - zadrwił mąż.

- Jeśli jego samochód się popsuje, to po pierwsze, naprawi go, bo jest mężczyzną i wie, jak to zrobić, a po drugie, zawsze mogę wsiąść do pociągu i wrócić do Moskwy. A jeśli będę siedzieć za kierownicą twojego samochodu, to nie zostawię go i będę tam sterczeć jak słup.

- A Stasowa zostawisz?

- Zostawię - odparła bez wahania. - Stasow jest dorosłym, zaradnym facetem, a samochód jest mały i głupi, nie wolno go zostawiać samego,

bo na pewno ktoś się na niego połaszczy.

- A niech cię, Aśka. - Losza roześmiał się. - Nie dasz się przekonać. Na wszystkie pytania masz odpowiedź.

- Też coś - odrzekła zamyślona. - Gdybym na wszystkie twoje pytania miała odpowiedź, to byłabym najlepszym detektywem świata.

Wcześniej rano Stasow odwiózł Lilę do szkoły i pojechał na szosę Szczołkowską, gdzie mieszkała Nastia Kamieńska. Przy drzwiach wejściowych do budynku zamiast Nasti stał jej mąż, który oznajmił, że nigdzie ich nie wypuści bez gorącego śniadania. Stasow nie oponował, bardzo lubił Aleksiej a, a i filiżanka kawy wydawała się wcale nie głupim pomysłem.

Do Czechowa przyjechali koło jedenastej. Dość prędko znaleźli przychodnię dziecięcą, ale ku ich rozczarowaniu okazało się, że karty sprzed dwudziestu lat może odszukać w archiwum tylko jedna pani, która przyjdzie nie wcześniej niż za godzinę.

- Jest na emeryturze - oznajmiono im w rejestracji. - Pracuje kilka godzin, na pół etatu. Dzisiaj akurat od pierwszej do piątej.

- A gdzie znajdziemy klinikę położniczą?

- Trzy przecznice dalej.

Udali się do kliniki położniczej. Gdy weszli na piętro, gdzie mieścił się gabinet ordynatora, Stasow usiadł na miękkiej skórzanej kanapce i wyciągnął długie nogi. W czasie kiedy Nastia rozmawiała z szefostwem lecznicy, miał zamiar poczytać gazetę. Niestety, okazało się, że gazeta została w samochodzie, więc zaczął przyglądać się ścianom w poszukiwaniu czegoś, na czym mógłby zawiesić wzrok - gazetki ściennej, pogładowej agitacji albo ogłoszenia dla członków związku zawodowego. W odległym kącie korytarza zauważył tablicę ze zdjęciami i podszedł bliżej. Pod dużym napisem „Nasi weterani” umieszczono portrety lekarzy, pielęgniarek, niań i pracowników administracji. Przebiegając wzrokiem po nieznanym twarzach, Stasow drgnął. Z jednej fotografii prosto na niego spoglądała twarz Władimira Pietrewicza Prigarina.

ROZDZIAŁ 14

Dopiero kiedy znowu wsiedli do samochodu, Nastia zauważyła, że Stasow jest czymś wzburzony.

- Wład, coś się stało? - zapytała z niepokojem.

- Nic. Po prostu kolejny zbieg okoliczności. A zbiegi okoliczności z jakiegoś powodu wytrącają mnie z równowagi. Taka przypadłość umysłu.

- O jaki zbieg okoliczności chodzi?

- W klinice pracował jeden ze świadków w sprawie Dosiukowa.

- Zatrzymaj samochód! - zażądała Nastia.

- Po co?

- Hamuj, Stasow.

Mężczyzna posłusznie zatrzymał się na poboczu i wyłączył silnik.

- Jak się nazywa świadek?

- Władimir Pietrowicz Prigarin.

Nastia zaczęła prędko przeglądać kartę zdrowia.

- Co chcesz tam znaleźć?

- Ciekawa jestem, czy może ów Prigarin przypadkiem przyjmował poród mojej Paraskiewicz?

- No i co z tego, jeśli przyjmował?

- Nic. Ale to ciekawe. W odróżnieniu od ciebie ja lubię zbiegi okoliczności. Czynią nasze szare i monotonne życie piękniejszym - mruzczała, kartkując strony. - Tak, tu jest notatka lekarza o przebiegu porodu. Ale podpis taki, że nie można odczytać nazwiska. Zawijas z ogonkiem. Skręcaj, Stasow, wracamy.

- Po co? Czego chcesz się dowiedzieć?

- Chcę się dowiedzieć, czyj to podpis.

- Nawet jeśli Prigarina, to co z tego?

Nastia zamknęła kartę, odwróciła się do Stasowa i uważnie nań popatrzyła.

- Władik, oszukujesz mnie czy samego siebie? Przecież pierwszy powiedziałeś, że nie podoba ci się ta zbieżność.

- Mało to rzeczy mi się nie podoba - burknął Stasow. - Różne głupstwa przychodzą mi do głowy, nie ma się co przejmować za każdym razem.

- Stasow, jesteś profesjonalistą z dwudziestoletnim stażem. Jeśli coś ci się nie podoba, trzeba to sprawdzić i się uspokoić. Twoja intuicja zaczyna działać, zanim mózg się uaktywni, to choroba wszystkich zawodowców.

- Siebie do nich nie zaliczasz?

- Na razie nie, jestem jeszcze zielona, do prawdziwego zawodowca mi daleko. Dlatego prawie wcale nie kieruję się intuicją, przeważnie poprzestaję na logice i analizie. Ale ty mnie nie zagaduj, tylko skręcaj, wracamy do kliniki.

Tym razem do gabinetu ordynatora weszli razem.

- Coś jeszcze? - Mężczyzna z niezadowoleniem uniósł głowę, odrywając się od papierów rozłożonych przed nim na biurku.

- Jedno małe pytanie. - Nastia uśmiechnęła się grzecznie, wręczając mu kartę, zawczasu otwartą na odpowiedniej stronie. - Proszę spojrzeć, czyj to podpis?

Ordynator przez kilka sekund przyglądał się zawijasowi.

- Wygląda na podpis doktora Prigarina, ale on już u nas nie pracuje. Odszedł na emeryturę.

- Co to znaczy: wygląda? - Nastia nie ustępowała. - Może ma pan tu jakiś dokument podpisany przez Prigarina?

- Zaraz poszukam.

Podniósł się z westchnieniem i podszedł do sejfu.

- Władimir Pietrowicz jako jeden z najbardziej doświadczonych lekarzy z długim stażem pomagał mi w ostatnich latach sporządzać

wszelkie sprawozdania i notatki. Zaraz czegoś poszukam, zazwyczaj nie niszczę dokumentów dość długo. O, mam.

Podał Nasti kilka kartek zapisanych drobnym, niewyraźnym charakterem pisma. Oczywiście przez dwadzieścia osiem lat, które minęły od chwili, kiedy Galina Iwanowna Paraskiewicz urodziła syna, charakter pisma trochę się zmienił, ale tylko trochę. Podpis stał się mniej zamaszysty, za to dołączył do niego niepotrzebny zawijas.

- Proszę przeczytać, co tu jest napisane w karcie - poprosiła Nastia. - Może na podstawie treści stwierdzi pan, czy to pisał Prigarin.

Lekarz zagłębił się w gryzmołach, po czym odchrząknął.

- To bez wątpienia Prigarin - oznajmił stanowczo. - Położnicy zrobiono cesarskie cięcie, a to mówi samo za siebie.

- To znaczy?

- Prigarin jest znakomitym chirurgiem, ma złote ręce. Przez trzydzieści lat, które tu przepracował, tylko on robił cesarskie cięcia. Oczywiście z wyjątkiem tych przypadków, kiedy przebywał na urlopie albo chorował. Ale to się zdarzało sporadycznie. Wtedy albo zapraszaliśmy innego specjalistę, albo kierowaliśmy położnicę do innego szpitala. Powtarzam jednak, że były to wyjątkowe sytuacje, bardzo rzadkie. Widzi pani, Władimir Pietrowicz to lekarz, jak to się mówi, z powołania. Nic nie było dla niego ważniejsze w życiu od położnictwa, oddychał nim, żył nim, uważał za swoją misję i najważniejszą sprawę w życiu. Urlop i tak zwykle spędzał na dacy, dwadzieścia kilometrów stąd, i zawsze można go było wezwać, jeśli należało zrobić cesarskie cięcie. Nalegał nawet, żeby w takich wypadkach koniecznie go wzywać. Ale jeśli się zdarzało, że jednak wyjeżdżał dalej albo przechodził jakąś infekcję, wtedy, oczywiście, musieliśmy obywać się bez niego. Mogę wiedzieć, czemu się tak interesujecie Władimirem Pietrowiczem?

- Naturalnie. - Nastia kiwnęła głową. - Zbieramy materiał do przeprowadzenia ekspertyzy sądowo-psychiatrycznej i byłoby dobrze, gdyby lekarz przyjmujący poród przypomniał sobie, czy nie towarzyszyły mu jakieś komplikacje.

- Ależ za pozwoleniem! - Ordynator ze zdumieniem wbił wzrok w pierwszą stronę karty. - Przecież to było Bóg jeden wie ile lat temu. Co on może pamiętać?

- Pewnie ma pan rację - przytaknęła Nastia. - Przepraszamy za kłopot. Miłego dnia.

Nastia i Stasow znowu wrócili do samochodu.

- No i jak twoja intuicja? - zapytała Stasowa. - Mówi coś czy milczy jak zaklęta?

- Myśli.

- Dobra, no to ruszamy. Przed nami jeszcze przychodnia.

Do Moskwy wrócili koło drugiej i Nastia, pamiętając złożoną dzień wcześniej obietnicę, poprosiła Stasowa, żeby ją zawiózł do archiwum.

- Zadzwoń do ciebie wieczorem i opowiem o sprawie Dosiukowa - obiecała na pożegnanie. - Jak intuicja? Nic nie wymyśliła?

- Nic - przyznał Stasow. - Ale będzie się starać.

Sołomon Jakowlewicz Zafrien, doktor habilitowany nauk filologicznych, akademik i autor licznych prac naukowych, sprawiał wrażenie, jakby zszedł ze stron starej powieści. Malutki, szczupłutki, siwobrody, w okularach o grubych szklach, za którymi wesoło błyszcząły bystre oczka, wyglądał na osobę, której wieku nie da się określić, mimo że śledczy Olszański doskonale wiedział, że ma już osiemdziesiąt cztery lata. Nie przeszkadzały one jednak Sołomonowi Jakowlewiczowi cieszyć się dobrym zdrowiem. Naukowiec nie zamierzał jeszcze rezygnować z naukowo-pedagogicznej działalności, przynajmniej w najbliższym czasie. Akademik żadną miarą nie chciał pozwolić, żeby o władnęła go powaga instytucji, w której obecnie przebywał, toteż nieustannie żartował i sypał wyszukаныmi komplementami pod adresem siedzącej naprzeciwko niego Świetłany Paraskiewicz.

- Sołomonie Jakowlewiczu, jakie materiały musimy panu przedstawić, żeby mógł pan wydać fachową opinię? - pytał Olszański.

- Robiłem takie ekspertyzy, serdecznie, dziesiątki razy, ale głównie na podstawie tekstów autorów, którzy już zmarli i nie można ich było o nic

zapytać. Ustalaniem autorstwa żyjących podmiotów zajmowałem się zaledwie kilka razy. Ale za każdym razem było to niewiarygodnie śmieszne. Ani razu jednak nie miałem okazji zobaczyć autora na żywo. Zaś w przypadku takiej czarującej kobiety nawet nie potrafię na poczekaniu wymyślić, o co by ją takiego poprosić, chyba że o dotrzymanie mi towarzystwa podczas długich zimowych wieczorów.

- Sołomonie Jakowlewiczu - z lekkim wyrzutem rzekł śledczy, starając się powściągnąć uśmiech.

- Tak, tak, kochany, przystąpmy do rzeczy. Do jakiego gatunku należą utwory, których autorstwo jest kwestionowane?

- Romanse - odparła Swietłana.

- Czas akcji?

- Współczesny. Wydarzenia rozgrywają się w okresie pomiędzy rokiem 1989 a chwilą obecną.

- Miejsce akcji?

- Moskwa, Petersburg... jednym słowem, środowisko miejskie.

- A zatem romans miejski. Rozumiem. - Akademik pokiwał głową. - Pastorałe pani nie interesują?

- Nie. Piszę tylko o mieście.

- Znakomicie, znakomicie. W takim razie proszę przygotować utwór na następujący temat. Akademik w podeszłym wieku, powiedziałbym nawet, że stary, taki jak ja, przeprowadza ekspertyzę utworów młodej ładnej kobiety, takiej jak pani. Podczas przeprowadzania ekspertyzy rodzi się między nimi i zaczyna płonąć gorącym ogniem pewne uczucie, które bohaterzy odbierają i oceniają w zupełnie odmienny sposób. To doprowadza do kolizji. Może pani napisać o tym opowiadanie na dwadzieścia pięć do trzydziestu stron?

- Nie wiem. - Swietłana z powątpiewaniem pokręciła głową. - Nigdy nie pisałam opowiadań. Powieść mogłabym napisać, ale opowiadanie...

- Ale nie mamy czasu czekać, aż napisze pani powieść. W takim razie zrobimy tak: proszę napisać konspekt, nakreślić charakterystyki głównych postaci i wątki fabularne. Proszę napisać dwa epizody w całości. Scenę

najbardziej burzliwej rozmowy młodej kobiety z akademikiem i scenę finałową, którą powieść się zakończy. To powinno w zupełności wystarczyć, żebym mógł określić tożsamość autora. W czasie gdy będzie pani tworzyć, przeczytam niektóre pani utwory. Ile czasu pani potrzebuje, żeby wykonać moje zadanie?

- Jakies trzy, cztery dni. Może tydzień.

- Nie więcej?

- Nie. Tydzień wystarczy.

- Znakomicie, znakomicie. - Z jakiegoś powodu akademik się ożywił.

- Przez tydzień akurat zdążę zapoznać się z pani twórczością, jeśli ona rzeczywiście jest pani. Konstantinie Michajłowiczu, czy takie terminy panu odpowiadają?

- Odpowiadają. Jak długo będzie pan pisał opinię?

- Och, dobrodzieju, w moim wieku niczego już nie należy robić długo, zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że można nie zdążyć do własnego pogrzebu. Analiza tekstów - oto na co pójdzie najwięcej czasu. A opinia to nie problem. Chyba że panu się spieszy?

- Nie pali się, Sołomonie Jakowlewiczu. No cóż, Swietłano Igoriewno - śledczy zwrócił się do wdowy - jeśli nie ma pani do mnie pytań, pożegnamy się już.

Świetłana miło się uśmiechnęła, włożyła krótkie futerko w niebieskawym kolorze i wyszła. Gdy drzwi się za nią zamknęły, akademik przysunął się do biurka Olszańskiego i złożył przed sobą ręce, jakby szykował się do długiej, poważnej rozmowy.

- Niech mi pan wybaczy, łaskawco, ale nieco się spóźniłem i kiedy przyszedłem, dama już tutaj była. Dlatego nie chciałem zadawać panu zbyt wielu pytań.

- A one się panu nasunęły?

- Naturalnie. Przede wszystkim pragnąłbym zrozumieć, skąd pojawiła się konieczność tak rzadkiej w obecnych czasach ekspertyzy. Czym mógł się narazić wymiarowi sprawiedliwości ten zwiewny motylek?

- Widzi pan, Świetłana Igoriewna jest wdową po znanym pisarzu. W każdym razie tak wszyscy uważaliśmy do niedawna. Jej mąż został zabity jakiś miesiąc temu.

- Co pan powie! Zupełnie nie sprawia wrażenia nieutulonej w żalu wdowy. Poważna młoda dama, która po prostu rzadko się uśmiecha.

- To całkiem inne pokolenie, Sołomonie Jakowlewiczu. W czasach pańskiej, a nawet mojej młodości dziewczętom wpajano, że najważniejszą rzeczą w ich życiu jest znalezienie męża i założenie rodziny. Przy czym mąż może być byle jaki, nawet trunkowy nierób, ale być musi, bo niezamężną kobietę uważano za nie w pełni wartościową. Wdowieństwo, szczególnie wczesne, stawało się tragedią nie tylko z powodu utraty bliskiej osoby, ale z powodu utraty męża, bo poszukiwanie nowego było rzeczą problematyczną, szczególnie dla kobiety w wieku czterdziestu pięciu czy pięćdziesięciu lat. Teraz te sprawy traktuje się inaczej. Wiele kobiet nie wychodzi za mąż dla zasady, mimo że nie cierpią na brak matrymonialnych propozycji. Po prostu nie jest im to potrzebne. A stratę bliskiej osoby osładza poczucie, że całe życie jest jeszcze przed nimi, że zdążą wszystko odbudować i stworzyć od nowa. I oto Świetłana Igoriewna oświadcza, że tak naprawdę autorką wszystkich książek, które przyniosły mężowi sławę, jest ona sama, a książki wychodziły pod imieniem i nazwiskiem małżonka za jego wiedzą i zgodą, ponieważ było to rzekomo lepsze z punktu widzenia sprzedaży. Teraz, jak pan się domyśla, musimy ustalić prawdę.

- Po co? - zdziwił się Zafrien. - Czy to ma jakiś związek z ustaleniem przyczyny jego śmierci?

- Kluczowy, Sołomonie Jakowlewiczu. Podczas śledztwa wyszły na jaw fakty pozwalające stwierdzić, że mąż Świetłany Igoriewny chciał odebrać sobie życie, ale ponieważ sam nie miał dość odwagi, poprosił osobę, na którą miał wielki wpływ, żeby to ona oddała feralny strzał. Świetłana Igoriewna twierdzi, że jej mąż był niezwykle przybity sytuacją, w której żona go utrzymywała, a on sam cieszył się sławą,

niech pan zwróci uwagę, ogromną sławą i popularnością, w gruncie rzeczy niezasłużoną. W określonych warunkach mogłoby to doprowadzić do samobójstwa, ja jednak muszę ustalić, czy faktycznie doszło do takiej sytuacji, czy może Świetłana Igoriewna, delikatnie mówiąc, wprowadza mnie w błąd.

- Znakomicie. - Akademik z radością zatarł ręce. - To bardzo ożywi moje starcze życie. Taki ciekawy zwrot dawno już się nie zdarzył w mojej praktyce. Pewnie pamięta pan, dobrodzieju, z jakiego nudnego powodu spotkaliśmy się ostatnio, jakieś dziesięć lat temu?

- Dwanaście - uściślił z uśmiechem Olszański. - Oczywiście, że pamiętam. Bezczelny handlarz nielegalnie wydanymi zbiorami rzekomo nieznanymi wierszy Pasternaka i Cwietajewej. Zgadza się?

- Zgadza, a jakże. Handlarz był rzeczywiście bezczelny, ale jego kolega, który te wiersze tworzył, miał niewiarygodny wręcz talent! Dlaczego nie publikował ich pod własnym nazwiskiem? Mógłby zostać znanym poetą! Ale nie, on związał się z jakimiś cwaniakami. Wtedy tego nie rozumiałem i nie rozumiem do tej pory.

- Sołomonie Jakowlewiczu, pieniądze liczyły się dla niego bardziej niż sława, oto całe wytłumaczenie. Bywają przecież ludzie całkowicie pozbawieni ambicji. Ich proceder przynosił duże i szybkie pieniądze, a jako poeta wzbogaciłby się niezbyt prędko. Niestety, w tamtych czasach wysokie honoraria przychodziły o wiele później niż popularność. A teraz poezja w ogóle nie jest w modzie.

- No i co ten genialny głupek w efekcie otrzymał? Mógł być biedny, ale znany, a tak został biedny i trafił do więzienia. I pan uważa to za równorzędną wymianę?

- Ja tak nie uważam. Ale on najwidoczniej tak. Przecież o więzieniu nawet nie pomyślał, najbardziej interesowały go zyski.

- Bóg z nim, z tym uzdolnionym osłem. Naprawdę żal człowieka bierze, kiedy natura tak nierozsądnie rozdaje swoje łaski. Po co obdarzyła talentem poetyckim tak ograniczonego i tępego osobnika? Ale wróćmy do naszej eterycznej istoty. Czy wie pan, jak będę

przeprowadzał ekspertyzę?

- W ogólnym zarysie. Analiza kontekstowa, częstotliwość powtarzania się określonych słów, zwrotów, inwersji. Zgadłem?

- Prawie, mój dobrodzieju. Taka ekspertyza to w połowie matematyka, a w połowie subiektywna improwizacja. Muszę być pewien, że pan to rozumie. Na przykład ktoś przynosi mi wiersz i zapewnia, że to wczesny, nieznanый Lermontow. Przypuśćmy, że się pomyliłem, nie dostrzegłem ręki geniusza i wydałem opinię, że to falsyfikat. Wówczas literatura rosyjska będzie uboższa o jeden wiersz Lermontowa. Ale to niegroźne i nie wyrządzi nikomu żadnej realnej krzywdy. Zapewne filologowi i znawcy literatury nie przystoi snuć takich rozważań, każda cząstka twórczej spuścizny geniusza powinna być dla mnie bezcenna. Ale ja, łaskawco, jestem już wystarczająco wiekowy, żeby rozumieć, że oprócz literatury są na tym świecie i inne, nie mniej ważne sprawy, na przykład interesy wymiaru sprawiedliwości. Co innego, kiedy mam do czynienia z żywym człowiekiem i od mojej eksperckiej opinii zależy jego los. Tutaj cena błędu jest już inna. Dlatego chcę pana zapytać, jaki stopień uzasadnienia moich wniosków jest niezbędny, żebyśmy nie zmarnowali życia prześlicznej Swietłanie Igoriewnie?

- Pytanie złożone, choć całkiem słuszne.

- I jak brzmi odpowiedź?

- Nie umiem jej udzielić. Umówmy się, Sołomonie Jakowlewiczu, tak: jeśli nie będzie pan miał najmniejszych wątpliwości co do autorstwa Świetłany Igoriewny, na tym zakończmy. Jeśli natomiast wątpliwości się pojawią, powtórzmy ekspertyzę. Wyznamy innych ekspertów, może zaproponujemy jej, żeby napisała coś jeszcze, i przeprowadzimy powtórny analizę komisyjnie. Musi pan wiedzieć, że opinia eksperta to bynajmniej nie prawda absolutna. To po prostu fakt, taki sam jak mnóstwo innych, i śledczy będzie się zastanawiał, co z nim zrobić, jak go ocenić, jaką wagę mu nadać. A zatem tutaj odpowiedzialność za błąd spocznie nie tylko na panu, ale też na mnie. Na mnie nawet w większym

stopniu. Uspokoilem pana?

- W pewnym sensie. No cóż, pożegnam się. Boję się, że mój chłopiec zaczął się nudzić w samochodzie.

- Dalej wnuk pana wozi?

- Prawnuk, dobrodzieju, zdążył już dorosnąć. Od tego roku ma prawo jazdy, młody gałgan. Jeśli latem nie dostanie się na uczelnię, pójdzie do wojska, a wtedy będzie musiał znowu zaangażować wnuka.

Olszański wyszedł razem z akademikiem i odprowadził staruszkę do samochodu. Za kierownicą rzeczywiście siedział „młody gałgan”, z nosem wetkniętym w jakąś grubą książkę.

- Pański chłopak wcale się nie nudzi - z uśmiechem zauważył Konstantin Michajłowicz. - Niepotrzebnie się pan martwił.

- Ech, dobrodzieju. - Zafrien roześmiał się skrzekliwie. - To tylko pozory. Czyta Plutarcha *Żywoty sławnych mężów*, przygotowuje się do egzaminów wstępnych. Ale wkuwanie suchego akademickiego tekstu go nudzi, woli, żebym to ja mu wszystko opowiadał i wbijał do głowy, a on w tym czasie leżałby na tapczanie brzuchem do góry. Twierdzi, że lepiej przyswaja, gdy słucha. I czego tu oczekiwać od obecnego pokolenia! Nigdy z nich nie wyrosną uczeni z encyklopedyczną wiedzą, jacy byli w moich czasach. Jak to powiedział jeden znany pisarz? Są leniwi i mało dociekliwi*. W drodze do domu będę musiał opowiadać mu o dyktaturze Sulli.

*„Jesteśmy leniwi i niedociekliwi”, powiedział Aleksander Puszkina, wyrażając żal, że przyjaciele Aleksandra Gribojedowa nie napiszą jego biografii (przyp. tłum.).

Olszański postąpił chwilę na chodniku, spoglądając w ślad za oddalającym się samochodem akademika Zafriena. Staruszek ma rację, myślał, nasze dzieci tak bardzo się od nas różnią, że nie potrafimy zrozumieć ich świata. Zbyt szybko wszystko się zmienia, jeszcze czterdzieści lat temu przepaść między rodzicami a dziećmi nie była tak olbrzymia i bezdenna jak teraz. A dzisiaj nasze dzieci są dla nas dosłownie jak Marsjanie.

Poczuł, że zmarł, stojąc w samym garniturze na piętnastostopniowym mrozie, wzdrygnął się z zimna i wrócił do siebie.

Galina Iwanowna Paraskiewicz spojrzała na zegarek i z niezadowoleniem stwierdziła, że męża nadal nie ma w domu, mimo że obiecał się nie spóźnić. Do Nowego Roku można było odliczać dni, w pracy panuje oczywiście gorączka sprawozdań, ale mąż powinien przestrzegać zasad. Jeśli musisz zostać dłużej, uprzedź, powiedz, że przyjdiesz później. Galina Iwanowna przez całe życie trzymała się ustalonego przez siebie porządku dnia i nie mogła znieść, kiedy ktokolwiek ów porządek naruszał, z wyjątkiem jej samej. Czekaając na powrót męża z pracy o określonej godzinie, szykowała kolację i złościła się, kiedy jedzenie stygło.

O godzinie ósmej nie zdzierzyła i zadzwoniła do Władimira Nikiticza.

- Oczywiście ciągle jeszcze sterczysz w pracy - oznajmiła kłótniwie.

- Gałoczka, robimy przecież sprawozdanie... - wybąkał mąż na swoje usprawiedliwienie.

- Ja też mam sprawozdanie, ale jak widzisz, znajduję sposób, żeby ze wszystkim zdążyć i przygotować ci kolację. Mogłabym spokojnie siedzieć sobie przed telewizorem, zamiast kręcić się po kuchni, starając się ze wszystkim zdążyć do twojego powrotu.

Z rozdrażnieniem rzuciła słuchawkę, nawet nie próbując się dowiedzieć, kiedy małżonek raczy zjawić się w domowych pieleszach. Krytycznym spojrzeniem obrzuciła kuchnię i upewniła się, że wszędzie panuje sterylna czystość. Trzeba by wynieść śmieci, pomyślała Galina Iwanowna. Póki jeszcze nie włożyłam szlafroka.

Wzięła kosz ze śmieciami, narzuciła stary płaszcz i wyszła na dwór, gdzie stały kontenery. Dom był stary, bez zsypu, ale Galina Iwanowna przyzwyczała się schodzić z koszem z piątego piętra i nie narzekała.

Podeszła do kontenera, postawiła kosz na ziemi i chwyciła ciężką metalową pokrywę, przytrzymując ją drugą ręką. Metal był zimny i jak zwykle obrzydliwie utyłany, ale Galina Iwanowna przezornie wkładała

stare rękawiczki, żeby nie brudzić rąk i nie złapać jakiegoś świństwa. Kiedy podniosła pokrywę już do połowy, nagle wyraźnie usłyszała cichy, drogi sercu głos:

- Mamo.

Znowu zdaje jej się, że słyszy głos Loni. Niedawno Galina Iwanowna była u pewnej kompetentnej kobiety i tamta powiedziała, że duch Loni będzie się jej ukazywał, póki nie minie czterdzieści dni od jego śmierci. Przez czterdzieści dni duch niewinnej osoby krąży po tej stronie, obserwuje, co robią jego bliscy, i ochrania tych, których ktoś może skrzywdzić, wykorzystując jego śmierć.

- Mamo - usłyszała ponownie. - Dlaczego mnie męczyłaś? Co ty ze mną zrobiłaś?

Galina Iwanowna rozluźniła palce i pokrywa metalowego kontenera opadła z hukiem. Kobieta poczuła, jak łomocze jej serce, nie mogła złapać tchu. Nie, musi wziąć się w garść, nie wolno jej ulec pokusie, nie może odpowiedzieć i zacząć z nim rozmawiać. Jego nie ma, własnoręcznie położyła ostatni bukiet kwiatów na jego trumnie, całowała jego zimne czoło, głaskała po zimnych rękach, aż do chwili kiedy opuszczono wieko i trumna pojechała tam, gdzie płonął już trawiący wszystko ogień.

Co on mówi? O co pyta? Przecież go nie męczyła. Od samego urodzenia starała się wychować go na człowieka godnego szacunku, uczciwego i pracowitego. Chciała, żeby jej chłopiec był najlepszy i miał wyłącznie celujące oceny. Żeby nie wyrósł na lalusia. Surowo karała go za najmniejsze wykroczenia, za najniewinniejsze dziecięce oszustwa, a kiedy dostawał w szkole czwórki albo, co też się zdarzało, trójki, siadała razem z nim nad podręcznikiem i nie wypuszczała na dwór aż do chwili, póki Lonia nie udowodnił jej, że bezbłędnie zna regułę, wzór albo paragraf. Ciągle chodziła do nauczycieli i prosiła, żeby odpytali syna jeszcze raz przy tablicy z tego samego materiału, z którego dzień wcześniej otrzymał ocenę niższą od celującej. I taka była dumna, kiedy Lonieczka dostał się na uniwersytet za pierwszym podejściem, i to bez

żadnej łapówki. Dlaczego więc teraz mówi jej, że go męczyła? Za co on tak?

Ocknąwszy się, Galina Iwanowna zorientowała się, że stoi z łokciami opartymi o pokrywę kontenera. Płakała, zasłaniając twarz rękami. Nie było jeszcze późno, mijali ją ludzie przecinający podwórze, ale nikt nie zwracał na nią uwagi, nikt do niej nie podszedł, nie zapytał, czy coś się stało i czy nie potrzebuje pomocy. Przez to poczuła się jeszcze bardziej nieszczęśliwa i samotna. Dopóki żył Lonieczka, była mu potrzebna. A teraz nie jest nikomu przydatna. Stara, schorowana kobieta, dożywająca swoich nikomu już niepotrzebnych bezbarwnych dni.

Pierwszy raz w ciągu sześciu lat małżeństwa Świetłana Paraskiewicz podniosła na męża głos.

- Jak możesz?! - krzyczała. - Że też serce ci nie pękło, kiedy patrzyłeś, jak twoja matka płacze.

- Niech płacze - odparł Leonid obojętnie, uśmiechając się swoim nowym, zimnym i okrutnym uśmiechem. - Zasłużyła na to. Niech chociaż raz zastanowi się, co zrobiła z moim życiem. A później niech pomyśli, jak traktowała ciebie.

- Przestań! Skąd w tobie tyle złości, Lonia? Co się z tobą dzieje? Czyżbyś nie miał w sobie choć odrobiny litości dla matki? Zostaw ją w spokoju, błagam cię. Czy nie wystarczy ci to, co zrobiłeś z Ludmiłą? Mało ci jej śmierci? Matkę też chcesz doprowadzić do grobu?

- Nic jej nie będzie. A jeśli trochę się pomartwi, wyjdzie jej tylko na zdrowie. Może przynajmniej przestanie się czepiać ojca i da mu spokojnie dokończyć żywota. A w ogóle, Swieta, to żaden powód do awantury. Coś się tak nakręciła? Matka terroryzowała cię swoją nienawiścią przez całe sześć lat, a ty jesteś gotowa o wszystkim ot tak zapomnieć i rzucasz się, żeby ją pocieszyć. Czyżbyś nie pamiętała, jak przyszła do ciebie wytargować połowę honorarium? Zapomniałaś, jak cię przy tym obrażała? Ależ ty masz krótką pamięć. Ale ja, Swietik, doskonale wszystko pamiętam, nikomu nie wybaczę, że źle cię traktował. Ludmiła dostała to, na co zasłużyła, i matka też dostanie, możesz być

pewna.

- Lonia, proszę cię...

Swietłana opanowała się i zniżyła głos.

- Lonieczka, nie musisz się na nikim mścić, naprawdę. Zemsta zżera duszę, nie ma sensu, jest bezowocna i bezwartościowa. Na nikogo się nie obrażam, wszystko wybaczyłam. Wybaczyłam Ludmile, bo była nieszczęśliwą, samotną wariatką. Wybaczyłam twojej matce, bo trudno wymyślić większe nieszczęście niż to, które ją spotkało. Zostaw ją w spokoju, proszę.

- Ale ja nie wybaczyłem - z uporem zaproponował Leonid. - I zakończmy ten temat. Lepiej posłuchaj, co dzisiaj napisałem. Nieco tylko zmieniłem wygląd starego akademika, którego mi opisałaś. Za to imię zostawiłem prawdziwe, jest bardzo charakterystyczne.

Swietłana uważnie słuchała, jak Leonid czyta jej na głos scenę rozstrzygającej rozmowy bohaterki ze starym akademikiem. Tak, jej mąż jest naprawdę utalentowany. I teraz, kiedy dla wszystkich umarł, jego talent stał się jeszcze bardziej wyrazisty, jakby ktoś zerwał z niego kilka warstw przezroczystego muszliny, który pozwalał dostrzec ogólny zarys, ale skrywał detale i barwy.

- No jak? - zapytał, skończywszy scenę.

- Wstrząsające! - odparła szczerze. - Lepsze niż to, co napisałeś wcześniej. Nie boisz się, że to wzbudzi podejrzenia?

- To naturalny proces. - Leonid uśmiechnął się. - Autor się doskonali, jego mistrzostwo się rozwija.

- Ale chyba nie tak gwałtownie...

- Nie zapominaj, że właśnie przeżyłaś tragedię, straciłaś ukochanego męża. Emocjonalny wstrząs nie mógł nie odbić się na twojej twórczości. Nie bój się, Swietik, właśnie na odwrót, byłoby dziwne, gdybyś po tym wszystkim, co się wydarzyło, pisała tak samo jak wcześniej. Zrobię z ciebie największą pisarkę Rosji, zobaczysz. I będę z ciebie dumny.

- Lonia, wydaje mi się, że to nie jest konieczne... Niepotrzebnie to wszystko wymyśliliśmy Nie dam rady. Przez cały czas będę musiała

udawać, kłamać. Myślałam, że to proste. Ale teraz...

- Co: teraz? - zimno zapytał Leonid. - Chcesz powiedzieć, że ze mnie jest zawodowy łgarz i że dla mnie to wszystko nic nie znaczy, a ty jesteś święta? Dopiero co zarzucałaś mi wszystko, co najgorsze wobec Ludmiły i matki, mówiłaś, że jestem okrutny i bezlitosny, a teraz wychodzi jeszcze na to, że jestem również kłamcą? Wspaniale. Co będzie dalej? Może winą za śmierć Andrieja również obarczysz wyłącznie mnie?

- Lonia, mój jedyny, tak cię kocham - żałośnie odezwała się Świetłana. - Ale tak się wszystko pogmatwało, że w ogóle nie mogę się z tym oswoić.

- I ja cię kocham, Swietik - powiedział Leonid już o wiele łagodniej. - Bardzo cię kocham. Bardzo. Właśnie dlatego nie mogę wybaczyć tym, którzy cię skrzywdzili. Przecież wszystko rozumiem, kochanie. Rozumiem, jak było ci ze mną ciężko. Jestem ofiarą losu, która nie umie rozmawiać z wydawcami i oddaje im swoją pracę za bezcen. Słaby i żaloszny ze mnie facet. A ty znosiłaś to przez tyle lat i ani razu mi tego nie wytknęłaś, tylko wzdychałaś. Przecież pamiętam, jak za każdym razem obiecywałem ci, że to się więcej nie powtórzy, że dłużej nie będą kamieniem u mojej szyi i zażądam przyzwoitego honorarium, że nie dam się więcej zmiękczyć i przekonać. Potem jednak pisałem nową rzecz, a oni znowu przychodzili i zaklinali się, że potrzebują mojej pomocy, ale to już na pewno ostatni raz, a ja znowu im wierzyłem i poddawałem się. Wyrwać się z tego zaklętego kręgu można było tylko w jeden sposób: przestać istnieć. No więc przestałem. Wydostałem się spod ciężaru własnego zachowania, które zapędziło mnie w kozi róg. Wydostałem się spod kurateli matki, która wypruwała mi żyły, zmuszając do bycia takim, jakim chciała mnie widzieć. A ja nie jestem taki, doskonale to wiesz. Myślisz, że to łatwo ciągle czuć złość i rozdrażnienie podczas rozmowy z nią i nie odważyć się powiedzieć ani słowa? Widzieć, jak ona cię dręczy, i milczeć? Za to teraz jestem wolny, Swietka. Naprawdę wolny. A światowa sława nie jest mi potrzebna. Zgarnąłem już swoje, a reszta niech będzie twoja.

Świetłana poddawała się magicznemu czarowi słów, zawsze to robiła. Zawsze mu wierzyła. On, Leonid, był dla niej najlepszy, najbardziej utalentowany, najukochańszy. Jedyny. Gotowa była wybaczyć mu wszystko.

Czuła jednak, że na tej jej gotowości do bezgranicznego przebaczenia pojawiła się rysa. Co innego przebaczać wszystko łagodnemu, słabemu, dobremu i wybitnemu pisarzowi, a całkiem co innego - wybaczać mężczyźnie, który przy każdym ruchu emanuje złością, pragnieniem zemsty, okrucieństwem. Wszystko to było dawniej przytłumione, tu Leonid ma rację, przytłumione macierzyńskim autorytetem, który żądał, by syn był naj, naj, naj. Ale teraz, kiedy Galina Iwanowna nie ma nad nim dłużej władzy, wszystko to zaczęło wystawać jak ciasto z formy. Nigdy więcej Galina Iwanowna nie zażąda od niego, żeby się jej wypowiadał ze swoich czynów, nie będzie pouczać, krytykować, zmuszać do bycia miłym, serdecznym, dobrym i troskliwym. Czy on rozumie, jakim silnym i surowym kontrolerem była dla niego matka? Pewnie tak, inaczej nie wyrywałby się na wolność, żeby uciec od tej natrętnej kontroli. Ale czy Leonid rozumie, że wolność nie może i nie powinna być bezgraniczna, że nie oznacza robienia wszystkiego, co mu się żywnie podoba, w tym mszczenia się na każdym?

Odpowiedź na to pytanie Świetłana chyba знаła. Ale wcale nie miała ochoty jej słyszeć. I nie słyszała. Na razie.

Irina lubiła chodzić do supermarketów. Jeszcze jako dziewczynka, kiedy oglądała na zachodnich filmach, jak kobiety przechadzają się z wózkami na zakupy wzdłuż ogromnych regałów zastawionych najróżniejszymi artykułami w jaskrawych opakowaniach, marzyła, żeby właśnie w taki sposób chodzić po sklepach i robić zakupy dla swojej rodziny. Właśnie dla rodziny, a nie dla siebie samej. I oto marzenie z jej dzieciństwa zaczynało się spełniać.

Podeszła do regału z sokami i zaczęła wybierać sok pomidorowy. Na półce stały kartonowe opakowania soku pomidorowego w czterech różnych gatunkach i Irina w zamyśleniu studiowała nazwy firm i ceny,

żeby dokonać dobrego wyboru, kiedy za jej plecami rozległ się radosny okrzyk:

- Irina! Co za spotkanie!

W jednej chwili poczuła zimny pot na plecach. Powoli się odwróciła i zobaczyła mężczyznę, typowego nowego Rosjanina w rozpiętej skórzanej kurtce na futerku, niedbale ogolonego, o bezczelnych oczach.

- Przepraszam? - powiedziała, starając się, by jej zdziwiony głos zabrzmiał jak najbardziej naturalnie.

- Ira, no co ty, nie poznajesz mnie?

- Niestety nie. Przepraszam, ale chyba się pan pomylił.

- Dajże spokój!

Frywolnym gestem przyciągnął ją do siebie i nawet usiłował pocałować w policzek. Irina gwałtownie się wyrwała i odskoczyła od niego, omal nie wpadając na regał. Do diabła, co robić? Do kogo zwraca się ten typ? Do niej samej, byłej profesjonalnej prostytutki Iry Nowikowej, czy tamtej, innej Iriny, dziwki amatorki?

- Co ty, Ira? - Mężczyzna zdumiał się szczerze. - Naprawdę mnie nie poznajesz? Zapomniałaś?

- Powtarzam panu, że to pomyłka - powiedziała wolno, ledwie poruszając ustami.

- Ale przecież się odwróciłaś, kiedy cię zawołałem. Masz na imię Irina?

Tak, Irina. Ale widzę pana po raz pierwszy.

Chwyciła swój wózek i prędko ruszyła do kasy. Chłopak został na miejscu, ale czuła za plecami jego wzrok. Przy kasie palce drżały jej tak, że nie mogła otworzyć portmonetki i znaleźć potrzebnych banknotów.

- Niechże się pani pospieszy - rozdarł się babsztyl, który stał za nią w kolejce do kasy. - Śpiąca królowa, czy co...

- Przepraszam - wybąkała Irina, gorączkowo wyciągając pieniądze, ale nie docierało do niej, jaką sumę ma zapłacić.

Ze strachu zupełnie nie mogła się skoncentrować, przed oczami wszystko jej wirowało i pragnęła tylko jednego: czmychnąć stąd jak

najprędzej.

Przełożywszy zakupy do torby, na miękkich nogach wyszła z supermarketu na ulicę, ale nie zdążyła pokonać nawet stu metrów, kiedy mężczyzna znowu się pojawił. Tym razem był bardziej zdecydowany i od razu chwycił ją za rękę.

- Pomogę ci zanieść torbę, po starej znajomości.

- Niech pan mnie zostawi w spokoju - nerwowo odparła Irina, gorączkowo ściskając rączkę torby.

- Irka, coś ty, całkiem ci odbiło? Jestem Hera, Herman. Czyżbym aż tak się zmienił przez rok z kawałkiem?

Irina poczuła złość, ostro zaprawioną strachem i rozpaczą. W żaden sposób nie mogła się rozeznać, kim on jest i którą

Irinę poznał. Zupełnie nie pamiętała ani twarzy swoich partnerów, ani ich imion, z wyjątkiem kilku stałych klientów, którzy regularnie korzystali z usług dziewcząt Rinata. Ale może on w ogóle nie jest z tych, ale należy do szerokiego grona znajomych i kochanków tamtej Iriny?

- Powiedziałam panu wyraźnie: nie znam pana! - wysylabizowała głośno, próbując przejść bokiem i ominąć mężczyznę. - Niech pan mi pozwoli odejść.

On jednak tylko mocniej ścisnął jej rękę. Poczuła ból.

- Dobra, Ira, nie wygłupiaj się. Zmieniłaś profesję, no to powiedz, nie będę miał pretensji. Po co robisz ze mnie głupka?

Irina spróbowała się wyrwać i w tym momencie kątem oka zauważyła radiowóz milicyjny.

- Niech pan się ode mnie odczepi! - zawołała na cały głos, odpychając mężczyznę i starając się zwrócić na siebie uwagę.

Radiowóz zatrzymał się za plecami niebezpiecznego natręta i leniwie wysiadło z niego dwóch milicjantów.

- Co się dzieje? - zapytali niedbale, zachodząc mężczyznę od tyłu.

Chłopak puścił rękę Iriny, ale wcale się nie przestraszył.

- Właśnie spotkałem znajomą - odparł spokojnie. - A ona mnie nie poznaje.

- Ależ ja go nie znam! Pierwszy raz widzę. Niech pan da mi przejść!

- Nieładnie, obywatelu - wciąż bez pośpiechu rzekł jeden z milicjantów. - Po co obrażacie obywatelkę? Dlaczego ją zaczepiacie, skoro ona nie chce z wami rozmawiać?

- Ale ja naprawdę ją znam, jesteśmy dobrymi znajomymi. Możecie sprawdzić. Ma na imię Irina.

- Jak się nazywacie, obywatelko?

- Irina - wybełkotała, rozumiejąc już, że popełniła błąd, że nie trzeba było liczyć na milicję. Miała jednak nadzieję, że na widok funkcjonariuszy natarczywy Herman wycofa się po cichu, ale on, zdaje się, nie zamierzał się poddawać i twardo obstawał przy swoim prawie do prywatnej rozmowy z Iriną. A milicja najwyraźniej nie zamierza odpuścić. Co za pech.

- Znacie tego mężczyznę?

- Przecież powiedziałam, że pierwszy raz go widzę.

- Skąd on zna wasze imię?

- Nie wiem.

- Obywatelu, dlaczego zaczepiacie tę panią? Chwytnie ją za rękę, nie pozwalacie przejść. To niedozwolone.

- A pan będzie jej jeszcze bronił! - uniósł się Herman. - To przecież dziwka, prostytutka! Udaje tu cnotkę o niewinnych oczkach. Jakbym nie wiedział, kim jest i gdzie pracuje.

- Tak? - nagle zainteresowali się milicjanci. - No to gdzie ona pracuje?

- W salonie masażu Atlas, może pan sprawdzić.

- Jestem żoną deputowanego Bieriozina - z rozpaczą rzuciła Irina, zdając sobie sprawę, że prawdopodobnie i tak wszystko przepadło.

- Ma pani dokumenty?

- Nie - stropiła się. - Mieszkam tu niedaleko, wyszłam do sklepu, niepotrzebne mi były dokumenty.

- Kłamie - z niespodziewaną złością rzekł Herman. - Zawsze mi mówiono, że dziwki mają kurewską duszę, a ja, głupiec, nie wierzyłem.

Teraz widzę, że mnie nie oszukano. Komu ty ściemniasz, zdiro jedna? Myślisz, że zapomniałem, jak mnie dosiadałaś i popiskiwałaś z uciechy? Tania suka!

- Obywatelu - już surowiej odezwał się milicjant. - Uważajcie na słowa, bo oberwiecie za chuligaństwo. Natychmiast przeproście tę panią i pojedziemy na komisariat.

- Za co?!

- No jak to za co? Chwytałiście panią za rękę? Chwytałiście. Zaczepialiście? Zaczepialiście. Wyrażaliście się niecenzuralnie w miejscu publicznym w obecności funkcjonariuszy milicji. Pojedziemy, sporządzimy protokół, ukarzymy grzywną. Wszystko zgodnie z przepisami.

- A idź do diabła!

Herman próbował się oddalić, ale milicjant mocno chwycił go za kurtkę.

- A to już zupełnie niedozwolone - rzekł ze złośliwą satysfakcją. - To już opór wobec funkcjonariusza milicji. Jak cię zaraz zakuję w kajdanki, to ci mina zrzędzie.

Herman szarpnął się, chcąc się wyrwać, i podciął milicjantowi nogi. Tamten runął na udeptany śnieg. W tej samej chwili drugi milicjant rzucił się w stronę Hermana i wykręcił mu rękę do tyłu.

- Dostyć, wystarczy - oznajmił spokojnie. - Rozmowy skończone, teraz zaczniemy dochodzenie. A wy, obywatelko, ruszajcie do radiowozu.

- Ale ja po co? - nieśmiało zaoponowała Irina. - Czym zawiniłam?

- Niczym - wielkodusznie odparł stróż porządku. - Będzie pani świadkiem, że facet się wyrażał i stawiał opór. A przy okazji sprawdzimy pani tożsamość. Bo może to prawda, że jest pani jego znajomą i prowadził z panią prywatną rozmowę, a nie szukał zaczepki.

Irina w milczeniu wsiadła do radiowozu, besztając się w duchu za nieopatrzny odruch, który groził teraz nie wiadomo jakimi nieprzyjemnościami. Hermana umieszczono na tylnym siedzeniu razem z

jednym z milicjantów. Irina siedziała z przodu i przez całą drogę czuła, jak palące nienawiścią spojrzenie przeszywa jej tył głowy.

W komisariacie sprawa przyjęła zupełnie inny obrót. Starszy lejtnant o przepitej twarzy i chorych oczach od razu zapalał do Iriny niechęcią. Albo w ogóle nie znosił kobiet, albo jego niechęć dotyczyła tylko kobiet w drogich futrach, w każdym razie od pierwszej chwili całą jego sympatię zdobył Herman, w którym z jakiegoś powodu milicjant dostrzegł bratnią duszę.

- Niedobrze - oznajmił, spoglądając na Irinę ze źle skrywaną pogardą.
- Dlaczego pogrywa pani ze swoim znajomym? Jeśli w czymś się nie zgadzacie, trzeba to wyjaśniać po cichu, nie wyciągać na widok publiczny, a już na pewno nie angażować do tego milicji. Różnie bywa między ludźmi, może pani sama wobec niego zawiniła, a zamiast się porozumieć, od razu wzywa pani milicję. Nieładnie.

- Nie łączą nas żadne osobiste relacje - powtarzała Irina już chyba po raz dwudziesty. - Nie znam tego mężczyzny. Nigdy w życiu na oczy go nie widziałam. Zaczął mnie zaczepiać jeszcze w sklepie, później na ulicy, chwycił za rękę, nie dawał spokojnie odejść.

- Skąd wobec tego zna pani imię?

- Nie wiem. Pomylił się, wziął mnie za kogoś innego. Może tamta kobieta też ma na imię Irina. To po prostu zbieg okoliczności.

Po pierwszym wybuchu wściekłości i strachu Irinę opanowały dziwne odrętwienie i obojętność. Monotonnie powtarzała to samo, myśląc tylko o tym, czy zdąży przygotować obiad przed powrotem Siergieja.

- Zaraz sprawdzimy, czy się pomylił, czy nie - groźnie rzekł starszy lejtnant. -1 zaraz się okaże, że nie jest pani żadną żoną deputowanego. Myśli pani, że wszystkich nas tu przestraszyła swoim mężem? Dla nas bez różnicy: deputat czy pijak.

Zaprosił do gabinetu Hermana i mrugnął do niego pocieszająco.

- Więc kim według pana jest ta obywatelka?

- Pracuje w salonie masażu Atlas.

- Gdzie się znajduje ten salon?

- Na Priesni. Nie pamiętam nazwy uliczki. Niedaleko sklepu Olimp.

Starszy lejtnant sięgnął po jakiś gruby przewodnik, przekartkował go i chrząknął z zadowoleniem.

- Zaraz znajdziemy, niech się pan nie martwi.

Podniósł słuchawkę i wybrał numer telefonu. Irina czekała otępią, aż wszystko się wreszcie skończy. Nic strasznego się nie dzieje, mówiła sobie, nic strasznego nie może się stać. Po prostu trzeba to przeczekać. Wkrótce wszystko się skończy, i wróci do domu.

- Słuchaj, salon masażu Atlas jest na twoim terenie? Tak?

I co to jest, kolejny burdel? Aha, rozumiem. Kto tam rządzi? Rinat Wildanow? Nie, nie słyszałem o takim. Swoich mamy od groma. Słuchaj, a masz listę dziewczynek? Rzuć tam okiem, czy nie znajdziesz czasem Iriny...

Odwrócił się w stronę Hermana.

- Jak nazwisko?

- Nowikowa albo Nowicka, coś w tym stylu...

- Nowikowa albo Nowicka - powtórzył milicjant do słuchawki. - Aha, czekam.

Utkwił znudzony wzrok w oknie, czekając, aż niewidoczny rozmówca kolega wyciągnie listę pańienek pracujących dla Rinata.

- Co? Na pewno? Nie mylisz się? Ożeż w mordę. I co? Czysto? Dobra, na razie.

Odłożył słuchawkę i ze współczuciem spojrzął na Hermana.

- Tak... Masz pecha, młody człowieku. Pańska znajoma Irina Nowikowa nie żyje od kilku miesięcy. Przedawkowała narkotyki i się powiesiła. Wygląda więc na to, że naprawdę się pan pomylił.

Irina natychmiast się podniosła i zapięła futro.

- Mogę iść? Przekonał się pan, że mówię prawdę?

- Niech pani idzie - burknął starszy lejtnant, nie patrząc na nią.

Torba nagle wydała jej się nie do udźwignięcia. Irina szła wolno w stronę domu i powtarzała w duchu: Nie żyję od kilku miesięcy.

Przedawkowałam narkotyki i powiesiłam się. Nie żyję. Nie żyję.

ROZDZIAŁ 15

Irina długo nie mogła się zdecydować, czy powiedzieć Siergiejowi o tym, co się wydarzyło przed południem. Kiedy skończyła się krzątać przy obiedzie, była dopiero piąta, Sierioża obiecał, że wróci nie wcześniej niż o dziewiątej, więc na podjęcie decyzji miała jakieś cztery godziny. Najpierw pomyślała, że lepiej jednak nic nie mówić, żeby go nie denerwować. W końcu wszystko skończyło się dobrze, nie mogło inaczej.

I jeśli jeszcze raz zdarzy się coś podobnego, efekt będzie identyczny. Nic strasznego się nie wydarzyło. Myślałby kto, przeżyła dwie nieprzyjemne godziny, nie pierwszy i nie ostatni raz w życiu.

Jednakże później Irina zrozumiała, że trudno jej będzie to przemilczeć. Pragnienie, żeby się komuś zwierzyć, było silne i z każdą minutą potężniało. Nie śmiała przyznać się przed sobą, że u podstawy owego pragnienia leżała nadzieja, że Siergiej będzie jej współczuł, litował się i martwił razem z nią. Chciała, żeby ją uspokoił i pocieszył. I wcale nie dlatego, że tego rzeczywiście potrzebowała. Irina pragnęła uwagi, troski i miłości. Tak, właśnie tak, moja droga, mówiła sobie, nie musisz się oszukiwać. Chcesz, żeby Siergiej cię kochał, choć odrobinę, choć troszeczkę.

Bzdury, z rozdrażnieniem powiedziała sobie Irina i zadzwoniła do Wiktora Fiodorowicza.

- No cóż - z satysfakcją rzekł tamten, wysłuchawszy jej opowieści o incydencie koło sklepu i o pobycie na komisariacie - z całą pewnością można skonstatować, że okres pooperacyjny przebiega pomyślnie. Bardzo się cieszę, że to się stało, kochana.

- Dlaczego? Co w tym dobrego? Kosztowało mnie to tyle nerwów,

najadłam się tyle strachu...

- A dlatego, kochana, że przez cały czas się pani tego bała. Czyż nie? Ciągle, w każdej chwili drżała pani, że coś podobnego może się jeszcze raz wydarzyć. I ten strach, to oczekiwanie nie wiadomo na co zatruwały pani życie. Jak to się mówi? Wroga trzeba poznać? No właśnie, a pani go nie знаła i dlatego stale pani żyła w strachu. Teraz ma to już pani za sobą, stanęła pani, że tak powiem, twarzą w twarz ze swoim wrogiem i przekonała się, że to nic strasznego. Sytuacja niczym pani nie grozi i nawet jeśli się powtórzy, pozostaje pani bezpieczna. Może się pani uspokoić.

- Jest pan pewien, że następnym razem wszystko pójdzie tak samo gładko?

- A jakże, kochana! Nawet nie może być inaczej. Iroccki Nowikowej już nie ma, odnotowano to we wszystkich dokumentach i nawet milicjant, który ukradkiem obserwuje pani byłego szefa Rinata, zapisał w swoim kajeciku, że ona nie żyje. A po dzisiejszym incydencie ten niedojda, jak mu tam...

- Herman - podpowiedziała Irina.

- A właśnie, Herman. No więc Herman, kiedy już otrząśnie się ze zdumienia, pobiegnie opowiedzieć wszystkim swoim znajomym, jak się zbłądził, wziął przyzwoitą kobietę za dziwkę, trafił na milicję, a tam mu powiedziano, że ta dziwka powiesiła się kilka miesięcy temu. Zapewniam panią, Iroccko, że jeśli wśród pani byłych klientów są jeszcze mężczyźni, którzy nie wiedzą o pani śmierci, to już za tydzień nie będzie ani jednego.

W ten sposób ryzyko powtórzenia się takiego incydentu jak dzisiaj zmniejszy się wielokrotnie albo i w ogóle zbliży się do zera.

- Wiktorze Fiodorowiczu, nie mogę się zdecydować, czy powiedzieć o tym Siergiejowi.

- A co właściwie stoi na przeszkodzie? - zdziwił się tamten. - Ta sytuacja w żadnym razie nie stawia pani w złym świetle ani nie przynosi wstydu, więc nie powinna się pani krępować. Nie rozumiem pani

wahania, kochana.

- Widzi pan... - Irina zrobiła pauzę, zbierając siły. - Nie chcę go niepotrzebnie niepokoić, i tak ma teraz bardzo napięty okres. Sam pan przecież powiedział, że jeśli za pierwszym razem wszystko się udało, to znaczy, że nie ma powodu do zmartwienia. Może nie warto mu mówić?

- Mój Boże, Iroczo, ależ z pani jeszcze dziecko! - dobrodusznie roześmiał się Wiktor Fiodorowicz. - Niech pani zrozumie, kochaniutka, że Siergiej denerwuje się i martwi o panią nie mniej niż pani sama. Tak samo się boi, że prędzej czy później wydarzy się sytuacja w rodzaju dzisiejszego zajścia, i zupełnie nie ma pojęcia, jak się ona rozwinie, jak pani się zachowa i co się później stanie. Wariuje ze strachu i jeśli do tej pory pani tego nie zauważyła, to świadczy to tylko o jego opanowaniu albo o pani nieuwadze i braku wrażliwości. To oczywiste, że powinien wiedzieć, iż ów incydent się wydarzył i, co najważniejsze, zakończył się szczęśliwie, że nie okazała pani strachu i niepewności, nie straciła twarzy, a mężczyzna, który panią rozpoznał, okrył się wstydem i hańbą. No jak, przekonałem panią?

- Tak - twardo odrzekła Irina. - Wiem, jak powinnam postąpić.

Decyzja dojrzała w niej prędko. Przyjemnie zdziwiła ją swoją nietuzinkowością. Jeszcze pół godziny temu Irina pragnęła poskarżyć się Siergiejowi, że musiała najeść się tyle strachu, chcąc otrzymać od niego w zamian słowa pocieszenia i współczucia. Teraz natomiast, po rozmowie z Wiktorem Fiodorowiczem, zrozumiała, co i jak musi zrobić. Do przyjazdu Siergieja pozostawała godzina.

Pierwszy raz od tygodnia miał przyjechać do domu sam, w każdym razie bardzo na to liczył.

- Będziemy dzisiaj sami - oznajmił Irinie przez telefon - więc możesz nie nakrywać w pokoju. Z przyjemnością zjem kolację w kuchni.

Mimo to Irina nakryła stół w dużym pokoju, nie pomijając żadnego drobiazgu, ani kółek do serwetek, ani flakonu z kwiatami. Przygotowała ładną wazę, w której poda zupę z chińskim makaronem, kurczakiem i krewetkami. Z kolorowych papierowych pasków zwinęła różyczki,

którymi przyozdobi kotlety przy kościach. Boże, jak to dobrze być panią domu, jakie to szczęście szykować się do powrotu męża z pracy, nakrywać do stołu i robić te idiotyczne, ale takie zabawne i tworzące przytulny nastrój różyczki.

Irina udała się do swego małego pokoiku, otworzyła szafę i zaczęła krytycznie przeglądać ubrania na wieszakach. Miała ochotę włożyć coś niezwykłego, ale niezbyt wymyślnego na skromną rodzinną kolację. Jej wybór padł na prostą, długą domową spódnicę, która tak się spodobała Siergiejowi, i dopasowaną bawełnianą koszulkę z długimi rękawami i odkrytymi ramionami. Żadnej biżuterii, nie jest przecież w restauracji. Cieniutki złoty łańcuszek na szyję - i to wszystko.

O godzinie dziesiątej zabrzączał dzwonek przy drzwiach. Irinę od początku dziwiło, że Siergiej nigdy nie używał kluczy, gdy wiedział, że ona jest w domu i nie śpi. Później z pojedynczych zdań i wykrzykników pojęła, że tamta Irina często upijała się do nieprzytomności i nie słyszała dzwonka do drzwi. Albo obiecywała być w domu, ale do czasu, zanim mąż wrócił, ślad zdążył po niej zagaść. Dlatego kobieta otwierająca drzwi Bieriozinowi była dla niego symbolem właściwie zorganizowanego życia rodzinnego.

Irina pobiegła do drzwi i otworzyła je szeroko, spoglądając na Bieriozina błyszczącymi oczami.

- Dobry wieczór. - Siergiej Nikołajewicz, który był bardzo zmęczony i liczył na to, że spędzi w domu spokojny wieczór, bez żadnych emocjonalnych zawirowań, przywitał się powściągliwie.

Niespiesznie zdjął płaszcz w przedpokoju, udał się do sypialni, wyszedł stamtąd po kilku minutach ubrany już nie w garnitur, ale w zwyczajne domowe ubranie - dżinsy i sweter, umył ręce i zajrzał do kuchni. Irina krzątała się przy kuchence, ale stół był pusty. Stał na nim jedynie mały wazonik z bukietem ładnych zasuszonych kwiatów.

- Pomóc ci? - zapytał Irinę. - Mogę tymczasem rozstawić talerze.

- Nie trzeba, już wszystko nakryte w pokoju - odparła Irina z uśmiechem.

- W pokoju?

Bieriozin nie potrafił ukryć rozczarowania i Irina nagle pojęła, że tamten wieczór w przededniu wyborów, który spędzili, siedząc w kuchni, znaczył dla Siergieja o wiele więcej, niż myślała. Mężczyzna docenił ciepły urok spokojnych kuchennych pogawędek, podczas których czasami opowiada się i wyjawia takie rzeczy, o których nie tylko powiedzieć, ale i pomyśleć się nie da w czasie posiłków odbywających się przy uroczysto nakrytych stołach w dużych pokojach. Siergiej chciał dzisiaj urządzić właśnie taki cichy, miły wieczór, podczas którego trochę się rozgrzeje i rozluźni. Przecież specjalnie ją uprzedził, że wróci dzisiaj sam, bez gości, i chciałby zjeść kolację w kuchni. A ona... Ale ona ma swój plan i musi postępować zgodnie z nim.

Siergiej w milczeniu udał się do pokoju i zajął swoje zwykłe miejsce. Minutę później dołączyła do niego Irina.

- Czekamy na kogoś? - z niezadowoleniem zapytał Siergiej Nikołajewicz.

- O ile wiem, to nie. - Irina uśmiechnęła się. - Przecież sam powiedziałaś, że nikogo nie będzie.

- Ale widzę, że nakryłaś w pokoju... Przecież cię uprzedziłem, żebyś się nie trudziła, dzisiaj jesteśmy sami i równie dobrze moglibyśmy zjeść w kuchni.

- Mamy święto, Sierioża, i chciałam to jakoś uczcić.

- Święto?

Bieriozin lekko uniósł brwi, jego twarz wykrzywił delikatny grymas. Po raz pierwszy od tylu dni chciał spędzić spokojny wieczór - a tu masz, Irina wymyśliła jakieś święto.

- Otwórz szampana.

Siergiej posłusznie sięgnął po butelkę, zdjął metalową osłonę i mocno przyciskając korek, pozwolił mu wydostać się z szyjki. Rozlał złocisty napój do kieliszków i pytająco spojrzał na Irinę.

- Sierioża, czy to prawda, że Bóg lubi trójkę?

- Nie wiem. - Mężczyzna wzruszył ramionami. - Jaki to ma związek?

- Bezpośredni. Jeśli to prawda, to dzisiaj mamy święto. Dzisiaj zdałam trzeci egzamin.

- Jaki znowu egzamin?

- Pierwszy był na bankiecie, kiedy dopadli mnie dziennikarze. Drugi egzamin urządziła mi twoja pierwsza żona Diana.

Ale również go zdałam. A trzeci przeprowadził dzisiaj mój były klient, który zobaczył mnie w supermarkecie i poznał.

- Jak to poznał? - Siergiej Nikołajewicz zbladł. - I co?

- I nic, Sierioża. Udałam święte oburzenie, postarałam się zwrócić na siebie uwagę milicjantów i w rezultacie wszyscy razem znaleźliśmy się na komisariacie.

- Na komisariacie?! - z przerażeniem powtórzył Bieriozin. - I co dalej?

- Później milicjanci zasięgnęli informacji i przystępnie wytłumaczyli temu typowi, że się pomylił, ponieważ ja umarłam. Gdybyś widział jego gębę! Sierioża, wiem, bardzo się boisz, że coś nam się nie powiedzie, że popełnię jakiś błąd, powiem coś nie tak albo zachowam się nieodpowiednio. Ja też się tego boję. Prawie nigdy o tym nie rozmawiamy, jakbyśmy nie chcieli obudzić śpiącego lwa, ale wiem, że oboje stale o tym myślimy. Przez cały czas bałam się dwóch rzeczy: tego, że nie będę potrafiła udawać twojej Iriny, i tego, że nie zapanuję nad sobą, jeśli spotkam kogoś ze swoich znajomych. Diana Lwowna zauważyła, że Irina nieco się zewnętrznie zmieniła, że zbrzydła, ale nie zwątpiła, że ja to ona. Dianę udało nam się oszukać. Twoich przyjaciół, którzy odwiedzali nas przez cały tydzień, również. Bardzo pomaga historyjka z moim wypadkiem i chorobą. Ale ciągle się bałam, że nie zdołam oszukać tych, którzy mnie znali. Rozumiesz, o czym mówię? Bałam się, że jeśli spotkam znajome osoby, zwłaszcza te, które mnie dobrze traktowały, były dla mnie miłe, nie potrafię udać, że to nie ja. Nie opanuję się, zblednę albo się zaczerwienię, rzucę się im na szyję albo coś w tym stylu. I oto dzisiaj los urządził mi egzamin, a ja go zdałam. Nie zemdlałam, nie wpadłam w histerię, nie powiedziałam ani jednego

zbędnego słowa, nie straciłam twarzy. Zniosłam to i teraz czuję, że poradzę sobie w każdej sytuacji, uda mi się wykręcić, wywinąć, ale cię nie zawiodę. Odtąd możesz się dłużej nie denerwować z tego powodu.

Irina na chwilę przerwała, później chwyciła kieliszek z szampanem za cienką nóżkę.

- Wydaje mi się, Sierioża, że wszystko ułożyło nam się tak, jak planowaliśmy. I chcę, żebyśmy za to wypili. Bo warto.

Przez cały czas, kiedy Irina wygłaszała zawczasu przygotowany monolog, nie spojrzała na Bieriozina. Było jej jakoś niezręcznie, czuła się tak, jakby oszukiwała ufne dziecko. Całe to święto wymyśliła z pozoru po to, żeby Bieriozin pojął, że ona niepokoi się o niego i o ich wspólną sprawę. Ale tak naprawdę Irina pragnęła, żeby Sierioża zauważył, jaka jest silna, odważna, nie zalewa się łzami, ale stanowi prawdziwe oparcie, mocny tył. Bardzo chciała, żeby się nią nie rozczarował.

Podniósłszy kieliszek, opanowała się i spojrzała na Siergieja. Mężczyzna siedział ze złożonymi na piersiach rękoma i nawet nie zamierzał sięgnąć po kieliszek. Wszystko przepadło, ze smutkiem pomyślała Irina. Nie odgadłam jego nastroju, nie trafiłam w odpowiedni ton i wydaję mu się teraz śmieszna i głupia.

- Odstaw kieliszek na stół - powiedział Bieriozin, podnosząc się z krzesła.

Irina postawiła kieliszek z powrotem na śnieżnobiałym obrusie i opuściła głowę.

- Wstań, proszę - rzekł mężczyzna całkiem cicho.

Irina ze zdziwieniem usłyszała jego głos koło siebie, podniosła oczy i zobaczyła, że Siergiej stoi tuż przy niej. Posłusznie wstała i odwróciła się doń twarzą. Nigdy przedtem nie miała okazji widzieć oczu męża z tak bliska.

Miała wrażenie, że pocałunek trwał całą wieczność. Był to ich pierwszy pocałunek od tyłu miesiący znajomości.

- A teraz możemy wypić - rzekł Bieriozin, odrywając się od niej. -

Wypijemy za nas oboje.

Wypili szampana na stojąco, później Siergiej znowu ją pocałował. A potem coś się stało. Irina nie mogła pojąć, co to było, ale zakradło się pomiędzy nich skrępowanie, którego do samego końca kolacji nie udało im się ani się pozbyć, ani złagodzić, ani przełamać.

Bieriozin przewracał się z boku na bok, próbując jak najwygodniej się ułożyć. Sen nie nadchodził. Mężczyzna czuł za to zdziwienie połączone z lekkim strachem. Długo i umiejętnie całował Irinę, a ona odpowiadała mu czule i namiętnie. Wszystko powinno się było dobrze skończyć... Ale z jakiegoś powodu tak się nie stało. Wtedy, stojąc przy świątecznie nakrytym stole, na którym pieniał się dopiero co rozlany do kieliszków szampan, obejmując i całując Irinę, Siergiej Nikołajewicz nagle pojął, że nic nie czuje. Zupełnie nic.

Dlaczego? Z przestachem pytał sam siebie przez cały wieczór, zerkając na Irinę. Dlaczego? Ona tak mi się podoba, jest taka mądra, delikatna i czuła, doskonała pani domu. Dobra i troskliwa. Ładna. Nie odtrąciła mnie, a więc chyba jej się podobam. Dlaczego zatem nic nie czuję? To niedobrze, chcę, żeby wszystko było jak dawniej. Chcę jej pragnąć.

Widział zdumienie na twarzy Iriny, kiedy przez cały wieczór ani razu jej więcej nie dotknął. Próbował odkupić swoją winę czułymi słowami, prawił jej komplementy, chwalił opanowanie i zimną krew, troskliwie pytał, czy się mocno przestraszyła. Ale im więcej uwagi i czułości okazywał w słowach, tym większe zdumienie pojawiała się na jej delikatnej, pociągłej twarzy.

Jeśli tak dobrze i ciepło mnie traktujesz, to zrób coś, mówiła jej mina.

Ale Siergiej nic nie zrobił. Dotrwał do północy, pomógł posprzątać ze stołu, grzecznie posiedział w kuchni, popatrując na ekran małego telewizora, gdzie akurat szły wiadomości, podczas gdy ona myła naczynia. Potem życzył Irinie spokojnej nocy i udał się do sypialni.

A teraz kręcił się z boku na bok w ogromnym małżeńskim łóżku i czuł się bezgranicznie nieszczęśliwy. Nagle na korytarzu usłyszał ciche

kroki, Irina wyszła ze swego pokoju. Bieriozin ze strachem skulił się pod kołdrą. Zaraz tutaj wejdzie, ponieważ ma prawo oczekiwać od niego jakichś konkretnych czynów, a jego niezdecydowanie pewnie odbiera jako delikatność.

Kroki zaszeleściły koło sypialni, pstryknął wyłącznik w łazience, zaszumiała woda. Znowu pstryknięcie wyłącznika, Irina ponownie minęła sypialnię, ale nie weszła do niego, lecz do dużego pokoju. Na podstawie ledwie dobiegających dźwięków Siergiej Nikołajewicz domyślił się, że włączyła telewizor. Też nie może spać? Nie, to nie ma sensu, zdecydowanie stwierdził Bieriozin, odrzucając kołdrę i spuszczać nogi na podłogę. Zaraz do niej pójde. Co za dziecinada, jak słowo daję!

Narzuciwszy na nagie ciało szlafrok w niebiesko-bordowe paski, wyszedł z sypialni i czując mocne bicie serca, zajrzał do pokoju. Irina siedziała na kanapie ze wzrokiem wbitym w telewizor z wyłączonym dźwiękiem. Na ekranie jakaś długowłosa postać o kobiecym wyglądzie wymachiwała mikrofonem, widocznie dając wokalne popisy.

- Co się stało, Iroczko? - łagodnie zapytał Bieriozin. - Nie możesz spać?

Irina niewyraźnie pokręciła głową, co oznaczało albo „tak”, albo „nie”, albo „odczep się”.

- Ja też nie mogę zasnąć - ciągnął Siergiej Nikołajewicz. - Usłyszałem, że wstałaś, więc zajrzałem. Może wypijemy coś na sen? Trochę koniaku? Albo wermutu?

- Przecież piliśmy szampana podczas kolacji, Sierioża - powiedziała ledwie dosłyszalnie. - Lepiej go z niczym mieszać, bo rano obudzimy się z bólem głowy.

Siergiej Nikołajewicz zajrzał jej w twarz i dostrzegł, że Irina płakała. Oczy miała czerwone, powieki napuchnięte, a na policzkach wystąpiły różowawe plamy. Mężczyzna osunął się koło niej na kolana i wziął za rękę.

- Iro, głupiec ze mnie, tak? Nie wiem, jak powinienem się zachować.

Boję się, że cię obrażę, skrzywdzę. Nie chcę, żebyś pomyślała, że traktuję cię jak byłą prostytutkę i właśnie dlatego pozwalam sobie...

Irina nachyliła się ku niemu, delikatnie dotknęła ustami jego ust i Bieriozin z radosnym uniesieniem objął ją, wyczuwając palcami jej gorącą skórę przez cienką tkaninę szlafrocza. Leżeli obok siebie na kanapie w pokoju gościnnym, oświetlonym mrugającym ekranem niemego telewizora, i ręce Bieriozina już dawno poradziły sobie z tak drobną przeszkodą, jaką był jedwabny peniuar Iriny przytulającej się do niego całym ciałem... Ale znów coś się stało. Nic nie mógł na to poradzić. Wszystko, co w tej chwili czuł i przeżywał, czuł i przeżywał rozumem i sercem. Rozum mu podpowiadał, że znalazł w końcu kobietę, która może dać mu szczęście, a serce, że są stworzeni dla siebie, znany polityk i zawodowa dziwka. Ale jego ciało nie chciało tego zrozumieć. Nie chciało tej bliskości i Bieriozin nic nie mógł na to poradzić.

Irina bardzo się starała, użyła całego swego kunsztu, nabytego i doskonalonego z setkami najprzeróżniejszych klientów, pijanych i trzeźwych, wystraszonych i słabych, nieporadnych i wyrafinowanych. Ale nic nie osiągnęła. W końcu Bieriozin łagodnie się od niej odsunął i wstał.

- Pewnie jesteś zmęczony - powiedziała nieśmiało, bojąc się podnieść na niego wzrok. - Nie przejmuj się tym, Sierioża. Wszystko się uda. Do tej pory przecież wszystko nam się udawało, prawda? To też się uda.

Bieriozin wyłączył telewizor, kasując głupie wykrzywiające się gęby okolone niewiarygodnymi fryzurami, i w pokoju zrobiło się całkiem ciemno. Usiadł w fotelu, z trudem rozróżniając sylwetkę Iriny w jasnym jedwabiu na ciemnym tle welurowego obicia kanapy.

- Muszę ci wytłumaczyć, Iro... Wątpię, czy coś z tego wyjdzie. Jesteś bardzo dobra, Iroczo, wspaniała, masz złote serce, ale ja nie mogę... Przez cały czas pamiętam, ilu mężczyzn korzystało z twego ciała, ile obcej spermy wiano do twego wnętrza. Rozumiesz mnie?

- Tak - odrzekła cicho, nie wykonując najmniejszego ruchu. - Czyżby twoja żona nie była taka sama?

- To co innego. Nie obraź się, ale przecież kochałem ją, bardzo ją kochałem, kiedy brałem z nią ślub. A kiedy później zaczęła z niej wyłazić ta cała ohyda, kiedy zaczęła pić, brać narkotyki, ciągać się z przypadkowymi i nieprzypadkowymi facetami, wciąż jej pragnąłem, bo moje serce pamiętało, jak mocno ją kochałem. W ostatnim okresie nie byliśmy ze sobą blisko, wiesz o tym, zupełnie straciła rozum, prawie nie kontaktowała.

- To znaczy, że nigdy nie będziesz mógł mnie pokochać? Nigdy mi nie przebaczysz, że byłem prostytutką?

- Ależ co ty mówisz, Iro! Co ma do tego przebaczenie. Niczym wobec mnie nie zawiniłaś, nie zrobiłaś mi nic złego, wręcz przeciwnie, pomogłaś mi i nadal pomagasz, dbasz o mnie, prowadzisz mi dom, przyjmujesz moich gości. Jesteś moją żoną, Iro. Razem to wymyśliliśmy i razem z tym umrzemy. Nie uda nam się już tego zmienić, a ja nawet nie zamierzam. Chcę być twoim mężem, codziennie cię widywać, troszczyć się o ciebie, jeść twoje wspaniałe pierogi, chwalić się przyjacielom i dziennikarzom, jaką mam świetną żonę, chcę się budzić i zasypiać obok ciebie. Ale nie potrafię zrobić rzeczy najważniejszej... Wybacz, Iro, nie potrafię.

- Ale dlaczego? Dlaczego, Sierioża? Czujesz do mnie wstręt? Wydają ci się brudna?

Bieriozin milczał. Boże, no co miał jej powiedzieć? Tak, wydawała mu się brudna. Tak, przez cały czas pamiętał, ile razy jej łono otwierało się na licznych mężczyzn, których imion nie znała, mężczyzn pijanych i agresywnych, wstrętnych i cuchnących, głupich i nikczemnych. I sama myśl o tym go paraliżowała. Jedyna kobieta na świecie, którą darzył niepojętą i ogromną czułością, wydawała mu się brudna i zepsuta, a jego ciało rozpaczliwie sprzeciwiało się temu, żeby w nią wejść.

- Kocham cię - niespodziewanie dla samego siebie rzekł Bieriozin.

Gwałtownie się podniósł, nie czekając na odpowiedź Iriny, i poszedł do siebie. Długo jeszcze nie mógł zasnąć, nasłuchując kroków Iriny, wracającej do swego pokoju. Ale się nie doczekał.

Ciało dziewiątoklasistki Tani Grigorjewej do chwili odnalezienia przeleżało w piwnicy domu na Nabrzeżu Kotelniczskim od półtora miesiąca do dwóch. Nie można było przyprowadzić rodziców, żeby rozpoznali zwłoki, bo nikt nie mógł spoglądać na nie bez wzdrygnięcia się. Dobrze, że w pobliżu znalazła się torba, w której znajdowały się podpisane zeszyty Tani i jej notes. Dziewczyny poszukiwano od chwili zgłoszenia przez rodziców jej zaginięcia pod koniec października.

Jura Korotkow ciężko znosił widok rozkładających się szczątków, a jeśli były to zwłoki dzieci i nastolatków, wpadał w trans i przestawał kontaktować. Dzisiaj jednak nie miał wyjścia, musiał zająć się sprawą, a nie wylewać łzy, bo na miejsce odnalezienia zwłok pojechał z grupą dyżurną o trzeciej w nocy i swoją robotą nie miał kogo obarczyć.

Woniejący potem i moczem bezdomny, który zabrnął do tej piwnicy, żeby się ogrzać i przespać, i odkrył przerażające znalezisko, siedział na ławce koło domu, trzęsąc się jak w febrze i szczękając zębami.

- Wypiłoby się, szefie. - To były jego pierwsze słowa skierowane do Korotkowa. - Jakoś mi straszno.

- Wytrzymaj, stary. - Korotkow machnął ręką. - Mnie też nie jest lekko. Gdzie ja ci znajdę wódkę o trzeciej nad ranem?

- Znaleźć to sam znajdę - odparł bezdomny, kłapiąc zębami czy to z zimna, czy to z przerażenia. - Pieniędzy nie mam.

- Zaczekaj, zadam ci parę pytań, a później dostaniesz na butelkę. Pasuje?

- No to dalej, szefie, pytaj prędzej, widzisz, że całego mnie telepie.

- Często przychodzisz do tej piwnicy?

- Nie, w tym sezonie pierwszy raz tu trafiłem. Krążą słuchy, że to niedobre miejsce, nie pchamy się tutaj, jeśli nas potrzeba nie przyciśnie.

- Co w nim niedobrego?

- A niby co dobrego? - rozsądnie zaoponował bezdomny. - Trupy się walają, a może i co innego...

- A do dzisiaj gdzie nocowałeś, biedaku?

- Na Kałanczowce, ciepłych piwnic tam w bród. W zimnie nie chcę.

Tam mamy najlepszą metę.

- No a dzisiaj co? Zamknęli twoją Kałanczowkę?

- Szczury tępią. Co, nie wiesz? Szczurów tam się namnożyło bez liku, a my przez głupotę uznaliśmy, że nam ichnia trutka nie zaszkodzi, bo przecież jest na szczury, a nie na ludzi, więc przenocowaliśmy tam wczoraj, a tu od rana jeden wymiotuje, inny ma biegunkę, a inni w ogóle nie kontaktują. Struliśmy się tą trucizną. No więc postanowiliśmy się rozproszyć na kilka dni, przeczekać, aż trutka wywietrzeje. I każdy poszedł sobie szukać miejsca gdzie indziej.

- A ty dlaczego przyszedłeś tutaj? Znasz to miejsce?

- Gdzie tam! - Bezdomny wykonał niezrozumiały ruch głową, jakby odganiał muchę od twarzy. - Inni pozajmowali szybciej wszystkie miejsca. Myślisz, że tak łatwo znaleźć coś do spania? Akurat! Całą Moskwę podzielili, za meldunek teraz nikogo nie szarpia, no to ferajna bezdomnych przestała się bać i ustaliła swoje zasady. Władza demokratyczna zniosła nakaz meldunku, więc nasi pyskacze wprowadzili własny kłoszardowski meldunek. Do cudzej piwnicy się nie pchaj, na cudzy strych nie leż, na cudzych schodach ci nie wolno. Zapłać za meldunek, dostaniesz pozwolenie od usiadnika, a wtedy proszę bardzo. Za darmo można tylko tam, gdzie nie palą, albo w takich miejscach jak tutaj, to znaczy w niedobrych. Na ulicy dzisiaj jest ponad dwadzieścia stopni mrozu, spróbowałem się ulokować w zimnej piwnicy, ale nie, czuję, że ten numer mi nie wyjdzie. No to przywlokłem się tutaj. Wiedziałem, że to złe miejsce, ale przynajmniej ciepło...

- Słuchaj, stary, ale dlaczego to niedobre miejsce? Zwłoki znaleźliśmy dopiero dzisiaj, a wcześniej? Działo się tu coś?

- A jak! - Bezdomny z dumą popatrzył na Korotkowa, a jego wzrok mówił: niby taki z ciebie duży facet, a nie wiesz elementarnych rzeczy. - Odkąd zbudowano ten dom w latach trzydziestych, ciągnie się za nim zła sława. Jeśli jakieś zwierzę, pies albo kot, wpadnie do tej piwnicy, to po nim! Żywego już go nikt nie zobaczy Ktoś tam wyje po nocach, ni to jakaś zjawa, ni to żywy trup. Paskudne miejsce.

Korotkow stracił zainteresowanie, zrozumiał bowiem, że bezdomny sprzedaje mu zwyczajną bajeczkę, z tych, co to na potęgę tworzy się i przekazuje z ust do ust w środowisku bezdomnych włóczęgów. Wręczył mężczyźnie dziesięciotysięczny banknot, a wówczas bezdomny żwawo potruchtał w stronę otwartych przez całą dobę kiosków z alkoholem. Jura cierpliwie czekał, aż ekspert kryminalistyki i lekarz sądowy skończą pracę i zabiorą zwłoki. Dopiero wtedy sam Korotkow zacznie oglądać piwnicę, licząc na to, że znajdzie jakiś ślad. Zwłoki nie były ukryte zbyt dokładnie, więc jeśli znaleziono je dopiero teraz, to nikt tutaj przez dwa miesiące raczej nie zaglądał. A skoro nie zaglądał, to może gdzieś na podłodze poniewiera się jeszcze jakiś drobiazg upuszczony przez zabójcę. Ale szukać tego drobiazgu Jura będzie mógł dopiero wtedy, kiedy nie będzie tam już rozkładających się zwłok piętnastoletniej dziewczyny.

Po przekazaniu o dziesiątej dyżuru Korotkow udał się na swoje piętro i od razu zajrzał do Kamieńskiej.

- Aśka, ratuj! - zawołał błagalnie, pakując się do jej pokoju i rozsiadając na wolnym krześle przy oknie. - Kubek kawy, inaczej umrę tu na twoich oczach i będzie ci wstyd.

- Nie będzie mi wstyd - odparła Nastia, nie podnosząc oczu znad papierów szczelnie zaścielających biurko. - Moje uczucie wstydu uległo atrofii dawno temu, jeszcze w tych czasach, kiedy zwędziłeś mi pudełko z cukrem.

- Ale Asiu - zajęczał Korotkow. - No nie bądź wredna.

- Odczep się, Jurka. Co ty, dziecko jesteś? Nie wiesz, jak zrobić kawę? Nalej wody z karafki do kubka, włącz grzałkę, nasyp tam kawy i nie czepiaj się mnie, na miłość boską. Pączek już od rana próbował mi urwać głowę za wszystkie moje zadania.

- Też coś, jedno więcej, jedno mniej - filozoficznie zauważył Jura, patrząc gdzieś w przestrzeń.

- Co właściwie masz na myśli? - podejrzliwie zapytała Nastia. - Znowu przyniosłeś mi jakieś paskudztwo?

- Uhm. Asiu, tylko się nie denerwuj, dobra? Dzisiaj w nocy znaleźliśmy zwłoki piętnastoletniej dziewczyny, uczennicy. Już od półtora miesiąca poszukuje jej Okręg Zachodni, dzwoniłem się z chłopakiem, który prowadził sprawę, i poprosiłem, żeby do nas podskoczył.

- Bodajbyś szczęść, Korotkow - rzuciła z gniewem Nastia. - Mam zupełnie inne plany, nawiasem mówiąc. Chyba że zamierzałeś porozmawiać z tym chłopakiem sam?

- Nie - szczerze przyznał Jura. - Liczyłem na ciebie. A jakie masz plany?

- Jadę do lekarza, który przyjmował poród Galiny Iwanowny Paraskiewicz.

- Tak? A po co ci lekarz?

- Widzisz, Galinie Iwanownie zrobiono cesarskie cięcie, a to zwykle wiąże się z różnymi schorzeniami położnicy. Schorzenia te mogą się bardzo odbić na psychicznym rozwoju niemowlęcia.

- No i co, spodziewasz się, że lekarz, który przyjmował poród dwadzieścia osiem lat temu, coś sobie przypomni? Nie poznaję cię, Asiu.

- Niczego się nie spodziewam, Jurka, po prostu sumiennie wykonuję wszystkie niezbędne działania, żeby potem nikt nie mógł mi zarzucić, że czegoś nie dopełniłam.

Podniosła na niego wzrok i Korotkow nagle zauważył głębokie sine cienie pod jej oczami i chorobliwie opuszczone kąciki ust. Dziwne, wydawało mu się, że jeszcze kilka dni temu, kiedy pojechali razem po karty zdrowia Paraskiewicza, Nastia wyglądała zdecydowanie lepiej.

- Samobójstwo, które Ludmiła Isiczenko popełniła na moich oczach, w zupełności wystarczy, żebym zaczęła dmuchać na zimne. Może wkrótce mi to minie, ale na razie nie mogę pozbyć się myśli, że mogłam sprawdzić, jakie lekarstwo zamierza zażyć. Powinnam była pomyśleć, że może mnie oszukiwać, przewidzieć, że szalona kobieta, która właśnie się przyznała do zabójstwa, może mieć myśli samobójcze. Wiele rzeczy mogłam zrobić. Ale ja nic nie uczyniłam i pozwoliłam jej umrzeć w

moim gabinecie. Dlatego zamierzam złożyć wizytę doktorowi Prigarinowi i zadać mu kilka pytań. A ty zamiast tego zmuszasz mnie, żebym czekała na jakiegoś wywiadowcę z Okręgu Zachodniego, którego sam przecież wezwałeś.

- Dobra, Asiu, nie wkurzaj się. Patrz, woda już się zagotowała, chlapiemy sobie kawki, co?

- Nie podlizuj się. - Uśmiechnęła się słabo. - I tak wyjadę stąd równo o dwunastej. Jeśli twój chłopak do dwunastej się nie zjawi, nie będę ci mogła pomóc.

- A dlaczego o dwunastej?

- Bo tak się umówiłam.

- Z kim?

- Nie twoja sprawa. Zalewaj te kawy.

- Nie ściemniaj, Aśka. Z kim się umówiłaś?

- Ze Stasowem.

- O proszę! A co on ma z tym wspólnego?

- Przecież powiedziałam, to nie twoja sprawa. Jurka, weź się odczep, co? I bez tego mi źle.

- Nie odczepię się.

Korotkow nalał wrzątku do kubka i szklanki, uprzednio wsypując do nich po dwie łyżki szwajcarskiej kawy i wrzucając po trzy kostki cukru, po czym zamieszał łyżeczką, żeby cukier się rozpuścił. Kubek postawił przed Nastią, a szklankę przed sobą.

- Asiu, nie mogę się od ciebie odczepić, bo lubię cię, że tak powiem, całą moją oschłą milicyjną duszą. I jeśli zrzędzisz, muszę coś dla ciebie zrobić. Nie mogę stąd wyjść, pozostawiając cię w tak nietypowym dla Anastazji Kamieńskiej nastroju. No co mogę dla ciebie zrobić? Chcesz, to pójdę i kupię ci ten cholerny cukier? No przestań się dąsać i uśmiechnij się, proszę.

Nastia w milczeniu upiła łyk kawy z kubka, wyciągnęła z paczki papierosa, niespiesznie wyjęła zapalniczkę i zapaliła. Potem zacisnęła z całej siły powieki, a kiedy otworzyła oczy, Korotkow znowu zobaczył

poprzednią Nastię, skoncentrowaną, zrównoważoną i spokojną.

- Masz rację, furik, w niedopuszczalny sposób się rozkleiłam. Aż nieprzyjemnie ze mną obcować, prawda?

- Ja tego nie powiedziałem - ostrożnie zaproponował Korotkow, mimo że Nastia powiedziała czystą prawdę.

- Ale pomyślałeś. - Uśmiechnęła się. - Koniec, Jura, jestem gotowa do normalnej pracy.

Nie zdążyli dopić kawy, kiedy pojawił się Aleksander Jułow z Okręgu Zachodniego. Historia zniknięcia i poszukiwań dziewczątoklasistki Tani Grigorjewej była całkiem zwyczajna, banalna aż do bólu. Pewnego pięknego dnia, a raczej wieczoru, Tania nie wróciła ze szkoły. Rodzice nie od razu uderzyli na alarm, jako że Tania była dziewczyną nie tylko ładną, ale i krnąbrną, a nawet przywiązaną do wolności, mogła pojechać na daczę do koleżanki, nie prosząc dorosłych o pozwolenie i nawet nie zawsze w porę ich informując o podjętej decyzji. Matka i ojciec od czasu do czasu próbowali stosować wobec samowolnej dziewczyny jakieś marne środki wychowawcze, ale nie było z tego żadnego pożytku, raczej odwrotnie, Tania tylko coraz bardziej wymykała im się z rąk. A przy tym ani alkoholu, ani papierosów nigdy nie było od niej czuć, więc rodzice szczerze się dziwili, po co córce taka nieograniczona swoboda, skoro nie wykorzystuje jej do tego, żeby pić i palić. Co się tyczy relacji z chłopcami i mężczyznami, to tu rodzice byli, jak to się mówi, zieloni, ponieważ zewnętrznych oznak w tej delikatnej materii prawie nigdy nie ma, oprócz, rzecz jasna, ciąży, ale do tego, na szczęście, nie doszło.

Dlatego kiedy pod koniec października Tania nie wróciła do domu na noc, rodzice tylko gorzko westchnęli, ale do milicji, naturalnie, się nie zwrócili, uznając, że dziewczyna po prostu wycięła kolejny numer. Jednakże trzy dni później, kiedy się okazało, że nie przychodzi do szkoły i żadna jej przyjaciółka nie wie, gdzie jest, tata i mama zaniepokoiili się, ale też niespecjalnie, ponieważ założyli, z dużym prawdopodobieństwem, że Tania wybyła z jakimś nieznanym

mężczyzną. Zabaluje i wróci, pocieszali się. Po tygodniu Tani zaczęła szukać milicja.

Ustalono, że tamtego dnia, kiedy nie wróciła do domu na noc, po siódmej lekcji została w szkole na zajęciach fakultatywnych z literatury. Prowadził je nauczyciel języka rosyjskiego i literatury Andriej Gieorgijewicz Turin. Pracował z młodzieżą, która zamierzała zdawać egzaminy na uczelnie humanistyczne, a takich osób w obecnych czasach było niewiele, wszystkich teraz bardziej interesują kierunki typu bankowość czy finanse.

Dlatego na fakultety do Turina chodziło zaledwie koło dziesięciorga uczniów z dziewiątej, dziesiątej i jedenastej klasy. Główny trzon grupy stanowili oczywiście jedenastoklasiści, dziewiątoklasistów było dwoje, Tania Grigorjewa i chłopak z równoległej klasy.

Po zakończeniu zajęć wszyscy zaczęli się rozchodzić do domów. Dziewiątoklasista z równoległej klasy widział, jak Tania szła w stronę metra z uczniem z jedenastej klasy Gieną Warczukiem. Sam zaś Warczuk wyznał, że zjechał razem z Tanią schodami ruchomymi na peron i tam się pożegnali. Warczuk pojechał do domu w stronę centrum, a Tatiana - w stronę przeciwną.

Nowe światło na to, co się stało, rzucił sam prowadzący zajęć fakultatywnych, Andriej Gieorgijewicz Turin. Wyjaśnił, że Tania Grigorjewa od dawna kochała się w Gienie Warczuku i wszyscy o tym wiedzieli. Na fakultety z literatury chodziła właściwie tylko ze względu na Gienę, ponieważ sama nie przejawiała najmniejszych humanistycznych zdolności. Za każdym razem po zajęciach udawała, że musi gdzieś jechać, i odprowadzała Gienę do metra. Wszyscy o tym wiedzieli, ale nikt się z Tani nie wyśmiewał, bo dobrze ją znali i wiedzieli, że jest jednostką niezależną i nieskrępowaną. Dziewczyna i tak by się nie obraziła, ale z całą pewnością mogła się zemścić za głupi numer.

Już na początku listopada przemaglowano wszystkich uczniów starszych klas, wszystkich znajomych Tani, ale nie udało się znaleźć

najmniejszego punktu zaczepienia. Dziewczyna przepadła jak kamień w wodę.

- Ma pan listę adresów wszystkich uczniów klas starszych i znajomych dziewczyny? - zapytała Nastia.

- Jasne, że mam.

Jułow skwapliwie otworzył teczkę i wyjął stamtąd spięte kartki z nazwiskami i z adresami.

- Zobaczmy, czy ktoś z nich nie mieszka na Nabrzeżu Kotelnickim.

- Już to sprawdziłem, zanim tu do was przyjechałem.

- I co?

- W tym domu nikt nie mieszka.

- A w pobliżu, na przykład w sąsiednim?

- Musicie wiedzieć, że bardzo poważnie zająłem się poszukiwaniami Tani - wyjaśnił zmieszany Sasza Jułow. - Na wszelki wypadek zebrałem adresy nie tylko samych uczniów, ale też ich krewnych. Wyszedłem z założenia, że jeśli dziewczynę gdzieś zwabiono, żeby zgwałcić, to najprawdopodobniej zaproszono ją do pustego mieszkania, którym bardzo często staje się mieszkanie starszego brata, wujka i ciotki albo dziadka i babci.

- I w domu na Kotelnickim... - odpowiedziała Nastia.

- ... mieszka dziadek Gienny Warczuka.

- Dokładnie w tym samym domu czy przynajmniej obok?

- W tym samym.

- Jasne. Znajdźcie tego nauczyciela, Andrieja Gieorgijewicza Turina. Warczuk, jak rozumiem, spokojniutko chodzi sobie do szkoły i nigdzie nie zamierza się zmyć?

- Zgadza się, Anastazjo Pawłowno, sumiennie zdobywa swoje piątki i czuje się doskonale.

- No to pięknie. Najpierw porozmawiamy z Andriejem Gieorgijewiczem. Skoro od chwili przestępstwa minęły dwa miesiące, a ze śladami kiepsko, trzeba zrobić wszystko, żeby przestępca pękł. Inaczej

guzik udowodnimy. A musimy dowiedzieć się jak najwięcej o tym
Giennadiju Warczuku.

ROZDZIAŁ 16

Władimir Pietrewicz Prigarin spoglądał na Nastię Kamieńską z nieskrywanym zdumieniem.

- Czyżby pani sądziła, że jestem w stanie przypomnieć sobie zdarzenia sprzed prawie trzydziestu lat?

- No oczywiście, że nie z marszu. - Nastia uśmiechnęła się. - Pokażę panu kartę położnicy, może gdy przejrzy pan swoje notatki, pamięć coś panu podpowie. A zresztą słyszałam, że ma pan fenomenalną pamięć do twarzy. Przyniosłam panu nawet zdjęcia tej kobiety, co prawda nie z tamtego okresu, kiedy rodziła, na fotografii jest trochę starsza, ale niewiele się zmieniła.

- A skąd takie zainteresowanie tą położnicą?

- Nie tyle położnicą, ile raczej jej dzieckiem. Zbieramy teraz materiały do ekspertyzy sądowo-psychiatrycznej jej syna, więc ważne są wszelkie szczegóły na temat stanu zdrowia matki i przebiegu porodu. Pan jako doświadczony lekarz musi to rozumieć.

- Naturalnie, naturalnie. - Prigarin pokiwał głową. - A czy wolno zapytać, skąd pani wie o mojej pamięci wzrokowej? Czyżby powiedziano pani o tym w klinice położniczej?

- Na pogłoskach świat stoi. - Nastia wykręciła się od odpowiedzi.

Z jakiegoś powodu nie miała ochoty wspominać Stasowa. Nie mogli pojechać do Prigarina razem, jak zamierzali, Stasow miał jakieś problemy w pracy, dlatego Nastia musiała wybrać się sama. Gdyby przyjechali tutaj razem, Władimir Pietrowicz sam by się domyślił, skąd Nastia wie o jego wspaniałej pamięci wzrokowej. Ale przyjechała bez Stasowa i ulegając zupełnie niezrozumiałemu impulsowi, nie odpowiedziała na tak proste i nieszkodliwe pytanie. Ja też zaczynam

podejmować irracjonalne decyzje, uśmiechnęła się w duchu. Czyżby to za sprawą intuicji zawodowej? Skąd, raczej udaję Greka.

- No cóż, rzućmy okiem na kartę - powiedział Prigarin.

Nastia podała mu kartę. Władimir Pietrowicz spojrział na nazwisko i twarz mu gwałtownie drgnęła.

- Nie, zupełnie sobie nie przypominam tej położnicy.

- Proszę przeczytać swoje notatki. Ja niestety mam trudności z rozszyfrowaniem pańskiego charakteru pisma. Dlaczego należało zrobić cesarskie cięcie?

Prigarin uważnie przeczytał wszystkie notatki, zaczynając od samego początku. Nastia odniosła wrażenie, że wczytuje się w tekst z przesadną uwagą, i z jakiegoś powodu to jej się nie spodobało.

- U tej położnicy wyraźnie zaznaczył się komponent astmatyczny - powiedział w końcu Prigarin. - Nigdy nie uprawiała sportu i nie oddychała z taką częstotliwością jak podczas porodu, więc przy istnieniu komponentu astmatycznego mogła po prostu się udusić.

- Rozumiem. A czy ten komponent mógł się odbić na zdrowiu dziecka?

- Niewątpliwie. Choć nie ryzykowałbym kategorycznego stwierdzenia. Widzi pani, jakiegokolwiek problemy z normalnym oddychaniem oznaczają również problemy z dostarczeniem tlenu do organizmu. Naruszenie wymiany tlenowej u ciężarnej może wywołać różne zakłócenia rozwoju płodu.

Nastia nagle rzuciła okiem na jego rękę, w których trzymał kartę, i zauważyła, że mocno drżą. Przestraszył się czy jak? Ciekawe czego? Albo po prostu się zdenerwował? Interesujące.

Porozmawiali jeszcze jakieś pół godziny, Nastia szczegółowo wypytała Prigarina o to, czy naruszenie wymiany tlenowej może doprowadzić do zakłóceń w psychice dziecka. Ale samej położnicy Władimir Pietrowicz sobie nie przypomniał - ani z nazwiska, ani ze zdjęcia. Nie ma się co dziwić, pomyślała Nastia, minęło tyle lat.

Miała ogromną ochotę zapalić, ale w mieszkaniu Prigarina nie

wyczuwała zapachu tytoniu, doszła więc do wniosku, że się w nim nie pali, i mężnie cierpiała. Pożegnawszy się z lekarzem emerytem, wyszła na podest i przywołała windę, kiedy jednak drzwi kabiny się otworzyły, rozmyśliła się i nie weszła do środka. Prigarin mieszkał na ostatnim piętrze, koło jego drzwi znajdowały się schody prowadzące na strych. Nastia przysiadła na najniższym stopniu i wyjęła papierosy. Nie zdążyła nawet dwa razy się zaciągnąć, gdy zza drzwi Prigarina dobiegł ją jego głos:

- Wiktor? To ja.

Nastia domyśliła się, że Władimir Pietrowicz rozmawia przez telefon. Przypomniała sobie jego przesadne zainteresowanie kartą Galiny Iwanowny Paraskiewicz, drżące ręce i zamieniła się w słuch.

- Była u mnie milicja. Nie, nie to. Nie, w sprawie Paraskiewicza. Wiktor, co się dzieje? Nic nie rozumiem. Skąd się to wszystko wzięło? Ależ nie histeryzuję, po prostu to mi się nie podoba. Pytali o poród. Tak. Tak. Nie, powiedziałem, że nie pamiętam. Ma w karcie wpisany komponent astmatyczny. Nie, z tej strony wszystko w porządku, ale nie rozumiem, dlaczego właśnie teraz... Dobra. Tak, jesteśmy umówieni.

Nastia dokończyła papierosa, na palcach zeszła po schodach dwa piętra niżej i dopiero wtedy pojechała windą. Ach, ten doktor!

Do willi w centrum Moskwy, gdzie znajdowała się administracja koncernu filmowego Syriusz, Nastia dotarła dość prędko. Stasowa nie było na miejscu, ale dziewczyna z sąsiedniego gabinetu, fruując po korytarzu koło Nasti, zaszczębiotała w biegu, że Władisław Nikołajewicz jest gdzieś w budynku, najprawdopodobniej u szefa. Nastia ulokowała się w niegdyś miękkim, a obecnie wgniecionym niemal do podłogi fotelu i wyjęła gazetę z krzyżówką, którą przezornie zabrała ze sobą. Wpisując litery do małych kratek, myślała wciąż o dziwnej reakcji Władimira Pietrowicza Prigarina na jej wizytę. Nigdzie żadnego kryminału, a on najpierw się przestraszył, a później, ledwie zamknęły się za nią drzwi, rzucił się do telefonu, żeby zadzwonić do jakiegoś Wiktora. Nie darmo Władowi od samego początku nie spodobała się ta zbieżność, och, nie

darmo! Ma jednak rozwiniętą i wyćwiczoną intuicję.

- Nad czym tak rozmyślasz? - Nastia usłyszała głos Stasowa nad samym uchem.

- Nad tym, że twój szef, który pozwolił ci odejść na emeryturę, jest kompletnym głupcem - odparła, chowając krzyżówkę do torby i wstając z niskiego fotela.

- Niby czemu? Normalny facet, dał mi spokojnie odejść, bez wymówek i niepotrzebnych nerwów.

- Gdyby był mądrzejszy, za nic by cię nie puścił. Do nóg powinien ci upaść, zalać się łzami, namawiać, żebyś został. A on? Wziął i puścił cię bez słowa, jakby takich jak ty miał pod ręką na pęczki. Wystarczy, że gwizdnie, a przybiegną do niego do pracy.

- No co ty, Nastazjo? - Władysław osłupiał. - Lody ci zaszkodziły? Czy kawa była złego gatunku? Coś taka podkrecona?

- Bo zawsze mnie złość bierze, kiedy odchodzą od nas najlepsi, a nasi szefowie spoglądają w ślad za wami z ojcowskim wyrzutem, zamiast wziąć się do roboty i coś przynajmniej zrobić. Wywalczyć dla was mieszkania, nagrody, ulgi. Jest mi przykro, rozumiesz?

- Chodźmy lepiej.

Stasow mocno chwycił Nastię za ramię i zaprowadził do swego gabinetu.

- Rozbieraj się, siadaj i mów, co cię tak nagle wyprowadziło z równowagi.

- Byłam dzisiaj u Prigarina - oznajmiła Nastia, zdejmując kurtkę i lokując się w wygodnym, tym razem porządnym fotelu w rogu. - I mogę ci pogratulować, że twoja intuicja wywiadowcy cię nie zawiodła.

- Poważnie? Nasz młodo wyglądający dziadunio czymś ci podpadł?

- Jeszcze jak. Bardzo się przestraszył moich pytań o poród Galiny Iwanowny Paraskiewicz, a jak tylko wyszłam, zaczął wydzwaniać do jakiegoś Wiktora. I tak, wiesz, z pretensją, że niby co to znaczy, dlaczego właśnie teraz, z jakiego powodu.

- Nastazjo, kiedy wreszcie przestaniesz mi mącić w głowie?

- O co ci chodzi? - Nastia nie zrozumiała.

- O twoją wizytę u Prigarina. Wybacz, ale po kiego diabła polazłaś do niego?

- A co? - Nastia przestraszyła się. - Stałam ci na drodze? Miałaś w związku z nim jakieś plany? Wybacz, Wład, przecież nie wiedziałam. Umawialiśmy się, że pojedziemy razem, więc pomyślałam, że...

- Nie to miałem na myśli. Pojechałaś do niego właśnie dlatego, że również tobie intuicja podpowiadała coś niedobrego. Tobie też nie spodobała się ta zbieżność. I nie musisz odgrywać całego przedstawienia i robić ze mnie genialnego Herculesa Poirota. Dobra, mów dalej, opowiadaj o naszym doktorze.

Nastia zrelacjonowała Stasowowi swoją rozmowę z Prigarinem i prawie dosłownie odtworzyła jego kwestie w przypadkowo podsłuchanej rozmowie telefonicznej.

- No proszę. - Stasow pokręcił głową. - A mnie z dumą mówił, że pamięta twarze wszystkich swoich położnic. Niech pan postawi przede mną dziesięć tysięcy kobiet, mówił, a wybiorę spośród nich wszystkie, których poród odbierałem, żadnej nie pominę. A twojej Galiny Iwanowny sobie nie przypomniał.

- To żaden wyznacznik. Może uważa, że ma doskonałą pamięć, a w rzeczywistości to nic szczególnego, po prostu wysokie mniemanie o sobie. Albo może w młodości miał dobrą pamięć, a teraz go zawodzi, lecz nie chce się do tego przyznać. Chociaż w zasadzie powinno być odwrotnie. Jeśli to początki sklerozy, to i tak to, co zapamiętał w młodości, powinno zostać mu w pamięci. No i z rozpoznaniem Dosiukowa miałyby problem. Nie w tym sedno, Wład, zostawmy tę jego wzrokową pamięć. O wiele bardziej interesuje mnie, czemu zaczął się trząść i do kogo i po co wydzwaniał, kiedy wyszłam.

- Masz jakieś pomysły?

- Nie, żadnego. Pozostaje szukać metodą prób i błędów. Będziemy go prowokować, żeby się dowiedzieć, na co reaguje najbardziej niezdrowo i kim jest ten Wiktor. Ale boję się, że dostanę za to nieźle po głowie.

Przecież na razie nie ma żadnego widocznego związku pomiędzy wszystkimi tymi zbieżnościami i odchyleniami a zabójstwem albo samobójstwem Paraskiewicza.

- Dajesz mi coś do zrozumienia?

- Daję. Stasow, proszę cię, żebyś pojechał ze mną do mojego szefa Gordiejewa.

- A on nie gryzie?

- Gryzie. Ale jeśli ja to znoszę, to ty też jakoś wytrzymasz. Trochę boli, ale nie jest śmiertelne. Pojedziesz?

- Co ja z tobą mam. - Stasow westchnął. - Nie umiem odmawiać kobietom. Z czego się śmiejesz?

- Przypomniałam sobie, jak Loszka mi wyrzucał, że poprosiłam cię, żebyś mnie zawiózł do Czechowa. Że niby jestem bezczelna i bez sumienia, zabieganą osobę bez żenady wykorzystuję do swoich celów, tylko z powodu własnego lenistwa, przecież on mógłby sam mnie odwieźć. A wyobrażasz sobie, co by było, gdybym go posłuchała? Wiesz, Stasow, kiedy myślę, na jakim cieniutkim włosku niewiarygodnych zbieżności wisi czasami nasz wywiadowczy sukces, robi mi się nieswojo. Przecież gdybym pojechała bez ciebie, nigdy nie skojarzylibyśmy twojego świadka z moją ofiarą. A w tym na pewno coś jest. Tylko w żaden sposób nie mogę wymyślić, co to może być. Łamałam sobie nad tym głowę, aż mnie rozbolała, ale nic mi nie przychodzi na myśl. To jak, jedziesz ze mną?

- Jadę, jadę, nie jęcz, tylko za jakieś dwadzieścia minut, dobra? Muszę prędko rozwiązać pewien problem, zameldować szefowi i wtedy pojedziemy.

Stasow popędził rozwiązywać „pewien problem”, zostawiwszy Nastię w gabinecie w towarzystwie dwóch telefonów, gazety z krzyżówką i nierozwiązanej łamigłówki, w której poród Galiny Iwanowny Paraskiewicz splótł się z zeznaniami świadków, leżącymi wraz z innymi u podstaw wyroku skazującego w sprawie Jewgienija Dosiukowa.

W przeddzień Nowego Roku w szkole, gdzie uczyła się Tania Grigorjewa, było cicho i pusto, zaczęły się ferie. Okazało się, że dyrektora nie ma na miejscu, ale Jułowowi udało się znaleźć zastępcę.

- Andriej Grigorjewicz się zwolnił - z zalem oznajmiła zastępczyni.

- Dawno?

- Z półtora miesiąca temu. Wyobraża pan sobie, co się dzieje, gdy nauczyciel odchodzi nie w połowie roku szkolnego, ale w środku semestru, w szczytowym okresie procesu dydaktycznego? Koszmar! Ale miał poważny powód, więc musieliśmy go puścić.

- A co to za powód? - zainteresował się Jułow.

- Choroba. Niech pan sobie wyobrazi, młody, pociągający mężczyzna i jakaś paskudna skórna dolegliwość. To zrozumiałe, że w takim stanie nie mógł się pojawić w klasie, cały w bandażach, maściach, opatrunkach. Okropność. Gdyby pracował z dorosłymi, można by to zlekceważyć, ale przecież dzieci są głupie i okrutne, nie wybaczą zewnętrznym defektów. Andriej musiał ogolić na łyso głowę, przez co upodobił się do kryminalisty. Lekarze powiedzieli, że leczenie potrwa co najmniej rok albo i więcej, dlatego postanowił odejść ze szkoły i spróbować znaleźć jakąś zdalną pracę, dopóki nie wyzdrowieje. Bardzo szkoda, bardzo! Taki utalentowany pedagog. A pan chce z nim porozmawiać na temat Tanieczki? Słyszałam, że ją znaleziono. Jakie to wszystko straszne.

Andriej Turin mieszkał dość daleko od szkoły, więc kiedy Sasza Jułow dotarł do jego domu, była już prawie siódma wieczorem. Na jego dzwonek długo nikt nie otwierał drzwi, później rozległ się niepewny głos:

- Kto tam?

- Starszy lejtnant Jułow. Szukam Andrieja Gieorgijewicza Turina.

Drzwi szeroko się otworzyły i Jułow, przygotowany w zasadzie na niespodzianki, mimo wszystko osłupiał. Turin rzeczywiście był ogolony na zero, a całą głowę miał pokrytą plamami ni to jodyny, ni to jakiejś leczniczej maści. Mało tego, kiedy dwa miesiące temu Jułow go widział, Andriej Gieorgijewicz miał bujną brodę, a teraz jego twarz była gładko

ogolona i męczyzna faktycznie jako żywo przypominał kryminalistę.

- Proszę wejść. - Gospodarz uśmiechnął się z zakłopotaniem, niezręcznym gestem dotykając ogolonej głowy. - Jestem w takim stanie, że nieprzyjemnie komukolwiek na oczy się pokazywać. Pewnie trudno mnie poznać?

- Ależ skąd - wspaniałomyślnie rzekł Jułow, sam czując zakłopotanie.

Wszedł za Turinem do pokoju i rozejrzył się. Na biurku stał włączony komputer, dokoła piętrzyły się teczki i papiery.

- Gdzie pan teraz pracuje? Zastępczyni w pańskiej szkole powiedziała, że chciał pan znaleźć jakąś zdalną pracę.

- Tak, na szczęście udało mi się złapać stanowisko redaktora, a zarazem korektora w wydawnictwie. Z poprawnością językową nie mam kłopotów, a w dzisiejszych czasach to wielka rzadkość. Poza tym dostaję materiał nie tylko w postaci wydruku, ale i na dyskietkach, więc swoje poprawki sam wprowadzam do tekstu, koryguję błędy i oddaję już gotową pracę. Dzięki temu wolno mi się zjawiać w redakcji raz na dwa tygodnie, jedną pracę zdaję i odbieram następną. W mojej sytuacji to najlepsze wyjście. Wie pan, takie choróbsko mnie dopadło, że Boże zmiłuj. Lekarstwa mają taki wstrętny zapach, że prawie z nikim się teraz nie spotykam. To przykre, bo czuję się wspaniale, a muszę żyć jak pustelnik.

- Nie żałuje pan, że musiał odejść ze szkoły?

- Jakby tu panu powiedzieć... - Turin uśmiechnął się. - Kłamać nie mam ochoty, a prawdy sam nie znam. Byłem bardzo przywiązany do uczniów i lubiłem pracę nauczyciela. W wydawnictwie zarabiam jednak o wiele więcej. Po prostu nieporównywalnie więcej. Ale my cały czas rozmawiamy o mnie, a pan przecież przyszedł w jakiejś sprawie.

- Owszem. - Jułow przytaknął. - Znaleźliśmy Tanię. Niestety, nie żyje.

Turin spuścił głowę.

- Oczywiście - rzekł cicho. - Głupio byłoby się łudzić, minęło tyle

czasu... Gdzie ją znaleźliście?

- W piwnicy domu, dość daleko od tej dzielnicy, w której mieszkała. I dlatego mam do pana prośbę, Andrieju Gieorgijewiczu. Wróćmy raz jeszcze do uczniów, którzy uczęszczali na zajęcia fakultatywne.

- Myśli pan, że to któryś z nich?

- Trudno powiedzieć. Najbardziej interesuje mnie Giennadij Warczuk.

- Dlaczego akurat on?

- Bo Tania została znaleziona w piwnicy domu, w którym mieszka dziadek Warczuka. A samego dziadka w tym okresie, kiedy Tania zaginęła, w Moskwie nie było. Jego mieszkanie stało puste. Rozumie pan?

- Tak, oczywiście... W głowie się nie mieści...

Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew zwany Pączkiem już od dawna wiedział, że Nowy Rok to najgorsze święto z możliwych. Na przestrzeni wielu lat równo dziesięć dni przed Nowym Rokiem przytrafiało mu się pasmo niepowodzeń, które trwało mniej więcej do Święta Trzech Króli. Później sprawy jakoś same się prostowały, życie wracało do normy, problemy, które zdawały się bez wyjścia, nagle znajdowały mniej lub bardziej znośne rozwiązania, ale cały ten miesiąc, od 20 grudnia do 19 stycznia, zawsze bywał trudny i przykry. Dokładnie opracowane i zaplanowane operacje z niepojętych przyczyn upadały, ludzie, w których pokładano nadzieję, w tym czasie chorowali albo wyjeżdżali, przestępcy nie wiedzieć czemu robili się szczególnie bezczelni i dopisywało im szczęście, a ofiary i świadkowie stawali się uparci i nieżyczliwi. Pewnie każdy człowiek ma taki okres w roku, kiedy nieprzyjemności i niepowodzenia ciasno się ze sobą splatają, gonią jedno za drugim, deptając sobie po piętach. Dla pułkownika Gordiejewa ów okres z godną podziwu regularnością pojawiał się koło Nowego Roku.

Dzisiaj był już 29 grudnia, splot niepowodzeń osiągał punkt kulminacyjny, więc Wiktor Aleksiejewicz nie tryskał humorem. A w najbliższej przyszłości czekały go cztery wolne dni, kiedy to wszystkie

państwowe instytucje i organizacje będą zamknięte, co zasadniczo utrudni pracę funkcjonariuszy operacyjnych, którzy nie mogą, rzecz jasna, pozwolić sobie na luksus urlopu od szukania przestępców przez całe cztery dni.

Nastia wiedziała, że jej szef ugrzązł w czarnym paśmie niepowodzeń, więc uprzedziła Stasowa, że Gordiejew czasami gryzie. Ale dobrze wiedziała, że Wiktor Aleksiejewicz zawsze przestrzega złotej zasady: nie psuć nastroju podwładnym, jeśli czeka ich robota. Jaki pożytek z pracownika, jeśli od samego rana szef wiesza na nim psy? Złość i rozdrażnienie to źli pomocnicy i żadni doradcy, podwładni po reprimendzie u szefa nie na wiele się zdadzą. Pułkownik miał jeszcze jedną zasadę: nie urządzać publicznych połajanek. Wszystko, co uważał za stosowne powiedzieć niedbałemu pracownikowi, mówił bez ogródek i niczego nie odkładał na później, ale robił to w cztery oczy. Gordiejew twardo wierzył, że ludzi nie wolno obrażać i poniżać, tylko wtedy można nimi skutecznie kierować.

Kiedy Kamieńska i Stasow stawili się u niego, Wiktor Aleksiejewicz wezwał również Jurę Korotkowa, ponieważ i on odpowiadał za wyjaśnienie zabójstwa pisarza Paraskiewicza. Naradzali się już od godziny, próbując dopasować fakty, ale żadnych logicznych powiązań nie znaleźli. Nastia ciągle czuła, że jakaś niewyraźna myśl kielkuje jej w głowie, ale nie potrafiła owej myśli uchwycić, tak prędko umykała.

- Przeprowadźmy mały eksperyment - zaproponowała. - Potrzebujemy jeszcze kogoś do pomocy.

Gordiejew rzucił na nią krótkie spojrzenie, ale o nic nie zapytał, tylko zdjął słuchawkę wewnętrznego telefonu. Minutę później w gabinecie zjawił się Misza Docenko, sympatyczny czarnooki dochodzeniowiec, najmłodszy w wydziale do walki z ciężkimi przestępstwami.

- Misza, niech pan włączy wyobraźnię - poprosiła Nastia - i spróbuje wcielić się w rolę. Bardzo dawno temu popełnił pan grzech i nagle się okazuje, że milicja z jakiegoś powodu interesuje się okolicznościami, w taki czy inny sposób powiązanymi z tym dawnym grzechem.

Natychmiast po rozmowie z milicjantem dzwoni pan do mężczyzny, któremu prawdopodobnie bardzo pan ufa, i prosi go o radę albo przypuszczalne wyjaśnienie postępowania milicji. Zwraca się pan do niego po imieniu i na ty. Poradzi pan sobie?

- Spróbuję. Jak ten doradca ma na imię?

- Wiktor.

- Aha, dobra.

Docenko zamyślił się, po czym utkwiał wzrok w Korotkowie.

- Wiktor, mam kłopoty - zaczął. - Potrzebuję twojej rady. Pamiętasz, wiele lat temu zrobiłem to i to. A teraz pyta mnie o to milicja...

- Stop! - przerwała mu Nastia. - No właśnie. Wiele lat temu zrobiłem to i to. A przecież Prigarin nic podobnego nie powiedział. Zaczął od razu od tego, że była u niego milicja i pytała o poród Galiny Iwanowny.

- Chcesz powiedzieć, że ten Wiktor jest całkowicie wprowadzony w sprawę? - zapytał Gordiejew.

- Zgadza się. - Nastia kiwnęła głową. - Co więcej, nie tylko się w pełni orientuje, ale w ostatnim czasie omawiał tę kwestię z Prigarinem. Gdyby było inaczej, Władimir Pietrewicz zupełnie inaczej poprowadziłby rozmowę. Tak, Miszeńka? Może niech pan spróbuje jeszcze raz.

- Wiktor - ponownie zaczął Docenko - pamiętasz tamtą historię sprzed trzydziestu lat? No kiedy zrobiłem to i to. Więc dzisiaj byli u mnie z milicji i pytali...

- Mądrała - z aprobatą rzekł pułkownik. - Marnuje się w tobie wielki improwizator, Michaile. Wydaje mi się, że wykorzystujemy cię w wydziale niezgodnie z twoim powołaniem. Ale Anastazja ma rację. Jeśli Prigarin rozmawiał tak, jak nam przed chwilą zademonstrował Docenko, wygląda na to, że razem z tym Wiktorem dość często omawiali problem Galiny Iwanowny Paraskiewicz. Chciałbym wiedzieć, co w tym porodzie było takiego szczególnego. Kto ma jakiś pomysł?

- Popełnili poważny błąd w sztuce lekarskiej, przez który dziecko zmarło przy porodzie, i podsunęli Galinie Iwanownie innego

niemowlaka. Skąd go wzięli, to inna sprawa. Ponieważ cesarskie cięcie wykonuje się pod narkozą, położnica nie dowiedziała się, że dziecko zmarło - wysunęła przypuszczenie Nastia. - A przyznać się do śmierci dziecka z jakichś powodów nie mogli. Może testowali jakiś nowy środek, a Galina Iwanowna dowiedziała się o tym i w razie śmierci dziecka posłałaby ich wszystkich za kratki.

- Niewykluczone. Co jeszcze? Ruszajcie głowami, nie jesteście na wczasach.

- Dziecko nie zmarło, ale zamiana i tak się odbyła - rzekł Stasow. - Na przykład w tym samym czasie była w klinice inna położnica, która z tego czy innego powodu zażyczyła sobie innego dziecka. Za duże pieniądze mogli w zupełności podjąć się zamiany dziewczynki na chłopczyka albo chorego dziecka na zdrowe czy też śniadego niemowlaka na dziecko o jasnej karnacji.

- Czemu nie, zdarza się - odezwał się Korotkow. - Na przykład jeśli kobieta ma pomyłonego męża, który chce koniecznie syna, żona już mu urodziła dwie córki, więc on grozi, że ją rzuci, jeśli nie będzie chłopca. Często się tacy trafiają. Albo odwrotnie, kobieta rodzi synów, a ten chce za wszelką cenę dziewczynkę. Galinie Paraskiewicz rodzi się córka, więc zamieniają ją na chłopca.

- Albo kobieta rodzi dziecko smagłego czarnowłosego kochanka i wie, że nie uda jej się oszukać męża, ponieważ zarówno ona, jak i on są szatynami albo blondynami. Jeśli takiej położnicy bardzo zależy na mężu i małżeństwie, w określonych warunkach może się zdecydować na zamianę dziecka - podjęła Nastia. - W zasadzie wszystkie te warianty są możliwe, ponieważ Galina Iwanowna znajdowała się pod narkozą i nie wiedziała, jakie urodziła dziecko.

- Ale z tego nieubłaganie wynika, że po pierwsze, Wiktor to lekarz, a po drugie, że jest najprawdopodobniej współnikiem - podsumował Stasow.

- Wyjaśnij - zażądał Korotkow.

- Przypomnij sobie, po co Nastazja pojechała do Prigarina i o co go

pytała. Mowa była o tym, czy patologia stwierdzona u matki mogła się odbić na zdrowiu dziecka. Tak? O nic innego Nastia go nie pytała.

- I co z tego?

- A Prigarin w rozmowie z tym Wiktozem powiedział: „jest tam wpisany komponent astmatyczny”. Jeśli chodziło tylko o zamianę dziecka, po co by mieli omawiać stan zdrowia położnicy? Jaki to ma związek? A zresztą Prigarin w rozmowie używa terminu medycznego i nie wyjaśnia go. To znaczy, że rozmawia z kolegą, ze specjalistą.

- To wiadomo - niecierpliwie przytaknął Korotkow. - Ale dlaczego na pewno współnik?

- Wład ma rację - powoli powiedziała Nastia. - Upolowałam w końcu tę myśl.

- Coś ty tam upolowała, Diano, bogini łowów? - mruknął Wiktor Aleksiejewicz.

- Mówili o zdrowiu Galiny Iwanowny, ponieważ żaden komponent astmatyczny nie istniał. Oszukali ją, bo musieli jej zrobić cesarskie cięcie. A zatem z pewnością nie była to zamiana chłopca na dziewczynkę czy odwrotnie, bo nie mogli wiedzieć, co się urodzi. Wobec tego chodziło raczej o cechy zewnętrzne dziecka albo o jego stan zdrowia. Tamta druga położnica bardzo się bała, że urodzi jej się dziecko „nie tego koloru”, i zapewniła sobie dobrze opłaconą pomoc lekarzy. Lekarze wybrali „pasującą” z wyglądu mamusię, może nawet znali również ojca, przecież kobiety, zwłaszcza pod koniec ciąży, często przychodzą na wizyty w towarzystwie mężów. Zaczęli zawczasu przygotowywać Paraskiewicz do tego, że będzie musiała mieć cesarkę. Nawiasem mówiąc, całkiem możliwe, że zamiana wcale nie była potrzebna, bo wzmiankowanej mamusi mogło się urodzić pasujące dziecko. Ale wycofać się już nie mogli, Galina Iwanowna była pewna, że ma silną skłonność do astmy i może się udusić podczas naturalnego porodu. Dokładnie taki sam obrazek mógłby się wyłonić, gdyby zainteresowana zamianą położnica nie bała się zdemaskowania związku z kochankiem, ale urodzenia chorego dziecka. Wiedziała na przykład o jakichś swoich

albo ojca dziecka schorzeniach. Może chodziło o alkoholizm albo o narkomanię, w czasie ciąży ciężko zachorowała i musiała przyjmować niebezpieczne dla płodu lekarstwa albo coś w tym stylu.

- Wszystko to brzmi wspaniale - skonstatował Pączek Gordiejew - ale nie posuwa nas ani o krok w stronę wyjaśnienia okoliczności śmierci Paraskiewicza. Nawet jeśli nie był rodzonym synem Galiny łwanowny, w żaden sposób nie łączy się to z jego śmiercią.

- Jak to się nie łączy?! - Nastia oburzyła się. - A hipoteza o jego wyrafinowanym samobójstwie? Jeśli doszło do zamiany, to może odziedziczył coś, co w rezultacie doprowadziło do patologii psychiki.

- Zapuszczasz się w głęboki las, Anastazjo. - Pułkownik pokręcił głową. - W kwestii samobójstwa Paraskiewicza możemy snuć jedynie hipotezy, nawet gdybyśmy dysponowali przekonującymi danymi. Chcę, żebyście sobie to uświadomili. Nawet jeśli się okaże, że zamiana doszła do skutku i w rodzinie jego prawdziwych rodziców są sami wariaci, pośmiertna ekspertyza sądowo-psychiatryczna nie da nam tej odpowiedzi, która mogłaby z całą pewnością stanowić podstawę postanowienia o przerwaniu dochodzenia wstępnego w sprawie śmierci od rany postrzałowej. Zrozumcie to, moje dzieci. Szanuję wasz zapał i entuzjazm, ale nie należy przeceniać wagi takiej ekspertyzy. Cały czas pamiętajcie o tym, że możecie być oszukiwani, że żadnego samobójstwa nie było, a rzeczywisty zabójca spogląda na was zza węgła i śmieje się w kułak. Przeanalizujemy raz jeszcze, co mamy w tej sprawie.

- Jest własnoręcznie napisane przez Ludmiłę Isiczenko przyznanie się, że to ona zastrzeliła Paraskiewicza - zaczęła wymieniać Nastia.

- Isiczenko sprawiała wrażenie osoby chorej, więc kwestia jej niepoczytalności pozostaje otwarta - zauważył Gordiejew. - Wartość tego wyznania jest na razie niewiadoma. Słowem, nie liczy się.

- Jest wniosek ekspertów, że na ubraniu wskazanym przez Isiczenko znajdują się ślady prochu.

- To się nadaje. Odhaczam.

- Są zeznania Isiczenko, gdzie leżał pistolet, i wniosek ekspertów, że

we wskazanym przez nią pudełku rzeczywiście znajdowała się broń. Samo pudełko znaleziono również tam, gdzie wskazała Isiczenko.

- Dwa. Dalej.

- Zeznania Isiczenko, kogo widziała, kiedy czekała na Paraskiewicza, są zgodne z prawdą.

- Przyjmuję, ale warunkowo. Dobra, trzy. Co jeszcze?

- Zeznania wdowy po Paraskiewiczu, że mąż miał powody do głębokiej depresji.

- Dopóki nie ma ekspertyzy filologów, to się nie liczy.

- Są zeznania krewnych Isiczenko i samej Świetłany Paraskiewicz, z których wynika, że Ludmiła była, jak to się mówi, stuknięta na punkcie Leonida i że on miał na nią ogromny wpływ. Przecież nawet testament sporządziła na jego korzyść. A samo sformułowanie testamentu mówi o tym, że autorem ksiązek rzeczywiście nie jest Leonid, ale Swietłana. Więc albo Isiczenko o tym wiedziała, albo zapis w testamencie podpowiedział jej Leonid, wykorzystując swój nieograniczony na nią wpływ i zmuszając do zrobienia tego, co jej każe, bez zadawania pytań i bez sprzeciwu. Są również zeznania przyjaciół Paraskiewicza dotyczące ich ostatniego spotkania, które bardzo przypominało pożegnanie.

- No cóż, moje dzieci, dowodów jest dużo, ale głównie pośrednich. Bezpośredni dowód jest tylko jeden: ślady prochu na ubraniu Isiczenko. Pozostałe to poszlaki opierające się na zachowaniu i interpretacji faktów. W sumie wywierają spore wrażenie, nie przeczę, ale przy mniej lub bardziej wnikliwym spojrzeniu przepadają.

- Sądzi pan, że śledczemu, który chce zamknąć sprawę zabójstwa, tych poszlak wystarczy?

- I owszem. A temu, kto w to nie wierzy, aż nadto wystarczy. Olszański wierzy? Jak myślicie?

- Oczywiście, że nie. - Nastia uśmiechnęła się. - Kostia nigdy nikomu nie wierzy, mimo że tego nie artykułuje.

- Materiały do ekspertyzy w sprawie Isiczenko są gotowe?

- Tak, Olszański już zaprzęgnął ekspertów do pracy.

- Poczekamy zatem, aż będą wyniki dotyczące Paraskiewicza i jego żony. Anastazjo, uparta i nieposłuszna z ciebie dziewczyna, więc pewnie i tak pobiegiesz szukać prawdy o rodzicach Paraskiewicza. Zabronić ci nie mogę, bo z pewnością zwrócisz się do Olszańskiego i namówisz go, żeby dał ci takie polecenie, a polecenie śledczego mamy obowiązek wykonać, jakkolwiek bym się upierał. Razem z Kostią jesteście ulepieni z tej samej gliny, nie da się was przerobić. Na wszystko masz tydzień, więcej ci nie dam, i tak pracy jest dużo, a tyrać nie ma komu. Korotkow, nie patrz na mnie z niemą wdzięcznością, nie masz tu nic do roboty. Niech nasza Diana łowczyni sama się z tym ściiera, to zadanko akurat dla niej, a ciebie na ten tydzień odsuwam od sprawy Paraskiewicza. Jasne? Zaraz zaczną się noworoczne burdy pijackie i roboty będzie pod dostatkiem. Coś nasz gość milczy. Władisławie Nikołajewiczu, co nam pan powie?

- Jak zwykle głupstwo. - Stasow uśmiechnął się. - Po prostu pomyślałem, że jeśli doszło do zamiany dziecka, to może to jest właśnie owa tajemnica, a groźba jej zdemaskowania stała się przyczyną zabójstwa.

- No proszę! - Gordiejew uniósł palec w pouczającym geście i utkwiał wzrok w Nasti. - Słuchaj, co mówi doświadczony emeryt. Zabić kogoś jest o wiele łatwiej niż samego siebie. Dlatego hipotezę o samobójstwie należy przyjąć w ostateczności. W zupełnej ostateczności. Zwłaszcza jeśli w grę wchodzi dwa samobójstwa. A ponieważ nie mamy podstaw, żeby kwestionować fakt odebrania sobie życia przez Isiczenko, podamy w wątpliwość samobójstwo pisarza. To wszystko, moje dzieci, narada skończona. Przyjmujemy nową hipotezę roboczą, że Paraskiewicza zabito jednak w związku z ryzykiem ujawnienia zamiany dziecka. Nawiasem mówiąc, skoro już mamy się w to bawić, trzeba się przyjrzeć, czy w swoim czasie doktor Prigarin nie uczynił z tego procederu regularnego źródła dochodu. Może nie bez przyczyny tak gorliwie wykonywał cesarskie cięcia, hę? Nawet kiedy był na urlopie, przyjeżdżał, żeby zrobić operację. Władisławie Nikołajewiczu, możemy

liczyć na pańską pomoc? Czy może nie ma pan w tej sprawie żadnego interesu?

- Interes mam - odrzekł Stasow.

- I na czym on polega, jeśli to nie tajemnica?

- Jestem po prostu ciekaw, Wiktorze Aleksiejewiczu, chodzi o zwyczajną ciekawość detektywa. Interesuje mnie, jak się sprawa zakończy. A zresztą niedawno pracowałem razem z Nastazją i Jurą w sprawie zabójstwa aktorki Waznis i pańscy ludzie przypadli mi do serca. Grzech im nie pomóc, jeśli jest możliwość.

- A zatem jest pan pewien, że z pańską sprawą dotyczącą Dosiukowa wszystko to w żaden sposób się nie łączy?

- Nie wiem - przyznał Stasow. - Słowo daję, że nie wiem. Po prostu bardzo nie lubię zbiegów okoliczności. Przyznaję jednak, że w danym wypadku to naprawdę może być czysta zbieżność.

- No to do roboty. - Gordiejew machnął ręką, dając do zrozumienia, że pracownicy mogą się rozejść.

Z gabinetu Gordiejewa wszyscy udali się do Nasti. Okazało się, że panuje u niej zimno i jakaś wilgoć, więc Anastazja od razu rzuciła się do włączenia grzałki, żeby zrobić kawę.

- Jak zamierzasz spędzić sylwestra? - zapytał ją Stasow, anektując krzesło przy oknie i ogrzewając dłonie na gorącym kaloryferze.

- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Pewnie razem z Loszką. Nie chce mi się nigdzie iść. Możemy oczywiście pojechać do moich rodziców albo do brata, ale chyba się nie wybierzemy. Jesteśmy jacyś inni niż kiedyś nasi rodzice. Pamiętam, jak byłam małą, że przychodziła do nas spora grupa przyjaciół rodziców, z piętnaście do dwudziestu osób. Obowiązkowo była choinka i szklana kula, która rzucała na cały pokój różnokolorowe światła. Oni umieli się bawić, śpiewali piosenki, tańczyli. A nasze pokolenie wyrosło nudne i nietowarzystkie.

- Racja - zgodził się Stasow. - U moich rodziców w sylwestra też zawsze zbierali się przyjaciele. A ja dzisiaj myślę tylko o tym, żeby spędzić w domu cichy wieczór i z nikim się nie spotykać.

- Będziesz sam tej nocy?

- Tatiana przyjeżdża jutro rano. Moja była żona jest w delegacji, więc mieszka u mnie Lila. Byłoby świetnie, gdyby została ze mną na Nowy Rok, ale boję się, że Margarita przyleci z tej swojej zagranicy.

- Czyli że przez cztery wolne dni nie będę miała pomocnika - skonstatowała przygnębiona Nastia, wsypując kawę rozpuszczalną do szklanek i wrzucając do nich cukier. - Szkoda, a tak na ciebie liczyłam.

- Niestety, wybacz. - Władisław rozłożył ręce. - Postaw się w mojej sytuacji, nie widziałem żony przez dwa miesiące.

- Dobra, młody żonkosiu, nie będę się nad tobą więcej pastwić. Bierz szybko swoją kawę, tylko ostrożnie, szklanka jest gorąca.

- Nie przejmuj się, Nastiu - powiedział Korotkow, który z trudem powstrzymywał się od śmiechu na widok jej markotnej miny. - Jeśli to chodzi o starą tajemnicę, przez cztery dni nigdzie nie ucieknie.

- Tajemnica jest może i stara - zaoponowała Nastia - ale za to moja ciekawość nowa, młoda i pełna sił, więc przez te cztery dni będę siedzieć jak na szpilkach. Dobra, sama spróbuję coś zdziałać.

Drzwi się uchyliły i do pokoju zajrzał Misza Docenko.

- Jura, telefon do ciebie.

Korotkow wyszedł, zabierając ze sobą szklankę z gorącą kawą.

- Słuchaj, a co to za dziwak? - Zdziwiony Stasow odwrócił się do Nasti. - Do Jurki mówi na ty, do ciebie zwraca się per pani, zauważyłem, że ty do niego też na pan. Pokłóciliście się o coś?

- Daj spokój! - Nastia roześmiała się. - Nasz Miszania chyba się mnie jakoś przesadnie boi, sama nie wiem czemu. Zwraca się do mnie oficjalnie, używając imienia i otczestwa. Już któryś rok z rzędu z tym walczę i nic nie mogę na to poradzić. Anastazjo Pawłowno i koniec, tylko sięść i płakać. Dlatego ja również muszę się do niego zwracać per pan, a to niewygodne. Chłopcy sobie z niego żartują z tego powodu, a on nic. Uparł się, i już.

- Arystokrata - mruknął Stasow, upijając kawę. - Że też jeszcze tacy się uchowali?

Nastia paliła, w zamyśleniu spoglądając gdzieś w sufit, i nie odpowiedziała na pytanie Stasowa, który zresztą wcale nie oczekiwał odpowiedzi, jako że pytanie zadał czysto retoryczne.

- Chwyć papierosa kciukiem i wskazującym palcem - poprosił nagle.

Nastia posłusznie spełniła prośbę i zerknęła na niego ze zdziwieniem.

- Chwyciłam, co teraz?

- No i trzymaj go tak.

- Ale bardzo mi niewygodnie. Nie jestem przyzwyczajona tak palić.

- Dobra, wybaczone, nie zaprzataj tym sobie głowy. Odwieź cię do domu?

- Jeśli to nie kłopot...

Nastia nie zdążyła dokończyć, ponieważ wrócił Korotkow, wyraźnie zakłopotany.

- Dzwonił Sasza Jułow - oznajmił, zwracając się do Nasti - z powodu zabójstwa dziewczyny. Pamiętasz, rano mówiliśmy, że trzeba by jeszcze raz porozmawiać z nauczycielem.

- Owszem, pamiętam.

- No i kłapa na całego, Asieńko. Sasza właśnie był u tego nauczyciela. Coś tam jest nie tak. Sasza dobrze pamięta, że dwa miesiące temu ten Turin szczegółowo i chętnie opowiadał o wszystkich swoich uczniach, w tym również o Tani i o Gienie Warczuku. A przez te dwa miesiące, po pierwsze, na coś zachorował i zwolnił się ze szkoły, a po drugie, nie potrafi powiedzieć o dzieciach nic rozsądnego. Kręci, gubi się... Cholera wie co, jednym słowem. Przecież nie mógł przez dwa miesiące wszystkiego zapomnieć.

- A na co zachorował?

- Saszka mówi, że to jakaś skórna dolegliwość. Turin jest ogolony na tyso i całą głowę ma w plamach.

- Zdarza się. - Stasow uśmiechnął się. - Skórne schorzenia występują na podłożu nerwowym. Szczególnie często przytrafiają się tym, co mają nieczyste sumienie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Nastia zaniepokoiła się.

- Nic konkretnego, przecież nie wiem, o czym właściwie dyskutujecie. Po prostu mówię, że takie rzeczy się zdarzają.

O nic nie podejrzewacie tego nauczyciela?

- Teraz podejrzewamy - bardzo poważnie odparł Korotkow.

Od samego rana Natalia czuła się źle. Nie żeby coś ją bolało, ale na duszy było jej tak ciężko jak nigdy przedtem. Nocą przyśnił jej się Jewgienij, taki samotny i nieszczęśliwy, że niemal jej serce pękło. Śniło jej się, że jest chory i cierpiący, więc popędziła do kolonii karnej. Przed budynkiem administracyjnym, w którym niedawno już była, stał tłum ludzi, i natychmiast się domyśliła, że Żeni coś się przytrafiło. Tamten naczelnik, z którym rozmawiała, stał w samym środku tłumu, przebrany za Dziadka Mroza, i rozdawał prezenty. Natalia odgadła, że były to prezenty, które skazani przekazywali swoim krewnym na wolności. Ludzie brali paczki i jaskrawe pudełka i rozchodzili się, aż w końcu Natalia została sama.

- A dla mnie? - zapytała naczelnika. - Nazywam się Natalia Dosiukowa. Czyżby nie było dla mnie prezentu od męża?

Naczelnik nic nie odrzekł i zaczął zdejmować swój strój. Nagle Natalia z przerażeniem zauważyła, że mężczyzna ma twarz Borisa Krasawczikowa.

- Niech pan zaczeka, proszę nie odchodzić - zaczęła błagać. - Nie dał mi pan prezentu. Nazywam się Dosiukowa...

- Nie należy się pani - odparł naczelnik Krasawczikow.

- Dlaczego?

- Bo przyjechała pani za późno. Prezenty wydaje się tylko tym, którzy przyjechali w porę.

- Ale ja przecież nie wiedziałam. Przyjechałam zupełnie przypadkowo, nikt mi nie mówił, że trzeba przyjechać po prezenty!

- Przyjeżdżać trzeba nie po prezenty, ale na widzenie z mężem - gniewnie odparł tamten. - Kto przyjechał na widzenie, ten dostaje prezent.

- Ale dla mnie za wcześnie jeszcze na widzenie - wybąkała Natalia. -

Przecież byłam całkiem niedawno, czyżby pan mnie nie pamiętał? Mamy widzenie dopiero za trzy miesiące, przyjechałam tak po prostu... Niech pan przynajmniej powie, jak Żenią się czuje.

Nagle twarz naczelnika znowu się zmieniła, teraz nie był to już Boris Krasawczikow, ale Wiktor Fiodorowicz.

- Jaki znowu Żenią? - zapytał z niezadowoleniem.

- Dosiukow, Jewgienij Dosiukow, artykuł sto trzy, skazany na osiem lat.

- Nie ma tu takiego - szorstko odparł naczelnik.

Już zdjął strój Dziadka Mroza i stał teraz przed nią w płaszczu, identycznym jak ten, który miał na sobie Żenią, kiedy go aresztowano.

Ukradł mu płaszcz, pomyślała Natalia. Żeni przydarzyło się jakieś nieszczęście i ten naczelnik ukradł jego rzeczy.

- Jak to nie ma! - zawołała. - Przecież byłam tu miesiąc temu, mieliśmy widzenie! Trzygodzinne! Był tutaj! Gdzie jest Żenią? Co z nim zrobiliście? Przewieźliście go do innej kolonii?

- Przecież pani powiedziałem, że go tu nie ma. I w ogóle, Natalio Michajłowno, przyjechała pani za późno. Wiem o pani wszystko, a pani próbowała mnie oszukać. Jewgienij też wszystko wie. Dlatego nie chce pani więcej widzieć.

W tym momencie Natalia zrozumiała, że to już nie Wiktor Fiodorowicz, ale obrońca praw człowieka Potaszow. Ogarnęło ją takie przerażenie, że aż straciła oddech.

- Nikołaju Grigorjewiczu - krzyknęła szeptem, bo powietrze nie chciało przecisnąć się przez struny głosowe - kochany, skoro wszystko pan wie, niech pan ratuje Żenię. Zrobię wszystko, przyznam się do wszystkiego, pójdę do więzienia, jeśli trzeba, tylko niech pan mi go zwróci.

- Za późno, Natalio Michajłowno - powiedział Potaszow z jakiegoś powodu smutnym i zmęczonym głosem. - Żeni już nie ma. Umarł ze smutku, kiedy się dowiedział, co pani zrobiła.

Natalia rozplakała się i przebudziła. Twarz miała mokrą od łez, a

serce przytłaczał jej straszny ciężar.

Przez cały dzień rozmyślała o Żeni, o tym, że on oczekuje od niej pomocy, liczy na nią, wierzy, że ona zdoła udowodnić jego niewinność. Dumny, silny, nieupadający na duchu, władczy. Co ona narobiła!

Pod wieczór rozpacz stała się nie do wytrzymania, więc Natalia zadzwoniła do Wiktora Fiodorowicza.

- Coś się stało? Jakies nieprzyjemności? - zainteresował się uprzejmie.

- Nie, nie, nic się nie stało. Ale muszę z panem porozmawiać.

- No cóż, dobrze. - Wiktor Fiodorowicz westchnął. - Proszę podjechać tam, gdzie się ostatnio spotkaliśmy. Pamięta pani?

- Pamiętam. Wyjeżdżam za pięć minut.

- Niech pani nie bierze samochodu - poradził. - Dzisiaj jest bardzo brzydko na dworze, gołoledź i fatalna widoczność.

- Tak, pojedę metrem.

Natalia ubrała się prędko i prawie biegiem popędziła do metra. Tak się przyzwyczaiła, że Wiktor Fiodorowicz umie rozwiązać każdy problem! Czowała, że jak tylko z nim porozmawia, on ją zrozumie, podtrzyma i poprze, podpowie, dokąd najlepiej iść i do kogo się zwrócić, żeby Żenią jak najprędzej znalazł się na wolności. Zbiegła po ruchomych schodach, ponieważ poruszały się przeraźliwie wolno. Półtorej minuty, które musiała spędzić na peronie w oczekiwaniu na pociąg, dłużyło jej się, jakby to było co najmniej półtorej godziny. W końcu znalazła się w odludnej alei i zobaczyła przed sobą znajomą postać Wiktora Fiodorowicza, niespiesznie przechadzającego się tam i z powrotem.

- Wiktorze Fiodorowiczu - zaczęła Natalia przerywanym głosem - dłużej nie mogę. Nie wytrzymam tego. Nie spodziewałam się, że będzie mi tak ciężko.

- Ciszej, kochaniutka, ciszej, niech się pani uspokoi i opowie wszystko po kolei. Co się stało?

- Nic się nie stało, ale rozumiałam, że dłużej tak nie mogę żyć. Żenią tam, za kratkami, a ja tutaj...

- Ale to było jasne od samego początku - odparł Wiktor Fiodorowicz spokojnie. - Takie były plany. On za kratkami, a pani tutaj, wolna i bogata. Co więc teraz się pani nie podoba?

- Wszystko! - z rozpaczą zawołała Natalia. - Nic mi się nie podoba. Nie chcę tego. Nie przypuszczałam, że to będzie takie straszne.

- No i czego teraz pani chce? Może pani znowu zostać biedna, wystarczy, że się pani rozwiedzie. Obawiam się, że przestałem panią rozumieć, kochaniutka.

- Czy naprawdę nic się nie da wymyślić, Wiktorze Fiodorowiczu?

- Czasu się nie cofnie, jak pani wiadomo. Co się stało, to się nie odstanie. Sama pani przecież tego chciała. Sądzę, że musi się pani uspokoić, odpocząć. Minie kilka dni i spojrzysz pani na sytuację zupełnie innymi oczami, zapewniam panią. Ma pani zwyczajne załamanie nerwowe. Nie wytrzymała pani napięcia. Wystarczy, że weźmie się pani w garść i przypomni sobie, ile upokorzeń zniosła pani przez lata spędzone u boku Jewgienija, i od razu pani ulży. Czyż on jest wart pani cierpienia, kochaniutka? Przecież sama mi pani wielokrotnie opowiadała, jak grubiańsko i okrutnie panią traktował, jak wyganiał z domu, kiedy nazbyt się pani upierała i żądała zalegalizowania waszego związku. A teraz jest go pani szkoda?

- Kocham go - wymamrotała Natalia gorzko. - Zrozumiałam, że go naprawdę kocham. Co mam teraz zrobić? Może opowiedzieć wszystko temu prywatnemu detektywowi, którego wynajęłam?

- I co? - Wiktor Fiodorowicz uniósł brwi. - Czego pani oczekuje, jeśli wolno zapytać? Jewgienij znajdzie się na wolności, a pani w więzieniu. Do tego pani zmierza?

- Wszystko mi jedno. Niech będzie więzienie, cokolwiek, byleby go tylko wypuszczono. On nie może tam zostać, nie może, nie może!

- Ciszej! - Mężczyzna chwycił ją za rękę i niespiesznie powiódł w odległy koniec alei. - Nie wolno krzyczeć, kochaniutka. Wszystko rozumiem, pojmuję pani stan i jeśli jest pani nastawiona tak poważnie, to omówmy to rzeczowo, a nie pod wpływem emocji. Jeśli powzięła pani

twarde postanowienie, to musimy usiąść i spokojnie wszystko przedyskutować, żeby wypracować optymalny sposób pani postępowania. Zaraz pójdziemy do mnie, poczęstuję panią dobrą herbatą z miętą, i razem wymyślimy, co i jak musimy zrobić, żeby pani mąż znalazł się na wolności, a pani ucierpiała na tym jak najmniej, a jeszcze lepiej - w ogóle nie ucierpiała. Koniec końców to normalne, kiedy interesy pieniężne przegrywają z miłością. Prawda, kochaniutka?

- Tak - powiedziała Natalia gorąco, posłusznie idąc obok niego.

Jak dobrze, że Wiktor Fiodorowicz ją zrozumiał! Nie miała wątpliwości, że zrozumie. Nie wątpiła, że znajdzie wyjście z sytuacji. Poczowała się spokojnie i bezpiecznie. Nagle sobie przypomniała, że w dzieciństwie bardzo się bała ciemności. Jeśli musiała iść sama ciemnymi ulicami albo po nieoświetlonych schodach, umierała ze strachu, a nogi miała jak z waty. Za to kiedy docierała do domu, doznawała z niczym nieporównywalnego słodkiego uczucia spokoju i pewności oraz radości, że niebezpieczeństwo tym razem ją ominęło.

- Jesteśmy na miejscu - rzekł Wiktor Fiodorowicz, otwierając przed nią drzwi do budynku. - Tutaj mieszkam. Nigdy mnie pani nie odwiedzała.

- A pies? - Natalia nagle sobie przypomniała.

Wiktor Fiorodowicz powtarzał jej wiele razy, że jego owczarek kaukaski zupełnie nie toleruje obcych. Rzuca się na nich, szczeka, a nawet próbuje ugryźć. Uszkodzenie pończoch i spodni gwarantowane, śmiał się.

- Jest teraz na dacy, żona go dzisiaj zabrała, zamierzamy spędzić tam sylwestra...

ROZDZIAŁ 17

Skoro przestępcy w świąteczne dni nie mogą nie popełniać przestępstw, a funkcjonariusze milicji nie mogą sobie pozwolić, żeby przestać ich łapać, to zupełnie tak samo chorzy nie przestają w tych dniach chorować, a kobiety w ciąży rodzić. Klinika położnicza w Czechowie wydawała się zatem Nasti Kamieńskiej całkiem odpowiednim miejscem do pracy i tam też się udała rankiem 30 grudnia. W wagonie pociągu podmiejskiego było pusto i ciepło, Nastia ulokowała się w przytulnym kąciku z książką i całą duszą pożałowała, kiedy musiała wysiadać. Mogłaby tak jechać bez końca!

Lekarka dyżurna długo nie mogła pojąć, po co Nastia przyjechała i czego sobie życzy.

- Niech pani zrozumie - tłumaczyła zniecierpliwiona - archiwum w wolne dni jest zamknięte. Niech pani przyjedzie w środę, trzeciego.

- W środę nie mogę - uparcie powtarzała Nastia. - Muszę teraz. Proszę wezwać kierownika, nie zajmę dużo czasu, po prostu sfotografuję potrzebne dokumenty i sobie pojadę.

Spirały się z piętnaście minut i ostatecznie pani doktor jednak się poddała.

- Tu jest numer telefonu, sama niech się pani tłumaczy - burknęła. - Nie mam pojęcia, czy uda się pani zmusić kierowniczkę, żeby się tu zjawiała.

Zadanie okazało się rzeczywiście niełatwe, ale Nastia w porę się zorientowała, że istnieje potężny impuls, który nawet najbardziej kłótniawą i nieustępliwą kobietę zdoła zmusić, żeby rzuciła swoje sprawy i przybiegła do pracy. Owym impulsem jest ciekawość, szczególnie jeśli w grę wchodzi czyjeś przewinienie albo i nawet przestępstwo.

- Chyba mnie pani pamięta, widziałyśmy się kilka dni temu. - Nastia przywitała się przymilnie. - Znalazła pani wówczas dla mnie kartę pewnej pacjentki sprzed trzydziestu lat, a ja zauważyłam w niej coś ciekawego i niezrozumiałego. Ale to nie jest sprawa na telefon...

Przynęta chwyciła i już pół godziny później archiwum kliniki położniczej zostało otwarte, ponieważ kierowniczka mieszkała zupełnie niedaleko, co w małym mieście nie było w sumie niczym nadzwyczajnym.

- Długo pani pracuje w tej klinice? - zapytała kierowniczkę Nastia.

- Już niemal dwadzieścia lat - rzekła kobieta. - W archiwum co prawda nie ma dużo pracy i pensja też jest skromniutka, ale zawsze sobie dorabiałam. Przychodzę, porządkuję wszystkie dokumenty, uzupełniam książki, zszywam teczki, a potem siedzę sobie i szydełkuję. W moich swetrach i sukienkach pół miasta chodzi. Szczególnie maluchy - chętnie zaczęła opowiadać. - Chyba pani rozumie, dzieciaki tak szybko rosną, że nie starcza pieniędzy, żeby ciągle kupować im nowe ubrania. A ja wyszydełkuję na przykład ubranko z niebieskiej wełny, malec będzie w nim biegał przez pół roku, później mamusia dokupi motek szarej albo białej włóczki i przyniesie mi razem z ubrankiem. Ja je spruję, dodam nowej włóczki i migiem zrobię rozmiar większe. Prędko i tanio. Tylko niech pani sobie nie myśli, że skoro zajmuję się szydełkowaniem w miejscu pracy, to mam bałagan w dokumentach. Może pani sprawdzić, nie brakuje żadnej karteczki.

- Jak długo przechowuje się dokumenty archiwalne?

- A kto to może wiedzieć? - Archiwistka zamachała rękami. - Instrukcji nie czytałam, po co mi one? Mam swój własny system, dzięki któremu wszystko można zawsze znaleźć, jeśli zajdzie potrzeba. Kiedy zjawiłam się tutaj w siedemdziesiątym piątym roku, wszystko, co zastałam, przejrzałam karteczka po karteczce, powszywałam do teczek i opisałam. Przedtem z dziesięć lat albo i dłużej nie było tu archiwisty To znaczy formalnie był, zajmował stanowisko, ale pił, że aż strach! Nic nie robił, wszystko zaniedbał, nie prowadził żadnego rejestru. A wyrzucić go

nie było można: weteran wojenny, inwalida, cała pierś w medalach. Spróbuj tylko ruszyć takiego, a od razu pobiegnie do komitetu rejonowego partii i rada kombatantów stanie za nim murem.

- Ale mimo wszystko go wyrzucono? - z uśmiechem zapytała Nastia.

- Nie, zabrakło odwagi. Sam umarł. Pamiętam, że mąż mi wtedy powiedział: Katiu, ordynator kliniki położniczej chce się z tobą widzieć. Ależ się zdziwiłam. Po co, pytam. Akurat wtedy zwolniłam się z ubezpieczalni, bo poprzytykałam się z nowym kierownikiem. Siedziałam w domu i gryzłam się, że w stażu pracy mam lukę, a nowego zajęcia nie widać. Okazało się, że matka Wiktora Fiodorowicza akurat załatwiała u mnie formalności emerytalne i powiedziała mu, że w ubezpieczalni jest taka młoda i kompetentna osoba, to znaczy ja, uprzejma, spokojna i ma porządek w papierach, niczego nie gubi. Chyba pani rozumie, nasze miasto jest małe i wieści się szybko rozchodzą, więc Wiktor Fiodorowicz dowiedział się o moim zwolnieniu.

- Wiktor Fiodorowicz jest ordynatorem kliniki? - uściśliła Nastia.

- No tak, Wiktor Fiodorowicz Łoszczynin. Przez wiele lat kierował naszą kliniką, gdzieś od 1963 roku. No więc poszłam do niego, a on mi mówi, że docenia moje umiejętności i bardzo prosi, żebym zajęła się ich archiwum, bo jest w bardzo zaniedbanym stanie, a dokumenty tego nie lubią. Od razu mi też powiedział: pensję mamy małą, ale wiem, że ubiera pani cały Czechow, więc będzie pani miała warunki, żeby szydełkować, a ja nie zamierzam pani w tym przeszkadzać. Oczywiście oboje rozumieliśmy, że to niezgodne z prawem, w tamtych czasach wszystko musiało przejść przez kontrolę finansową, w sumie, sama pani rozumie... I tak się dogadaliśmy.

- A pamięta pani doktora Prigarina?

- No a jakże! Wszyscy go u nas pamiętają. Wspaniały lekarz, całym sercem oddany pracy, nie liczył się ze swoim czasem. Wiktor Fiodorowicz bardzo go cenił.

- Przyjaźnili się?

- Jak by to powiedzieć... Może i się przyjaźnili. Ale tylko tak, w

pracy. Żeby odwiedzali się rodzinami, tego raczej nie zauważyłam. A dlaczego zapytała pani o Władimira Pietrowicza?

- Po prostu z ciekawości, tak dużo o nim słyszałam od waszego nowego ordynatora.

Jekatierina Jegorowna podtrzymywała rozmowę, wprawnie przeglądając teczki i książki, ustawione w tylko dla niej zrozumiałym porządku na półkach.

- Proszę bardzo - powiedziała, wręczając Nasti trzy książki. - To jest to, o co pani prosiła. Zabierze pani te materiały ze sobą?

Propozycja była kusząca, ale Nastia w porę się pohamowała. Zbyt dobrze wiedziała, co się czasami dzieje z dokumentami przejętymi z naruszeniem prawa. Według przepisów należało przeprowadzić oficjalne zajęcie, ale w tym celu musiałyby mieć ze sobą przynajmniej postanowienie śledczego i zwołać świadków. Postanowienia nie miała. A jeśli z tego wszystkiego coś wyjdzie i sprawa dotrze do adwokata, to zwykłe naruszenie proceduralne może przerodzić się w ogromnego nieruchawego słonia, na którym oskarżony spokojnie przemieści się do kategorii świadków. Będzie musiała sfotografować dokumenty, a jeśli znajdzie coś ciekawego, wróci tu i zabierze książki z zachowaniem wszelkich wymogów proceduralnych.

- Nie. - Pokręciła głową. - Nie zabieram ich. Sfotografuję pojedyncze strony. Postaram się długo pani nie zatrzymywać. A książki niech na razie zostaną u pani. Z tego, co widzę są tu w pewnych rękach.

Jekatierina Jegorowna uśmiechnęła się, mile połączana.

- Więc może ja tymczasem zrobię herbatki? Chce pani?

- Z przyjemnością się napiję.

Archiwistka udała się do sąsiedniego pokoiku, w którym miała kuchenkę i przechowywała sprzęt do parzenia, a Nastia otworzyła pierwszą książkę i zabrała się do pracy.

Jak tylko Anastazja weszła do mieszkania, od razu zorientowała się, że Aleksiej jest czymś zaniepokojony.

- Asieńko, coś się tam u was stało - powiedział, nawet nie dając jej

się rozebrać. - Najpierw szukał cię Korotkow, a później Gordiejew. Prosili, żebyś od razu po powrocie zadzwoniła.

Nastia natychmiast odszukała Korotkova.

- Powiększa się liczba zwłok. - Uśmiechnął się ponuro. - Dzisiaj mamy w wykazie madame Dosiukową. Jeśli się nie mylę, to właśnie w tym momencie milicja otwiera jej mieszkanie. Znajdą tam kopię umowy ze Stasowem i zaczną się go czepiać.

- A niech to licho! - gniewnie rzuciła Nastia. - Może to inna Dosiukową?

- Ta sama, Natalia Michajłowna, zamieszkała na ulicy Wiesnina. Nie wiesz, gdzie się teraz podziewa Stasow? W domu go nie ma.

- Ma przecież telefon komórkowy - zdziwiła się Nastia. - Powinien odebrać.

- Nie odbiera.

- Rano miała przyjechać z Petersburga jego żona. Może dokądś się wybrali i specjalnie nie wzięli telefonu, żeby go nikt nie znalazł?

- Aha, albo odwrotnie, nigdzie się nie wybrali, wczoraj przecież oznajmił wszem i wobec, że nie widział Tatiany od dwóch miesięcy. Cholerny żonkoś. Trzeba by go uprzedzić.

- A co z Dosiukową?

- Leży ze sznurem na szyi i nie oddycha. Znaleźli ją na schodach mieszkańcy domu. Nikt jej nie zna, w każdym razie nikt się nie przyznaje, więc nie wiadomo, do kogo przyszła i co tam w ogóle robiła. Dlatego musimy pilnie znaleźć Stasowa, przecież kontaktował się z nią regularnie, więc może wiedzieć, kogo odwiedzała w tej dzielnicy. Zadzwoni do Pączka, bo wychodzi już z siebie, jesteś mu z jakiegoś powodu bardzo potrzebna. Podejrzewam, że chce cię zapytać, co zrobić z Dosiukową.

- Dobra, już dzwonię. Tylko co ja poradzę...

Nastia odłożyła słuchawkę i pogrążyła się w zadumie. Dlaczego wszystko zaczyna się dziać jednocześnie? Zawsze tak jest: sprawa stoi w miejscu, ciągnie się jak flaki z olejem, a później nagle zaczyna się

błyskawicznie rozkręcać, kiedy nie starcza ani czasu, ani rąk, ani głów, żeby wszystko ze sobą połączyć i ze wszystkim zdążyć, a przy tym niczego nie przegapić. Zgodnie z dobrze znaną zasadą wywiadowczego szczęścia zdarza się to przeważnie w święta oraz w wolne dni i co jest szczególnie dotkliwe, zbiega się z rozkwitem aktywności przestępczej, kiedy do wydziału kryminalnego zaczynają napływać „nowe zgłoszenia”.

Nastia westchnęła i oddzwoniła do szefa.

- Chcę wiedzieć, czy jesteśmy zainteresowani sprawą Dosiukowej, czy nie. - Wiktor Aleksiejewicz od razu przystąpił do rzeczy. - Dla nas to żadna persona, możemy zostawić ją w okręgu. Ale jeśli dostrzeżasz jakiś związek, pójdę z tym do generała. Muszę tylko wiedzieć, co mam mu powiedzieć. Z góry uprzedzam, że jeśli żadnego związku nie widzisz, a jedynie chcesz pomóc swojemu przyjacielowi Stasowowi, to taki numer ci nie przejdzie. I bez Dosiukowej mamy spraw co niemiara.

Łatwo powiedzieć - związek! Diabli wiedzą, jest czy nie. Czy można bowiem polegać na intuicji?

- A można polegać na intuicji? - odezwała się głośno.

- Czyjej?

- Mojej. Nie potrafię powiedzieć nic konkretnego, ale mam przeczucie.

- Na twojej można - wspaniałomyślnie zezwolił Gordiejew. - Więc co mam powiedzieć generałowi?

- Niech pan powiąże Dosiukową z Prigarinem. Proszę powiedzieć, że rozpracowujemy Prigarina, a dzięki jego zeznaniom jako świadka mąż Dosiukowej został skazany i niewykluczone, że byli ze sobą na noże.

- Zmuszasz mnie, żebym kłamał? Jeśli dobrze zrozumiałem, co mówił Stasow, to oni w ogóle się nie znali.

- To pan zrozumiał, a generał nie musi.

- Och, Anastazjo, nie ma kto ci przetrzepać skóry. I gdzieś ty się nauczyła kłamać? Byłaś taką dobrą dziewczynką. Co z ciebie wyrosło?

- Wiktorze Aleksiejewiczu, czyta pan rodzime kryminały? - Nastia roześmiała się.

- Jeszcze czego - burknął pułkownik.

- A szkoda. Jest taki wspaniały pisarz Nikołaj Leonow, który stworzył rewelacyjnego bohatera Lwa Iwanowicza Gurowa. A więc ów Gurow na pytania w rodzaju pańskiego zawsze odpowiada: co wyrosło, to wyrosło.

- Ciągłe dowcipkujesz, masz pstro w głowie. Nawiasem mówiąc, gdzie się przez pół dnia wałęsałaś?

- Byłam w klinice położniczej w Czechowie. Sfotografowałam mnóstwo stron, teraz zamierzam dać film do wywołania, a później wydrukować zdjęcia. A przy okazji, znalazłam panu kandydata na Wiktora.

- Kto to taki?

- Były ordynator kliniki, w której pracował Prigarin. Wiktor Fiodorowicz Łoszczynin. I Wiktor, i stary znajomek, i lekarz. Do kompletu.

- Patrzcie ją - mruknął Gordiejew. - Zuch dziewczyna. Nie darmo zmarnowałaś pół dnia. Gdzie zamierzasz wywołać film?

- Jeszcze nie wiem, dopiero weszłam, nawet nie zdążyłam nic zjeść. A który z chłopców jest dziś na miejscu?

- Kto ma być, ten jest. No to najedz się prędko i do mnie. Ja tymczasem poszukam twojego Łoszczynina.

Aleksiej ze spokojem przyjął wiadomość, że po obiedzie jego milicyjna małżonka wybędzie do pracy. Nie było w tym nic niezwykłego, Nastia zawsze pracowała tyle, ile musiała, nie oglądając się ani na zegarek, ani na kalendarz. Zresztą sam Losza był takim samym fanatykiem, któremu udało się przekształcić hobby w ulubioną pracę, i gotów był zajmować się nią od rana do nocy.

- Odwieźć cię? - zapytał tylko.

- Nie, lepiej mnie odbierz wieczorem, jeśli będziesz mógł - poprosiła Nastia. - Może wybierzemy się do rodziców? Mama wspominała wczoraj o jakimś fantastycznym pilawie.

- Zgoda - chętnie przystał Aleksiej. - Jeśli nie skończysz zbyt późno.

Pilawu w wykonaniu Nadzieży Rostisławowny jeszcze nie próbowałem.

- No jasne. - Nastia roześmiała się. - Przywykłeś raczej do świętych kurczaków taty. A mama przez ten czas, który spędziła w Szwecji, zupełnie odzwyczaiła się od kuchni, teraz nabiera formy. Więc szykuj się na to, że w ciągu najbliższych miesięcy będzie nas częstować, mówiąc delikatnie, dziwnymi potrawami.

- Co zawieziemy w prezencie?

- Nie wiem. - Anastazja beztrąsko wzruszyła ramionami. - Coś wymyślimy.

- Asiu, kto to widział być tak lekkomyślnym - wypomniał jej mąż. - Kiedy tam pojedziemy, jeśli w ogóle pojedziemy, wszystkie sklepy będą już zamknięte.

- Oj, daj spokój - zbyła go niezadowolona Nastia - wiecznie mi dokuczasz swoją obowiązkowością. Mam głowę pełną zwłok, a ty się głupstw czepiasz. Kupimy coś, to nie problem.

Loszka umilkł, urażony, zawzięcie krojąc nożem smażony kotlet. Po obiedzie Nastia naląła sobie kawy, zapaliła papierosa, w zamyśleniu poobracała go w palcach i chwyciła w sposób, o jaki poprzedniego dnia prosił Stasow. Było jej niewygodnie, palce musiała trzymać zgięte, a nie swobodnie wyprostowane, jak miała w zwyczaju.

- Coś ty? - zdziwił się Losza. - Skąd te prostackie gesty?

- A tak - odparła mgliście. - Trafił nam się niezrozumiały przypadek. Mężczyzna, który w towarzystwie trzyma papierosa tak, jak zwykle ja go trzymam, w chwili kiedy go nikt nie widzi, chwytą go zupełnie inaczej. Jak myślisz, dlaczego? Sprawdzałam, nigdy nie siedział, nie był nawet aresztowany. Skąd więc się wzięło to przyzwyczajenie?

- Asieńko, pewnie nie mam racji, ale zapomniałaś o swojej słynnej matematyczno-fizycznej przeszłości.

- To znaczy?

- Wyobraź sobie, że przeprowadzasz serię eksperymentów z molibdenowymi płytami. W pierwszych dziewięciu próbach przyrządy zachowują się w pewien określony sposób, a za dziesiątym razem

zupełnie inaczej. Jaki wniosek wyciągniesz?

- Albo przyrząd się zepsuł, albo płyta jest z innego metalu - odparła Nastia bez zastanowienia.

- No właśnie, co też należało udowodnić. W walce z żywymi ludźmi tracisz zdolność do czystej, niezakłóconej emocjami logiki.

Nastazja gwałtownie zdusiła niedopałek i duszkiem wypięła resztki kawy.

- Jesteś geniuszem, Loszka.

- Ach tak? To nowość. I w czym się to przejawia?

- Trafnie wybrałam sobie męża. Z tysiąca mężczyzn wybrałam jedyne, ale warto było.

- No, przyznajmy, że twój geniusz, który objawił się tym, że mnie wybrałaś, nieco ustępuje wytrwałości, z którą ja o ciebie walczyłem. Nie przywłaszczaj więc sobie moich laurów. W końcu to była kwestia nie twojego geniuszu, ale mojej cierpliwości i uporu. A o co chodzi z tym molibdenem, bo nie rozumiałem?

- Za to ja zrozumiałam. Dobra, słoneczko, pędzę. Obiad był wspaniały, ale molibden jest mimo wszystko lepszy.

Wszystko odbyło się właśnie tak, jak zapowiadał przenikliwy Korotkow. Funkcjonariusze milicji, którzy zajmowali się sprawą zabójstwa Natalii Dosiukowej, w pierwszej kolejności pojechali do jej mieszkania, otworzyli je i dokładnie przeszukali. I znaleźli, oczywiście, egzemplarz umowy zawartej pomiędzy nią a prywatnym detektywem Władysławem Nikołajewiczem Stasowem. Zanim Nastia otrzymała z laboratorium fotograficznego zdjęcia stron z ksiąg archiwalnych, Stasow już siedział w gabinecie śledczego w okręgowym UWD i cierpliwie odpowiadał na zadawane pytania. Nie, wczoraj z Dosiukową nie rozmawiał i nie wie, dokąd zamierzała pojechać wieczorem. Nie, nigdy mu nie mówiła, że w Biriulewie mieszkają jej znajomi. Nie, podczas prywatnego śledztwa nie natknął się na coś, co mogłoby rzucić światło na jej zabójstwo. Nie... nie... nie...

Nastia tymczasem zajmowała się nudną i żmudną dłubaniem -

sporządzała listę położnic przebywających w klinice w Czechowie razem z Galiną Iwanowną Paraskiewicz. Lista okazała się niezbyt długa, ale wszystkie te kobiety i dzieci należało odnaleźć. Następnie Nastia odszukała wzmianki o cesarskich cięciach przeprowadzonych mniej więcej w tym okresie, kiedy urodził się Paraskiewicz, i zrobiła to samo - wypisała nazwiska rodzających. Kwestia Paraskiewiczza to jedna historia, ale warto byłoby się dowiedzieć, czy doktor Prigarin nie zamienił swojej pracy w przestępczy proceder.

Pułkownik Gordiejew dotrzymał słowa i otrzymał od szefostwa pozwolenie na przejęcie sprawy zabójstwa Natalii Dosiukowej przez Pietrowkę. W okręgu odetchnęli z ulgą i ochoczo pozbyli się zwłok przed Nowym Rokiem.

Przed ósmą zamieszanie ustało. Listy były gotowe i Nastia z czystym sumieniem zadzwoniła do domu i oznajmiła Loszy, że jest gotowa pojechać w odwiedzinę do rodziców. Miała oczywiście wielką ochotę porozmawiać ze Stasowem, ale postanowiła nie zawracać mu głowy. Facet ma zaledwie cztery dni, żeby się nacieszyć ukochaną żoną, a wezwanie do śledczego już i tak popsuło mu humor. Dobra, wytrzymam, mężnie postanowiła Nastia, zbierając się do wyjścia. Niech stara tajemnica pozostanie tajemnicą jeszcze przez cztery dni, nic jej się przez to nie stanie.

Starszy lejtnant Jułow żadną miarą nie mógł pojąć, co się przydarzyło Andriejowi Georgijewiczowi Turinowi. Jakby go ktoś podmienił. Czy choroba mogła się odbić na jego pamięci? Skąd, to nie taka choroba, żeby umysł przestał pracować, zawyrokował Aleksander i zaczął się zastanawiać, czy Turin nie maczał czasem palców w zabójstwie piętnastoletniej dziewczyny. W każdym razie należało poobserwować byłego nauczyciela, ale ten rzeczywiście nigdzie nie wychodził z domu. Jułow pojechał do wydawnictwa, dla którego ostatnio pracował Turin, i dowiedział się, że nowy redaktor jest osobą bardzo zdyscyplinowaną i bez wątplenia kompetentną. Więcej nic istotnego nikt nie potrafił dodać.

Jułow odkrył, że Andriej Georgijewicz był żonaty, ale dawno,

jeszcze w czasach studenckich. Małżeństwo okazało się nietrwałe i bardzo szybko się rozpadło, mimo to Jułow postanowił odwiedzić byłą żonę Turina. Kto wie, a nuż powie o nim coś takiego...

Ale stracił tylko czas. Była małżonka nauczyciela Turina nie potrafiła powiedzieć o swoim dawnym mężu nic złego.

- Niech pan nie myśli - tłumaczyła Saszy ze zmieszonym uśmiechem - że się rozwiedliśmy przez Andrieja. To była moja wina. Andriusza wspaniale mnie traktował, nie krzywdził, był troskliwy. To ja posunęłam się za daleko. Wie pan, w wieku dwudziestu lat w głowie miałam same głupstwa, kokietowałam, flirtowałam, ciągle chciałam czuć się jak dorosła kobieta. On bardzo się przejmował, ale starał się tego nie okazywać. A później zakochałam się, straciłam resztki rozsądku i odeszłam od niego. Nie wyobraża pan sobie, jak potem żałowałam!

- Dlaczego więc nie wróciła pani do Turina? Nie wybaczyłby pani?

- Skąd znowu! Oczywiście, że by wybaczył, ale z głupoty od razu wystąpiłam o rozwód i machnęłam się za swego ukochanego. Urodziłam dziecko, a później z nowym mężem też się rozwiodłam. Nie mam szczęścia. - Westchnęła żartobliwie. - Ale się nie martwię. W moim wieku jeszcze wszystko przede mną.

- Czy nie zauważyła pani, żeby Andriej interesował się zupełnie młodymi dziewczynami, prawie nastolatkami? - zapytał Jułow.

Kobieta spojrzała na niego z zakłopotaniem.

- Co za dziwne pytanie... Myśli pan, że Andriusza kogoś zgwałcił? Ależ skąd! To niemożliwe, nigdy w to nie uwierzę.

- Proszę się nie denerwować, moje pytanie wiąże się z tym, że Andriej Gieorgijewicz był nauczycielem piętnastoletniej dziewczyny, którą znaleziono zgwałconą i zabita. Krąg podejrzanych jest spory, a Turin trafił do niego tylko dlatego, że znał ofiarę. Chyba pani rozumie, że muszę sprawdzić wszystkie osoby, które znalazły się w tym kręgu, i dlatego zadaję pani to pytanie. Pani byłego męża akurat nikt poważnie nie podejrzewa, ale robimy to dla porządku, sama pani rozumie.

- No tak, oczywiście. - Uspokoila się. - Ale nigdy czegoś takiego w

Andriuszy nie dostrzegłam. Przeciwnie, zawsze cenił w kobiecie rozmówcę, przyjaciela, partnera. Wie pan, nawet się czasami dziwiłam, że zwraca uwagę na takie brzydule, na które nikt nawet by nie spojrział. Spędzamy na przykład wieczór w dużym gronie, a po powrocie do domu Andriej mówi, że proszę, jaka miła dziewczyna tam była, szkoda, że nikt z chłopców się nią nie zainteresował. Ona ma, mówi, taki niezwykle pogląd na reformy ekonomiczne. Wyobraża pan sobie? Przez cały wieczór z nią tańczył i rozmawiał o reformach! Gdyby mi pan powiedział, że Andriej zakochał się w kobiecie starszej od niego o jakieś piętnaście lat, tobym panu uwierzyła. To możliwe, jeśli jest mądra i niepospolita. Ale piętnastoletnia, pan daruje, smarkata, to nie. Nie miałby z nią przecież o czym rozmawiać.

- Pani wybaczy - łagodnie zauważył Jułow - ale w danym wypadku nie chodzi o rozmowy, ale o gwałt. Przyzna pani, że to nieco inny aspekt.

- Jaki inny! - Kobieta zareagowała z oburzeniem. - Aspekt jest dokładnie taki sam. Andriej nigdy nie lubił prymitywnego seksu, jeśli to właśnie ma pan na myśli. W pewnym sensie był nawet staroświecki, dla niego seks bez głębokiej emocjonalnej więzi w ogóle nie istniał. Tak więc o żadnym gwałcie nie może być mowy.

- Dawno się nie widzieliście?

- Chyba ze dwa lata temu. Tak, zgadza się, akurat w sylwestra miną dwa lata. Nasi wspólni znajomi próbowali nas pogodzić i zaprosili do siebie, nie uprzedzając o swoim pomysle ani mnie, ani jego. Miło było się spotkać, ale później się rozstaliśmy. Nie udało się. Wie pan, jakoś to głupio wyszło. Oboje już ostygliśmy, ja mu nie jestem potrzebna, zresztą on mnie właściwie też.

- Czy odniosła pani wrażenie, że mocno się zmienił przez te lata, odkąd się rozwiedliście?

- No... raczej nie. Tylko zewnątrz. Bardzo mu do twarzy z brodą, zrobił się dojrzały, męźniejszy. Ale nadal jest takim samym romantykiem niezgułą, jakim był. Biedny jak mysz kościelna, utrzymuje się z pensji. Dobrze, że przynajmniej mieszkanie dostał, brakuje teraz

nauczycieli mężczyzn, więc władze miejskie się dla nich starają.

Romantyk niezguła... Takiej charakterystyki nie da się za bardzo powiązać ze sprawą o gwałt. I nie ma podstaw, żeby wątpić w słowa byłej żony Turina, chyba mówiła całkiem szczerze. Ale dziwne luki w pamięci Andrieja Gieorgijewicza z jakiegoś powodu zupełnie się nie podobały starszemu lejtnantowi Jułowowi.

31 grudnia Sasza Jułow z potężną lornetką w rękach zajął posterunek obserwacyjny w domu, z którego dobrze było widać zarówno wejście do budynku, gdzie mieszkał Turin, jak i okno klatki schodowej, na którą wychodziły drzwi jego mieszkania. Żeby nie sterczeć przez cały dzień na schodach, starszy lejtnant zawarł znajomość z kobieciną, która zajmowała odpowiadające jego planom mieszkanie. Przedstawił się jej jak należy, po czym został z radością zaproszony do środka, dzięki czemu mógł siedzieć przy oknie, ile tylko chciał. Kobiecina była stara i samotna, więc obecność drugiej osoby bardzo ją ucieszyła. Przynajmniej miała z kim porozmawiać o życiu.

Koło południa do mieszkania Turina zadzwoniła kobieta, która przyjechała starym żiguli. W rękach trzymała duże reklamówki, najwyraźniej z zakupami. Wszystko w porządku, powiedział sobie Aleksander, Turin prawie nie wychodzi, jego troskliwa przyjaciółka przyniosła mu jedzenie.

Po jakichś dwóch godzinach kobieta opuściła mieszkanie i odjechała. Jułow nie mógł jej śledzić, ponieważ był bez samochodu, ale kiedy przyjechała, zapisał numer rejestracyjny jej auta i zadzwonił do swego wydziału z prośbą, żeby się dowiedzieli w GAI* nazwiska właściciela. Jako właściciel figurował mężczyzna, przyjaciółka Turina widocznie była jego żoną albo córką. No cóż, zawsze będzie mógł ją znaleźć.

*gai (*Gosudarstwiennaja awtoinspekcyja*) - Państwowy Inspektorat Ruchu Drogowego (przyp. tłum.).

Nic więcej interesującego wokół mieszkania podejrzanego byłego nauczyciela się nie zdarzyło. Koło ósmej wieczorem Sasza Jułow pożegnał się z gościnną kobieciną i udał się do domu. Niedługo wieczór

sylwestrowy, trzeba znać umiar, i tak żona ciągle się skarży, że mało bywa w domu i w ogóle nie pomaga przy dziecku.

Kiedy do Nowego Roku pozostały dwie godziny, Irina poczuła, że napięcie sięgnęło zenitu. Niewiele brakuje, a wpadnie w panikę i wybuchnie płaczem. Nieodwracalnie następowały wydarzenia, których miałyby wielką ochotę uniknąć, ale których uniknąć się nie dało. Od samego rana szykowała się na przyjęcie zaproszonych przez Siergieja gości, a wieczorem musiała odgrywać rolę kochającej żony i gospodarnej pani domu. Z tym sobie poradzi bez problemu. Przerażały ją telefony z noworocznymi życzeniami.

- A nuż zadzwonią jej rodzice - drżącym głosem pytała Bieriozina. - Co wtedy?

- Powiem, że wyszłaś do sąsiadki, i przekażę im twoje życzenia - uspokajał ją Siergiej Nikołajewicz.

- A jeśli zadzwonią, kiedy goście już się pojawią? Jak będziesz mógł przy nich powiedzieć, że mnie nie ma?

- Iroczo, proszę cię, weź się w garść. W pokoju będzie gwaro, będzie włączony telewizor, wszyscy będą podekscytowani. Komu przyjdzie do głowy się przysłuchiwać? Najważniejsze: nie podnoś słuchawki, czekaj, aż podejdem, i tyle.

Irina znajdowała wciąż nowe powody do obaw i widziała, że Siergieja zaczyna to denerwować, ale nie potrafiła nad sobą zapanować. Po tamtej nocy, kiedy próba zbliżenia zakończyła się tak haniebnie, dręczyło ją nieustanne poczucie winy, chociaż rozumiała, że żadnej jej winy w tym, co się wydarzyło, nie ma. Przecież w niczym go nie oszukiwała, doskonale wiedział, kim jest i czym się zajmuje, kiedy zaproponował jej, żeby odeszła od Rinata i zajęła miejsce jego żony. Czy ona jest temu winna, że się w nim zakochała? Czy jest winna, że on również czuje do niej czułość i sympatię? Nikt nie mógł przewidzieć, że tak się stanie. Nikt.

Goście mieli przyjść na jedenastą, a za kwadrans jedenasta Irina wciąż jeszcze nie była ubrana. Bez celu biegła z kuchni do pokoju i z

powrotem, coś przestawiała, zabierała, wynosiła i przynosiła. Wydawało jej się, że dopóki kręci się po mieszkaniu w domowym ubraniu, nic złego nie może się zdarzyć, ponieważ niebezpieczeństwo jeszcze nie nadeszło. Jak tylko się przebierze, od razu nastąpi ta część sylwestra, która wróży jej tyle nieprzyjemnych niespodzianek. Przecież w taki wieczór czasami dzwonią z życzeniami starzy znajomi, o których zazwyczaj się nie wspomina. Albo jeszcze gorzej, przychodzą w odwiedziny...

Irina wyczekała aż do ostatniej chwili i gorączkowo wpadła do swego pokoju, żeby się przebrać dopiero wtedy, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi i przyszli pierwsi goście. Z przedpokoju dobiegały głosy, które wydały jej się nieznajome, i Irina ścierpła wewnętrznie. Wolałaby, żeby jako pierwsi zjawili się ci, których już знаła, tak byłoby jej łatwiej i lżej.

Nowa suknia, oczywiście długa, w dziewiętnastowiecznym stylu, zgodnie z gustem Bieriozina, okazała się wyjątkowo nieposłuszna i w żaden sposób nie chciała się zapiąć. Irina zdenerwowała się, gdy małe guziczki z uporem usiłowały prześliznąć się koło pętelek. Miała wrażenie, że suknia zbyt mocno opina jej biust i przy najmniejszym niezręcznym ruchu wszystkie haftki natychmiast puszcza. Kiedy w końcu poradziła sobie z suknią, zaczęły się problemy z włosami. Palce jej drżały i pasma czystych, błyszczących włosów wysuwały się spod spinek.

- Irocza! - Rozległ się głos Siergieja. - Czekamy na ciebie.

- Idę, Sierioża - odrzyknęła. - Jeszcze chwileczkę.

Kiedy zjawiła się w pokoju gościnnym, od razu się zorientowała, że nastąpił już początek nieprzyjemnych niespodzianek. Na kanapie siedział okazały siwy mężczyzna w dobrze skrojonym garniturze i z uśmiechem na zadbanej twarzy, a obok niego ulokowała się dziennikarka Olesia Mielniczenko. Ta sama Mielniczenko, która kilka dni przed wyborami do Dumy przeprowadziła z Iriną wywiad i uparcie próbowała skłonić ją do wypowiedzi na temat pierwszej żony Bieriozina, Diany Lwowny. Tym razem dziennikarka nie wyglądała tak nonszalancko i wojowniczo, włosy miała ufarbowane i starannie ułożone, chociaż makijaż na twarzy nadal

był zbyt wyzywający.

- Dobry wieczór, Irino Andriejewno. - Olesia uśmiechnęła się promiennie, ale jej mina bardziej przypominała drapieżny uśmieszek kanibala.

- Dobry wieczór, cieszę się, że znowu panią widzę - odparła Irina umiarkowanie ciepło, żeby nie burzyć obrazu gościnniej pani domu.

- Iroczo, pozwól, że ci przedstawię Artura Dmitrijewicza Guszczyzna, wielkiego specjalistę w dziedzinie ekologii, jednego z najbardziej aktywnych działaczy naszej partii.

Guszczyzn wstał i uprzejmie się uklonił, po czym natychmiast usiadł z powrotem, odchylając się na oparcie kanapy i zakładając nogę na nogę. Irinie od razu się nie spodobał, choć nie miała pojęcia, jakie niebezpieczeństwa mogą jej grozić z jego strony. No bo rzeczywiście, przecież to kolega partyjny Siergieja. Z drugiej jednak strony, przyprowadził dziennikarkę, ta zaś jest na pewno nastawiona nieprzychylnie wobec Iriny. Chociaż kto wie, uspokajała się Irina, może Mielniczenko nie ma nic przeciwko żonie Bieriozina, po prostu chce zdobyć jak najwięcej materiałów, zebrać skandaliczne fakty albo po prostu niezręczne sformułowania i przejęzyczenia, żeby później pobawić się na stronach swego czasopisma. Ale właściwie po co ją Guszczyzn tutaj przyprowadził? Może mu obiecała, że przedstawi rodzinę lidera jego partii wyłącznie w różowych barwach? Albo odwrotnie, facet chce zrobić święństwo Sierioży?

Na szczęście w tym momencie znowu rozległ się dzwonek i przez najbliższe piętnaście minut Irina i Siergiej dosłownie nie ruszali się z przedpokoju, witając pojawiających się jeden za drugim gości. Irina знаła prawie wszystkich, wyjątek stanowił jedynie wyniosły Guszczyzn i jeszcze jeden sympatyczny młody mężczyzna o imieniu Nikołaj, o szczerzej, uśmiechniętej twarzy, którego przedstawiono jej jako pracownika tamtego banku, gdzie wcześniej pracował Siergiej Nikołajewicz.

Przy stole Irina znalazła się akurat pomiędzy nimi. Miejsce po jej

lewej stronie zajmował Guszczyn, a po prawej Nikołaj. Opanowując kolejny atak strachu, pomyślała, że może to i lepiej. W każdym razie, jeśli postawią ją w niezręcznej sytuacji, będzie mogła z nimi rozmawiać na tyle cicho, że nikt nie będzie świadkiem jej upokorzenia. Jeśli natomiast nie będą jej zaczepiać, to w ich rozmowę mogą włączyć się inni. W końcu jako gospodyni zawsze może przeprosić i wyjść do kuchni, przerywając nieprzyjemną wymianę zdań.

Jednakże wszystko toczyło się nad wyraz spokojnie. Olesia Mielniczenko zajęła miejsce koło Siergieja i zdawała się nie zwracać na Irinę najmniejszej uwagi, niebezpieczny Guszczyn z zapalem gawędził z ładną brunetką, żoną drugiego działacza partyjnego, a Nikołaj w sympatyczny sposób adorował Irinę, zabawiając ją najświeższymi anegdotami politycznymi i opowieściami o swoich wyjazdach za granicę.

Na ekranie telewizora pojawiła się zapowiedź, że pora otwierać szampana w oczekiwaniu na ostatnie uderzenie zegara. Wszyscy siedzący przy stole ożywili się, gwar stał się głośniejszy.

- Do siego roku!

- Do siego roku!!

- Do siego roku!!!

Irina duszkiem opróżniła kieliszek półwytrawnego szampana i poczuła, że napięcie nieco ją opuściło. Zaraz zaczną pić, pomyślała, a im szybciej się upiją, tym lepiej. Pijana osoba jest oczywiście niebezpieczna, bo może głośno palnąć coś niewłaściwego, ale za to wszystko można rzucić na karb alkoholu. Czego bowiem wymagać od nietrzeźwej osoby? Można się nawet nie obrażać i nie żądać przeprosin.

- Irino Andiejewno, kim pani jest z wykształcenia? - zapytał Nikołaj, dolewając jej koniaku do kieliszka.

- Z wykształcenia jestem nikim - z uśmiechem odparła Irina. - Kiedy poznałam Sieriożę, miałam dziewiętnaście lat. Tak się w nim zakochałam, że rzuciłam studia.

- Jakie studia?

- Wtedy był to Wydział Historii i Archiwistyki, ale teraz nazywa się

jakoś inaczej, nie wiem dokładnie. Niech pan mi nie nalewa koniaku, Nikołaju, nie trzeba.

- Ale dlaczego? To bardzo dobry grecki koniak. Nie smakuje pani?

- Nie mieszam koniaku z szampanem.

- Czyżby? - Nikołaj jakoś dziwnie na nią popatrzył. - A dlaczego?

- Żeby mnie głowa później nie bolała. I w ogóle niezbyt lubię koniak.

- Czyżby? - powtórzył znowu. - Kiedyś pani lubiła.

- Kiedyś byłam młoda i głupia. - Irina roześmiała się, czując, że przeszywa ją wewnętrzny dreszcz. - Nigdy nie lubiłam koniaku, ale zawsze usiłowałam się dopasować do otoczenia. Rozumie pan, o czym mówię? Wydawało mi się, że skoro wyszłam za takiego człowieka jak Siergiej Bieriozin, to muszę być światową damą, dojrzałą i doświadczoną, a nie młodą zieloną gąską, która nic mocniejszego od coca-coli nie brała do ust. Dlatego piłam wszystko jak leci.

- Ale przecież i teraz jest pani jeszcze bardzo młoda - zauważył Nikołaj, nie spuszczać z niej uważnego spojrzenia swoich szeroko rozstawionych jasnych oczu. - Czyżby przestała się pani czuć młodo?

- Chyba tak. - Irina przytaknęła. - Po wypadku bardzo się zmieniłam. Wie pan, kiedy człowiekowi się wydaje, że jego młodość będzie trwała wiecznie, spogląda na świat przez różowe okulary. Kiedy jednak nagle zdaje sobie sprawę, że nie tylko młodość, ale też całe życie może się w jednej chwili skończyć, a on nie ma w tej kwestii nic do powiedzenia, odbiór świata staje się zupełnie inny. Jest mi teraz zupełnie obojętne, jak będę postrzegana w towarzystwie, rozumie pan? Nie wstydzę się już przyznać, że nie lubię nie tylko koniaku, ale też wódki, że w ogóle źle toleruję alkohol i nie umiem być światową damą. Zajrzałam na drugą stronę i zrozumiałam, co jest dla mnie ważne, a co nie ma znaczenia.

- I co wobec tego stało się najważniejsze? - bardzo poważnie zapytał Nikołaj.

- To, żeby Siergiej mnie kochał, żebyśmy byli razem i wychowywali dzieci. I jeśli jego przyjaciele i koledzy powiedzą, że żona Bieriozina to wiejska prostytutka, która nie umie prowadzić światowej rozmowy i pić

na równi z mężczyznami, to ani trochę mnie to nie zrani.

- A kiedyś panią raniło?

- O, jeszcze jak. W swoim czasie narobiłam wiele głupstw, żeby wszystkim udowodnić, że jestem godna miana żony superbiznesmena.

- Zgadza się. - Nikołaj kiwnął głową. - W swoim czasie nieźle pani nawywijała. Ale to już historia, prawda?

Irina poczuła się nieswojo. Niewinna rozmowa przekształcała się w niebezpieczne wspomnienia cudzej przeszłości, o której sama Irina wiedziała zdecydowanie zbyt mało. Niespiesznie się podniosła.

- Pójdę sprawdzić mięso, chyba pora je podać.

Starając się poruszać spokojnie i swobodnie, żeby nie zdradzić napięcia, wyszła do kuchni i szczelnie przymknęła za sobą drzwi. Gwar głosów natychmiast przycichł. Jak to dobrze, że Sierioża razem z Wiktoorem Fiodorowiczem wymyślili dla niej historyjkę z wypadkiem samochodowym i długotrwałą chorobą. Teraz wszystko można na nią rzucić, i nowy sposób zachowania, nie tak wyzywającą, jak poprzednio, powierzchowność, i częste bóle głowy, z których powodu Irina nie może zbyt długo przebywać w hałaśliwym towarzystwie.

Irina sprawdziła mięso w piekarniku, ale zamiast wrócić do pokoju, usiadła przy stole i zaczęła bezmyślnie przekładać małe srebrne łyżeczki przygotowane do deseru. Nie miała ochoty iść do gości, tutaj, w kuchni, czuła się o wiele bezpieczniej niż wśród obcych i nie wiadomo jak nastawionych ludzi.

- Irino Andriejewno!

Irina uniosła głowę i zobaczyła Nikołaja.

- Przepraszam, czy mógłbym skorzystać z telefonu w kuchni? W pokoju panuje spory hałas.

- Tak, proszę. - Irina kiwnęła głową, wskazując wiszący na ścianie aparat.

Nikołaj usiadł na krześle naprzeciwko niej i zdjął słuchawkę.

- Halo! Mama? Szczęśliwego Nowego Roku! Co tam porabiacie?

Irina wstała i zaczęła coś energicznie przestawiać w lodówce, żeby

Nikołaj nie zauważył, że siedzi w kuchni tak po prostu, bez żadnego powodu. Mężczyzna szybko zakończył rozmowę, ale nie wyszedł, wyjął papierosa oraz zapalniczkę i wyciągnął otwartą paczkę w stronę Iriny.

- Proszę się częstować.

- Nie palę. - Pokręciła głową. - Nie toleruję nawet dymu.

- Udało się pani rzucić? - zdziwił się Nikołaj. - Brawo. Niewielu osobom się to udaje. Może podzieli się pani sekretem?

- Nie mam żadnego sekretu. Przecież powiedziałam panu, że mnóstwo rzeczy robiłam tylko na pokaz, żeby się wydać starszą i dojrzałą. Dlatego między innymi paliłam. A teraz potrzeba znikła.

Nikołaj powoli zgasił papierosa i uśmiechnął się ze skruchą.

- Przepraszam, nie wiedziałem, że dym pani przeszkadza.

To ty mi przeszkadzasz, a nie dym, przemknęło Irinie przez głowę i aż się zdziwiła, skąd się ta myśl wzięła. Przecież Nikołaj na razie nie zrobił jej nic złego.

- Niech pan się nie krępuje i pali, ja już wracam do pokoju - powiedziała, idąc w kierunku drzwi.

- Irino Andriejewno, muszę z panią porozmawiać.

No i proszę, pomyślała, zaczęło się. Dobrze, jeśli zacznie mnie prosić, żebym wpłynęła na Siergieja w jakiejś kwestii, z tym łatwo sobie poradzę. Ale jeśli to coś innego?

- Słucham pana - odezwała się spokojnie, znowu siadając przy stole.

- Potrzebuję kasety, Irino Andriejewno.

Irina milczała. Stała się najgorsza rzecz, jakiej tylko można się było spodziewać. Chodzi o coś, o czym ona nie ma bladego pojęcia, a niewątpliwie powinna mieć. I najprawdopodobniej Siergiej też o niczym nie wie, inaczej uprzedziłby ją, więc na jego pomoc nie ma co liczyć.

- Czy mógłby pan wyjaśnić swoje żądanie? - zimno odparła Irina. - Nie jestem oczywiście lwicą salonową, ale bardzo nie lubię, kiedy przychodzą do mnie zupełnie obcy ludzie i mówią: potrzebuję. Ja też wielu rzeczy potrzebuję, ale u podłoża moich żądań zawsze leżą jakieś rozsądne argumenty. A zatem słucham pana.

Jeśli Nikołaj stropił się na skutek niespodziewanej odpowiedzi, to na pewno nie okazał tego. Widocznie umiał przyjmować ciosy.

- Dobrze, wyjaśnię. Jak pani wiadomo, w związku z wybraniem pani męża do Dumy w naszym banku trwają zasadnicze przetasowania kadrowe i potrzebuję instrumentu, którego mógłbym użyć, by wpłynąć na te przetasowania. To, co jest nagrane na kasecie, może się stać takim instrumentem. Dzięki niemu będę mógł przeszkodzić w obsadzeniu wielu osób i zdobyć stanowiska dla innych. To leży w moim interesie.

- Tak, rozumiem, że kaseeta jest panu rzeczywiście potrzebna. - Irina uśmiechnęła się.

- No widzi pani, cieszę się, że od razu mnie pani zrozumiała. Niech mi pani da kasetę i wrócimy do stołu.

- Ale nie rozumiem, dlaczego mam ją panu oddać - ciągnęła, jakby nie słysząc jego słów.

- Dlatego że...

Teraz Nikołaj naprawdę się stropił.

- Dlatego że nie ma pani wyjścia.

- To nie jest argument.

- A to? - Mężczyzna wyciągnął z kieszeni kopertę. - Proszę spojrzeć, może to wyda się pani bardziej przekonujące? Nie tylko zachowywała się pani jak ostatnia dziwka, ale kontaktowała się pani z mafią czeczeńską, sprzedając jej biznesowe sekrety męża.

W kopercie znajdowały się fotografie, niektóre bez wątplenia pornograficzne... Każde opatrzone było datą i godziną ujęcia. Przedstawały żonę Siergieja Bieriozina Irinę z trzema różnymi mężczyznami. Sądząc z wyrazu twarzy, była nie tylko odurzona narkotykami, lecz również pijana w sztok. I nagle serce Iriny zaczęło walić jak szalone: na jednym zdjęciu Irina rozpoznała siebie. Tak, zgadza się, to nie żona Siergieja w nieprzyzwoicie krótkiej minispódniczce wysiadała z samochodu razem z rzucającym się w oczy Kaukazczykiem, ale ona sama, Ira Nowikowa. Dobrze pamiętała i ten samochód, i tego mężczyznę, zresztą jednego z niewielu, o których myślała bez

obrzydzenia. Kaukazczyk był spokojny, hojny, nie miał w głowie głupstw i nie męczył jej różnymi wymysłami, przypominającymi raczej zboczenia, ale po prostu odpoczywał, relaksował się w towarzystwie ładnej blondynki. Wynajął ją od Rinata na trzy doby i przeleciał tylko dwukrotnie, prędko i bez emocji. Pozostały czas spędzili w restauracjach, gdzie jedli obiady albo kolacje w towarzystwie różnych „rekinów biznesu”, gdzie prowadzono pertraktacje i zawierano transakcje. Co prawda nocowali u niej w mieszkaniu, za to klient płacił dodatkowo. Już wówczas zrozumiała, że mężczyzna najzwyczajniej w świecie przed kimś się ukrywa i z jakiegoś powodu nie może nocować tam, gdzie zwykle. I wynajął ją wcale nie dla seksualnych igraszek, ale właśnie ze względu na bezpieczny nocleg, nie chciał tylko, żeby o tym wiadano. Coś podobnego, okazuje się, że jest członkiem mafii czeczeńskiej!

Irina w milczeniu odłożyła zdjęcia z powrotem na stół i obrzuciła Nikołaja lodowatym spojrzeniem.

- Nie jest pan pierwszy, który dał się na to złapać. Tylko dlatego, że dobrze panu życzę, ostrzegam pana, żeby nigdzie się pan nie pchał z tymi zdjęciami. Wystawi się pan na pośmiewisko.

- Co pani chce powiedzieć? Że nikt mi nie uwierzy? Zapewniam panią, że mnóstwo osób na własne oczy śledziło jej alkoholowo-seksualne wyczyny, więc te zdjęcia nie wzbudzą niczyjogo zdziwienia. Zwłaszcza jeśli będą poparte odpowiednimi wywiadami.

- Myli się pan - łagodnie oznajmiła Irina, spoglądając na niego ze współczuciem i niemal tkliwie. - Tak, nie mogę zaprzeczyć, że moje zachowanie w przeszłości pozostawiało wiele do życzenia. To prawda, i głupio byłoby z mojej strony próbować temu zaprzeczyć. Jednakże słowa wypowiedziane przez kogoś w nieprzychylnym wywiadzie to jedno, zdjęcia natomiast to zupełnie co innego. Słowa można podać w wątpliwość, a zdjęć nie, razem zaś stanowią prawdziwie zabójcze połączenie. Za to bez zdjęć pański szantaż traci sens, ponieważ bez nich słowa są nic niewarte. Mam rację?

- Przypuśćmy - ostrożnie przyznał Nikołaj.

- A więc, mój przyjacielu, pańskie zdjęcia warte są tyle, co kot napłakał. Sam je pan zrobił?

- Jakie to ma znaczenie?

- Ma. Zaraz pan się dowie.

- Nie, kto inny je zrobił. I co z tego?

- To, że albo pana nabrano w niewybredny sposób, albo pański fotograf się pomylił. W każdym razie zrobił zdjęcia nie mnie i jeśli spróbuje pan je opublikować, wniosę sprawę do sądu i wygram bez problemu. Żeby pan nie tracił niepotrzebnie czasu i nerwów oraz nie myślał, że pana zastraszam i blefuję, niezwłocznie to panu udowodnię.

Drzwi się uchyliły i do kuchni zajrzał Bieriozin.

- Iroczo, gdzie się ulotniłaś z Nikołajem? Zaczęto już nawet żartować na wasz temat.

- To miło. - Irina uśmiechnęła się do męża. - Rozboliła mnie głowa, więc postanowiłam trochę posiedzieć w ciszy, a Nikołaj jest tak uprzejmy, że dotrzymuje mi towarzystwa.

Powiedz, proszę, że pilnuję mięsa i za dziesięć minut podam danie na gorąco. Nikołaj mi pomoże.

Beriozin rzucił na nią zatrwożone spojrzenie, ale widząc beztruską minę Iriny, uspokoił się i wyszedł.

- Kontynuujmy - powiedziała Irina, kiedy za Bieriozinem zamknęły się drzwi. - Nie udało się panu, Nikołaju, ponieważ w Moskwie mieszkała dziewczyna zadziwiająco do mnie podobna. Po prostu ta sama twarz. I na imię miała Irina. Dowiedziałam się o tym całkiem niedawno. A więc ta Irina Nowikowa pracowała w salonie masażu o nazwie Atlas. W rzeczywistości był to zwykły burdel, z dziewczynami na telefon. Wiem o tym od chwili, gdy jakiś gorliwy młody mężczyzna pomylił się i wziął mnie za tę Irinę, przyczepił się, zaczął wspominać nasze spotkania i żądać ode mnie miłości i uwagi. Musiałam uciec się do pomocy milicji, funkcjonariusze zasięgnęli informacji o tamtej kobiecie, którą mężczyzna znał, i okazało się, że się pomylił. Podobieństwo rzeczywiście niewiarygodne, ale odróżnić nas można, oczywiście, i po głosie, i po

sposobie zachowania, trzeba tylko znać nas obie. Nawiasem mówiąc, może pan pójść na tamten komisariat, gdzie to się zdarzyło, i wszystko panu opowiedzą, jeśli pan mi nie wierzy. Ale żeby zupełnie rozwiązać pańskie wątpliwości, po prostu pokażę panu zdjęcia z tamtego okresu, kiedy rzekomo widziano mnie z tym Kaukazczykiem. To jego miał pan na myśli, kiedy mówił o moim związku z mafią czeczeńską? Niech pan zaczeka chwilę, zaraz wracam.

Irina prędko wyszła do sypialni i niebawem wróciła z albumem fotograficznym w rękach.

- Niech pan spojrzy, młody szantażysto. Zdjęcie z Czeczeńcem zrobiono 26 maja 1994 roku, tak? Niech pan nie patrzy na mnie, ale na zdjęcie. Zgadza się czy nie?

- Tak, dwudziestego szóstego - potwierdził Nikołaj, nic nie rozumiejąc.

- A teraz niech pan spojrzy tutaj. Te zdjęcia zrobiliśmy z Sieriożą w Kairze w połowie maja 1994 roku. Do Kairu poleciliśmy z Izraela, gdzie od połowy kwietnia gościliśmy u jego przyjaciół. 19 maja wróciliśmy do Moskwy. Widzi pan, jaka jestem opalona? Cały miesiąc spędziłam w Izraelu i w Egipcie, byłam niemal czarna. A kobieta, którą sfotografowano razem z czeczeńskim mafiosem, jest całkiem blada. I uczesanie ma zupełnie inne. Niech pan się dobrze przyjrzy. Ma przecież znacznie dłuższe włosy niż ja wtedy, zresztą w ogóle nosiłam w tamtym czasie inną fryzurę. Poza tym kolor włosów tej prostytutki jest ciemniejszy niż mój, bo moje włosy przez miesiąc mocno spłowiwały. Niech pan patrzy i porównuje. A ja muszę w końcu zająć się daniem na gorąco.

Nikołaj milczał, przenosząc wzrok z jednego zdjęcia na drugie. Irina wyłączyła piekarnik, wyjęła brytfannę z upieczonym mięsem i zaczęła wykładać apetyczne kawałki na duży okrągły półmisek. Zręcznie nakroiła pomidory i ogórki w ozdobne plasterki i zaczęła nimi ozdabiać brzegi półmiska.

- Teraz jestem gotowa wysłuchać pana ponownie - powiedziała, nie

odwracając głowy. - Niech mi pan jeszcze raz wyjaśni, dlaczego powinnam oddać panu kasetę. Może tym razem znajdzie pan bardziej wiarygodne argumenty. I proszę otworzyć mi drzwi.

Złapała półmisek i pospieszyła do bawiących się gości. W pokoju od razu napotkała badawcze spojrzenie Olesi Mielniczenko.

- O, Irina Andriejewna, a my już zaczęliśmy się martwić, że porzuciła nas pani dla pięknych oczu młodego bankiera - powiedziała głośno, przekrzykując hałas i śmiech.

W jednej chwili wszyscy umilkli i zaczęli się wpatrywać w Irinę, która jeszcze nie zdążyła dojść do stołu. Nagle wydało jej się, że półmisek z mięsem waży całą tonę, i z trudem pokonała pokusę, żeby pozwolić mu rozbić się o podłogę. Postawiła półmisek na małym stoliku koło drzwi i zaczęła zbierać brudne talerze. Ładna brunetka siedząca obok Guszczyzna natychmiast poderwała się, żeby jej pomóc. Krytyczna chwila minęła, ale Irina rozumiała, że Mielniczenko jest nastawiona bojowo i bez gorącego tematu stąd nie wyjdzie.

- Kiedy będziemy pić pierwszy kieliszek do dania na gorąco - powiedziała małżonka Bieriozina, stawiając półmisek na środku stołu - poproszę o głos. Chciałabym wznieść toast.

- A gdzie Nikołaj? - zapytał któryś z gości. - Iroczo, co z nim pani zrobiła? Padł martwy, trafiony strzałą Amora?

Irina znowu pochwyciła spojrzenie Mielniczenko. Dosyć. Wystarczy, pomyślała. Trzeba z tym skończyć raz na zawsze. Moja cierpliwość się wyczerpała.

- Wasz młody bankier jest jeszcze zbyt mało doświadczony, żeby wiedzieć, na czym można zrobić pieniądze, a na czym nie - powiedziała Irina, podnosząc kieliszek szampana. -1 za to właściwie chciałam wznieść toast. Wszyscy tu obecni albo prawie wszyscy od dawna znają dobrze naszą rodzinę. Każda rodzina skrywa jakiś szkielet w szafie, to ogólnie znana prawda. Każdy z nas ma swój szkielet. Pytanie tylko, czy ma również metkę potwierdzającą, że został kupiony w sklepie z pomocami naukowymi do zajęć z anatomii, czyjej nie ma. Bo jeśli nie

ma, to znaczy, że szkielet jest prawdziwy, kiedyś był żywym człowiekiem, którego zwłoki zbutwiały w szafie. Przypuszczam, że wszyscy tu obecni rozumieją, jak ważne jest nabycie metki we właściwym czasie. To oczywiście przerośnia, może niezbyt udana, ale za to zabawna, akurat na użytek sylwestrowej zabawy. - Irina uśmiechnęła się i uniosła kieliszek wyżej. - Proponuję wypić za to, żeby w Nowym Roku największe nieprzyjemności, które wydają nam się straszne, katastrofalne i zagrażające naszemu szczęściu, a nawet życiu, nagle przerodziły się w śmieszne i głupie nieporozumienia, z którymi łatwo się uporacie, bo w porę sobie przypomnicie, że gdzieś w komodzie poniewiera się metka od szkieletu.

Wszyscy z wyjątkiem Bieriozina wybuchnęli śmiechem. Nawet niebezpieczna Mielniczenko się śmiała, nawet wyniosły Guszczyń wykrzywił usta w ledwie powstrzymywanym uśmiechu. Irina pojęła, że każdy odniósł jej słowa do siebie i nie ma przy tym stole ani jednej osoby, która by ich nie zrozumiała, bo słowa te pasują do każdego jak dobrze skrojone ubranie.

Miejsce po jej prawej stronie nadal pozostawało puste, więc po pewnym czasie Irina znowu wyszła do kuchni. Nikołaja nigdzie nie było. Zniknął, wykorzystując zamieszanie. Na kuchennym stole leżała kartka:

„Szanowni Siergiejju Nikołajewiczu i Irino Andriejewno! Proszę wybaczyć, że opuszczam wasze przyjęcie bez pożegnania. Moja pani niespodziewanie się obraziła i po rozmowie telefonicznej zrozumiałem, że muszę pędzić i zrehabilitować się w jej oczach za to, że opuściłem ją w noc sylwestrową. Szczęśliwego Nowego Roku i wszystkiego najlepszego. Nikołaj”.

No cóż, chłopak nie na żarty się przejął, skoro uciekł, pomyślała Irina. Ale trzyma fason. Brawo.

Tuż za nią do kuchni wszedł Bieriozin.

- Co się dzieje, Iro? Gdzie Nikołaj?

- Wszedł - odparła z uśmiechem. - A raczej uciekł. Sierioża, on żądał ode mnie jakiejś kasety. Dlaczego mnie o niej nie uprzedziłeś?

Dlaczego nic nie wiem o tej kasecie? Dlaczego stawiasz mnie w sytuacji, w której muszę wychodzić z siebie, żeby nikt nic nie zauważył? Dlaczego?

Sama nie zauważyła, jak zaczęła podnosić głos. Poczucie winy, które męczyło ją przez wszystkie ostatnie dni, w jednej chwili ustąpiło miejsca złości, jak tylko zdała sobie sprawę, że zarzucić coś można nie tylko jej, ale i też Siergiejowi.

Bieriozin podszedł do niej i mocno chwycił za ręce.

- Cicho! Nie krzycz. Wyjaśnił ci, co to za kasetka?

- Nie. Widocznie był przekonany, że wszystko wiem. Inna sprawa, czy ty sam wiesz. Żądał ode mnie kasety i szantażował zdjęciami twojej puszczalskiej żony, której ty jednak nie brzydziłeś się dotykać. To oczywiste, że była ode mnie we wszystkim lepsza, nawet nie ma co porównywać. Nagrała na kasecie jakąś rozmowę, która kompromituje szefów twojego banku i chyba ciebie samego. Szantażowała cię? No powiedz! Gdzie jest ta przeklęta kasetka? Sama chcę posłuchać, z jakiego powodu całe to zamieszanie, dlaczego muszę stawać na głowie i zachowywać zimną krew, umierać ze strachu co dziesięć sekund i szarpać sobie nerwy, zamiast spokojnie gawędzić przy stole. A ty sobie tam siedzisz, pijesz wódkę z przyjaciółmi i nawet nie uważasz za stosowne o czymkolwiek mnie uprzedzić. W dodatku pozwalasz przyprowadzić tu tę żmiję Mielniczenko. Jakbyś nie wiedział, z kim masz przyjemność. Według ciebie jestem z kamienia? Można się moim kosztem zabawić? Nie mam nerwów, uczuć i niczego się nie boję? Co, myślisz może, że jestem martwa? Sądzisz, że skoro mnie zabito, to już nie istnieję?

- Iro!

Bieriozin gwałtownie nią potrząsnął, później mocno objął, przycisnął dłonią jej głowę do swego ramienia.

- Wybacz mi, moja kochana Iroczo. Nie sądziłem, nie przypuszczałem, że jest ci tak ciężko. Zawsze tak dzielnie się trzymałaś, nie skarżyłaś się, na nic nie narzekałaś, więc uznałem, że wszystko w

porządku. Zawiniłem wobec ciebie, kochanie. Powinienem był o wszystkim cię uprzedzić, ale sądziłem, że nikt oprócz mnie o tej kasecie nie wie. Tak, masz rację, szantażowała mnie, żądała pieniędzy, dużo pieniędzy, grożąc, że puści w świat nagranie. Najpierw oddałem jej wszystkie swoje oszczędności, a ona pojechała za granicę z kochankiem i wszystko tam przetrwonila. Po powrocie znowu zażądała pieniędzy. Ciągle coraz więcej i dlatego zacząłem przelewać je z cudzych kont, oszukiwać współników. To jednak nie mogło trwać długo, jej apetyt wciąż rósł. Mimo to byłem pewien, że o kasecie wiedzieliśmy tylko my oboje, ona i ja.

Bieriozin wziął jej twarz w dłonie i ostrożnie pocałował w czoło, w policzki, w usta. I znowu załapała go fala gorącej czułości. Ale jakiś skrawek świadomości nie poddawał się tej namiętnej, pochłaniającej wszystko dokoła fali i przestrzegał go, że nic z tego nie będzie.

- Co za sielanka! - Za plecami Bieriozina rozległ się jadowity głos.

Irina gwałtownie wyrwała się z objęć męża, Bieriozin się odwrócił. Na progu kuchni stała Olesia Mielniczenko we własnej osobie.

- Siergieju Nikołajewiczu, niech pan się podzieli tajemnicą wiecznej miłości.

Irina zauważyła, że dziennikarka jest nieźle wstawiona. Lekko się zataczała, a złośliwości w głosie było znacznie więcej, niż pozwalały na to nawet bardzo liberalne zasady przyzwoitości.

Siergiej odpowiedział zgrabnym żartem, chwycił natarczywą dziennikarkę pod rękę i udał się do gości. Irina po cichu prześlizgnęła się do swego pokoju, żeby podmalować usta i poprawić fryzurę. Na toalecie obok lustra w srebrnym passe-partout stała fotografia młodej ładnej dziewczyny, która obejmowała roześmianego i szczęśliwego Siergieja Bieriozina.

Irino Bieriozina, powiedziała w myślach Irina, spoglądając na fotografię, mam cię dosyć. Gdybyś tylko wiedziała, jak mam cię dosyć!

ROZDZIAŁ 18

Ku własnemu zdziwieniu Nastia Kamieńska odkryła, że po raz pierwszy przez wszystkie lata pracy w wydziale kryminalnym cieszy się na jeszcze jeden wolny dzień. To oczywiście nie oznaczało, że dzień rzeczywiście będzie wolny, w życiu funkcjonariuszy operacyjnych w ogóle nie ma takiego pojęcia: „jutro wolne”. Istnieją różnego rodzaju przybliżone stwierdzenia typu: „jutro jest dzień, kiedy mam prawo nie pędzić do pracy na dziesiątą, jeśli oczywiście nic się nie wydarzy”. No i rzecz jasna, to przekłete „coś” niechybnie się zdarza.

31 grudnia i 1 stycznia Nastia przeglądała i dopasowywała do siebie informacje przywiezione z kliniki położniczej w Czechowie, układała z nich różne puzzle, wprowadzała nazwiska i daty do komputera i wymyślała najprzeróżniejsze wersje programów, za pomocą których można było owe informacje połączyć. Loszka jęczał jej nad głową, bo liczył, że sam popracuje na komputerze. Chciał przez cztery świąteczne dni napisać referat, który miał w końcu stycznia wygłosić w Sztokholmie.

- Przez twoich zwyrodniałych morderców diabli wezmą moją karierę naukową - zrzędził, zerkając jej przez ramię na ekran monitora. - Może ci pomogę, bo nigdy nie skończysz.

- Odejdź, Czistiakow, nie stój nade mną - prosiła usilnie Nastia, delikatnie przytulając jego dłoń do swego policzka. - Sama sobie poradzę.

Sylwestrową noc spędzili razem przy świątecznie nakrytym stole, na wygodnej kanapie w pokoju. Telewizor włączyli tylko raz, koło północy, żeby nie przegapić uroczystej chwili, a później od razu go wyłączyli. Usiedli potem na kanapie z podwiniętymi nogami i trzymając na

kolanach talerze z przekąskami, gadali do jakiejś trzeciej, po czym prędko posprząтали naczynia i położyli się spać z czystym sumieniem i świadomością, że Nowy Rok przywitali całkiem przyzwoicie.

Nazajutrz Nastia spała do południa, a potem do późnego wieczora pracowała nad imionami i nazwiskami kobiet, które urodziły dzieci w klinice położniczej w podmoskiewskim Czechowie. Koło jedenastej wieczorem wyłączyła komputer i słodko się przeciągnęła, prostując zdrętwiałe plecy.

- Koniec, luminarzu światowej nauki, od jutra będziesz mógł tworzyć swój nieśmiertelny wykład. Zwalniam ci kompa.

- Złapałaś wszystkich zabójców? - kpiąco zapytał Aleksiej.

- Na razie żadnego. Jutro będę się jeszcze nad tym zastanawiać. Dobrze, że przed nami jeszcze jeden spokojny dzień. Mam nadzieję, że spokojny - dodała, reflektując się.

2 stycznia zadzwonił Konstantin Michajłowicz Olszański i powiedział, że właśnie rozmawiał przez telefon z akademikiem Zafrienem.

- Staruszek jest pewien, że to jedna i ta sama ręka - oznajmił. - Kompletna ekspertyza będzie gotowa za dwa dni, to znaczy przez ten czas Zafrien ją napisze.

- Czyżby Swietłana rzeczywiście okazała się utalentowaną pisarką?

- Wygląda na to, że tak. A zatem Paraskiewicz rzeczywiście mógł mieć powody jeśli nie do samobójstwa, to przynajmniej do głębokiej depresji. Nawiasem mówiąc, naczelnik wydziału śledczego wciska mi jeszcze jedną sprawę i powołuje się na twojego Pączka. Czy wyście tam wszyscy na Pietrowce powariowali? Nie ma innych śledczych w prokuraturze miejskiej?

- Jaką sprawę, Konstantinie Michajłowiczu?

- Grigorjewej, urodzonej w osiemdziesiątym roku. Zwłoki na Kotielniczeskim. Nie wiesz, co twojemu szefowi strzeliło do głowy, żeby mi podsuwać tę dziewczynę?

- Przysięgam, że nie. Może dlatego, że zajmuje się nią Jura

Korotkow?

- A ty nie?

- No i ja też, co poradzę. Przecież pan wie, że zajmuję się wszystkimi sprawami naszego wydziału, jednymi bardziej, drugimi mniej, ale zawsze wszystkimi. Tak w ogóle chyba się domyślam, co w trawie piszczy. Przecież przez ostatnie cztery lata liczba zarejestrowanych przez nas gwałtów ciągle spada, zwłaszcza nieletnich. Swoboda seksualna i rozpowszechnienie pornografii zrobiły swoje, teraz dziewczyny o wiele chętniej przystają na nieprzyzwoite prośby chłopców, a później nie zgłaszają żadnych pretensji. Ale klasyczne przypadki wciąż się zdarzają, mają charakter psychopatologiczny, rządzą się zupełnie innymi mechanizmami, tacy przestępcy niespecjalnie reagują na rewolucję seksualną, są na swój sposób zaprogramowani. Dlatego każdy przypadek gwałtu powiązany z zabójstwem, zwłaszcza jeśli dotyczy dziewczyny niepełnoletniej, może zostać odebrany jako sygnał, że pojawił się kolejny niezdrowy na umyśle zbrojeniec. Każdy taki przypadek od razu poddany zostaje surowej kontroli. A zatem to całkiem zrozumiałe, że Pączek chce zrobić ten prezent właśnie panu, bo pana lubi i bezgranicznie ufa pańskiemu profesjonalizmowi. Jeśli jest pan z tego faktu niezadowolony, to proszę mnie urwać głowę. Tak będzie sprawiedliwie.

- Dlaczego? To ty go poprosiłaś, żeby mi wetknął tę sprawę?

- Nie, to jego pomysł. - Nastia roześmiała się. - Moja wina polega na tym, że w ubiegłym roku napisałam dla niego obszerny raport analityczny o gwałtach i gwałcicielach, zwłaszcza seryjnych. I we wnioskach przytoczyłam akurat tę genialną myśl, którą przed chwilą panu wyłożyłam. Ale przysięgam, Konstantynie Michajłowiczu, że miałam poważne podstawy do takich wniosków. Przekopałam się przecież przez furę danych, konsultowałam się ze specjalistami. Nawiasem mówiąc, jeśli pana to interesuje, mogę powiedzieć, że w naszym wnii* pracuje grupa uczonych, którzy zajmują się tylko seryjnymi przestępstwami seksualnymi. Pokazałam im swój raport, a oni go zaakceptowali, więc jeśli jest pan z czegoś niezadowolony, to

pretensje proszę mieć nie tylko do mnie.

*wnii (*Wsierosijskij nauczno issledowatielskij institut*) -
Wszechrosyjski Instytut Naukowo-Badawczy (przyp. tłum.).

W odpowiedzi śledczy wymamrotał coś niezrozumiałego.

Przez cały dzień Nastia gdzieś telefonowała, zasięgała informacji, coś dyktowała, zapisywała, przepraszała za kłopot w wolny dzień, prosiła, złościła się, przekonywała, a nawet dwa razy omal nie krzyknęła. Żeby nie przeszkadzać mężowi w pisaniu referatu, ulokowała się z aparatem w kuchni, zamykając szczelnie drzwi. Co pół godziny nalewała sobie filiżankę kawy i co jakiś czas szacowała, czy wystarczy na dzisiaj jedzenia, które zostało po nocy sylwestrowej, i czy można nie gotować obiadu. Chwilami wydawało jej się, że można, a później nagle zaczynało ją gryźć sumienie, że prawie nic nie robi w domu.

Chyba muszę się zmusić, żeby wstać z krzesła i ugotować przynajmniej zupę, podkreślając w ten sposób swoją kulinarną gorliwość, przekonywała się w duchu. Loszce będzie miło. Potem jednak podnosiła słuchawkę, po raz kolejny gdzieś dzwoniła, znowu coś zapisywała w notesie, nalewała sobie następną filiżankę kawy, zapalała papierosa i znowu zapominała o swoich szlachetnych porywach.

U Jury Korotkowa wszystko było o wiele bardziej skomplikowane. Po pierwsze, nawet w ciągu tych niewielu dni, które naprawdę były wolne, nie mógł spokojnie odpoczywać w domu, bo mieszkał w małym dwupokojowym mieszkaniu z żoną, synem i sparaliżowaną teściową. Po drugie, jego ukochana Lusia uprzedziła, że prawdopodobnie zdoła się wymknąć spod ostrego małżeńskiego nadzoru i spędzić z Jurą kilka godzin. Obiecała zadzwonić, jak tylko uda jej się wyrwać, i Jura, rzecz jasna, na nic nie zważając, od razu popędził do pracy, żeby bez przeszkód cierpliwie czekać na jej telefon.

Dlatego właśnie 2 stycznia Sasza Jułow, który miał tego dnia dyżur w wydziale, znalazł Korotkowa nie w domu, ale w gabinecie na Pietrowce.

- Jest coś nowego w związku z Turinem? - zapytał Korotkow, z trudem skrywając rozczarowanie, gdy usłyszał w słuchawce głos

młodego dochodzeniowca, a nie Lusi.

- Praktycznie nic. Rzeczywiście nigdzie nie wychodzi i prawie z nikim się nie kontaktuje. Spotkałem się z jego byłą żoną, nazwała Andrieja romantykiem niezgułą. Uważa, że za nic nie mógł popełnić gwałtu na kobiecie, a zwłaszcza na młodej dziewczynie.

- To, co ona tam gada i uważa, nie ma żadnego znaczenia. Nie przyjmuję takich argumentów. Tradycyjnego gwałtu nie może popełnić tylko ten mężczyzna, który jest pozbawiony organu płciowego. Wszyscy pozostali mogą i należy ich podejrzewać - szorstko odparł Jurij, który przez wiele lat pracy w wydziale kryminalnym wciąż się nie przyzwyczyił do widoku zabitych i zgwałconych dzieci i za każdym razem robił się ślepy z wściekłości i nienawiści do przestępcy. -A co miałeś na myśli, mówiąc, że Turin prawie z nikim się nie kontaktuje?

- Obserwowałem jego mieszkanie dwa dni z rzędu. Ani razu nie wyszedł z domu, ale za to odwiedzała go kobieta. Przyjeżdżała samochodem, dlatego łatwo ją zidentyfikowałem.

- Kto to taki?

- Swietłana Igoriewna Paraskiewicz, zameldowana w Moskwie, urodzona w sześćdziesiątym siódmym roku. Halo? Jura, jesteś tam? Halo! Coś chyba przerwało...

- Jestem - odparł Korotkow. - Powtórz jeszcze raz.

- Swietłana Igoriewna Paraskiewicz. Co robimy? Zaczynamy ją rozpracowywać czy przestawimy się na Gienę Warczuka?

- A w sprawie Warczuka zdążyłeś coś zrobić?

- Zebrałem informacje o jego kolegach w miejscu zamieszkania i w domu na Kotielniczeskim. Okazało się, że Giena pomieszkiwał wcześniej u dziadka, bo facet był w przeszłości jakimś ważnym działaczem i ma ogromne mieszkanie. Tam, gdzie Giena mieszkał z rodzicami, było ciasnawo, gnieździli się wszyscy w komunalnym lokalu, dopóki nie dostali spółdzielczego mieszkania. W związku z tym w Kotielnikach Warczuk ma pełno przyjaciół. Ale bez twojego pozwolenia na razie chłopców nie zaczęiałem.

- Słusznie zrobiłeś. A więc tak, Sania, przyjmij, że dostałeś ode mnie pozwolenie, i zabieraj się do przyjaciół Warczuka. A Świetłany Igoriewny nie ruszaj.

- Dlaczego? Znasz ją? Jesteś pewien, że nie ma z tym nic wspólnego?

- No, jeśli chodzi o gwałt, to rzeczywiście nie ma z nim nic wspólnego. - Korotkow uśmiechnął się. - Jestem jednak przekonany, że może opowiedzieć wiele interesujących rzeczy o Turinie. Zresztą Turin też może coś o niej opowiedzieć, skoro się znają. A to jest akurat to, czego potrzebuję. Powtórz dokładnie, gdzie i kiedy ją namierzyłeś.

Jułow cierpliwie zrelacjonował w szczegółach tamtą scenę, którą zobaczył z okna mieszkania samotnej kobiety, i podał Korotkowowi numer rejestracyjny samochodu.

- Jak była ubrana?

- W krótkie futerko, takie niebieskawe, i czarne spodnie, wążutkie. Czapki nie miała, była z gołą głową. A co takiego przeszkrobała?

- Bóg jeden wie, może nic. Kiedy jednak nieutulona w żalu wdowa zaczyna prędko się pocieszać z innym mężczyzną, to zawsze wzbudza podejrzenia.

- A co, to wdowa? - Jułow zdziwił się. - Przecież jest całkiem młoda.

- Męża też miała młodego, byli rówieśnikami. Właśnie zajmujemy się jego zabójstwem.

- A więc to takie buty...

Po rozmowie z Jułowem Korotkow spróbował dodzwonić się do Anastazji, niestety bez powodzenia. Jej domowy telefon był zajęty na amen. Wykonał chyba z dziesięć prób, kiedy zadzwoniła Lusia i powiedziała, że może wyjść z domu. Korotkow, rzecz jasna, od razu się poderwał, a w myślach nakazał sobie pamiętać, żeby dodzwonić się do Kamieńskiej przynajmniej z automatu. Ponieważ jednak okazja do spotkania z Lusią trafiała się raczej rzadko, owo postanowienie było guzik warte.

Obawy Stasowa oczywiście się sprawdziły. Margarita zdążyła wrócić ze swojej zagranicznej podróży przed sylwestrem i natychmiast zabrała

Lilę do siebie. Nowy Rok powitali z Tatianą we dwoje, ale samo powitanie było czysto umowne. Jakieś dwadzieścia minut przed uroczystą chwilą ni z tego, ni z owego zaczęli uprawiać seks, co prawda zostawiając włączony telewizor, więc kiedy zegar zaczął bić dwunastą, Tatiana ze strachem wykrzyknęła:

- Oj, Dimka, to już Nowy Rok!

Oboje nago wyskoczyli z łóżka, Stasow prędko otworzył butelkę szampana, pospiesznie wnieśli toast, wypili duszkiem zielonozłocisty napój i zanurkowali z powrotem pod kołdrę. Mniej więcej pół godziny później narzucili ciepłe szlafroki, z godnym podziwu apetytem przekąsili to i owo, po czym znowu wylądowali w łóżku. Gawędzili, czasem rzucając okiem na telewizor, gdzie na wszystkich programach proponowano im współczesne interpretacje starych pieśni.

- Wiesz - opowiadał żonie Stasow - od jakiegoś czasu mam takie dziwne uczucie... Zacząłem myśleć, że może niepotrzebnie odszedłem z milicji.

- Skąd takie myśli? - zdziwiła się Tatiana. - Nie minęło jeszcze nawet pół roku od czasu, jak z pianą na ustach udowadniałeś mi, że nienawidzisz swojej pracy.

- Powierzono mi prywatne dochodzenie w sprawie okoliczności skazania pewnego biznesmena, który popełnił zabójstwo. Facet chce udowodnić, że jest niewinny, i doprowadzić do ponownego rozpatrzenia sprawy oraz wyroku uniewinniającego. Zabójstwem zajmowali się moi byli koledzy, chłopcy z mojego wydziału. No i rozumiesz, Taniusza, jaki mam orzech do zgryzienia: żeby zapracować na swoje honorarium i udowodnić niewinność tego Dosiukowa, muszę znaleźć dowody wyraźnej nierzetelności swoich kolegów albo po prostu błędy i niedopatrzienia, a może i dowody świadczące o tym, że umyślnie doprowadzili do oskarżenia i skazania Dosiukowa. Jednak im głębiej sięgam, tym bardziej się przekonuję, że nasi chłopcy wykonali dobrą robotę. A więc zawiodę oczekiwania klienta, nie pomogę mu dowieść jego niewinności. Ale, niech to licho, mam satysfakcję. Rozumiesz?

Cieszę się! Jestem zadowolony, że moi koledzy spisali się jak należy, że uczciwie i sumiennie zarabiają na życie. Rozpiera mnie uczucie branżowej dumy.

- A co na to klient? Rzeczywiście jest niewinny? Jak ci się zdaje? Czy po prostu blefuje?

- Trudno powiedzieć. Wszystko potwierdza, że jest winien. Ale on się upiera i jakoś to mnie... chyba niepokoi. Na co może liczyć, kiedy przeciwko niemu jest całe multum dowodów? Przecież musi mieć choć trochę zdrowego rozsądku! Żadną miarą nie potrafię pojąć, co za tym wszystkim stoi, jego bezgraniczna bezczelność czy najprawdziwsza niewinność.

- Dziwne - przyznała Tatiana. - Często trafiają mi się tacy oskarżeni, którzy do końca próbują mnie mamić swoją wiarą w tryumf sprawiedliwości. Straszą, że będę się smażyć w ogniu piekielnym za skazanie niewinnej osoby, odgrażają się, że „oni mi jeszcze pokażą” i że „jeszcze zrozumiem”, jak bardzo nie miałam racji, kiedy nie uwierzyłam takiemu dobremu i porządnemu człowiekowi. Ale to tylko do czasu wyroku. Jak znajdą się w kolonii karnej, to jak nożem uciął. Tam jeszcze przez pewien czas próbują mydlić oczy administracji, ale w kolonii funkcjonariusze nie są przecież tacy sami jak w aparacie śledczym. Ty i ja, Stasow, tak samo często stykamy się zarówno z prawdziwymi przestępcami, jak i z niesłusznie oskarżonymi, a pracownicy kolonii mają swój pogląd na życie. Skoro wyrok nabrał mocy prawnej, to znaczy, że skazany jest winien, i nie ma o czym dyskutować. Dlatego takie bajeczki ich nie wzruszają. Nie sposób zasiać w nich wątpliwości, są ulepieni z innej gliny. Więc jeśli twój klient to wyjątkowy tupeciarz, jego bezczelność musi być naprawdę olbrzymia. Albo jest rzeczywiście niewinny. Są jakieś słabe punkty w materiale dowodowym?

- Jeden. A właściwie nawet dwa. Po pierwsze, nie przyznał się do winy, podczas śledztwa w ogóle odmówił składania zeznań, kiedy rozumiał, że nikt mu nie wierzy. A po drugie, moje wątpliwości budzi jeden ze świadków. To znaczy... oj, nie, Taniuszka, tak mi się dziś język

plącze, że strach. W ogóle jestem zdekoncentrowany, kiedy leżymy razem w łóżku...

3 stycznia Nastia bladym świtem pomknęła do pracy, choć tak naprawdę nie była miłośniczką wczesnego wstawania. Musiała porozmawiać z pułkownikiem Gordiejewem przed naradą operacyjną, więc poprosiła go, żeby przyjął ją o ósmej.

- Ależ ci pilno - burknął Wiktor Aleksiejewicz, ale w jego głosie nie było rozdrażnienia. Zbyt dobrze znał Anastazję i nie miał żadnych wątpliwości, że skoro jej się pali, to znaczy, że sprawa jest tego warta.

Nastia wpadła do jego gabinetu pięć po ósmej i od razu rzuciła się do rozkładania jakichś kartek, wykresów i schematów na długim konferencyjnym stole.

- Wiktorze Aleksiejewiczu, tego wszystkiego jest całe mnóstwo, ale będzie pan musiał mnie wysłuchać od samego początku, dobrze? Postaram się nie zamęczać pana datami i nazwiskami, są one jednak ważne i jest ich sporo. Wiem, że to nudne, ale inaczej nic pan nie zrozumie.

- Dobra, nie rób ze mnie głupka. - Pączek uśmiechnął się. - Jakoś to przeżyję.

- Oto dane, kiedy i komu w klinice w Czechowie zrobiono cesarskie cięcie w okresie od 1963 do 1973 roku. Od 1963 ordynatorem kliniki był Wiktor Fiodorowicz Łoszczynin, więc wcześniejszego okresu nie brałam pod uwagę.

- A dlaczego tylko do 1973? Przecież mówiłaś, że dopiero niedawno odszedł na emeryturę, a przedtem stale pracował w Czechowie.

- Nie starczyło mi sił, żeby sprawdzać wszystkie lata. Jeśli to, czego się dokopałam, jest słuszne, to można sprawdzić całe trzydzieści lat, żaden problem.

- Zgoda, mów dalej.

- Wie pan oczywiście, że młode mamy przebywają w klinice około tygodnia i że przez cały ten czas trzeba je żywić. Czy tak?

- No chyba. Inaczej przecież umarłyby z głodu - mruknął pułkownik.

- Tu są dokumenty z wydziału zaopatrzenia. Na ich podstawie można prześledzić, dla ilu osób każdego konkretnego dnia wydano posiłki. A to jest rejestr urodzeń dzieci. Pielęgniarka naczelną wypisuje zaświadczenie o urodzeniu dziecka młodym mamom, które na tej podstawie odbierają w urzędzie stanu cywilnego akt urodzenia dziecka. Rejestr pozwala również stwierdzić, ile takich zaświadczeń wydano każdego dnia. Dalej jest rozliczenie według specjalnego wzoru, to nie będzie pana interesować, bo to czysta matematyka z zakresu teorii usług masowych. A tu w tej tabeli jest podsumowanie. No, Wiktorze Aleksiejewiczu, z czego się pan śmieje?

- Boże, żebyś ty widziała siebie z boku, dziecko! - Gordiejew zaniósł się gromkim śmiechem. - Kręcisz się wokół stołu, oczy ci błyszczą, głos dźwięczy. Jak oszalała kotka, z ogonem zadartym do góry. Skąd w tobie tyle energii? Przecież zazwyczaj nie chce ci się nawet podrapać. No dobra, dobra, Diano bogini łowów, nie dąsaj się, pokazuj dalej swoje wzory.

- Dalej się okazuje, że w niektórych przypadkach znika jedna położnica. Przy czym znika bez śladu. Jeśli będzie pan nadal ze mnie drwił, nigdy panu nie powiem, na czym ta sztuczka polega. I umrze pan z ciekawości.

- No nie, chciałbym jeszcze trochę pożyć. Wal.

- A więc tak. Obliczona według specjalnego wzoru liczba położnic żywionych w klinice zawsze powinna się zgadzać z liczbą wypisanych zaświadczeń urodzeń dzieci. No i się zgadza. Ale nie zawsze. Czasami liczba kobiet, którym wydawano jedzenie, nagle jest o jeden mniejsza niż liczba wydanych zaświadczeń. Mówiąc prościej, położnica nie jadła, nie piła, przez cały tydzień żyła samym powietrzem, a zaświadczenie dostała. Aha, Wiktorze Aleksiejewiczu, ja też o tym pomyślałam: chce pan powiedzieć, że dziecko zmarło i kobieta od razu opuściła klinikę? Ale przecież położnica i tak zostaje w klinice przynajmniej przez kilka dni. Nawet w takim tragicznym wypadku nie puszczają jej od razu do domu. Sprawdzałam, niech pan sobie nie myśli. Teraz niech pan spojrzy

na tę oto tabelę. Tajemnicza położnica, która umie żyć bez jedzenia i picia, pojawia się tylko wtedy, kiedy cesarskie cięcie robi doktor Prigarin. Ale też nie za każdym razem. Cesarkę robi się dość często, nic niezwykłego w tym nie ma, ale tu, w tej tabelce, widzi pan wykaz tylko tych operacji, które przeprowadzono, kiedy w klinice pojawiała się jakaś niewidzialna mamusia. A w tej oto kolumnie zapisałam datę i nazwisko położnicy, której robiono operację, tu natomiast nazwiska kobiet, którym w tym okresie wypisywano zaświadczenia o urodzeniu dziecka. Oto i nasza kochana Galina Iwanowna Prigarina, która leżała w klinice w 1963 roku, a tu nazwiska kobiet, które mniej więcej w tym samym czasie otrzymały zaświadczenie o urodzeniu dziecka. Do nich jeszcze wrócę. A tu jeszcze jedna mamusia, którą operowano w 1964. Nosi nic nieznaczące nazwisko, nazywała się Nadieżda Ostrikowa, ale za to jednocześnie z nią zaświadczenie o urodzeniu dziecka w klinice dostała...
Wie pan kto?

- No kto?

- Do trzech razy sztuka, Wiktorze Aleksiejewiczu. Niech pan zgaduje.

- A niech cię, Nastazjo, co ty staremu człowiekowi mieszasz w głowie? Mów, bo podejść i sam przeczytam.

- Niech pan czyta.

Wręczyła mu dużą białą kartkę, na której pewne słowa były zakreślone różnokolorowymi markerami. Gordiejew przeczytał i z zakłopotaniem spojrzał na Nastię.

- Nieźle - rzekł przeciągle. - Żarty się ciebie trzymają, dziecko.

- Jakie żarty, panie naczelniku. Tu trzeba się w porę chwycić za głowę. Lepiej niech pan usiądzie, bo za chwilę powiem panu coś takiego, że nogi odmówią panu posłuszeństwa.

- Boże, nie strasz mnie. No, usiadłem.

- A więc, Wiktorze Aleksiejewiczu, razem z Galiną Iwanowną Paraskiewicz w klinice otrzymała zaświadczenie o urodzeniu dziecka niejaka Zoja Wasiljewna Jakowlewa, która mniej więcej dwa lata później

wyszła za mąż za Gieorgija Siemonowicza Turina i przyjęła jego nazwisko. Turin zaadoptował synka Jakowlewej Andriuszę i od tej pory chłopiec miał dokumenty na nazwisko Andriej Gieorgijewicz Turin. Turin, Wiktorze Aleksiejewiczu, ukończył uczelnię pedagogiczną, otrzymał dyplom nauczyciela języka rosyjskiego i literatury i do niedawna pracował w szkole. Jednakże wkrótce po tym, jak zniknęła jego uczennica Tania Gieorgijewa, zachorował na ciężkie dermatologiczne schorzenie i zwolnił się ze szkoły. Ale to, panie naczelniku, jeszcze nie wszystko.

- No to wał, dobij starca.

- Turina zna i nawet się z nim spotkała Świetłana Paraskiewicz.

- Nie masz dla mnie litości - westchnął Gordiejew. - Zmienię ci warunki pracy Będziesz siedzieć w domu. Kiedy tam pracujesz, dziesięć razy więcej z ciebie pożytku. Mogę odetchnąć, czy masz jeszcze w zanadrzu jakąś rewelację?

- Oczywiście, że mam. - Nastia uśmiechnęła się. - Syn Nadieždy Ostrikowej, Walentin, jest dobrze znany w określonych kręgach pod ksywami Leczo i Plastelina. Dwukrotnie karany, po raz pierwszy jako nieletni, zameldowany w obwodzie moskiewskim, w tym samym Czechowie, w którym raczył się urodzić. Z pieniędzmi zawsze było u niego krucho, ale rok temu się obłowił. Milionerem oczywiście nie został, ale dało się zauważyć, że zdobył dużą sumę i ma ją do tej pory. A o czym to świadczy? Wie pan, że ludzi typu Walentina Ostrikowa forsa się nie trzyma, zaczyna parzyć w ręce, jak tylko wpadnie im do kieszeni. Wydają wszystko, do ostatniego grosza. Więc jeśli według danych operacyjnych Walentin ma do dzisiaj pieniądze, to znaczy, że ktoś mu je regularnie daje. Ostatnio pilnuje go miejscowy posterunkowy, to stary wyga, więc rozumie, że kiedy u dwukrotnie karanego głupca i nieroba nagle pojawiają się pieniądze, to nie znalazł ich na ulicy Odkąd rok temu facet zaczął szastać forszą, posterunkowy nie spuszcza Ostrikowa oraz jego kumpli z oczu. I niech pan sobie wyobrazi, że niczego się nie dopatrzył. Pieniądze pojawiają się okresowo, ale żadnych oznak

przestępczej działalności nie widać. Ciekawe, co? To jednak, Wiktorze Aleksiejewiczu, jeszcze nie wszystko. Wczoraj obdzwoniłam pół Rosji, rachunki pewnie będą mnie kosztowały całą pensję, ale za to zasięgnęłam informacji prawie o wszystkich kobietach z tej oto listy - Nastia wskazała długopisem upstrzoną kolorowymi uwagami kartkę. - I odkryłam jeszcze jeden interesujący szczegół. W każdej grupie zawsze znajduje się kobieta, która zmieniła miejsce zamieszkania akurat w chwili porodu. W grupie Galiny Iwanowny Paraskiewicz taką kobietą okazała się akurat Zoja Jakowlewa. W grupie Nadzieży Ostrikowej Lidia Dosiukowa i tak dalej. Teraz proszę, żeby pan zwrócił uwagę na tę oto grupę nazwisk, zbliżamy się chyba do najbardziej nieprzyjemnej części opowieści. W 1968 roku Prigarin robi cesarskie cięcie położnicy Szestopałowej, jednocześnie zaświadczenie o urodzeniu dziecka otrzymuje niejaka Maria Nowikowa. W urzędzie stanu cywilnego Nowikowa rejestruje dziewczynkę o imieniu Irina. Wiosną ubiegłego roku Irina Nowikowa, lat dwadzieścia osiem, umiera. Przyczyna śmierci: powieszenie się, we krwi stwierdzono zabójczą dawkę narkotyków, a na stole znaleziono list pożegnalny, napisany z pewnością przez samą Irinę Nowikową, eksperci nie mieli najmniejszego powodu, żeby w to powątpiewać. Dobra, Nowikowa umarła, powiesiła się. No a co z Szestopałową? Otóż Szestopałowa też urodziła dziewczynkę i dała jej na imię również Irocza, i ta Irocza jest obecnie żoną lidera jednej ze zwycięskich partii Siergieja Bieriozina. Pojawił się jednak pewien niewygodny szczegół, Wiktorze Aleksiejewiczu. Irina Nowikowa była zawodową prostytutką, pracowała w salonie masażu Atlas i całkiem niedawno do dzielnicowego, którego rewir obejmuje Atlas, dzwonił do innego komisariatu i interesowano się tą Nowikową. Co się okazało? Że jakiś cwaniak się pomylił, wziął przyzwoitą kobietę za prostytutkę i zaczął się jej czepiać. Kobieta naturalnie się obraziła i zawołała milicję. I wtedy się wyjaśniło, że żona deputowanego Bieriozina to wykapana prostytutka Ira Nowikowa. Po prostu identyczna twarz. Podoba się panu?

- Owszem.

Gordiejew gwałtownie zerwał z nosa okulary i rzucił je na stół.

- Wiedziałem, że w końcu wdepniemy w jakieś polityczne gównno. Przeczuwałem to. Boże, a tak się cieszyłem, kiedy wybory minęły bez specjalnych ekscesów i nie wciągnięto nas w żadne polityczne gierki. A tu masz, proszę! Co ty, Stasienko, chcesz, żebym wyzionął ducha?

- Ale ja przecież nienaumyślnie, Wiktorze Aleksiejewczu. Samo tak wyszło. Przecież nie ja to wymyśliłam.

- Wyszło, wyszło - warknął Gordiejew już spokojniej. - Jak tylko cię puszcze do domu, od razu wycinasz mi jakiś numer. Będiesz siedziała tutaj, na Pietrowce. Bez prawa wyjścia. Rozumiesz? Teraz mi powiedz jedno: gdzie pochowani są Nowikowa i Paraskiewicz?

- Trafił pan w samo sedno. - Nastia uśmiechnęła się. - Nigdzie. Zostali skremowani. Więc na ekshumację nie ma co liczyć.

- To znaczy, że zostaje para Dosiukow-Ostrikow. No, tych z pewnością prędko dopadniemy, nigdzie nie uciekną. Ale twój Stasow to zuch, tak właśnie mu przekaż. No proszę, uczepił się papierosa...

Z aresztowaniem Łoszczynina postanowiono się nie spieszyć, zachowywał się spokojnie i żadnych oznak niepokoju z jego strony nie obserwowano. Informacje o nim zebrano bez problemu, jako że całe życie Wiktora Fiorodowicza widniało jak na dłoni, przed nikim nigdy się nie ukrywał. Można by go było uważać za nader szczęśliwego emeryta, gdyby nie jego syn. Syn miał długi, i to olbrzymie, ponieważ okazał się kompletnym nieudacznikiem na polu biznesu, a zarobić, jak zresztą wiele osób w obecnych czasach, chciał bardzo dużo i bardzo prędko. Oddawać długów nie miał z czego, a odsetki rosły z każdym tygodniem, więc Łoszczynin młodszy był na skraju rozpacz.

Synowa Wiktora Fiodorowicza czuła niechęć do teścia od samego początku znajomości, a kiedy urodził się wnuk Saszeńka, Łoszczynin ze smutkiem pojął, że synowa będzie mu mocno ograniczać kontakt z wnukiem. Syn się jej nie przeciwstawiał i nie zależało mu na obronie praw kochającego dziadka, bo nieudane interesy i rosące z dnia na dzień długi martwiły go o niebo bardziej. Jednakże ostatnio sytuacja się

poprawiła, Łoszczynin młodszy zaczął zwracać długi i humor mu się polepszył, choć skąd wziął pieniądze, nikt z jego przyjaciół ani partnerów biznesowych nie wiedział. Wersja wciąż naburmuszonej małżonki Łoszczynina mówiła, że pieniądze dał teść, Wiktor Fiodorowicz.

Walentina Ostrikowa zatrzymano pod byle jakim pretekstem, i Stasow zobaczył, że rzeczywiście on i Jewgienij Dosiukow są do siebie podobni jak dwie krople wody. Oczywiście kiedy otwierał usta i zaczynał mówić oraz gestykulować, podobieństwo natychmiast zniknęło, ponieważ bracia bliźniacy wychowani w różnych rodzinach i w odmiennych warunkach, byli, rzecz jasna, bardzo różni. Ale gdy komuś zależało, by ukryć różnice i podkreślić podobieństwo, jednego można było w zupełności wziąć za drugiego. Ostrikow rozpaczliwie się zapierał, ale niedługo, ponieważ przeciwko tandemowi

Stasow szans miał raczej niewiele. Oczywiście nic nie mówił, bo jak to, ma być sobie wrogiem? Ale kiedy para z milicji w szczegółach nakreśliła mu cały obrazek, mina mu wyraźnie zrzędała.

- Wszedłeś do mieszkania Dosiukowa - mówiła Nastia. - Natalia otworzyła ci i dała ubranie Jewgienija, kluczyki od jego samochodu i pistolet. W tym czasie na dole trzasnęły drzwi i rozległo się skomlenie psa. Natalia powiedziała ci, że właściciel nazywa się Igor, a pies wabi się Lord. Kto wpadł na pomysł, żeby to wykorzystać, ty czy ona?

Walentin Ostrikow milczał, ale Nastia niespecjalnie się tym przejęła.

- To bez znaczenia. Włożyłeś kurtkę Dosiukowa, jego spodnie i buty, zszedłeś na dół, zamieniłeś z Igorem parę słów, wsiadłeś do samochodu i pojechałeś, żeby zabić Borisa Krasawczikowa. Zastrzeliłeś Borisa, wróciłeś na ulicę Wiesnina, zatrzymałeś się na parterze, dopalając papierosa, później udałeś się do Natalii, oddałeś jej rzeczy Jewgienija, przebrałeś się w swoje ubranie i zniknąłeś. Powiedzieli ci przynajmniej, po co to wszystko było?

- Ona cholernie chciała wyjść za niego za mąż - apatycznie wybąkał Ostrikow. - On był bogaty jak krezus, lecz żenić się nie miał zamiaru, a

ona chciała zagarnąć wszystko. No i postanowili go podejść, kiedy będzie karmił wszy w celi i posmakuje więziennej lury. I tak się stało. Zauważcie tylko, państwo naczelnicy, że mówię to wam jedynie tak, a nie do protokołu. Podpisywać niczego nie będę, nawet na to nie liczcie. Przyjmijcie, że o niczym nie wiedziałem.

- Myślisz, że jesteś mi potrzebny! - Nastia prychnęła pogardliwie. - Gdybym czekała na wasze dobrowolne przyznanie się do winy, to żadnego przestępstwa w ogóle bym nie wykryła. Pomyśl, Ostrikow, po co nam wasze zeznania? Żeby się dowiedzieć, gdzie jakich szukać dowodów. I tyle, do niczego więcej wasze zeznania nie są nam potrzebne. I tak szukamy dowodów winy, przyznanie się upraszcza po prostu sprawę, bez niego idzie wolniej. Ale sprawa się toczy, a nie stoi w miejscu. Dowody winy wszystkie już znalazłam, możesz sobie teraz milczeć, ile dusza zapragnie. A do wyroku skazującego twoje przyznanie się w ogóle nie jest potrzebne, los twojego rodzonego brata jest tego wyraźnym przykładem. Załapałeś?

Dawno temu odkrył, że natura obdarzyła go cennym i rzadkim w tamtych czasach darem. Dzisiaj terminy „jasnowidz” i „terapia manualna” nikogo nie dziwią, ale wtedy, w końcu lat pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych, zadziwiające zdolności młodego lekarza Wiktora Łoszczynina przypisywano jego wyjątkowemu talentowi oraz pracowitości i w żaden sposób nie łączono z wrodzonym darem. Przesuwając rękami po ciele chorego, Łoszczynin umiał dokładnie umiejscowić ognisko infekcji i określić rozmiar dotkniętych chorobą miejsc. Cieszył się opinią wspaniałego diagnosty.

Gdy zajął się ginekologią, rychło odkrył, że w czwartym albo w piątym miesiącu ciąży może określić, czy jest ona bliźniacza. W tamtych czasach jeśli nawet słyszano o ultradźwiękach, to nie potrafiono ich jeszcze wykorzystać w diagnostyce, więc Wiktor Łoszczynin pojął, że dzięki swoim niezwykłym zdolnościom staje się właścicielem najcenniejszej informacji, przy tym dostępnej tylko jemu. Głupio by było nie spróbować zrobić na tym pieniędzy. Niezłych pieniędzy. W tym celu

musiał jednak zostać ordynatorem kliniki położniczej. On, urodzony moskwianin, uczynił, co tylko w jego mocy, żeby dopiąć swego. To oczywiście przykre, że Czechow jest nieduży, ale za to niedaleko Moskwy.

Aby zrealizować swój plan, potrzebował informacji o bezdzietnych parach, które przez lata oczekiwały na adopcję niemowlęcia. Zawarł znajomość z pracownicą domu dziecka w Moskwie. Okazała się wielce użyteczną osobą, ponieważ wiele, bardzo wiele bezdzietnych kobiet zwracało się bezpośrednio do niej, szukając okazji, żeby jej wsunąć prezent albo pieniądze i dzięki temu prędzej otrzymać dziecko. Kolejka była jednak olbrzymia, wieloletnia. Na szczęście owa dama miała średnie wykształcenie medyczne, więc Łoszczynin zaproponował jej w swojej klinice stanowisko pielęgniarki oddziałowej, obiecując przyzwoite zarobki. Kobieta nie wyróżniała się niezłomnymi zasadami moralnymi, toteż wyraziła zgodę.

Łoszczynin zajął się poszukiwaniami kompetentnego chirurga o elastycznych zasadach etycznych. Żeby zabrać położnicy jedno z bliźniąt, trzeba wprowadzić ją w stan narkozy. Samodzielnie rodzącej kobiety nie sposób oszukać. A zatem, jak tylko pojawi się ciężarna, u której Łoszczynin „wyczuje” bliźnięta, należy ją przygotować moralnie do tego, że będzie miała cesarkę. Powodów jest pod dostatkiem - i niewydolność serca, i podwyższone ciśnienie, i silna krótkowzroczność, i skłonność do astmy, nawet hemoroidy. Przydaje się każde schorzenie, przy którym szkodzi zwiększona częstotliwość oddychania, nadmierny wysiłek serca i obciążenie naczyń.

Chirurga również znalazł, Wołodkę Prigarina, kolegę, z którym robił specjalizację. Wołodka zawsze był dziwnym facetem, bezinteresownym i nad podziw niewyrachowanym, pochłoniętym bez reszty problemami przedłużenia gatunku. Zaczytywał się w jakichś wschodnich filozofiach, których w tamtych czasach w Rosji nikt nie rozumiał i nie uznawał, mógł godzinami rozwodzić się na temat aury, magnetyzmu, bioenergetyki i odmładzania. Otoczenie uważało Prigarina za lekko stukniętego, ale za to

przemiętego i całkiem nieszkodliwego faceta. Niestety, nie wszyscy tak myśleli, tylko jego przyjaciele ze studiów i z lat młodości. Bardziej odpowiedzialne osoby, zaczynając od kierownika oddziału i kończąc na ordynatorze kliniki, w której pracował Prigarin, uważały jego pasje za szkodliwe, antypartyjne i niemarksistowskie. Wołodia długo nie mógł pojąć, czego od niego chcą i dlaczego nie powinien opowiadać swoim pacjentkom o tym, jak korzystnie ciąża wpływa na odmłodzenie organizmu. Zagrożono mu, że jeśli nie przestanie zajmować się swoimi niebezpiecznymi głupstwami, zostanie wykluczony z Komsomołu. I właśnie w tym radosnym momencie znalazł go Wiktor Łoszczynin i zaproponował Wołodi, żeby się przeniósł do Czechowa.

- Pewnie, że to nie Moskwa, ale za to zajmiesz się tym, co najbardziej lubisz, na nikogo nie będziesz się oglądać. Ja, jak się domyślasz, nie zamierzam cię wykluczać z Komsomołu. Parę razy w roku zrobisz mi pewną przysługę, za którą dobrze ci zapłacę, a w pozostałym czasie będziesz robił to, co ci się żywnie podoba.

Prigarin w swojej prostoduszności uznał, że chodzi o wykonanie potajemnych skrobanek pod dobrą narkozą, i bez namysłu się zgodził. Nie był naiwnym głupkiem, który nie rozumiał, na co się decyduje. Był jednak na tyle zafascynowany swoimi badaniami w dziedzinie biologii, że inne rzeczy po prostu nie miały dla niego znaczenia. Skrobanka to skrobanka, myślał, przyjmując propozycję Łoszczynina. Bliźnięta to bliźnięta, myślał nieco później, kiedy się dowiedział, jakiej to usługi będzie się od niego żądać dwa-trzy razy w roku.

Łoszczynin miał do rozwiązania ostatni problem. Kobietę, która była w ciąży bliźniaczej, musi obserwować tylko on sam. Ponadto w grę nie może wchodzić adopcja, ponieważ do tego potrzebne są dokumenty, w których znajdzie się informacja, skąd dziecko się wzięło. Albo zostało znalezione przez milicję porzucone, albo pozostawione w klinice przez niefrasobliwą matkę, która własnoręcznie napisała oświadczenie o zrzeczeniu się dziecka. Powodów pojawienia się malutkich sierot jest mnóstwo, ale wszystkie są oficjalnie udokumentowane. A zresztą do

adopcji jest wszędzie kolejka, którą zarządza właściwy organ państwowy. Tak więc w adopcję nie będziemy się bawić, powiedział sobie Wiktor Fiodorowicz Łoszczynin, ale pomyślimy, jak zorganizować prawdziwe macierzyństwo.

W tej sytuacji Łoszczynin zatrudnił się na pół etatu jako lekarz w poradni dla kobiet przy klinice. Jak tylko w polu jego widzenia pokazywała się przysza mamusia bliźniąt, od razu kontaktował się z bezdzietną kobietą, gotową sownie zapłacić za szczęście posiadania dziecka. Kobieta, zamężna albo samotna, przyjeżdżała do Czechowa i znajdowała sobie jakąś nierzucającą się w oczy pracę, a Wiktor Fiodorowicz od razu zakładał jej kartę ciąży i regularnie wpisywał dane o planowych badaniach i wyniki analiz. Kiedy kobieta nosząca bliźnięta trafiała do kliniki, robiono jej operację, a przy stole operacyjnym zbierali się tylko swoi, Prigarin i dwie pielęgniarki. Prigarinowi asystował sam Wiktor Fiodorowicz, co owszem, wzbudzało zdziwienie, ale tylko na początku, później wszyscy się przyzwyczaili. Pielęgniarki były ich kochankami i trzymały oczywiście buzie na kłódkę.

Lipnej mamusi nie można było położyć w sali ogólnej, bo każdy lekarz, który przyszedłby ją zbadać, od razu by odkrył, że nie urodziła dziecka. Niemowlę oddawano jej po cichu, nazajutrz po operacji, kiedy zmianę kończyli „swoi”. Pielęgniarka oddziałowa, była pracownica domu dziecka dostarczająca Łoszczyninowi klientów, wypisywała zaświadczenie o urodzeniu dziecka i każdy, u kogo pojawiłyby się jakieś wątpliwości, mógł się przekonać, że kobieta przez większość ciąży znajdowała się pod opieką poradni dla kobiet. Proszę, oto wszystkie wpisy i analizy. Najważniejsze, żeby nie wracała z dzieckiem tam, gdzie jeszcze wczoraj paradowała zgrabna i szczupła, lecz wyjechała do miejsca, gdzie dawno jej nie widziano albo w ogóle nikt jej nie zna. Ten problem bezdzietne mamusie rozwiązywały same - albo wracając tam, skąd przyjechały do Czechowa, albo wyjeżdżając tam, gdzie wcześniej nie mieszkały. Jednakże każda na podchwytliwe pytanie, dlaczego będąc w ciąży, nagle zmieniła miejsce zamieszkania i pracę, wyjechała do

innego miasta, a później wróciła, mogłaby odpowiedzieć, że sława wspaniałego diagnosty Łoszczynina i wielkiego chirurga Prigarina sprawiła, że ruszyła w drogę. Od dawna chciała mieć dziecko, ale ciągle się nie udawało i nagle takie szczęście: los zesłał jej ciążę! Czy mogła więc ryzykować? Oczywiście, że nie, postanowiła pojechać tam, gdzie kobiety w ciąży są pod obserwacją znanych lekarzy, którzy przyjmują porody, żeby nie daj Boże nie stracić tak długo oczekiwanego dziecka. Kto będzie na tyle cyniczny, żeby zwątpić w te słowa? Albo tak nieczuły, żeby nie uwierzyć kobiecie?

Łoszczynin i Prigarin stopniowo rozwiązywali swoje mieszkaniowe i samochodowo-garażowe problemy, wybudowali ładne, ciepłe dacje. Później, pod koniec lat siedemdziesiątych, pojawił się sprzęt medyczny, który pozwalał wykryć ciążę bliźniaczą we wczesnym okresie, więc zwinęli swoją działalność. W dalszym ciągu zajmowali się położnictwem, po cichu dorabiając podziemnymi skrobankami. W Rosji, jak wiadomo, jakość usług państwowych związanych z usuwaniem ciąży zawsze była na najniższym poziomie, toteż zapotrzebowanie na niepaństwową, ale za to wykwalifikowaną pomoc lekarską było nieustanne i dość spore. Opłacając Łoszczynina, kobieta mogła liczyć na to, że przyjdzie do kliniki o ósmej rano, dostanie silną narkozę, przy której nic nie poczuje, za trzy godziny się zbudzi, a o piątej po południu będzie w domu. I nikt, w tym również mąż, o niczym się nie dowie.

Obaj lekarze prawie jednocześnie przeszli na emeryturę i przeprowadzili się z powrotem do Moskwy, jako że mieli na to pieniądze. I wszystko, co nawyprawiali przez te lata, odeszłoby bezpowrotnie w przeszłość, gdyby nie syn Łoszczynina, jego długi i wredna żona. Wiktor Fiodorowicz nie mógł patrzeć, jak cierpi jego chłopiec, i nie mógł żyć bez wnuka. Zrozumiał, że musi zdobyć tę przeklętą forszę dla syna. Musi. Żeby chłopiec przestał drzeć ze strachu, słysząc za plecami najmniejszy szelest, w obawie, że to wierzyciele przyszli wyegzekwować dług. I żeby synowa pojęła, że bez teścia, bez Wiktora Fiodorowicza, sobie nie poradzą, żeby mu była wdzięczna za

pomoc.

Łoszczynin jął się zastanawiać, jak może jeszcze raz zarobić na tym, co już kiedyś przyniosło mu niemały dochód. Wyciągnął swoje notatki i zaczął poszukiwania rozdzielonych bliźniąt. Razem było dziewiętnaście par, ale tylko trzy nadawały się do realizacji jego planu. W parze musiał być koniecznie przynajmniej jeden łajdak, uznał Wiktor Fiodorowicz. Lepiej, gdyby dwoje rodzeństwa, ale jedno również wystarczy. Powinna się także wyłonić możliwość wyciśnięcia pieniędzy z uwagi na ich podobieństwo. No i oczywiście bliźnięta muszą być jednojajowe oraz tej samej płci, inaczej cała intryga traci sens.

Pierwszą parą okazali się przyzwoity biznesmen Jewgienij Dosiukow i dwukrotnie karany głupek Walka Ostrikow. Walka gotów był zarobić na czymkolwiek, więc nie było z nim problemów. A Dosiukow miał śliczną kochankę Nataszeńkę, nad którą się pastwił i z którą w ogóle nie chciał się ożenić. Panna okazała się rzutka oraz operatywna i wcale nie ukrywała przed Łoszczyninem, że nic do Dosiukowa nie czuje, ani odrobiny słabości, nie mówiąc już o zakochaniu, ale bardzo lubi komfort i dobrobyt, którymi się otoczył, i ona też pragnie mieć w tym swój prawny udział, żeby mieć pewność, że nazajutrz nie odstawią jej od koryta. Plan opracowano prędko, a głównym jego celem było to, żeby moralnie złamać nieustępliwego Dosiukowa i zmusić go, żeby się ożenił z Nataszą w okresie, kiedy przeciwko niemu będzie się toczyło śledztwo.

- Co dalej, nie ma znaczenia - tłumaczył jej Wiktor Fiodorowicz. - Jeśli podrzuconych przez nas dowodów okaże się zbyt mało, to go uniewinnią, ale i tak będziecie już małżeństwem, a on nigdy nie zapomni, że zgodziła się pani zostać jego żoną w najtrudniejszej chwili życia. Jeśli natomiast go skażą, tym lepiej. Wsadzą go, a pani po pewnym czasie złoży pozew o rozwód. Popełnienie przez męża takiego przestępstwa to całkiem uzasadniona przyczyna, a przy braku dzieci otrzyma pani rozwód w mgnieniu oka. Najważniejsza rzecz to uzyskać dokumenty pozwalające rozporządzać jego majątkiem.

W tworzonym przez nich łańcuchu dowodów musiał znaleźć się

świadek, który zobaczy, jak Dosiukow wychodzi z domu niedługo przed zabójstwem albo wraca po popełnieniu przestępstwa. Do roli świadka świetnie pasował Prigarin, sprawdzony i niezawodny partner. Sąsiad mieszkający piętro niżej szczęśliwie się nawinał, ale był to ślepy przypadek, fart, na który nie można było liczyć. Wiktor Fiodorowicz, Walka Ostrikow i sam Prigarin znajdowali się w gotowości bojowej przez kilka dni, dopóki ostatecznie się nie upewnili, że wybrana przez nich ofiara, Boris Krasawczikow, zamierza spędzić wieczór do późna w restauracji. Natalia znakomicie odegrała scenę rozpacz i oburzenia z powodu Krasawczikowa, demonstracyjnie zażyła na oczach Jewgienija cztery tabletki z buteleczki z etykietką „Lorazepam”, do której jeszcze wczoraj nasypała coś zupełnie nieszkodliwego. A do herbaty Jewgienija wrzuciła porządną dawkę leku, zwłaszcza że był zupełnie bez smaku.

Ostrikow, tak jak się dogadali, przyjechał między wpół do drugiej a drugą w nocy, kiedy Dosiukow już mocno spał. Natalia stała przy drzwiach i od razu usłyszała ostrożne kroki na klatce schodowej. Dala mu ubranie Dosiukowa, broń i kluczyki od samochodu. Pochwaliła fryzurę - tydzień wcześniej przekazała mu przez Wiktora Fiodorowicza zdjęcie Żeni, żeby Walentin ostrzygł się podobnie.

Wszystko odbyło się zgodnie z planem. Dosiukowa aresztowano, Łoszczynin otrzymał pierwszą ratę pieniędzy i zabrał się do realizacji drugiego planu.

Drugą parą, którą wzbudziła jego zainteresowanie, były siostry Bieriozina i Nowikowa. Wiktora Fiodorowicza uskrzydliło zwłaszcza to, że miały jednakowe imiona. Irocze Nowikowej wyraźnie ciążył jej sposób życia, ale nie miała najmniejszych szans, żeby walczyć z mafią oraz kontrolowaną prostytutką w Moskwie. Łoszczyninowi wystarczyło jedno spojrzenie na Rinata Wildanowa, jej szefa, żeby od razu się domyślić, że dziewczyna ugrzęzła na amen, i wyrwać ją z twardych łap sutenera może tylko śmierć. Mniej więcej to samo, choć z nieco innej perspektywy, myślał o swojej prawowitej małżonce ważny polityk Siergiej Nikołajewicz Bieriozin. Jego żona Irina Bieriozina, z domu

Szestopałowa, ze ślicznej, niewinnej dziewczyny błyskawicznie zamieniła się w wyrachowaną, głupią zdzirę, z którą po prostu sobie nie radził. Zanim Wiktor Fiodorowicz zrtalał Bieriozina, polityk był już na skraju wytrzymałości, bo żona stała się nie tylko narkomanką i dziwką, ale w dodatku szantażowała go, że rozgłosi takie rzeczy, które na pewno złamią jego karierę polityczną. Rozwieść się z nią nie mógł, bo w swojej głupocie i w złości wrzeszczałaby na całe gardło o podsłuchanych tajemnicach, ale żyć z nią też nie potrafił. Zamienić jedną Irinę na drugą - oto idealne rozwiązanie problemu.

Poradzić sobie z Iriną Bierioziną nie było trudno. Bieriozin i Wiktor Fiodorowicz poczekali, aż kolejny raz da sobie w żyłę i wpadnie w odurzenie, po czym odwieźli ją do Butowa, do mieszkania Iry Nowikowej. Tam wstrzyknęli jej jeszcze parę ampułek i powiesili, nie zostawiając na bezwładnym, przypominającym manekina ciele żadnego śladu przemocy. Ira napisała pożegnalny list, a ponieważ chodziło im o to, żeby uznano, że to właśnie ona umarła, wszystko wypadło doskonale. Wiktor Fiodorowicz poradził Siergiejowi, żeby powiadomił wszystkich, że jego żona Irina Bieriozina miała wypadek samochodowy. Sam zaś, wykorzystując szerokie kontakty w świecie lekarskim, skutecznie ukrył Irinę Nowikową w dobrej klinice, z której przewieziono ją do sanatorium. Do domu wróciła w przeddzień wyborów i została Iriną Bierioziną, która lekko zbrzydła i uspokoiła się po długiej chorobie i odstawieniu używek.

Bieriozin również wypłacił pierwszą część umówionej sumy, ale pieniędzy i tak nie wystarczyło, żeby całkowicie pokryć rosnący z dnia na dzień dług syna. Wiktor Fiodorowicz zabrał się więc do trzeciej pary. Tutaj fantazja i pomysłowość go zawiodły. Para była dobra pod każdym względem - obaj moskwianie, jeden z nich nie miał rodziców, którzy umarli, żony też nie miał. Podobieństwo było wystarczająco duże, żeby każdego wywieść w pole. Co prawda ten, który pracował jako nauczyciel, miał bujną brodę i włosy, a drugi, pisarz, był krótko ostrzyżony i zawsze gładko wygolony. Wiktor Fiodorowicz zawarł

znajomość z żoną pisarza, która wydała mu się wyjątkowo bystra, i niby przypadkiem wygadał się, że jest w Moskwie mężczyzna niezwykle podobny z twarzy do Leonida. Gdyby Leonid Władimirowicz zapuścił brodę i przestał się krótko strzyc, nie dałoby się ich odróżnić, podobni są zarówno ze wzrostu, jak i z figury. Są również w zbliżonym wieku. Świetłana nic wtedy nie powiedziała, ale po pewnym czasie zadzwoniła i zaprosiła Łoszczynina do siebie.

Okazało się, że pojawienie się sobowtóra mogłoby rozwiązać mnóstwo problemów w rodzinie modnego pisarza Paraskiewicza. Jego niewłaściwe relacje z wydawcami, których nie potrafił odwrócić. Obląkana wielbicielka, która prześladuje jego i Swietłanę, zmuszając oboje do życia w ciągłym strachu. Natrętna kontrola ze strony matki, która nienawidzi synowej i uwiesiła się na synu, nie dając mu spokojnie oddychać. Wyzwolić się od wszystkich kłopotów, rozwiązać za jednym zamachem wszystkie problemy i zacząć od początku, zabijając sobowtóra i wciskając jego zwłoki jako własne. Wiktor Fiodorowicz próbował zaproponować swoją wersję, ale zmuszony był zamknąć usta, uznawszy, że wyobraźnia, pomysłowość i cynizm Paraskiewicza znacznie przewyższają wszystko to, co może wymyślić skromny lekarz emeryt. Łoszczynin musiał się wycofać w obliczu literackiego geniusza.

- Wszystkim zajmiemy się sami - oznajmił mu Leonid. - Pańskim zadaniem jest podać mi adres mojego sobowtóra. Za to otrzyma pan godziwe wynagrodzenie.

Pisarz zaczął zapuszczać brodę i włosy, żeby się upodobnić do Turina. Rolę wykonawczyni przydzielił tej samej obląkanej wielbicielce, na którą miał nieograniczony wpływ. Najtrudniej było zwabić Turina do mieszkania w odpowiednim czasie, ale to wzięła na siebie Świetłana. Zawarła znajomość z Andriejem i zaczęli się spotykać. Świetłana nie ukrywała, że jest mężatką, ale obiecała, że na pewno z czasem rozwiąże problem. Andriej rzeczywiście okazał się romantykiem niezgułą, jakich w obecnych czasach spotyka się wyjątkowo rzadko, i nie ciągnął jej wcale do łóżka. Kiedy broda Leonida stała się dość gęsta, a włosy długie,

Świetłana wymogła na Andrieju, żeby rzucił pracę w szkole. Naopowiadała mu całą furę kłamstw i obiecała inną, lepiej płatną i bardziej interesującą pracę, również nauczycielską, tak jak chciał, ale z uzdolnionymi dziećmi, w bardzo prestiżowym liceum.

- Musisz natychmiast złożyć wypowiedzenie i pozabawić formalności w liceum. Trzeba się spieszyć, bo chętnych na to miejsce jest wielu, uważaj, żeby cię nie uprzedzili.

- Ale jak mogę odejść ze szkoły w środku semestru? - sprzeciwiał się Andriej. - Nikt mnie nie puści.

- Załatwię ci zaświadczenie, że jesteś chory na coś takiego, co uniemożliwia pracę w szkole.

Andriej oponował i dowodził, że to zły pomysł, ale w końcu się poddał, ponieważ bardzo chciał pracować z uzdolnionymi dziećmi i nie chciał martwić Świetłany.

Świetłanie zależało, żeby podanie o zwolnienie napisał sam Andriej. Bracia mieli zupełnie różne charaktery pisma, zresztą nie wolno było dopuścić, żeby zwolnieniem zajmował się Leonid - natychmiast odkryto by zamianę. Zgodnie z planem Turin miał się zwolnić, tłumacząc swoją decyzję ciężkim skórny schorzeniem, po czym umrzeć. W nowej pracy, nie w liceum, lecz w redakcji, zjawi się już inny Turin, i choroba skóry stanie się dla niego dobrą wymówką, dzięki której będzie mógł unikać niepotrzebnych kontaktów i usprawiedliwić brak włosów na głowie i twarzy. I nikt nie powie, że ten ogolony na łyso, pokryty plamami leczniczej maści mężczyzna podobny jest do Leonida Paraskiewicza. Coś takiego nikomu nawet nie przyjdzie do głowy. No po prostu zero podobieństwa! Z czasem razem ze Świetłaną zamienią mieszkanie, wezmą ślub, zawrą nowe znajomości zaczną się obracać w nowych kręgach towarzyskich i nikt się nie dowie, że nieboszczyk Leonid Paraskiewicz jest zdrowy i cały, a nauczyciela Turina już dawno nie ma na świecie, że został skremowany, opłakany przez krewnych i bliskich Leonida.

Scenariusz, który wymyślił Leonid, bardziej przypominał

fantasmagorię i przekraczał granice pojmowania konkretnego i przyziemnego Łoszczynina. Lekarz nie mógł zrozumieć, dlaczego pisarz znęca się nad swoją matką, po co wykorzystuje szaleństwo Ludmiły i udaje zjawę, otwierając drzwi kluczem akurat w tym momencie, kiedy ona jest ogłuszona głośną muzyką, dobiegającą z czterech głośników. W ogóle Wiktor Fiodorowicz go nie rozumiał. I bał się. Jako osoba, która wiele przeżyła, a ponadto posiadała zdolności jasnowidzenia, odgadywał w Leonidzie Paraskiewiczu nieprawdopodobne pokłady duchowej podłości i niegodziwości, cynizmu i obojętności. Łoszczynin nie miał złudzeń co do własnego moralnego oblicza, ani przez chwilę nie wątpił, że to, co zrobił wiele lat temu i teraz, jest rzeczą złą, naganną i przestępczą. Jednak wewnątrz, które skrywał za czarującą fasadą autor kobiecych powieści, tkliwych i wypełnionych namiętnościami, biło na głowę to, co nosił w sobie Wiktor Fiodorowicz.

Jak Świetłanie udało się sprawić, że Turin wszedł na jej piętro zaraz po tym, kiedy pod dom podjechał samochód Leonida, Łoszczynin nie wiedział. Zresztą nie był nawet ciekaw. Udało jej się, no to się udało. Oszukała, naopowiadała mu stek kłamstw i zwabiła chłopaka prosto pod lufę pistoletu obłąkanej Ludmiły. A później wyskoczyła i zaczęła krzyczeć, że zabito jej męża. Czy ktoś to podważy, skoro mężczyzna leży niemal w progu własnego mieszkania, z twarzy wszyscy go znają, a żona woła, że to właśnie on? Nikt nawet nie zwątpił.

Najważniejszą rzeczą było nie dopuścić do pochówku. Na wszelki wypadek. Mało to może się zdarzyć? A prochy to prochy, z nimi nic się nie wskóra. Problem z Iriną rozwiązał się sam, krewnych nie miała, matka i babka umarły, nikt nie chciał zajmować się pogrzebem, no i płacić za niego również, toteż skremowano ją od razu po zakończeniu ekspertyzy sądowo--medycznej. Najpierw ten gnojek Rinat Wildanow próbował zrobić z gęby cholewę i nie odebrał jej ciała z kostnicy, ale Wiktor Fiodorowicz przezornie pomyślał, że pozostawione ciało można powtórnie wysłać na ekspertyzę. Albo zacząć, na przykład, wykorzystywać jako pomoc naukową na studiach medycznych, gdzie

przypadkiem dojdzie do stwierdzenia jakiejś rzadkiej patologii albo osobliwości. Wszyscy od razu zlecą się patrzeć i jeszcze ktoś sobie przypomni, że taką samą patologię miała Irina Bieriozina. Szansa jest minimalna, ale Wiktor Fiodorowicz przyzwyczał się przewidywać wszystko zawczasu. Dlatego zadzwonił do Rinata i szorstkim głosem oznajmił, że jeśli nie załatwi natychmiastowego skremowania ciała Iry Nowikowej, to grożą mu duże nieprzyjemności z uwagi na jego nielegalny biznes. Kiedy trzeba, Łoszczynin umiał być nad wyraz przekonujący, więc Rinat zrobił tak, jak mu kazano.

Co się tyczy Leonida Paraskiewicza, to tutaj pierwsze skrzypce grała Swietłana. Twardo trzymała się tego, że Lonieczka wielokrotnie powtarzał: „Jeśli coś mi się stanie, to chcę być skremowany, a nie leżeć w ziemi toczony przez robaki. Pochówek to nieładna i brudna sprawa, zwłaszcza gdy pada śnieg albo deszcz. A kremacja przynajmniej nie wzbudza obrzydzenia. To prosty i czysty zabieg”. Galina Iwanowna próbowała obstawać przy pochówku, ale Swietłana okazała się nieustępliwa. Powoływała się na słowa Leonida i Galina Iwanowna nie miała żadnych podstaw, żeby się sprzeciwić.

Nie obeszło się jednak bez komplikacji. Jak to się mówi, człowiek planuje, a Pan Bóg krzyżuje. Swietoczka dostrzegła, jaki potwór skrywa się pod postacią jej ukochanego męża. Ale drogi powrotnej nie ma, będzie się męczyć, biedactwo. Wiktorowi Fiodorowiczowi było jej naprawdę szkoda, Swietłana mu się podobała i współczuł jej.

Siergiejowi i Irocze przeciwnie, ułożyło się nawet lepiej, niż można się było początkowo spodziewać. Poczuli do siebie coś w rodzaju wzajemnej sympatii. No i niech im się darzy.

Najgorzej wyszło z Nataszą. Kto zrozumie kobiety! Kocha, patrzcie państwo, swojego Żenię! On tam niewinnie cierpi, a ona chce przywrócić sprawiedliwość! Wiktor Fiodorowicz na tyle długo znał jednak Natalię, żeby wiedzieć: to twarda i stanowcza kobieta. Chcąc wyjść za mąż za Dosiukowa, nie cofnęła się przed niczym, zaaranżowała nawet zabójstwo Bogu ducha winnego Krasawczikowa. Z zimną krwią wsadziła

Jewgienija do więzienia, wynajęła na jego prośbę prywatnego detektywa i udawała porządną małżonkę, tłumacząc detektywowi, że Żenią w gruncie rzeczy mógł naprawdę zabić. A gdy poczuła, że kocha Jewgienija, nic jej nie powstrzyma, żeby go uratować. To zaś jest niebezpieczne. Problem z Nataszą Wiktor Fiodorowicz musiał rozwiązać radykalnie. Dobrze, że nigdy nie zapraszał jej do siebie, spotykał się z nią wyłącznie w mieście, jak najdalej od dzielnicy, w której mieszkał. Zaprowadził ją więc do uprzednio upatrzonemu domu, w którym było ciemno i ludzie niepotrzebnie się nie pętali, no i zarzucił jej sznur na szyję...

Tak, Łoszczynin mógł być dumny ze swojej przezorności. Wszystko poszłoby jak po maśle, bez najmniejszych problemów, gdyby nie Walka Ostrikow ze swoim złodziejskim sposobem trzymania papierosa. Ale kto by mógł przypuścić... Wiktor Fiodorowicz nie znał się wcale na złodziejskich nawykach, bo nie miał do czynienia z przestępcami. Nie mógł przewidzieć takiej katastrofy. A Stasow, który przez całe życie miał kontakt z przestępcami, właśnie tego się uczepił. Nic innego w sprawie Jewgienija Dosiukowa nie było.

Siergieja Bieriozina nie zdążono nawet przesłuchać. Razem z grupą polityków tuż po Nowym Roku poleciał do Czeczenii, żeby uczestniczyć w misji pokojowej, ale jak tylko wzięto zakładników w Kizlarze, udał się tam z Groźnego i biorąc przykład z niektórych ważnych działaczy, zaproponował, że odda się w ręce terrorystów w zamian za kobiety i dzieci. Jego kandydaturę z pogardą odrzucono, ale Bieriozin podążył za kolumną do wsi Pierwomajskoje i cztery doby później został ranny. Umierał strasznie, długo cierpiał, porzucony w piwnicy jakiegoś domu bez pomocy, lekarstw i wody z raną postrzałową brzucha. I jedyne, o czym myślał, na przemian wpadając w otępienie lub majacząc, było to, jakim okazał się głupcem i jak podle traktował Irinę. Teraz, w tej wilgotnej i zimnej piwnicy, słuchając łoskotu dział gdzieś na zewnątrz i zwijając się z nieznośnego bólu w ropiejącej ranie, pojął, że wszystko, co kiedyś nie pozwalało mu być szczęśliwym, to w rzeczywistości błądostka

i nie ma żadnego znaczenia...

Irina Nowikowa, którą śledczy Olszański przesłuchiwał w gabinecie u pułkownika Gordiejewa na Pietrowce, spokojnie odpowiadała na wszystkie pytania, niczego nie skrywając. W pewnej chwili nagle zamknęła oczy, a po jej policzku stoczyły się dwie łzy.

- Sierioża umarł - wyszeptała. - Teraz już wszystko jedno.

Zwłoki deputowanego Bieriozina znaleziono dopiero tydzień później, kiedy działania bojowe w Pierwomajskim zostały zakończone. Usłyszawszy o tym w telewizyjnych wiadomościach, Olszański drgnął, przypominając sobie słowa podsądnej Nowikowej. Czyżby już wtedy to przeczuła? Coś podobnego, pomyślał, jaka przedziwna bywa miłość. Taka też się zdarza. Zbudowana na czyichś kościach i krwi, a tak żarliwa.

KONIEC